

Janet Dailey

**ZŁOTO PŁYNIĘ DO
HOLLYWOOD**

Rozdział pierwszy

Srebrzysty learjet przecinał krystaliczne jesienne powietrze, stopniowo obniżając swój lot. W dole rozciągały się majestatycznie granitowe Góry Skaliste. Kraina dzika, pierwotna i groźna, lecz zarazem pełna surowego piękna.

Po żółtej trawie stromeego pastwiska, odwiedzanego niegdyś przez ogromne stada wapiti, wlokło się pięćset krów - mieszaińców rasy hereford i black angus poganianych przez sześciu jeźdźców. Z prawej strony zbrocza kaskada złotych osik rozbijała się o ciemnozieloną ścianę sosen, by poniżej wypłynąć jasnożółtym rozlewistym strumieniem aż na łąki.

Słoneczne światło odbiło się od gładkiej powierzchni samolotu. Stary Tom Bannon zauważył ten błysk i oderwał wzrok od bydła prowadzonego na zimowe pastwisko rancza Stone Creek.

Na głowie miał brązowy kapelusz z wystrzępionymi brzegami równie zniszczony jak jego własna osiemdziesięciodwuletnia twarz. Wielkie dłonie zaciśnięte na łęku siodła upstrzone były plamami wątrobianymi; upływające lata zaokrągliły jego zwalistą postać i przyprószyły włosy siwizną.

Głęboko osadzone oczy spoglądały spod krzacastych brwi, badając czyste październikowe niebo w poszukiwaniu źródła błysku, który oderwał go od rozpamiętywania minionych jesieni, kiedy to podobnie jak teraz pędził bydło. Widok gładkiego kadłuba samolotu, lecącego zbyt nisko nad doliną, sprawił, że zacisnęły się kwadratowe szczęki Starego Toma.

- Widziałeś durnia? Co, u diabła, strzeliło mu do głowy, żeby lecieć tak nisko? Kaskader się znalazł.
- Wyciągniętą ręką wskazał samolot, kierując te ostre słowa do syna i swojego imiennika, Toma Bannona.

W wieku trzydziestu sześciu lat Tom był młodszą i chudszą wersją ojca, z ogorzałą od słońca i wiatru, pooraną bruzdami twarzą, której z pewnością nie można byłoby nazwać piękną, a na którą jednak wiele kobiet zwracało uwagę. Znajomi nigdy nie nazywali go Młodym Tomem ani nawet Tomem. Od chwili, gdy ojciec ujrzał go po raz pierwszy i ogłosił: „Oto Bannon”, dla wszystkich był po prostu Bannonom.

- Założę się, że to jeden z tych idiotów z Hollywood wybrał się na wycieczkę krajoznawczą do Aspen - zżymał się Stary Tom.

Dostrzegłszy na kadłubie learjeta litery układające się w napis Olympic Pictures, Bannon domyślił się, kto może nim lecieć. Nie chciał jednak tracić czasu na rozważania. Patrzył na zwierzęta, które stłoczyły się właśnie przed otwartą bramą, gdy usłyszał huk silników.

- Ned! Hank! - zawołał do jadących najbliższych poganiaczy. - Gońcie krowy do środka! Prędej!
Skierował wzrok na koniec stada i spostrzegł swoją dziewięcioletnią córkę Laurę. Jechała powoli na srokatym koniu, potrząsając główką to w lewo, to w prawo w rytm melodii z walkmana, nie słysząc wykrzykiwanych poleceń.

Bannon przenikliwie gwizdnął na psy. Jak dwa równolegle wystrzelone pociski błyskawicznie pognały za stadem, zaganiając je od tyłu. Bannon tymczasem zajął się opornymi przewodniczkami stada niechętnie wracającymi z letniego pastwiska. Nie zważając na ryki, zbliżył się do nich na gniadym koniu i popędziły smagając lassem po grzbietach.

Z pagórka Stary Tom obserwował, jak pierwsze krowy przechodzą przez ogrodzenie: na sztywnych nogach, z nieufnie pochylonymi łbami. Jedno spojrzenie na przelatujący samolot, który zniżył się tak, że widać było ciemne okulary pilota i twarze pasażerów, wystarczyło mu, by stwierdzić, że nie będzie łatwo zagonić resztę stada.

- Uważajcie na krowy! Nie dajcie im się rozbiec! - wrzasnął, nie słysząc własnego głosu.

Samolot z przeraźliwym rykiem silników przeleciał niecałe sto metrów nad grzbietem góry. Starzejący się deresz Starego Toma - zwierzę, które nigdy nawet nie drgnęło, choćby mu kula wystrzelona z trzydziestki szóstki świsnęła między uszami, teraz przysiadł ze strachu. Stłoczone w zwartą masę stado zafalowało, po czym rzuciło się do panicznej ucieczki. Widok przestraszonego bydła i cwałujących w pyle jeźdźców przypomniał Staremu Tomowi dawne lata. Nagle znów poczuł się młodo i spiąwszy ostrogami deresza, zmusił go do pogoni za bydłem.

Daleko w przedzie dostrzegł wnuczkę, która ściągając wodze odzyskiwała właśnie panowanie nad swoim srokatym koniem. Poczł dumę widząc, jak dzielnie sobie radzi. Od wczesnego dzieciństwa uczył ją jazdy konnej - prostego swobodnego trzymania się w siodle, doskonałego wyczucia równowagi i gotowości na niespodziewane zachowanie się konia.

Widząc, że zbliżają się do ściany osikowego lasu, natychmiast zapomniał o wnuczce. Gdyby było wbiegło między drzewa, żadna siła nie byłaby w stanie zapobiec rozproszeniu się stada. Ponowne zebranie krów zabrałoby im przynajmniej dzień, może nawet dwa.

- Zatrzymajcie je na łące! Nie mogą wejść w las!

Jego głos utonął wśród oddalającego się dudnienia samolotu i tętentu krowich i końskich kopyt. Jednak już po chwili Stary Tom stwierdził z ulgą, że jego wysiłek był zupełnie niepotrzebny. Bannon, który zauważył to samo co ojciec, popędził na swoim wierzchowcu, błyskawicznie wpadając w stado i zawracając przewodniczki, zanim krowy zdążyły dobiec do pierwszych drzew.

Obserwując tę scenę Stary Tom pomyślał, że dawniej nie dałby się prześcignąć synowi. Lecz te czasy minęły już dlań bezpowrotnie.

W komfortowo urządzonej kabinie samolotu Kit Masters, wygodnie oparta na pokrytej szarym pluszem kanapie, siedziała na podwiniętych bosych stopach i obserwowała przesuujące się w dole widoki. Uśmiechnęła się, czując znajome dotknięcie ręki, która poufałym gestem prześlizgnęła się po jej plecach ku krągłej wypukłości biodra. Kit odwróciła się, odruchowo zakładając niesforny kosmyk miodowoblond włosów za ucho. John Travis przysunął się do niej, wygodnie układając swe długie ciało na miękkich poduszkach.

Obdarzył Kit jednym ze swych czarujących uśmiechów, tym razem łobuzerskim i frywolnym, który zmienił jego interesującą twarz na niebezpiecznie urodziwą.

- Pilot powiedział, że wkrótce będziemy przelatywać nad twoją posiadłością. Czy coś już wydaje ci się znajome? - Pochylił się, zerkając w okno. Promienie słońca załśniły na jego ciemnozłoty włosach.

- Prawie wszystko.

Kit rozmarzonym wzrokiem przyglądała się jego szczupłej twarzy o arystokratycznych rysach. Była to wyrazista twarz z urokliwym dołkiem w podbródku. Łączyła w sobie dyskretny czar i zuchwałą zmysłowość. To połączenie dostrzeżono w Hollywood od razu. Gdy John Travis pojawił się tam przed piętnastu laty, natychmiast stał się gwiazdą.

Patrząc na Johna Kit doznała nagle dziwnego uczucia, że zna go od bardzo dawna. W rzeczywistości spotkała go po raz pierwszy zaledwie przed sześcioma tygodniami, na przyjęciu, które odbyło się tuż przed przesłuchaniami do filmu *Białe kłamstwa*. Kit dostała w nim główną rolę kobiecą, a praca na planie miała się rozpocząć za kilka tygodni.

Ponownie spojrzała w okno, uśmiechając się na myśl o nagłym przyspieszeniu, jakie nastąpiło w jej życiu. Od sześciu tygodni toczyło się ono w szaleńczym tempie, a każdy dzień przynosił niespodziewane zdarzenia. Cieszyło ją to ogromnie, jednak marzyła już o chwili wypoczynku.

- Jeśli tak dobrze znasz te okolice, powiedz mi, gdzie jesteśmy. - John Travis spojrzał na Kit z lekko prowokującym wyrazem w niebieskoszarych oczach.

- Przelatujemy nad Stone Creek - odpowiedziała szybko Kit, starając się opanować i zwalczyć rosnące napięcie i uczucie bólu wywołane widokiem rancza.

- Stone Creek? - Zbliżył twarz do szyby.

Ich rozmowa przyciągnęła uwagę Chipa Freemana, reżysera i autora scenariusza *Białych kłamstw*. Zaledwie oczami krótkowidza, ukrytymi za grubymi jak dna butelek szklami zauważył zarys granitowych, nakrapianych złotem gór, zacisnął powieki, wbijając palce w wyściełaną czarną skórą poręcz fotela. Szybko poruszające się jabłko Adama zdradzało, że bardzo boi się latania samolotem.

Agent Kit, tęgi i przysadzisty Maury Rose, pochłonięty był całkowicie rozmową z dziennikarką Yvonne Davis. Starał się zapewnić swojej podopiecznej jak największe zainteresowanie ze strony mass mediów na przyjęciu, które wydawał tego wieczoru miliarder J. D. Lassiter, właściciel Olympic Pictures.

W samolocie znajdowała się również Paula Grant, weteranka mydlanych oper. Jej nietypowa uroda - Paula miała ognistorude włosy, porcelanową cerę i zielone oczy - pasowała jak ulał do wyobrażeń o kobietach-ladacznicach, których role doskonale odtwarzała. Zajęta obserwowaniem górskiej scenarii, jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie Kit i Johna. Fotel obrotowy, w którym siedziała, zwrócony był, jakby zachęcając do rozmowy, w stronę kanapy.

- Stone Creek to ranczo sąsiadujące z naszym - wyjaśniła Kit.

N a s z y m. Zesztywniała nagle. Przeraziła się, że wybrała właśnie to słowo. Silverwood nie było już wspólną własnością. Od ośmiu miesięcy, od śmierci ojca, sto sześćdziesiąt hektarów ziemi należało

tylko do niej.

Stała przed oczami ojciec - ciemnowłosa i przystojny Clint Masters. Już dawno temu zorientowała się, że odziedziczyła po nim charakter - fantazję, zmysłowość i radość życia.

Nie była na farmie od pogrzebu, nie z wyboru, lecz z konieczności. Teraz nie potrafiła wyobrazić sobie domu bez ojca, bez jego uśmiechu.

- Spójrz na te krowy na łące - powiedziała Paula Grant. - I na tych kowbojów. Kit, chyba mi nie powiesz, że dawny Zachód jeszcze istnieje?

Kit, która również zauważyła spłoszone bydło, jęknęła z przerażenia.

- O Boże, przestraszyliśmy krowy! Stary Tom urwie mi głowę.

- Domyślam się, że to bydło Starego Toma.

Siedząc bardzo blisko Kit, John Travis doskonale widział zarys jej ust i blade piegi rozsiane wokół nosa.

- Masz rację - odpowiedziała z ciepłym uśmiechem, który od pierwszej chwili tak mu się u niej spodobał.

Na pierwszy rzut oka Kit Masters wydawała się być jedną z tysięcy marzących o karierze blondynek o słonecznej kalifornijskiej urodzie, dla których zawsze znajdowało się miejsce w Hollywood. Wyróżniała ją jednak niezwykle kolor oczu - niebieski, o niespotykanej głębi. Tajemniczy jak ton jeziora. Wdychając delikatną podniecającą woń perfum Kit John zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła rozszyfrować tę tajemniczość. Od dawna już nie pragnął tak żadnej kobiety.

- Prowadzą bydło z letnich pastwisk - powiedziała Kit z roztargnieniem. - Kiedy dorastałam, wiosną chodziliśmy często z ojcem do Stone Creek i pomagaliśmy cehować, szczepić, przebierać, kastrować bydło i prowadzić je na wysokogórskie letnie pastwiska. Jesienią pędziliśmy stado na dół - mówiła, myśląc o Bannonie, który nieodłącznie towarzyszył jej wspomnieniom z przeszłości.

Otworzyło to starą bliznę i wprowadziło Kit w stan napięcia. Starła się odrzucić przykre myśli. Po dziesięciu latach prób udawało się jej to już całkiem dobrze.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie poganiającej krowy. Kit - stwierdziła Paula Grant.

John Travis, spoglądając na dumny profil Kit, pomyślał w tym momencie to samo co Paula.

Kit zaśmiała się słysząc uwagę Pauli i natychmiast odpowiedziała celowo akcentując słowa:

- Droga Paulo, jest mi bardzo przykro, że nie możesz wyobrazić sobie, jak poganiam krowy, ale mimo to tak właśnie było. - Już bez akcentu, kontynuowała: - Ojciec wsadził mnie na konia, gdy jeszcze nie umiałam mówić. Nie muszę chyba dodawać, że moja mama była przerażona. Zanim skończyłam dwa lata, miałam już własnego kucyka. Na trzecie urodziny ojciec podarował mi małe łąso i doprowadzałam do wściekłości psy i kury, starając się je nań złapać. Jako sześciolatka dziewczynka jeździłam już na dorosłym koniu. - Zaśmiała się. - Oczywiście mama starała się temu przeciwdziałać zapisując mnie na balet, lekcje gry na fortepianie i prowadząc na koncerty i do opery. Gdybym została kowbojem, byłby ze mnie wytworny kowboj.

- Bardzo wytworny - przyznał John Travis, obserwując złote kolczyki w kształcie łez mieniące się wśród długich jasnych włosów.

Nadgarstek Kit otaczała ciężka potrójna złota bransoleta kontrastująca z koralowym żakietem, który nosiła na ciemnofioletowej kaszmirowej tunice ze spodniami. Złocisty płaszcz, niedbale przerzucony przez oparcie kanapy, dopełniał tej śmiałej i bardzo nowoczesnej całości, którą niewiele kobiet potrafiłoby nosić w tak niewymuszony sposób. Kit niewątpliwie do nich należała.

- Paulo, Johnie, spójrzcie. - Przywarła do szyby z wyrazem twarzy zdradzającym podniecenie, które sprawiło, że wyglądała młodziej niż na swoje trzydzieści dwa lata. - To Silverwood. Mój dom.

Wyczuwając ciepło w jej głosie, John Travis spojrzał w okno. Nie rozumiał przywiązania do jakiegoś miejsca. Sam wychował się wędrując ciągle wraz z rodzicami do kolejnych baz wojskowych rozsianych po całej półkuli. Gdy miał siedemnaście lat, uciekł do Kalifornii, nie chcąc już przenosić do następnej bazy i nowej obcej szkoły. Został aktorem i w ten sposób zamienił jeden styl życia na walizkach na drugi.

Z zaciekawieniem przyglądał się budynkom położonym na dnie doliny, której boki wyznaczały pokryte w wyższych partiach śniegiem zbocza Gór Skalistych. Pośrodku znajdowała się malownicza stajnia, zszarzała od deszczów i śniegów. Otaczały ją drewniane płoty, dzielące dolinę na wiele kwadratów. W gąszczu osiek stał zbudowany bez określonego planu drewniany dom z werandą.

- Sympatyczny i oryginalny - rzekła Paula z aprobatą w głosie.

- Cieszę się, że tak mówisz - powiedziała Kit, której nagle stanęły w pamięci wszystkie miłe i

niemiłe chwile związane z tym domem.

- Piękna jest też okolica - kontynuowała Paula. - Te wspaniałe góry. Cudowne kolory jesieni. Myślałam, że o tej porze roku nigdzie nie może być piękniej niż w Nowej Anglii, ale to, co widzę, jest niewiarygodne. - Upierścienioną dłonią wskazała za okno.

Wzrok Kit powędrował od domu, w którym upłynęło jej dzieciństwo, ku górom mieniącym się wszystkimi kolorami słonecznej jesieni. Smugi kanarkowej żółci lśniły pomiędzy gęstymi rzędami świerków wspinającymi się po granitowym zboczu. Podstawę lasu tworzyła ogromna ilość smukłych białych pni kołyszących koronami w kolorze szafranu, cytryny, bursztynu i topazu.

- Mówiłam ci, że jesień jest tu piękna, ale mi nie wierzyłaś - powiedziała Kit do Pauli z lekkim odcieniem satysfakcji w głosie. - Ależ z ciebie sceptyczka. Powinnaś być urodzić się w Missouri, a nie w Vermont.

- W mojej pracy sceptycyzm, a nawet cynizm jest potrzebny do przetrwania - odparła Paula. - Kiedy będziesz aktorką tak długo jak ja, sama to zrozumiesz.

- Może ty tak czujesz, ale znasz mnie - jestem niepoprawną optymistką. - Kit wzruszyła beztrzęsio ramionami.

- John, szkoda, że nie kręcisz filmu teraz zamiast zimą - powiedziała Paula Grant. - Te krajobrazy są niesamowite.

- Uważaj, Paulo - zaśmiał się John Travis. - Zaczynasz mówić jak turystka.

- Po dzisiejszym przyjęciu mam właśnie zamiar stać się turystką na cały miesiąc - oznajmiła z lekkim rozmarzeniem w głosie. - Żadnych telefonów wcześniej rano, żadnej pracy przez sześć dni w tygodniu do późna wieczór, żadnych dialogów do nauczenia. Nie macie pojęcia, jaka byłam szczęśliwa, kiedy autorzy scenariusza zdecydowali się uśmiercić Rachelę...

- A producenci musieli wykupić twój kontrakt - wtrącił John Travis.

- To prawda - przyznała Paula. - Ale po siedmiu latach w *Wichrach przeznaczenia* zasłużyłam chyba na długie i dobrze opłacone wakacje, nie sądzisz?

- Nie zwracaj uwagi na Johna - rzekła Kit. - Przez ostatnie dwie godziny rozmawiał z Chipem i myśli teraz jak producent, a nie jak aktor.

- To wszystko wyjaśnia. - Paula utkwiała wzrok w oknie. Coś przyciągnęło jej uwagę i przywarła do szyby. - Ta góra - wyszeptła - wygląda, jakby była zrobiona ze złota.

- Biorąc pod uwagę ceny nieruchomości w Aspen, jest to możliwe - stwierdził sucho John.

Paula skinęła głową.

- Słyszałam, że nawet mała parcela kosztuje krocie.

Kit, która zastanawiała się nad sprzedażą rancza, miała nadzieję, że Paula i John nie mylą się, ale szybko skarciła się w myślach za chciwość.

- Czy to już Aspen? - zapytała Paula.

Kit zza szyby obserwowała miasteczko wylaniające się z wąskiej doliny Roaring Fork River i wspinające się na zbocza Gór Skalistych.

Na stokach Aspen Mountain, którymi przed stu laty umorusani górnicy zmęczonym krokiem wracali do domów po pracy w kopalniach srebra, wiły się trasy narciarskie. Tam, gdzie przed laty sprzęt górniczy stał u wejść do najbogatszych kopalń w kraju, wybudowano nowoczesne luksusowe rezydencje. Wzdłuż Durant Street, dawnego centrum zakazanej dzielnicy, rozsiadły się eleganckie sklepy i butiki. W Aspen bywali już właściciele kopalń, potentaci kolejowi i członkowie europejskich rodzin królewskich; teraz bawili się najznakomitsi i najbogatsi.

Wysadzane drzewami ulice znały dobrze stukot tramwajów konnych, turkot wozów z towarami, blask eleganckich powozów, beczenie owiec, przemarsze oddziałów bojowych w czasie II wojny światowej, śmiganie nart i warkot samochodów marki Mercedes-Benz.

Kit uśmiechnęła się na myśl o wyjątkowości swego rodzinnego miasteczka, które z prostej osady górniczej przeobraziło się w wielki ośrodek wydobywania srebra, a potem nagle opustoszało, by ponownie przyciągnąć do siebie jako kurort światowej klasy. Gdyby historia Aspen miała stać się tematem filmu, w Hollywood zatytułowano by go zapewne *Kopciuszek i król Midas*.

Rozdział drugi

Sygnał zabrzączał dwa razy. John Travis podniósł słuchawkę wiszącą na ścianie telefonu i nacisnął migocący światłem guziczek, uzyskując w ten sposób połączenie z kabiną pilota. Słuchał przez chwilę, po czym przekazał wiadomość.

- Za parę minut lądujemy. Pilot prosi nas o zapięcie pasów.

- Odwracając wzrok od okna Kit rozprostowała nogi i zaczęła gorączkowo szukać butów. Kątem oka zauważyła, że siedzący przy barze Freeman jednym haustem wypija zawartość kieliszka. Uśmiech zaigrał na jej twarzy, gdy przez chwilę zastanawiała się, czy alkohol doda Chipowi odwagi.

Znalazła swoje pantofle na płaskich obcasach i wsunęła w nie stopy. Chip tymczasem skierował się ku Pauli. Szedł z twarzą pobladłą ze strachu i oczami utkwionymi w fotel, nie rozglądając się na boki i nie zauważając współczującego uśmiechu, którym obdarzyła go Kit.

- Biedny Chip - szepnęła do Trávisa, zapinając pas. - Wygląda tak, jakby potrzebny mu był środek uspokajający. Powinieneś zająć go rozmową.

- Niedługo będziemy już na ziemi. - Rzucił rozbawione spojrzenie w stronę Chipa. - Da sobie radę. To duży chłopiec.

Kit pomyślała, że te słowa wyjątkowo dobrze określają Freemana. Z niesfornym kosmykiem włosów opadającym na czoło Charles „Chip” Freeman w istocie wyglądał jak chudy wyrośnięty chłopak, połączenie klasowego geniusza z cherlawym kujonem. Dla niej jednak był przede wszystkim geniuszem, twórczym i wytrwałym.

Po latach starań realizował teraz swój pierwszy wysokobudżetowy film z udziałem wielu gwiazd. Wiadomość, że to właśnie jemu powierzono pracę nad filmem, na który przeznaczono pięćdziesiąt milionów dolarów, zelektryzowała Hollywood. Dał się już wprawdzie poznać jako autor znakomitego scenariusza *Białych kłamstw*, lecz uważano go za reżysera, który zanadto eksperymentuje - nie zawsze szczęśliwie. Mimo że jego ostatnie filmy zdobyły uznanie krytyków, nie miały jednak dużej widowni, co w Hollywood było niewybaczalnym grzechem.

Jeśli chodzi o karierę filmową, Kit wiedziała, że nie mogła lepiej trafić. Miała tę przewagę nad resztą ekipy, że już wcześniej bezpośrednio zetknęła się z Chipem przy pracy. Przed siedmiu laty występowała w reżyserowanej przez niego *Szklanej menażerii*. Przedstawienie było wspaniałym dramatycznym widowiskiem i równie znakomitą rozrywką. Gdy miało już zejść z afisza, nadal grywano je przy pełnej sali. Był naprawdę dobrym reżyserem, od dawna miała tę pewność. Teraz otrzymał szansę udowodnienia niedowiarkom, jak bardzo jest utalentowany, i zdobycia uznania, na które w pełni zasługiwał. Kit cieszyła się z jego sukcesu jakby to był jej własny.

Ostry dźwięk przeszył kabinę, gdy samolot wysuwał kłapy. Chip zbladł, kurczowo chwytając się poręczy fotela. Paula poklepała jego rękę, chcąc dodać mu otuchy, on zaś natychmiast uchwycił i mocno ścisnął jej dłoń. Nie mogąc uwolnić palców, Paula spojrzała na Kit, z rezygnacją kiwając głową nad bezsensowną walką z męskim egoizmem.

Nie po raz pierwszy Kit zadała sobie pytanie, co właściwie łączy Paulę i Chipa. Czasami sprzeczali się jak brat z siostrą, kiedy indziej znowu wydawali się być dobrymi przyjaciółmi, a parę razy Kit miała wrażenie, że są parą kochanków. Zastanawiała ją, czemu nie zna prawdy. Uważała Paulę za swoją najlepszą przyjaciółkę w Hollywood. W ciągu ostatnich trzech lat grały razem w serialu *Wichry przeznaczenia*.

John pochylił się, by znaleźć się bliżej Kit.

- Potrzebujesz mnie za rękę?

Zaśmiała się:

- Umiesz wykorzystywać sytuację. Czyżbyś się bał?

- Może... - odpowiedział wesołym głosem.

- Już ci wierzę. - Podała mu jednak rękę, ciesząc się ciepłym uściskiem jego dłoni.

Siedząca przy stole Yvonne Davis pośpiesznie wepchnęła notatki do czarnej torebki z krokodylej skóry i głośno zatrzasnęła zamek. Maury Rose sięgnął po kilka galaretek z tacy ze słodczami i rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu, a jego krótkie nogi z trudem sięgały dywanu. Mała orzechowobrzazowa peruka z pasmami siwizny, żeby lepiej komponować się z resztkami siwiejących włosów, zakrywała łysinę. Maury, jak zwykle, miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Lubił takie ubrania, najlepiej wykonane z lśniącego jak skóra rekina materiału. Jednakże obcisła kamizelka nie mogła ukryć ponad piętnastokilogramowej nadwagi i spełniała raczej rolę pasa podtrzymującego wydatny brzuch.

- Proszę nie zapomnieć wpisać na listę dziennikarza z „People” - przypomniał Maury. Mówił szybko, z lekkim, zdradzającym nowojorskie pochodzenie, akcentem. - Nie chcę, żeby wzięto go za jakiegoś przypadkowego fotografa.

- Już jest na moim wykazie, panie Rose. - Urodzona w Teksasie dziennikarka spojrzała na niego znad jaskrawoczerwonych oprawek okularów, a w jej głosie słychać było lekkie poirytowanie faktem,

że ktoś może ją podejrzewać o to, iż nie wie, co należy do jej zawodowych obowiązków. - Prawdę mówiąc, to moja zasługa, że przyjdzie dziś wieczorem.

Lecz Maury był zbyt gruboskórny, żeby zauważać drobne złośliwości. Widząc, że przytyk nie zrobił na nim żadnego wrażenia, Yvonne zwróciła się do Kit.

- Kiedy byłaś ostatnio w Aspen? - zapytała, wyraźnie starając się zmienić temat.

- Jeśli chodzi ci o dłuższą wizytę niż na weekend, to nie byłam od lat - wyznała Kit. - Ciągle chciałam się tu wybrać, ale niezmiennie coś stało mi na przeszkodzie - brak czasu, pieniędzy albo inne okoliczności.

- Doskonale rozumiem, co masz na myśli - rzekła Yvonne. - Kiedy wyjeżdżałam z Houston, myślałam, że będę wracać co roku, by odwiedzić rodzinę w Tomball. Minęło szesnaście lat, a ja byłam tam może cztery razy. Nowe życie wciąga i zapomina się o przeszłości. Boję się pomyśleć, ilu przyjaciół straciłam przez te wszystkie lata. Ale na to nie ma rady. - Postawiła torebkę obok fotela.

- Ja też tak myślę.

Kit wspomniała Angie Martin, swoją najlepszą przyjaciółkę ze szkoły średniej. Znane były z godzinami trwających rozmów telefonicznych. Utrzymały kontakt również po tym, jak Kit przeniosła się do Los Angeles, lecz ostatnio ich spotkania były coraz rzadsze. Angie przyjechała na pogrzeb ojca Kit, lecz zamieniły wtedy zaledwie kilka zdań. Umawiały się na długą rozmowę o byłym mężu Angie, który okazał się skończonym draniem, a Kit była również ciekawa, jaki jest obecny mąż przyjaciółki. Nie mogła sobie przypomnieć, jak Angie się teraz nazywa.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś ucieleśnieniem marzeń wielu ludzi? - Głos Yvonne przerwał rozmyślenia Kit. - Każdy chciałby powrócić do swej rodzinnej miejscowości po odniesieniu sukcesu. „Kit Masters, nowa gwiazda Hollywood”.

Kit zaśmiała się.

- Za wcześnie na takie słowa. Nie zaczęliśmy nawet zdjęć do filmu.

- Wiem o tym, ale przeczytałam scenariusz i widziałam cię podczas zdjęć próbnych. Zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie. - Dziennikarka spojrzała na Kit znad okularów. - Nie schlebiam ci w tej chwili. Kiedy ten film wejdzie na ekrany, twoja popularność gwałtownie wzrośnie.

Kit przyjrzała się Yvonne uważnie, lekko zaskoczona jej oświadczeniem. Pamiętała, że jeden z pracowników firmy Johna, producent Nolan Walker, powiedział coś podobnego po zdjęciach próbnych, ale wtedy nie zwróciła na to większej uwagi i potraktowała jako zachętę do pracy.

Jednakże teraz, po słowach Yvonne, zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak banalny i wyświechtany był to zwrot, ten film może „zrobić z niej gwiazdę”. Dawniej myślała, że ta świadomość podnieci ją, wzbudzi uczucie dumy. Lecz teraz niczego takiego nie czuła.

Jej celem nigdy nie było osiągnięcie sławy. Fascynowała ją gra, nowe role, a nie gwiazdorstwo. Dobrze jednak pamiętała podniecenie, jakie ogarnęło ją, gdy przeczytała scenariusz po raz pierwszy.

Czekała wtedy w studio na nagranie kolejnej sceny w *Wichrach przeznaczenia*. Akcję umiejscowiono w fikcyjnym miasteczku na Południu, niedaleko Atlanty w stanie Georgia. Kit żartobliwie nazywała je mieszaniną Peyton Place, Twin Peaks i Mandingo.

W przerwie, gdy do końca dnia zdjęciowego pozostała jej już tylko jedna scena, Kit zeszła z otoczonej gipsowymi kolumnkami werandy domu na plantacji Great Oaks. Przechodząc obok donic ze sztucznymi krzewami i starannie omijając płataninę kabli, skierowała się do wyjścia. Jej gęste jasne włosy upięte były w gładki węzeł. Ta fryzura pasowała do granej przez nią spokojnej i dystygowanej postaci. Warstwa makijażu zakrywała pęgi na twarzy i nadawała cerze Kit blady, świeży i delikatny wygląd, charakterystyczny dla kobiety z Południa.

Gdy mijała dekoracje przedstawiające restaurację „Riverside”, kolejne pełne plotek i zamieszania miejsce na planie, jeden z operatorów z uznaniem uniósł kciuk do góry.

- Wyglądałaś wspaniale.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego.

- Kiedy scenarzyści pozwolą ci poznać się na tym głupku?

- Pewnie nigdy. Ale to nie ma znaczenia. Znasz mnie. Jestem wierna jak Penelopa. - W bezradnym geście wzruszyła ramionami i skierowała się w stronę drzwi.

Udało się jej zwalczyć pokusę wstąpienia do bufetu i wkroczyła w labirynt korytarzy. Po paru minutach dotarła do garderoby, którą dzieliła z Paulą Grant. Z wyjątkiem nielicznych przypadków, aktorzy musieli korzystać ze wspólnej garderoby podczas kręcenia tasiemcowych seriali.

- Na ciebie kolej - przywitała Paulę, zrzucając z nóg pantofle na wysokich obcasach i odkopując je daleko. - Czas na twoje „nikczemne dzieło”.

- Wprost nie mogę się tego doczekać - powiedziała z przekąsem Paula, trzymając na kolanach otwarty scenariusz i przeciągając się leniwie na jedynym znajdującym się w pokoju fotelu.

Kit ściągnęła rękawiczki, marząc o pozbyciu się pozostałych części kostiumu. Musiała jednak w nim jeszcze wystąpić w swojej ostatniej tego dnia scenie. Rzuciła rękawiczki na kanapę i zaczęła przebierać w stosie rozrzuconych na niej ubrań.

- Nie widziałas gdzieś mojej bluzki?

- Leży na podłodze za kanapą. Czy ty nigdy nie wieszasz swoich ciuchów?

- Rzadko mi się to zdarza - przyznała Kit. - To rodzaj reakcji na wychowanie przez pedantyczną matkę. Miała bzika na punkcie porządku. Wszystko zawsze musiało leżeć na swoim miejscu. Podłogi w domu były tak czyste, że dosłownie można było z nich jeść. - Widząc, że Paula z niedowierzaniem unosi brwi, dodała: - Mówię serio. Używała szczoteczki do zębów, żeby doczyścić podłogę. Prasowała nawet bielizniane szorty ojca. Może dlatego zaczął nosić slipy.

Podeszła do małej lodówki, chcąc napić się soku jabłkowego i zauważyła leżące na niej zadrukowane kartki.

- Co to jest?

- Scenariusz, który napisał Chip.

- *Białe kłamstwa* - przeczytała tytuł. - To ten film, do którego część praw zakupił John Travis?

Paula chrząknęła twierdząco i podeszła do toaletki poprawić makijaż.

- Czytałaś? - spytała Kit.

- Tak. - Czubkami palców Paula lekko zwichrzyła ognistorude włosy. - Osobiście nie znalazłam w nim nic ciekawego. Nie wiem, po co zadaję się z reżyserem, który pisze scenariusze nie przewidując w nich roli dla mnie.

- Dlatego, że go lubisz. - Kit uśmiechnęła się znacząco.

- To nie ma nic do rzeczy. - Paula przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. - Moim przekleństwem są włosy. W tym mieście rudowłose dostają tylko role dziwek. Nawet nie wiesz, ile razy chodziłam na przesłuchania, siedziałam i czekałam na swoją kolej, obserwując wchodzące brunetki i blondynki. Wchodzę wreszcie, reżyser patrzy na mnie przez chwilę, a potem wali: „O Boże, pani jest ruda!”, tak jakby to automatycznie przesądzało o tym, że nie dostanę roli. Założę się, że nigdy nie powiedziano brunetce: „O Boże, pani jest brunetką!”

Paula przysunęła się do lustra i sprawdziła, czy nie ma śladów szminki na zębach. Zadowolona z oględzin wstała.

- Wychodzę.

- Mogę to przeczytać? - Kit wzięła do ręki scenariusz.

- Oczywiście. - Paula skinęła ręką na znak przyzwolenia.

Gdy Kit została sama, usiadła w opuszczonym przez Paulę fotelu i otworzyła scenariusz. Przeczytawszy kilka pierwszych stron nabrała przekonania, że główna bohaterka, Eden Fox, jest przebiegłą blondynką, która poślubiła dużo starszego mężczyznę dla jego pieniędzy i pozycji, po czym zabiła go, chcąc zawładnąć majątkiem. Jednak kilka następnych stron przyniosło Kit wiele wątpliwości. Po kolejnych dziesięciu była zafascynowana złożoną osobowością bohaterki.

- Nie, ona tego nie zrobiła - wyszeptała w osłupieniu, machinalnie zbierając kartki scenariusza. - To nie jest jeszcze jedna przeróbka *Świadka oskarżenia. Żaru ciała czy Czarnej wdowy*.

Potrząsnęła głową i zaśmiała się na myśl o tym, jak bardzo się myliła w ocenie bohaterki. Po raz pierwszy trafiła na scenarzystę, który w tak mistrzowski sposób potrafił przedstawić sprzeczności kobiecej psychiki. Gdy Paula wróciła do garderoby, Kit podekscytowana zerwała się z fotela.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to jest takie wspaniałe? Boże, Paulo, ten scenariusz jest świetny! A Eden - na pewno nie jest aniołem, ale nie jest też zbrodniarką. - Zawirowała w nagłym tańcu. - Boże, jakbym chciała dostać tę rolę! Kocham takie filmy! Zabiję się, jeśli nie zagram Eden!

Paula przyglądała się jej, rozpinając diamentowe guziki błękitnej sukni koktajlowej, którą miała na sobie.

- Zawsze wiedziałam, że miłość i zbrodnia idą w parze.

- Kto gra Eden? - spytała Kit. - Nie, nie mów mi. - Machnęła ręką, jakby chciała odegnąć to pytanie.

- Nie chcę wiedzieć. Nie przeżyję świadomości, że nie mogę już dostać tej roli.

- Nikomu jeszcze jej nie dali.

- Jest nie obsadzona! Czy trwają jeszcze przesłuchania?
- Ostatnio słyszałam, że tak.
Kit nie czekała na dalsze wiadomości. Wybiegła z garderoby do telefonu w holu.
- Maury, musisz załatwić mi przesłuchanie. Chciałabym zagrać Eden w nowym filmie Johna Travisa *Białe kłamstwa* - wypaliła, gdy tylko usłyszała w słuchawce znajomy głos.
- Kto odpowiada za obsadę?
- Nie wiem. Zapomniałam spytać Paulę.
- Mówisz „Travis”. Nietrudno więc będzie się dowiedzieć. - Przerwał na chwilę. - To znaczy, że chcesz dołączyć do elity, Kit.
- Maury, muszę dostać tę rolę.
- Oczywiście, Kit - zgodził się z roztargnieniem. - O ile się nie mylę, Travis ma umowę z Olympic Pictures Lassitera. Słyszałem, że Lassiter wydaje wielkie przyjęcie. Umówię cię na przesłuchanie, spróbuję też zdobyć dla ciebie zaproszenie na to party. Powinnas zaatakować ze wszystkich stron. Urok. Wdzięk. Flirt.
- Umów mnie na przesłuchanie, a ja już wszystko załatwię. - Odwiesiła słuchawkę, wciąż przyciskając do piersi scenariusz.

Emocje. Zawsze przeżywała wszystko bardzo mocno. Teraz, gdy otwierała się przed nią droga do sławy, nie czuła nic - z wyjątkiem lekkiego niepokoju.

Samolotem targnął lekki wstrząs - rozległ się dźwięk towarzyszący wysuwaniu się podwozia. Lecieli teraz z dużo mniejszą prędkością. Chip Freeman wstrzymał oddech i mocno zacisnął powieki. Po chwili koła zetknęły się z ziemią i samolot osiadł na płycie leżącego na zachód od Aspen lotniska Sardy Field.

- Myślę, że możesz już puścić moją rękę, Chip - powiedziała sucho Paula. - Wylądowaliśmy bezpiecznie.

- Oczywiście, przepraszam. - Zwolnił uścisk i głęboko wciągnął powietrze. Samolot skręcił w kierunku hangarów. - Boże, jak ja nienawidzę latania - powiedział w przestrzeń.

- Nie wygłupiaj się. - Paula spojrzała na niego obojętnie.

- Paulo, przestań - zbesztala ją Kit, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Łatwo ci mówić, bo nie chodzi o twoją rękę. Spójrz, złamał mi paznokciec. - Starannie badała uszkodzenie. - Teraz jeszcze będę musiała zrobić manikiur przed przyjęciem.

- Nie ma sprawy - wtrącił Maury. - Zamówiłem fryzjerkę i manikiurzystkę. Mają być u Johna o szóstej, by pomóc Kit przygotować się na dzisiejszą uroczystość. Kiedy manikiurzystka skończy, zajmij się twoim paznokciem.

- Nie uprzedziłeś mnie o tym, Maury - rzekła Kit. - Nie potrzebuję...

- Potrzebujesz. Jesteś moją gwiazdą. - Spojrzał na nią i ciepły uśmiech rozjaśnił jego bystre, czujne oblicze. - Chciałabym, żebyś wyglądała dziś tak pięknie, jak milion dolarów, nawet jeśli Travis nie pozwoli swoim producentom zapłacić ci takiej sumy - dodał, patrząc wymownie na towarzyszącego jej mężczyznę.

John Travis obdarzył Maury'ego chłodnym spojrzeniem. Nie miał o nim wysokiego mniemania jako o agencie i nigdy tego nie ukrywał.

- Oboje wiemy doskonale, że Kit nie może dyktować takich warunków.

Maury zareagował szybko:

- Jeszcze nie.

- Po co mówić o pieniądzach - wtrącił Chip, który zerwał się z fotela, gdy tylko samolot się zatrzymał.

- Jeśli wciąż myślisz, że w kinie chodzi o sztukę, to czas zmienić poglądy - ostrzegł Maury.

Chip aż podskoczył z wrażenia i popatrzył Maury'emu w oczy.

- Masz rację. Rose. Masz cholerną rację. Tacy jak ty wszędzie widzą chciwość, intrygi i żądzę władzy. Ale niektórym w tym wszystkim wciąż chodzi o film. A bez nas bylibyście kupą gówna.

- To prawda - zgodził się Maury, nie urażony! w najmniejszym nawet stopniu.

Drugi pilot wyszedł z kabiny i otworzył drzwi wyjściowe. Chip rzucił się do schodków, zaledwie je podstawiono. Paula i Yvonne podążyły za nim. Maury przytrzymał Kit za łokieć.

- Ten dzieciak ma nie tylko dobre mniemanie o sobie, ale i słabe nerwy. - Zadarł głowę, aby spojrzeć Kit w oczy. Mimo iż uchodziła za osobę średniego wzrostu, była od niego znacznie wyższa.

- To prawda. - Lekko złapała go za czubek wydatnego nosa. - Więc bądź grzeczny i nie denerwuj go.
- To moja wina? - Cofnął się o parę kroków, udając oburzenie, zachichotał i skierował się do wyjścia.

Kit porozumiewawczo mrugnęła do Johna.

- Jest niemożliwy.

- Między innymi - wymamrotał Travis.

Kit nie pytała, o co mu chodzi. Znała jego zdanie na temat Maury'ego i nie miała ochoty się spierać.

Wynurzyła się z cienia samolotu na oświetloną popołudniowym słońcem przestrzeń. Odruchowo uniosła wzrok ku przystrojonym we wszystkie barwy jesieni górcom, wznoszącym swe wysokie szczyty ku niewiarygodnie błękitnemu niebu. Z rozkoszą wystawiła twarz na lekkie podmuchy wiatru. Ożywcze wysokogórskie powietrze niosące ze sobą aromat sosnowej żywicy pachniało domem.

Gdy podszedł do niej John, odwróciła głowę, przyglądając się stłoczonym na płycie lotniska samolotom - gulfstreamom, learjetom i challengerom. Skinieniem głowy wskazała wyróżniającego się w tym tłumie boeinga-727.

- Wygląda na to, że przybył już nasz miliarder. To jego samolot.

Paula przypadkowo usłyszała te słowa.

- Więc to jest prywatny samolot Lassitera?

- A co może być innego? - z lekką ironią zareplikował Chip.

Kit odniosła wrażenie, że wciąż bolały go szyderstwa Maury'ego.

- Sławni ludzie muszą być najwięksi i najlepsi we wszystkim. Mają bzika na tym punkcie.

- To jeszcze nie grzech. Chip. - Paula uśmiechnęła się wyrozumiale.

Jego twarz nabrała buntowniczego wyrazu.

- Ten człowiek jest despotycznym osłem. Myśli, że może kontrolować wszystko i wszystkich.

- Ciekawe, skąd ten pomysł przyszedł mu do głowy? - żartowała Paula. - Przecież nie chodzi chyba o tak drobne sprawy jak władza i pieniądze?

Kiedy Chip nic nie odpowiadał i w zamyśleniu patrzył w przestrzeń, Pauli nagle zrobiło się go żal i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Chip, nie warczy się na tego, kto cię karmi, nawet jeśli robi się to za jego plecami.

- Gdyby tu był, powiedziałbym mu to prosto w oczy.

- Uważaj, Chip - ostrzegł John Travis. - Nie należysz do ulubieńców Lassitera.

Chip odwrócił się. Grube szkła okularów podkreślały pełne wściekłości oczy.

- A on nie jest moim faworytem. Jesteśmy kwita.

- Niezupełnie. - Twarz Johna wyrażała spokój, lecz mówił bardzo stanowczo. - To od niego dostaliśmy pięćdziesiąt milionów na film i jego przedsiębiorstwo zajmie się rozpowszechnianiem.

- Bądź pewny, że nigdy nie pozwoli o tym nikomu zapomnieć - wymamrotał Chip.

John zaśmiał się sarkastycznie.

- Zważywszy, że urodziłeś się bez filtrów między mózgiem a ustami i musisz powiedzieć dokładnie to, co myślisz, bądź tak dobry i nie odzywaj się dziś w ogóle, gdy znajdziesz się w pobliżu Lassitera.

Chip nagle zrezygnował z buntu i zwiesił głowę jak skarcony uczeń.

- Spróbuję - powiedział. - Bóg mi świadkiem, że będę się starał. Ale ten człowiek nie odróżnia dobrego filmu od złego, że nie wspomnę już o scenariuszu.

Dwa tygodnie temu Kit słyszała, że Lassiter domaga się zmian w scenariuszu. Czy to dlatego Chip był taki niezadowolony? Wiedziała, że planował wprowadzenie poprawek i znalezienie plenerów zdjęciowych w Aspen. Czyżby jednak Lassiter oczekiwał czegoś więcej?

Do samolotu zbliżył się mężczyzna ubrany w dżinsowe spodnie i wiatrówkę. Jego opalona twarz rozjaśniła się w uśmiechu na widok Johna Trávisa.

- Witamy w Aspen, panie Travis. Miło pana znów u nas widzieć.

- Dziękuję, Dan. - Travis zrobił krok do przodu i wymienił uścisk dłoni, po czym wyjaśnił: - To Dan Somers. Dbą o moje bezpieczeństwo w Aspen. Dan i jego ludzie będą dzisiaj wieczorem odpowiedzialni za to, żeby fani i fanatycy trzymali się z daleka.

Kit wiedziała, że John Travis nigdy nie pokazuje się publicznie bez przynajmniej jednego członka ochrony u boku. Trzy lata temu został zaatakowany na premierze przez mężczyznę uzbrojonego w kij do baseballu. Wyszedł z tego z połamanymi żebrami. Jak się później okazało, szalencie chodził za Johnem od kilku miesięcy. Wypadek ten i liczne ataki rozhisteryzowanych fanów podczas różnych imprez wzmogły u niego poczucie zagrożenia.

Sława i lęk ostatnio chodzą w parze, to znak czasów, pomyślała Kit.

- Bert przyprowadził limuzynę - rzekł Dan Somers, gdy długi lincoln wjechał na betonowe przedpole hangaru. - Jak tylko sprowadzę wasze bagaże, możemy wsiadać.

- Dziękujemy.

Dan skierował się w stronę luku bagażowego.

- Myślałem, że Abe i Nolan przyjadą przywitać nas na lotnisku. - Chip zmarszczył czoło. - Chciałem omówić z nimi plan zdjęć plenerowych. Nolan dał zbyt krótkie terminy.

- Prawdopodobnie utknęli w domu.

Limuzyna zatrzymała się w pewnej odległości od samolotu. John ujął ramię Kit i poprowadził do samochodu.

- Kit, zaczekaj! - zawołał Maury.

Odwracając głowę, Kit spostrzegła Maury'ego szybko przebierającego krótkimi nogami, aby ich dogonić. Wyzwolili się z uścisku Johna.

- Zaraz będziemy - rzuciła przez ramię i przystanęła, by poczekać na Rose'a.

Niski wzrost zmuszał go do spoglądania w górę na prawie każdego rozmówcę, nie wyłączając Kit. Już dawno Maury Rose wyćwiczył taki sposób trzymania głowy, który przydawał mu drapieżności: zadzierał wielki garbaty nos do góry, jednocześnie świdrując rozmówcę spojrzeniem głęboko osadzonych oczu. To właśnie wydatny zakrzywiony nos, nowojorski akcent i skąpstwo sprawiły, że ludzie brali go za Żyda.

Przed laty przyznał się Kit, że wcale nim nie jest. Lecz wkrótce po przybyciu do Hollywood zorientował się, że aktorzy chętnie wybierali agentów pochodzenia żydowskiego, ufając, iż będą oni potrafili wynegocjować korzystniejsze warunki kontraktów. Tak więc, kierując się maksymą Phineasa Taylora Barnuma „Należy dać ludziom to, czego sobie życzą”, przestał tłumaczyć, że nie jest Żydem. Zamykał swoje biuro na święta Jom Kipur i Chanuka, przyjmował zaproszenia na *barmicwa* synów producentów, jadał jajecznicę na bekonie w domu, lecz w restauracjach zamawiał wędzonego łosia z bajgłem.

Bez wątpienia Maury Rose pasował do Hollywood.

- O co chodzi, Maury? - zapytała Kit, zaintrygowana stanowczym wyrazem jego twarzy.

- O to dzisiejsze przyjęcie. - Wziął ją pod ramię i wolno poprowadził ku limuzynie. - Chcę, żebyś trzymała się cały czas Travisa, od chwili wyjścia z domu do powrotu.

- Nie sądzisz, że będzie to dziwnie wyglądać? A jeśli poprosi do tańca inną kobietę albo będzie chciał wyjść do toalety? - wliczyła, starając się zachować spokój.

- Bądź poważna, Kit.

- Dlaczego? - Grymas pojawił się na jej twarzy. - Jesteś poważny za nas dwoje.

Nie ucieszyła jej ta propozycja.

- W porządku, będę poważna. Chcesz, żebym dzisiaj wieczorem była siostrą syjamską Johna.

- Właśnie. Reportaże z dzisiejszego przyjęcia ukażą się w „W” i w „People”. Jeśli ktoś zrobi zdjęcie Travisowi, chcę, żebyś też na nim była. Uwiesz się na nim, jeśli to będzie konieczne, tak aby potem nie mogli cię wyciąć z fotografii.

- W porządku. - Skinęła głową bez entuzjazmu, czując się coraz bardziej jak starająca się o reklamę weteranka.

- Dobrze. A teraz jeszcze jedno - kontynuował Maury. - Ta dziennikarka, Davis, zadbała o wywiady. Głównie z miejscowymi dziennikarzami. „Sukces naszej dziewczyny” i tym podobne. Zajmiemy się nimi, gdy dostaniemy listę zgłoszeń.

Kit westchnęła głęboko. Miała nadzieję, że po dzisiejszym balu odpocznie trochę od wywiadów i sesji zdjęciowych, przynajmniej na te kilka tygodni, które dzieliły ją od rozpoczęcia filmu. Reklama ruszyła miesiąc temu, gdy tylko podpisała kontrakt. Z początku ogromne zainteresowanie jej osobą bawiło ją i ekscytowało. Teraz nie odczuwała już radości. Marzyła o chwili wytchnienia, a wyglądało na to, że nie ma na nią szans.

John Travis czekał przy samochodzie, obserwując wolno zbliżającą się parę. Na widok Rose'a ogarnęła go złość. Pomyślał, że agent Kit przypomina wyglądem ropuchę. Paula Grant westchnęła cicho i spojrzała na Johna.

- Dlaczego on się tu wlecze za nami?

- Kiedy podejdziesz do niego następnym razem, weź głęboki oddech - powiedział pogardliwie. - On śmierdzi zachłannością i strachem. Kit jest dla niego przepustką do pieniędzy i lepszego życia, a on

się boi, że go w końcu wyrzuci. Mam zresztą nadzieję, że tak zrobi - dodał z satysfakcją.

- Jest jej agentem od samego początku. - Paula lekko wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że uważa temat za wyczerpany, jednak z wyrazu jej twarzy John domyślił się, że podziela jego opinię.

- Jako przyjaciółka Kit powinnaś ją przekonać, że należy go zwolnić i zatrudnić kogoś z poważnych agencji, takich jak Creative Artists czy agencja Williama Morrisa. Tam naprawdę by jej pomogli.

- Szkoda słów, Kit jest na to zbyt lojalna. - Paula popatrzyła na Johna ze smutnym uśmiechem. - Kiedyś też taka byłam. A ty?

- Nie pamiętam - odpowiedział, lekko sztywniejąc.

- Tak, dla mnie to też odległe czasy. - Odwróciła się i wsiadła do limuzyny.

Nadbiegający od strony pasa startowego Dan Somers pojawił się przy samochodzie w chwili, gdy zbliżali się do niego Kit i Maury.

- Wszystko gotowe - powiedział. - Możemy jechać?

- Tak - stwierdził John i podał Kit ramię.

Rozdział trzeci

Krowy tłoczyły się, tworząc czarną, ryczącą, bezładną masę. Bannon ściągnął lejce i przywołał Hanka Gibbsa.

- Ile krów uciekło w las? - zapytał.

Popołudniowe słońce podkreślało wyraziste rysy jego ogorzałej twarzy.

Hank zuł tytoń. Zanim odpowiedział, strzyknął przez zęby żółtą śliną.

- Wydaje mi się, że około tuzina.

Bannon skinął głową.

- Wrócimy tu jutro rano i zbierzemy je. Wracaj na swoje miejsce, Hank. Zagonimy stado do domu.

- W porządku, szefie. - Hank zawrócił swojego kasztana z białymi skarpetkami i skierował się ku odległemu ogrodzeniu.

Gdy tylko znalazł się pomiędzy stadem a płotem, Bannon dał sygnał reszcie poganiaczy. Już bez większego trudu krowy zostały sformowane w szereg i ruszyły za Hankiem.

Tym razem zwierzętom nie pozwolono tłoczyć się przy bramie. Hank zarzucił lasso na szyję przewodniczki stada i przeciągnął ją za ogrodzenie. Reszta potulnie podążyła za nią. Jadący na końcu Bannon zamknął furtkę.

Laura czekała na niego, siedząc na lśniącym srokatym koniu. Ubrana była w chłopięcą drelichową kurtkę i wygodne spodnie, a na nogach miała kowbojskie buty. Czarne włosy splotła w warkocz, który sięgał jej prawie do pasa, a słuchawki walkmana zwisały luźno na szyi.

- To była prawdziwa panika, prawda, tato? - Jej szare oczy wciąż błyszczały z emocji.

- Tak, prawdziwa panika - powiedział z uśmiechem.

Puścili się klusem, chcąc dogonić stado.

- To było niesamowite - oznajmiła Laura, przygryzając dolną wargę w nagłym przypiływie zachwytu.

- Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Buffy. Chyba padnie z wrażenia.

Gdy chichotała, Bannon obserwował jej coraz urodziwszą twarz, z przyjemnością zauważając żywe iskierki w oczach. Urodę odziedziczyła po matce. Od lat śledził podobieństwo na twarzy córki. Patrząc na nią widział w wyobraźni kobietę, która nie żyła od dziewięciu lat. Wydawało mu się, że duch jego żony - pięknej i pełnej temperamentu Diany - wciela się w postać córki, by przypominać mu o krótkim, cudownym i... nieszczęśliwym roku ich małżeństwa.

- Pie strasznie się zdenerwował, kiedy przeleciał nad nami ten samolot. Mogłam tylko go przytrzymywać i nie pozwolić mu uciec między drzewa - powiedziała Laura, poklepując konia po wygiętej szyi. - Ale posłuchał mnie, grzeczny konik.

- To dobry koń - przytaknął ojciec.

Oprócz efektownego wyglądu i biało-czarnego koloru wałach wyróżniał się spokojem i z pewnością był odpowiednim wierzchowcem dla młodej dziewczyny.

- Jest najlepszy - stwierdziła rzeczowo Laura.

Zbliżyli się do Starego Toma, tak że usłyszał ich ostatnie słowa.

- Kto jest najlepszy? - zapytał.

- Oczywiście Pie - odpowiedziała wesoło dziewczynka.

- Hm. - Przyjrzał się pokrytym pianą bokom zwierzęcia fachowym okiem koniarza. - Brak mu wytrzymałości - stwierdził. - Spójrz na konia, na którym jedzie twój ojciec; może galopować cały dzień, a wieczorem będzie tak świeży jak rano.

- Dziadku, nie mów tak.
- Co robić, taka jest prawda.

Laura zmieniła temat rozmowy, wiedząc, że nie warto spierać się z dziadkiem.

- Tato, widziałeś samolot? - zapytała, wodząc po niebie rozmarzonym wzrokiem. - Jak myślisz, kto mógł nim lecieć?

- Na pewno jakiś głupiec. Tylko głupcy mogą tak latać - odezwał się Stary Tom Bannon.

- Dziadku! - Rzuciła mu pełne żalu spojrzenie, lecz po chwili znów zaczęła błędzić wzrokiem po niebie. - Może to była Cher? Albo Melanie i Don Johnson? A może John Travis? Albo ten facet, który grał Dżokera w *Batmanie*?

- Jack Nicholson - odpowiedział ojciec, pewien, że córka była najbliższa prawdy, napomykając o Johnie Travisie.

Domyślał się również, że na pokładzie znajdowała się Kit powracająca do rodzinnej miejscowości jako partnerka Trávisa w filmie, do którego zdjęcia miały powstać w Aspen. Bannon był bardzo zadowolony, że odniosła sukces, na który od dawna zasługiwała, i otrzymała tę rolę. A jednak myśl o Kit wzbudziła w nim poczucie winy i głębokiego żalu na wspomnienie minionych lat.

- Szkoda, że nie mogę dzisiaj iść z tobą na przyjęcie - powiedziała z westchnieniem Laura. - Tak chciałabym zobaczyć z bliska sławnych aktorów.

Bannon roześmiał się, słysząc tak wielką tęsknotę w jej głosie.

- Nie przejmuj się, Lauro. Jeszcze parę lat, a spokojnie będziesz mogła ze mną chodzić.

- Co ty mówisz, tatusiu! - upomniała go. - Dziewczynki nie chodzą na randki ze swoimi ojcami.

- Masz rację, pomyliłem się.

Zaśmiał się i czułym gestem nasunął jej kapelusz na czoło. Poprawiła go patrząc na Bannona roześmianymi oczami. Była to jedna z tych szczególnych chwil pomiędzy ojcem a córką, których nigdy się nie zapomina.

Z uśmiechem zastygłym na twarzy sprawdził, jak wysoko słońce stoi na niebie.

- Jeśli nie pogonimy bydła trochę szybciej, twój dziadek i ja spóźnimy się na przyjęcie, a ty nie zdążysz na kolację do Buffy.

Przyśpieszyli, zmuszając idące powoli zwierzęta do szybszego ruchu.

- Ile krów uciekło? - zainteresował się Stary Tom.

- Około tuzina. - Bannon smagnął lassem zostającą w tyle krowę, która najwyraźniej szykowała się do ucieczki. - Myślę, że poszukamy ich jutro.

- Przecież jutro jest niedziela, tato - zaprotestowała Laura. - Nasz chór śpiewa w kościele, a ja mam wystąpić solo. Przyjdzie ciocia Sondra i w ogóle. Musicie być. Ćwiczyliśmy przez wiele tygodni.

- W takim razie nie możemy nie przyjść - powiedział Bannon, robiąc oko do ojca. - Jak myślisz, ojciec - nic się nie stanie, jeśli pójdziemy po krowy po nabożeństwie?

- Nie wiem - Stary Tom uśmiechnął się, że się poważnie zastanawia. - Mogą się do tej pory tak zawieruszyć, że nigdy ich nie znajdziemy.

Laura wyczuła, że dziadek ma ochotę się trochę podręczyć.

- Nie oszukacie mnie. Wiem, że przyjdziecie - powiedziała z pełnym przekonaniem i ponagliwszy piętami swojego srokatego konia, pogalopowała, aby zająć miejsce na flance.

Bannon odprowadził ją wzrokiem i pokręcił głową z uznaniem.

- Nasza krew.

Dziadek wymamrotał coś na potwierdzenie tych słów. Dalej jechali już w milczeniu. Przez pewien czas Stary Tom przyglądał się czarnym grzbietom zwierząt, których krępe zady unosiły się i opadały w powolnym chodzie. Niemłody już deresz wiedział, co do niego należy. Drogę znał tak dobrze jak jego właściciel. Stary Tom położył płamiste dłonie na łęku siodła i oddał się leniwym rozmyśleniom.

Wzrokiem błędził po wierzchołkach gór i błękitnym niebie. Słaby podmuch wiatru od szczytów zaszeleścił w drzewach, niosąc jakby szum odległych wodospadów. Stała mu przed oczyma żona - ukochana Beauty, jak z pełną zachwyty twarzą przygląda się urzekającym barwom gór. Zdało mu się, że słyszy jej głos: „Tylko Mozart umiałby skomponować muzykę oddającą piękno dzisiejszego dnia”.

Szeroka ścieżka wychodziła na kolejną łąkę podobną do brunatnej plamy na szmaragdowej gęstwinie sosen. Bydło rozciągnęło się w szeroką czarną linię, z poganiaczami po bokach.

Przyglądając się terenom, na których spędził całe życie - jedynym, jakie znał - i podziwiając ich żywność, rozległość, surowość i piękno, Stary Tom poczuł nagły przypływ sił. Z dumą obserwował pracę kowbojów, którzy utrzymywali stado w ciągłym ruchu.

- Niełatwo być kowbojem - powiedział, przerywając milczenie. - Mamę pieniądze za długie godziny w brudzie. Męcząca robota. Nie ma w niej nic romantycznego.

- To samo można powiedzieć o pracy na ranchu - rzekł z uśmiechem Bannon.

- Mówisz tak, jakbym tego nie wiedział - zachnął się Stary Tom. - Zajmowałem się taką pracą ponad sześćdziesiąt lat i zostało mi po niej skrzywienie w kościach głośniejsze od skrzywienia siodła, w którym siedzę.

- To prawda. - Słaby uśmiech rozjaśnił surową twarz Bannona.

- Mów, co chcesz, ale kiedy człowiek żyje w zgodzie z naturą - patrzy na zmieniające się pory roku i czuje, jak oddycha ziemia - wtedy dopiero żyje naprawdę.

Dojechawszy do potoku, zwolnili. Deresz wszedł w wodę zmaconą przez setki krowich kopyt.

- Nie ma tutaj żadnych modnych komputerów ani smrodów miasta, nie czujesz się osaczony w murach. Interesuje cię tylko pogoda, trawa, woda, bydło - i zmagania z wszystkimi wyzwaniami, jakie góry rzucają samotnemu człowiekowi. To cię utwardza i sprawia, że widzisz świat inaczej.

- Możliwe.

- Możliwe? Do diabła, tak jest naprawdę! - No dobrze, tak jest - zgodził się Bannon, ponownie się uśmiechając.

Rozejrzał się dookoła, przez chwilę zatrzymując wzrok na północnym paśmie gór. Za tym pasmem czała się zima. Któregoś dnia albo którejś nocy przyjdzie zniecka i pokryje bielą, skuje lodem i zmrozi wszystko, co żyje. Ta ziemia uczyła respektu i hartowała. A on znał ją i rozumiał. Świadomość tego napełniła go rozpierającą dumą i szczęściem.

Była to kraina kontrastów - głębokiej ciszy i wyjących wichrów, nieprawdopodobnie soczystej zieleni i oślepiąco błękitnego nieba, ale także gwałtownych burz uwalniających ostre błyskawice, które penetrowały krawędzie skał i kaniony wśród rwących strumieni deszczu. Kraina kryształowych zimowych poranków i złowieszczygo ryku lawin. Dzika i groźna kraina Gór Skalistych znacząca swym piętnem każdego, kto się z nią zetknął.

Limuzyna zatrzymała się bezszelestnie przed wielopiętrowym, otoczonym bramami domem w ekskluzywnej dzielnicy Aspen, Starwood. Położone na zboczu wznoszącej się nad miasteczkiem góry, Starwood imponowało pełnymi rozmachu budowlami z kamienia i szkła, którym przydawały lekkości malowniczo zawieszony tarasy i balkony.

- Jesteśmy na miejscu. - John Travis pomógł Kit wysiąść z samochodu.

Stała, przyglądając się budynkowi, zafascynowana harmonią między geometrycznymi liniami ścian a naturalnym pięknem otoczenia. Wskazując na dom, John powiedział:

- To moja skromna siedziba.

- Oj, na pewno nie jest skromna, Johnie - odparła z uśmiechem Kit. - Ten dom nie wie, co to skromność.

- Chyba masz rację. - John zaśmiał się, aż pogłębił mu się dołek w brodzie.

- Na pewno mam rację.

Ponownie przyjrzała się kompozycji tego architektonicznego cacka. Teren wokół zachował swój pierwotny, naturalny wygląd. Rosnące w nieregularnych odstępach krzewy nie nosiły na sobie śladów nożyc - najwyraźniej ogrodnik był najwyższej klasy fachowcem.

- Spójrz tylko. - Paula stojąca z drugiej strony limuzyny wskazywała dolinę Roaring Fork, centrum Aspen i masyw Gór Elk. - Powinieneś teraz kręcić film - zwróciła się do stojącego obok niej Chipa. - Piękne byłoby pierwsze ujęcie z tymi wszystkimi kolorami jesieni.

- Nie, to nie dałoby efektu, o jaki mi chodzi - zbył ją, nie dbając o uprzejmość. - *Białe kłamstwa* wymagają zimowej scenarii Aspen pokrytego śniegiem. Wiem już, jak będzie wyglądać pierwsze ujęcie. Staniemy w górnym odcinku trasy narciarskiej. Zbliżenie na trzy odwrócone plecami, piękne młode kobiety w obcisłych, błyszczących kombinezonach narciarskich. Zaraz potem odjazd kamery - mówił z rosnącym ożywieniem. - Nagle pojawi się jadąca na nartach Eden z goglami zasłaniającymi twarz i rozwianymi pędem włosami. Kamera będzie jej towarzyszyć w drodze na sam dół. Tam czeka już McCord. Eden zatrzyma się i odłoni twarz, zdejmując gogle. - Przerwał na chwilę. - I wtedy pokażemy piękne ośnieżone Aspen - zakończył z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

- Świetnie! - zawołała Kit. - Bardzo mi się to podoba!

Chip spojrział na nią z nagłym przerażeniem w oczach. - Nie pytałem cię jeszcze, czy potrafisz jeździć na nartach?

Kit miała ochotę podrażnić się z nim trochę i powiedzieć, że nie, ale zrezygnowała z tego, wiedząc, iż Chip jest zupełnie pozbawiony poczucia humoru.

- Nie jeździłam od lat, ale potrafię - odpowiedziała. - Chociaż jestem lepsza w biegach niż w zjazdach.

- Miałem zamiar zatrudnić kaskaderkę, ale chcę, żebyś to ty wjechała w kadr. Jeśli musiałbym montować ujęcie, zepsułoby to cały efekt.

Przyglądał się Kit, przechyliwszy głowę. Jego oczy ukryte za grubymi szklami nadawały mu sowi wygląd.

- Czy w zeszłym tygodniu podczas przymiarki Sofie pokazała ci projekt kombinezonu?

- Tak.

Sofie De Witt, projektantka kostiumów do tego filmu, była na najlepszej drodze do zostania legendą Hollywood.

- Zapomnij o tym. Wyrzuciłem ten projekt. Nie podobały mi się kolory. - Chip ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku schodów wiodących do drzwi wejściowych. - Nie chcę, żeby Eden miała na sobie czarno-żółty kombinezon. Przypominało mi to skórę jaszczurki. Eden jest zbyt wytworna, by włożyć coś takiego. Strój musi być dobrze widoczny na stoku i jedyny w swoim rodzaju. Widzę Eden w odcieniach klejnotów. Rozmawiałem z Sofie i zdecydowaliśmy, że spodnie będą ametystowe, a kurtka niebieska z odcieniem purpury.

- To brzmi wspaniale. - Kit zatrzymała się przed drzwiami z kutego brązu, w które wstawiono tafle matowego szkła.

Stojący na szczycie schodów Maury z trudem łapał oddech.

- Niezła wspinaczka. Mam dość.

Wierzchem dłoni otarł pot z czoła, uważając, by nie przesunąć przy tym peruki.

- To z powodu wysokości - wyjaśniła Kit. - Aspen leży powyżej dwóch i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. W tym miejscu będzie pewnie około trzech tysięcy.

- Powinni rozdawać tu maski tlenowe - wydyszał Maury.

- Masz rację - poparła go Paula.

Maury rozpiął kołnierzyk.

- Brak mi tchu.

John otworzył drzwi.

- Proszę, wejdźcie. Odpoczniecie w domu.

- Dzięki Bogu! - stwierdziła Paula, wchodząc do środka. U szczytu schodów zatrzymała się i chwyciła idącą przed nią Kit za ramię. - To nie rezydencja - powiedziała półgłosem. - To zimowy pałac.

Marmurowa posadzka i glazura na ścianach holu prezentowały wszystkie odcienie bieli. Ogromnych rozmiarów żyrandol zwisający z sufitu przypominał nowoczesną lodową rzeźbę wykonaną z błyszczącego srebra i kryształów. Jego oślepiający blask rozświetlał i tak już białe wnętrza.

Jeszcze wspanialsza jasność biła z pokoju znajdującego się za podwójnymi drzwiami z lewej strony holu. Zaciekawiona Kit skierowała się w tę stronę i schodząc po dwóch stopniach weszła do olbrzymiego salonu z gwiazdzistym sklepieniem. Biel ścian i mebli kontrastowała tu z głębokim brązem dębowych podłóg i zielenią liści rosnących w donicach fikusów. Kit prześlizgnęła się wzrokiem po alabastrowym kominku. Jej uwagę przyciągnęła panorama gór roztaczająca się za ogromnymi oknami.

- To musi być niesamowity widok zimą, kiedy góry pokryte są śniegiem. - Kit odwróciła się myśląc, że mówi do Pauli, tymczasem zobaczyła Johna.

- Jest niesamowity, szczególnie nocą, gdy światła Aspen migocą jak gwiazdy. - Musnął palcami jej włosy. - Ale najlepiej widać góry z apartamentu gospodarza. - Spojrzył na Kit. - Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Na pewno - przyznała bez chwili zastanowienia.

- Miałem na myśli apartament.

- Ja też - zaśmiała się Kit.

Bliskość Johna przypomniała jej natychmiast jego gorące pocałunki i wzbudzone przez nie uczucia.

- Więc co cię wstrzymuje? - Przynął się jeszcze bliżej, a jego niski ściszony głos rozbudził wyobraźnię.

- Stare blizny.

Miała już za sobą miłość - prawdziwą, pełną oddania. Lecz jej uczucie zostało odrzucone i pozostał ból, z którym nie umiała sobie poradzić. Po tym doświadczeniu stała się bardzo ostrożna. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę jej skłonność do poddawania się emocjom.

- A poza tym, Johnie - powiedziała, starając się, żeby słowa zabrzmiały lekko - jesteś znany niekoniecznie ze swej wierności.

- To prawda. - Przyglądał się jej poważnym wzrokiem. Myślę jednak, że z tobą będzie inaczej. Zupełnie inaczej.

Kit roześmiała się i szybko pocałowała go w policzek. - Cenię sobie stałość.

Zanim zdążył zareagować na pocałunek, do salonu wszedł Maury, a za nim inni.

- Ciekawy ten twój dom, Travis. - Maury wpatrywał się w dobrze zaopatrzone barek pod jedną ze ścian, nie zwracając uwagi na odcień irytacji na twarzy Johna. - Masz basen? - Podeszedł do szklanych drzwi prowadzących na wyłożony deskami taras.

John zapalił papierosa, nie odrywając wzroku od Kit zajętej oglądaniem seledynowej wazy.

- Jest tu basen kryty i otwarty, sauna, bicz wodny, sala gimnastyczna, klimatyzowana piwniczka na wino, sala bilardowa, biuro - wszystko, co chcesz.

- Co? Nie ma kręgielni? - zażartował Maury.

- Nie. - John podeszedł do Chipa. - W sali telewizyjnej jest też projektor i ekran. Codziennie będziemy mogli oglądać to, co nakręcimy.

- Świetnie. - Chipa wyraźnie ucieszyła ta wiadomość.

- Nie za dużo tych atrakcji? Nie wystarczy wam, że sam dom jest taki piękny? - Yvonne Davis przystanąła na środku pokoju, z uznaniem przyglądając się stylowym meblom. - Musisz być szczęśliwy, kiedy tu przyjeżdżasz, John.

- Tak naprawdę bywam tu bardzo rzadko. Myślałem nawet o sprzedaży...

- Dlaczego? - przerwała Kit.

- Kupiłem go pięć lat temu za półtora miliona. Dzisiaj mogę dostać cztery i pół - do pięciu.

Maury gwizdnął.

- To właśnie nazywam czystym zyskiem.

- Tak. - John wypuścił smużkę dymu.

- Przypuszczam, że wynajmiesz ten dom swojej firmie na czas zdjęć i zgarniesz za to parę dolców - głośno zastanawiał się Maury.

- Kiedy kręci się plenery, zawsze wchodzi w grę koszty zakwaterowania - uciął John.

- Ale pokoje nie zawsze są tak luksusowe - zaśmiał się Maury. - Czy chcesz wynająć coś takiego dla Kit?

John z niesmakiem zdusił papierosa. Czy ten dureń nie wiedział, że dodatkowe warunki dla swego klienta powinien zagwarantować w kontrakcie?

- Nie ma takiej potrzeby, Maury - wtrąciła Kit. - Będę mieszkać na ranchu.

John posłał jej spojrzenie świadczące, że ten pomysł zupełnie mu się nie podoba.

- Zobaczmy - powiedział, odkładając dyskusję na później, ponieważ z holu weszli do salonu Nolan Walker i Abe Zeigler. Obaj mężczyźni mieli na sobie luźne sportowe dresy.

- Usłyszeliśmy rozmowę. - Nolan lekko zbiegł po schodach. Opalony i wysportowany, zdawał się tryskać energią.

Abe szedł za nim ciężkim krokiem. Wyglądał jak przeciwieństwo Nolana.

- Już jesteście? Jak wam się leciało? - Wyciągnął tłustą dłoń do Chipa.

- Nawet nie pytaj - pierwsza odezwała się Paula. - Chip miał przez cały czas zamknięte oczy.

Chip nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Gdzie byliście? Myślałem, że wyjdziecie po nas na lotnisko.

- Poszliśmy na salę gimnastyczną pozbyć się chandry - odpowiedział Nolan. - To wydawało nam się lepsze niż sterczenie na lotnisku.

- Przepraszam - rzekła Yvonne. - John, czy mogę cię prosić, żebyś wskazał mi pokój? Albo lepiej, biorąc pod uwagę wielkość tej rezydencji, narysował mapę? Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Skoro już o tym mowa, proszę, zaprowadź mnie do mojego. - Paula poprawiła rude włosy szybkim ruchem ręki. - Chciałabym się odświeżyć.

- Pokoje! - jęknął Abe. - Czy musicie teraz o nich mówić?

- Carla was zaprowadzi. - Skinieniem głowy wskazał kobietę cicho stojącą przy drzwiach. Jej czarny strój służącej w najmniejszym stopniu nie maskował otyłości.

- Co za problem macie z pokojami? - zapytał Chip, którego zastanowiła uwaga Abe'a.
- Nie chodzi o pokoje w tym domu - wyjaśnił Nolan. - Abe nie wie, gdzie ma zakwaterować ekipę.
- Wygląda na to, że będziemy musieli umieścić ludzi w Basalt lub Glenwood Springs... jeśli będziemy mieli szczęście - mruknął Abe. - Mam nadzieję, że wiecie, jakie to pociągnie za sobą koszty przejazdów i ile pochłonie czasu.

- A nie możesz znaleźć dla nich miejsca w Aspen? - zdziwił się Chip.

- Nie. Chyba że chcecie wynająć pokoje w motelach. Ale wierzcie mi, ludzie nie będą zbyt szczęśliwi, jeśli zmuszani będą co kilka dni do zmiany pokoju.

- Czuję się jak na naradzie roboczej. Wybaczcie, ale zostawię was i dogonię Carłę - powiedziała Kit. Wychodząc posłała uśmiech Johnowi.

John miał ochotę ją zatrzymać. Ale jeszcze bardziej pragnął pójść za nią. Nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego, obserwując tylko, jak lekko wbiega za innymi po białych schodach.

Zapalił kolejnego papierosa i głęboko zaciągnął się dymem zdenerwowany odkryciem, że Kit robi na nim tak ogromne wrażenie. Nie zamierzał się angażować. Miał wystarczająco dużo problemów i stresów. Musiał przestać o niej myśleć i skoncentrować się na pracy.

Białe kłamstwa miały wielką szansę na sukces. A on Potrzebował powodzenia za wszelką cenę, jeśli chciał utrzymać swoją pozycję. Nie udały mu się dwa ostatnie filmy. Co prawda, zarobił na nich trochę pieniędzy, ale to było niczym według hollywoodzkich standardów, gdzie każdy film, który nie przynosił ponad stumilionowego wpływu, uznawano za porażkę.

Gdyby *Białe kłamstwa* nie przyniosły spodziewanego zysku, utraciłby nazwisko, które wciąż miało swą wartość, nie mógłby wybierać ról w filmach. Znow musiałby o nie walczyć. Być może nawet musiałby grać w serialach, jak przydarzyło się to Burtowi Reynoldsowi.

Z twarzą wykrzywioną grymasem strząsnął popiół z papierosa i zaczął przysłuchiwać się rozmowie Chipa, Nolana i Abe'a. Przypomniało mu się, jaki nacisk wywierał na niego Lassiter, jak wielką wagę przykładał do wszystkich spraw związanych z tym filmem - obsady, wyboru reżysera, zmian w scenariuszu, plenerów.

Patrząc na rozgwieżdżone niebo wrócił myślami do chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Kit. Spotkał ją na przyjęciu, które Lassiter wydał w swej posiadłości w Bel Air. Dobrze pamiętał, jak niechętnie się tam wybierał...

Światła lśniły we wszystkich oknach okazałej willi w stylu włoskim ukrytej za wysokim murem i żywopłotem, położonej przy jednej z charakterystycznych krętych uliczek Bel Air. Ferrari Johna okrążyło wielopoziomą fontannę przed domem i zatrzymało się na podjeździe. Wysiadając z wozu, John wręczył kluczyki mężczyźnie w białej liberii. Znad basenu, znajdującego się za domem, dobiegały dźwięki rockowej muzyki zmieszanej z odgłosami rozmów i śmiechem. Przyjrzał się balkonom, z których każdy mógłby posłużyć do odegrania sceny z *Romea i Julii*, i westchnąwszy z rezygnacją wszedł do środka.

Natychmiast pojawił się obok niego Chip. Nie czuł się dobrze na przyjęciu i chodził jak cień za Travisem, gdy ten witał się ze znajomymi. Impreza dokładnie odpowiadała wyobrażeniom Johna. Różnorodność kreacji mogła przyprawić o zawrót głowy, lecz obok sukni od Saint Laurenta zdarzały się i zupełnie niewyszukane stroje. Przez szeroko otwarte drzwi prowadzące na dziedziniec wpadało do wnętrza ciepłe wieczorne powietrze. Goście zbijali się w mniejsze i większe grupki, a dochodząca z nad basenu muzyka mieszała się z gwarem złośliwych szeptów i pozornie serdecznych pozdrowień.

Przy barze znaleźli Nolana Walkera. Cała trójka wzięła drinki i przeszła w cichy kąt ogromnego salonu.

- Lassiter musiał chyba wlać parę litrów perfum do basenu. - Nolan odegnął dłonią falę duszącego zapachu. - Boli mnie głowa od tego smrodu.

- Kiedy będziemy mogli wyjść? - wymamrotał Chip.

John również o tym myślał.

- Jeszcze nie teraz. - Zauważył Lassitera, który umiejętnie, niczym polityk, przedzierał się przez tłum zmierzając w ich stronę. - Nadchodzi nasz gospodarz.

Sześćdziesięcioletni J. D. Lassiter był wysokim, szczupłym mężczyzną o śniadej cerze. Jego krótko przystrzyżone ciemne włosy lekko tylko przyprószyła siwizna. Jako młody człowiek przejął rodzinną firmę farmaceutyczną i zmienił ją w jedną z największych w kraju. Potem zajął się ubezpieczeniami, komputerami, wydawnictwami, komunikacją, ropą naftową, nieruchomościami, aż w końcu stał się

właścicielem ponad stu firm skupionych pod szyldem Lasco Industries, w tym także Olympic Pictures. Jego przeciwnicy zarzucali mu bezwzględność, dyktatorskie zapędy, przebiegłość i egoizm; zwolennicy zaś twierdzili, że jest uczciwy, szczodry i pełen uroku. John podejrzewał, że wszystko zależało od okoliczności.

- Cieszę się, że widzę całą trójkę. - J. D. Lassiter zatrzymał się przed nimi i uśmiechnął się szeroko, lecz jego oczy pozostały chłodne. - Czy macie już obsadzoną główną rolę?

- Wciąż trwają próby - odpowiedział John. - Jeszcze nie znaleźliśmy odpowiedniej aktorki, ale na pewno znajdziemy. - Zakładał, że taka osoba istnieje nie tylko w wyobraźni Chipa.

- Mam dla was dobre wiadomości - oznajmił Lassiter.

- Mogą się nam przydać - podjął John, wznosząc toast.

- Kathleen Turner będzie wolna do kwietnia. Scenariusz bardzo jej się podoba. Będziemy mogli podpisać z nią kontrakt.

- Na jaką rolę? - zapytał Chip.

- Główną, oczywiście.

- Ona nie może zagrać Eden. - Chip potrząsnął głową na znak stanowczej odmowy. - Nie nadaje się do tej roli.

- Nie nadaje się?! - wybuchnął Lassiter. - Na miłość boską! Mówimy o Kathleen Turner!

- Nieważne, czy mówimy o Kathleen Turner czy o królowej Saby. Ona po prostu się nie nadaje - upierał się Chip. - Eden jest tajemniczą, zmysłową kobietą. Potrzebujemy do tej roli kogoś nieznanego, a nie aktorki, którą publiczność zna z wielu ról.

- Chcecie nowej twarzy? Macie Turner, a chcecie kogoś nieznanego? - dziwił się Lassiter. Zwracając się do Johna, zapytał: - Czy on wie, co to jest życie?

- Próbowałem mu wytłumaczyć.

- Więc proszę spróbować jeszcze raz. I przypomnieć mu, że to nie jest tylko jeszcze jeden z jego filmików. - Cofnął się o krok, po czym mierzając palcem w Chipa dodał: - Ma pan dwa tygodnie na znalezienie pańskiej Scarlet, a potem zatrudnię Turner. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Nie może tego zrobić - wyszeptał Chip z twarzą czerwoną z emocji. - Nie ma prawa...

- Mylisz się, Chip. Ma ich pięćdziesiąt milionów - John wypił spory łyk whisky.

Dwa lata temu nikt nie ośmieliłby się stawiać mu ultimatum ani też krytykować przy nim reżysera. Dzisiaj musiał pokornie to znosić. Ta myśl ścisnęła mu gardło, a alkohol nic na to nie pomógł.

Chip odstawił szklankę i oddalił się. John nie próbował go zatrzymać.

- Ciężki jest los filmowca - powiedział Nolan, pobrzękując kostkami lodu w szklance. Teraz już wiem, dlaczego jako dziecko nie lubiłem oglądać cyrkowych popisów na linie.

- Tak. Szczególnie bez siatki zabezpieczającej.

- No właśnie. - Nolan wypił łyk whisky. - Nie masz ochoty wyjść?

- Wpadnę w niełaskę, jeśli teraz opuszczę przyjęcie - stwierdził John. - Lassiterowi zależało na mojej obecności, więc jeszcze trochę zostanę.

Nolan zachichotał.

- Lubię twój styl, Travis. - Trącił szklankę Johna. - Naprawdę.

Uśmiechając się John pociągnął kolejny łyk. Spod szklanki zobaczył wchodzącą nieznaną. Na ramiona spadała jej grzywa miodowoblond włosów, złoty łańcuszek z perłami i kryształami górskimi zdobił szyję, a biała jedwabna bluzka i obszerne spodnie doskonale wyglądały na smukłej figurze. Przeszła przez korytarz swobodnym, żywym krokiem, stukając obcasami o błyszczącą podłogę z czarnego marmuru. Z trzymanej przez kelnera tacy wzięła kieliszek szampana i odwróciła się z wielką naturalnością i gracją. Zaczął się zastanawiać, czyją jest żoną lub kochanką. Wyglądała na typową blond piękność marzącą o zrobieniu kariery, nie posiadającą jednak talentu ani umiejętności utrzymania się w biznesie ludzi zdecydowanych na bardzo wiele. Zatrzymała się na chwilę, by pocałować w policzek młodego aktora, który po raz pierwszy dostał ważną rolę w serialu i reklamowany był jako tegoroczna gwiazda.

- ...myślisz?

John popatrzył na Nolana.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Pytałem, co myślisz o naszej potencjalnej Scarlet.

- Której?

- O tej blondynce, która przyszła przed chwilą.

- To ona jest aktorką?

John ponownie przyjrzał się Kit, tym razem szukając wystudiowanych gestów, afektowanych póz, całej gamy sposobów mających wyrazić pragnienie: „Zauważ mnie”. Tak zachowywały się wszystkie znane mu aktorki, lecz tym razem nie dostrzegł ani śladu gry. Rozglądała się po salonie, przyglądając się uczestnikom przyjęcia. John zaczął się zastanawiać, czy naturalne zachowanie Kit wynikało z braku doświadczenia czy z pewności siebie.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Kit Masters. Przeglądałem dzisiaj jej papiery. Będzie miała przesłuchanie w przyszłym tygodniu. - Nolan poruszył szklaneczką, aż zagrzecgotały kostki lodu. - Jest chyba jedyną kandydatką, która w rzeczywistości wygląda tak jak na fotografii.

- W czym grała? - Sięgnął po papierosa, lecz zaraz schował go z powrotem, w porę przypomniawszy sobie, że Lassiter zabrania palenia.

- Niewiele tego jest - wzruszył ramionami Nolan. - Reklamówki, kilka epizodów w nie najlepszych filmach, parę horrorów u Cormana i kilka pilotów, którymi nikt się nie zainteresował.

Było to i tak więcej, niż John się spodziewał.

- Od jak dawna jest aktorką? - pytał dalej, nie przestając się jej przyglądać.

Wśród gwaru usłyszał jej śmiech. Nie był to zmysłowy, wibrujący śmiech jak u większości aktorek, brzmiał serdecznie i radośnie.

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba od ośmiu lat.

- Aha.

Gdyby miała odrobinę talentu, zdążyłaby już się nim okazać. John pomyślał więc, że należy do tych, co wyobrażają sobie, że w Hollywood wystarczą blond włosy i uroda.

- Myślisz, że może zagrać Eden? - Nolan uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Z jej twarzą? - John pokręcił przecząco głową.

Twarz Kit była zbyt otwarta, łatwa do odczytania. Nie kryła w sobie żadnych tajemnic, nic z wybujałej zmysłowości, która stanowiła istotę postaci Eden.

- Zastanawiam się, czemu jeszcze do nas nie podeszła, żeby ci się przypochlebić i zaproponować coś w zamian za rolę - rzekł wyraźnie zaintrygowany Nolan.

- Sprawdźmy to - John odstawił szklanekę na lakierowany blat stolika i skierował się w stronę Kit.

Najpierw zostali zauważeni przez młodego aktora, który natychmiast wyprostował się, nieświadomie wypinając pierś do przodu, by dodać sobie powagi.

- Cześć, Mike. - Nolan wyciągnął dłoń w powitalnym geście. - Chcemy pogratulować ci sukcesu w serialu.

- Słyszałem, że jest świetny - skłamał John.

- Dziękuję. - Aktor napuszył się, z trudem ukrywając zadowolenie. - Mam nadzieję, że to będzie początek mojej kariery, tak jak *Szaleństwo w Vegas* było początkiem pańskiej - powiedział, mając na myśli serial telewizyjny, dzięki któremu John czternaście lat temu stał się gwiazdą.

- Może się tak zdarzyć - rzekł John, przyglądając się Kit.

Mike zrozumiał, że Travis pragnie ją poznać, kładąc więc rękę na ramieniu Kit, zapytał:

- Czy zna pan Kit Masters? Parę lat temu wykpiłiśmy razem w pilocie dla Paramount.

- Witam panią. - Skłonił się.

- Miło mi pana poznać, panie Travis.

Kit uniosła kieliszek szampana, zauważając, że Travis bardzo przypomina swoich ekranowych bohaterów - twardych, surowych, nieokrzęsanych, lecz pełnych tajemniczego uroku i w gruncie rzeczy wrażliwych. Zachowywał się powściągliwie, czasem z pewną dozą zarozumiałstwa, lecz krył się za tym nieodparty wdzięk. Stwierdziła, że źródłem tego wdzięku jest fascynujący układ jego twarzy, szczupłej i delikatnie rzeźbionej, z lekkim grymasem zmarszczek wokół ust.

- Od lat podziwiam pańską grę. Bardzo mi się podoba.

To była prawda, nie pochlebstwo, mimo że umiejętności aktorskie Johna nie wzbudzały szczególnego uznania w środowisku. Tak jak Jimmy Stewart, Clark Gable, Cary Grant, a w ostatnich latach Paul Newman i Clint Eastwood John umiejętnie nadawał własne cechy postaciom, które kreował. Przedstawiał ich sposób bycia, zachowanie, głos, inteligencję tak, żeby odpowiadały jego własnym cechom. Czynił to tak zręcznie, że większość ludzi twierdziła, iż nie jest to aktorstwo, tylko granie samego siebie. Kit nie zgadzała się z tą opinią.

- Dziękuję. - John odczekał chwilę, spodziewając się, że Kit pośpieszy z dalszymi komplementami.

Lecz ponieważ to nie nastąpiło, przywołał gestem Nolana.

- Nolan Walker. Prowadzi moją firmę.

- Co można też wyrazić słowami „wykonuje lwią część roboty”. - Nolan skinął głową. - Miło mi panią poznać.

- Znam pana nazwisko z czołówek, panie Walker.

- To pocieszające.

- I mnie jest miło. - W oczach Kit widać było rozbawienie i błysk inteligencji.

John zauważył, że mają one niezwykle, intensywnie niebieski kolor.

- Przepraszam, ale nie znam pani dorobku - rzekł John, dając jej szansę na kolejne błysnięcie.

- Kit gra Marilee w *Wichrach przeznaczenia* - wtrącił młody aktor.

Kit zauważyła cień lekceważenia, jaki przemknął po twarzy Johna. Tak reagowało wiele osób i przywykła już do tego. Mogło ją to bawić lub obrażać, lecz jak zwykle i tym razem rozbawiło.

- Nie spodziewałam się, że jest pan snobem.

Nolan Walker zakrzuszył się drinkiem i szybko odszedł, kaszląc i zasłaniając usta chusteczką.

- Przepraszam, widzę mojego agenta - pośpiesznie wyjaśnił Mike i również się wycofał.

Zostali sami. John zastanawiał się, czyjej słowa były jeszcze jednym elementem taktyki. Bezsprzecznie, udało jej się przyciągnąć jego uwagę. Nie potrafił się zdecydować, czy go to denerwuje, czy intryguje. Jednego był pewien, nie nudził się.

- Niezupełnie jestem snobem, panno Masters.

- Więc kim pan jest zupełnie? Zresztą to nieważne. - Zaśmiała się. - Lepiej porozmawiajmy o czymś innym. Słyszał pan, że Cubs grali dzisiaj i zwyciężyli? Cieszę się. - Wypiła łyk szampana. - Założę się, że pan kibicuje Dodgersom.

- Nie.

- Więc na pewno jest pan fanem Angelsów. Mój ojciec bardzo ich lubił. Kiedy był dzieckiem, kibicował Gene Autry'emu. - Spostrzegła, jak niewiele mu to mówi, więc szybko wyjaśniła: - Gene Autry jest właścicielem California Angels. Oj, chyba nie przepada pan za baseballlem.

- Nie. Jaką postać kreuje pani w tej mydlanej operze?

- Współczesną dziewczynę z Południa o dobrym, czułym sercu.

Umoczyła palec w szampanie i zaczęła delikatnie go oblizywać.

- Co pan myśli o zjednoczeniu Niemiec? Nie jestem przekonana, że powinni posiadać armię.

- Bardziej interesuje mnie sprawa wydawania pozwoleń na broń w Stanach. Jak długo gra pani w tym serialu?

- Prawie trzy lata. Jak pan sądzi, czy program wysiania człowieka na Marsa ma przyszłość?

Przechylił głowę w bok, a na jego twarzy pojawił się wyraz zainteresowania. - Dlaczego wydaje mi się, że nie chce pani rozmawiać o swojej roli w serialu?

- Może dlatego, że zmieniam temat za każdym razem, kiedy pan do niego wraca? - zasugerowała, pijąc kolejny łyk szampana.

- W takim razie, czemu pani to robi?

- Ponieważ ma pan złe zdanie na temat oper mydlanych, a ja uważam za swój honor ich bronić. Więc wkrótce nasza rozmowa przerodziłaby się w kłótnię, a mój agent wymusił na mnie obietnicę, że będę urocza - wyjaśniła, unikając jego wzroku.

Nareszcie. Po tak długim czasie zbliżała się do sedna sprawy. John uśmiechnął się leniwie.

- Myśli pani, że można mnie oczarować?

- Pana? - Widziała, jak próżność i fałszywa duma sprawia, że mężczyźni stają się podatni na pochlebstwa, a już aktorzy, posiadający te cechy w nadmiarze, są szczególnie łąsi na komplementy. Czowała jednak, że bardzo trudno byłoby zdobyć przychylność Trávisa pochlebstwami. W jego spojrzeniu kryła się ironia, która świadczyła o tym, że John kontroluje opinie na swój temat i na temat innych ludzi. - Wydaje mi się, że jest pan odporny na takie czary.

- Może pani spróbować.

Zaprzeciła ze śmiechem.

- Nie lubię walić głową w mur.

Dopiła szampana i przez chwilę obracała w palcach kieliszek.

- Wie pan, że w przyszłym tygodniu będę miała próbę czytania do roli Eden?

- Wiem.

Czuła, że powinien jej powiedzieć, iż traci czas i nie nadaje się do tej roli. Lecz zamiast tego zaczęła

bawić się pasmem blond włosów, które opadło jej na ramię. Jej włosy były miłe w dotyku, miękkie i jedwabiste.

- To dobrze. Musi pan jeszcze wiedzieć, że mam zamiar ją dostać - oznajmiła z całkowitym przekonaniem.

John przewędrował wzrokiem od jej złotych włosów do wąskich stóp i z powrotem w górę, w milczeniu rejestrując każdy, najmniejszy nawet szczegół. Zaskoczyły go rozsiane wokół jej nosa blade piegi i zaczął się zastanawiać, gdzie jeszcze mógłby je znaleźć.

- Jest pani piękną kobietą, Kit - szepnął, obdarzając ją jednym z najbardziej uwodzicielskich uśmiechów.

Wiedziała, na co się zanosi.

- I co z tego? - zapytała miękko.

Uniósł brwi.

- Co pani ma na myśli?

- Tego rodzaju rozmowa może nas daleko zaprowadzić. Myślę, że ma pan dużą wprawę w prowadzeniu takich konwersacji.

Nadal przyglądał się Kit natarczywie, a jej słowa zdawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia.

- A jak pani sobie wyobraża jej dalszy ciąg? - Tak jak i pan, ale oczywiście oboje wiemy, że nic nie nastąpi. Wymagałoby to od pana pewnych starań, do czego nie jest pan przyzwyczajony. Jest tyle blondynek, które przyjmą każdą propozycję, jaką złoży im John Travis. - Wręczyła mu pusty kieliszek. - Dobranoc, Johnie Travisie - powiedziała odchodząc.

Johna zamurowało na dłuższą chwilę. Potem zaczął się śmiać, po raz pierwszy od wielu miesięcy tak szczerze.

W następnym tygodniu John postanowił pojawić się w swojej firmie znajdującej się na terenie wytwórni Olympic Pictures i uczestniczyć w przesłuchaniu Kit. Nigdy nie bywał na przesłuchaniach, zostawiając to reżyserom. Przychodził dopiero na zdjęcia próbne. Jak do tej pory, zaproponowano je zaledwie kilku aktorkom.

John stał przy oknie w gabinecie Nolana, nie biorąc udziału w rozmowie Walkera, Chipa i drugiego reżysera, Ronniego Longa. Przyglądał się palmom i łagodnym dachom budynków studia, w którym powstawały dekoracje do najrozmaitszych filmów: statki kosmiczne, hotele, domy publiczne, wnętrza mieszkalne - wszystko, co tylko mogła wymyślić ludzka fantazja. Iluzoryczna rzeczywistość, na której opiera się cały przemysł filmowy. Sztuczne drzewa, budowle na niby i udawane emocje.

Stojący tuż za Johnem drugi reżyser zapytał:

- Co sądzicie o Ann Fletcher? Do tej pory była chyba najlepsza.

- Jest za mało subtelna - powiedział Chip, odsuwając krzesło i podchodząc do biurka Nolana. - Eden musi być znacznie bardziej wrażliwa.

Nolan rozsiadł się wygodnie w wyściełanym skórą fotelu i splótł dłonie z tyłu głowy. Wzdychając ciężko, utkwiał wzrok w suficie.

- Zdaje się, że trzeba będzie pomyśleć o Kathleen Turner.

Dzwonek telefonu powstrzymał gwałtowny protest Chipa. Nolan podniósł słuchawkę.

- Panna Kit Masters przyszła na przesłuchanie - powiadomiła go sekretarka.

Nolan zaczął przekładać papiery na biurku. Znalazłszy teczkę Kit, powiedział:

- Proszę ją tu przysłać.

John podszedł do biurka i oparł się o nie kolanem, wpatrując się w drzwi, w których po chwili stanęła Kit. Zauważył, że była ubrana z wielką prostotą. Miała na sobie białą suknię sukienkę z luźno tkanego materiału przewiązaną szerokim pasem w lamparcie cętki. Wraz z jej pojawieniem się w pokoju zapanowało ożywienie. John zapalił papierosa, obserwując, jak Kit wita się z reżyserami. Zwróciła się do niego i powiedziała, spoglądając na papierosa:

- Palenie zabija.

- Gdzieś już to słyszałem, ale wcale się tym nie przejmuję.

- A więc już po panu. - W jej wesołym spojrzeniu pojawił się cień żalu.

- Nie słyszała pani, że dobrzy ludzie umierają młodo? - Rozbawiony uniósł brwi.

Jej szczerzy śmiech nappełnił pokój.

- No to miejmy nadzieję, że jest pan bardzo zły.

- Zepsuty do szpaku kości - zgodził się.

Zrobiło mu się przykro, że Kit nie nadaje się do roli Eden. Pomyślał, że przyjemnie byłoby móc żartować z nią nie tylko na planie.

Chip podał Kit parę spiętych zszywaczem stron scenopisu.

- Chodzi nam o scenę w sypialni. Jeśli chciałaby pani się przygotować...

Kit zerknęła na pierwszą stronę tekstu i potrząsnęła głową.

- Znam już scenariusz.

Czuła lekkie ściskanie w żołądku, lecz wiedziała, że nerwy mobilizują ją do pokazania pełnej skali umiejętności.

- Będę czytał z panią - zaproponował Chip, spoglądając pytająco na Johna. - Chyba że ty masz na to ochotę.

John miał zamiar tylko się przysłuchiwać. Próbom towarzyszyło zwykle tak duże napięcie, że świadomość grania ze znanym aktorem mogła niepotrzebnie onieśmielać. Znał jednak dobrze tę scenę i poczuł wielką ochotę zagrania jej z Kit Master...

- Czemu nie? - Zdusił papierosa w popielniczce stojącej na biurku Nolana, wstał i sięgnął po scenopis. - Czy ma pani coś przeciwko temu?

Z tonu jego głosu Kit wywnioskowała, że John nie spodziewa się po niej dobrej gry. Pomyślała jednak, że to nie szkodzi. Lubiła trudne zadania.

- Nie.

- Czy mam czytać wprowadzenie do sceny?

- Dziękuję, nie. - Zacerpnęła powietrza i spojrzała do scenopisu. Scena nie należała do łatwych. Miała w sobie ogromny ładunek emocjonalny - od niechęci, przez dumę, gniew aż po żar namiętności. Wymagała umiejętnego przechodzenia z jednego nastroju do drugiego. Kit koncentrowała się przez chwilę.

John obserwował ją uważnie. Wyglądała bardziej na szczerą, nieco naiwną dziewczynę niż tajemniczą zmysłową kobietę, jaką była Eden. Raptem Kit spojrzała na niego z dumnie uniesioną głową. W jej niebieskich oczach dostrzegł wyniosłość. Zaskoczyło go to całkowicie.

- Nie przypominam sobie, że bym zapraszała pana do swojej sypialni. - Lekko uniesione brwi podkreślały ton wyrzutu w jej głosie.

- Musiałem źle zrozumieć? - John wygłosił tę kwestię nie spoglądając do scenopisu.

- Za wiele pan sobie wyobraża, McCord. - Odwróciła się do niego tyłem, dając do zrozumienia, że powinien opuścić pokój.

- Niech pani przestanie odgrywać rolę rozpaczającej wdowy, Eden. To zupełnie do pani nie pasuje.

Zesztywniała na dźwięk tych słów, po czym powoli odwróciła się ku niemu.

- Tak? A co w takim razie do mnie pasuje? Może pan? - wyszczała przez zęby, a w jej oczach, głosie, całej postaci pojawiła się nagle gwałtowna namiętność. - I to właśnie dlatego przyszedł pan do mojego pokoju? Żeby skończyć to, co zaczęło się w górach?

Zbliżając się do niego, odrzuciła głowę do tyłu, ukazując smukłą szyję, a jej pełne usta rozchyliły się kusząco.

- Czy chce mnie pan pocałować, McCord? - szydziła, kładąc mu ręce na piersiach. Jej dłonie przeslizgnęły się po jego koszuli. - Kochać się ze mną?

Chwycił ją za nadgarstki i odepchnął od siebie.

- Kim pani naprawdę jest?

Jej przemiana w Eden była tak całkowita, że poczuł prawdziwy gniew i oszołomienie, a słowa same cisnęły mu się na usta.

Zaśmiała się głucho i odsunęła od niego.

- Nie słyszał pan? Jestem morderczynią.

- To prawda?

Nowe uczucie przemknęło po jej twarzy. Ból? Gorycz? Lęk? Zniknęło, nim zdołał je nazwać.

- Przecież płacę panu za to, żeby pan się dowiedział - wyszeptwała.

- Chcę to wiedzieć od pani.

- Nie, chce pan tylko, żebym ułatwiła panu zadanie - odpowiedziała, wyzywająco potrząsając głową.

- A więc dobrze. Ja to zrobiłam. Zabiłam męża. Wysłałam za niego dla pieniędzy i zabiłam go, żeby mieć Je tylko dla siebie.

Jej głos brzmiał matowo, a jednak czaiła się w nim dość.

- Jest pan zadowolony?

- Nie.
- Szkoda, bo to wszystko, co może pan usłyszeć. - To mi nie wystarcza.
- To niech pan idzie do diabła! - wybuchnęła.

Uśmiechnął się.

- Panie mają pierwszeństwo.

Chciała go uderzyć, lecz chwycił w przegubie jej rękę i z bliska zajął w twarz. Wyrażała gniew, a jednak w oczach czaiła się bezbronność. Napięcie tej sceny sprawiło, że John miał ochotę chwycić Kit w ramiona i całować.

- Wystarczy. Dziękujemy. - Głos Chipa przerwał scenę, nim John zdążył zrealizować swój zamiar. Z żalem puścił dłoń Kit, wciąż czując podniecenie.

Odetchnęła głęboko. Z Eden stawała się na powrót Kit Masters. Nie zauważyła, jak John Travis i Nolan Walker wymienili spojrzenia, a John ledwie dostrzegalnie skinął głową w odpowiedzi na pytający wzrok Nolana. Oddała Chipowi scenariusz, czując, że wypadła dobrze, a nawet bardzo dobrze.

- Dziękuję. To wspaniała rola. Naprawdę. - Posłała Chipowi uśmiech. Chip przytaknął, obserwując Kit w milczeniu. Walker wynurzył się zza biurka.

- Świetnie pani poszło.
- Dziękuję.
- Czy będzie mogła pani przyjść na zdjęcia próbne?
- Oczywiście. Będę czekała na wiadomość.

Wciąż jeszcze drżała z emocji, nie mogła się uspokoić. Chciała jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu, wystawić twarz na słońce i upajać się poczuciem bliskiego zwycięstwa.

Powoli wracała do rzeczywistości opuszczając gabinet. Uśmiechnęła się do sekretarki Nolana Walkera i po schodach zeszła na parter. Przed przesłuchaniem nie przyznawała się przed sobą, jak bardzo zależy jej na tej roli, jak wiele może dzięki niej zyskać. Teraz wmawiała sobie, że otrzymanie roli jest zaledwie nieco bardziej realne. Nie chciała cieszyć się przedwcześnie. Westchnęła głęboko. Czuła bolesną suchość w gardle i mocne bicie serca. Kierując się w stronę wyjścia, nie zauważyła, kiedy dogonił ją Travis.

- Chciałbym z panią porozmawiać. Czy możemy sobie mówić po imieniu? - Otworzył przed nią drzwi.

- Oczywiście.

Wyszła na zalaną słońcem przestrzeń. W powietrzu unosił się zapach pnącej się po murze bugenwilli. Odrzuciła włosy do tyłu, raz jeszcze wzdychając, tym razem z ulgą.

- Boże, jak się cieszę, że mam już to za sobą. Całkiem zaschło mi w gardle.
- Wejdzmy gdzieś na kawę.

Skierował się w stronę najbliższego baru. Coraz bardziej intrygowała go ta jasnowłosa aktorka w niczym nie przypominająca miotanej namiętnością kobiety, którą tak przekonywająco zagrała przed chwilą.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy wypili kawę gdzie indziej? Nie mogę się uspokoić. Muszę się przejść.

- W porządku.
- Może weźmiemy mój samochód?

Wyjęła kluczyki z torebki i okrążywszy kwiatnik stanęła obok starego modelu białego kabrioletu MG Midget z czerwonymi siedzeniami. John pomyślał, że pasuje do niej ten lekki wozik.

- Usiadła za kierownicą. John miał kłopoty ze znalezieniem miejsca na nogi w małym samochodzie.
- Nie będzie ci za ciasno?
- Jeśli obetnę nogi na wysokości kolan, to nie.

W oczach Kit pojawiły się wesołe iskierki.

- Masz poczucie humoru. To dobrze. - Uśmiechnęła się, wkładając kluczyki do stacyjki. - Możesz trochę przesunąć się do tyłu. Uchwyt jest pod siedzeniem.

- Znalazłem. - Przesunął fotel, zyskując kilkanaście centymetrów przestrzeni dla nóg.

Rozrusznik zazgrzytał i ożywił silnik. John przesunął się w swoim fotelu, wystawiając rękę za okno. Nie odzywał się, dopóki nie wyjechali poza zabudowania wytwórni.

- Dlaczego grasz w serialu? - Jego zdaniem niepotrzebnie marnowała talent, którego, jak się okazało, posiadała więcej, niż się spodziewał.

- To proste. - Uśmiechnęła się, z przyjemnością poddając twarz podmuchom wiatru, który rozwiewał jej włosy, gdy mały MG mknął ulicami. - Serial jest zupełnie przyzwoity, a ja mam stałą pracę. Przynajmniej do tej pory miałam. W tym tygodniu okazało się, że moja bohaterka znika z serialu. A to znaczy, że znów znajdę się na bruku i będę czekać na telefony od agenta. - Zauważyła charakterystyczne żółte łuki McDonalda na jednym z domów.

- Lubisz frytki?

- Tak. A dlaczego pytasz?

- Bo ja je uwielbiam, a najlepsze są u McDonalda. Nigdy nie jadam nic przed przesłuchaniem i później robię się strasznie głodna. - Zatrzymała samochód i wybiegła, by kupić frytki i dwie kawy. Po chwili wróciła z torebką. Wciągnęła w nozdrza aromat kawy.

- Ślinka mi cieknie - powiedziała.

John starał się sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był u McDonalda. Położył torebkę za fotelem. Samochód znów wyjechał na ulicę.

- Kto jest twoim agentem?

- Maury Rose. - Odgarnęła pasmo włosów, które podmuch wiatru zwał jej na twarz.

- Maury Rose - powtórzył John. To nazwisko nic mu nie mówiło. - Z jakiej agencji?

- Z agencji Maury'ego Rose'a. - Spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Jednoosobowa firma? - Zdumiony uniósł brwi.

- Joanna czułaby się urażona - powiedziała Kit. - Jest jego sekretarką i prawą ręką. Być może także lewą - dodała.

- Znam wiele osób z agencji Williama Morrisa i Creative Artists. Zaproteguję cię - rzekł, gdy Kit wjeżdżała w jedną z krętych dróg wznoszących się spiralnie na Hollywood Hills. - Twój agent jest nikim. Czas, żeby zajęła się tobą poważna agencja.

- Dziękuję, ale będę się trzymać Maury'ego. Jest moim agentem od początku kariery.

- Niedaleko z nim zaszłaś przez osiem lat.

- Może i niedaleko. Ale to on pomógł mi zaistnieć w Hollywood. Chcę, żeby dalej był moim agentem.

- To są interesy, Kit. Nie ma tu miejsca na sentymenty - próbował ją przekonać.

- Jak mówił Kennedy: *Jeśli nie tutaj, to gdzie?*

- Piękne, ale mało życiowe.

- A ty jesteś zapamiętałym realistą? - zgadywała.

- Trafiłaś.

Wjeżdżali coraz wyżej, zostawiając za sobą gwar ulic.

- Jakie były początki twojej kariery? - spytała z zainteresowaniem.

- Tak jakoś wyszło. Powiedziałem kiedyś, że aktorstwo to łatwy zawód, i moja dziewczyna zmusiła mnie do wzięcia udziału w próbach do sztuki w miejscowym teatrze.

- Łatwy? - Zaśmiała się Kit. - Ile razy musiałeś cofać te słowa?

- Oj, zbyt wiele razy.

- Domyślam się. - Jechali coraz wolniej, aż w końcu Kit zatrzymała samochód. - Jesteśmy na miejscu.

Zaskoczyła go panująca wokół cisza. Zdziwiony, rozglądał się po okolicy. Znajdowali się wysoko na Hollywood Hills, a w dole leżało rozległe Los Angeles, zasnuwane warstwą mgły, która nadawała słońcu wygląd kuli.

- Nie zapomnij wziąć torebki - powiedziała Kit, wychodząc z samochodu i zamykając drzwi z trzaskiem.

John wydostał się z kabrioletu, przeskakując ponad zamkniętymi drzwiami. Sięgnął po torebkę z frytkami i kawą. Odwrócił się i z upodobaniem przyjrzał się stojącej obok Kit. Trzymała ręce w kieszeniach białej sukienki, której brzegi falowały chłostane wiatrem. Spojrzała na Johna przez ramię. Na tle słonecznego nieba i miasta w oddali prezentowała się nieprawdopodobnie wręcz kusząco.

- O, dobrze, że pamiętałeś o torebce - rzekła Kit, przechodząc na drugą stronę drogi.

- Jak śmiałym zapomnieć - odpowiedział idąc za nią. Zatrzymał się nagle i przyjrzał się rzędomi wielkich liter układających się w napis HOLLYWOOD. Jego zdumienie było tak wielkie, że miał ochotę się roześmiać. Widział te litery tysiące razy. Z większej odległości wydawały się nieskazitelnie białe. Teraz, z bliska dostrzegł, że są brudne i upstrzone graffiti.

- Jedna wielka tandeta - stwierdziła Kit z figlarnym uśmieszkiem. - Taki jest cały Hollywood. To

jeszcze jeden jego symbol.

- Masz rację.

Obeszli kilka malowniczo rozrzuconych skałek i znaleźli się u podnóża piętnastometrowej litery „L”.

- Hollywood to nie miejsce. To stan ducha - rzekła Kit.

Wzięła od Johna torebkę i wyjęła z niej jeden z pojemników z kawą. Starła kurz z podstawy litery i usiadła, wyprostowując długie nogi. Rąbek sukni lekko dotykał ziemi.

- Jestem tutaj po raz pierwszy - wyznał John, otwierając kubek z kawą.

- Droga jest bardzo często zamknięta. Pewnie dlatego, żeby dzieciaki nie urządzały sobie tu imprez.

Wypiła łyk kawy, po czym stwierdziła:

- Taka sama jak w wytwórni, gorzka i czarna. - Postawiła kubek na występie skalnym i otworzyła torebeczkę z solą. - Ale lubię ten napój.

- Często tu przychodzisz? - spytał John.

- Kiedy tylko stęsknię się za górami, a nie mam czasu albo pieniędzy, czy też obu tych rzeczy naraz, by pojechać do Big Bear. W niektóre dni doskonale stąd widać centrum Los Angeles. - Jeszcze przez chwilę podziwiała krajobraz.

- Czemu tak tęsknisz do gór?

- Pochodzę z Kolorado. Wychowałam się na ranchu niedaleko Aspen.

- Tak? Mam tam dom.

- Pewnie w Starwood - powiedziała Kit, nie mogąc sobie wyobrazić Johna jako właściciela którejś z wiktoriańskich rezydencji w West End. Mimo arystokratycznej delikatności rysów jego twarz zdradzała brak poetyckiego usposobienia - była zbyt surowa. Bogate, przeładowane wnętrza w stylu wiktoriańskim na pewno nie podobałyby się Johnowi. Pasował do niego nowoczesny dom o śmiałej, prostej konstrukcji - właśnie taki jak eleganckie domy w Starwood.

- A jakże - potwierdził John z uśmiechem.

Lubiła, kiedy śmiał się w ten sposób - lekko i niewymuszenie. Nie zdarzało mu się to często. Zazwyczaj starał się kontrolować swoje emocje. Tym razem jednak był wyraźnie rozluźniony. Słońce lśniło na jego włosach zmierzwionych po przejażdżce kabrioletem. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały dobrze zarysowane, twarde mięśnie opalonych ramion.

- Poczęstuj się frytkami - zaproponowała.

- Nie, dziękuję.

Zapalił papierosa i obserwował jedzącą frytki Kit poprzez obłoczek dymu.

- Pyszne! - stwierdziła Kit, rozkoszując się smakiem frytek.

John zdziwił się, że tyle przyjemności potrafi odnaleźć w tak prostej czynności. Przerwała na chwilę jedzenie, by wolno zlizać kryształki soli z palców.

- Bardzo lubię ciszę, jaka tu panuje. Absolutny spokój. Słysząc tylko szelest wiatru w zaroślach i szczekanie kojotów. Zawsze myślę tutaj o domu.

- Kiedy ostatni raz tam byłaś?

- Sześć miesięcy temu - odpowiedziała zmienionym nagle głosem. - Na pogrzebie ojca.

- Serdecznie ci współczuję. - Ze zdziwieniem stwierdził, że powiedział prawdę. A przecież tak krótko znał Kit.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się lekko. - Myślę, że polubiłbyś mojego ojca. Wszyscy go lubili. Śmiał się tak ciepło i serdecznie. Umiał cieszyć się życiem i nigdy się nie załamywał. Był wspaniałym człowiekiem. - Jej głos zadrżał wzruszeniem.

- A twoja matka żyje? - zapytał John, wpatrując się w kubek.

Przytaknęła.

- Mieszka w Los Angeles.

Co prawda jej matka, cierpiąca na stwardnienie rozsiane, przebywała w szpitalu, lecz Kit nie powiedziała o tym Johnowi. Była to jej prywatna sprawa i jej kłopoty.

- Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałam szesnaście lat.

- I wtedy tutaj przyjechałaś?

- Nie. Zostałam z ojcem. Przyjechałam tu dopiero po studiach. A teraz ty mi powiedz, czy tęskniłeś za domem, kiedy znalazłeś się w Hollywood?

Wypuścił smużkę dymu.

- Za którym domem?

- Racja. Byłeś przecież dzieckiem wojskowego - przypomniła sobie Kit. - Czytałam o tym w jakimś czasopiśmie.

- Mój ojciec był zawodowym *marine*. Mniej więcej co dwa lata przenosiliśmy się do nowej bazy. - W przeciwieństwie do Kit nie miał miłych wspomnień z dzieciństwa. Nienawidził wszystkiego, co wiązało się z wojskiem. Ciągłe musiał się starać, by go zaakceptowano w nowej szkole; musiał walczyć z surową dyscypliną ojca i jego ambicją, by John był najlepszy w każdej dziedzinie.

- A twoi rodzice żyją? - spytała.

- Tak. Ojciec po trzydziestu latach w *marines* przeszedł na emeryturę, ale został doradcą wojskowym. Matka narzeka, że wciąż ciąga ją po całym kraju.

- Rodzice muszą być z ciebie dumni.

- Skądże! Ojciec uważa, że aktorstwo nie jest zawodem dla prawdziwego mężczyzny. Zawsze chciał, żebym poszedł w jego ślady i wstąpił do *marines*. Jak widać, jestem czarną owcą w rodzinie.

- Na pewno nie czarną owcą. Najwyżej złotym baranem - zaprzeczyła Kit.

Zaśmiała się serdecznie.

- Traktuję to jako komplement.

- Chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Czy na pewno nie chcesz frytek? Za chwilę ich nie będzie.

- Nie chcę ci zabierać - zażartował.

- Uwielbiam jedzenie - wyznała. - Każdy rodzaj jedzenia: frytki, hot dogi na meczu baseballowym, soczyste steki, jabłka w karmelu - szczególnie w tym najbardziej słodkim i ciągliwym, kawior - najlepiej z jesiotra.

Uniósł brwi.

- A nie z białugi?

- Też jest smaczny, ale nie „strzela” w czasie jedzenia tak jak ikra jesiotra.

- Patrząc, jak łączywie zjadasz ostatnie frytki, nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś amatorką kawioru. - Sam nie wiedział, dlaczego się tego nie spodziewał. Ciągłe go czymś zaskakiwała.

Roześmiała się. Schowała pudełko po frytkach do papierowej torebki i strzepnęła okruszki z sukienki.

- Powiedziałeś, że chcesz ze mną porozmawiać, a tymczasem to ja gadam przez cały czas. To mi się zdarza, kiedy jestem zdenerwowana.

- Rozumiem. - Był zachwycony, że dowiedział się o niej tak wielu rzeczy, lecz pragnął poznać ją jeszcze lepiej,

- Więc o czym chcesz porozmawiać? - spytała.

- O dzisiejszym przesłuchaniu. - Rzucił papierosa na ziemię i zdusił obcasem.

Cheąc przerwać milczenie, które zapadło po tych słowach, Kit powiedziała:

- Wiem, że dobrze mi poszło.

Znów poczuła ściskanie w żołądku. Starła się opanować, ale nie bardzo jej się to udawało.

- Poszło ci znakomicie. Chcemy cię zaprosić na zdjęcia próbne. Jeśli wypadniesz tak dobrze jak dzisiaj, ta rola jest twoja.

Kit chciała przyjąć tę wiadomość ze spokojem, lecz nie mogła powstrzymać radości. Musiała się nią podzielić. Śmiejąc się, zarzuciła Johnowi ramiona na szyję i mocno go uściskała.

Otoczył ją ramionami, odwzajemniając uśmiech. Czuł ciepło jej oddechu i rozkoszował się podniecającym zapachem skóry.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mi na tym zależy - wyznała szczerze, gwałtownie. - To wspaniała rola! Eden ma niezwykłą osobowość. - Spojrzała w niebo, wciąż obejmując ramionami szyję Johna. - Nie mogę uwierzyć swojemu szczęściu. Całe życie czekałam na taką szansę.

- Jeszcze nie dostałaś tej roli - przypomniał jej John. - Czekają cię zdjęcia próbne.

- Wiem. Ale nie stracę szansy - stwierdziła stanowczo.

Spostrzegł wesołe iskierki w jej oczach. Jednakże była w nich też trudna do określenia powaga, która fascynowała go tak samo jak jej śmiech. Wszystko było w niej fascynujące.

- Wierzę w to. - Spojrzał na usta Kit. Wróciły emocje, które przeżywał w czasie próby. Tym razem na szczęście nie było w pobliżu Chipa, który mógł mu przeszkodzić.

- Cieszę się.

Kiedy zbliżył twarz do jej twarzy, złączyli na chwilę usta w ciepłym pocałunku, lecz wkrótce poczuł, że Kit ma ochotę się wycofać. Przytrzymał ją mocno, wsuwając dłoń we włosy, aby nie mogła odchylić głowy. Nie chodziło mu przecież o krótki pocałunek wdzięczności. Delikatnymi muśnięciami

warg starał się odegnać wątpliwości, aż poczuł, że jej usta poddają się i śmieiej zaczął badać ich miękkość, chcąc odnaleźć emocje, których wymagała filmowa scena, a które tak naturalnie wyzwoliła w nim Kit.

Zaskoczony Kit nie starczyło czasu, by przygotować się na pocałunek, nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Jego wargi były ruchliwe i ciepłe. Całował z wprawą mężczyzny, który wie, jak dawać przyjemność i jak się nią delektować - zaczynał od delikatnych pieszczot, by po chwili gwałtownie wpić się w usta; najpierw myślał o sprawieniu jak największej radości kobiecie, by potem, leniwiej, samemu oczekiwać miłych doznań.

Kit z rozkoszą odwzajemniała pocałunki, gdy wtem gdzieś w zakamarkach mózgu zakiełkowała myśl, że pocałunek Eden i McCorda powinien być gwałtownym i pełnym bólu wybuchem pożądania i nie ma w nim miejsca na rodzące się w niej teraz poczucie bliskości, czułość i ciepło.

Chętnie dałaby się ponieść fali najtkliwszych uczuć, lecz wiedziała, że byłoby to zbyt wczesne i nagłe, i że jest jeszcze na to zbyt bezbronna.

Całą siłą woli zmusiła się do przzerwania tej chwili. Przesunęła dłonie na tors Johna i pochyliła głowę. Dopiero po pewnym czasie wrócił jej oddech i otworzyła oczy.

- Zasłużyłeś na swoją reputację. - Uśmiech, którym go obdarzyła, złagodził to oskarżenie.

- Jaką reputację? - Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Nie spodziewał się, że ta kobieta zrobi na nim tak ogromne wrażenie. Liczył na ekscytujące przeżycia, lecz nie sądził, że tak gwałtownie jej zapagnie. Nie tak to sobie wyobrażał. Nie był nawet pewien, czy tego naprawdę chce. Wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok.

- Uwodziciela, oczywiście.

No tak. Uchodził za kobieciarza. Miał za sobą jedno nieudane małżeństwo i kilkanaście przelotnych związków, a od pewnego czasu zaczynała się zacierać granica między jego życiem prywatnym a publicznym. Nie pamiętał, ile właściwie miał kobiet. Większość z nich nie oczekiwała od niego niczego i chciała jedynie móc pochwalić się nocą spędzoną ze słynnym gwiazdorem. Nigdy nie potrafił tego zrozumieć.

Nie miał jednak teraz ochoty rozmawiać na ten temat.

- Nawet nie wiesz, ile rzekomych związków miałem z kobietami, z którymi tak naprawdę zamieniłem może ze dwa zdania. Że nie wspomnę tych, których nigdy nie spotkałem.

- Wyobrażam sobie - powiedziała z uśmiechem. - Ale od sławnych aktorów wymaga się skandali. Dzięki temu setki dziennikarzy mają zajęcia.

- Pewnie masz rację.

- Skoro mówimy o pracy, to powinnam cię już chyba odwiedzić do wytwórni.

Spojrzał na zegarek. Było później, niż się spodziewał.

- Podwieź mnie do „Beverly Wilshire”. Za godzinę jestem tam umówiony na tenisa, a chciałbym się jeszcze przebrać.

- Mieszkasz w hotelu? - Kit popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Wynajmuję tam apartament.

Zaczęli iść w stronę samochodu.

- Nie masz domu w Beverly Hills?

Wydawało się jej, że dom powinien być jedną z pierwszych rzeczy, którą należało sobie sprawić, skoro nie miało się go w dzieciństwie. Ona zawsze chciała mieć własny dom, rodzinę, dzieci - kiedyś w przyszłości. W wieku trzydziestu dwóch lat pozostało jej już mało czasu na to „kiedyś”.

- Niepotrzebny mi taki dom. - Wsiadł do samochodu. W „Wilshire” jest dużo miejsca, nikt mi tam nie przeszkadza, do dyspozycji mam służbę, ochronę i wszystkie inne hotelowe usługi.

- To prawda. - Trudno jej jednak było uznać hotel za dom.

- Doprowadza to fotoreporterów do szału.

- Wyobrażam sobie. - Przekręciła kluczyk w stacyjce. Słyszałam, że twoje zdjęcie jest warte trzydzieści tysięcy.

- Zależy, kto jest ze mną na zdjęciu i ile mamy na sobie ubrań - rzekł John, a Kit odpowiedziała mu wybuchem śmiechu.

Droga powrotna wydała się Johnowi stanowczo zbyt krótka. Kiedy znaleźli się przed hotelem, wciąż nie miał ochoty na rozstanie.

- Chciałbym zjeść z tobą kolację - powiedział wychodząc z samochodu i opierając ręce o drzwi.

- Przykro mi. - Uśmiechnęła się przeprasząco. - Mam już plany na dzisiejszy wieczór.

- Możesz je zmienić.
Potrząsnęła głową, aż jasne włosy rozsypały się jej na ramionach.
- Nie mam tego w zwyczaju.
Rozdrażniony odmową spróbował zaatakować.
- Myślałem, że ci zależy na roli.
Natychmiast zorientował się, że popełnił błąd.
Zmierzyła go chłodnym, wyniosłym spojrzeniem.
- Chcę dostać tę rolę. Postaram się wypaść jak najlepiej w czasie zdjęć próbnych. Ale to wszystko. -
Sięgnęła do przekładni biegów.
- Nie obrażaj się. To tylko żart. Może kiepski, ale...
- Bardzo kiepski. - Wrzuciła bieg, wciąż jednak trzymając nogę na sprzęgle. Przyjrzała się uważnie Johnowi. - Wiem, że wcale nie żartowałeś. Gdybym myślała tak jak ty, skorzystałbyś z okazji.
Zdobył się na szczerość.
- To możliwe. Przepraszam, bardzo mi przykro.
- Chyba dlatego, że ci się nie udało? - Westchnęła. - Naprawdę nie wiem, dlaczego cię lubię. Czasami potrafisz być bardzo niemiły, chociaż tak naprawdę jesteś chyba inny. - Samochód ruszył powoli. - Zawiadomcie mojego agenta o terminie zdjęć próbnych - przypomniała i mocniej nacisnęła pedał gazu.

Zdjęcia próbne wypadły bardzo dobrze. W następnym tygodniu pokazali je Lassiterowi. John siedział wygodnie rozparty w fotelu, z nieodłącznym papierosem przyklejonym do wargi. Nolan Walker zajął miejsce za nim. Lassiter usiadł pod samym ekranem.

John wiedział, że powinien obserwować reakcje Lassitera, lecz nie mógł oderwać wzroku od postaci, którą odtwarzała Kit na ekranie. Makijaż zasłonił piegi i wydobył głęboki błękit jej oczu. Jasne włosy lśniły, atlasowy peniuar w kolorze lawendy podkreślał zgrabną figurę. Nie było wątpliwości - doskonale nadawała się do roli Eden.

Nolan pochylił się, by szepnąć Johnowi do ucha:

- Kamera ją lubi.

John przytaknął. Kit emanowała wewnętrzną siłą, tworzyła atmosferę, która fascynowała.

Obserwował akcję na ekranie. Była to ta sama scena co na próbie czytanej. Pełna napięcia, naładowana zmysłowością.

Ta scena wymagała od niego brutalności i tak też ją zagrał. Patrzył teraz, jak na ekranie Kit zaciska ręce, próbując go uderzyć, podrapać, po czym - pamiętał ten moment kapitulacji - omdlewa w jego ramionach, a to odczucie napełnia go czułością, przygotowując do drżenia.

Na ekranie zamigotały puste klatki..

- Dziękuję - zawołał Nolan do operatora w kabinie. - To wszystko.

Rozbłysły światła. John sięgnął po papierosa, zauważając, że wypalił się aż po filtr.

- Niezła - powiedział Lassiter, wpatrując się w pusty ekran.

- „Niezła” to za mało - stwierdził John. - To jest nasza Eden.

Lassiter odwrócił się.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Kit Masters. - Zapalił papierosa, nie zwracając uwagi na karcący wzrok Lassitera. Musiał teraz zaciągnąć się dymem.

- Nigdy o niej nie słyszałem. Grała już w czymś?

- Od trzech lat gra w operze mydlanej - oznajmił Nolan.

Lassiter zastanowił się chwilę.

- Wielu najlepszych aktorów tak rozpoczynało karierę. Jaką ma tam rolę?

- Niewielką - przyznał Nolan z lekceważącym grymasem na twarzy. - Gra drugoplanową postać.

- To niedobrze - Lassiter wstał, dając tym samym sygnał do zakończenia dyskusji.

Travis zerwał się z fotela.

- Jest znakomita w tej roli, Lassiter nie chciał rozmawiać o Kit.

- Turner jest lepsza. Ma nazwisko.

- Jeśli chodzi panu o wyrobione nazwisko, to Kit Masters będzie je miała właśnie po tym filmie - wtrącił Nolan.

Lassiter spojrzął na niego z powątpiewaniem.

- A jak masz zamiar to osiągnąć?

- W jak najbardziej tradycyjny sposób - rzekł Nolan z uśmiechem. - Reklama i jeszcze raz reklama. „Kit Masters - olśniewająca nowa gwiazda”, „Kit Masters - nowa gorąca miłość Johna Trávisa”. Ona nawet wychowała się tam, gdzie będziemy kręcić film, w Aspen. To wzbudzi zainteresowanie. Zrobimy rozgłos wokół filmu, zanim jeszcze powstanie.

- Duża kampania reklamowa - zastanawiał się Lassiter. - No cóż, to może podziałać.

- Jeśli przeprowadzimy ją prawidłowo, na pewno da efekt - dodał Nolan, roztropnie starając się nie wywierać nacisku na Lassitera.

- Kto by się tym zajął?

- Najlepsi są Davis i Dunn.

- I najdrożsi. - Lassiter zmarszczył czoło.

- Proszę pomyśleć, ile musielibyśmy zapłacić Kathleen Turner. Zaoszczędzimy ogromną sumę angażując Kit Masters. Jej agentem jest jakiś nieznany Żydek. Na pewno uda nam się łatwo zaangażować ją za pięćdziesiąt tysięcy, a może nawet mniej.

Lassiter w zamyśleniu spoglądał na ekran.

- Naprawdę dobrze grała - mówił, jakby starając się pozbyć wątpliwości. Z lekkim uśmiechem zwrócił się do Johna: - Nie boisz się, że to będzie jej film? Sam wiesz, że teraz to była jej scena?

John zaśmiał się, rozbawieniem maskując lekkie uczucie niepokoju.

- Jeśli jej się to uda, tym lepiej dla niej.

Wiedział jednak, że ten film musi być jego filmem, jeśli marzy o powrocie na szczyt. Dzielenie się sławą nie przeszkadzało mu, lecz nie mógł znieść myśli, że ktoś może go przyćmić.

- Nie ma obawy - stwierdził Nolan. - Ten film zrobi gwiazdę z Kit Masters, ale Johnowi przyniesie Oscara. - Popatrzył w stronę przyjaciela. - Obserwowałem uważnie tę scenę. Gniew, zmieszanie, pożądanie, nieufność - przeszedłeś samego siebie.

John nie wątpił w szczerość słów Nolana. Zawsze mówili sobie prawdę w oczy. Jednak zawstydziła go ta pochwała. Dobrze zdawał sobie sprawę, że nie gra w filmach, które mogłyby zdobywać nagrody.

- Przecież...

- Do diabła z „przecież” - zachichotał Nolan. - I tak zrobisz wszystko, żeby dostać tę złotą statuetkę. Sam o tym wiesz.

Chciał temu zaprzeczyć i dać do zrozumienia, że nagrody nic dla niego nie znaczą, że dobrze się czuje w solidnych, cieszących publiczność filmach, przynoszących niezłe zyski i długo utrzymujących się na ekranach.

Lecz nie była to prawda. Marzył o Oskarze.

- Ta rola może ci naprawdę przynieść nominację, John - powiedział Lassiter, dodając po chwili: - Szkoda, że nie masz dobrego reżysera, który mógłby ci w tym pomóc.

Dotarł do niego, gdzieś z tyłu, głos Chipa spierającego się z Abe'em.

- Nie, wewnątrz też nie będziemy kręcić w studio. *Białe kłamstwa* w całości nakręcimy w terenie. W całości - podkreślił gniewnie. - Można odtwarzać wygląd i atmosferę różnych miejsc, ale na pewno nie Aspen.

- W porządku. Chip - dyplomatycznie powiedział Nolan. - Uspokój się. Przekonałeś nas.

John podszedł do nich, by przyłączyć się do dyskusji, zapominając o Kit - na jakiś czas.

Rozdział czwarty

Podobnie jak wszystkie pomieszczenia w domu, pokój gościnny utrzymany był w różnych odcieniach bieli i ożywiało go tylko kilka niebieskich akcentów. Kit pomyślała, że jest wspaniała, ale absolutnie nie chciałaby w nim stale mieszkać. Przeszkadzały jej brak kolorów.

Weszła do pokoju stawiając torebkę na małym stoliku, położyła płaszcz na krześle wyściełanym materiałem w kolorze kości słoniowej, zdjęła żakiet i rzuciła go na pokryte koronkową narzutą łóżko, po czym podeszła do oszklonych drzwi tarasu, za którymi rozciągał się wspaniały widok gór usianych u podnóża zielonymi i złotymi plamami drzew. Przez chwilę podziwiała strome szczyty pokryte śniegiem, a potem otworzyła drzwi i wyszła na taras, aby odetchnąć świeżym górskim powietrzem. Cieszyła się, że tym razem przyjechała do Aspen na dłużej, mimo że obawiała się spotkania z Bannonom.

- Czy będzie mnie pani jeszcze potrzebować? - spytała stojąca w drzwiach służąca.

- Na razie nie. Dziękuję, Carlo.

Kobieta skłoniła się i odeszła. Kit spojrzała na równy rząd walizek ustawionych na kremowobiałym dywanie. Czekają ją rozpakowywanie bagaży, najpierw jednak miała ważniejszą sprawę do załatwienia. Podeszła do stolika przy łóżku i wybrała numer telefonu, który знаła na pamięć.

- Halo! - Usłyszała w słuchawce kobiecy głos starający się przekrzyczeć dźwięki głośnej, rockowej muzyki.

- Cześć, Maggie. Mówi Kit.

- Kto mówi? Proszę chwilę zaczekać. Nic nie słyszę - zniecierpliwionym głosem powiedziała Maggie Peters, po czym krzyknęła do swojej kilkunastoletniej córki: - Nicole Marie, natychmiast ścisź tę muzykę! Mam telefon!

Kit uśmiechnęła się słysząc protesty dziewczynki i usadowiła się wygodnie na łóżku, zrzucając pantofle i opierając stopy o miękkie puszysty dywan.

- Ścisź magnetofon, bo nigdzie nie wyjdiesz przez miesiąc! - Groźba poskutkowała, bo muzyka wyraźnie przycichła. - Dziękuję - powiedziała ironicznie Maggie i westchnęła głęboko. - Przepraszam.

- Tym razem mówiła już do słuchawki. - Już jestem. Czy to ty, Kit?

- Tak. Jestem w Aspen...

- Chwała Bogu, dojechałaś szczęśliwie - przerwała Maggie i nie dając Kit dojść do słowa, ciągnęła: - Jeśli się jeszcze nie domyśliłaś, to wiedz, że Nikki za karę siedzi w domu, ale ja chyba bardziej cierpię z tego powodu. Boże, jak to miło móc słyszeć swój własny głos. Moja córka doprowadza mnie do obłędu.

- Wolałabyś jej nie mieć? - spytała Kit prowokacyjnie.

- Prawdę mówiąc, czasem myślę, że ludzie bezdzietni mają dobrze. Wierz mi, Kit, to straszne być matką nastolatki. Można osiwieć i ogłuchnąć. - Maggie zachichotała, zadowolona, że stać ją jeszcze na poczucie humoru. - W każdym bądź razie. Kit, cieszę się, że dzwonisz. Wstąpiłam dziś do szpitala do twojej matki.

- Jak się czuła? - Kit mocniej ścisnęła słuchawkę i usiadła na skrzyżowanych nogach.

- Bez zmian. Chociaż nie. Właściwie to dzisiaj czuła się całkiem możliwie. Trochę rozmawialiśmy... o domu... i o tobie. Uczesalam ją i była chyba z tego zadowolona.

- Na pewno - wyszeptała Kit i uśmiechnęła się ze smutkiem. - Zawsze lubiła dbać o swój wygląd.

- Wiem - potwierdziła miękko Maggie. - Kiedy byłam u twojej mamy, do pokoju wszedł doktor Evers.

- Powiedział coś o mamie?

- Nie. Mówił o tobie. Duże wrażenie zrobiło na nim twoje zdjęcie w kronice towarzyskiej *Out and About in Beverly Hills*, to, na którym siedzisz w restauracji z Johnem Travisem. Kto wie? Może ten doktor ma pomysł na rewelacyjny film?

- A może pisze scenariusz i chce, żebym skontaktowała go z odpowiednimi osobami? Albo pragnie zdobyć zdjęcie z autografem Johna dla żony lub córki - dodała Kit.

Ostatnio wiele osób zwracało się do niej z takimi prośbami. Gdy przed trzema laty otrzymała rolę w serialu, również towarzyszyło jej zainteresowanie, lecz na zdecydowanie mniejszą skalę. Tym jednak razem dostała główną rolę w filmie, a jej partnerem miał być jeden z najsztywniejszych aktorów w Hollywood.

- Nie dają ci spokoju - powiedziała współczująco Maggie. - Nie masz pojęcia, jaka Nikki zrobiła się popularna w szkole. Dziewczyny, które dawniej nie chciały nawet z nią rozmawiać, przychodzą teraz do nas do domu, mając nadzieję, że zobaczą ciebie albo Johna Trávisa. - Przerwała, by po chwili dodać: - Nie mam im zresztą tego za złe. A w ogóle to ten facet lepiej wygląda w rzeczywistości niż na ekranie.

Kit natychmiast się z nią zgodziła.

- A skoro już mówimy o Johnie, to dam ci jego telefon w Aspen, żebyś w razie potrzeby mogła mnie złapać. Masz coś do pisania?

- Tak.

Kit podyktowała umieszczony na telefonie numer, a potem powiedziała:

- Będę tu przez weekend, a potem jadę na ranczo.

- W porządku - stwierdziła Maggie. - Trzymaj się i baw się dobrze. O nic się nie martw. Będę odwiedzać twoją mamę.

- Dziękuję, Maggie - powiedziała serdecznie Kit.

- Nie ma za co. Po to się ma sąsiadów.

Po drugiej stronie słuchawki rozległo się szczekanie pudła Maggie.

- Ktoś przyszedł. Pójdę zobaczyć - rzekła Maggie.

- No to do usłyszenia.

- Do usłyszenia, Kit. I radzę ci - zrób to, co ja bym zrobiła na twoim miejscu będąc w Aspen z Johnem Travisem - korzystaj z życia - dodała ściszym głosem, po czym roześmiała się i odłożyła słuchawkę.

Kit uśmiechając się położyła słuchawkę na widelkach. Wesołość zniknęła jednak z jej twarzy, gdy pomyślała o matce. Ogarnęła ją gwałtowna fala uczuć - smutek, gniew, poczucie winy, miłość, uraza, a dominowało nad nimi poczucie żalu. Żalu, że nie potrafiła znaleźć z matką porozumienia. Teraz już było na to za późno. Nie mogły nawet próbować. Wszystkiemu winna była okrutna choroba.

Gdyby dziewięć lat temu, kiedy przyjechała do Los Angeles, wiedziała, że zmęczenie, na które skarżyła się matka, osłabienie ostrości wzroku i uczucie drętwienia w lewej nodze są objawami stwardnienia rozsianego, starałaby się za wszelką cenę zbliżyć się do matki, pogodzić się z nią. Nie przypuszczała jednak, że może to być tak poważna choroba, i zajęta była organizowaniem sobie życia, pracowała, chodziła na przesłuchania, po których czasami otrzymywała role.

Nie przypuszczała nawet, co mogą oznaczać kłopoty z chodzeniem, które pojawiły się u matki trzy lata temu i sprawiły, że najpierw zaczęła potrzebować laski, potem ruchomego kojca, wózka inwalidzkiego, a w końcu stałej pielęgniarki. Nie wiedziała, że kiedy lekarz stwierdził, iż matka cierpi na wirusowe zapalenie mózgu, miał na myśli stwardnienie rozsiane. Choroba przebiegała wśród okresów pogorszenia i poprawy. Budziła kolejno obawy i nadzieję wyzdrowienia. Kit wierzyła głęboko, że uda jej się porozumieć z matką. Gdyby wiedziała...

Gdyby. Straszne słowo. Słowo, które ciągle pojawiała się w jej myślach, od czasu kiedy ostatnio odwiedziła matkę w szpitalu...

Na opustoszałym korytarzu stały rzędem wózki do przewożenia chorych. Było już po kolacji i większość pacjentów wróciła do łóżek. Z pokoiw dobiegały odgłosy odbiorników telewizyjnych i szmer rozmów. Czasami ktoś oglądający teleturniej Koło Fortuny wykrzykiwał odpowiedź. Słychać też było ciche jęki. Kit, która przychodziła tu od ośmiu miesięcy, zdążyła się już oswoić ze szpitalnymi obrazami, dźwiękami, zapachem środków odkażających i lekarstw.

Przy każdym łóżku wisiała kotara, którą chory mógł się oddzielić od reszty sali. Oprócz matki w pokoju leżała starsza kobieta po wylewie, z porażeniem wszystkich kończyn, i inna pacjentka chora na stwardnienie rozsiane. Gdy Kit weszła do sali, kotara przy łóżku matki była zaciągnięta.

Odsunęła ją i spostrzegła ciemnowłosą, krótko ostrzyżoną pielęgniarkę siedzącą na krzeselku. Po chwili wahania rozpoznała Dottie.

- Obcięłaś włosy. Ładnie ci w tej fryzurze.

- Dziękuję. - Pielęgniarka bezwiednie dotknęła włosów ręką. - Ale Bobby mówi, że bardziej podobałam mu się z długimi włosami.

- Większość mężczyzn woli u kobiet długie włosy - rzekła Kit.

- Ale oni nie muszą o nie dbać.

Wyglądziła prześcieradło i podeszła do Kit, która uśmiechnęła się i zapytała:

- Jak się czuje mama?

Pielęgniarka popatrzyła na chorą.

- Obawiam się, że dzisiaj ma jeden ze swoich gorszych dni.

Oznaczało to, że matka nie mówi nic albo odzywa się jedynie monosylabami. W dobre dni mówiła prawie zupełnie normalnie, lecz nawet wtedy dało się zauważyć obniżenie sprawności umysłowej; myliła daty, fakty, miejsca i okoliczności.

Kit przyjęła informację skinieniem głowy i podeszła do łóżka. Pielęgniarka opuściła salę. Przez dłuższą chwilę Kit przyglądała się matce. Przykryta kołdrą aż po szyję, leżała z przechyloną głową, która ani na chwilę nie przestawała się trząść, z nic nie widzącymi oczami utkwionymi w jeden punkt. Krótkie włosy były prawie zupełnie siwe, a na brodzie i górnej wardze pojawił się zarost. Po trzech operacjach, które zlikwidowały przykurcz nóg jej wychudzone ciało leżało teraz wyprostowane.

Minęło osiem miesięcy, a reakcja Kit była wciąż taka sama - czuła, że leżąca w łóżku kobieta nie jest jej matką, a jedynie jej groteskową, okrutną imitacją. Lecz rozum mówił inaczej. Kit podeszła do łóżka.

- Cześć, mamó. To ja, Kit. - Pochyliła się nad matką i ucałowała ją w błądy policzek, uważając, żeby

nie zerwać kroplówki. - Dzisiaj był piękny dzień. Ani śladu mgły. Niebo zupełnie niebieskie.

Żadnej reakcji. Nic. Nie miała zbyt wielkich oczekiwań, a jednak...

Lekko pogładziła matkę po włosach. Niegdyś były to piękne, błyszczące kasztanowe włosy, zazwyczaj uczesane w porządną kok, ze szczególnym naciskiem na słowo „porządny”.

- Ojciec mówił, że masz piękne włosy. Zawsze chciałam ich dotknąć i sprawdzić, czy są tak miękkie, na jakie wyglądają, ale rzadko miałam taką możliwość, prawda, mam? Zbyt często wdrapywałam się ojcemu na kolana i siadywałam na poręczu jego fotela. On zawsze mnie przytulał. - Na chwilę palce Kit znieruchomiały. - Byłam jego córką. Pamiętasz, to ty tak kiedyś powiedziałaś.

Te słowa, ta scena głęboko zapadły jej w pamięć. Cały czas miała przed oczami matkę stojącą przed domem na ranczu i patrzącą na szesnastoletnią wtedy córkę. Kit powiedziała jej właśnie, że ma zamiar zostać z ojcem i po rozwodzie nie przeniesie się z matką do Los Angeles. Był to jeden z tych nielicznych momentów, w których matka okazała jakąś silniejszą emocję.

- Wcale nie jestem zaskoczona - powiedziała zimnym, ostrym głosem. - Nie jesteś moją córką. I nigdy nią nie byłaś. Zawsze byłaś jego.

Przypominając sobie tę scenę, Kit westchnęła, uśmiechając się smutno.

- Nigdy potem nie rozmawialiśmy szczerze, prawda? Na pewno bardzo cię zraniłam, zostając z ojcem. Lecz on mnie potrzebował, a ty sprawiałaś wrażenie osoby, która nie potrzebuje nikogo. A chciałam cię zranić dlatego, że ty raniłaś nas.

Dotknęła czoła matki, wpatrzona w jej oczy niegdyś żywe, a teraz zupełnie bez wyrazu.

- Ale mówiłaś prawdę. Nigdy nie miałyśmy ze sobą wiele wspólnego. Zawsze trudno było nam znaleźć temat do rozmowy. A po rozwodzie zachowywałyśmy się jak przygodne znajome. Zawsze wybierałyśmy bezpieczne tematy, rozmawiając o pogodzie, sztukach teatralnych, programach telewizyjnych, restauracjach, sąsiadach. Kim byłaś? Co czułaś? Czego oczekiwałaś? Musiałaś przecież mieć jakieś marzenia. Jesteś moją matką. Znam cię od urodzenia, a przecież nie znam cię w ogóle. - Zniżyła głos do szeptu. - A co najgorsze, nigdy cię o to wszystko nie spytałam.

Gdyby. To słowo ją prześladowało i zawsze będzie prześladować.

- Jakie piękne kwiaty! - powiedziała Paula, podchodząc do szklanego stolika i dotykając płatków białego tulipana, jednego z kilkunastu ze smakiem ułożonych w kobaltowoniebieskim wazonie. - Chciałam zapytać, dlaczego masz kwiaty w swoim pokoju, a ja nie. Ale chyba już się domyśliłam.

Kit spojrzała na nią z roztargnieniem, po czym wstała z łóżka i podeszła do stolika, aby przyjrzeć się kwiatom. Zastanawiała się, jak mogła nie zauważyć ich wcześniej.

- To oczywiście sprawka Johna. - Pochyliła się nad białym tulipaniem, wdychając jego delikatny zapach. - Wie, że mam słabość do kwiatów.

- A on ma słabość do ciebie. - Paula spojrzała znacząco na przyjaciółkę.

Kit uśmiechnęła się.

- John robi wszystko, żebym straciła dla niego głowę, a ja staram się zachować resztki rozsądku.

- Więc się nie staraj.

- O ile się nie mylę, to właśnie ty ostrzegałaś mnie przed Johnem i mówiłaś, że lubi romansować z partnerkami z planu, by je rzucić natychmiast po skończeniu zdjęć. - Kit przechyliła głowę, patrząc na Paulę z wyrzutem.

- Chciałam tylko, żebyś wiedziała, jakie jest życie - Paula wzruszyła ramionami.

- Myślę, że wiem. - Odczuwając nagły niepokój, Kit zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. - Już dawno temu dowiedziałam się na przykład, że ktoś drugi wcale nie musi mnie kochać tylko dlatego, że ja go kocham. - Zatrzymała się przy drzwiach tarasu, wspominając Bannona i ból, który przeżyła, gdy ją porzucił dziesięć lat temu.

- Mój Boże, Kit, mówisz, jakbyś miała tysiące kochanków. - Głos Pauli doleciał ją z drugiego końca pokoju.

Kit odwróciła się i zobaczyła rudowłosą przyjaciółkę wygodnie rozpartą na szezlongu, wśród niebieskich aksamitnych poduszek.

- Ilu mężczyzn miałaś w swoim życiu? Dwóch? Trzech? Nie sądzę, żeby było ich więcej - stwierdziła Paula z pewnością w głosie. - Ile czasu ma aktorka na miłość? Wstajemy o czwartej, piątej rano, żeby o szóstej być w wytwórni. Czternaście godzin prób czy nagrań, z powrotem do domu, żeby nauczyć się od dziesięciu do trzydziestu stron dialogu na następny dzień, i szybko do łóżka, żeby nie mieć rano worków pod oczami. Jedyne wyjście to mieć kogoś na planie.

- Może to rozwiązanie jest praktyczne - przyznała Kit. - Ale nie lubię przelotnych romansów. A nie jestem pewna, czy John ma ochotę na coś więcej.

- Przelotne romanse często są najlepsze, szczególnie w naszym zawodzie.

- Może dla niektórych, ale nie dla mnie. - Kit popatrzyła na rząd walizek. - Już się rozpakowałaś?

- Carla zaproponowała, że to zrobi, a ja się zgodziłam... chętnie. - Paula powoli podniosła się z szezlonga. - Mam ochotę poleniuchować. Daj mi znać, kiedy pojawi się manikiurzystka.

- Dobrze. - Kit postawiła na łóżku pierwszą walizkę z ubraniami.

- Powiedz mi szczerze. Kit, czy myślisz, że Chip jest wystarczająco dobrym reżyserem, żeby zrobić ten film? - spytała nagle Paula niezwykle jak na nią poważnym tonem.

Pytanie przyjaciółki zaskoczyło ją. Zdziwiła się, że to właśnie Paula je zadaje.

- Myślę, że Chip jest najlepszym reżyserem, jakiego mogliśmy znaleźć. John nie mógł wybrać lepiej. A dlaczego o to pytasz?

- Po prostu byłam ciekawa. - Paula skierowała się do wyjścia.

- Paulo. - Tym razem Kit postanowiła dać upust swojej ciekawości. - Czy z Chipem to na poważnie?

Paula rzuciła Kit rozbawione spojrzenie, które wystarczało za odpowiedź. Już w holu przystanęła na chwilę i rozłożyła ramiona w bezradnym geście.

- Jak można odstraszyć sznaucera?

- Nie bądź okrutna, Paulo. Chip jest miły.

Twarz Pauli była pozornie nie zmieniona, lecz w jej zielonych oczach czaił się smutek.

- Przyjdzie taki dzień, że będziesz tak samo okrutna, Kit. A nawet bardziej niż ja - ponieważ mierzysz znacznie wyżej.

Rozdział piąty

Nad górską doliną zapadał zmierzch. Promienie słońca kładły się jeszcze ognistymi smugami na zabudowaniach rancza, ale z każdą minutą cień pogłębiał się wypełniając dolinę mrokiem. Z głębi gór rozległo się wycie kojota, lecz po chwili umilkło w gęstniejącej ciszy.

Doglądniejszy zwierząt, Bannon szedł przez ranczo w stronę domu wolnym, kołyszącym krokiem charakterystycznym dla kogoś, kto wiele czasu spędza w siodle. Bydło rozłożyło się na gęstej, suchej trawie zimowego pastwiska. Wszystkie wieczorne prace zostały już wykonane. Konie, puszczone luzem w korralu, ochoczo tarzały się w piachu. Satysfakcja z pracowicie spędzonego dnia i zakończenia jesiennego spędu bydła sprawiła, że opuściło go zmęczenie.

- To już nie to samo bez Clint'a - rzekł Stary Tom. - Poklepałby teraz ciebie albo mnie po plecach i uśmiechnął się od ucha do ucha, dając do zrozumienia, że chce się dowiedzieć, kiedy napijemy się piwa. - Przerwał na chwilę i z gardła wyrwał mu się zduszony chichot. - Pamiętasz, jak chyba piętnaście lat temu oberwała się chmura, gdy pędziliśmy bydło na dół? Lało tak, że nie było widać krów. Zanim dotarliśmy do domu, przemokłem do suchej nitki. Bałem się potem zbliżyć do ognia, żeby przy wysychaniu nie zmienić się w słup pary. Ale był wtedy z nami Clint, cały dom huczał od jego śmiechu. Przywiózł ze sobą Kit. Na nich ta ulewa nie zrobiła żadnego wrażenia. Taak, to były dobre czasy.

- To prawda - przytaknął Bannon.

- Starość nie radość - westchnął sentencjonalnie Stary Tom. - Dzisiejsze czasy są dobre dla młodych. Ten świat już nie do mnie należy. Starzy ludzie, tacy jak ja, żyją przeszłością i wspominają, jak to było, kiedy przecierali tu szlaki. Teraz jesteśmy tylko obserwatorami, ustąpiliśmy miejsca naszym synom i wnukom. Smutno jest pomyśleć, ilu przyjaciół już nie żyje. Wydaje mi się, że z każdym z nich odchodzi część mnie, a mój świat coraz bardziej zachodzi mgłą.

- Jesteś w grobowym nastroju - rzekł Bannon uśmiechając się do ojca.

- To ze starości. Moje pokolenie miało wielkie serce i szeroki gest. Cieszyliśmy się życiem. - Stary Tom posłał Tomowi badawcze spojrzenie. - Myślę, że dużo bardziej niż ludzie z twojego pokolenia. Nie baliśmy się emocji i nie rozpaczaaliśmy nad błędami.

Uśmiech Bannona przygasł.

- Musieliście być szczęśliwi.

Do rozmowy przyłączyła się Laura.

- Szkoda, że nie mamy basenu.

- Ależ mamy - stwierdził Stary Tom. - Najlepszy, jaki może być...

- Nie mów o tym głębszym miejscu w potoku, dziadku - powiedziała Laura starając się nie okazać

znieczepienia. - Mówię o prawdziwym basenie z podgrzewaną wodą, takim jak ma ciocia Sondra i Buffy. Mogłabym w nim pływać przez cały rok.

- Baseny kosztują masę pieniędzy - rzekł Bannon.

- Wiem. - Westchnęła. - Żałuję, że nie jesteśmy bogaci.

- Życie jest brutalne, co, maluchu? - Bannon pociągnął córkę za warkocz.

- Czasami jest nieznośne. Okropnie nieznośne - przytaknęła z komiczną powagą.

Bannon nie komentował już narzekań córki i zapadła cisza przerywana jedynie nierównym rytmem ich kroków i pobrzękiwaniem ostróg.

- Przyznam ci się, że wcale nie chce mi się iść dzisiaj na to eleganckie przyjęcie. Nigdy nie lubiłem się stroić - utyskiwał Stary Tom.

- To nieprawda, dziadku - powiedziała z przekonaniem Laura. - Przecież lubisz się przebierać.

- A ty skąd wiesz? - przekomarzał się z pozorną szorstkością w głosie.

Posłała mu filuterny uśmiech.

- Bo sama widziałam, jak stoisz przed lustrem i podziwiasz swój wygląd.

Jej słowa wywołały w pamięci Starego Toma obraz z przeszłości. Obok swojego, ujrzał w lustrze odbicie żony, która mierzyła go żartobliwie krytycznym wzrokiem, mówiąc: „Pewnie myślisz, że jesteś przystojnym mężczyzną, Tomie Bannonie?” - Gdy odwrócił się, poprawił mu czarny krawat i dodała: „Nie da się ukryć, jesteś”. - Przez chwilę rozmyślał z tkliwością o żonie, tak niespodziewanie zmarłej przed laty na raka mózgu. Ból wywołany utratą żony przygasł z czasem, pozwalając na pogodne rozpamiętywanie miłych wspomnień wspólnie spędzonych lat.

Zbliżali się do rozległego domu zbudowanego z ręcznie ciosanych bali. Stary Tom przyjrzał mu się uważnie. Umiejscowiony na litej skale, wejściem zwrócony był w stronę doliny i pasma gór, a jego stromy dach wznosił się ku niebu jak górski szczyt. Dom z trzech stron otoczony był werandą osłaniającą ciemne teraz okna i pogłębiającą cień.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak wszystkie domy z dużych bali, wyróżniał się jednak starannością konstrukcji i dopasowaniem elementów. Zbudował go przed stu bez mała laty jego ojciec, Elias Bannon, i niewątpliwie dom mógł przetrwać w doskonałym stanie jeszcze następny wiek. Drewno było zdrowe, a bale nie miały pęknięć, szczelin ani szpar w miejscach łączenia. Każdą kłodę ociosywano siekierą tak długo, aż na całej swojej długości była dopasowana do drugiej, a wszystkie razem tworzyły potem ponad półmetrowej grubości ścianę.

Stary Tom spoglądał z uznaniem na dzieło ojca. Obszerny wiekowy dom oparł się wielu zamieciom śnieżnym i potępieńczo wyjąłym wichrom. Znał dobre czasy, kiedy pobliskie osady górnicze potrzebowały wołowiny, siana i zwierząt pociągowych. Pamiętał też trudne chwile po zamknięciu kopalń i wyludnieniu miasteczka. Wielki kryzys i dla rancza oznaczał chude lata, lecz dom szczęśliwie ostał się i złym, i dobrym czasem. A w ciągu tych wszystkich lat poznał też ukłucia kowbojskich ostróg, szelest pięknych sukni, był niemy świadkiem wielu łez i radosnego śmiechu.

To był prawdziwy dom od momentu ociosania pierwszej belki. Jego ojciec wybudował też dom w mieście, lecz nigdy nie stał się on dla niego czymś więcej niż tylko miejscem, w którym można było się zatrzymać i zająć adwokacką praktyką. Jego serce zawsze było tutaj, w Stone Creek.

Stary Tom wiedział, że tak jest i w jego przypadku. Spał teraz w łóżku, w którym się urodził, i w którym czterdzieści sześć lat później Beauty urodziła ich syna. Prawdopodobnie umrze też w tym łóżku, jeśli taka będzie Boża wola. Myślał o tym wszystkim z odcieniem dumy.

- Telefon dzwoni! - Laura pędem rzuciła się do drzwi wejściowych przeskakując po kilka kamiennych stopni, a potem przebiegła przez werandę. Jej buty wybijały szybki rytm na drewnianej podłodze.

Drzwi zewnętrzne zatrzasnęły się za nią. Przystanęła na chwilę, szukając kontaktu na ścianie, zapaliła światło, które przecięło werandę żółtą smugą, po czym błyskawicznie dopadła telefonu i podniosła słuchawkę.

Bannon wspinał się po schodach wyprzedzając ojca i wszedł do domu. Łamiąc swoje przyzwyczajenie, zdjął kapelusz i powiesił go na wbitym w ścianę kołku, machinalnie przeczesując palcami ciemne włosy. Stał w drzwiach saloniku utrzymanego w solidnym wiejskim stylu. Drewniane schody wspinały się na ogrodzoną poprzecznie ułożonymi drągami galeryjkę, z której prowadziło czworo drzwi.

Laura rozmawiała przez telefon, opierając łokcie na dębowym stole. Odpinając ostrogi, Bannon słuchał, jak trajkotała do słuchawki, opowiadając o wydarzeniach dnia, ze szczególnym

uwzględnieniem paniki wśród bydła, którą opisywała jako moment pełen grozy i niebezpieczeństwa.

- Już jest tutaj. - Laura rzuciła spojrzenie Bannonowi, po czym dodała, najwyraźniej w odpowiedzi na prośbę rozmówcy: - Oczywiście. - Prostując się wyciągnęła ku ojcu rękę, w której trzymała słuchawkę. - Dzwoni ciocia Sondra. Chce z tobą rozmawiać.

Bannon zawiesił ostrogi na kołku obok kapelusza i wszedł do saloniku. Wziął słuchawkę od Laury.

- Idź się umyć, a potem spakuj swoje rzeczy - powiedział do córki, nakrywając ręką słuchawkę. - I nie zapomnij wziąć ze sobą szczoteczki do zębów.

- Nie zapomnę. - Weszła na schody.

- Nie siedź pod prysznicem do rana! - zawołał za nią Stary Tom, po czym spojrzał na Bannona. - Idę wziąć sobie piwo. Przynieść ci?

Odmówił ruchem głowy i odkrył słuchawkę.

- Cześć, Sondra. O co chodzi?

- Jestem jeszcze w biurze.

Słyszając głęboki tembr jego głosu, charakterystyczne lekkie przeciąganie słów, Sondra Hudson spojrzała na stojącą na biurku fotografię w ramkach, a linia jej ust złagodniała, tracąc zwykły wyraz zaciętości.

- Chciałam ci powiedzieć, że się spóźnię, ale z tego, co powiedziała mi Laura, domyślam się, że i ty nie będziesz na czas.

- Mam nadzieję, że nikt nie zdąży tego zauważyć - rzekł Bannon. - Laura spędzi noc u przyjaciółki. Najpierw ją podwieziemy, a potem przyjedziemy po ciebie.

„Przyjedziemy”. To oznaczało, że stary Tom też wybiera się na przyjęcie. Tak się złożyło, że już ponad tydzień nie udawało jej się spotkać sam na sam z Bannonem, by móc przytulić się i porozmawiać bez świadków, kochać się. Miała nadzieję, że dzisiaj po przyjęciu tak się stanie, lecz okazało się, iż były to tylko marzenia. Nic takiego nie mogło się zdarzyć, skoro Bannonowi miał towarzyszyć ojciec. Z trudem opanowała gniew.

- To świetnie - odparła lekkim tonem. - Skończę tu jeszcze parę spraw i pójdę prosto do domu. Postaram się być gotowa, gdy przyjedziecie.

- Czyli mamy być nie wcześniej niż za dwie godziny - rzekł chłodno.

Sondra zaśmiała się.

- Kobiety poświęcają na toaletę więcej czasu niż mężczyźni. Jeszcze o tym nie wiesz?

- Chyba już zapomniałem. - Tym razem w jego głosie brzmiało rozbawienie.

- To dlatego, że nie masz kobiety w domu - powiedziała, natychmiast żałując słów, które musiały skierować myśli Bannona ku jej zmarłej siostrze. Nie dając mu dojść do słowa, rzekła więc pośpiesznie: - Kończę, bo chcę być jak najszybciej gotowa.

Odłożyła słuchawkę i sięgnęła po fotografię, powiększenie amatorskiego zdjęcia wykonanego przed prawie dziesięcioma laty. Przedstawiało deptak w Aspen w zimowej scenerii. Charakterystyczna lampa uliczna i ogromne zasy stanowiły tło dla trzech uchwyconych z bliska postaci.

W środku stał Bannon. Jego rysy były miększe niż teraz, łagodniejsze, młodsze. Kowbojski kapelusz, zsunięty do tyłu, odsłaniał wysokie gładkie czoło, wyraźnie jaśniejsze od reszty ogorzałej twarzy. Po lewej stronie stała Sondra z głową opartą na ramieniu Bannona. Uśmiechała się do obiektywu, lecz z pewnym przymusem. Jasny kolor włosów, zrobionych na platynowy blond, sprawiał, że wyglądała jak przeciwieństwo czarnowłosej dziewczyny stojącej po prawej stronie. Była to jej młodsza siostra Diana, o czarnych jak heban oczach i długich włosach; zepsuta, nieposkromiona Diana, bezmyślna i egoistyczna. Nie obchodziło jej wcale, że Sondra pierwsza poznała Bannona.

W myśleniu wyłącznie o sobie Diana była podobna do ojca. Interesowały ją tylko przyjemności i dostatek, choćby osiągnięte czymś kosztem.

Od ojca Sondra nauczyła się zdobywania ludzi jedynie podstępem i kokieterią. Okazała się pojętną uczennicą i otrzymaną wiedzę potrafiła wprowadzić w czyn. Z zaoszczędzonych pieniędzy kupiła „odpowiednie” ubrania, a mysiego koloru włosy przefarbowała na jasny blond. Kiedy tylko zdobyła licencję pośrednika handlu nieruchomościami, opuściła Denver i przeniosła się do Aspen. Zaczęła pracować w agencji. Traktowano ją tam jak niezbyt bystrą dziewczynę na posyłki. Lecz to był dopiero początek.

Potem któregoś dnia zadzwoniła Diana. Przyjechała wraz z przyjaciółmi do Aspen na festyn zimowy. Sondra żałowała, że nie odmówiła, gdy siostra zaproponowała spotkanie w barze. Powinna była powiedzieć, że jest zajęta, że szef polecił jej zawieźć komuś umowę do podpisania. Lecz zgodziła

się. Z agencji pojechała w głąb doliny do jakiegoś zapadłego, przypominającego szałas domku.

Po uzyskaniu wymaganych podpisów ruszyła w drogę powrotną do miasta, by spotkać się z Dianą i przyjaciółmi...

Zapadał zmierzch. Gnane przez silny wiatr płatki śniegu wirowały w świetle reflektorów. Umówiła się z Dianą w barze „Jerome” o piątej. Właśnie dochodziła piąta.

Przyśpieszając, Sondra wzięła zakręt i wpadła w poślizg. Przestała kontrolować jazdę. Samochód ześlizgnął się z drogi i zaczął staczać na pobocze, rozbijając zasy i pryskając fontanną śniegu na przednią szybę. Mocno trzymając dłonie na kierownicy, Sondra z całej siły wparła nogę w pedał hamulca i zacisnąwszy w panice powieki, oczekiwała zderzenia.

Samochód trzasnął o coś, rzucając ją na kierownicę. Było już po wszystkim.

Trzęsąc się cała oparła głowę na kierownicy i czekała, aż uspokoi się szalejące serce. Jakimś cudem zorientowała się, że silnik wciąż pracuje i wyłączyła go. Zapanowała dzwoniąca w uszach cisza i nagle Sondra wpadła we wściekłość. Była zła na siebie, że się śpieszyła, zła na klienta, który mieszkał przy tak okropnej drodze, zła na szefa za wysługiwanie się nią w załatwianiu spraw z jego klientami.

Ale złość na nic nie mogła się przydać. Sondra włączyła silnik i uruchomiła wycieraczki, które po krótkiej pracy uporały się ze śniegiem pokrywającym przednią szybę, po czym wrzuciła wsteczny bieg. Koła zaczęły obracać się w miejscu.

Po pięciu minutach prób samochód nie przesunął się ani o centymetr. Ugrzązł, beznadziejnie ugrzązł.

W bezsilnym gniewie Sondra uderzyła zaciśniętą pięścią w kierownicę, po czym wyszarpnęła kluczyk ze stacyjki i chwyciła torebkę leżącą na siedzeniu obok. Wygramoliła się z auta, zamykając drzwi. Ich trzaśnięcie odbiło się zwielokrotnionym echem od panującej dookoła ciszy i miękko spadającego śniegu. Sondra spojrzała na wbity w maskę słupek ogrodzenia.

Odwracając się zobaczyła wypełniony śniegiem rów, który musiała przeskoczyć, jeśli chciała dostać się do drogi. Z zaciśniętymi ze złości szczękami spojrzała na swoje wytworne śniegowce. Zgrabne, okolonowane futerkiem i na podwyższonych obcasach dobre były na pluchę w Denver, lecz zupełnie nie nadawały się do brnięcia przez zasy. Wystarczyłby jeden krok, żeby śnieg dostał się do środka.

Usłyszała za sobą głośne zwierzęce parsknięcia. Przerazona odwróciła się, pewna, że ujrzy dziką bestię szarżującą zza ogrodzenia. Tymczasem po drugiej stronie płotu zobaczyła jeźdźca na koniu. Mężczyzna był szczupły, o wyrazistych rysach twarzy i mocnych szczękach. W kowbojskim kapeluszu na głowie i w kurtce z kapturem podbitej baranim futrem siedział na krępych koniu o gęstej brązowej sierści. Wyglądał jak żywa reklama „Marlboro”.

- Nic się pani nie stało? - zapytał niskim, ciepłym głosem.

- Nie. Gorzej z moim autem. Wpadłam w poślizg.

Zsiadł z konia i brnąc przez śnieg zbliżył się do samochodu. Przykucnął, aby lepiej zorientować się w sytuacji, po czym przekroczył druciane ogrodzenie i, obszedłszy wóz, stanął obok drzwi kierowcy. Uśmiechnął się współczująco.

- Wydaje mi się, że nie obejdzie się bez pomocy drogowej.

Kusiło ją, żeby powiedzieć: „Też mi odkrycie”, lecz ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma ochoty być złośliwa wobec tego mężczyzny.

- Tego się obawiałam - wyszeptała.

- Nasz dom jest niecały kilometr stąd. Chętnie panią podwiozę.

- Czym? Mam jechać na tym koniu?

W jego ciemnych oczach zamigotały wesole iskierki. Przyglądał się Sondrze lekko prowokującym wzrokiem. Miała wrażenie, że śmieje się do niej, a nie z niej.

- On nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pani się zgodzi.

Sondra odwzajemniła uśmiech, zdziwiona tym, że przyszło jej to tak łatwo. Nie przepadała za mężczyznami, ich arogancją, nie lubiła, kiedy patrzyli na kobiety jak na deser do zjedzenia. Lecz we wzroku tego mężczyzny nie kryło się nic takiego.

- I ja nie mam nic przeciwko temu.

- To świetnie. A tak przy okazji, nazywam się Tom Bannon. - Wyciągnął do niej rękę okrytą skórzaną rękawiczką, jak do kompana. - Ale wszyscy mówią na mnie po prostu „Bannon”.

- Sondra Hudson - powiedziała, a jej szczupła dłoń w miękkiej rękawiczce zginęła w jego dużej dłoni. Siła i ciepło jego uścisku sprawiły, że przeniknął ją nagły dreszcz. - Ale mówią na mnie Sondra.

- A więc dobrze, Sondro. - Uśmiechnął się szeroko. - Wsiadamy?

Po chwili siedziała przed nim w poprzek siodła, bezpieczna w otaczających ją ramionach, wygodnie oparta o jego tors.

- Nie jest pani zimno? - Jego twarz znajdowała się tak blisko, że czuła na policzku ciepło jego oddechu.

- Nie. - Było jej bardzo gorąco, rozkoszowała się świadomością, że jest bezpieczna jak dziecko. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebuje.

Sondra nie pamiętała, o czym rozmawiali w czasie krótkiej jazdy do domu na ranczu. W pamięci zostały jej tylko wirujące w powietrzu płatki śniegu i zapadające ciemności, które sprawiły, że czuli się, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie; i jeszcze rytmiczne stąpanie konia z chrzęstem zagłębiającego nogi w śniegu; uczucie zrodzone pod wpływem bliskości Bannona, dotyku jego ramion, leniwego ciepła jego głosu; oddechy łączące się w jednolitą mgiełkę; łagodną siłę emanującą z jego ciała.

Kiedy dojechali do domu, Bannon zadzwonił po pomoc drogową i dowiedział się, że podobnych zgłoszeń jest mnóstwo, i że dopiero następnego dnia będzie możliwe ściągnięcie samochodu. W tej sytuacji odwiózł ją do miasta. W czasie jazdy udało jej się zaprosić go na drinka w podziękowaniu za pomoc.

Udali się do baru w hotelu „Jerome”. Tam Bannon zobaczył Dianę i Sondra przestała dla niego istnieć.

Uważnie przyglądała się fotografii przedstawiającej ich troje. Niecałe dwa miesiące po zrobieniu tego zdjęcia Bannon ożenił się z jej siostrą. Rok później Diana już nie żyła, lecz Bannon nigdy jej nie zapomniał. Sondra kochała go za to i nienawidziła jednocześnie.

Zdawała sobie sprawę, że zyskała jego wdzięczność i zaufanie po tym, jak dzielnie towarzyszyła mu w trudnych chwilach, gdy wszyscy głośno wyrażali swoje domysły na temat śmierci Diany. Była pewna, że gdyby nie ta ludzka ciekawość, dawno zapomniałby już o żonie. Wierzyła jednak, że za jakiś czas tak się stanie i Bannon będzie należał wyłącznie do niej.

Porywczym gestem odłożyła fotografię i mocno spłótła szczupłe palce. Chwilę później nacisnęła guzik interkomu, łącząc się z sekretarką.

- Proszę poinformować Warrena, że chcę się z nim widzieć w moim biurze.

- Dobrze, panno Hudson.

Po wydaniu polecenia Sondra wstała i wyszła zza biurka zdobionego ornamentami naśladującymi motywy chińskie. Przystanęła na chwilę, by z zadowoleniem przyjrzeć się części gościnnej swojego prywatnego biura - głębokiej, obitej pluszem kanapie i eleganckim wygodnym krzesłom. I tym razem jej wzrok przyciągnęły chińskie *panneaux* na ścianach i dwie wazy z późnej epoki Cing, stojące na inkrustowanym masą perłową stoliku obok kanapy, będące symbolami zmiany jej sytuacji materialnej i pozycji.

Była teraz właścicielką agencji zajmującej się handlem nieruchomościami, Hudson Properties, Inc., jednej z największych, o ile nie największej tego typu firmy w Aspen. Stale wydłużająca się lista klientów, której Sondra zazdrośnie strzegła, mogłaby zastąpić *Who Is Who* w kraju, społeczeństwie, polityce, nauce, przemyśle i filmie.

Lecz to jej nie wystarczało.

Podeszła do narożnych okien, by przez chwilę podziwiać roztaczający się za nimi widok na deptak w Aspen, brukowany ciemnoczerwoną cegłą i wysadzany drzewami, na ozdobne żelazne słupy latarni i wielkie donice pyszniące się jesiennymi kwiatami. Z ręką w połowie wsuniętą do kieszeni żakietu z pierwszorzędnej wełny przyglądała się witrynom eleganckich butików, modnych galerii i pretensjonalnych księgarni zajmujących budynki zaprojektowane tak, by przypominały budowle z cegły i kamienia z czasów największej srebrnej świetności Aspen.

Obserwowała ludzi - ubranego w dres biegacza o wysportowanej sylwetce, któremu w joggingu towarzyszył płowy pies myśliwski, szykowną blondynkę w zamszowych spodniach i kozaczkach z krokodyljej skóry, niewątpliwie zakupionych u Smitha; i szczupłą, co najmniej czterdziestoletnią kobietę kroczącą dumnie z torbą na zakupy od Nuagesa.

Szacunek budziły tu jedynie pieniądze i władza. Musiał o tym wiedzieć Jerome Witeeler, kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku przybył do Aspen i zaczął przekształcać prymitywną, surową osadę górniczą w najbogatszy rejon wydobycia srebra na świecie. Kształtując

miasteczko według swoich upodobań, stworzył piękny i kulturalny zakątek. Drzewa, które kazał posadzić, okryły swym cieniem ulice miasta, wzniesiono gmach opery i luksusowy hotel, jeden z najwytworniej szych na zachód od Missisipi, doprowadzono do Aspen dwie linie kolejowe. Miasto zostało zelektryfikowane i otrzymało telefony. Na ulicach pojawiły się tramwaje. Aspen stało się na wskroś nowoczesną miejscowością o światowej renomie, atrakcyjną zarówno dla kapitalistów ze stanów wschodnich, jak i dla odbywających podróże dostojników i członków rodzin królewskich.

Pół wieku później, w połowie lat czterdziestych naszego stulecia, do Aspen przybył Walter Papecke, przemysłowiec z Chicago, i powtórzył dzieło Wheelera. Zastał senne, pełne zrujnowanych domów, wyludnione miasteczko, którego nieliczni mieszkańcy trudnili się głównie hodowlą bydła i przekształcił je w nowoczesne miasto, zimą przyciągające licznych turystów jako ośrodek narciarski, latem zaś jako centrum spotkań kulturalnych i intelektualnych. Na konferencjach organizowanych przez Instytut Nauk Humanistycznych w Aspen gościły takie indywidualności jak Albert Schweitzer; w słynnym Music Tent na Festiwalu Muzyki w Aspen wystąpił Icchak Periman. Na Festiwalu Tańca prezentował swoje umiejętności Ballet West. I, jak dawniej, wpływy i pieniądze pozwoliły Walterowi Papecke narzucić swoją władzę.

Od tej pory minęło już prawie pięćdziesiąt lat. Czas, żeby pojawił się i zaczął rządzić ktoś nowy.

Lekkie stukanie do drzwi przerwało rozmyślenia. Sondra odwróciła się w stronę drzwi, w których stanął Warren Oakes, wysoki i opalony czterdziestoletni mężczyzna o wyglądzie i uroku bożyszczą kobiet z lat pięćdziesiątych. Brakowało mu jednak klasy, która pozwoliłaby mu sięgać po sukcesy w świecie ludzi walczących o najwyższe stanowiska.

Jednakże był jej potrzebny, a szczególnie przydał się na samym początku istnienia agencji, przed dziesięcioma laty. Były to czasy, w których na przyjęciach w Aspen obowiązkową niemalże atrakcją była cukiernica wypełniona kokainą, a przy każdej prawie transakcji częścią umowy stawała się celofanowa torebeczka białego proszku. Nie chcąc osobiście angażować się w takie operacje, zlecała je Warrenowi.

Bomba podłożona w 1985 roku w dziuple należącym do jednego z miejscowych handlarzy narkotyków przyniosła kres obecności kokainy na towarzyskiej i handlowej scenie w Aspen. Lecz Warren wciąż był przydatny, zarówno jako źródło cennych informacji o „dawnych” czasach, jak i człowiek wystarczająco silny, żeby wykonywać jej polecenia, wystarczająco jednak słaby, żeby nie mieć własnych ambicji.

- Cześć, Sondra. - Uśmiechnął się do niej ukazując olśniewająco białe zęby pokryte emalią dentylistyczną. - Nie spodziewałem się, że cię tu jeszcze zastanę. Jak ci się dzisiaj powiodło z królem kurczaków z Arkansas i jego pulchną żonką?

- Mówisz o Atchinsonach?

Pomyślała o rumianym, prostackim milionerze, któremu udało się dorobić sporej fortuny na dostawie kurcząt supermarketom w całym kraju. Na jej twarzy malował się wyraz pogardy.

- Ten biedak wciąż ma złudzenie, że na tym świecie liczą się umiejętności, a nie znajomości. Nigdy nawet nie słyszał o Mosbacherach. Ma szczęście, że jego żona jest nieco mądrzejsza.

Odeszła od okna.

- A powracając do twojego pytania, to myślę, że będziemy mieli jakąś korzyść z tego popołudnia.

- To świetnie.

Warren usiadł na krześle znajdującym się przed biurkiem Sondry, odruchowo wygładzając załamania szarych spodni.

- Czy masz listę, gości na dzisiejsze przyjęcie? Nie widzę jej na biurku.

- Mam ją tutaj.

Sięgnął po kopertę do kieszeni wełnianej kurtki, i unosząc się lekko z krzesła, podał Sondrze.

Wyjęła listę z koperty.

- Chcę mieć spis danych dotyczących tego kompleksu handlowego w centrum. Pokażę go dzisiaj Lassiterowi. Myślę, że teren jest wystarczająco duży, żeby go zainteresować, ale trzeba dostarczyć mu szczegółowych informacji.

- To jest kopia dla ciebie - powiedział, wyjmując z teczki kilka kartek i kładąc je na biurku.

Kiedy po nie sięgała, zadzwonił interkom, więc nacisnęła odpowiedni guzik.

- O co chodzi, Susan?

- Mam na linii pana Atchinsona - dobiegł ją głos sekretarki. - Chce koniecznie z panią rozmawiać.

Ze zniecierpliwieniem spojrzała na zegarek - złoty Cartier, zdając sobie sprawę, że jest już późno.

- Proszę mnie połączyć - odpowiedziała szybko.
 Starła się opanować i ukryć poirytowanie.

- Panie Atchinson, nie spodziewałam się, że tak szybko pan zadzwoni - powiedziała z wystudiowaną uprzejmością.

- Po wyjściu od pani rozmawialiśmy o wszystkim z Idą - rzekł szorstkim głosem, z wyraźnym akcentem. - Mieliśmy jutro skontaktować się z panią, ale zdecydowaliśmy się najpierw pojechać do Vail i tam jeszcze raz obejrzeć dom, który nam się bardzo podoba.

- Myślę, że to bardzo rozsądnie z państwa strony - odpowiedziała gładko Sondra zaciskając szczęki.

- Kupno drugiego domu to ważna decyzja i z pewnością nie można jej podejmować w pośpiechu. W Vail jest wiele pięknych budynków. No i bywa tam Gerald Ford. Z kolei do Aspen na wypoczynek często przyjeżdża rodzina Kennedych.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Sondra nie przerywała jej, pozwalając Atchinsonowi zrozumieć subtelną aluzję ukrytą w jej słowach.

Warren Oakes siedział w milczeniu, słuchając słów Sondry z rozbawieniem i zazdrosnym podziwem. Pod cienką powłoką jej zewnętrznego opanowania kipiała złość. Miał wrażenie, że to właśnie złość jest przyczyną jej wiecznego niezadowolenia - i jej ambicji.

- Idzie bardzo podobał się dom na Red Mountain, który pani nam proponowała - powiedział w końcu Atchinson. - Mówiła pani, że właściciel żąda trzech i pół miliona. Czy pani myśli, że będzie go można kupić za trzy?

Sondra uśmiechnęła się.

- Jest to możliwe. Ten dom czeka na nabywcę już od kilku miesięcy. Jeśli pan sobie życzy, mogę przedstawić pana ofertę na tę sumę.

- Proszę to zrobić.

- Zredaguję ją natychmiast i przyślę Warrena Oatesa do hotelu, w którym państwo się zatrzymali. Potrzebny będzie pański podpis.

Nigdy nie należało kupującemu bądź sprzedającemu pozostawiać zbyt wiele czasu do namysłu; w ten sposób transakcja mogła nie dojść do skutku.

- Przyniosłabym dokument osobiście, gdyby nie to, że jestem dziś zaproszona na przyjęcie.

- W porządku. Będziemy czekać na pana Oatesa.

Sondra odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Warrena z wyrazem zadowolenia w oczach.

- Oferują trzy miliony za dom Baxterów. Przygotuj ofertę i zanieś do hotelu. Zatrzymali się w „Little Nell”.

- Załatwione. - Kiwnął głową, cały czas podziwiając opanowanie Sondry.

Gdyby miał nadzieję na sprzedaż domu o tej wartości, uśmiechałby się teraz od ucha do ucha, a jednocześnie pocił z emocji - aż do sfinalizowania transakcji. Lecz Sondra nigdy nie dawała nic poznać po sobie.

Rozdział szósty

Fryzjerka zgrabnie wsunęła zbłąkany jasny kosmyk na właściwe miejsce, po czym spryskała włosy lakierem.

- Ma pani wspaniałe włosy - powiedziała do Kit. - Takie gęste. Może pani z nimi zrobić wszystko.

- Zawdzięczam je mojej szwedzkiej babce - rzekła Kit przymykając powieki, podczas gdy energiczna brunetka upinała jej włosy w grecki węzeł.

- Założę się, że zawdzięcza jej też pani kolor. - Fryzjerka cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się swemu dziełu, po czym oznajmiła: - Myślę, że już gotowe. Proszę spojrzeć.

Kit otworzyła oczy i przez dłuższą chwilę studiowała swoje odbicie w jasno oświetlonym lustrze, starając się nie zauważać chrapiącej sukni szarawej plastikowej pelerynki.

- Wspaniale - stwierdziła z aprobatą.

Fryzjerka nachyliła się, by odwiązać pelerynkę. Jej pełna, okolona włosami twarz ostro kontrastowała w lustrze z odbiciem Kit.

- Gdyby Beau teraz panią widział, przestałby latać za innymi kobietami - powiedziała, mając na myśli ukochanego Kit z opery mydlanej. - Oglądam każdy odcinek *Wichrów przeznaczenia*. - Zdjęła pelerynkę i zaczęła ją składać. - Prawdę mówiąc nie wiem, dlaczego znosi pani tego obrzydliwego, niewiernego krętacza.

- Co mogę zrobić? Kocham go - odpowiedziała przyjmując konwencję rozmowy zaproponowaną

przez fryzjerkę i sięgnęła po parę kosztownych rubinowo-brylantowych kolczyków z epoki Edwarda VII, które pożyczyła na dzisiejszy wieczór.

- Powinna go pani rzucić - poradziła brunetka. - To niedobry człowiek i nie uda się pani go zmienić. - Schowała pelerynkę do torby.

- Pewnie nie - rzekła Kit, kryjąc rozbawienie i założyła jeden z kolczyków. Wiedziała już, że grana przez nią postać zniknie z serialu w odcinku, który miał zostać nadany w najbliższym tygodniu. - Być może zerwę z nim, tym razem już na dobre.

- Zobaczysz pani, że na dłuższą metę będzie pani dużo szczęśliwsza. Proszę mi wierzyć. - Fryzjerka podniosła ogromnych rozmiarów torbę, zarzuciła ją na ramię i skierowała się w stronę drzwi. - Życzę dobrej zabawy.

- Dziękuję. - Kit uśmiechnęła się do fryzjerki, która pomachała jej ręką na pożegnanie.

Gdy została sama w pokoju, powróciło uczucie napięcia wywołane świadomością, że na dzisiejszym przyjęciu dobroczynnym spotka Bannona. Odkąd jego matka zmarła na złośliwy nowotwór, wraz z ojcem gorliwie popierał Amerykańskie Towarzystwo do Walki z Rakiem. Nie mogło go zabraknąć na przyjęciu, z którego dochód miał wpłynąć do kasy Towarzystwa.

W każdym razie i tak czekało ją spotkanie z Bannonem, nie dlatego bynajmniej, że mieszkał w Aspen. Jej ojciec ustanowił go wykonawcą testamentu i należało teraz omówić wiele spraw dotyczących rozporządzenia majątkiem. Obawiała się tego spotkania. Wiedziała, że będzie ono bardzo dla niej trudne, mimo że od rozstania z Bannonem minęło już dziesięć lat.

Wszystkie rany zblizniają się w końcu, lecz te najgłębsze potrafią pozostawiać po sobie ból trwający nawet całe życie, nie pozwalający zapomnieć przyczyny. Jednakże rozpamiętywanie, zamartwianie się na pewno nic nie może na to pomóc. Odganiając natrętne wspomnienia, wzięła do ręki drugi kolczyk.

Zapiawszy go w uchu wstała z miękkiego, wyściełanego pluszem taboretu i podeszła do łóżka, na którym leżała pelerynka w złocistym odcieniu sukni i długie rękawiczki, jedyny, oprócz kolczyków, dodatek do luźnej kreacji.

Naciągając rękawiczkę, usłyszała pukanie do drzwi i głos Johna Travisa:

- Mogę wejść?

- Wchodź, oczywiście.

Sięgnęła po drugą rękawiczkę i rzucając okiem na zegarek stojący na stoliku przy łóżku stwierdziła z satysfakcją, że jest gotowa całe dziesięć minut przed wyjściem.

Do pokoju wszedł John. Jego widok wzbudził uczucia radości i podekscytowania, które wydawały się przybierać na sile z każdym kolejnym spotkaniem. Uśmiechnęła się, obejmując go wzrokiem. Miał na sobie nienagannie skrojony smoking, którego głęboka czerń podkreślała złocisty kolor włosów.

- Wspaniale wyglądasz - powiedziała, naciągając rękawiczkę na łokieć. - Smoking leży na tobie doskonale.

- Dziękuję. - Skłonił głowę, z lekkim uśmiechem przyjmując komplement. - Widziałem, jak fryzjerka wychodziła i pomyślałem, że zastanę cię samą.

- Pewnie miałaś nadzieję, że zastaniesz mnie niekompletnie ubraną - zażartowała. - Ale nie masz szczęścia. Co myślisz o moim stroju? - Gestem modelki oparła dłoń o biodro i okręciła się powoli, prezentując suknię. - Podoba ci się?

Wyglądała stylowo, elegancko, trochę nieprzystępnie. Zbliżywszy się zauważył nie przykryte makijażem złote piegi. To sprawiło, że z bogini przemieniła się znów w ciepłą, żywą kobietę.

Trzymał ją w niepewności udając, że przygląda się jej krytycznie, by w końcu powiedzieć:

- Nie wygląda to dobrze. Czegoś tu brakuje.

- Żartujesz? - Zaniepokojona spojrzała w lustro. - Suknia jest piękna i dobrze leży. Niczego nie bra...

- Właśnie, że brakuje - przerwał i uniósł jej prawą dłoń. - Potrzeba jeszcze tego.

Wyjął z kieszeni bransoletę, włożył na rękę Kit i zapiął starannie. Zaskoczona, stała wpatrzona w delikatne złoto-platynowe cacko wysadzone małymi diamencikami.

- Jest piękna - szepnęła, poruszając ręką i obserwując lśnienie kamieni.

- To dla ciebie - rzekł John, a widząc, że Kit kręci głowę, jakby miała ochotę odmówić, dodał: - Bardzo proszę, przyjmij ją. Jedyne w swoim rodzaju piękne ozdoby powinny być noszone przez jedyną w swoim rodzaju piękną kobietę.

Uśmiechając się dotknęła dłonią jego policzka.

- Nawet jeśli mówisz tak do każdej znanej ci kobiety, bardzo mi się to podoba. I bardzo ucieszył

mnie prezent od ciebie.

Pocałowała go w usta. Czując ciepły dotyk jej warg, przytulił ją mocno, pogłębiając pocałunek, nie dbając o to, że może pognieść suknię czy zetrzeć makijaż. Za wszelką cenę chciał trzymać tę kobietę w ramionach, dotykać, czuć jej ciepło, wyzwalać budzące się w niej emocje, upajać się nią jak mocnym winem.

Głosy dobiegające z korytarza przywróciły ich do rzeczywistości. Odsunął się, zwalniając uścisk i obserwując, jak z wolna, otwiera oczy.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym tu zostać z tobą zamiast iść na przyjęcie - szepnął, wiedząc doskonale, że musi być na nim obecny, gdyż tak zarządził Lassiter.

- To kuszące - szepnęła w odpowiedzi. - Bardzo kuszące. - Przyglądała się brzoskwiniowemu śladowi szminki na wargach Johna, rozkoszując się jeszcze siłą pocałunku i wywołanym przezeń podnieceniem i uczuciem bliskości. Łatwo mogła teraz zrezygnować z ostrożności i rozkochać się w nim bez pamięci, tak jak wyobrażała to sobie w marzeniach. Bardzo łatwo. - Ale masz rację. - Westchnęła z żalem. - Musimy dołączyć do innych.

Bez sprzeciwu pozwolił jej wysunąć się z objęć.

- Musisz jeszcze raz nałożyć szminkę.

Podeszła do toaletki i wyjęła papierową chusteczkę z pudełka. Podała ją z uśmiechem Johnowi.

- A ty ją zetrzyj.

Dotknął palcami warg, po czym, lekko rozbawiony, przyjrzał się brzoskwiniowemu śladowi. Wziął chusteczkę od Kit i obserwował, jak nakłada świeżą warstwę szminki. Otarł usta.

Spodobała mu się ta scena - Kit siedzi przed lustrem, ubrana do wyjścia na przyjęcie, na które pójdą razem, i poprawia zniszczony przez niego makijaż. Poczł wielkie zadowolenie i odprężenie. Kusiło go, by podejść teraz do Kit, położyć dłonie na jej odkrytych ramionach, a potem delikatnie pieścić szyję. Wyraźnie tracił głowę.

- Już - powiedziała, zadowolona z efektu. Wstając wrzuciła szminkę do plecionej torebki w kolorze starego złota i podeszła do łóżka po pelerynkę.

- Mam nadzieję, że podadzą szampana. Uwielbiam szampan i blask księżycy.

- Księżycowe noce są dobre dla nastolatków - powiedział. - A ty i ja jesteśmy ludźmi z krwi i kości. Powinniśmy interesować się czymś bardziej rzeczywistym.

Pokręciła głową z lekkim podziwem.

- Umiesz postępować z kobietami.

- Czemu ciągle mi to wypominasz? - zapytał z wyrzutem, posmutniawszy nagle.

- Żeby się bronić. - Spojrzała mu w oczy.

Jego rozplamiony wzrok świadczył, jak bardzo jej pragnie i potrzebuje.

W ostatnim miesiącu miała okazję odczuć z bliska atmosferę napięcia i nacisków, jaka towarzyszyła jego pracy. Z pewnością potrzebował teraz ciepła, wewnętrznego spokoju, radości, które daje świadomość bycia kochanym. A ona bardzo chciała ofiarować mu swoją miłość. Czowała jednak, że nie jest jeszcze gotowy na jej przyjęcie i wcale nie miała pewności, czy kiedykolwiek do tego dojrzeje. Bała się ponownego odrzucenia uczuć.

- Bronić się? Przed kim? Przede mną? - Zdziwił się.

Kit zarzuciła pelerynkę na ramię, i śmiejąc się, zwróciła się do Johna z udawanym wyrzutem:

- Czy naprawdę chcesz mi wmówić, że byłabym pierwszą kobietą, która dla ciebie straciła głowę?

- Być może chcę ci dać do zrozumienia, że jesteś pierwszą kobietą, dla której ja mogę ją stracić. - Zauważyła, że poczuł się dotknięty jej uwagą.

- Życie jest pełne ryzyka - powiedziała łagodnie i podała mu ramię. - Dlatego tak cudowne są chwile szczęścia. Pójdziemy już?

Zauważył wesołe błyski w jej oczach. Wciąż miał ochotę ją zbesztać. Lecz było to niemożliwe, bo chęć ponownego pocałowania jej była znacznie silniejsza. Wzdychając, podążył za nią.

Bannon stał przed komodą z lustrem w sypialni o belkowanym suficie i w roztargnieniu zapinał białą koszulę. Zszyta z kwadratowych kawałków materiału i wypełniona gęsim puchem kołdra nakrywała stojące w głębi podwójne łóżko. Nakrycie spłowiało i straciło już swoje żywe kolory, podobnie jak pleciony dywanik na drewnianej podłodze. W rogu pokoju stało krzesło z ozdobnym oparciem zwrócone w kierunku czarnej paszczy wysłużonego kominka, który w swoim czasie był jedynym źródłem ciepła. Pokoju z pewnością nie dałoby się nazwać komfortowym, był jednak przytulny i

solidny.

- Cześć. - Laura weszła do sypialni i zatrzymując się przy komodzie oparła brodę na dłoniach. Jej włosy, luźno spadające na ramiona, wyglądały jak błyszcząca czarna kurtyna.

- Cześć. - Bannon uśmiechnął się do niej, wciągając cytrynowy zapach szamponu, którym umyła włosy. - Spakowałaś się już?

- Tak. Szczoteczkę do zębów też. - Wymachując nogą obserwowała, jak ojciec zapina mankiet koszuli. - Jesteś już gotowy?

- Prawie. - Sięgnął po drugą spinkę.

- Dziadek jest już ubrany. Kiedy przechodziłam koło jego pokoju, zobaczyłam, jak przegląda się w lustrze - stwierdziła patrząc na ojca wzrokiem wyrażającym „mówiłam ci, że tak będzie”, po czym podbiegła do łóżka.

- Zrobiłaś sobie kanapkę? - Bannon obserwował córkę w lustrze. Bawił go znudzony, lekko zniecierpliwiony wyraz jej twarzy.

- Nie. Jak tylko przyjadę do Buffy, zrobimy sobie pizzę - odparła, rzucając się na łóżko.

Bannon wsunął poły koszuli w spodnie, słuchając jęków sprężyn uginających się pod ciężarem skaczącej Laury. Po chwili zapadła cisza. Spostrzegł, że córka siedzi na brzegu łóżka i przygląda się oprawionej w ramki z orzechowego drewna ślubnej fotografii stojącej obok lampy na nocnym stoliku. Ręka, którą sięgał po czarną muszkę, znieruchomiała na chwilę w powietrzu, gdy zobaczył, że Laura bierze zdjęcie i zaczyna mu się pilnie przyglądać.

- Tato, czy jestem podobna do mamy?

- Kiedy będziesz miała dziewiętnaście lat, będziesz wyglądać tak jak ona. - Odrzuwając wzrok od lustra, Bannon postanowił nie wkładać muszki i znalazł wstążkę z czarnego jedwabiu, którą jego ojciec nazywał „niedzielną”. - Tyle lat miała twoja mama, gdy robione było to zdjęcie.

- Chciałabym mieć mamę - westchnęła przejmująco Laura.

Ścisnęło się w nim serce, gdy usłyszał te słowa przepelnione uczuciem samotności i tęsknoty za matką. Pomyślał o tamtym wieczorze, kiedy po raz pierwszy ujrzał Dianę w barze „Jerome”, a ona uśmiechnęła się do niego i przyglądała mu się roziskrzonym, wymownym wzrokiem. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata, zaś ona była typem żywiołowej ciemnookiej piękności, o jakiej marzą mężczyźni.

Nie przejmowała się siedzącym obok niej przystojnym młodzieńcem, który okazał się być jej chłopakiem.

Gdy Bannon wszedł do baru, było w nim już bardzo tłoczno i gwarno. Miejsca przy stolikach zajmowali głównie narciarze, włączące się za nimi dziewczyny i trwoniąca czas na zabawach młodzież. Nie lubił takich lokali. Postanowił szybko wypić drinka i wyjść.

Poszedł za Sondrą w kierunku stolika, przy którym siedzieli jacyś hałaśliwi młodzi ludzie. Jego wzrok zatrzymał się na ciemnowłosej dziewczynie o pełnych czerwonych ustach. Uniosła głowę i prowokująco spozjrzała na niego ciemnymi oczami. Wrażenie, które na nim wywarła, pozbawiło go tchu.

Wysunął krzesło, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Zignorował otaczających ją mężczyzn, którzy próbowali dać mu do zrozumienia, że jest intruzem. Znał dobrze ten typ młodych ludzi, synów wpływowych osób z Denver, zainteresowanych jedynie przyjemnościami i łatwo przychodzącymi pieniędzmi. Teraz, ubrani w wełniane swetry z golfem, wyglądali jak członkowie jednego bractwa.

Machinalnie usiadł, nie zwracając uwagi na ich przechwałki dotyczące ilości zjazdów czy zdobytych stoków, nadal wpatrzony w Dianę. Siedząca obok Sondra Hudson zapytała:

- Jak długo mieszkasz w Aspen?

- Od urodzenia.

- Tubylec - stwierdziła Diana, a wokół ust pojawiły się urocze dołeczki. - To niezwykle. - Odrzuciła włosy do tyłu, nie przestając przyglądać się Bannonowi. - Moja siostra zdążyła mi powiedzieć, że twoja rodzina ma tu ranczo.

- Tak. Stone Creek. Na wschód stąd, w kierunku Divide. - Miał wielką ochotę opowiedzieć jej o ranczu, ale nie tutaj, w tej sali pełnej hałaśliwych ludzi - w większości podpitych lub pijanych.

- To zależy, co nazywamy ranczem - wtrącił jej chłopak, David Thornton, a jego twarz wykrzywiła się w lekceważącym uśmiechu. Z miną posiadacza otaczał ramieniem szyję Diany.

- Widziałem kilka tak zwanych rancz w pobliżu Aspen. Nędzne dwa, cztery hektary. Mój wujek

posiada ośmiusethektarowe ranczo przy granicy z Wyoming. Jako dziecko jeździłem tam latem.

Bannon uśmiechnął się nieznacznie nad szklanką piwa, po czym popatrzył na Davida.

- Stone Creek ma tysiąc sześćset hektarów.

Ta spokojnym tonem wypowiedziana informacja spowodowała, że Thornton przyjrzał się Bannonowi uważnie, a Diana głośno się roześmiała.

- Zamknij się, Di - warknął Thornton.

- Dlaczego? - spytała z pretensją w głosie. - To ty zacząłeś ten temat.

Jeden z członków grupy wolno zbliżył się do stołu po dłuższym pobycie w toalecie.

- Co wam tak wesoło? Coś straciłem, gdy mnie nie było? Mam czego żałować? - Wodził po zgromadzonych przy stole nienaturalnie błyszczącym wzrokiem.

- Najwyżej siebie, Eddie - powiedział Thornton.

- Jestem wesoły chłopak - stwierdził Eddie z głupawym uśmiechem na twarzy, po czym uniósł dzbanek z piwem i wlał połowę jego zawartości w wysuszone kokainą gardło.

- Do diabła, Eddie, równie dobrze mogłeś napluć do środka - użalił się jeden z kolegów.

- Hej, idzie Andy Holmes - powiedział Thornton i włożywszy dwa palce do ust, zagwizdał na słynnego narciarza, którego wielu Amerykanów uważało za kandydata do złotego medalu w slalomie gigantów na ostatnich igrzyskach olimpijskich, dopóki z udziału w zawodach nie wyeliminowała go kontuzja. - Andy! - zawołał, machając do niego ręką i wstając, by zaprosić go do stolika. - Cieszę się, że cię widzę! Spotkaliśmy się w zeszłym roku na przyjęciu. Nazywam się David Thornton - przypomniał się narciarzowi.

- Aaa, David. Jak się masz?

- Świetnie. Usiądź z nami i napij się piwa.

- Przepraszam, ale skorzystam z zaproszenia kiedy indziej. Muszę... - przerwał w pół zdania, zauważając Bannona. - Cześć, chłopie! Gdzie się podziewasz? Nie widziałem cię na nartach w tym roku.

- Byłem zajęty.

- Umówmy się i parę razy sobie zjedziemy, zanim będziesz musiał wrócić do swoich ksiąg prawniczych.

- Dobrze. Chętnie.

Bannon poczuł na sobie wzrok Diany i ponownie zaczął wpatrywać się w nią jak urzeczonego. Przenikał go dreszcz i drętwiał cały pod wpływem jej spojrzenia. Wydawała się być z czegoś bardzo zadowolona.

Jakby z oddali usłyszał głos Thorntona, lecz nie rozróżnił słów. Po chwili, niewątpliwie odpowiadając na pytanie Thorntona, odezwał się Andy Holmes:

- Pewnie wychodzą z baru, żeby przyjrzeć się świetlistej parady narciarzy.

- Ja też chcę to zobaczyć! - Diana zerwała się z krzesła, nim Andy skończył mówić.

- Po jaką cholerę? Po prostu grupa narciarzy zjeżdża z góry z pochodniami. - To takie bajery dla turystów - szydził Thornton. Szkoda tracić stolik.

- Więc zostań i go pilnuj - powiedziała wysuwając się zza stołu. - Pójdę z Bannonem.

Śmiejąc się z naburmuszonego Thorntona, chwyciła Bannona za rękę i pociągnęła za sobą do wyjścia. Udał się za nią posłusznie, a ciepło jej ręki pobudzało wyobraźnię i sprawiało, że marzył o poznaniu całego jej ciała.

- Thornton nie był najszcześliwszy, kiedy wychodziłaś ze mną - stwierdził, gdy wyszli z baru.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Skwitowała jego uwagę beztroskim wzruszeniem ramion.

Bannon wiedział, że nie powinien wychodzić z dziewczyną innego mężczyzny. Czuł wyrzuty sumienia. Nie tak go wychowywano.

Przedzierał się z Dianą przez zgromadzony przed hotelem tłum, odpowiadając na powitalne okrzyki skinieniem głowy lub gestem ręki. Zatrzymał się, gdy wreszcie udało im się znaleźć spokojne, puste miejsce.

- Będziemy stąd mieli dobry widok.

- Świetnie. Kocham pokazy, każdy rodzaj pokazów. - Przechyliła kokieteryjnie głowę. Jej czarne włosy stopiły się z ciemnością, podkreślając delikatny owal twarzy. - A ty?

Dziwiąc się samemu sobie Bannon bez namysłu podzielił jej zdanie. Oczarowała go ta tajemnicza, powabna dziewczyna. Była jak wieczorny wiatr - nieodgadniona, nieuchwytna; uwodzicielska, żywa i kusząca.

Jego uwagę przyciągnęły przeblyskujące w ciemności światła. Spojrzał na pokrytą śniegiem górę, której wysoki szczyt majaczył na tle nieba.

- Startują - powiedział.

- Gdzie?

- Tam. - Wskazał punkciki świetlne, lecz potrząsnęła głową na znak, że ich nie zauważa i stanęła tuż przed nim, patrząc w kierunku jego wyciągniętej ręki.

Po chwili wyszeptała:

- Widzę.

Opuścił ramię i delikatnie przyciągnął ją do siebie. Poczul lekki zapach perfum pobudzający i tak już niespokojne zmysły.

- Jakie to piękne - powiedziała cicho.

Chciał jej powiedzieć, że to ona jest piękna, ale milczał obserwując wstęgi światła wijące się serpentynami po zboczu góry i zmuszał się do myślenia o czymś innym niż bliskość Diany.

- Sto lat temu, kiedy pracowały wszystkie kopalnie srebra na Aspen Mountain, takie widoki były codziennością - poinformował Dianę.

- Dlaczego?

- Codziennie o jedenastej w nocy kończyła się zmiana w kopalniach i setki górników schodziły zakosami po stoku, niosąc latarenki, żeby oświetlić sobie drogę. Z dom musiały one wyglądać tak jak teraz pochodnie w rękach narciarzy.

- To tu były kopalnie?

Uczulonemu na każdy jej ruch, każde spojrzenie Bannonowi wydawało się, że Diana przygląda się zboczom góry szukając śladów po kopalniach.

- Nawet kilka - Aspen, Emma, Durant, Homestake - wyliczał. - Zanim pojawiły się wyciągi narciarskie, kursowały tędy kolejki górnicze zwożące z kopalń rudę srebra. Kolejka do kopalni Aspen przebywała ponad półtorakilometrową trasę.

- Naprawdę? - zdumiała się Diana.

- Naprawdę. - Zrobił przerwę, a potem powiedział: - Oczywiście najslynniejszą kopalnią w Aspen, a niektórzy mówią, że i najbogatszą, przewyższającą wielkością wydobywania nawet słynną Comstock, była kopalnia Mollie Gibson na Smuggler Mountain. Ale największą bryłę srebra znaleziono w kopalni Smuggler. Ważyła prawie tonę. Trzeba było ją przeciąć na trzy kawałki, żeby wydobyć z kopalni.

- Taka wielka bryła. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Trudno to sobie wyobrazić.

- Tak było naprawdę.

- Co stało się z tymi wszystkimi kopalniami?

- Kiedy Stany Zjednoczone oparły walutę na złocie i spadły ceny srebra, kopalnie zamykano jedną po drugiej. W końcu wszystkie opustoszały, wejścia do szybów zasypano lub zabito deskami, tak jak w przypadku jednej z kopalń u nas na ranczu. Ale pod ziemią jest tu wciąż mnóstwo tuneli, pod górami, pod miastem... Teraz też, być może, stoimy nad jakąś dawną kopalnią.

Popatrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

- Żartujesz, prawda?

Stojąc za nią obserwował, jak pierwsi narciarze zbliżają się do końca trasy, znacząc ciemną linią biel śniegu. Lecz nieważni stali się narciarze, gdy odwróciła się i ujrzał przed sobą jej twarz z zapraszająco rozchylonymi wargami. Zniknęły resztki oporu i skrępowania.

Pochylił się nad nią i przywarł do jej pełnych, gorących ust, a ona wtuliła się w jego ramiona. Nic nie mogło ich teraz powstrzymać. Wzajemna fascynacja wybuchła z nadzwyczajną siłą i gwałtownie pobudziła głębsze i intensywniejsze odczucia. Nad ich głowami sztuczne ognie eksplodowały oślepiającą czerwienią, złotem i bielą, oświetlając ciemne niebo, lecz to było nic w porównaniu z wrażeniem, jakie wywarła na nim Diana.

Ta noc była początkiem wszystkiego. Od tej pory wspólnie spędzali każdą wolną chwilę, wolną godzinę, wolny wieczór. Pokazywał jej Aspen - stoki narciarskie, deptak, przytulne restauracje, zatłoczone lokale nocne, sklepy. Któregoś dnia jeździli na sankach przy świetle księżyca.

Tydzień szybko się skończył. Bannon wyjechał do Boulder, by kontynuować studia na uniwersytecie, a Diana wróciła do Denver. Myślał o niej bezustannie i bardzo jej pragnął.

Już po kilku dniach nie wytrzymał i pojechał do Denver, żeby ją znowu choć na chwilę zobaczyć. Odtąd jeździł już niemal codziennie. Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo, był jednak bezsilny

wobec tej ognistej dziewczyny, która za każdym razem witała go z żywiołową radością i wydawała się bardzo nieszczęśliwa i opuszczona, gdy wyjeżdżał.

Po czterech tygodniach od ich pierwszego spotkania przytulając się mocno do Bannona, powiedziała:

- Nie odjeżdżaj, proszę. Nie mogę żyć bez ciebie Bannonie, czy ty mnie kochasz?

Został więc, a następnego dnia uciekli, by się pobrać - ku przerażeniu jego, a wielkiej radości jej ojca, zachwyconego faktem pozbycia się drugiej córki z domu.

W miesiąc później Diana była już w ciąży. Nie mogąc poradzić sobie ze studiami i słabością żony cierpiącej na poranne nudności, Bannon zabrał ją na ranczo i powierzył opiece ojca i gospodyni, Sadie Rawlins. Po trzech miesiącach wrócił - z dyplomem w kieszeni.

Diana miała już za sobą poranne kłopoty związane z ciążą i czuła się uwięziona na ranczu, z dala od miasta, przyjęć, rozrywek i przyjaciół. Nudziła się w nowym otoczeniu.

Któregoś letniego popołudnia na ranczo zawitał David Thornton. Bannon kosił akurat trawę na łące. Zbliżając się do domu usłyszał wesoły śmiech Diany zmieszany ze śmiechem Thorntona. Nagle zdał sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy ostatni raz widział żonę uśmiechniętą.

Gdy tylko pojawił się na werandzie, zapadła cisza.

Thornton odwrócił się w stronę Bannona i powiedział kpiąco:

- Czemu tak się śpieszysz do domu? Czyżbyś nie miał zaufania do żony?

Zaśmiał się nieprzyjemnie i w tym momencie Bannon go uderzył. Diana wydała okrzyk protestu, lecz Bannon, nie zwracając na nią uwagi, ponownie natarł na Thorntona.

Bójka skończyła się w chwili, gdy Diana zastoniła sobą leżącego Thorntona. W jej czarnych oczach płonących oburzeniem Bannon dostrzegł cień wrogości. To go zmroziło. Popatrzył na dźwigającego się z rozbitą wargą i siniejącym podbródkiem Thorntona. Zrozumiał, że mimo zwycięstwa w walce, przegrał.

Starał się jeszcze ratować swe małżeństwo, lecz gdy wkrótce po cesarskim cięciu, dzięki któremu przysła na świat ich córka, odwiedził bladą i słabą Dianę w szpitalu, zrozumiał, że jej miłość minęła.

- Zrobiłam błąd wychodząc za ciebie. Powinnam była poślubić Davida - wyszeptwała. - Ty i ja zupełnie do siebie nie pasujemy. - Urwała i spojrzała na niego pogardliwie. - Nienawidzę cię.

Były to ostatnie słowa, jakie od niej usłyszał. Umarła kilka godzin później. Nigdy nie udało się ustalić przyczyny jej śmierci. Byli tacy, co w nim widzieli winowajcę. Być może mieli rację.

Była piękna, prawda, tatusiu? - wyszeptwała Laura, delikatnie gładząc fotografię.

Bannon z trudem oderwał się od wspomnień i spojrzał na córkę. Podeszedł do niej i objął jej szczupłe ramiona.

Wiedział, że stworzyła sobie wspaniały, zgodny z dziecięcym pragnieniem, obraz matki. I jak w bajce ten obraz zawsze musiał być czysty i jasny.

- Była piękna, Lauro. Bardzo piękna. Miała długie czarne włosy, które błyszczały w słońcu, tak jak twoje. Miała takie same czarne oczy. I bardzo cię kochała. Kochała nas oboje - skłamał.

Laura słuchała go w milczeniu, starając się jak najdokładniej zapamiętać jego słowa. Z uśmiechem zadowolenia pozwoliła mu odstawić fotografię na nocny stolik. Wiedział, że córka jest teraz szczęśliwa. I tylko to się liczyło.

- Weź swoje rzeczy i zanieś je do samochodu - powiedział. - Zaraz będę gotowy. - Wstał i wsunął czarną jedwabną wstążkę pod biały kołnierzyk koszuli.

- Dobrze. - Podeszła do drzwi, wciąż z wyrazem zadowolenia na twarzy, ciesząc się jego słowami.

Bannon spojrzał w lustro i zawiązał wstążkę, po czym sięgnął po marynarkę. Z uczuciem ostrego, przeszywającego żalu przypomniał sobie, jaki był za młodu, jak rozkoszował się życiem, jakie towarzyszyły mu nastroje, nadzieje i marzenia. Przede wszystkim miał wtedy zaufanie do ludzi i wiarę we własne możliwości. Wiarę i entuzjazm.

Rozdział siódmy

Limuzyna przecinała rzucane przez uliczne latarnie smugi światła. Liście, opadające z wyniosłych, przed stu laty zasadzonych topoli, wirowały w podmuchach powietrza wzniesionych przez samochód.

Zajmująca tylne siedzenie Kit twarzą zwrócona była do okna. Jej szyję otaczał wysoki marszczony kołnierz wieczorowej peleryny. Paula siedząca przed nią na wygodnie odchyłonym fotelu, leniwie skrzyżowała nogi i spytała obojętnie:

- Ile osób będzie na przyjęciu?
- Prawdopodobnie około dwustu - rzekł John.
- Aż tyle - jęknęła Kit.
Spojrzał na nią rozbawiony.
- Myślałem, że lubisz przyjęcia.
- Przyjęcia - tak - odpowiedziała. - Ale nie te nadęte imprezy dla wyższych sfer, na których ludzie spotykają się jedynie po to, żeby puszyć się swoim bogactwem. Zawsze czuję, że powinnam wtedy uważać na to, co mówię.
- Jak byśmy wszyscy nie musieli na to uważać - rzekła półgłosem Paula wyglądająca bardzo egzotycznie w sukni od Armaniego. Siedzący obok niej Chip wyciągnął szyję poprawiając ciasny kołnierzyk.
- Tak, ale w przeciwieństwie do ciebie, Paulo, nigdy nie nauczyłam się dobrze kłamać. - Kit uśmiechnęła się do przyjaciółki.
- Nauczysz się - odpowiedziała z przekonaniem Paula.
Kit zaniepokoiły te słowa, lecz skwitowała je obojętnym:
- Być może.
Limuzyna wjechała z osłoniętego drzewami terenu w rześcisie oświetloną dzielnicę handlową w centrum Aspen. Kit od razu zauważyła dwupiętrowy hotel z cegły, który był celem ich podróży.
- A oto i „Jerome” - powiedziała. - Aż trudno uwierzyć, że zbudowano go w tym samym czasie co pierwszy drapacz chmur w Chicago.
- Czy byłeś już w „Jerome” po renowacji? - John zdusił papierosa w popielniczce na oparciu.
- Tylko raz. Jadłam z ojcem kolację w sali Silver Queen. Czy wiesz, że Gary Cooper lubił siadywać na ławce przy wejściu do hotelu i przyglądać się przechodzącym dziewczynom?
- Gary Cooper? - powtórzyła Paula z niedowierzaniem.
Kit potwierdziła skinieniem głowy.
- Dawniej, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, przyjeżdżało tutaj wiele gwiazd z Hollywood. Istnieje mnóstwo niekończących się opowieści o Hedym Lamarze przesiadującym tu całymi dniami na stołku barowym i o Duke’u, który wdawał się w bijatyki i wykupywał tereny, gdzie dawniej wydobywano srebro. Tutaj mieszkała Norma Shearer. Widziałam też zdjęcie Lany Turner z jej ówczesnym mężem, Lexem Barkerem jedzących obiad w „Jerome”. - Kit uśmiechnęła się znacząco. - Oczywiście miała na sobie sweter. - Po chwili przypomniała sobie coś innego. - Ojciec mówił, że po wybudowaniu basenu urządzano tu przyjęcia i goście wskakiwali do wody w ubraniu lub bez - na długo przed tym, jak dzięki Kennedym stało się to modne.
- Ty też wskakiwałaś? - zapytał John z frywolnym uśmiechem.
- Niestety, nie - odparła wesoło. - Te przyjęcia odbywały się, zanim zaczęłam tu bywać.
- Jak wyglądał „Jerome”, kiedy byłaś małą dziewczynką? - zagadnął Chip. Obudziła się w nim zawodowa ciekawość scenarzysty.
- Zupełnie inaczej niż teraz. Jakiś czas po II wojnie światowej pomalowano cegły na białe, a kamienne łuki nad oknami - na niebiesko. Nazywaliśmy go budynkiem z niebieskimi brwiami - wspomniała z uśmiechem. - Zawsze wyglądał obskurnie i tak, jakby lada moment miał się zawalić. Od czasu do czasu próbowano go odnawiać. Mimo wszystko bar „Jerome” był zawsze jednym z najpopularniejszych miejsc spotkań po dniu spędzonym na nartach. Tu należało się pokazać. Najlepiej we frontowej sali. No, ostatecznie w Ladies’ Ordinary - ale znaleźć się w Aspen i nie trafić do „Jerome” było niewybaczalną gafą.
- Ladies’ Ordinary? A co to takiego? - Chip zmarszczył czoło i poprawił okulary.
- To boczna sala baru. Kiedy w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego wieku wybudowano hotel, w Ladies’ Ordinary mogła siedzieć samotna kobieta i publicznie popijać herbatę czy coś mocniejszego.
- Ale mi wolność - prychnęła Paula.
- Jak na tamte czasy to była rewolucja - przypomniała jej Kit i ponownie spojrzała na stary, elegancki hotel. - Kiedy dorastałam, sporo mówiło się o tym, że trzeba go zburzyć. Cieszę się, że tego nie zrobiono.
Liczne warstwy farby usunięto w czasie kapitalnego remontu. Fasady budynku z terakotowej cegły i różowego piaskowca przywrócono pierwotny wygląd. I raz jeszcze hotel „Jerome” objął niepodzielne panowanie na rogu ulic Mill i Main, stanowiąc nie tylko symbol przeszłości Aspen, ale i ważny element dnia dzisiejszego.

Przed portykiem wiodącym do głównego wejścia zatrzymywały się co chwila limuzyny, mercedesy oraz wszędobylskie range rovery. Tłumy ciekawskich przyglądały się wysiadającym z nich gościom przybyłym na ekskluzywne przyjęcie dobroczynne. Kiedy limuzyna Johna ustawiła się w rzędzie, czekając na swoją kolej, Kit przeniosła się wyobraźnią do okresu, gdy hotel „Jerome” uchodził za nowoczesny, a jego wystrój w stylu Eastlake stanowił szczyt mody; kiedy w mieście mówiło się o windzie, światłach elektrycznych, bieżącej ciepłej wodzie, kanalizacji oraz o francuskim kucharzu.

Gośćmi hotelu najczęściej bywali kapitaliści ze wschodnich stanów, potentaci kolejowi, właściciele kopalń srebra, a czasami, jakby na okrasę, pojawiał się europejski markiz. Przybywali oni okazałymi powozami zdobionymi mosiądzem i wyścielanymi lakierowaną skórą, jednokonnymi broughamami oraz lekkimi otwartymi pojazdami ciągniętymi przez dobrane pary kłusaków. Uliczni gapie wytrzeszczali oczy ze zdumienia na widok dżentelmenów we frakach i w cylindrach oraz urękawiczonych dam w ciasno zasnurowanych gorsetach pod jedwabnymi i atlasowymi, odsłaniającymi ramiona, sukniami.

Zmieniły się zewnętrzne oznaki bogactwa i wytworności, ale istota pozostała ta sama.

Stojący nieopodal portier w liberii pomógł Kit wysiąść z limuzyny. Kiedy zbliżyła się ochrona. Kit wzięła Johna pod ramię.

- Hej, John - zawołał ktoś.

Kit spojrzała w stronę, skąd doleciał głos i nagle oślepił ją błysk flesza. Zamrugowała oczami. Z pewnością fotoreporterzy dodali nowego smaczku temu miejscu - pomyślała, przyglądając się interweniującym ludziom z ochrony.

- Nie wygłupiaj się, John. Jeszcze tylko jedno zdjęcie z panną Masters - protestował brodaty fotograf nadal robiąc zdjęcia, mimo że zbliżał się do niego człowiek z obstawy.

John zignorował fotografa, kierując Kit w stronę hotelu. Szef ochrony torował im drogę.

Gdy znaleźli się wewnątrz, Kit przystanęła i przyłożyła rękę do oczu. - Ciągłe widzę plamki. Ci paparazzi są wszędzie. Nawet w Aspen.

John potwierdził skinieniem głowy.

- Jak śmieci na chodniku.

- To zbyt śmiała analogia - zaprotestowała z uśmiechem.

- Ale trafna - uciął, machając ręką do wchodzących właśnie Chipa i Pauli.

Sala balowa, której podłogi błyszcząły jak lustro, wypełniona już była tłumem i muzyką. Na stołach przykrytych adamaszkowymi obrusami błyszcząły kieliszki napełnione szampanem. W powietrzu unosił się zapach perfum i kwiatów.

John zatrzymał się i uważnie przyjrzał się zebranym. Opaleni kelnerzy w czarnych frakach krążyli pomiędzy gośćmi, roznosząc na tacach kieliszki Haut Brion oraz zamrożoną stoliczną dla tych, którzy woleli bardziej tradycyjny dodatek do miniaturowych blinów z kawiozem.

Grymas ironii pojawił się na ustach Johna, kiedy zauważył, ilu prywatnych członków ochrony uzupełnia hotelową służbę bezpieczeństwa. Niektórzy z nich rzucali się w oczy swą mocną budową i muskulaturą, inni niczym nie wyróżniali się w tłumie. Ich obecność została zaakceptowana, przyjęta za rzecz naturalną i ignorowana przez gości, jak gdyby ludzie z ochrony nie byli niczym więcej niż dodatkami w rodzaju spinek do mankietów. Naprawdę potrzebni byli tylko niektórym, dla innych stanowiąc jedynie symbol pozycji. John pomyślał, że z pewnością są charakterystycznym znakiem dzisiejszych czasów.

Zajął się gośćmi, którzy przyszli na przyjęcie, aby potańczyć i dać się sfotografować, płacąc za ten przywilej tysiąc dolarów od osoby. Wśród zaproszonych znajdowało się wielu jego znajomych, a jeszcze więcej tych, których znał z widzenia - Mosbacherowie, Bassowie, Murdochowie, Fieldowie, Nicholson z przyjaciółką, Ponda i Turner. Była to elita odwiedzających Aspen - bogatych, wpływowych i sławnych, z kilkoma miejscowymi osobistościami dla ozdoby. Między nimi krążyli przedstawiciele prasy, rejestrując każdą ciekawszą kreację.

- Sama śmietanka - powiedziała cicho Paula, kończąc swój własny przegląd zebranych.

- Niezupełnie - odpowiedział John. - My tu jesteśmy.

- Mów za siebie - odparowała, żartobliwie marszcząc czoło.

Kit nie zwróciła uwagi na ich krótką wymianę zdań zajęta śledzeniem tłumy gości. Przygotowywała się psychicznie na spotkanie z Bannonom. Nie widząc go odprężyła się na chwilę i przyjrzała wspaniale odnowionej wielkiej sali balowej, której ściany pokryte były wzorzystą tapetą w złotawym

odcieniu. Na szerokich oknach udrapowano zasłony z adamaszku.

- Czyż to nie doskonała sceneria dla filmu kostiumowego, Chip? - zagadnęła, wyobrażając sobie scenę z parami tańczącymi walca; mężczyźni we frakach i kobiety w sukniach z tiurniurą, szytych ze szmaragdowego atlasu, szkarłatnego muślinu i jedwabiu koloru kości słoniowej. Zdawało jej się, że słyszy trzepot wachlarzy i perfumowanych chusteczek, szelest jedwabiu i krepy, i czuje unoszący się w powietrzu zapach olejku laurowego i werbeny oraz wody różanej.

Chip przyglądał się jej uważnie przez chwilę.

- Jesteś podobna do dziewczyny z ilustracji Gibsona.

Podszedł Maury.

- Ona byłaby idealna we wszystkim. Zaproponuj coś - a Kit zagra tę rolę.

- Nie musisz mi jej zachwalać - zgasił go Chip. - Znam się na tym lepiej od ciebie.

- Widzisz naszego gospodarza? - spytała Paula.

- Nie. - Obserwując znajome twarze, John myślał z niechęcią, że na takie przyjęcia przychodzą zwykle ci sami ludzie, prowadzone są rozmowy na podobne tematy, a wszystkiemu towarzyszy wszechogarniająca nuda. Zerknął z wdzięcznością na stojącą obok Kit. Wiedział, że mając ją u boku, dzisiaj nie będzie się nudził.

Zgrabnie uniósł dwa kieliszki szampana z tacy niesionej przez kelnera i wręczył jeden Kit.

- Powiedziałas, że jesteś w nastroju na szampana.

- To prawda. - Pociągnęła łyk musującego wina i rzuciła Johnowi żywe i ciepłe spojrzenie wyrażające wdzięczność za to, że o niej pamiętał.

Popijał szampana, zajęty obserwowaniem jej. Po dłuższej chwili powiedział:

- Wypada przejść się trochę po sali. Ale ty, pewnie będziesz się bardzo męczyć.

- Skąd takie przypuszczenie? - zdumiała się Kit.

- Mówiłaś, że na takich imprezach musisz bardzo uważać na słowa.

- A może dziś nie mam ochoty uważać? - droczyła się.

- Cały czas mam na to nadzieję. To mogłoby ożywić przyjęcie - rzekł John, spoglądając zazdrośnie na elegancki tłum.

- Nieladnie. - Za spojrzeniem pełnym wyrzutu kryła się wesołość.

Uśmiechnął się serdecznie i podał jej ramię, po czym poszli przywitać się ze znajomymi.

Stary Tom zatrzymał się w przestronnym holu hotelu „Jerome”. Jego czarny wieczorowy strój uzupełniała szeroka szarfa w charakterze pasa i czarny krawat. Z posiwiałymi włosami i surową twarzą ojciec Bannona wyglądał jak jeden z wielkich posiadaczy bydła z dawnych lat. Odchylił lekko głowę do tyłu, przyglądając się holowi, którego ściany pokryte były tkaniną w kolorze terakoty. Stały tam elegancko wygięte krzesła z obiciami w szaroniebieskim kolorze w różowe paski, palmy w donicach, mały salonowy fortepian oraz wielki kominek z lustrem w nadstawie. Po obu jego stronach umieszczono na ścianie głowy jeleni.

Odwrócił się, kiedy podeszli Bannon z Sondrą.

Z wyrazu twarzy Starego Toma Bannon domyślił się, że ojciec wspomina dawne lata.

- Pamiętam, jak w czasie wojny niektóre z oddziałów narciarskich biwakowały właśnie tu, na podłodze - powiedział Stary Tom. - Ale pamiętam też, że kiedy ktoś prowadził stado owiec przez miasto, zdarzyło się raz czy dwa, iż kilka z nich wbiegło do holu. - Roześmiał się serdecznie. - Nie wiem, jak to się mogło stać.

- Na pewno ktoś im w tym pomógł - stwierdził z uśmiechem Bannon.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział Stary Tom z nieoczekiwanie szelmowskim błyskiem w oczach.

- Czy jesteśmy gotowi? - chłodno spytała Sondra.

Jakby w odpowiedzi Stary Tom zaczął powoli iść w kierunku sali balowej, cały czas rozglądając się dookoła.

- To miejsce przywodzi na pamięć wiele wspomnień - oznajmił. - Dawniej, w czasach Kryzysu, za pięćdziesiąt centów można było zjeść tu jeden z najlepszych obiadów z kurczaka. Praktycznie wszyscy w tym celu wychodzili z domu w niedzielne wieczory. A w czasie prohibicji w barze sprzedawano lemoniadę i wodę sodową.

Zwolnił, gdy weszli w jeden z szerokich korytarzy, na którego ścianach znajdowały się stare górnicze mapy i historyczne zdjęcia Aspen.

- Ten hotel jest równie wspólny jak za czasów mojego ojca - czule powiedział Stary Tom. -

Dziadek mógłby opowiedzieć wiele historyjek związanych z tym miejscem, z czasów kiedy tymi korytarzami chodził Jerome Wheeler. - Zwrócił się do Bannona: - Czy mówiłem ci kiedyś o tym, jak twój dziadek wszedł do prywatnej jadalni Wheelera, w czasie kiedy on i jego koledzy, właściciele kopalń, popijali koniak, paląc poobiednie cygara? Właśnie tam, pod tymi błyszczącymi kryształowymi żyrandolami, twój dziadek powiedział Wheelerowi, że prowadzi sprawę wdowy po górniku i że jego klientka ma zamiar zaskarżyć...

- Wydaje mi się, że opowiadałeś już tę historię - delikatnie wtrącił Bannon.

- Może gadać godzinami - wymamrotała pod nosem Sondra, po czym szybko uśmiechnęła się do Bannona chcąc mu pokazać, że jest tolerancyjna.

- Może i opowiadałem - przyznał Stary Tom, a potem nagle zatrzymał się i przyjrzał bacznie jednej ze starych fotografii. - A niech to... Spójrz na tę kobietę na zdjęciu! Tę ładną, w dużym kapeluszu i z parasolem. - Wyprostował się, a na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech. - Zastanawiam się, czy kiedy wieszano tę fotografię, wiedziano, że była to jedna z najsławniejszych kokot w Aspen? Prowadziła potem elegancki dom publiczny dla bogatych klientów. Bannon skrzywił się z niesmakiem.

- Skąd to wiesz?

Stary Tom zaczerwienił się lekko pod opalenizną.

- Twój dziadek mi opowiadał. - Zdarzyło mu się - hm... reprezentować jedną z jej dziewcząt. - Na jego twarzy pojawił się rubaszny uśmiech. - Domyślam się, że dostał za to godziwą zapłatę. - Ruszył korytarzem, nie zwracając uwagi na sztywniejącą z oburzenia Sondrę. - Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wiedzieć, jak taka kobieta traktuje mężczyznę z dużą forszą. Czy jeśli on daje jej tysiąc dolarowy banknot, ona pokazuje mu coś, czego nigdy przedtem nie widział? Czy za tysiąc dolarów dostaje to, czego nie mógłby dostać za dziesięć? I czy jest to warte tych pieniędzy? - Zamilkł, pogrążając się w rozmyślaniach.

Rzucając rozbawione spojrzenie Sondrze, Bannon powiedział półgłosem:

- Jest w filozoficznym nastroju.

- Zdążyłam zauważyć. - Odwzajemniła spojrzenie, a jej brązowe oczy pozostały nieprzeniknione, co po raz nie wiadomo który kazało mu się zastanowić, co naprawdę myśli Sondra. Nigdy nie był tego pewien, nawet kiedy się kochali.

Przyjrzał się uważnie jej jasnym włosom zaczesanym gładko do tyłu. Jej usta, które rozpały się po pierwszym dotyku jego warg, ułożone były teraz w miękką, spokojną linię.

W tych rzadkich momentach, kiedy Bannon myślał o przyszłości, zawsze była w niej obecna Sondra. Nigdy o nic go nie prosiła, nigdy niczego nie żądała. Po prostu była, czekała na swój czas.

W szatni Bannon pomógł jej zdjąć ciemnobrązowe futro z kun kanadyjskich. Schował numerek do kieszeni i poprowadził Sondrę do sali balowej.

John i Kit witali się ze znajomymi, przedzierając się przez tłum ludzi w jedwabiach, atlasach, aksamitach, w kreacjach od Ungaro, Saint Laurenta i Lacroixa. Przechodzili od grupki do grupki oddając się tradycyjnemu muskaniu policzków i posyłaniu całusów, rzucając komplementy i żartując. Uczyniwszy zadość etykietce, wycofali się w spokojniejsze miejsce.

Korzystając z chwili wytchnienia, Kit wymieniła szampana, który przestał już musować, na świeży. Dobiegły do niej strzępki rozmów na dyżurne tematy: od uzdrowisk, operacji plastycznych, planowanych podróży po stale omawiane w Aspen problemy ochrony środowiska. Dyskutowano też na temat przewidywanych skutków zjednoczenia Niemiec i podziału Kanady.

- To szaleństwo - szepnęła do siebie.

- Co takiego? - Zainteresował się John.

- Całe to przygnębiające gadanie o przyszłych zagrożeniach. Najpierw wszyscy martwili się, że Japończycy wykupią Amerykę, dziesięć lat temu obawiano się szejków naftowych z krajów OPEC, a następnymi w kolejce są Niemcy.

- To prawda.

- Tylko on się nie przejmuje i sobie ćwiczy - stwierdziła Kit, kiedy jej spojrzenie zatrzymało się na pianicie w rogu sali.

- Kto?

- Pianista. Nikt go nie słucha.

- Ale każdy natychmiast by zauważył, gdyby przestał grać.

- Przypuszczalnie.

Jej uwagę przyciągnęła para spóźnionych gości wchodzących do sali balowej. Natychmiast rozpoznała mężczyznę o cofniętym czole i zimnych oczach. Był to znany rekin finansowy z Wall Street, Simon Renquist. Nie wiedziała jednak, kim była towarzysząca mu młoda blondyna.

- Kim jest ta blondynka? To jego córka?

- Nie, dziewczyna.

- Dziewczyna to dobre słowo. Nie wygląda na więcej niż dziewiętnaście lat. - Przypatrywała się tej dwójce, zgadując, że musi być między nimi co najmniej trzydzieści lat różnicy. - O czym oni mogą ze sobą rozmawiać?

John spojrzał na nią uważnie.

- Śmiejesz się z nich?

- Niezamierzenie - odpowiedziała z rozbawieniem.

Uniósł kieliszek odwzajemniając w ten sposób powitalne skinienie Jacka Nicholsona. Wypił łyk szampana.

- Mam wielką ochotę zapalić - powiedział półgłosem, uświadamiając sobie, że na sali balowej nikt tego nie robi.

- Na przyjęciu, z którego dochód przeznaczony jest na walkę z rakiem? Wstydz się, John - skarciła go bez ogródek. - Ja w tej chwili marzę o jedzeniu.

- To się da szybko załatwić. - Johnowi udało się zwrócić uwagę krążącego po sali kelnera trzymającego na uniesionej dłoni tacę z zakąskami. Przywołał go, a gdy kelner podszedł, wskazał Kit.

- Pani jest głodna.

- Służę pani. Bardzo proszę. - Opalony kelner miał do zaoferowania bliny z kawiozem.

Kit zawahała się.

- Dlaczego nasze matki wbijały nam do głowy, że nie wypada jeść w rękawiczkach?

John bez słowa wybrał jeden z miniaturowych blinów i zbliżył go do ust Kit, a figlarny błysk w jego szaro-niebieskich oczach zapowiadał, że zamierza ją nakarmić. Udając posłuszną. Kit planowała ugryźć tylko kawałek, ale John wsunął jej do ust całość.

Zaskoczona Kit usiłowała przełknąć wszystko naraz. Było to jednak trudne, tym bardziej że nie mogła pohamować śmiechu. Udało jej się jednak uniknąć zakrztuszenia.

- To wcale nie było przyjemne - wypomniała mu, ale w jej głosie nadal słychać było śmiech. Otarła kąciki ust.

- Ale chyba smaczne? - John uśmiechnął się, nie okazując wcale skruchy;

- Mmm... pyszne - potwierdziła Kit oblizując usta. Znalazła zabłąkaną kulkę ikry na dolnej wardze. - To był czarny kawior. Nie „strzelał”.

- Przeoczyłaś okruszek.

- Gdzie?

Ponownie przeprowadziła poszukiwania czubkiem języka, ale John ją powstrzymał.

- Pozwól, że ci pomogę.

Kiedy delikatnie położył palec pod brodę, odruchowo zwróciła twarz w jego stronę. W następnej chwili jego usta spoczęły na jej wargach. Wstrzymała oddech. Poczula aksamitne głaskanie jego języka przesuwającego się po wargach i zlizującego okruszki. Czując narastające podniecenie przysunęła się bliżej, jakby nieświadomie pragnąc je wzmóc.

- Co się z tobą dzieje, Travis? Na oczach wszystkich? - naigrawał się znajomy męski głos.

John uniósł głowę, ale zanim odwrócił się w stronę Tony'ego Akinsa, jednego z najśłynniejszych zigołaków, popatrzył na Kit, z satysfakcją zauważając na jej twarzy rumieniec, którego był przyczyną.

- Czasami trudno się oprzeć - odpowiedział John, uśmiechając się chłodno.

- No, no, John. - Tony cmoknął z dezaprobatą. Sarkastyczny grymas na jego twarzy złagodniał jednak, kiedy zwrócił swoją przystojną twarz w stronę Kit. - Nie powiesz mi chyba, że to zachwycające stworzenie jest twoją nową partnerką, o której czytałem we wszystkich kronikach towarzyskich. Kit Masters, chyba się nie mylę?

- We własnej osobie - potwierdziła Kit, gdy John nie odezwał się.

- Miło mi, że mogę poznać nową wschodzącą gwiazdę Hollywood. - Ujął dłoń Kit i afektownie skłonił się, aby ucałować jej palce.

- Dziękuję za komplement. - Łagodnie, lecz stanowczo wyzwoliła palce z jego dłoni.

- Akins. Tony Akins.

- Gdzie jest Madelyn? - zapytał nagle John.
 Tony rzucił Johnowi krótkie spojrzenie, a potem szybko przeniósł wzrok na Kit.

- Mówi o Madelyn St. James. Musiała pani o niej słyszeć.
 - Tak, oczywiście.
 Madelyn St. James była wnuczką i spadkobierczynią miliardów Hoffsteadów.

- A ja jestem częścią jej bagażu. „Panna St. James przybyła dziś do Aspen z czterema kuframi, pięcioma walizkami i Tonym Akinsem”.

Kit zmusiła się do uśmiechu, słysząc te pełne bezczelnej szczerości słowa.

- Nie sądzę, żeby tak to wyglądało naprawdę.
 - Ależ to prawda - pośpieszył z zapewnieniem i uśmiechnął się jeszcze radośniej. - Proszę pamiętać, że wcale nie narzekam. Bawi mnie status czyjegóż utrzymanka. Jak inaczej mógłbym bywać na najwytworniejszych przyjęciach i zwiedzać najatrakcyjniejsze miejsca?
 Nie była pewna, czy może mu wierzyć.
 - Szokuje mnie to, co pan mówi.
 - Dlaczego? W ten sposób utrzymuję się w grze - odpowiedział bez najmniejszego śladu zażenowania, po czym zmienił temat. - Czy ktoś ostrzegł już panią przed tym złotym chłopcem? - Wskazał ręką Johna. - Jego romanse z odtwórczyniami głównych ról stały się już legendą Hollywood. Często się zastanawiam, czy ta jego skłonność do płci pięknej wynika z nadmiaru okazji, wygody czy z oportunisty.
 - Może to po prostu kwestia dobrego gustu - rzuciła Kit.
 - Zgrabnie to pani ujęła. - Tony Akins pokiwał głową z uznaniem. - Może pani zrobić karierę w Hollywood.
 - Komu sprzedasz jej cytaty. Tony? - złośliwie zapytał John, po czym nie odrywając od niego wzroku zwrócił się do Kit: - Musisz wiedzieć, że Tony często bywa „wiarygodnym źródłem informacji” dla wielu kronik towarzyskich i brukowców. Kolportowanie plotek jest dla niego dodatkowym źródłem dochodów.
 - Zbieranie brudów to smętna praca, ale ktoś musi ją wykonywać. - Tony nie przestawał się uśmiechać i nie wyglądał na zakłopotanego. - Na szczęście dobrze mi płacą.
 Kit próbowała przyjąć te informacje ze spokojem, ale mimo ośmiu lat spędzonych w Hollywood nie bardzo jej się to udawało.
 - John, kochanie! - Madelyn St. James, ubrana w błyszczącą brokatową suknię, rzuciła się w stronę Travaisa i cmoknęła powietrze obok jego policzka, ustawiając się tak, żeby stojący niedaleko fotograf zrobił jej jak najkorzystniejsze zdjęcie. - Jak się masz? Nie widziałam cię od wieków! - mówiła energicznym głosem, cofając się o krok. - Kiedy to ostatni raz się spotkaliśmy? Aha! Przypominam sobie. Na turnieju tenisowym. O Boże, jak ten czas leci, to już chyba ze dwa lata temu!
 - Niemożliwe. - John obdarzył uśmiechem trzykrotnie rozwiedzioną brunetkę, starszą od niego o dziesięć lat. - Wyglądasz młodziej niż zwykle.
 - Odkryłam cudowne uzdrowisko w Szwajcarii - powiedziała, jak gdyby te słowa wyjaśniały tajemnicę jej wyglądu. - Byłam tam rozpieszczana wspaniałymi masażami i kremami upiększającymi, a żywiłam się głównie jagodami i orzechami. Rezultaty są rewelacyjne, lepsze niż po operacji plastycznej... no i cała kuracja jest zdecydowanie mniej bolesna.
 - Wierzę ci - rzekł John, po czym przedstawił ją Kit.
 - Jaka zachwycająca kreacja - Madelyn otaksowała Kit spojrzeniem od stóp do głów. - Czy to z jesiennej kolekcji Diora?
 - Nie. To suknia Sophie De Witt, projektantki kostiumów do naszego nowego filmu. Premierowy pokaz ubrania, które będą nosić na ekranie.
 - Och. - Madelyn natychmiast straciła zainteresowanie i zwróciła się w stronę Johna, wydymając z pretensją usta. - Gniewam się jeszcze na ciebie, że nie przyszedłeś do mnie na przyjęcie zeszłej zimy.
 - Naprawdę nic nie mogłem na to poradzić. Miałem mnóstwo innych zobowiązań.
 - Chcę, żebyś wiedział, że straciłeś jedno z moich najlepszych przyjęć. Odbyło się tego wieczoru, kiedy Ivana i Donald okropnie się pokłócili. Byłam „U Bonnie”, kiedy to się zdarzyło, i wszystko widziałam. - Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmieszek. - Jaką wspaniałą burzę to wywołało! Oczywiście mówię jako kobieta, która była w identycznej sytuacji. Też byłam zdradzana przez męża.
 - Nie porównuj się z Ivana, kochanie - wtrącił Tony. - Ona nie ma twojej klasy.
 - To prawda - powiedziała Madelyn z wyraźnym zadowoleniem w głosie, ujmując rękę Tony’ego i

ściskając ją czule. - Widzicie teraz, dlaczego trzymam przy sobie Tony'ego. On wspaniale zaspokaja moją próżność.

- Mam nadzieję, że nie tylko próżność. - Ucałował jej dłoń, wymownie przy tym wysuwając język. Zaniósł się gwałtownym, zmysłowym śmiechem.

- Oczywiście, że nie tylko.

Kit czuła, że uśmiech zastyga jej na wargach i szybko wypila łyk szampana. Zaciskając dłonie na kieliszku musiała przywołać na pomoc wszystkie swoje umiejętności aktorskie, żeby utrzymać miły i pełen zainteresowania wyraz twarzy.

- No i popatrz, co zrobiłeś - Madelyn strofowała Tony'ego. - Tak rozproszyłeś moją uwagę, że zupełnie zapomniałam, o czym rozmawialiśmy.

- O burzy - powiedział John tonem, który sprawił, że Kit z trudem udało się zachować powagę.

- O burzy? Ach, prawda! - Natychmiast ożywiła się, układając jaskrawoczerwone usta w uśmiechu. - Bóg jeden wie, ile takich burz rozpętało się w Aspen. Chociażby w tym hotelu. To tu w czasie szalonej imprezy sylwestrowej zorganizowanej przez Dona Henleya Gary Hart spotkał Donnę Rice. Ten człowiek to cała historia. Potraficie sobie wyobrazić polityka zmieniającego nazwisko? Nie da się ukryć, że nazwisko Hartpence nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale rzeczywiście, coś takiego uchodzi tylko aktorom.

Szybkim krokiem podszedł do nich Maury Rose.

- Złapałem cię nareszcie, Kit. Szukam cię wszędzie. Rozmawiałem przed chwilą z ludźmi, którzy cię znają, ale zapomniałem nazwisk. - Zwrócił się w stronę towarzyszących Kit osób. - Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Maury Rose. Jestem agentem Kit.

Wyciągnął pulchną dłoń w stronę Madelyn, wymuszając na niej przedstawienie się.

- Madelyn St. James. - Niechętnie podała mu koniuszki palców.

- Prawdę mówiąc, panno St. James, wiedziałem, kim pani jest. Muszę przyznać, że historia pani życia mogłaby stać się tematem wspaniałego scenariusza filmowego. Moja Kit byłaby świetną odtwórczynią głównej roli. Naprawdę trudno znaleźć lepszą. Proszę zapamiętać moje słowa - wkrótce będzie sławniejsza niż Elizabeth Taylor. Wiedziałem to, kiedy tylko zobaczyłem ją po raz pierwszy - chełpił się Maury. - Kit to ogień i radość. Jest lojalna i szcera. Mogłaby karmić kurczęta na farmie albo przechadzać się korytarzami pałacu Buckingham i wypadłaby równie dobrze w obu tych miejscach.

Kit zaczynała się czuć nieswojo wobec pochwał, którymi reklamował ją Maury. Słyszac, że ktoś ją woła, odwróciła się, mając nadzieję, że nowa osoba przerwie jego monolog. Zauważyła idącą w ich stronę kobietę o kasztanowych włosach, prezentującą się bardzo wytwornie w eleganckiej czarnej sukni od Chanel.

- Angie! - wykrzyknęła radośnie i rzuciła się na szyję swojej najlepszej przyjaciółce ze szkoły podstawowej i średniej. - Miałam nadzieję, że przyjdiesz na przyjęcie.

- Ktoś powiedział, że tu jesteś, więc zaczęłam cię szukać. - Angie wyzwoliła się z serdecznego uścisku. - Kit, świetnie wyglądasz! Nie mogę uwierzyć, że to ty.

- Dziękuję. - Kit zaśmiała się, słysząc dwuznaczny komplement, po czym, zwracając się do stojących obok świadków tej powitalnej sceny, powiedziała: - Wybaczcie nam, proszę. Musimy zamienić parę słów. W przeszłości byliśmy jak papużki nierozłączki.

- To prawda. Jako dziewczynki tworzyłyśmy nieznośną parę - potwierdziła Angie, a w jej orzechowych oczach rozbłysły wesołe ogniki na wspomnienie dawnych psot.

- Niemożliwe. Byłyśmy nieznośne? Nie przypominam sobie - zaśmiała się Kit.

- Tak dawno się nie widziałyśmy. Zdaje się, że ostatni raz spotkałyśmy się...

- Na pogrzebie ojca.

- Tak. - Angie spoważniała i mocniej uściśnęła dłoń Kit. - Nawet nie zdążyłam wyrazić ci swego współczucia. Wiem, że ojciec był ci szczególnie bliski. Próbowałam się dodzwonić do ciebie następnego dnia po pogrzebie, ale już cię nie zastałam.

- Nie mogłam dłużej zostać. Musiałam wracać. Stan zdrowia mamy bardzo się wtedy pogorszył. Lekarz powiedział, że przeżyła wstrząs dowiadując się o śmierci ojca.

Wiadomość o śmierci ojca dotarła do Kit dopiero następnego dnia. Była wtedy we Włoszech, gdzie powstawały kolejne odcinki serialu. Miała kłopot z dostaniem biletu na samolot i przyleciała do Aspen rankiem w dniu pogrzebu. Następnego dnia była już w Los Angeles, żeby zająć się matką. Wciąż miała w pamięci dziwne odrętwienie i smutek towarzyszące tamtym chwilom. Dniom, których nigdy

nie chciałyby przeżyć jeszcze raz i których nie chciała wspominać.

Otrząsając się z ogarniającej ją melancholii, uśmiechnęła się do Angie.

- Ale powiedz mi, co u ciebie. Jak się miewa twój mąż?

- Mark twierdzi, że odnalazł swoje powołanie.

- O! Jakże? - Słyszając imię męża Angie, Kit natychmiast przypomniała sobie, że przyjaciółka poślubiła Marka Richardsona, syna słynnych Richardsonów z Denver. Jego ojciec był znaczącą figurą w kręgach finansjery w Kolorado.

- Chce dostać się do Senatu za trzy lata. Ojciec Marka ma rozległe kontakty, więc Mark nie będzie miał kłopotu ze zgromadzeniem funduszy na kampanię wyborczą. Wyobrażasz sobie mnie jako żonę polityka? - zapytała z lekkim odcieniem emocji w głosie.

- Dlaczego nie? Sama możesz być zaskoczona, jak bardzo ci się to spodoba.

- To możliwe - przyznała Angie, uważnie przyglądając się Kit. - Spójrzmy na ciebie. Kto by przypuszczał, że nasza mała Kit zagra główną rolę w filmie, i to jako partnerka Johna Trávisa? Wszyscy zawsze mówili, że kto jak kto, ale ty na pewno szybko wyjdiesz za mąż i będziesz miała dzieci.

- Też tak myślałam.

- Powiedz mi... - Angie zrobiła pauzę i rozejrzała się dookoła, po czym odciągnęła przyjaciółkę na bok. - Czy to prawda? - zapytała zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

- Co?

- Czy John Travis naprawdę jest taki świetny w łóżku, jak mówią?

Przez chwilę Kit była zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek odpowiedzieć, zaraz jednak przypomniała sobie, że jako młode dziewczyny często z Angie zadawały sobie tysiące pytań na temat seksu. Wybuchnęła śmiechem.

- Angie, ty się wcale nie zmieniłaś!

- Pod pewnymi względami na pewno nie. No więc jak? Powiesz mi?

- Szczere mówiąc, nie wiem - odparła Kit, rozbawiona tym, że rozmowa niespodziewanie zaczęła przebiegać jak przed laty.

Angie uśmiechnęła się.

- Ty też w ogóle się nie zmieniłaś. Zawsze uważałaś, że nie należy mówić o tym, jak z kimś było w łóżku. Ale nie dziw się, że jestem ciekawa - dodała, spoglądając kątem oka na Johna Trávisa. - Ma opinię największego ogiera w Hollywood. Coś w tym musi być, skoro żadna z jego kochanek nigdy nie powiedziała o nim złego słowa. - Nagle zaśmiała się szyderczo. - Teraz już wiesz, dlaczego nie nadaję się na żonę polityka. Byłabym podobna do Jimmy'ego Cartera.

Kit wybuchnęła serdecznym śmiechem, zadowolona z odkrycia, że Angie jest równie szczerą i wesołą jak dawniej.

- Więc wyciągnij wnioski z błędów Cartera i zachowuj swoje myśli dla siebie.

- Nie wytrzymam.

- Też tak myślę.

Widząc kelnera, Angie dała mu znak, żeby się zatrzymał i wzięła z tacy złoty kieliszek Haut Brion, po czym wzniosła toast.

- Za nieprzyzwoite myśli. - Kryształowe kieliszki zetknęły się z leciutkim brzękiem. Pijąc szampana, Angie przyglądała się osobom z towarzystwa Kit. - Madelyn St. James wygląda rewelacyjnie.

Kit potwierdziła tę opinię skinieniem głowy.

- Była w jakimś uzdrowisku w Szwajcarii i poddała się tam różnym upiększającym zabiegom.

- Owszem, poddała się zabiegom, ale w klinice, a nie w uzdrowisku. Usunięto jej tłuszcz z brzucha, ud i Bóg jeden wie, co jeszcze tam z nią robiono.

- Ach, to tak - szepnęła Kit, skrywając uśmiech za kieliszkiem.

- To prawdziwy cyrk - zachichotała Angie. Przypomniawszy sobie coś, nagle uniosła wskazujący palec, przerywając rozmowę na temat Madelyn St. James. - Widziałas już Bannona i Starego Toma?

- Nie. A są tutaj? - Udając obojętność rozejrzała się po sali.

- Tak. Rozmawiałam już z nimi. Oczywiście przyszedł z Sondrą.

- Sondrą? - Kit zastanowiła się przez chwilę. - Aha, masz na myśli szwagierkę Bannona.

- Tak, ale wierz mi, ona chciałaby być kimś więcej niż szwagierką. Strach pomyśleć, jak się to wszystko mogło skończyć dla Bannona, gdyby Sondra nie stanęła w jego obronie po nagłej śmierci jego żony. - Angie ściszyła głos do szeptu. - Nie było cię tu wtedy, ale znaleźli się tacy, którzy

natychmiast wszczęli śledztwo, oczywiście trzymane w jak największej tajemnicy. Całe miasto przecież wiedziało, że małżeństwo Diany i Bannona trudno było nazwać szczęśliwym. Diana skarżyła się każdemu, kto tylko miał ochotę jej słuchać, że Bannon trzymał ją na ranczu jak więźnia i nie zgadzał się na wizyty jej przyjaciół. No a poza tym tylko on był w szpitalu tuż przed jej śmiercią. Sekcja zwłok niczego nie wykazała. Mówiono coś o niewydolności serca, ale trudno było ustalić przyczynę śmierci. Sondra twierdziła, że już jako dziecko siostra cierpiała na ostrą chorobę reumatyczną, a to mogło osłabić serce. W każdym bądź razie śledztwo umorzono. Ale do dziś robi mi się słabo na myśl o tym, co mogło się stać, gdyby Sondra oskarżyła Bannona.

Większość tych informacji już wcześniej zdążyła dotrzeć do Kit. Była przekonana, że domysły co do winy Bannona są absurdalne. Niewątpliwie miał trudny charakter, z pewnością nie był jednak człowiekiem, który rozmyślnie mógł spowodować śmierć żony.

Tak czy owak doświadczenia małżeńskie Bannona były ostatnim tematem, który miała ochotę omawiać. Zapytała więc:

- Czy Sondra nadal zajmuje się handlem nieruchomościami?

Angie spojrzała na nią z ukosa.

- O Boże! To ty nic nie wiesz? Sondra ma jedną z największych firm w Aspen. Jest też jedną z najważniejszych postaci życia towarzyskiego. Kiedy urządza przyjęcie, wszyscy z niepokojem czekają na zaproszenie. Sondra szóstym zmysłem wyczuwa, kto jest „na fali”, a kto już wypadł z obiegu. Jeśli czyjeś nazwisko nie znajdzie się na liście gości, jest to jak pocałunek śmierci.

- Sondra Hudson? - zdziwiła się Kit, starając się dopasować to, co przed chwilą usłyszała, do słabo zarysowanego w pamięci obrazu opanowanej, szczupłej blondynki, która na pogrzebie jej ojca nie pozwoliła córce Bannona stanąć blisko grobu. - Widziałam ją raz albo dwa razy, ale nigdy nie wydała mi się osobą przepadającą za towarzystwem. Odniosłam wrażenie, że pociągają ją tylko interesy.

- Moja droga Kit, jej przyjęcia to właśnie biznes. Gdzie może być lepsze miejsce na spotkanie przyszłych klientów chcących coś kupić lub sprzedać w Aspen? - Było to retoryczne pytanie i Angie wcale nie oczekiwała odpowiedzi. - Mężczyźni, jeśli chcą nawiązać cenne kontakty, mają swoje pola golfowe, korty tenisowe i trasy narciarskie, a Sondra wydaje w tym celu przyjęcia. Oczywiście to wszystko nie jest takie proste. - Rozejrzała się dookoła. - To mała, ścisła klika. Trudno się do niej dostać.

- Jak w takim razie udało się to Sondrze? - zapytała z rosnącym zaciekawieniem Kit.

- Przede wszystkim nie jest ona typem karierowiczki. Nie zależy jej na pięciu się w hierarchii społecznej i nie chce należeć do elity. Podtrzymuje kontakty, o ile służą jej interesom. O dziwo, jest to przyjmowane z szacunkiem, a nawet podziwiane. Tym bardziej, że zaczynała raczej skromnie. - Angie zrobiła przerwę, by napić się szampana. - Dziwię się, że nie słyszałaś tej historii. To już stało się legendą w Aspen.

- Nie zapominaj, że wliczając w to okres studiów, nie było mnie w Aspen przez dwanaście lat - rzekła Kit. - Przestałam się orientować w tym, co się tu dzieje. O wszystkim dowiadywałam się głównie od ojca. A wiesz, jaki był. Niechętnie mówił o czymś, co nie dotyczyło rancza, polowań, łowienia ryb czy przyjaciół i kolegów, z którymi lubił się napić piwa.

- Tak, teraz sobie to wyobrażam - ze zrozumieniem stwierdziła Angie. - W każdym bądź razie pierwszymi klientami, jak to się mówi, poważnymi klientami Sondry, byli Claud Miller z żoną... z tych Millerów z Denver. Dzięki Sondrze kupili trochę ziemi obok Castle Creek. Kiedy przyjechali załatwić ostatnie formalności, Sondra wyjechała po nich na lotnisko saniami, zabrała ich do hotelu, a potem do drewnianego domu na zakupionej przez nich działce. Dowiedziawszy się skądś, że Claud jest amatorem francuskiej kuchni, zamówiła odpowiednie dania, które przyniesiono jej z restauracji. Prawdziwy piknik.

- Cała impreza odbywała się przy lekko padającym śniegu i miała imponującą oprawę. Palilo się wielkie ognisko. Pod otwartym z jednej strony namiotem umieszczono stół nakryty adamaszkowym obrusem. Zastawiony był porcelanowymi i kryształowymi naczyniami, obok których ułożono srebrne sztuce. Wielka butla szampana miała uwieńczyć transakcję. Wystarczyłoby samo to, żeby wydarzenie było niezapomniane, a tymczasem Sondra wymyśliła jeszcze większe atrakcje. Wypożyczyła od miejscowego kuśnierza cztery długie futra - dla każdego z uczestników transakcji, i narzutę z norek na sanie. To wszystko pochłonęło zapewne całą jej prowizję, ale w rezultacie się opłaciło. Millerowie nie mogli wyjść z podziwu i wszystkim opowiadali o przyjęciu i Sondrze. Już po kilku tygodniach, a może nawet dniach, zaczęła odbierać telefony od ich przyjaciół i współników. A

potem, kiedy żona Millera kupiła mu na Gwiazdkę sobolowe futro, które miał na sobie w tamtym dniu, właściciele sklepów jeden po drugim zaczęli przychodzić do Sondry w nadziei, że pożyczycy coś od nich i mimochodem wspomni ich nazwisko przy klientach. Nie muszę chyba dodawać, że sprzedawała coraz więcej nieruchomości i miała mnóstwo zleceń.

Lecz Sondra była sprytna. Królewskie przyjęcie czekało tylko ważnych klientów. Za każdym razem dbała o to, żeby zaspokoić ich indywidualne gusty. Posiłki w galeriach sztuki, loty balonem na piknik, wielkie zabawy połączone z pieczeniem wołu czy wieprza w Teksasie, pikniki nad Roaring Fork... mogłabym wymieniać w nieskończoność - stwierdziła Angie, z rezygnacją machając ręką. - A potem, jakieś sześć lat temu, zaczęła organizować małe kameralne przyjęcia, mniej więcej na dziesięć - dwanaście osób. Oczywiście zawsze starając się, aby te przyjęcia były niebanalne i stawały się ważnymi wydarzeniami. - Uniosła kieliszek. - Jak już mówiłam, robiła to bardzo sprytnie i pomysłowo.

- Rzeczywiście - szepnęła Kit.

- Teraz wydaje dwa albo trzy duże przyjęcia w roku i bardzo rzadko urządza słynne imprezy przy finalizowaniu transakcji. Bardzo chciałabym wiedzieć, jakich sum się dorobiła, szczególnie w ostatnich latach, kiedy ceny nieruchomości stały się niebotyczne.

- Wyobrażam sobie, że musi mieć mnóstwo pieniędzy - westchnęła Kit.

Rozmowa o pieniądzach przypomniła jej szpital i rachunki za leczenie. Był to jednak temat, którym nie chciała zaprzętać sobie głowy tego wieczoru.

- Powiedz mi, jak ci się układa z Bannonom? Słyszałam, że zajmuje się majątkiem twojego ojca.

- I zarządza moim ranczem - dodała Kit. - Wszystko w porządku. Minęło zbyt wiele czasu, żebym miała ochotę jeszcze czuć urazę. - Pamiętliwość była zupełnie obca jej naturze, a gorycz minęła już dawno. Została tylko stara rana, z którą nauczyła się żyć.

- No to dobrze. - Angie wzruszyła ramionami. Po chwili zauważyła w tłumie męża. - Mark mnie przywołuje. Chyba proszą już gości do stołu. - Położyła dłoń na ramieniu Kit. - Jak długo tym razem będziesz w Aspen?

- Do rozpoczęcia zdjęć, no i aż do ich końca.

- To świetnie. Porozmawiamy później i umówimy się na lunch.

- Cieszę się.

Angie ścisnęła ramię Kit.

- Tak długo nie miałyśmy okazji sobie pogadać.

- O wiele za długo - podkreśliła Kit.

- Złapię cię później - obiecała Angie i zaczęła przeciskać się przez tłum, aby dołączyć do męża.

Kit obserwowała ją przez chwilę, po czym rozejrzała się dookoła badawczym wzrokiem. Podszedł do niej John.

- Wciąż jesteś głodna? - zapytał.

- Głodna? Chyba żartujesz. Po prostu umieram z głodu - powiedziała i podała mu rękę, czując, jak ponownie budzi się w niej gwałtowna namiętność.

Rozdział ósmy

Po posiłku składającym się z karczochów z krewetkami, pieczonej kaczki z brzoskwiniami i lekkim *crème brûlée*, spotkał się z najwyższym uznaniem, sprzątnięto ze stołów, a kryształowe lichtarze z płonącymi świecami zajęły miejsce wazonów z orchideami i bladoniebieskimi astrami. Przygaszono światła dla stworzenia intymnej atmosfery, po czym orkiestra taneczna zagrała żywą melodię.

Bannon kątem oka obserwował pierwsze tańczące pary. Ruch na parkiecie przyciągnął również uwagę Sondry. Jej jasne włosy miękką linią podkreślały owal twarzy, a światła sali balowej odbijały się migotliwym blaskiem w diamentowych kolczykach. Lekki, ostry zapach perfum owionął Bannona, kierując jego myśli ku Sondrze.

- Chciałabyś się czegoś napić?

Odwróciła się do niego, a uśmiech rozjaśnił jej surową twarz.

- Może później - odpowiedziała. - Nie sądzisz, że obiad był wyborny? Kaczkę przyrządzono po mistrzowsku. Szczęśliwie zrezygnowano z kurczaków, które do znudzenia podaje się na przyjęciach dobroczynnych.

- Rzeczywiście, wszystko bardzo mi smakowało - rzekł Stary Tom. - Ale trudno było tym się najeść.

- Wyglądasz na najedzonego, a nawet na przejedzonego - odparła z lekkim rozbawieniem, wymownie patrząc na przepasany czarną szarfą wydatny brzuch Starego Toma.

Wyprostował swoją wysoką sylwetkę, bezwiednie wypinając pierś i wciągając brzuch. - Widać od razu, że się na tym nie znasz. Ważę tyle samo co czterdzieści lat temu.

- Tyle że wszystko inaczej się rozłożyło - wtrącił z przekornym uśmiechem Bannon.

- Zauważyłam - powiedziała cicho Sondra, świadoma tego, że Stary Tom obrzucił ją niezyczliwym spojrzeniem. Zdawała sobie sprawę, że jej nie lubi, tak jak nie lubił jej siostry. Niechęć była zresztą wzajemna, chociaż starannie skrywała ją przed Bannonom.

- Uważaj. Ty też się starzejesz - ostrzegł Stary Tom, dobrodusznie drocząc się z synem.

Sondra zignorowała ich żarty i powróciła do obserwowania gości, szukając w rozplotkowanym, roześmianym tłumie J. D. Lassitera.

Jej wzrok padł na Helen Caldwell, która tańczyła shimmy, robiąc z siebie widowisko. Zdażyła ją zauważyć, zanim wszyscy usiedli do stołu. Już wtedy widać było, że Helen wypila trochę za dużo; zachowywała się bardzo hałaśliwie. Powodem jej stanu była scenka rozgrywająca się w rogu sali. Jej mąż Evan Caldwell, bogaty przemysłowiec, niczym się nie krępując flirtował z najpopularniejszą w tym sezonie modelką, znajdując tysiące pretekstów, aby ją dotknąć i szeptać coś do ucha.

Na parkiecie Helen Caldwell chwyciła zażenowanego partnera za kłapy fraka i mocno przyciągnęła do siebie. Sondra przyglądała się temu przedstawieniu, coraz bardziej poirytowana zachowaniem tej pary.

Ponownie zaczęła wylawiać wzrokiem twarze z tłumy magnatów prasowych i telewizyjnych oraz wielkich przedsiębiorców i potentatów przemysłowych, myśląc pogardliwie o pełnym wyższości i pobłażliwości sposobie, w jaki traktowali w interesach kobiety i o ich uprzedzeniach starannie skrywanych pod maską wyszukanej uprzejmości. Była pewna, że jest od nich inteligentniejsza i bardziej utalentowana w prowadzeniu interesów. Wiedziała jednak, że nie miało to dla nich znaczenia. Interesowała ich jedynie władza i pieniądze.

Przy drzwiach prowadzących na taras spostrzegła J. D. Lassitera. Pochylił lekko głowę w stronę żony, która coś do niego mówiła. Wyraz jego twarzy świadczył dobitnie o tym, że się nudzi.

- Mogę cię na chwilę przeprosić? - Położyła dłoń na ramieniu Bannona, chcąc zwrócić jego uwagę. - Chciałabym porozmawiać z Lassiterem.

Bannon zdawał sobie sprawę, że Sondra nie prosi go o pozwolenie, ale mimo to skinął głową.

Kiedy odeszła. Stary Tom zapytał:

- O czym ona może z nim rozmawiać?

- Pewnie o interesach.

Bannon odprowadzał ją wzrokiem, obserwując, jak toruje sobie drogę w tłumie, przystając, by wymienić i uprzejmości ze znajomymi.

- Gdyby była tu twoja matka, zrobiłaby wszystko, żeby wyciągnąć mnie na parkiet. Kochała muzykę, każdy rodzaj muzyki. Lubiła też uczyć - wspominał Stary Tom przyglądając się orkiestrze i zauważając na ł estradzie fortepian. - Szczególnie gry na fortepianie. Żałuję, że nie było jej dane uczyć naszej wnuczki.

Bannon miał zamiar odpowiedzieć ojcu, lecz usłyszał znajomy radosny śmiech.

- Słyszę śmiech Kit.

- Kit? Tutaj? Gdzie?

- O tam. Ta w złocistej sukni, obok Johna Travisa. - Spośród osób towarzyszących Kit rozpoznał tylko słynnego aktora.

- Teraz widzę. - Stary Tom przyglądał się Kit przez dłuższą chwilę, z przyjemnością obserwując, jak radośnie, szeroko się śmieje. Jej widok natychmiast poprawił mu humor. - Chodź, przywitamy się.

Bannon zawahał się przez ułamek sekundy, po czym podążył za ojcem, który poszedł prosto w stronę Kit.

Kątem oka Kit zauważyła ruch obok siebie i odwróciła się. Dostrzegła najpierw Starego Toma, zaraz potem ujrzała Bannona. Dziesięć minionych lat wydało jej się nagle jedną chwilą. Miała wrażenie, jakby nigdy się z nim nie rozstawała. Zwalczyła w sobie to uczucie i ponownie spojrzała na Starego Toma, ściskając jego upstrzoną starczymi plamami dłoń.

- Pięknie dziś wyglądasz - powiedziała z czułością, spoglądając na szerokie ramiona siwego mężczyzny. - Dziwię się, że nie kręcą się koło ciebie tłumy kobiet.

- Zawsze byłeś dla mnie lekarstwem, Kit. - Światło kinkietów miękko kładło się na jego pobrużdżonej, ogorzałej twarzy. Z serdecznością i swobodą, której pozazdrościć by mu mogli rówieśnicy Kit, ucałował jej dłoń. W geście tym znać było maniery dawnego wielkiego świata.

Uśmiechając się Kit pomyślała, że widok tego staroświeckiego ranczera przypomina jej nastrój towarzyszący odnajdywaniu kryngoliny z minionej epoki w starym kufrze na strychu.

- Długo cię tu nie było - lekko napomniał ją Stary Tom.

- Tak, niestety. - Skinęła głową i nie wysuwając ręki z dłoni Starego Toma, spojrzała na Bannona. Zwalczyła w sobie uczucie skrępowania i przyjrzała się, jak czyniła to tysiące razy w przeszłości, jego szczerzej twarzy, zauważając ciepłe radosne spojrzenie.

- Cześć, Bannon.

- Witaj, Kit. - Skłonił się, a uśmiech pogłębił mu drobne zmarszczki wokół oczu.

Dla każdego, a już szczególnie dla Kit, która obu mężczyzn знаła od urodzenia, było oczywiste, że Bannon i Stary Tom są do siebie bardzo podobni. Ten sam mocno zarysowany podbródek, gęste brwi, głęboko osadzone oczy, tak samo surowo profilowane kości policzkowe.

Zauważywszy czarną jedwabną wstążkę, którą nosił zamiast oficjalnego krawata, uśmiechnęła się.

- Wciąż musisz być inny niż wszyscy.

- Tak jakoś wychodzi.

- Przedstaw nas, Kit - upomniała się Paula.

- Och, przepraszam. - Wciąż trzymając Starego Toma za rękę, Kit stanęła pomiędzy nim a Bannonem. Starła się zachować na twarzy wyraz bez troski i swobody. - Tomie, chciałabym, żebyś poznał moich przyjaciół z Los Angeles. To jest John Travis, którego właściwie przedstawiać nie trzeba. Ta płomiennowłosa kobieta to Paula Grant, z którą występowałam w *Wichrach przeznaczenia*. Obok Chip Freeman, reżyser filmu, który będziemy kręcić w Aspen, a to mój agent, Maury Rose. - Przerwała kładąc ręce na ramionach stojących obok niej mężczyzn. - A teraz przedstawiam wam Toma Bannona. Jest właścicielem rancza Stone Creek, które sąsiaduje z moim. To *cowman* z prawdziwego zdarzenia. A dżentelmen stojący po jego lewej stronie jest jego synem. Wszyscy nazywają go Bannon.

Nastąpiła tradycyjna wymiana uścisków dłoni i okolicznościowych formułek powitalnych, po czym Kit, chcąc znajomym przybliżyć postać Toma, ciągnęła:

- Nie wiem, czy zauważyliście, że użyłam słowa *cowman*. ale ludzie Zachodu nazywają tak w swoim żargonie człowieka, który pędzi krowy i sam zajmuje się hodowlą. A na przykład mojego ojca nazwano by *steer-man*, ponieważ kupował młode kastrowane byczki i hodował je na mięso. Mówiło się, że *steer-man* może zbankrutować, ale *cowman* na pewno nie.

- Dzisiaj niektórzy mają inne zdanie na ten temat - stwierdził Stary Tom.

- Kto wie, może mają rację?

Przyglądała się pobrużdżonej twarzy tego człowieka, który całe życie zmagał się z żywiołem. Jej surowy wyraz łagodziła serdeczność i radość ze spotkania.

- Nie spodziewałam się, że was tu dzisiaj zobaczę. Rozmawiałam z Angie, zanim usiedliśmy do stołu, i od niej dowiedziałam się, że jesteście.

- Przyjechaliśmy późno. Dzisiaj pędziliśmy bydło na zimowe pastwisko i zabrało nam to więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Przez ten przekłety samolot...

Kit zasłoniła usta dłonią.

- Muszę ci się do czegoś przyznać. To ja leciałam tym samolotem i to moja wina, że przestraszyliśmy krowy. Chciałam zobaczyć ranczo z góry, a pilot spełnił moją prośbę. Strasznie cię przepraszam. Jest mi bardzo przykro z tego powodu.

- Powinno ci być przykro. Straciliśmy przez to mnóstwo czasu. - Tom starał się mówić szorstkim głosem, mrużąc przekornie oczy.

- Kit bardzo się martwiła, że będzie się pan na nią gniewał, kiedy okaże się, że miał pan przez nią kłopoty - wtrącił John, stając w jej obronie.

- Mam prawo się gniewać. Kaskaderskich popisów jej się zachciało. Chociaż nie mogła przewidzieć, że będziemy pędzić stado - powoli ustępował Stary Tom.

Kit mrugnęła na Johna.

- Chyba zostałam rozgrzeszona.

- Nie rozzuchwalaj się - ostrzegł ją dobrodusznie Stary Tom.

Do rozmowy włączyła się Paula.

- Będę szczerą. Kiedy zobaczyłam popłoch wśród krów i zaganiających je kowbojów, pomyślałam, że zostałam przeniesiona na dawny Dzikie Zachód. Szczególnie, że nie zauważyłam w pobliżu żadnej ekipy filmowej.

- Zachód wciąż żyje, panno Grant. - Bannon okraślił uśmiechem swoje stanowcze stwierdzenie.

Kit nie zwróciła uwagi na pełen powątpiewania wyraz twarzy Pauli zafascynowana przeistoczeniem Bannona. Jeszcze po południu jako jeden z kowbojów w dżinsach i butach z ostrogami zawracał spłoszone bydło, by wieczorem, w odświętnym ubraniu, ze swobodą poruszać się w doborowym towarzystwie.

- Z góry wyglądało, że ma pan bardzo dorodne sztuki, panie Bannon - zauważył John, a Kit uśmiechnęła się, mając poważne wątpliwości, czy John choć trochę zna się na bydłe.

- Musi być dorodne - stwierdził Stary Tom. - Choć ceny są teraz takie, że praktycznie dopłacam do hodowli.

- Dlaczego w takim razie nie sprzedasz pan bydła? - zdziwił się Maury.

- Hodowcy łatwiej jest umrzeć niż się zmienić, panie Rose - poinformował go Stary Tom.

- Oto wypowiedź godna romantycznej tradycji Zachodu - szepnęła Paula.

- Coś mi się zdaje, że pani nie wierzy w tę tradycję - rzekł Bannon.

- Nie słyszał pan, że dawny Zachód odszedł wraz ze śmiercią Johna Wayne'a? To po prostu staroświecka, sentymentalna bzdura. Bo już nawet nie temat na film.

- Wy, młodzi, jesteście strasznie twardzi - z ubolewaniem stwierdził Stary Tom. - W nic nie wierzycie. Może moje pokolenie zbyt często ulegało wzruszeniu, gdy orkiestra grała *God Bless America*, ale nie wstydziliśmy się łez. A wy boicie się okazać prawdziwe uczucia. Jesteście oschli i słabi.

Paula gwałtownie poruszyła palcami.

- Czuję się, jakbym dostała linijką po łapach. Chyba zostaliśmy skarceni.

Stary Tom zachnął się, słysząc jej pozbawioną szacunku wypowiedź.

- Proszę nie udawać, że jest pani taką realistką. Nie ma pani o tym pojęcia. Moje pokolenie budowało kościoły i szkołę w jednym końcu miasteczka, a dom publiczny - w drugim. To jest realizm.

Znając Starego Toma od wielu lat, Kit wiedziała, że dopiero zaczyna się rozgrzewać do dyskusji. Z uśmiechem uniosła ręce w żartobliwym geście kapitulacji.

- Poddajemy się.

Orkiestra zagrała powolną melodię.

- To nasz taniec - powiedziała Kit do Starego Toma.

- Nasz taniec? - Krzaczaste brwi powędrowały wysoko ze zdumienia.

- To przecież walc - powiedziała niewinnie. - A w moim karnecie balowym mam zapisane, że pierwszy walc należy do ciebie. Czy mogę prosić? - Podała mu ramię.

- Robisz to, żebym przestał gadać i obrażać twoich przyjaciół - prowokował, oczekując zaprzeczenia.

- Tak. A poza tym chcę z tobą zatańczyć.

- Dwie pieczenie przy jednym ogniu?

- Coś w tym rodzaju. - Kit uśmiechnęła się. Starego Toma ubawiła ta szczerość. Biorąc Kit pod ramię powiedział:

- W takim razie chodźmy pokazać młodzieży, jak się tańczy walca.

Bannon odprowadził ich wzrokiem, po czym zainteresował się znajomymi Kit. Jego uwagę zwróciła przyglądająca mu się uważnie rudowłosa aktorka.

- Pana ojciec jest... - Paula szukała odpowiedniego słowa.

- ...silną indywidualnością - delikatnie podsunął Bannon.

Skinęła głową.

- Dobrze to pan określił, panie Bannon.

- Proszę zrezygnować z „pana”. Jestem Bannon. - Zerknął na parkiet od razu zauważając znajomą parę z wdziękiem płynącą po sali w rytm walca. - A jeśli chodzi o ojca, to zawsze miał swoje zdanie i musiał je głośno wypowiedzieć.

- Tak pomyślałam - stwierdziła Paula. - W pewnym momencie miałam wrażenie, że nazwie nas gromadą smarkaczy.

- Ile lat ma pański ojciec? - zainteresował się Maury.

- Osiemdziesiąt dwa.

- Niemożliwe - powiedział zdumiony Chip. - Nie wygląda na tyle.

- Chciałbym tak wyglądać w jego wieku - oznajmił Maury, poklepując się po zaokrąglonym brzuchu. - Ale obawiam się, że mam na to małe szanse.

- Proszę mi wybaczyć - przerwał John. - Wyjdę na chwilę na taras zapalić.
Maury skinął głową.
- Idź. Ale kiedy tylko Kit wróci, zaraz jej o tym powiem.
Odejście Johna przerwało rozmowę. Po chwili Maury zwrócił się do Bannona:
- Wydaje mi się, że zna pan Kit od dawna.
- Tak, od bardzo dawna. Od dziecka - potwierdził, spoglądając z rozmarzeniem na tańczącą Kit.
Paula, której uwagi nie uszło jego zainteresowanie Kit, szepnęła:
- A więc to tak?
- A więc to tak - odpowiedział z prostotą, po czym ponownie spojrzął na tańczących, tym razem zauważając rumieńce zmęczenia na twarzy ojca. - Przepraszam, ale muszę pójść po ojca, bo gotów przeszarżować.

Na parkiecie Stary Tom i Kit, zataczając szerokie kręgi, wirowali w walcu, aż inne tańczące pary ustępowały im miejsca.

- Zauważyłaś, że wszyscy na nas patrzą? - zartowała Kit.
- To dlatego, że tańczę z najpiękniejszą dziewczyną na sali. Beauty byłaby zazdrosna, gdyby to widziała. Chociaż nie, to nieprawda - poprawił się szybko. - Nigdy nie byłaby zazdrosna o ciebie. Tak cię lubiła, że traktowała cię jak córkę.

- I ja bardzo ją lubiłam.
- Ogromnie mi jej brak.

Po raz pierwszy, odkąd weszli na parkiet, pomylił kroki. Zaraz się poprawił, z powrotem wpadając w rytm, lecz nie odzyskał początkowej pewności ruchów. Kit dopiero teraz zauważyła krople potu na jego czole.

- Zmęczyłeś się. - Nagle pożałowała, że zaprosiła go do tańca.

Stary Tom próbował ją wykpić.

- Bannonomie są jak bernardyny. Od urodzenia wyglądają na starych i strudzonych. - Wyraźnie nie chciał dłużej rozmawiać na temat swojego zmęczenia. - Na jak długo przyjechałaś tym razem? Czy tak jak zwykle, wpadłaś tylko na chwilę?

- Tym razem będę tu tak długo, że znudzi ci się mój widok.

- Nie opowiadaj mi takich rzeczy. Twój widok nie znudzi mi się nigdy - zapewnił ją głosem, w którym brzmiała szorstka szczerłość.

Stary Tom poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Obok niego stał uśmiechnięty syn.

- Teraz moja kolej - powiedział Bannon.

Skloniwszy się lekko. Stary Tom cofnął się o krok, natychmiast pozwalając Kit zatańczyć z synem, co świadczyło o tym, jak bardzo jest zmęczony. Bannon objął Kit silnym ramieniem. Złączyli ręce. Szorstkie dłonie Bannona lekko szorowały delikatny materiał rękawiczki. Na palcu błyszczała obrączka przypominająca Kit, że poślubił inną kobietę; chociaż zapewniał ją o swojej miłości. Najwyraźniej kochał ją mniej niż ona jego.

Rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem Starego Toma. Zauważyła, że odpoczywa na skraju parkietu, ocierając pot z czoła, a potem drżącą ręką chowa chustkę do kieszeni.

- Nie powinnam była prosić go do tańca - wyszeptala.

- Sprawiałaś mu tym wielką radość.

- Ja też się cieszę, że z nim zatańczyłam, ale dobrze, że podszedłeś.

- Jak bym mógł nie podejść? To chyba naturalne. - Bannon obdarzył ją uśmiechem. - Tyle razy tańczyliśmy ze sobą - w szkole, w akademiku, na dyskotekach, że stało się to moim przyzwyczajeniem.

Odchyliła lekko głowę.

- Pamiętasz tak wiele naszych tańców? - Zawsze zastanawiała się, czy o niej myśli.

- Przypominają mi się, ilekroć cię widzę.

- Ostatnio tańczyliśmy chyba z dziesięć lat temu. Albo więcej.

Dziesięć lat... A jednak dotyk jego mocnej dłoni, zarys mięśni ramion, sposób stawiania kroków wydały jej się bardzo znajome. Tyle że dawniej tańczyli wolniej i mniej oddaleni od siebie... Westchnęła, a potem uśmiechnęła się do Bannona.

- Przeżyliśmy miłe chwile. - Za wszelką cenę chciała zachować w pamięci pogodny obraz tego, co ich łączyło.

- Tak, to prawda - zgodził się Bannon i cicho dodał: - To już dziesięć lat. - Przyjrzał się uważnie jej

twarży. - Wydaje mi się, że wtedy miałaś więcej piegów.

- Okropnie mi dokuczałeś z tego powodu - przypomniała. - Raz nawet o mało się nie rozplakałam. Poszłam do domu i starałam się je usunąć za pomocą soku z cytryny i wody utlenionej; próbowałam je nawet zetrzeć papierem ściernym.

- Dobrze, że ci się nie udało. Lubię twoje piegi.

- Przydają mi wyrazu, nie sądzisz? - Uniosła głowę żartobliwie przybierając dumną pozę. Już dawno temu zorientowała się, że bezpieczniej jest prowadzić rozmowy lekkim tonem.

Bannon wybuchnął śmiechem.

- Mówisz, jakbyś go miała za mało. - Spoważniał. - Pamiętasz, że nigdy nie ukrywaliśmy niczego przed sobą? Inna sprawa, że ta nasza wzajemna szczerość nieraz prowadziła do kłótni.

Kit zastanowiła się przez chwilę.

- To śmieszne, ale nie mogę sobie przypomnieć powodów naszych sprzeczek. A ty?

- Też nie.

- Zastanawiam się dlaczego.

- Prawdopodobnie dlatego, że nie dotyczyły poważnych spraw.

- To dlaczego w ogóle się kłóciliśmy? - spytała.

- Może dlatego, że tak dużo przebywaliśmy ze sobą. A może dlatego, że nas to bawiło.

Nie wiedział właściwie, co ma powiedzieć. Kit Masters „od zawsze” zajmowała bardzo ważne miejsce w jego życiu. W swoim czasie była dlań osobą najbliższą. To uczucie niezupełnie widać wygasło, skoro teraz, pomimo dziesięciu lat niewidzenia, czuł się przy niej tak lekko i swobodnie. Jak miał jej wyjaśnić coś, co pewnie doskonale rozumiała?

- Byliśmy młodzi, Kit. Znaliśmy się bardzo dobrze. Wiedzieliśmy, czego możemy się po sobie spodziewać. Czasami po prostu wypróbowywaliśmy się z czystej przekory i chęci sprawdzenia, na ile możemy sobie pozwolić.

- Tak. - Posmutniała.

- Nigdy nie chciałem cię zranić.

Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że tak się stało, chociaż sama ani razu nie dała mu tego odczuć.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, że nie. - Lecz jej ciepłemu uśmiechowi towarzyszyło lekkie drganie podbródka - znak, że uraził jej dumę. - Przebaczyłam ci już dawno.

Przebaczyła, lecz z pewnością nie zapomniała. Bannon rozumiał to, tak jak wiedział, że za radosnym uśmiechem i pozornie beztróskim usposobieniem kryje się kobieta o silnej woli i silnych namiętnościach.

Nie odezwał się, pozwalając, by ciszę wypełniła rzewna melodia walca. Obserwował Kit, miękki zarys jej ust i wymowne spojrzenie. Wrócił nastrój towarzyszący dawnym chwilom, kiedy byli razem, a on tańczył z nią, całował i czuł jej na wpełń oddane, na wpełń opierające się sprężyste ciało.

Kit nagle odwróciła głowę, czując, że dalsze uleganie nastrojowi wspomnień może ją drogo kosztować. Kolczyk w jej uchu zakołysał się gwałtownie. Starła się zatuszować tę nagłą reakcję uśmiechem skierowanym do tańczącej obok pary.

Odzyskawszy spokój spojrzała na Bannona.

- Chciałabym wpaść do twojego biura w poniedziałek i wziąć klucze od domu na ranczu. Mogę przyjść rano?

- Tak. To najlepsza pora. Przy okazji przejrzymy papiery dotyczące majątku twojego ojca.

- Dobrze, skoro to konieczne. Musisz wiedzieć, że wszystkie sprawy prawnicze to dla mnie czarna magia. Dobrze, że ojciec ciebie wybrał na wykonawcę testamentu.

- Gdybyś musiała, to dałabyś sobie radę - rzekł Bannon, zgrabnie wymijając inne tańczące pary.

- Z wielkim trudem. - Zastanowiła się przez chwilę, a potem dodała: - Chociaż po tym, ile formularzy i najrozmaitszych papierków musiałam wypełnić dla mamy, powinnam już nabrać wprawy.

- Jak ona się czuje?

- Cały czas tak samo. Lekarze mówią, że może żyć jeszcze wiele lat. Ale nigdy nie będzie mogła wrócić do domu.

- Kit...

Zauważyła w jego oczach wyraz żalu i współczucia.

- Nie chcę o tym mówić. Nie dzisiaj. - Potrząsnęła stanowczo głową.

- W porządku. - Czuł, że stawianie dalszych pytań byłoby nietaktem.

Nie mógł jednak przestać myśleć o tym, czemu musiała stawić czoło w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy, które upłynęły od śmierci ojca - nagłym kłopotom związanym z pogorszeniem stanu zdrowia matki i morderczym wymogom kariery filmowej. Podziwiał ją za dzielność i pogodę ducha.

Przyciągnął ją lekko do siebie; poczuł subtelny zapach perfum. Odległym echem powróciły dawne uczucia i namiętności. Wirowali w tańcu, dopasowując kroki z łatwością ludzi, którzy tańczyli ze sobą całe życie.

Sondra przystanąła przy drzwiach na taras poirytowana widokiem nowojorskiego finansisty George'a Greenbauma towarzyszącego J. D. Lassiterowi. Mogła się domyślać, o czym rozmawiają. Tego wieczoru George zanudzał wszystkich popisując się wiedzą na temat kulisy polityki Waszyngtonu. Lassiter wydawał się jednak słuchać z zainteresowaniem, co oznaczało, że nie należy mu teraz przeszkadzać.

Doszła do wniosku, że stojąc w tym samym miejscu może sprawić wrażenie, iż czeka na audiencję u Lassitera, postanowiła więc zmienić plan. Drzwi wychodziły na taras, w którego centralnym punkcie znajdowała się dyskretnie oświetlona fontanna. W ciemności poruszały się ludzkie sylwetki z jarzącymi punkcikami papierosów w dłoniach. Sondra nie miała ochoty na błahe rozmowy - odwróciła się, zamierzając wrócić na salę, gdy zauważyła mijającego ją Johna Trvisa niecierpliwym gestem sięgającego do kieszeni po papierosa.

- Cześć, John, miło cię widzieć - osadziła go w miejscu, starając się nie zauważać wyrazu poirytowania w jego oczach.

- Sondra! - Wyjął rękę z kieszeni. Przywitał się całując ją w policzek. - Wyglądasz świetnie, jak zwykle. - Cofnął się o krok, by móc się jej lepiej przyjrzeć. - Dobrze ci w czerni. Ale jak możesz wyglądać źle z tym księżycowym światłem na włosach?

- A ty wciąż jesteś uwodzicielski. - Sondra uśmiechnęła się uprzejmie, słysząc zdawkowy komplement. - Zastanawiałam się, czy jesteś. Tak rzadko przyjeżdżasz teraz do Aspen. Nie wiem, po co sprzedalam ci ten dom w Starwood.

- Jestem strasznie zajęty. - Było w niej coś, co przypominało mu kota syjamskiego z pomalowanymi pazurami.

- No tak, wszyscy mówią o tym filmie, który będziecie tutaj kręcić zimą. - Kątem oka Sondra dostrzegła, że George Greenbaum rozmawia już z kimś innym. Odwróciła się nieznacznie i udając, że zauważyła Lassitera po raz pierwszy, powiedziała:

- O, widzę Lassitera. Przepraszę cię, Johnie. Chciałabym zamienić z nim dwa słowa.

- Oczywiście. - Zrobił krok w stronę drzwi na taras.

- Jeśli moja agencja będzie mogła pomóc w znalezieniu miejsc dla ekipy, daj mi znać.

- Obiecuję. - John wyszedł na taras, a Sondra odwróciła się, zapominając o nim i skupiając uwagę wyłącznie na Lassiterze.

- Dobry wieczór. - Podeszła do słynnego miliardera i podała mu dłoń na powitanie. - Chciałabym pogratulować panu tak wspaniałego przyjęcia. Atmosfera, jedzenie, wino, muzyka, dobór gości - wszystko jest wspaniałe. Prawie nikt dotąd nie wyszedł. Sama nie urządziłabym tego lepiej.

- W pani ustach brzmi to jak najwyższa pochwała, Sondro - odpowiedział.

Protekcjonalny ton jego głosu był wysoce irytujący, lecz zmusiła się do uśmiechu.

- Jest pan zbyt uprzejmy.

- Nonsens - zaprzeczył Lassiter, lecz jego uśmiech mówił coś innego.

Sondra roztropnie starała się tego nie zauważać.

- Miałam zamiar do pana dzisiaj zadzwonić - powiedziała. - Lecz spodziewałam się spotkać pana na przyjęciu.

- Tak? - Uniósł brwi na znak lekkiego zainteresowania.

- Moja firma otrzymała wyjątkową ofertę sprzedaży wspaniałej nieruchomości w centrum Aspen. Cały kompleks budynków. Oczywiście natychmiast pomyślałam o panu...

- Nie jestem zainteresowany - przerwał ostro.

Nie spodziewała się tak zdecydowanej odprawy. Była jednak zbyt doświadczona, żeby okazać zaskoczenie. Uśmiechnęła się, udając lekkie rozbawienie.

- Zapewne będzie pan, gdy pan usłyszysz, w jakim to jest miejscu - powiedziała z pewnością w głosie.
 - Nie sądzę. - Zarówno jego głos, jak i postawa wyrażały obojętność.
 Nadal się uśmiechając, starała się nie przyjmować tych słów do wiadomości.
 - Chyba pan nie myśli tak naprawdę?
 - A dlaczego miałbym nie myśleć? - wybuchnął. - Ile już razy po tym, jak sprzedała mi pani dom na Red Mountain, kontaktowała się pani ze mną, proponując kupno jakiejś nieruchomości?
 - Kilka. - Odwzajemniła jego chłodne spojrzenie.
 - I za każdym razem mówiłem pani, że nie jestem zainteresowany. Wydawało mi się, że powinna już pani zrozumieć.
 - Ale...
 Uniósł rękę.
 - Proszę mi oszczędzić tej reklamy i zachować ją dla kogoś innego. Może Marvin Davis albo Trump byliby zadowoleni z posiadania kompleksu budynków w Aspen. Ale nie ja. Interesuje mnie wyłącznie drugie Aspen.
 Sondra zdała sobie nagle sprawę, że nie doceniła rozmiarów próżności Lassitera.
 - Będę o tym pamiętać - powiedziała półgłosem.
 - Bardzo dobrze - rzekł, splatając ręce do tyłu. Było w tym geście coś królewskiego, podobnie jak w sposobie przyglądania się tańczącym spod wyniośle przymkniętych powiek.
 - Czy to Bannon tańczy z aktorką grającą główną rolę w moim nowym filmie?
 Sondra spojrzała na parkiet. Rzuciła okiem na jasnowłosą partnerkę Bannona i gorączkowo wpiła się wzrokiem w jego uśmiechniętą, rozmarzoną twarz. Poczula nagle ostre ukłucie zazdrości widząc, w jaki sposób patrzy na trzymaną w ramionach kobietę.
 - Tak, to Bannon.
 - Wydaje się, że jest nią zainteresowany.
 - Są przyjaciółmi od dzieciństwa. - Sondra starała się zlekceważyć to, co powiedział Lassiter, lecz przypomniawszy sobie, że gdy Bannon żenił się z Dianą, po mieście krążyły plotki o tym, że Bannona i Kit Masters łączyła nie tylko przyjaźń.
 - No tak. Ona pochodzi z Aspen - Lassiter z roztargnieniem kręcił głową. - John cały czas podkreśla ten fakt, reklamując jej osobę. - Uśmiechnął się afektownie. - Próżność Johna nie pozwoliłaby mu romansować z kimś nie znanym.
 Sondra zastanowiła się, czy Lassiter zdaje sobie sprawę, że to co mówi, często jest podobne do obrzucania ludzi błotem. Walc się skończył. Jego ostatnie dźwięki utonęły w szumie rozmów. Kilku tancerzy oklaskiwało orkiestrę. Bannon obejmował Kit jeszcze przez kilka chwil po tym, jak orkiestra przestała grać. Czyżby słuchał, co mówiła? Sondra nie mogła dostrzec z tej odległości. W końcu Bannon i Kit rozdzielili się i zaczęli schodzić z parkietu.
 Sondra bacznie obserwowała uśmiechniętą twarz Bannona i rękę, którą wciąż dotykał pleców Kit. Zacisnęła szczęki aż do bólu, miała ochotę krzyknąć.
 „Nie, to się nie może powtórzyć. Nie straci go po raz drugi.”
 Przeprawiła Lassitera i przeciskając się przez tłum, ruszyła na spotkanie Bannona i Kit. Gdy zbliżyła się do nich, wydawała się już całkiem spokojna i opanowana. Skinął głową, dostrzegając Sondrę, lecz nie cofnął ręki, którą obejmował Kit.
 - Kit, pamiętasz moją szwagierkę, Sondrę Hudson?
 - Oczywiście, przecież już się spotkałyśmy. Dobry wieczór, panno Hudson. - Przywitała się Kit z lekką rezerwą.
 - Proszę mówić mi po imieniu - nalegała Sondra, uśmiechając się uprzejmie.
 - Cieszę się - powiedziała Kit, przyjmując do wiadomości, że przeszły na „ty”, po czym przedstawiła ją gronu przyjaciół z Hollywood, których nazwisk Sondra nawet nie starała się zapamiętać.
 - Miło mi państwa poznać - powiedziała, a potem zwracając się do Bannona, zapytała: - Gdzie jest Stary Tom?
 Bannon rozejrzał się dookoła.
 - Nie mam pojęcia.
 - Chyba widziałam, jak szedł w stronę baru - stwierdziła rudowłosa aktorka.
 - Powinniśmy po niego pójść - rzuciła ostro Sondra. - Robi się późno.
 - Dobrze - zgodził się Bannon, patrząc na Kit Masters.
 Sondra zauważyła, że jego surowe oblicze złagodził nie znany jej wyraz ciepła.

- Dziękuję za taniec - powiedział do Kit.
 - Ja również - odpowiedziała.
- Sondra obserwowała, jak wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.
- Będziemy musieli to powtórzyć - dodała po chwili Kit.
 - A mówiłem, że stare przyzwyczajenia dają znać o sobie. - Bannon uśmiechnął się łagodnie.
- Kit odpowiedziała mu cichym serdecznym śmiechem, a widząc, że podchodzi do Sondry, dodała:
- A więc do poniedziałku.
 - Czekam.

Skierował się z Sondrą w stronę baru. Zesztywniała, czując, z jaką obojętnością otoczył ją ramieniem. Spojrzał na nią zaskoczony. Zauważył, że ma zaciśnięte wargi, a jej twarz wyraża rozczarowanie i niezadowolenie.

- Coś się stało, Sondro?
 - Nie, nic. - Jej odpowiedź była szybka, gwałtowna jak spojrzenie, którym go obrzuciła, lecz zdążył zauważyć w jej oczach złość, a nawet rozpacz. - Po prostu nie wyszła mi rozmowa z Lassiterem.
- Nie zadawał dalszych pytań. Wrócił myślami do Kit.

Rozdział dziewiąty

Kit obserwowała Bannona i Sondrę znikających w tłumie. Nie spodziewała się, że taniec z Bannonem wywoła w niej tak żywe wspomnienia.

- Jeśli to jego szwagierka, gdzie podział żonę? - Paula stanęła obok Kit, studiując zarys ramion Bannona sponad krawędzi kieliszka.
- To wdowiec.
- Wdowiec! Cóż za staroświeckie określenie - parsknęła Paula z rozbawieniem. - Nie słyszałam go od lat.

- Pasuje do Bannona.

Orkiestra zagrała żywszy kawałek i na parkiecie zrobiło się tłoczno. Kit wydawało się, że w tłumie tańczących rozpoznaje Angie. Lecz po chwili okazało się, że to nie ona.

- Gdzie mogła zniknąć? - zastanawiała się Kit, przyglądając się twarzom stojących obok ludzi.
- Angie Dickinson? To ona jest tutaj? - Paula w zdumieniu uniosła brwi.
- Nie, Angie Richardson - poprawiła Kit, uświadamiając sobie, że to nazwisko nic Pauli nie mówi. - Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Wpadłam na nią, zanim usiedliśmy do stołu. Zamierzałyśmy się później spotkać i umówić na wspólny lunch, ale nie mogę jej znaleźć. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyszła.

Poczuła dotknięcie czyjejś dłoni na swoim ramieniu i od razu rozpoznała zapach wody kolońskiej Johna.

- Szukałaś mnie? - zapytał półgłosem.
- Kiedy odwróciła głowę, zauważyła błysk w jego oczach.
- Nie.

Skrzywił się z dezaprobatą.

- Szkoda. W tym miejscu powinnaś powiedzieć „tak”.
- Dlaczego miałabym cię szukać? - kokietowała, udając zakłopotaną.
- Mogłabyś na przykład tęsknić za mną.
- A odpowiadałoby ci to? - Nie byłaby całkowicie szczerą mówiąc, że za nim tęskniła, lecz wyraźnie ucieszył ją jego powrót.

- Bardzo. Szczególnie, gdybyś miała ochotę ze mną zatańczyć.
- Podawała mu rękę z uśmiechem.

- Myślałam, że nigdy mnie o to nie poprosisz.
- A więc proszę - szepnął i pociągnął ją na parkiet.

Przetańczyli kilka kawałków, śmiejąc się i flirtując. Kiedy w czasie przerwy John poszedł po drinki, Kit wymknęła się do toalety.

Wytworna kobieta obwieszona kolekcją diamentów i rubinów siedziała przed podświetlonym lustrem, poprawiając fryzurę szczotką w srebrnej grawerowanej oprawie. Rzuciła wchodzącej krótkie spojrzenie, nie okazując żadnego zainteresowania. Kit mimo wszystko uśmiechnęła się i weszła do kabiny.

Po chwili drzwi do toalety otworzyły się i usłyszała gwar dobiegający z holu. Natychmiast

rozpoznała głos Angie. Pośpiesznie wygładziła suknię i uśmiechnęła się radośnie na myśl o bliskim spotkaniu.

- Nie bądź dziecinna. Truła - mówiła Angie. - To oczywiste, że Kit sypia z Johnem Travisem. Myślisz, że w innym przypadku dostałaby główną rolę w filmie?

Kit zastygła w bezruchu.

- Powiedziała ci to? - zapytała z niezdrowym zaciekawieniem w głosie druga kobieta, zapewne Truła.

- Och, oczywiście zaprzeczyła. Wcale mnie to nie zaskoczyło - odrzekła Angie. - Już w szkole zawsze zgrywała niewiniątko. Czasami bywało to wręcz obrzydliwe.

To, co Kit przed chwilą usłyszała, było zdecydowanie bardziej obrzydliwe, ale teraz zastanawiała się przede wszystkim, dlaczego tak bardzo zabolą ją słowa Angie. Była przygotowana na tego rodzaju zawistne i złośliwe plotki w Hollywood, gdzie niszczone każdego, komu udało się wspiąć trochę wyżej. Nigdy się tym nie przejmowała. Lecz to oszczerstwo bardzo ją zabolęło. Chodziło o Angie, którą zawsze uważała za najlepszą przyjaciółkę, a która przed chwilą oskarżyła ją o robienie kariery przez łóżko. Poczuli się zdradzeni.

Usłyszała stukot obcasów po marmurowych płytkach, trzaśnięcie drzwi i szelest sukni. Rozdzielająca kabiny ścianka nadawała głosowi Angie głuche brzmienie.

- Cholera, poleciało mi oczko w pończosze.

Kit skorzystała z okazji, aby wyslizgnąć się niepostrzeżenie. Kiedy powróciła na salę balową, John czekał na nią z kieliszkiem wina.

- Dziękuję. - Pociągnęła łyk, lecz wino wydało się jej bez smaku. Opuściła kieliszek, mocno zaciskając na nim palce. Nagle poczuła się zmęczona, zniecierpliwiona, rozdrażniona wszystkim: winem, muzyką, ludźmi, całym przyjęciem.

- Coś nie tak? - zapytał John, przyglądając się jej uważnie.

Potrząsnęła niezdecydowanie głową.

- Wydaje mi się, że jest tu zbyt hałaśliwie.

- To prawda - szepnęła Paula i przycisnęła dłoń do czoła. - Głowa mi pęka z bólu.

- Chcesz wyjść?

- Oj, tak - rzekła Paula, zanim Kit zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

- Nie masz nic przeciwko temu? - Kit spojrzała na Johna.

- Nie. Ja też odegrałem już swoją rolę na tej scenie.

- Co z twoją szkolną koleżanką. Kit? - przypomniała Paula. - Zaprosiłaś ją na lunch?

- Nie. Gdzieś się zapodziała - powiedziała Kit, wzruszając ramionami. - To zresztą nic ważnego.

Nawet przed samą sobą nie chciała przyznać, jak bardzo zabolęła ją zdrada Angie.

Po powrocie do rezydencji Johna w Starwood Kit za przykładem innych poszła prosto do swojego pokoju. Rzuciła torebkę na stolik i przeszła przez oszklone drzwi wiodące na taras. Owionęło ją rześkie, górskie powietrze.

Idąc machinalnie przed siebie, przecięła snop światła wydobywającego się z sypialni i dotarła do balustrady wyłożonego marmurowymi płytami tarasu. Nie była w stanie określić nastroju, jaki ją ogarnął. Czuli zmęczenie, osamotnienie i dokuczalo jej uczucie dojmującego smutku po utracie przyjaźni Angie i miłości Bannona.

Postanowiła spróbować wziąć się w garść. Nie miała ochoty zajmować się roztrząsaniem przypuszczeń typu „co by było, gdyby”. Nie można zmienić przeszłości. Teraz miała nowe życie i nowy w nim cel, a być może nawet nową miłość. Bardzo chciała, aby spełniły się związane z nią marzenia. Uniosła wzrok ku usianemu gwiazdami niebu, cicho wypowiadając życzenie.

- Chcesz być teraz sama, czy mogę się przyłączyć?

Kit odwróciła się. Patrzyła nie wierząc własnym oczom, nie mogąc wykrztusić ani słowa wstrząśnięta odkryciem, że jej życzenie nagle się spełniło. W drzwiach, które pozostawiła otwarte, stał John.

- Zauważyłem światło - powiedział. - Pukałem, ale oczywiście nie słyszałaś.

- Nie, lecz bardzo pragnęłam, abyś tu był - wyznała spontanicznie, rezygnując z wszelkiej ostrożności.

- A ja właśnie myślałem, że będę zmuszony użyć całej siły perswazji, aby namówić cię na kieliszek do poduszki.

Zbliżył się do niej z napełnionym kieliszkiem.

- Mówiłaś, że przepadasz za szampanem i blaskiem księżycy. Niestety, jeśli chodzi o księżyc, to mamy go niewiele. - Wskazał cieniutki srebrny rożek zawieszony na niebie. - I nie mamy tu ani kropli mrożonego szampana. Miałem nadzieję, że zadowolili cię brandy i blask gwiazd.

- To wspaniałe połączenie. - Kit wyciągnęła rękę po kieliszek. - I niebanalne - dodała, mając w pamięci wcześniejszą uwagę Johna, że księżycowy blask jest dobry dla podlotków.

- Tak właśnie myślałem. - Zajrzał jej w oczy z uśmiechem.

Wypiła łyk, czując, jak od stóp do głów oblewają ją fala gorąca, bardziej z powodu jego spojrzenia niż pod wpływem alkoholu. Było to nieopisanie przyjemne uczucie.

Leniwie wpatrywała się w nocne niebo usiane tysiącami gwiazd.

- Piękna noc, prawda? Popatrz, ile gwiazd - szepnęła. - Od wieków nie widziałam tylu naraz. Wydaje się, iż są tak blisko, że mógłbyś ich dotknąć.

- Jesteś typem kobiety, dla której mężczyzna chciałby zgarnąć z firmamentu wszystkie gwiazdy i obsypać ją nimi, tylko po to, by ofiarowała mu jeden uśmiech.

- Coś mi się wydaje, że mnie podrywasz. - Próbowała się przekomarzać.

- Nic podobnego. - Musnął opuszką palca jej policzek, a potem miękkim ruchem dotknął włosów. - Robię tylko pierwszy krok.

- Czy słusznie? - Na chwilę straciła oddech, wiedząc, że sprawił to czuły dotyk Johna.

- Nie ma nic bardziej właściwego. - Zaczął delikatnie całować miejsca, którymi poprzednio wędrował palec.

- Zaczynam myśleć, że nastajesz na moją cnotę. - Choć było to przeciwne jej naturze, starała się traktować całą sytuację lekko, mimo że czuła, jak słabnie jej opór, znikają wątpliwości. Tego wieczoru bardziej niż kiedykolwiek chciała kochać i być kochaną.

- Nie tylko na twoją cnotę, także na twoje ciało, twoje serce. - Pocałował ją lekko w okolicę ucha. - Na całą ciebie, Kit.

Gdy usłyszała swoje imię wypowiedziane niskim ochryplym głosem, podziało to na nią jak pieszczoła. John wyjął jej z rąk szklaneczkę brandy. Oparła dłoń o jego tors.

- Czy wiesz, jak bardzo cię pragnąłem przez te wszystkie tygodnie?

- Nie - odpowiedziała cicho, myśląc jedynie o tym, że chciałyby znów poczuć ciepło jego ust.

- Za bardzo. Nieprzyzwoicie bardzo. - Ujął jej twarz w dłonie, wsuwając palce we włosy i burząc staranne uczesanie. - To już nie było pragnienie tylko potrzeba - wyznał, zakrywając jej usta namiętnym pocałunkiem.

Czuła ogarniającą ją falę ciepła. Odchyliła lekko głowę, zachęcając do pogłębienia pocałunku. Mogła długo opierać się pokusie, zwalczać podniecenie, lecz teraz była całkowicie bezbronna wobec jego i swoich własnych pragnień.

Z trudem odnalazł zapięcie wieczorowej pelerynki, chcąc jak najszybciej dotknąć jej ciała. Kiedy poradził sobie z większością guzików, niecierpliwym gestem ściągnął z ramion atlasowe okrycie, które mieniąc się spłynęło do stóp. Zadrżała. Ciepłe ręce i rozpalone wargi pieściły teraz jej rozchylone usta, szyję i ramiona.

Przez cały czas celem Johna było zakończenie tego wieczoru w łóżku z Kit, nie przypuszczał jednak, że będzie odczuwał aż taką nieprzepatą tego potrzebę, tak wielkie pożądanie. Wziął Kit na ręce i zaniósł do sypialni. Tam przytulali się, zanim zaczął wyjmować szpilki z jej włosów, rozpuszczając je na ramiona. Wyszeptał coś niezrozumiale, a jego ruchy stały się gwałtowniejsze i bardziej niecierpliwie.

Pośpiesznie, gorączkowo zaczęli się rozbierać. Przez chwilę nie mógł sobie poradzić z zamkiem błyskawicznym sukni. Zaklął. Zaśmiała się nerwowo, walcząc o złapanie tchu. Wreszcie znaleźli się na łóżku złączeni mocnym uściskiem.

Miał ochotę pojąć ją natychmiast i jednocześnie pragnął cieszyć się nią jak najdłużej. Językiem leniwie przewędrował z warg, na których pozostał jeszcze smak brandy, ku ciepłej wilgoci ich wnętrza. Lecz ręce niecierpliwie przesuwały się po jej ciele. Gdy dotknęły wierzchołków piersi, poczuł, że wyprężyła się pod nim. Jego usta, wciąż całując, przeniosły się na szyję, a potem pośpieszyły ku nabrziałym, oczekującym piersiom.

Przytulała go coraz mocniej, wydając zduszone jęki. Objął ustami sutek i drażnił go poruszającym się szybko językiem, by po chwili, zataczając coraz większe kręgi, pieścić skórę na wypukłości piersi. Głuchym szepczeniem wypowiedziała jego imię, błagając o poprzednią pieszczołę. Spełnił tę prośbę z

ociąganiem, jednocześnie władczo zagarniając dłonią drugą pierś. Jej ciało odpowiedziało serią spazmatycznych skurczów. Chwylił teraz zębami stwardniałą brodawkę piersi, zwilżył ją językiem, aż stała się lśniąca, i zostawił w oczekiwaniu, przenosząc usta na drugą pierś, by i ją poznać, smakować, gryźć.

Prowadząc delikatnie dłonie po jego skórze, dotarła do twardych mięśni ramion, wodziła rękami wzdłuż silnych pleców, na koniec objęła wąskie biodra. Poczwała, jak drży pod wpływem jej dotyku, a jednocześnie zorientowała się, że jego rozbiegane palce także powoli przemieszczają się niżej, niosąc doznania równie przyjemne jak te, które on musiał odczuwać.

Usta Johna przesuwały się pomiędzy piersiami Kit. Czuł, że napięły się mięśnie jej brzucha. Gdy przeniósł wargi jeszcze niżej, wygięła ciało w łuk, podniecona, oczekująca. Twardy, zachłanny język wzniecał w niej dreszcze, które czuła nawet w koniuszkach palców. Straciła zdolność myślenia, ciało stało się bezwolne.

Nie pozwalając jej ochłonać, powrócił do pocałunków. Prowadził grę miłosną nie tyle czule, co wytrwale. Przepelniała go nagła potrzeba spełnienia, jednak odwlekał ten moment, gdyż cieszyło go, że może upajać się odczuwaniem każdej zmiany, każdego napięcia mięśni, każdego spazmu rozkoszy, który pojawiał się zawsze, gdy śpieszył z wyrafinowaną pieśczęcią. Dawało mu to szczególne poczucie władzy i pewność, że kobieta nie panuje już nad sobą. Czuł jednak, że i on przestaje się kontrolować.

Słyszał jej oddech - przyspieszony, krótki. Ciało, które przykrywał swoim, wyrażało całkowitą uległość i oddanie. Była jego. Nagle poczuł, że obejmuje go palcami i krew uderzyła mu do głowy. Po chwili wprowadziła go w siebie.

Zaczęli poruszać się zgodnym rytmem, z każdą chwilą doskonale wyczuwając swoje potrzeby, upajając się narastającą przyjemnością, i nagle wszystkie doznania skupiły się w jedno. Razem osiągnęły to rzadkie poczucie spełnienia, które możliwe jest tylko wtedy, gdy obie strony dają sobie doskonałą rozkosz.

Rozdział dziesiąty

Poranne promienie słońca zaglądały do wnętrza kościoła przez kolorowe szkło witraży, wydobywając z ich czerwieni, zieleni i błękitu całą gamę odcieni. Drobin kurzu tańczyły w smugach światła biegnących wzdłuż bocznych naw i penetrujących miejsca pomiędzy dębowymi ławkami.

Stary Tom Bannon znalazł miejsce blisko drzwi, w ostatnim rzędzie. Bannon usiadł z przodu, koło Sondry, i rozejrzył się po twarzach ludzi zgromadzonych w kościele. Stojący na podwyższeniu pastor odczytał wybrane słowa Ewangelii, po czym wezwał wiernych do modlitwy.

Bannon pochylał głowę, słuchając monotonnego głosu przewodniczącego zgromadzenia. Trudno mu było się dzisiaj skupić. Słyszając zbiorowe „amen”, unosił głowę, by spojrzeć na dwanaścioro ubranych w błękitne tuniki tworzących chór dzieci. Rozbrzmiały pierwsze dźwięki organów. Spośród uroczystych, poważnych twarzy wyłowił wzrokiem Laurę, która czarnymi oczami wpatrywała się w dyrygentkę.

Poczuł na ramieniu dotknięcie dłoni Sondry. Na chwilę przypomniał sobie o jej obecności, ale nie oderwał wzroku od córki. Zauważył, że jej podbródek lekko poruszał się, gdy cicho liczyła takty granej na organach introdukcji. Bannon zorientował się, że sam po cichu liczył wraz z córką. Zaciśnięty bezwiednie pięści wparł się stopami w posadzkę, czując narastające napięcie.

Chór dziecięcych melodyjnych głosów zaintonował hymn *To jest mojego Ojca świat*. Spozstrzegł zdecydowane skinienie głowy, z którym Laura rozpoczęła śpiew. Bez trudu wyróżnił czysty, o pięknym górnym rejestrze, głos córki, która miała śpiewać solo refren po drugiej zwrotce. Nie mógł doczekać się tego momentu, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak zdenerwowana musi być Laura. Sam starał się dobrze zapamiętać słowa. Wreszcie chwila nadeszła i usłyszał mocny i pewny głos córki:

*To jest mojego Ojca świat,
tu dobro Jego blaskiem lśni.
I słyszę Go tu, jak
traw szumem daje znak,
o sobie ze wszech stron mówi mi.*

Po chwili dołączyły inne głosy, by wspólnie odśpiewać ostatnią zwrotkę i Bannon odetchnął głęboko. Nie poprowadziła fałszywie ani jednej nutki, nie pomyliła się ani razu. Uśmiechając się

lekko, otarł wilgotne dłonie o spodnie.

Gdy tylko skończył się hymn, Sondra przechyliła się ku Bannonowi i z uśmiechem szepnęła:

- Wypadła doskonale.

Bannon skinął głową, myśląc o Dianie... o tym, jak byłaby dumna z córki tego ranka. Nagle poczuł się stary i zmęczony. Ostatnio coraz częściej dopadało go to uczucie, przed którym nie umiał się bronić. Posmutniał.

Gdy nabożeństwo skończyło się, wyszedł za Sondrą z kościoła, zdejmując kapelusz z wieszaka przy drzwiach. Stanęli w krótkiej kolejce ludzi pragnących zamienić parę słów z pastorem. Przed kościołem panowało poruszenie; niektórzy parafianie rozmawiali, skupieni w małe grupki, inni pomału rozchodzili się do domów, dzieci trajkotały i gonily się ze śmiechem po dziedzińcu, zwolnione z obowiązku zachowywania się cicho. Trzymając Sondrę pod rękę, zszedł po schodach.

- Dzień dobry, Ed. - Skinął głową witając łysawego lekarza o rumianej twarzy, który rozmawiał z miejscowym pośrednikiem handlowym. Frankiem Scottem.

- Dzień dobry, Bannon - odpowiedział jak zwykle wesoło. - Mamy wspaniałą pogodę!

- To prawda. - Bannon zadął głowę, by przyrzeć się samotnej pierzastej chmurze wędrującej przez błękitne niebo. - Cieszymy się, póki jest, bo nie potrwa długo.

- Jadę teraz prosto na pole golfowe - poinformował go lekarz, po czym zwrócił się do Franka Scotta:

- Zadzwoń do Martina, to zagramy w dwie pary.

Idąc w stronę miejsca, w którym stał zaparkowany samochód, Bannon nagle przystanął.

- Powinniśmy poczekać na Laurę - powiedział do Sondry. - Myślę, że przebranie się nie zajmie jej dużo czasu.

Sondra uśmiechnęła się na znak zgody. Stojąc obok Bannona, witała skinieniem głowy mijających ich ludzi. Nikt już nie przyglądał im się z dawnym zaciekawieniem. Zdążyli się zapisać w pamięci tych ludzi jako para i wzbudziłiby większe zainteresowanie, gdyby przyszli osobno.

Stukanie laski o kamienne płyty dziedzińca sygnalizowało zbliżanie się siwowłosej i sztywno wyprostowanej Hetty Carstairs, która nigdy nie wychodziła ze swego utrzymanego w wiktoriańskim stylu domu w West End bez toczka i rękawiczek.

- Dzień dobry, pani Carstairs. - Bannon uchylił kapelusza, by powitać wdowę po sędzi okręgu Pitkin, Arturze Carstairsie.

Przystanąła opierając się lekko o laskę.

- Witam, panno Hudson. Witam, panie Bannon. - Przywitała oboje, po czym zwróciła się do Bannona: - Gratuluję panu córki. Ma bardzo piękny głos.

- Dziękuję... - zaczął, lecz natychmiast mu przerwała.

- Jestem pewna, że ma go po pana matce, która dysponowała wspaniałym głosem, bo pana... pana głos był okropny. Odczułam ulgę, gdy przestał pan śpiewać w chórze.

- Ja też odczułem wtedy ulgę - zapewnił ją, z trudem kryjąc rozbawienie.

Z lekkim uśmiechem na wąskich wargach pożegnała go skinieniem głowy i odeszła, a jej krokiem towarzyszyło oddalające się postukiwanie laski.

- Szczerze mówi to, co myśli - powiedział półgłosem Bannon.

- Kiedy będziesz miał osiemdziesiąt pięć lat, też będziesz mógł sobie na to pozwolić. - Sondra odprowadzała wzrokiem oddalającą się kobietę, przypominając sobie jej dom z werandą otoczony mnóstwem dziko rosnących kwiatów. Od razu przyszło jej na myśl, że sam dom nie przedstawia wielkiej wartości, lecz parcela - ze względu na rozmiar i lokalizację - warta byłaby z pewnością około dwóch milionów, gdyby tylko starsza pani chciała ją sprzedać. Porzucając te myśli, przyjrzała się Bannonowi, studiując jego śmiało zarysowany profil. - Myślę jednak, że pani Carstairs miała rację, gdy mówiła o Laurze. To dziecko ma naprawdę piękny głos. Byłeś bardzo zdenerwowany, gdy śpiewała, widziałam to - stwierdziła. - O czym wtedy myślałeś?

- O Dianie. Żałowałem, że nie może słyszeć Laury.

Sondra przestała patrzeć na Bannona, a jej usta zacisnęły się w wąską linię.

- Czy ty jej nigdy nie zapomnisz? - wycedziła tak cicho, że nie mógł usłyszeć.

- Chyba ojciec znalazł Laurę.

Sondra zauważyła wyłaniających się zza budynku kościoła Starego Toma i Laurę. Szli trzymając się za ręce. Spostrzegłszy Bannona i Sondrę Laura zostawiła dziadka i puściła się do nich pędem przez trawnik. Widać było, że nie może się doczekać słów pochwały.

- Byłaś świetna, Lauro - powiedziała Sondra.

- Dziękuję, ciociu. - Laura pokraśniała z zadowolenia.

Nie po raz pierwszy Sondrę uderzyło ogromne podobieństwo Laury do Diany. Pomyślała, że chyba właśnie dlatego Bannon nie może uwolnić się od wspomnień, a Diana zdaje się wciąż mieć nad nim władzę. Szczerze nienawidziła za to zmarłej siostry.

Podszedł Stary Tom.

- Powiedziałem, że jej głos brzmiał najładniej.

- To prawda - przytaknęła Sondra. - Wszyscy jesteście z ciebie bardzo dumni.

Laura miała ochotę roześmiać się ze szczęścia, lecz przygryzła wargi, nie chcąc okazać się zbyt dziecinna. Po chwili, odwracając się, zapytała:

- Ciociu, jak ci się podoba mój warkocz? Zaplotła mi go mama Buffy.

- Jest piękny.

- Myślisz, że jeśli będę w nocy spała na brzuchu, to będzie wciąż tak ładnie wyglądał jutro w szkole?

- Mam lepszy pomysł. Poproś tatę, żebyście wstąpili do mnie, jak cię będzie odwoził jutro rano do szkoły, a ja ci zaplotę warkocz tak samo.

- Podwieziesz mnie, tatusiu? - Laura spojrzała na ojca błagalnym wzrokiem.

- Musiałabyś wstać pół godziny wcześniej - ostrzegł.

- Nie szkodzi.

- No to w porządku - powiedział z rezygnacją Bannon, poddając się niemej prośbie jej czarnych oczu.

- Jeśli już się umówiliście, to może pomyślimy o jedzeniu? - Stary Tom zatarł ręce na myśl o posiłku. - Nie wiem jak wy, ale ja już zapomniałem, że jadłem naleśniki na śniadanie.

- Co byś powiedział na wołowinę duszoną po burgundzku? - zapytała Sondra. - I domowe paszteciki Emilii? - Spojrzała na Bannona pytającym wzrokiem. - Mam nadzieję, że przyjdziecie dziś do mnie na obiad.

- Dziękuję bardzo, ale obawiam się, że nie damy rady. Musimy zagonić krowy, które wczoraj uciekły w las. Pojedziemy teraz prosto na ranczo.

- A więc innym razem. - Uśmiechnęła się blado, starając się nie okazywać zawodu.

Rozstali się na parkingu. Wsiadając do swojego samochodu Sondra zauważyła, że Bannon bynajmniej nie pojechał „prosto na ranczo”, ale w przeciwnym kierunku. Nie potrzebowała się domyślać, dokąd się udał. Każdej niedzieli po nabożeństwie zabierał Laurę na cmentarz, na grób Diany, i nie zdarzyło mu się odstępować od tego rytuału. Zaciskając kurczowo ręce na kierownicy i patrząc przed siebie pociemniałym nagle wzrokiem wyjechała z parkingu.

John Travis ponownie nalał do filiżanki kawę ze srebrnego dzbanka stojącego na długim barowym stole w jadalni. Siedzący obok niego Nolan Walker uniósł pokrywkę z półmiska. Pokój wypełnił się apetycznym zapachem boczku. Nie przyciągnęło to jednak uwagi Johna, który dołączył do Kit siedzącej przy białym stoliku.

- Poczęstuj się. - zaproponowała mu kawałek rogalika grubo posmarowanego dżemem truskawkowym.

- Dziękuję, nie. - Spojrzał na jej talerz, na którym jeszcze przed dziesięcioma minutami znajdowały się parówki, boczek, chrupiące frytki, jajecznica ze szczypiorkiem i rogalik. Teraz został już tylko rogalik. - Widzę, że jesteś nienasycona.

- I kto to mówi? - Spojrzała na Johna wymownie, przypominając mu jego nienasyconie poprzedniej nocy. Męska próżność Johna została mile polechtana. Uśmiechnął się, obserwując, jak Kit je rogalik. - Poza tym, Johnie, nawet nie wiesz, jakie to jedzenie jest wspaniałe.

- Wczoraj skosztowałem czegoś wspanialszego - szepnął. - Tak słodkiego, że będę prosił o dokładkę, a potem o drugą, trzecią i czwartą.

- Jesteś zachłanny. - Odrobina dżemu zawisła na krawędzi rogalika. Kit zebrała ją palcem i zlizwała.

W drzwiach stanęła Paula. Jej rude włosy luźno spadały na ramiona okryte szlafrokiem z cienkiego zielonego jedwabiu.

- Czy musicie wszyscy tak hałasować? - użaliła się. - Zlitujcie się, proszę. Głowa mi pęka. - Usiadła na jednym z krzeseł wyściełanych tkaniną o peruwiańskich motywach. - Jeszcze nigdy nie miałam takiego kaca po wypiciu nędznych pięciu kieliszków wina.

- To nie kac. - Kit spojrzała współczująco na Paulę i z kryształowego naczynia nałożyła trochę dżemu truskawkowego na talerzyk przyjaciółki.

- Poważnie? Głowa mówi mi co innego - odparła sucho Paula, po czym omdlewającym gestem uniosła rękę. - Chip, bądź tak dobry i przynieś mi filiżankę kawy. Bez śmietanki.

- Wydaje mi się, że cierpisz na chorobę wysokościową. - Kit ułamała kawałek rogalika i zagłębiła go w dżemie.

- Przepraszam, co mówiłaś? - Paula z wysiłkiem uniosła głowę.

- Choroba wysokościowa. Jej objawami są kłopoty z oddychaniem, nudności, palpitacje serca, bezsenność i bóle głowy. Czasami bardzo uporczywe - dodała, obrzucając Paulę zatroskanym spojrzeniem.

- Bezsenność? - Nolan postawił swój talerz na stole i wyciągnął krzesło. - To dlatego miałem takie kłopoty ze snem, kiedy po raz pierwszy tu przyjechałem. Zazwyczaj zasypiam, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki.

- Prawdopodobnie dlatego. To wszystko przez zmniejszenie wilgotności i zawartości tlenu w powietrzu. Nie zapominaj, że Aspen leży ponad dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Czasami potrzeba kilku dni na przyzwyczajenie się do takiej zmiany wysokości - wyjaśniła Kit.

- Jeśli to prawda, to czemu jesteś tak niezdolnie rześka? - Paula obrzuciła przyjaciółkę zazdrosnym, karcącym wzrokiem.

Kit wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie miałam kłopotów z aklimatyzacją... może dlatego, że tu się wychowałam.

- Więc jakie jest na to lekarstwo? - dopytywała się Paula. - Inne niż cała fiolka tabletek przeciwbólowych?

- Chyba tylko czas, chociaż słyszałam też, że powinno się pić dużo płynów, powstrzymać od alkoholu i nie należy się przemęczać.

- Wierz mi, że nie mam zamiaru robić niczego innego niż leżeć na kanapie - mówiła Paula, gdy Chip postawił przed nią filiżankę parującej kawy. Chwyliła ją w obie dłonie i wypila łyk, patrząc z wdzięcznością na Chipa.

- Może byś coś zjadła? - zaproponował Chip.

Paula zaprzeczyła ruchem dłoni.

- Głowa mi się buntuje. Nie chcę do tego jeszcze buntu żołądka.

- Biedactwo - wyszeptła ze współczuciem Kit, przelitykając ostatni kęs rogalika.

Kiedy otyła służąca, Carla, weszła do jadalni sprawdzić, czy w ogrzewaczach pozostały jeszcze potrawy, John zwrócił się do niej:

- Przynieś aspirynę dla panny Grant, Carlo.

- Ja też poproszę. - Uniósł rękę Chip.

- Nawet was nie pytam o plany na dzisiejszy dzień - powiedziała Kit, gdy służąca przyniosła aspirynę. - Wygląda na to, że wszyscy macie zamiar położyć się i odpoczywać.

- A jakie są twoje plany? - spytał John odstawiając filiżankę.

- Dobrze, że pytasz. - Złożyła serwetkę obok talerza, zwracając się do Johna. - Właśnie miałam zamiar poprosić cię o pożyczenie samochodu.

- Nie ma sprawy. Dokąd chcesz jechać?

- Na cmentarz. Chcę odwiedzić grób ojca.

- Pojadę z tobą.

- Nie musisz - powiedziała Kit.

- Ale chcę. Chyba, że wolisz jechać sama.

- Nie.

- W takim razie powiedz mi, kiedy będziesz gotowa - rzekł odsuwając filiżankę.

Słoneczne promienie przebijały się przez liściaste baldachy drzew, padając na wypolerowany granitowy nagrobek z wrytym napisem: „Kochanemu ojcu”. Poniżej umieszczono imię i nazwisko Clint Masters, a pod nimi datę urodzenia i śmierci. Kit przyklękła na pozółklej jesiennej trawie, lekko przesuując dłonią po tablicy.

Nie chcąc przeszkadzać, John Travis przystanął z boku. Jednakże cały czas obserwował Kit uważnie, dostrzegając wyraz miłości i smutku na jej twarzy.

Lekki wietrzyk z szelestem uniósł liście, zmuszając je do gwałtownej gonitwy w powietrzu. Kit odgarnęła z policzka kosmyk włosów i odwróciła się w stronę Johna, spoglądając na niego nieobecny wzrokiem.

- Widzę ten nagrobek po raz pierwszy. - Wyprostowała się, wkładając ręce do kieszeni brązowych dzinsów.

- Jest ładny. - Użył tych banalnych słów, mając kłopoty ze znalezieniem innych.

- Tak. - Przyglądała się płycie jeszcze przez chwilę. - Następnym razem przyniosę jakieś kwiaty. Nie będzie już ostróżek ani orlika, ale powinnam jeszcze znaleźć stokrotki. Ojciec kochał polne kwiaty - wyjaśniła, przenosząc spojrzenie na otaczające ich szczyty. - Latem brał konia i jeździł w góry podziwiać piękno kwiatów. Mówił, że harmonijność barw i kształtów przywodzi na myśl jeden ogromny ogród skalny pielęgnowany z najwyższym mistrzostwem niewidzialną ręką.

- To rzeczywiście musi być piękne.

- I pomyśleć, że tej wiosny ojciec już nie wjedzie do swojego skalnego ogrodu - szepnęła, po czym westchnęła głęboko. - Idziemy?

- Ty decydujesz.

Skinęła głową, a potem raz jeszcze pogładziła chropawą, nagrzaną od słońca górną krawędź nagrobka. Skierowała się w stronę wyjścia, lecz nagle przystanęła, zauważając, że nie byli sami na cmentarzu. Kilka alejek dalej, z odkrytą głową, stał przy grobie żony Bannona trzymając córkę za rękę. Kit przyjrzała się uczesanej w warkocz ciemnowłosej, wpatrzonej w ojca dziewczynce.

Wzdrygnęła się gwałtownie, gdy John dotknął jej ramienia.

- O co chodzi? - Przyglądał się jej z zaciekawieniem. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - zażartował.

- Tak mi się właśnie zdawało - odparła, ruchem głowy wskazując Bannona i Laurę. - Córka Bannona jest ładną podobną do Diany.

- Diany?

- Żony Bannona. Zmarła wkrótce po urodzeniu Laury. Jakieś komplikacje...

- Była twoją przyjaciółką?

- Nie. Nie znałam jej do czasu, gdy się pobrali. Byłam wtedy na studiach. - Teraz mogła już wypowiadać te słowa bez poczucia goryczy, lecz dobrze pamiętała, jaki szok i ból przeżyła po przeczytaniu krótkiego listu od ojca zawiadamiającego ją o małżeństwie Bannona. - Zaraz po ukończeniu college'u wyjechałam do Los Angeles, więc widziałam ją z Bannonem zaledwie kilka razy. Była bardzo piękna. Miała długie czarne włosy, ciemne, prawie czarne oczy i nieskazitelną cerę.

- Bez piegów? - spytał John.

Zauważając wesołe iskierki w jego oczach roześmiała się.

- Bez.

Uśmiechnął się do niej ciepło, po czym ponownie spojrzał na stojącą przy grobie parę.

- Domyślam się, że nie ożenił się po raz drugi.

- Nie. Nie może zapomnieć Diany.

Kit patrzyła, jak Bannon wkłada kapelusz na głowę i uśmiecha się do córki. Trzymając się za ręce, poszli do czarnej furgonetki zaparkowanej na porośniętym trawą placu przy końcu wąskiej cmentarnej alejki. Obok samochodu stał Stary Tom. W słonecznym świetle południa jego siwe włosy wydawały się zupełnie białe.

- Wygląda na to, że przyjechali tu po nabożeństwie - stwierdziła. - A ja tak dawno już nie byłam na nabożeństwie niedzielnym. Kiedy dorastałam, chodziliśmy do kościoła w każdą niedzielę.

- Twoja rodzina była religijna? - zainteresował się John.

Furgonetka odjechała.

- Religijna? - zastanowiła się Kit. - Nie wiem, czy to dobre określenie, chociaż nie można mieszkać w Górach Skalistych i nie czuć obecności Boga. Naprawdę nie wiem. Po prostu w niedzielę chodziło się do kościoła. Tak przynajmniej było w mojej rodzinie.

Zauważyła, że John ucieka ze spojrzeniem i domyśliła się, że nie podziela tych doświadczeń. Zaraz też zmienił temat.

- Może byśmy pojechali do miasta i napili się kawy w jakiejś ulicznej kawiarence?

- Chętnie.

Spojrzała na białego range rovera, a potem na drzewa i niebo, poddając twarz podmuchom wiatru i wdychając rześkie powietrze.

- Mam ochotę się przejść. A ty? Do centrum jest nie więcej niż dwanaście przecznic.

Wahał się przez chwilę, lecz w końcu powiedział:

- Dobrze. Czemu nie? Zawsze możemy przecież złapać taksówkę, jeśli nie będzie nam się chciało

wracać pieszo.

- Jesteś strasznie leniwy - oskarżyła go z uśmiechem.

- Zapamiętam ci te słowa.

Opuścili cmentarz, idąc wolno w kierunku szosy. John otaczał Kit ramieniem. Zatrzymali się na moście nad Castle Creek. Oparłszy się o poręcz, obserwowali stojącego po kolana w wodzie mężczyznę w długich rybackich butach, który zarzucał wędkę w wartki nurt. Most nieustannie dudnił pod ciężarem przejeżdżających samochodów.

- Mógł wybrać spokojniejsze miejsce - zauważył John. - W tym hałasie nie złapie ani jednej ryby.

- Może mu na tym wcale nie zależy.

- Po co chodzić na ryby, jeśli nie chce się ich złapać? - Patrzył na nią prowokująco, a dołek w brodzie pogłębił mu się od uśmiechu. Wiatr zmierzwił jego oświetlone słońcem włosy, sprawiając, że kilka kosmyków spadło mu na czoło.

- Może po prostu lubi łowienie dla samego łowienia.

- To nie ma sensu.

- Nie wszystko musi mieć jakiś cel. - Zdążyła się już zorientować, że John nie rozumie takiego sposobu myślenia. - Musisz się jeszcze nauczyć, jak cieszyć się małymi rzeczami.

- Na przykład jakimi?

- Na przykład tym, co za chwilę ci zafunduję.

- Kawą?

- Nie. Lodami. - Kit odeszła od barierki i chwyciła Johna za rękę. - Chodź. Kupię ci.

- Jakie? - Udawał, że się opiera.

- Na pewno nie waniliowe. - Uśmiechając się, pociągnęła go za sobą. - Waniliowe lody są zbyt prozaiczne.

Parsknąwszy śmiechem, John zrezygnował z oporu i podążył za Kit.

Za mostem szosa przechodziła w Main Street. Skierowali się jednak prosto na Hallam Street, znaną dawniej jako Bullion Row, by dojść do West End.

Jadący w kierunku Stone Creek Bannon mocniej nacisnął pedał gazu. Minał już miejską strefę ograniczenia prędkości. Ostre promienie słońca nagrzewały przednią szybę samochodu, jednakże w powietrzu wisiał nieuchwytny chłód zwiastujący zbliżającą się zimę.

Bannon spojrzał na siedzącą obok Laurę, wpatrzoną w milczeniu w uciekającą wstążkę szosy.

- Wspaniale dziś się spisałaś. Byłem z ciebie naprawdę dumny.

Czasami gdy mówił coś do niej, zauważał, że słuchała go z wielką uwagą. Jednak zdarzały się też chwile, gdy była zajęta wyłącznie własnymi myślami i trudno było się z nią porozumieć - zupełnie jak z Dianą.

Odwróciła się nagle w jego stronę i zmierzyła go poważnym, badawczym spojrzeniem.

- Czy ożenisz się jeszcze kiedyś, tatusiu?

Całkowicie zaskoczyło go to pytanie.

- A dlaczego pytasz?

- Po prostu się zastanawiam. - Zamyślona, poważna z powrotem zajęła się śledzeniem drogi. - Może chciałabym mieć drugą mamę.

Było w jej głosie coś, co go zastanowiło. Brzmiały w nim jakieś obce nuty; ostrożność i niechęć do dzielenia się z nim swoimi myślami. Zrozumiał, że Laura przestawała już być małym dzieckiem.

Świat tej dziewięcioletniej dziewczynki nie był już bajeczny i kolorowy i najwyraźniej nie postrzegala go już w kategoriach bezwzględnego dobra i zła. Jej myśli stawały się myślami kobiety, skomplikowanymi i rzadko zrozumiałymi dla mężczyzny. Wkrótce Laura przestanie być jego małą dziewczynką. Boleśnie ukłuła go ta myśl.

Uśmiechnięta Kit wyszła z cukierni na deptaku trzymając w ręku podwójną porcję lodów. Zlizwała topniejącą warstwę, czekając na Johna. Gdy dołączył do niej, spojrzała z dezaprobatą na pojedynczą gałkę w jego wafli.

- Miałeś do wyboru dwadzieścia osiem smaków, a wybrałeś truskawkowe. Takie banalne - strofowała go.

- Lubię je.

Lizał lody obojętnie, zajęty obserwowaniem Kit. Przyglądał się jej wargom obejmującym zieloną

kulkę lodów i błyskiem zadowolenia w oczach.

- Mmmm, ale lody truskawkowe nie mogą niczym zaskoczyć - stwierdziła tonem znawczyni.

- Moje podniebienie nie jest tak subtelne jak twoje. - Idąc powoli deptakiem, spojrzał na trzymane przez nią lody. - Jakie lody wybrałaś? Pistacjowe i?...

- Czekoladowe z migdałami. Lubię coś chrupać.

Zaczęła przyglądać się licznym spacerowiczom przemierzającym malowniczy deptak.

- Dawniej prawie każdy przechodzień jadł lody. Był to najlepszy sposób na pozbycie się suchości w ustach po zażyciu kokainy. Przynajmniej tak mi mówiono - stwierdziła, patrząc, jak wiatr unosi liście i każe im się ścierać wokół lampy ulicznej.

- Gdy tu mieszkałaś, Aspen miało opinię miasta, które lubiło narkotyki. To prawda?

John wrzucił resztę wafla do pojemnika na śmieci obok wielkiej glinianej donicy z żółtymi chryzantemami.

Kit uśmiechnęła się.

- „Przyjedź do Aspen i baw się dobrze” - tak się wtedy mówiło, mając na myśli odurzenie narkotykami oczywiście. Masz rację, takie było Aspen, kiedy chodziłam do szkoły.

- Jak ci się udało tego uniknąć? - zapytał zdumiony szybkością, z jaką udzielała błyskotliwych, celnych odpowiedzi.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie lubiłam tracić kontroli nad sobą. Poza tym zawsze ogromnie cieszyłam się życiem. Po co miałam sięgać po jakieś sztuczne podniety, gdy wystarczały mi prawdziwe?

- No tak.

John zastanowił się, dlaczego sam nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Na szczęście szaleństwo z powodu białego proszku zmieniło się w białe szaleństwo na nartach.

Kit ruchem głowy wskazała Aspen Mountain, zwaną przez miejscowych „Ajaxem”. Góra wznosiła się przed nimi, dominując wyniośle nad leżącym u jej podnóża miastem. Słynne trasy narciarskie odcinały się ciemnymi wstęgami na jej rozległych stokach, wijąc się wokół zielonych świerków i złotych osik.

John zapalił papierosa. Przez chwilę szli w milczeniu. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety podobnej do Kit, potrafiącej koić go i pobudzać zarazem. Skończywszy jeść, wsunęła mu rękę pod ramię i westchnęła głęboko.

- Co to miało znaczyć?

- Sama nie wiem - cieszyć się czy smucić? Czasami zdumiewa mnie, jak bardzo Aspen się zmieniło. Wiem, że tak się dzieje z każdym miastem - domy rosną, robi się coraz to nowe interesy. Ale wydaje się, że nic takiego nie może się zdarzyć w rodzinnym mieście. - Przechyliła lekko głowę. - Czy wiesz, że kiedy byłam małą dziewczynką, Aspen nie miało brukowanych ulic? Wybrukowano tylko Main Street, ponieważ przechodziła tamtędy szosa. Czuło się tu atmosferę małej miejsciny. Teraz zupełnie zmienił się charakter miasta. Wystarczy rozejrzeć się dookoła. - Wskazała ręką witryny drogich sklepów. - Przypomina trochę Rodeo Drive w Górach Skalistych, z tą różnicą, że wszystkie budynki w Aspen zaprojektowano tak, żeby przypominały wyglądem domy z epoki wiktoriańskiej. - Zatrzymała się, ponownie wzdychając. - Nie chcę przez to powiedzieć, że mi się tu teraz nie podoba. Tęsknię tylko za starym Aspen.

- Słyszałem, że ten przypadek określa się mianem nostalgii.

Roześmiała się.

- A ja jestem ciężkim przypadkiem tej choroby. Ale jest na to lekarstwo.

- Jakie?

- Oglądanie wystaw - odparła z uśmiechem. - Nie mów mi tylko, że tego nie robisz. Mężczyźni robią to za każdym razem, kiedy chcą popatrzeć na ładną dziewczynę.

Wolno przechodzili od wystawy do wystawy, oglądając wyłożone towary. John częściej niż w witrynom sklepów przyglądał się Kit, jej spontanicznym reakcjom, bogatej mimice i żywym ruchom. Odsunęła się o krok od szyby wystawowej, potrząsając głową i śmiejąc się z krzesła z oparciem z jelenich rogów zaprezentowanego w sklepie z osobliwościami, po czym zmarszczyła brwi, w skupieniu oglądając abstrakcyjne prace malarskie w oknie galerii. Zauważył, że nie zainteresowała się długim futrem z soboli na wystawie u kuśnierza, za to długo przyglądała się wyrobom z porcelany z Limoges. Zbliżyła się do szyby i posłała mu prowokujący uśmiech, gdy przystanęli przed sklepem z koronkową damską bielizną.

Kiedy doszli do sklepu oferującego nowości w stylu Dzikiego Zachodu, Kit mocno ścisnęła go za ramię.

- Spójrz na te buty. Są fantastyczne - stwierdziła, przyglądając się z zachwytem. - Wejdźmy do środka.

Nie czekając na Johna, otworzyła drzwi z kawałków matowego szkła w ołowianych ramkach i skierowała się prosto ku półce, na której, obok bogato zdobionego siodła, wystawiono wysokie ognistoczerwone buty. Uniosła jeden z nich, przesuwając ręką po ich lśniącej, chropowatej powierzchni z jaszczurczej skóry.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. - Kit odwróciła się w stronę ekspedientki. - Donna! - wydała okrzyk zdumienia, rozpoznając w jasnorudej sprzedawczyni swoją dawną koleżankę ze szkoły średniej. - Boże! Co za tydzień! Wczoraj spotkałam Angie.

Zapomniała o butach, słuchając Donny, która w pośpiechu opowiadała koleje swego życia: wraz z mężem mieszka teraz w Glenwood Springs, ma dwie córki w wieku szkolnym. Kiedy podszedł John, Kit przedstawiła go Donnie, zauważając natychmiastową zmianę w zachowaniu dawnej koleżanki, której serdeczny uśmiech stał się zawodowo uprzejmy.

- Jeśli państwa interesują te buty, proszę jeszcze zobaczyć płaszcz - powiedziała idąc na zaplecze.

Kit zaczęła, aż Donna odejdzie wystarczająco daleko, po czym szepnęła do Johna:

- Myślę, że jest skrępowana twoją obecnością.

- Przyzwyczailem się już do tego - odparł cichym głosem. - Ciebie też to czeka, gdy tylko twoja twarz zacznie się częściej pojawiać na dużym ekranie.

- To możliwe. - Zasmuciła ją jednak myśl, że ludzie przestaną się przy niej naturalnie zachowywać. Spojrzała na podeszwę buta zauważając cenę. - Cztery tysiące dolarów? - Przyglądała się cyfrom przez chwilę, po czym zaśmiała się lekko zaszokowana.

Wróciła Donna, niosąc zdobione koralikami indiańskie okrycie, by po chwili pokazać wzorzysty zamszowy kapelusz. Przynosiła coraz to nowe towary, a Kit podziwiała je, kręcąc głową na znak odmowy. W końcu, mając poczucie winy, kupiła chustę dla Maggie. Gdy wyszła ze sklepu, przypomniała sobie, że zostawiła na ladzie paragon. Zawróciła. Donna rozmawiała przy kasie z drugą sprzedawczynią odwrócona do drzwi plecami. Kit usłyszała ostatnie zdania.

- Aż nie chce mi się wierzyć - mówiła Donna. - Kupiła tylko tę nędzną chustę. Kiedy ją zobaczyłam, myślałam, że trafia mi się dobra klientka.

A więc dla Donny była klientką? Nagle wróciło to samo przykre uczucie, które wywołała wczoraj Angie. Odwróciła się i wyszła ze sklepu, nie troszcząc się o paragon.

Rozdział jedenasty

W poniedziałek rano Kit zatrzymała się przed wiktoriańskim domem na Main Street. Z budynku po lewej stronie, w którym znajdowała się księgarnia i kawiarnia, doleciał ją zapach świeżo parzonej kawy i bułeczek drożdżowych. Zauważyła, że w domu po prawej stronie mieści się butik.

Nie przyglądała się jednak zbyt uważnie innym gmachom, koncentrując uwagę na znajomym budynku z dachem o kilku mansardach, których szyby zwieńczone były ozdobami. Bukszpanowy żywopłot tworzył ściany po obu stronach chodnika prowadzącego na frontową werandę ozdobioną lekką kratą i skrzynkami czerwonych pelargonii w oknach. Wyglądał zupełnie tak jak za życia pani Hatch, z wyjątkiem tablicy umieszczonej na słupie przy wejściu na werandę.

Nie zwracając uwagi na głośne skrzeczenie srok w topolach. Kit podeszła, żeby przyjrzeć się tablicy. Czarne litery na desce układały się w napis:

ADWOKAT
ELIAS A. BANNON (zmarł)
THOMAS E. BANNON

Zaśmiała się lekko z aż tak ścisłej informacji, myśląc o tym, że życie zrobiło obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Przed ponad stu laty Elias Bannon przybył do surowej, prymitywnej osady górniczej w Aspen, mając na półkach jedynie książki prawnicze i niewiele dóbr osobistych. Praktykę adwokacką rozpoczął w namiocie, potem wynajął pomieszczenie - cztery na sześć metrów - na Durant Street, na piętrze saloonu, w którym gromadzili się górnicy. Pięć lat później wybudował ten właśnie skromny dom, który służył mu jako kancelaria i posiadłość w mieście. Teraz w tym samym budynku prowadził praktykę jego wnuk. Przypomniała sobie, że Bannon zawsze mówił, iż tak się stanie.

Myśl o Bannonie przywołała bolesne wspomnienia. Nie chcąc się w nich pograżać wbiegła na

schody i otwierając drzwi z orzechowego drewna, w które wprawiono ryte szkło, weszła do holu, a stamtąd do salonu podzielonego teraz na gabinet i sekretariat. Chuda kobieta o siwych włosach upiętych na czubku głowy w węzeł spojrzała na Kit znad ekranu komputera.

- Czym mogę służyć? - Zsunęła z nosa owalne okulary w drucianej oprawie.

Zawisły na łańcuszku, stanowiąc swoistą ozdobę ciemnogramatowego żakietu.

- Pani nazywa się zapewne Agnes Richards. - Kit wyciągnęła do niej dłoń na powitanie. - Rozmawialiśmy już kilka razy przez telefon. Nazywam się Kit Masters.

- Ach oczywiście, panna Masters. - Sekretarka Bannona uniosła się z krzesła, a uśmiech wypełnił na chwilę jej zapadnięte policzki. - Bannon mówił mi, że pani będzie u nas dziś rano. Przepraszam, że pani nie poznałam. Widziałam przecież pani zdjęcie w dzisiejszej gazecie. - Spojrzała na stojący na biurku telefon, nie zauważając zdziwienia na twarzy Kit. - Chyba już skończył rozmowę międzymiastową. Powiem mu, że pani przyszła.

Gdy sięgnęła po słuchawkę, drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Bannon. Ubrany był w brązową sztruksową kurtkę z zamshowymi łatami na rękawach i w spłowiałe dzinsy. Trzymał w ręku plik papierów. Na go twarzy malował się wyraz roztargnienia, a brązowe losy nosiły ślady częstego przeczesywania palcami.

- Gdzie są akta McIntire'a? Kogo ja widzę - Kit!

Zatrzymał się, a uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Kit przechyliła głowę i powiedziała żartobliwie:

- Był kiedyś człowiek zwany Bannonom. Mieszkał w górach i nigdy się stamtąd nie ruszał. Doszły mnie słuchy, że zapuścił brodę i zaczął mówić do siebie. Zastanawiam się, co się z nim może dzieć?

Bannon zaśmiał się niepewnie.

- Został prawnikiem. Spędza teraz większość czasu za biurkiem i pisze kilkudziesięciostronicowe wnioski dla sądu, nazywając je streszczeniami.

Z radosnym zdziwieniem stwierdziła, że bez trudu udało im się odnaleźć ów lekki, delikatny humor tak charakterystyczny dla ich dawnej znajomości. Często bywał on sposobem na maskowanie prawdziwych uczuć - przynajmniej w jej przypadku.

Wracając do rzeczywistości. Kit spojrzała na Bannona kładącego właśnie na biurku plik dokumentów.

- Uporządkuj je dla mnie, Aggie - poprosił.

- Jak zwykle - odpowiedziała półgłosem, wkładając okulary, by przyjrzeć się dokumentom. - A przy okazji... kiedy rozmawiałeś przez telefon, zadzwonił Pete Ranovitch. Mówił, że musi się z tobą zobaczyć w bardzo pilnej sprawie. Powiedziałam mu, żeby przyszedł około jedenastej, bo będziesz wtedy wolny. - W porządku?

- Tak.

- Przypuszczam, że będziesz chciał, abym zapisała, że zajmujesz się tym przypadkiem dla dobra sprawy - stwierdziła poirytowanym głosem. Kiedy Bannon przytaknął skinieniem głowy, dodała sucho: - Tak właśnie myślałam.

Bannon nie zwrócił uwagi na jej komentarz i skierował się w stronę gabinetu.

- Proszę, wejdź, Kit.

Udała się za nim do pokoju, z roztargnieniem obserwując jego zdecydowany chód i przyglądając się szerokim ramionom skrytym pod sztruksową kurtkę. Jego buty nosiły ślady ostróg i strzemion. Widać było, że właściciel nie dbał o nie zbyt. Pochodziły zapewne od Justina lub Tony'ego Lamy, daleko im jednak było do szyku oglądanych wczoraj przez nią butów za cztery tysiące dolarów. Ale też i Bannon nie był kowbojem z fotografii reklamowej, lecz jak najbardziej serio zajmował się ranczem.

- Wyglądasz bardziej na ranczera niż na prawnika, Bannon.

- Jeśli mam wystąpić w sądzie, wkładam garnitur i krawat. Sędziowie to lubią. - Podeszedł do upstrzonego brązowymi plamami ekspresu i uniósł szklaną pokrywę. W pojemniku zostało jeszcze trochę kawy.

- Napijesz się? Ostrzegam, że jest mocna.

- Nie piję kawy na planie. Po zaparzeniu stoi w wielkim dzbanku przez czternaście godzin, a czasem dłużej. To dopiero jest mocna kawa.

Uśmiech, który pojawił się w tym momencie na jego twarzy, pogłębił zmarszczki wokół ust. Ileż to razy wodziła po nich palcami? Zaniepokojona tematem rozmyślań natychmiast opanowała się i zaczęła rozglądać po pokoju, zauważając wzorzysty dywanik na podłodze z klonowego drewna,

boazerię z jesionu i oszkloną biblioteczkę.

- Ten pokój służył twojemu dziadkowi za kancelarię? - Kit położyła torebkę na wyściełanym skórą krześle z prostym oparciem i podeszła do wykonanej z jesionowego drewna, z orzechowymi wykończeniami, biblioteczki. Słyszając brzęk kubków, odwróciła się w stronę Bannona. - A teraz jest twój.

- Tak. - Wlał kawę do kubków. Unosząc je, wskazał jednym z kubków masywne biurko z orzecha. - Przyniosłem tu nawet ten stary mebel ze strychu. Dwie szuflady wypaczyły się. Ale ojciec je jakoś naprawił. Myślałem też o renowacji biurka, ale ostatecznie postanowiłem zostawić wszystkie zadrapania i plamy.

- Dodają mu wyrazu - przytaknęła Kit.

- I zachęcają klientów do płacenia rachunków, żeby wreszcie stać mnie było na lepsze biurko.

Podał jej kubek. Przyjrzała się dużym, lecz zręcznym dłoniom o długich palcach i starannie obciętych paznokciach. Miał ręce, które umiały delikatnie zerwać kwiat polny i umieścić go za jej uchem, nie uroniwszy ani jednego płatka, a jednocześnie wystarczająco silne, aby jedną ręką unieść siodło i zarzucić je na koński grzbiet. Wypiła szybko łyk kawy, niemalże parząc sobie język.

- Gorąca! - wykrzyknął.

- Nawet bardzo - wyszeptła, czekając, kiedy język przestanie boleć. - Poczekam, aż ostygnie.

Odstawiła kubek na biurko Bannona, spostrzegając czarną zabytkową maszynę do pisania. Musiała mieć czterdzieści albo pięćdziesiąt lat.

- Jeszcze nie wkroczyłeś w epokę komputerów? - Nacisnęła jeden z klawiszy, lecz zbyt lekko, by czcionka mogła uderzyć w wałek.

- Lepiej mi się myśli, gdy piszę na tym pocziwym Royalu.

- Nic dziwnego, że Aggie musi potem porządkować twoje papiery.

Obchodząc biurko, zauważyła dużą, oprawioną w ramki fotografię wiszącą na ścianie nad kominkiem.

- To zdjęcie twojego dziadka, Eliasa Bannona.

Podeszła do hebanowej półki nad gzymsem kominka i zadarłszy głowę uważnie studiowała ziarnistą czarno-białą fotografię.

- Widziałam już gdzieś to zdjęcie. Miałeś je na ranczu.

- Pomyślałem, że powinno być w tym domu.

- Tak.

Spojrzała na portretową fotografię około trzydziestoletniego mężczyzny. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku i wąsy, które pozwalały dostrzec tylko dolną wargę. Wyglądał jak krzepki mieszkaniec Nowej Anglii, z mocno zarysowanym podbródkiem, chudymi policzkami i głęboko osadzonymi oczami. - Pamiętam, że patrząc na tę fotografię zawsze uważałam, iż twój dziadek wyglądał groźnie. Łatwo mogę go sobie wyobrazić, jak stawia czoło ludziom takim, jak Jerome Wheeler czy jemu podobni. A jednak czasami jego oczy wydawały mi się ciepłe i pełne zrozumienia. Nie dziwiłam się wtedy, że ludzie zwracali się do niego ze swoimi kłopotami.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tych myśli i spojrzała na Bannona.

- Pamiętasz, jak siadywaliśmy u ciebie i słuchaliśmy opowieści Starego Toma o twoim dziadku, o dawnych czasach, o kopalniach srebra?

Bannon przytaknął, opierając się biodrami o biurko.

- Kiedy zaczął, nie można go było w żaden sposób powstrzymać.

- To prawda. Ale cieszę się, że opowiedział nam, jak wyglądało Aspen pod koniec osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych lat zeszłego wieku - stwierdziła Kit, przypominając sobie, co mówił Stary Tom. - Aspen było wtedy nowoczesnym miastem górniczym, miało elektryczność, telefony, tramwaje, wspaniałe budynki opery, okazały hotel, wiktoriańskie, bogato zdobione rezydencje, fantazyjne powozy z opuszczanymi budkami ciągnięte przez dobrane pary szybkich koni. Mężczyźni chodzili w cylindrach, eleganckich tużurkach i spodniach w paski, a kobiety w jedwabnych sukniach z wysokimi kołnierzami i tiurniurami skrywały się pod parasolkami.

- Ale w Aspen słychać było także ciągły huk maszyn pracujących dwadzieścia cztery godziny na dobę - wtrącił Bannon. - A dymy z zakładu wzbogacania rud i wytapiania wisiały nad miastem jak czarny całun. W strumieniach płynęła woda zanieczyszczona ściekami i odpadami z kopalń i tartaków. W okolicznych górach wycięto lasy, żeby dostarczyć drewna kopalniom. Nie brukowane ulice dławiły kurzem lub zamieniały się w trzęsawiska, a zimą tworzyły się na nich zasy. Często tarasowały je

wozy z towarami albo zwierzęta juczne. Tymi ulicami chodzili czarni i spoceni górnicy po ośmiogodzinnej zmianie, hazardziści i szulerzy. Były wtedy w Aspen saloony i domy publiczne z wymalowanymi panienkami...

- Zaczekaj. - Kit uniosła rękę na znak protestu. - Stary Tom nigdy nie mówił nam nic o domach publicznych ani o takich kobietach.

- Może i nie. - Przyznał jej rację. - Ale większość klientów mojego dziadka wywodziła się właśnie z tak zwanych niższych warstw społecznych. Górnicy, drobni handlarze, poszukiwacze srebra na swoich zaniedbanych działkach i członkowie związków zawodowych... większość z nich nie miała pieniędzy na zapłacenie za poradę prawną czy prowadzenie ich sprawy. Poszukiwacze często proponowali dziadkowi udział w zyskach z działek w zamian za występowanie w ich imieniu, ale tylko w pojedynczych przypadkach stanowiło to równowartość usługi. Resztę dziadek starał się jakoś od nich wyciągnąć, a gdy mu się nie udawało, odpisywał długi.

- Czy to prawda, że miał udziały w kopalniach Smuggler i Mollie Gibson? - zastanawiała się Kit.

- W Mollie Gibson - odpowiedział Bannon, popijając kawę.

- Racja, w Mollie. - Kit podeszła do biurka i sięgnęła po kubek z kawą. Napój zdążył trochę ostygnąć. - Często dręczyły mnie koszmary senne po opowieściach Starego Toma o górnikach, którzy ginęli w wypadkach... Szczególnie zapamiętałam historię górnika, który wepchnął wózek z rudą do szybu windy, nie wiedząc, że platforma znajdowała się na innym poziomie. Sam wpadł do szybu za wózkiem i zleciał kilkadziesiąt metrów w dół. Przerazały mnie te opowiadania Starego Toma. - Wzdrygnęła się.

- Robił to celowo.

Uniosła głowę.

- Dlaczego?

- Chciał nas powstrzymać od chodzenia do starej kopalni na ranczu - uśmiechnął się Bannon.

- Kopalni Keyhole - przypomniała sobie Kit. - Zupełnie o niej zapomniałam. - Zachichotała. - Jeśli taki był zamiar twojego ojca, to trzeba przyznać, że udało mu się mnie odstraszyć. Nigdy nie zapuściłam się tam dalej niż na trzy metry.

- A i tak musiałem cię tam zaciągnąć siłą - zaśmiał się Bannon.

- Masz rację - odpowiedziała z westchnieniem - I tak dziwię się, że w ogóle stanęła tam moja noga.

Wejście do kopalni zabito deskami, lecz to nie mogło ich powstrzymać, skoro oczami wyobraźni widzieli siebie znajdujących wielką żyłę srebra. Bannon oderwał kilka desek i mogli wpełznąć do środka przez powstały w ten sposób niewielki otwór. Zapamiętała wilgotny, zatęchły zapach żyznej ziemi, panującą dookoła ciemność, gęste pajęczyny, które oplątywały jej ramiona, twarz i włosy oraz daleki odgłos kapiącej wody.

- Twoja latarka okazała się prawie zupełnie nieprzydatna. Wiedziałam, że za chwilę wysiądą w niej baterie i otoczy nas ciemność. Ściany były kanciaste i śliskie, a belki rozsypywały się pod dotknięciem mojej dłoni. Czy chociaż dziś zdajesz sobie sprawę, jakie to było niebezpieczne?

Odpowiedział skinieniem głowy.

- Tak, szczególnie teraz, kiedy mam córkę, która uważa, że stara kopalnia jest świetnym miejscem do zabawy.

Zesztywniała, gdy wspomniał córkę. Stara rana znów dała znać o sobie. Jednak udało się jej uśmiechnąć całkiem przekonywająco.

- I opowiadasz jej te straszne historie, żeby tam nie chodziła?

- Zostawiam to ojcu. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale Laura nie jest podobna do ciebie. Miałaś tak żywą wyobraźnię, że łatwo było cię przestraszyć. - W jego oczach pojawiły się dobrze znane Kit diabelskie ogniki. - Tak jak w czasie burzy śnieżnej, kiedy spędziliśmy tutaj noc z panią Hatch i udało mi się ciebie przekonać, że za oknem wyją wilki, a nie wiatr. Potem zakradłem się i złapałem cię z nienacka z tyłu, warcząc i jęcząc. Zsikałaś się ze strachu.

- Świnia. - Uderzyła go w ramię. - Czemu zawsze musisz poruszać ten temat? Przecież miałam wtedy zaledwie osiem lat.

- Boli! - Zaczął masować ramię, nie przestając się uśmiechać.

- Dobrze, że boli. To ma ci przypominać, że jestem skrępowana, kiedy opowiadasz tę historię.

- Skrępowana? - Uniósł brwi. - Wyjaśnij więc, jak takie dziewczęce chuchro mogło mi podbić oko. Czy też zapomniałaś już, że i tamtej nocy mnie uderzyłaś?

- Rzeczywiście tak było - roześmiała się rozbrojona.

- No widzisz. A więc jesteśmy kwita. Zawieramy rozejm? - Bannon uniósł kubek.

- Niech będzie - zgodziła się Kit trącając kubek Bannona. Dopiła letnią już kawę i podeszła do krzesła, na którym zostawiła torebkę.

- Kiedy byliśmy dziećmi, spędziliśmy tu wiele śnieżnych nocy z panią Hatch.

- Nasi rodzice uważali, że było to bezpieczniejsze niż jazda po oblodzonych drogach.

- Mieli rację - zauważyła z roztargnieniem, spoglądając w sufit. - Te sypialnie na górze nadal służą ci jako rupieciarnia?

- Nie. Zrobiłem z nich mały apartament. Wynajmuje go nauczyciel.

Spojrzała na pusty już kubek i uśmiechnęła się, coś nagle sobie przypomniawszy.

- Pamiętasz gorącą czekoladę, którą robiła dla nas pani Hatch? Wciąż czuję jej smak. - Odwróciła się w stronę Bannona. - A w kredensie zawsze miała pyszne, słodkie i miękkie pianki.

- ...i ogień w kominku, tak że mogliśmy je opiekąć - przypomniał Bannon. - Lubiałś przypalone z wierzchu.

- No pewnie. Wtedy były chrupiące i lepkie. - Roześmiała się. - A ty lubieś przypieczone na lekki, złocisty kolor.

- Wcale nie były takie miękkie.

- Może i nie, ale nie miały tego smaku co moje. - Westchnęła. - Nie jadłam takich słodczy od lat. Żałuję, że nie poprosiłam Pauli, aby kupiła je w sklepie. Zgłosiła się na ochotnika, że robi zakupy, a John miał z nią pojechać w czasie, kiedy tu jestem. - Spojrzała na zegarek, zauważając, że wspomnianie przeszłości zabrało im dużo czasu.

- Powinniśmy się chyba wziąć do interesów. - Ta uwaga nagle zepsuła atmosferę rozmowy i Bannon pożałował swoich słów. Stał przy krześle za biurkiem.

- Mówieś, że chcesz przejrzeć ze mną jakieś papiery - powiedziała Kit siadając naprzeciwko niego.

- Chodzi mi głównie o zeznania podatkowe, które w przyszłym tygodniu musimy złożyć w Urzędzie Skarbowym. - Sprężyny jęknęły, gdy Bannon usiadł na krześle. Otworzył teczkę i wyjął z niej dokumenty, które wręczył Kit.

Spojrzała na wielostronicowy tekst maszynopisu.

- Chyba nie liczysz na to, że to zrozumiem. Mam kłopot z wypełnieniem najprostszego formularza. Zaśmiał się i poklepał uspokajająco jej rękę.

- Nie będzie tak źle. - Nie zwracając uwagi na pełen powątpiewania wzrok Kit, spojrzał na swój formularz zeznania podatkowego. - Tak jak wspomniałem w naszej rozmowie telefonicznej, masz prawo otrzymać bez podatku sześćset tysięcy dolarów. Wszystkie wyższe sumy podlegają opodatkowaniu. Oczywiście najpierw musiałem ustalić wartość majątku twojego ojca.

- Ile jest wart? - Kit uporeczywie wpatrywała się w kolumny cyfr, próbując zorientować się, co która z nich oznacza.

- Zaczniemy od rancza - zaproponował Bannon. - Taksator, którego wynajęłem, ocenił wartość budynków - domu, stajni, obory, szopy, korralli - na siedemdziesiąt tysięcy. W ciągu ostatnich pięciu lat ceny ziemi na ranczach doszły do trzech tysięcy dolarów za hektar. A więc ziemia i zabudowania są warte pięćset pięćdziesiąt tysięcy. Do tego musimy dodać ubezpieczenie, które miał twój ojciec, inwentarz żywy, wartość mebli i rzeczy osobistych, a od tego odejmujemy dług hipoteczny i inne płatności twojego ojca.

Kit przestała słuchać, gdy Bannon powiedział, że ranczo jest warte pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A więc tylko tyle? Walczyła z uczuciem rozczarowania. Pół miliona dolarów to sporo pieniędzy, liczyła jednak na więcej. Rachunki za pobyt matki w szpitalu opiewały już prawie na sto tysięcy. Jeśli nie pojawią się komplikacje, matka może żyć jeszcze wiele lat. Do tej pory Kit myślała, że sprzedaż rancza przyniesie sumę, która pokryje przyszłe koszty leczenia, ale pieniądze, o których mówił Bannon, nie wystarczyłyby na długo. W takiej sytuacji lepiej będzie zatrzymać ranczo, a dochód z niego przeznaczyć na niektóre wydatki związane z leczeniem. Poczula pewną ulgę. Nie chciała sprzedawać domu.

Niestety, pozostawał problem znalezienia pieniędzy na opłacenie opieki nad matką. Machinalnie skrzyżowała ramiona na piersiach.

- ...jak najwcześniej poprosić kontrolera z urzędu skarbowego. Jeśli zakwestionuje wycenę majątku, dowiemy się o tym od razu i będziemy mieli czas na zastanowienie się, co z tym zrobić - stwierdził Bannon. - Masz jakieś pytania?

Czując na sobie wzrok Bannona, Kit nerwowo zaczęła przebiegać oczami formularz, nie chcąc się

przysiąc, że nie zwracała uwagi na to, co mówił przed chwilą.

- Jaka jest wysokość podatku?

- Około dziesięciu tysięcy. Dokładnie - dziesięć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów. Spójrz na ostatnią , linijkę.

- Czy muszę to wpłacić w przyszłym tygodniu? - Spoglądała na cyfry z przerażeniem w oczach. - Będę musiała wziąć pożyczkę z banku.

- Nie będziesz musiała - uśmiechnął się Bannon. - Sprzedałem twoje woły i konie przed dwoma tygodniami. Udało mi się to zrobić, kiedy ceny poszły w górę. Gdy zapłacimy podatek i rachunki, zostanie ci około siedmiu tysięcy dolarów. To wystarczy na utrzymanie rancza do wiosny.

- To świetnie. - Z westchnieniem ulgi Kit rzuciła na biurko formularz podatkowy.

- Reszta jest już prosta - rzekł Bannon, sięgając po drugą teczkę. - Kopie listów, rachunki za sprzedaż bydła, koni i tym podobne.

Otworzył teczkę i po kolei przeglądał dokumenty. Tym razem Kit przyglądała się już uważnie, cały czas świadoma bliskości Bannona. Czowała delikatną woń płynu po goleniu zmieszana z zapachem mydła.

- Możesz to zatrzymać. - Podał jej teczkę.

- Dziękuję - powiedziała, przyglądając mu się z wyraźną przyjemnością.

- To by było wszystko. Pozostało jeszcze tylko to. - Ze środkowej szuflady biurka wyciągnął pęk kluczy Zabrzęcały, gdy rzucił je w stronę Kit.

Chwyła je w locie.

- A co z dżipem ojca?

- W zeszłym tygodniu dałem go do przeglądu. Jest w szopie. Sadie zrobiła porządek w domu, tak że kiedy przyjedziesz na ranczo, będziesz musiała się tylko rozpakować.

- Pokręciła głową, zaskoczona i zachwycona tym, że zadbał o wszystko. - Czy jest coś, o czym nie pamiętałeś?

- Nie śmieję się ze mnie. To po prostu sąsiedzka przysługa.

- Zapomniałam już, co to znaczy - przyznała ze smutkiem. - Prawie nie znam swoich sąsiadów w Los Angeles. - Włożyła klucze do torebki, zdając sobie sprawę, że winę za taki stan rzeczy ponoszą nie tylko sąsiedzi, ale i ona sama. Taki był styl życia w wielkim mieście.

Bannon skinął ze zrozumieniem głową.

- W Aspen też to tak wygląda. Może dlatego, że większość ludzi spędza tutaj tylko kilka tygodni w roku i ich domy przez większość czasu stoją puste.

- Tak jak Silverwood - powiedziała, wstając.

- Odprowadzę cię.

Podeszła do drzwi, czekając, aż je otworzy, po czym przeszła do sekretariatu. Wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję, Bannon. Dziękuję za wszystko.

Przez chwilę patrzył na jej rękę. Poczwała się nieswojo, oficjalnie. Wzrok, którym ją objął, wyrażał żal... a może tęsknotę?

Uściskał jej dłoń mocno i serdecznie.

- Skoro przyjechałaś teraz do Aspen na dłużej, nie czuj się obco.

- Nie będę. - Łatwo jej przyszło to zapewnienie, gdy przypomniła sobie czasy, kiedy traktowała Bannona jak przyjaciela. Drogiego przyjaciela. Jednakże teraz patrząc na jego opaloną twarz z wyraźnie zarysowanym podbródkiem, twarz z pewnością intrygującą, choć niekoniecznie urodziwą, poczuła także przypływ dawnych, bynajmniej nie siostrzanych, uczuć. Wiedziała, że ich źródłem są nie tylko wspomnienia i że będzie musiała je zwalczyć.

Czując, że jej ręka nazbyt długo pozostaje w jego dłoni, wyzwoiliła ją z uścisku i uśmiechnęła się przepraszająco do Bannona. Skierowała się w stronę wyjścia i nagle zauważyła, że pilnie przygląda jej się stojąca przy biurku sekretarki Sondra Hudson. Wyprostowana, wysoka, stanowiła wzór kobiety interesu, doskonale orientującej się w wymogach najnowszej mody. Miała na sobie długi beżowy żakiet z kaszmiru, czarną jedwabną bluzkę i gabardynową spódnicę. Z jej gładko zaczesanych platynowoblond włosów nie wystawał ani jeden kosmyk, a złote klipsy o prostym wzorze były jedynym ustępstwem na rzecz biżuterii.

Kit, która doskonale знаła się na sposobach kreowania image'u, wiedziała, że Sondra musiała poświęcać swojemu wyglądowi tyle samo czasu i uwagi co aktorki w Hollywood. Wcieliła się w

wykreowany przez siebie wizerunek tak dalece, że Kit wątpiła, czy w ogóle istnieją takie chwile, w których Sondra pozbywa się maski. Zastanawiała się, jak do tego stopnia można panować nad uczuciami. Obserwując ją dostrzegała jedynie całkowicie kontrolowane, głęboko tłumione emocje. Czuła, że gdyby próbowała poskromić swoje emocje tak jak Sondra, skończyłoby się to dla niej obłędem.

- Cześć, Sondro.

- Witaj, Kit. - Uśmiechnęła się, lecz nawet uśmiech wydał się Kit wystudiowany, nieszczerzy. Sondra przeniosła wzrok na Bannona, a rysy jej twarzy złagodniały, choć oczy nadal zachowały wyraz napięcia i podejrzliwości.

- Wstąpiłam myśląc, że może będziesz miał wolną chwilę.

Wypowiedziała te słowa z pewnością osoby, która często wpada bez zapowiedzi, licząc na miłe przyjęcie. Kit pomyślała, że tak mogłaby zachowywać się żona Bannona. Wyobraziła sobie Sondrę i Bannona jako parę małżeńską, lecz nie wydawali jej się dobrze dobrani. Wiedziała o ich związku, już Angie o to zadbała. Być może Bannonowi udało się odkryć w Sondrze kobietę pod maską chłodnej i wyniosłej powagi, myślała bez przekonania, przyglądając się kamiennej twarzy Sondry z zastygłym zdawkowym uśmiechem.

- Ma tu przyjść Pete Ranovitch - oznajmił Bannon, patrząc na zegarek. - Ale na razie jestem wolny.

- To świetnie.

- Nie przeszkadzam już - powiedziała szybko Kit. - Cieszę się, że cię znowu spotkałam, Sondro. Miło było mi panią poznać, pani Richards - dodała na odchodnym.

Sondra odprowadziła ją wzrokiem, czując, że uczucie zazdrości zaczyna przeradzać się we wściekłość. Denerwowało ją w przeszłości Bannona wszystko, co nie wiązało się z jej osobą, a Kit Masters najwyraźniej zajmowała bardzo ważne miejsce w jego życiu.

- Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać, Sondro?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Chciałabym porozmawiać o Laurze.

Przepuścił ją przed sobą do gabinetu.

- O co chodzi tym razem? Już nie o włosy?

- Nie, o ubrania. Laura potrzebuje nowych ubrań na zimę. Od zeszłego roku zdążyła już ze wszystkiego wyrosnąć. - Sondra poczuła zapach perfum Kit. Wydał jej się odrażający. - W kurtce, którą dzisiaj rano miała na sobie, rękawy nie sięgają już nadgarstków.

- Ubrania? - powiedział, wykrzywiając usta w grymasie. - Domyślam się, że muszę ją zabrać na zakupy

- Pozwól, że ja to zrobię. - Zauważyła, że się waha, więc dodała: - Przecież nie lubisz chodzić do sklepów i czekać aż Laura przymierzy ubranie. A nam z Laurą sprawia to przyjemność. Będziemy się świetnie bawić.

- Chyba masz rację - powiedział niepewnym jeszcze głosem.

- A więc dobrze. Pójdę dziś po nią do szkoły i wybierzemy się na zakupy.

Spostrzegła stojący na biurku Bannona kubek ze śladami szminki, jakiej używała Kit Masters. Czyżby sympatycznie gawędzili przy kawie, wspominając przeszłość, zanim zaczęli omawiać interesy? Zaniepokoiło ją to przypuszczenie.

- Nie wiem, ile to nam zajmie czasu. Może Laura mogłaby u mnie przenocować? Nie musiałybyśmy się wtedy śpieszyć. Wstąpiłybyśmy do restauracji coś zjeść, zrobiłybyśmy sobie miły babski wieczór.

- Ile będą mnie kosztowały te wasze hulanki? - spytał przezornie.

Sondra roześmiała się, odchylając głowę.

- Obiecuję, że obejdziemy się z twoją kieszenią łagodnie.

- Mam nadzieję - uciał.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Naprawdę to będzie dla niej korzystne, Bannon. Laura musi coś wiedzieć o babskich sprawach, takich jak chodzenie po sklepach, zmienianie fryzur czy malowanie paznokci.

- Chcesz, jak się domyślam, powiedzieć, że ojcowie nie bardzo się na tym znają - stwierdził ze smutkiem.

- Po prostu Laura potrzebuje towarzystwa kobiety - ciągnęła niewinnie Sondra, mając nadzieję, że ziarno niepokoju zostało posiane. - Chciałabym, żebyś pozwolił jej mieszkać u mnie w zimie, kiedy

będą kłopoty z dojazdem. Ma u mnie swoją sypialnię, swoje *rzeczy*, lubi się też bawić z dziewczynkami z sąsiedztwa.

- Pomyślę o tym.

- Wiesz, że Laura mnie lubi i wiesz też, jak jest mi bliska. Będę dobrą opiekunką. - Przerwała na chwilę, po czym kontynuowała, starając się, by jej głos brzmiał miękko i łagodnie.

- Wychowujesz ją jak chłopaka. Nabiera twoich nawyków, nawet w sposobie ubierania się bezwiednie cię naśladuje. Jest spokojna jak ty, często się zamyśla. A przecież nie chcesz, żeby była zbyt poważna jak na swój wiek. No i chcesz, żeby wyrosła na kobietę.

Bannon przyjrzał się szczupłym palcom i jedwabistej skórze dłoni, która spoczywała na jego ramieniu. W nagłym przypiływie osamotnienia uświadomił sobie, że wiele mógłby przekazać synowi, ale cóż miał do zaoferowania córce?... Prędzej czy później nadejdzie dzień, w którym Laura wybierze własną drogę życia i Sondra stanie się jej bliższa niż on. Taka była naturalna kolej *rzeczy*. Nie mógł temu przeciwdziałać, nawet jeśli miał na to ochotę.

- Jesteś taka dobra dla Laury. - Nakrył jej dłoń swoją dłonią. - Tak wiele ci zawdzięczam, Sondro.

Wyszarpnęła rękę, rzucając mu lodowate spojrzenie.

- Nie potrzebuję twojej wdzięczności, Bannon - powiedziała ostrzej, niż zamierzała, i natychmiast przybrała łagodniejszy ton: - Myślę tylko o Laurze i o tym, co jest dla niej najlepsze.

Zdumiała go jej gwałtowność.

- Przed chwilą bardzo się zdenerwowałeś. Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyś myślał, iż jestem miła dla Laury, ponieważ jesteś jej ojcem. Laura jest moją siostrzenicą i dlatego o nią dbam. To nie ma nic wspólnego z nami, z naszym związkiem.

- Wiem. - Ponownie zaciągnął się papierosem, po czym strząsnął z niego popiół na stojącą na biurku Bannona popielnicę z brązu. - Wynająłem u niego mieszkanie ponad rok temu i płaciłem czynsz regularnie. Ile człowiek może znieść, Bannon? Harowałem jak wół na dwóch posadach, nocą jako kelner, a w dzień jako kucharz. Myślałem, że może uda mi się coś odłożyć i będę mógł w końcu otworzyć własną restaurację. Mieszkam w Aspen od trzydziestu lat. Przyjechałem tu jeszcze przed Harrym Millerem. Pamiętam, kiedy był zaledwie księgowym i dorabiał na boku jako agent ubezpieczeniowy. Potem udało mu się otworzyć własny interes i zaczął inwestować. Nienawidzę myśleć o tym, ile osób tu się wzbogaciło. Widziałem, jak wychodzą na prostą, i tyrałem, czekając na swoją kolej. Ale na próżno. Cóż, bywa. - Przerwał, widząc, że Bannon przegląda ostatnią już stronę umowy. - No i co? Może mnie wyrzucić? Przecież zapłaciłem ten cholerny czynsz.

- Wiem - uśmiechnął się smutno Bannon, zbierając rozrzucone strony. - Szkoda, że nie przyniosłeś mi tej umowy, zanim ją podpisałeś. Jest w niej wyraźnie powiedziane, że w obecnej sytuacji ma prawo cię wyekskmitować i domagać się czynszu za pozostałe dziesięć miesięcy.

- Chyba żartujesz. - Papieros wypadł z ręki Pete'a. Podniósł go szybko. - Powiedz, że żartujesz.

- Żałuję, ale nie....

Pete gwałtownie zamachał rękami, rozsypując popiół.

- I co ja teraz mam zrobić? Gdzie się podziej? Wiesz, że nie stać mnie na wynajęcie innego mieszkania w Aspen, a pracując na dwie zmiany nie dam rady dojeżdżać z Basalt czy Glenwood Springs. To już lepiej spać w samochodzie. - Zdusił papierosa w popielniczce. - Wiesz przecież, dlaczego to robi. Zawarł umowę z właścicielem motelu przy szosie. Zamiast wynajmować swoje nędzne pokoiki za tysiąc dwieście dolarów miesięcznie, będzie mógł wziąć dwieście, trzysta czy czterysta za noc od tych przeklętych narciarzy. Pieprzony kutwa.

- Uspokój się. - Bannon uniósł rękę, jakby chcąc powstrzymać potok wymowy przyjaciela. - Powiedziałem, że ma prawo to zrobić. Ale może uda nam się go przekonać i zostawi cię w spokoju.

- Zostawi w spokoju? Harry Miller zrezygnuje z trzystu dolarów dziennie za pokój? Mamę szansę - parsknął Pete, zrywając się z krzesła.

- Chyba warto spróbować, nie sądzisz?

- Tak, ale... - Ranovitch urwał z wyrazem niepewności na twarzy.

Bannon gestem ręki dał mu do zrozumienia, żeby usiadł, po czym przysunął telefon.

- Usiądź i napij się kawy, a ja zadzwonię. Zobaczymy, czy jest w domu. - Wykręcił numer. - W przeszłości Harry i ja stawaliśmy po przeciwnych stronach sali sądowej, więc znamy się i rozumiemy.

Pete przyjrzał się wyrazistym, znamionującym upór, rysom Bannona i wolno usiadł na krześle.

- Ale jeśli ma prawo...

- Czasami można mieć prawo, ale z niego nie korzystać - rzekł Bannon. - Czy zastałem pana

Millera? - rzucił do słuchawki.

- A kto mówi?

- Bannon.

- Proszę zaczekać.

W słuchawce dały się słyszeć dźwięki muzyki. Wpatrzony w Bannona Pete zapalił drugiego papierosa. Jego palce wciąż poruszały się nerwowo.

- Harry Miller, słucham.

Bannon i bez tego rozpoznałby ten szorstki głos.

- Cześć, Harry. Mówi Bannon.

- O! Co za niespodzianka. - W głosie Harry'ego brzmiało zaniepokojenie.

- Nie powinieneś być zdziwiony. Jest u mnie Pete Ranovitch. Pokazał mi list od ciebie.

- Ranovitch. Mogłem się domyślić, że przyjdzie do ciebie. Zawsze wyciągasz go z tarapatów. Mam nadzieję, że pokazał ci także umowę.

- Tak.

- Więc już wiesz, że postąpiłem zgodnie z jej warunkami.

- Chciałbym, żebyś ponownie rozważył swoje stanowisko, Harry.

- Co to ma znaczyć? Czy to twoja prywatna prośba? Ja wiem, że ten facet ma kłopoty. Wszyscy je mamy. Takie jest życie. Ale liczy się umowa. Chcę, żeby wyprowadził się w ciągu dziesięciu dni.

- Nie rób tego, Harry - powiedział chłodno Bannon.

- Nie dotrzymał warunków umowy...

- Nie zrobisz tego.

- Co? - Do tej pory w głosie Harry'ego brzmiało zniecierpliwienie, teraz jednak górę wzięła złość.

- Pete wyjaśnił mi, że dzwonił do ciebie wcześniej, uprzedzając, że spóźni się z zapłaceniem czynszu, a ty nie miałeś nic przeciwko temu...

- Nie miałem takiego telefonu.

- Spodziewałem się, że tak powiesz, Harry - rzekł Bannon ze smutnym uśmiechem.

- Nie było żadnego telefonu od Pete'a. Czy słowo tego pijaczyny więcej dla ciebie znaczy niż moje? Bannon zignorował tę odpowiedź.

- A poza tym, Harry, przyjmując te pieniądze po terminie zrezygnowałeś ze swojego prawa do unieważnienia umowy.

- Przeczytaj ją dokładnie - wybuchnął Harry. - Miałem prawo pobrać te pieniądze.

- Chyba będziemy musieli rozstrzygnąć tę sprawę w sądzie - stwierdził Bannon, po czym zamilkł na dłuższą chwilę. - Zapewne zdajesz sobie sprawę, jakie są opłaty sądowe? Od około dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Może nawet większe, wszystko zależy od tego, ile czasu upłynie, zanim odbędzie się ostateczna rozprawa. A ja mogę ci obiecać, że przedłużę to o co najmniej dziesięć miesięcy.

- Wygram - upierał się Miller.

- To możliwe. Ale przecież potrafisz kalkulować, Harry. Czy to wszystko będzie ci się opłacało?

- To szantaż.

- Nie ujmowałbym tego w ten sposób - mówił spokojnie Bannon. - Daję ci tylko szansę na podjęcie rozsądnej decyzji. Umowa jest ważna jeszcze przez dziesięć miesięcy. Będziesz otrzymywał czynsz i oszczędzisz sobie kosztów sądowych albo wyrzucisz Pete'a - a wtedy ja się postaram o wstrzymanie eksmisji i przeciągnę sprawę o dziesięć miesięcy. Wybór należy do ciebie.

- Ranovitch nie będzie ci w stanie za to zapłacić. Blefujesz.

Bannon uśmiechnął się wyrozumiale.

- Myślałem, że znasz mnie lepiej, Harry. Przemysł całą sprawę. Jutro około południa chcę wiedzieć, jaka jest twoja decyzja. Mniej więcej tyle czasu zajmie mi przygotowanie niezbędnych papierów dla Pete'a. - To mówiąc, odłożył słuchawkę.

Pete przyglądał mu się z podziwem.

- Naprawdę możesz zrobić to, co powiedziałeś Millerowi? - spytał, wpatrując się w przyjaciela oczami, w których obawa mieszała się z nadzieją.

- Mogę - przytaknął Bannon.

- Ale... jeśli wniesienie sprawy do sądu kosztuje dwadzieścia pięć tysięcy dolarów... Nie będę mógł ci tyle dać, Bannon.

- Nie sądzę, aby ta sprawa znalazła się w sądzie. Ale tak czy owak, na razie masz gdzie mieszkać

przez dziesięć miesięcy.

Pete zwiesił głowę.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - rzekł ze ściśniętym gardłem, a popiół z papierosa spadł na nogawkę Jego białych kucharskich spodni.

- Po prostu płac już regularnie czynsz i nie dawaj Millerowi nowych powodów do zakwestionowania umowy. - Bannon wstał, oddając Pete'owi umowę i list.

- Dobrze. - Zgasił papierosa. - Bardzo ci dziękuję.

Bannon wzruszył ramionami.

- To normalna sprawa dla adwokata, Pete - powiedział, nie mogąc w pełni cieszyć się zwycięstwem.

Za dziesięć miesięcy Pete będzie musiał znaleźć sobie inne mieszkanie, takie, na które go będzie stać. Nie ludził się, że do tego czasu przyjacielowi uda się osiągnąć w Aspen wymarzony życiowy sukces.

Dwoje młodych ludzi ubranych w niebieskie dzinsy, wibrany, z plecakami na ramionach zatrzymało się przed witryną agencji Hudson Properties, przyglądając się zdjęciom najatrakcyjniejszych działek, które firma oferowała nabywcom. Dziewczyna o ciemnych włosach, związanych niebieską wstążką w koński ogon, wskazała jedną z fotografii.

- Andy, widzisz ten dom? Kosztuje sześć milionów dolarów.

- Myślisz, że to takie niezwykle? Spójrz na to - jednohektarowa działka w Starwood za dwa miliony dolarów. Dwa miliony za działkę.

- John Travis ma dom w Starwood.

Innego dnia takie komentarze pozwoliłyby Sondrze rozkoszować się świadomością, że jej agencja gromadzi oferty sprzedaży najatrakcyjniejszych nieruchomości w Aspen. Jednakże tego ranka rozmowa, którą słyszała mijając młodych ludzi i wchodząc do biura, wydała jej się irytująca.

Warren Oakes przysiadł na rogu biurka sekretarki. Była w nie najlepszym nastroju po mało satysfakcjonującej rozmowie z Bannonem, więc zmierzyła go chłodnym, poważnym spojrzeniem.

- Nie masz nic innego do roboty niż przeszkadzać Mary? - Przystanęła przy biurku i odebrała korespondencję.

- Czekając na ciebie rozmawialiśmy o sobotnim przyjęciu u Lassitera. - Warren wyprostował się powoli, a brunetka za biurkiem roztropnie zaczęła udawać bardzo zajęta. - Musiało być wspaniale.

Jego słowa przypomniały Sondrze, że sobotni wieczór był zupełnie nieudany, tak samo zresztą jak i niedziela, a także dzisiejszy dzień, lecz skinęła tylko głową zajęta pobeżnym przeglądaniem korespondencji.

- Mary, czy posłałaś już ekspresem taśmę wideo z domem Carlsonów do Eastlake'ów? - Rzuciła szybkie spojrzenie sekretarce.

- Kończę pakować, panno Hudson - odpowiedziała pośpiesznie dziewczyna.

- Proszę to zaraz wysłać - rzuciła przez ramię Sondra, kierując się w stronę gabinetu.

Warren podążył za nią, wyczuwając, że pod maską spokoju i opanowania kryje się zły nastrój, którego przyczynę rad byłby poznać. W przypadku innych kobiet wiedziałby, jak ma postąpić, aby osiągnąć cel. Okazaniem współczucia, miłymi słowami, lekkim drażnieniem się bez wątpienia nakłoniłby je do wyjawienia przyczyny złego humoru. Lecz wobec Sondry taką taktyką mógł zasłużyć sobie jedynie na pogardę.

- Podczas twojej nieobecności zadzwonił nasz król kurcząt i pytał, czy dostaliśmy odpowiedź na jego ofertę - poinformował ją, wyglądając pierwszą stronę trzymanej w ręku gazety.

- A dostaliśmy? - Sondra rzuciła plik korespondencji na puste biurko.

- Jeszcze nie.

- Przefaksowałeś mu ofertę? - spytała, przesywając go oskarżycielskim wzrokiem.

Warren skinął głową.

- Potem jeszcze zatelefonowałem w tej sprawie i wysłałem oryginał oferty listem poleconym. - Zatrzymał się przed biurkiem zdobionym chińskimi ornamentami obserwując, jak wkłada torebkę do dolnej szuflady. - A co z Lassiterem? Zainteresował go ten kompleks handlowy?

- Nie - odparła, zaciskając usta.

Warren poczuł, że być może uda mu się rozwiązać zagadkę fatalnego nastroju Sondry.

- Nie? - badał ostrożnie, wiedząc, iż Sondra była pewna, że transakcja dojdzie do skutku.

- Nie. - Jej twarda, stanowcza odpowiedź nie dawała nadziei na dalsze wyjaśnienia. Mogło to

oznaczać jedynie dotkliwą porażkę.

- To przykre.

Popatrzył na trzymaną w rękę gazetę, zastanawiając się, czy powinien teraz zadawać dalsze pytania, czy spróbować pochlebić jej próżności. Zdecydował się na to drugie.

- Przecież sobotni wieczór nie był przez to jeszcze stracony. W dzisiejszej gazecie napisano o twojej obecności na przyjęciu. To darmowa reklama dla firmy.

Warren położył gazetę na biurku Sondry i wskazał palcem krótki artykuł poświęcony przyjęciu dobroczynnemu.

- Niezłe, co? Bannon i nasza przyszła gwiazda filmowa.

Sztywniejąc nagle, spojrzała na fotografię wykonaną w momencie, gdy uśmiech na twarzy Bannona ustępuje miejsca zainteresowaniu kobietą, którą trzyma w ramionach. Była nią Kit Masters.

Warren zobaczył, że w oczach Sondry pojawiła się dzika wściekłość, a krew odpłynęła z jej twarzy, tak że stała się zupełnie biała. Sondra uniosła głowę i rzuciła mu lodowate spojrzenie. Nienawidziła go w tym momencie, ponieważ był jedyną osobą, na której mogła wyładować swój gniew. Warren cofnął się o krok przerażony nagłą zmianą jej nastroju, furią, która w jednej chwili zeszcpeciła jej rysy.

- Zostaw mnie samą!

Nie musiała powtarzać polecenia.

Spojrzała ponownie na zdjęcie i w nagłym odruchu sięgnęła po leżące na biurku nożyczki. Mocno zaciskając palce na zielono emaliowanych uchwytach, zagłębiła ostrza w papierze. Ciachnięciem z bezlitosnym szczękiem nożyczki niszczyły gazetową fotografię.

Gdy w końcu umilkły, słychać było tylko ciężki oddech Sondry. Zdjęcie leżało przed nią w strzępach. Dowód na to, że Bannon kiedykolwiek przyglądał się innej kobiecie w sposób, w który powinien patrzeć tylko na nią, został zniszczony.

Rozdział dwunasty

Późny poranek wypełniał dolinę ciepłym światłem coraz wyżej wznoszącego się słońca. Wąską piaszczystą drogą wzdłuż doliny mknął biały range rover ścigany przez własny cień. Za pojazdem ciągnął się niski obłok ceglatego pyłu. Zwalniając, samochód zadudnił na drewnianym moście nad płytkim, leniwie toczącym swe wody potokiem nie zasilanym teraz przez topniejące śniegi, które wiosną zamieniały go w wartki, hałaśliwy strumień.

Pomiędzy rzędami osik o białych pniach zamajaczyły kontury domu. Dostrzegając go, Kit przysunęła twarz do przedniej szyby. Była wzruszona powrotem w rodzinne strony.

Kiedy John Travis zatrzymał range rovera przed domem, natychmiast wyskoczyła z samochodu. Stała na twardej, ubitej ziemi i przyjrzała się budynkowi. Promienie słońca oświetlały pomalowaną na biało ścianę frontową. Pod mansardowym dachem błyszczały trzy okna, za którymi Kit dostrzegła znajomy kwiecisty wzór perkalowych zasłon. Na werandzie po obu stronach zawieszonych na łańcuchach ławeczki stały dwa fotele na biegunach.

Uniosła wzrok i spojrzała na rzędy strzelistych świerków wspinających się na górę za domem i skupiskom wysokich szczytów w oddali gorejących teraz purpurą. Widząc ich wyniosłość i grozę pomyślała, że chociaż człowiek wdziera się na nie, nigdy naprawdę nad nimi nie zapanuje. Trwały tak od tysiącleci, niezmiennie w pełnym pierwotnej dzikości dostojeniu.

Ciszę przerwało trzaśnięcie drzwi i odgłosy kroków. Zwróciła się z uśmiechem do Pauli i Johna Trávisa.

- Witajcie na ranchu Silverwood. Zastaniając dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, Paula rozejrzała się dookoła z zachwytem.

- Widoki wydają się tu jeszcze piękniejsze niż z powietrza. Przepiękna okolica.

Kit bardzo ucieszyła opinia przyjaciółki. Spojrzała na Johna chcąc zbadać jego wrażenie. Stał z głową odchyloną do tyłu i zmrużonymi oczami studiował krajobraz. Słońce lśniło na jego włosach, nadając im złocistą barwę.

- Jaki obszar zajmuje twoje rancho?

- Sto sześćdziesiąt hektarów. Ciągnie się wzdłuż pasma aż po tę górę - odpowiedziała wskazując ręką granice rancha.

Popatrzył na Kit uważnie, lekko unosząc brwi w zdumieniu.

- Zdajesz sobie sprawę, jaka jest wartość tego rancha?

Przytaknęła.

- Około pół miliona.
Roześmiał się słysząc podaną sumę.
- Masz chyba na myśli pięć milionów. - Rozejrzał się dookoła. - A prawdę mówiąc, to za tak urokliwe miejsce, położone niedaleko Aspen, mogłabyś dostać około dziesięciu.
Zaskoczona oświadczeniem Kit przyglądała mu się podejrzliwie.
- Chyba żartujesz. - Tylko taka możliwość przyszła jej do głowy.
- Dlaczego miałbym żartować? - odparł uśmiechając się - Każdy pośrednik: handlu nieruchomościami w Aspen powie ci, że takie ranczo warte jest około dziesięciu milionów, a znalazłby się pewnie i ktoś, kto zapłaciłby więcej bez zmruczenia oka.
- Mówisz serio? - wyszeptała, zrozumiałwszy, że John jest przekonany o swej racji.
Wciąż jednak wydawało jej się to niemożliwe. Przed niecałą godziną Bannon twierdził, że według obecnych cen ranczo jest warte pół miliona dolarów. Dlaczego mówił nieprawdę? Zarówno on, jak i John nie mieli przecież powodu, żeby kłamać.
- Oczywiście, że serio. - Patrzył na nią z rozbawieniem. - Kiedy odziedziczyłaś ranczo, stałaś się bardzo zamożna.
- Dziesięć milionów - powtórzyła Paula. - Chciałabym mieć problem z taką ilością pieniędzy. Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś taka bogata, Kit.
- Ja również nie. - Wciąż nie była pewna, że tak jest; nie potrafiła sobie wyjaśnić, skąd wzięła się tak ogromna rozbieżność w ocenie wartości rancza.
Usłyszeli ciche, radosne rżenie konia. Odwracając głowę, Kit zauważyła kasztanowatego wałacha stojącego przy ogrodzeniu korralu. Przewiesił szyję przez górny drąg i zwrócił w ich kierunku swój łeb z białą strzałką na czole.
- To Sundance - powiedziała Kit, nie potrafiąc ukryć zachwytu. - Wychowywałam go od źrebaka.
Pobiegła w stronę korralu. John podążył za nią Kasztan zarżał jeszcze raz i położył głowę na ramieniu
- Pamiętasz mnie, przyjacielu. - Kit czule pogłodziła gęstą sierść wokół uszu, zmierzwiła grzywę - Ja też cię pamiętam. Byłyśmy kumplami, co? - Zaśmiała się, kiedy zwierzę zaczęło obwąchiwać jej kieszenie, szukając poczęstunku. - Przepraszam, Dance. Nie mam dziś marchewki.
John oparł się o ogrodzenie korralu i zapalił papierosa, obserwując Kit z za smużki dymu. Z jego lekko rozbawionego wzroku Kit wywnioskowała, że nigdy nie miał własnego zwierzęcia, nigdy nie czuł, jak wielka może być przyjaźń między człowiekiem a zwierzęciem. Pomyślała, że w dzieciństwie Johnowi musiała bardzo dokuczać samotność.
- Wydajesz się zdziwiona, że znalazłaś tu swojego konia - zauważył John.
- Myślałam, że został sprzedany wraz z pozostałymi końmi ojca. Bannon zatrzymał go i nic mi o tym nie powiedział. - To było podobne do Bannona. - Wiedział, że Sundance jest moim ulubieńcem.
- Od jak dawna go masz?
- Od zawsze. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Pogłodziła dłonią siwiejący pysk kasztana. - Ale naprawdę to miałam dziesięć lat, kiedy go dostałam. - Policzyła szybko w pamięci. - To znaczy, że Sundance ma teraz dwadzieścia dwa lata.
- To dużo jak na konia.
Roześmiała się.
- Na pewno nie jest młodzikiem, ale ma jeszcze przed sobą sporo lat. Prawda, przyjacielu? - czule szepnęła do konia, który, jakby na potwierdzenie, potrząsnął łbem. - Widzisz? - zwrócił się do Johna. - Sundance zgadza się ze mną.
- Skoro tak mówisz i ja się zgadzam - odpowiedział John.
- Na pewno mam rację. - Poklepała zwierzę po szyi. - Muszę już iść. Paula czeka na nas, trzeba się rozpakować. - Kasztan zarżał na znak protestu, gdy zaczęli się oddalać. - Wiem - powiedziała. - Też chciałabym osiodłać cię i wybrać się na przejażdżkę, ale musimy to odłożyć na później.
John obdarzył ją pełnym zdziwienia spojrzeniem.
- Zawsze tak się zwracasz do zwierząt?
- Zawsze - odpowiedziała beztrąsko. - Kiedy dorastałam, nie było na ranczu dzieci, z którymi mogłabym się bawić. Moimi towarzyszami zabaw stały się więc konie, psy myśliwskie ojca i kury. - Spojrzała na podwórze, które służyło jej za plac zabaw. - Zaludniałam to podwórze postaciami z filmów i książek albo po prostu wytworami mojej fantazji - i odtwarzałam ich role. Dobra praktyka, nie sądzisz?

- Chyba trudno było ci odtwarzać sceny miłosne.

- Bardzo trudno - odparła z uśmiechem. - Ale biorąc pod uwagę, że całowałam potem wielu drętwych aktorów, to też był dobry trening.

- Mam nadzieję, że nie zaliczysz mnie do tej kategorii - powiedział niepewnie, a Kit się roześmiała.

- Oczywiście, że nie ciebie, Johnie. - Spojrzała na jego usta, dzięki którym doświadczyła tylu emocji. Dostzegł w jej spojrzeniu zaproszenie, które gotów był przyjąć natychmiast, lecz w pobliżu znajdowała się Paula.

- Rozpakowujemy się? - zapytała.

- Możemy. - Kit skinęła głową i wyjęła z torebki klucz od domu.

Po kilku kursach do samochodu i z powrotem bagaże i prowiant zostały przeniesione do domu. John wszedł do wyłożonej sosnową boazerią kuchni i postawił torbę z zakupami na ladzie kuchennej.

- To wszystko - obwieścił.

- Świetnie. - Kit schowała karton śmietany do lodówki. - Paula zajmie się kawą...

- Gdzie jest otwieracz do puszek? - Paula rozglądała się po kuchni, trzymając w ręku nową puszkę kawy.

- Druga szuflada po prawej stronie.

Otworzyła szufladę.

- O Boże, ręczny otwieracz! - Wręczyła go Johnowi wraz z puszką. - Mogłabym złamać paznokiec. A gdzie jest dzbanek do kawy?

- Na kuchence.

- Aha. - Paula popatrzyła na starą maszynkę do kawy i potrząsnęła głową. - No nie, Kit. Mogę znieść kawę parzoną w szklance, ale nie będę się tym bawić. Jutro pojedziemy do miasta i kupimy elektryczny otwieracz do puszek i nową maszynkę do kawy. A na dzisiaj zapomnijmy o kawie i napijmy się herbaty.

- Dasz radę ją przyrządzić? - zartował John.

Paula posłała mu drwiący uśmiech.

- To dziecinnie proste. Trzeba tylko wlać wody do filiżanek, wstawić je do podgrzewacza mikrofalowego... - Przerwała, spoglądając na Kit. - Masz taki podgrzewacz?

Kit uśmiechnęła się widząc przerażenie na twarzy Pauli.

- Uspokój się. Mam. Jest za torbami z zakupami, obok lodówki. Ojciec kupił go sobie na Gwiazdkę chyba z pięć lat temu.

- Dzięki Bogu - westchnęła z ulgą Paula. - Obawiałam się, że nie przeżyję miesiąca bez ugotowania czegoś w domowych warunkach.

Uporawszy się z otwarciem puszek John stwierdził:

- To wszystko. Wy się rozgościecie, a ja jadę.

- Nie odjeżdżaj jeszcze - poprosiła Kit, spoglądając na zegar ścienny. - Zaraz przyrządzimy lunch. Zostań i zjedz coś z nami.

Uniósł brwi.

- Nie zobaczyłaś jeszcze, co Paula kupiła w sklepie. Sałata, jogurt i grzanki to nie są moje ulubione potrawy.

- Nic na to nie poradzę. - Paula wzruszyła ramionami. - Kiedy skończy się ten miesiąc wakacji, chcę nadal mieścić się w swoje ubrania. A nigdy mi się to nie uda, jeśli będę jadła obfite posiłki u ciebie w domu. Wystarczy mi już, że jestem ruda. Tylko tego brakuje, żebym jeszcze przy tym była tłusta.

Kit uważnie patrzyła na wiotką i szczupłą przyjaciółkę ubraną w jedwabną kremową bluzkę i spodnie w kolorze khaki, ściągnięte pasem z krokodylej skóry.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś kiedykolwiek mogła utyć.

- Oczywiście, że nigdy do tego nie dopuszczę. - Wyjęła kartonik jogurtu z jednej z toreb i unosząc go, powiedziała: - Oto mój lunch.

Zanim Kit zdążyła zareagować na słowa Pauli, wtrącił się John. - Odprowadź mnie - poprosił.

- Dobrze. - Kit objęła go w pasie, a on położył jej rękę na ramieniu. - Zaraz wracam - rzuciła w stronę Pauli.

- Zaraz wróci - potwierdził John, wyprowadzając ją z małej kuchni.

- Co to ma znaczyć? - Spojrzała na niego prowokująco.

- To znaczy, że... nie otrzymałem jeszcze podziękowania za przywiezienie cię tutaj. - Przeszli przez salon. John otworzył drzwi i podał ramię Kit. Gdy znaleźli się na werandzie, przytulił ją. - A to zajmie

trochę czasu.

- Myślałam, że bardzo się śpieszysz - przypomniała mu wesołym głosem, gdy schodzili ze schodów.
- Nie aż tak bardzo, żeby odmówić sobie małej przyjemności, zanim zacznę załatwianie różnych spraw.

Kiedy zbliżyli się do range rovera, obrócił ją tak że ich twarze znalazły się blisko siebie.

- Domyślałam się, o jaką przyjemność ci chodzi. Uśmiech pojawił się na jej wargach, gdy oparła się o niego wsuwając dłonie pod lekką kurtkę. Przez cienki materiał koszuli czuła mocne, ciepłe ciało i równy rytm Jego serca. - A jakie sprawy masz do załatwienia?

Kiedy odchyliła głowę, chcąc patrzeć na niego, John lekko pocałował ją w usta, po czym obsypał pocałunkami odsłoniętą szyję.

- Dziś po południu jadę z Abelem i Nolanem wybrać miejsca na zdjęcia plenerowe - mówił w przerwach między pieszczotami. - Wcześniej muszę zobaczyć się z Chipem. Lassiter niecierpliwi się i domaga wprowadzenia zmian, a Chip walczy jak lew i nie chce zrobić żadnych poprawek.

- Widocznie uważa, że obecny scenariusz jest dobry.

Przymknęła powieki, chcąc pełniej rozkoszować się miłymi dreszczami wędrującymi po ciele.

John uniósł głowę.

- Jest jeszcze taka rzecz jak kompromis.

- To prawda.

Otworzyła oczy i jej wzrok przyciągnął fascynujący ją od dawna dołek w brodzie. Zaczęła dotykać go opuszką palca.

- Zjedźmy dzisiaj razem kolację. Bez żadnych przyzwoitek, Pauli czy Chipa. Tylko my dwoje.

- Kusisz mnie. - Powoli wodziła palcem po jego szlachetnie zarysowanej kości policzkowej, docierając aż do skroni, by po chwili bawić się krótkimi pasmami ciemnoblonde włosów koło ucha, ciesząc się ich jedwabistością, tak niezwykłą u mężczyzny. - Niestety - westchnęła. - Nie powinnam. Mam tysiące spraw do załatwienia, a jeśli będę poświęcać ci większość czasu, nigdy nie uda mi się ich załatwić.

Zacisnął usta. Widać było, że ta odpowiedź wyraźnie mu się nie podoba.

- Czy są takie pilne, że nie mogą poczekać?

- Nie tyle pilne, co liczne. - Musnęła ustami jego wargi, czując, jak rozluźniają się pod wpływem tego dotyku. Zanim zdążył pogłębić pocałunek, delikatnie przesunęła usta na jego policzek i dołek w brodzie. - Muszę przejrzeć rzeczy mojego ojca - wyszeptwała cicho. - Papiery w biurku, ubrania w szafie, muszę zajrzeć do Wszystkich szuflad, pozbierać jego rzeczy w łazience, no i cały sprzęt myśliwski - jęknęła, kryjąc twarz w zagłębieniu szyi Johna. - A poza tym zapasy żywności w spiżarni. Część tych produktów leży tam pewnie od czasów, kiedy wyjechałam do Kalifornii. - Odsunęła się nieznacznie. - Muszę też od razu zdecydować, które rzeczy mam wyrzucić które zachować dla siebie, a co oddać i komu...

- Przekonałaś mnie. - Nie pozwolił jej mówić dalej, zamykając usta długim, mocnym pocałunkiem.

Kiedy oderwał usta od jej warg, drżała z podniecenia, czując miękkość kolan i słabość. Cieszyła ją świadomość, że może ofiarować Johnowi to, czego potrzebował - miłość, dom, poczucie przynależności i bezpieczeństwa - uczucia, o których braku w swoim życiu nie miał pojęcia,

Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Przenosimy wspólną kolację na jutrzejszy wieczór - powiedział ochrypłym głosem.

- No to jesteśmy umówieni na randkę. - Poglądziła go palcem po brodzie, po czym ucałowała szybko, wyzwalając się z objęć. - Muszę przestać z tobą pracować, bo inaczej nigdy nie uda mi się nic zrobić.

Poczuł się lekko urażony sposobem, w jaki przerwała pocałunek, lecz po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nie ma się o co gniewać.

- Masz rację... I ja mam sporo pracy - rzekł, uświadamiając sobie, że ma skłonność do zapominania o swoich obowiązkach w obecności Kit.

Kit pomachała mu ręką na pożegnanie. Poczekała na werandzie, zanim nie ucichł odgłos odjeżdżającego samochodu i zapatrzyła się w bezchmurne niebo, rozkoszując się ostrym zapachem sosen i traw z górskich pastwisk i szelestem wiatru w liściach osik. Starła się zapamiętać widoki, dźwięki i zapach rodzinnych stron, by móc je mieć przy sobie, gdy odjedzie.

Odwróciła się i weszła do domu.

Paula wychodziła właśnie z kuchni, niosąc okrągłą metalową tacę. Na serwetce w niebieską kratę,

która zakrywała symbol Coca-Coli. Paula umieściła czajnik na herbatę oraz dwie filiżanki i talerzyki.

- Wyjęłam już wszystkie zakupy. - Paula postawiła tacę na niskim stoliku obok kanapy. - W głowie tak mi pulsuje, że postanowiłam zrobić sobie przerwę przed rozpakowaniem walizek. Napijesz się ze mną ziołowej herbaty?

- Dziękuję, chętnie. - Kit doszła do wniosku, że nie ma ochoty ani na rozpakowywanie bagaży, ani na żadną z czynności, o których przed chwilą mówiła. Weszła do salonu i z upodobaniem przyglądała się wykładanym sosnowym drewnem ścianom i sufitowi, kominkowi otoczonemu kamiennym obramowaniem i okazałym rogom jeleni wiszącym nad drzwiami.

Paula nalała herbatę do filiżanek i podała jedną z nich Kit, po czym odsunawszy poduszki, rozłożyła się wygodnie na kanapie, wdzięcznie zginając nogę. Rozglądała się po pokoju, popijając herbatę.

- Ładne wnętrze - stwierdziła. - Duże, ale przytulne. - Przerwała, przyglądając się z mieszanymi uczuciami głowie jelenia zawieszanej na ścianie nad kominkiem. - Chociaż nie lubię, jak przyglądają mi się martwe oczy wypchanych zwierząt.

- Mama też tak mówiła - przypomniała sobie Kit. - Nie pozwalała ojcu przynosić trofeów myśliwskich do domu. Trzymał je przez lata w szapie.

Stała za ulubionym fotelem ojca - ogromnym, przesadnie wypchanym meblem, wyściełanym szarym materiałem. Naprzeciwko fotela stała otomana, wypchana z równą przesadą i pokryta szarogranatową tkaniną w geometryczne wzory.

- Ojciec kochał polowania. Nieważne - na jelenie, łosie, kozły śnieżne czy indyki. Gdy tylko rozpoczynał się sezon łowiecki, znikał. Brał udział w wielu polowaniach. Zawsze mówił, że wspaniale jest móc robić to, co człowiek lubi naprawdę.

Przesunęła rękę po białej lnianej serwetce chroniącej oparcie fotela. Koronka na brzegach wystrzępiła się po licznych praniach. Serwetka była dziełem matki, która obawiała się, że zaplamie mebel żelem do włosów. Po rozwodzie ojciec wniósł do domu swoje myśliwskie trofea, lecz nie wyrzucił małej narzutki. Nie dziwiło to Kit. Oba te symbole, każdy na swój sposób, przypominały przecież matkę.

Nagle bardzo odczuła brak ojca. Usiadła w jego ulubionym fotelu wspominając chwile, kiedy w tym samym miejscu mogła słuchać jego śmiechu i cieszyć się ojcowską miłością. Wypiła łyk herbaty, postanawiając, że z pewnością zatrzyma ten mebel.

- To zabawne - powiedziała stawiając filiżankę na szerokiej poręczy fotela. - Kiedy myślę o ojcu, zawsze przypomina mi się jego śmiech. A w przypadku matki - jej milczenie. Była taka cicha, rzadko się uśmiechała. Nie jestem pewna, czy w ogóle wiedziała, jak wyrazić uczucia i emocje.

- Może się tego bała - stwierdziła Paula, przyglądając się starej aptekarskiej butli na wiklinowym stoliku obok kanapy.

- Może.

Kit uniosła filiżankę, wdychając przez chwilę aromat herbaty, po czym dmuchając lekko na gorący napój, wypła łyk.

Paula zauważyła stojącą obok butli z brązowego szkła małą fotografię w złotej ramce i podniosła ją, aby dokładniej się jej przyjrzeć.

- To fotografia twojej matki?

- Tak. - Skinęła głową. - Ojciec bardzo lubił to zdjęcie.

- I tak je tutaj trzymał? - zdziwiła się Paula. - Przecież rozwiódł się z twoją matką.

- To ona rozwiodła się z nim - poprawiła ją Kit. - A on nigdy nie przestał jej kochać. - Zastanawiała się przez chwilę, a potem dodała: - Chociaż, kto wie. Mama tak mocno przeżyła jego śmierć, że nie wiem, czy tak naprawdę go nie kochała.

- To dlaczego?...

Kit wzruszyła ramionami.

- Może byli zbyt mało tolerancyjni wobec różnic, które ich dzieliły.

Zawsze wiedziała, że małżeństwo rodziców nie układało się najlepiej, że mieli wiele problemów. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że mają zamiar się rozstać. To mogło zdarzać się rodzicom koleżanek i kolegów, ale przecież nie jej własnym.

Doskonale pamiętała ten okropny sobotni poranek, kiedy przyszła do domu po spędzeniu nocy u Angie. Był październik, tak jak i teraz. Jeden z pochmurnych, mroźnych październikowych poranków, zapowiadających rychłe nadejście zimy...

Ciężkie drzwi wejściowe z trzaskiem zamknęły się za wracającą do domu Kit.

- Cześć, mamo. Cześć, tato - krzyknęła.

W zimnym powietrzu, które z zewnątrz dostało się do domu, jej oddech zamieniał się w parę. Obdarzyła rodziców przelotnym spojrzeniem i przeszła do salonu. Tam rzuciła płócienną torbę na podłogę, szkolne książki szybko wyłożyła na stojący przy drzwiach stolik z sosnowego drewna, zdjęła szalik i cisnęła go na poręcz krzesła, potykając się o rękawiczki, które spadły z siedzenia na podłogę, słowem, czyniła charakterystyczny dla niej bałagan.

- Strasznie uśmiealiśmy się wczoraj wieczorem. Naprawdę. To było...

- Kit.

Powstrzymał ją poważny ton głosu ojca. Spojrzała, jak ciężko siada w fotelu i pochyła się do przodu kładąc łokcie na kolanach i zwieszając dłonie. Z bólem patrzyła na jego twarz. Był bardzo blady, prawie popielaty, i miał zaczerwienione oczy. Uśmiechnęła się nieznacznie na znak współczucia, podejrzewając, że poprzedniego dnia wypił za dużo piwa i teraz musi to odcierpieć.

- Kit. Usiądź. Twoja mama i ja chcemy z tobą porozmawiać.

- Oj, chyba się nie wywinę. Wyglądacie jak ława przysięgłych przed ogłoszeniem wyroku - zażartowała, spoglądając na matkę, która siedziała na kanapie, jak zwykle sztywne i wyprostowane, z twarzą jak u porcelanowej lalki - nieruchomą, z niebieskimi oczami i burzą lśniących kasztanowych włosów. Widząc, że usta matki zaciśnięte są w wąską linię, Kit domyśliła się, że za chwilę czeka ją wykład na temat zachowania.

- Zaraz zgadnę, o co chodzi. - Kit szybko usiadła na krześle, na którym leżały jej rękawiczki. - Na pewno pani Westcott dzwoniła i skarżyła się...

- Nie chodzi o panią Westcott - przerwał ojciec szorstkim, obco brzmiącym głosem. Tym razem Kit czekała na wyjaśnienie. - Twoja matka wyjeżdża. Jedzie do kuzynki do Kalifornii.

- Do Kalifornii! Mamo, to fantastycznie! Kiedy jedziesz? Na jak drogo? Boże, jak ja bym chciała tam pojechać! Na pewno będzie tam słonecznie i ciepło. Kiedy wracasz?

- Nie wracam.

Kit otworzyła usta, lecz była zbyt zaszokowana, by móc powiedzieć choćby jedno słowo.

- Co to znaczy, że nie wracasz? - zapytała w końcu z niedowierzaniem. - O czym mówisz?

Przenosiła wzrok z ojca na matkę, starając się odgadnąć, o co chodzi, a jednocześnie nie chcąc dopuszczać do siebie podejrzeń, które zaczynały kiełkować w głębi serca.

- Twoja matka... ma zamiar tam zamieszkać. - Ojciec zająknął się i splótł palce z taką siłą, aż kostki zatrzeszczały w stawach. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Kit...

- Na Boga, Clint, powiedz jej wreszcie - nie wytrzymała matka.

- Co tata ma mi powiedzieć? - dopytywała się Kit, bojąc się odpowiedzi.

- Twój ojciec i ja rozchodzimy się - odrzekła matka.

- Nie. - Kit najpierw wyszeptała to słowo, a potem zaczęła je powtarzać coraz głośniejszym głosem, by w końcu zerwać się na równe nogi, z trudem hamując łzy. - Nie możecie! Nie możecie tego zrobić! Nie możecie wyjechać! - Widząc, że matka pozostaje głucha na jej prośby, zwróciła się do ojca: - Tato, porozmawiaj z mamą. Zrób coś, żeby zmieniła decyzję. Zrób coś, żeby została.

- Przestań, Kit - powiedziała ostro matka. - Nikt i nic już nie może zmienić mojej decyzji. Ani ty, ani twój ojciec. Nie było mi łatwo ją podjąć, ale teraz już jej nie zmienię. Musisz starać się to zaakceptować.

- Nie! - Zaszlochła, odwracając się i w szaleńczym pędzie wybiegła z domu.

Zatrzymała się przy schodkach werandy i oparłszy się o kolumnkę zaniosła się gwałtownym łkaniem. Nie, to nie może być prawda. To nie może się zdarzyć. Rodzice nie mogą się rozwieść. Nie mogą.

Ugięły się pod nią nogi, więc usiadła na schodach, otaczając ramieniem kolumnkę. Przepelniała ją gorzyc i ogromny ból. W jednej chwili jej świat rozsypał się w gruzy. Nie słyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe, nie słyszała też odgłosu kroków. Poczula dopiero dotknięcie czyjejs ręki na ramieniu. Uniosła twarz i zobaczyła zalaną łzami twarz ojca, udręczoną cierpieniem jak jej własna.

- Przepraszam, maleńka - wyszeptał i przysiadł na stopniu obok niej.

- To wszystko moja wina, prawda? - spytała, pociągając nosem.

- Nie. Bynajmniej nie twoja.

- Na pewno moja. - Potarła oczy wierzchem dłoni. - Nie chciała, żebym zrezygnowała z lekcji tańca. Nie ćwiczyłam na pianinie tak jak powinnam. W moim pokoju zawsze panuje bałagan. Sprzedam

Sundance'a. Pomogę w domu, będę sprzątać pokój, zmywać naczynia, nie będę wisieć na telefonie i rozmawiać z Angie. Obiecuję...

- Nie mów tak, Kit. Nie zdręczaj się. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił jej twarz do wełnianego swetra, obejmując ją mocno i kołysząc w ramionach. - To nie twoja wina. Przysięgam, że to wszystko nie ma nic wspólnego z tobą. To problemy między twoją mamą a mną. Zaczęły się, zanim jeszcze się urodziłaś.

- Nie rozumiem - zaprotestowała. - Musi być jeszcze jakieś wyjście. Na pewno możecie coś z tym zrobić.

- Próbowaliśmy, Kit. Oboje próbowaliśmy.

Nie podobał jej się przegrany ton głosu ojca. Spojrzała na niego.

- Czy już nie kochasz mamy?

Jego oczy napełniły się łzami.

- Kocham - wyszeptał. - Nawet nie wiesz jak bardzo.

Drżącą ręką otarł łzy z jej policzków, po czym odgarnął jej włosy z twarzy.

- Musi być przecież coś, co jeszcze można by robić - upierała się. - Coś, co może zatrzymać mamę. Może powinienes obiecać, że nie będziesz pił i że nie będziesz spotykał się z Bonnie Blaisdell...

Oniemiał.

- To ty o niej wiesz?

Wpatrzyła się w jego sweter, czując nagle zawstydenie, skrępowanie.

- Kiedy Bannon odwoził mnie z zawodów sportowych, zauważyłam twoją furgonetkę zaparkowaną za jej domem. Wiedziałam, że stoi tam nie po raz pierwszy - wyznała pełnym napięcia głosem. - Dzieci dużo widzą.

- Boże, jak mi przykro, Kit. - Odwrócił głowę i opuścił ramiona w bezradnym geście.

- Ale dlaczego, tato? Dlaczego się z nią spotykasz, jeśli tak bardzo kochasz mamę?

Opuścił głowę, tak jakby nie miał zamiaru odpowiedzieć. Wreszcie uniósł ją i przyjrzał się Kit uważnie.

- Ile masz lat? Szesnaście?

Skinęła głową, lecz zapewne tego nie zauważył.

- Myślę, że jesteś już wystarczająco duża, żeby zrozumieć.

Spojrzał do góry, po czym zapatrzył się w przestrzeń.

- Twoja mama jest piękną kobietą, Kit. Najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Kiedy byłem w twoim wieku, moja klasa pojechała na wycieczkę szkolną. Poszliśmy do muzeum w Denver. Stała tam piękna waza. Nieprawdopodobnie piękna waza sprzed wielu wieków. Jej kolory - niebieski, zielony, złoty - były tak żywe, tak soczyste - mówił półgłosem, jakby znów stanęła mu przed oczami. - Wystawiono ją w oszklonej gablocie i nie można było jej dotknąć. Mogłem tylko patrzeć. - Przerwał, spoglądając na Kit. - A to nigdy mi nie wystarczało. Kiedy widziałem coś pięknego, chciałem tego dotknąć, potrzymać w rękach... w ramionach. A twoja mama... nie lubiła tego. Próbowała, ale...

Kit niezgrabnie chwyciła jego rękę, starając się w ten sposób przekazać mu, że nie potrzebuje już nic więcej mówić. Zrozumiała już, dlaczego odwiedza Bonnie Blaisdell.

- Tak czy owak, mamie jest przykro.

Nie odpowiedział. Ucisnął tylko jej dłoń i mocniej przytulił do siebie.

Kit. - Paula musiała powtórzyć jej imię dwa razy, zanim Kit ją usłyszała.

- Przepraszam. - Zamrugwała szybko powiekami, starając się otrząsnąć ze wspomnień, po czym spojrzała na Paulę, spotykając jej rozbawiony wzrok. - Nie słuchałam. Co mówiłaś?

- Nic takiego. Powiedziałałam tylko, że dziwię się, że zostałam z ojcem. Po rozwodzie rodziców córki zazwyczaj zostają z matkami.

- Zostawili mi prawo wyboru, a ja wtedy myślałam, że ojciec bardziej mnie potrzebuje. Może tak było, ale teraz nie mam już tej pewności. - Wzruszyła ramionami. - Tak czy owak byliśmy z ojcem podobni do siebie i rozumiałam się z nim lepiej niż z matką. Winiłam ją za to, że nie była kobietą, jakiej potrzebowałam, i że raniła go tak mocno. Nigdy nie pomyślałam wtedy, że prawdopodobnie nie mogła nic na to poradzić.

Dopiero niedawno, po śmierci ojca, zaczęła się nad tym zastanawiać. W wieku szesnastu lat nie wiedziała jeszcze o zbyt wielu sprawach. Doświadczenie i dojrzałość mówiły jej teraz, że porady u lekarzy, psychologów mogłyby pomóc matce przezwyciężyć oziębłość, chociaż podejrzewała też, że

Elaine Masters była zbyt dumna i skryta, żeby udać się do kogoś z prośbą o pomoc. Teraz nie da się już ustalić, czy problemy jej były natury psychologicznej, czy stanowiły jeden z pierwszych objawów stwardnienia rozsianego.

Jednakże Kit doskonale rozumiała ojca. I ona nigdy nie potrafiłaby się pogodzić z miłością, w której brak spełnienia. Lubiła obdarzać pieszczotami i pocałunkami, dawać miłość - tak jak on.

I tak samo jak on dowiedziała się, że miłość bywa źródłem najwyższej radości, ale i największego bólu.

Przeszłość. Za dużo myślała o przeszłości.

Filizanka Pauli zabręczała na talerzyku, szczęśliwie rozpraszając myśli Kit.

- Co bym dała, żeby była tu służąca, która rozpakuje mi walizki - westchnęła Paula.

- Miło jest pomarzyć. - Kit wypila ostatni łyk herbaty i odstawiła filizankę i talerzyk. - Ale od tego pracy nam nie ubędzie, nikt za nas się nie rozpakuje. - Zauważyła trzeźwo, wstając z krzesła.

Rzuciła okiem na biurko z żaluzjowym zamknięciem stojące w rogu obok szafki, w której ojciec trzymał broń. Mając przed sobą całe popołudnie, Kit zdecydowała, że po telefonie do Maggie i dowiedzeniu się o stan zdrowia matki przejrzy wszystkie papiery i dokumenty znajdujące się w biurku. Miała nadzieję, że trafi na coś, co pozwoli jej zorientować się w rzeczywistej wartości rancza. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego John i Bannon podali tak bardzo różniące się sumy.

Rozdział trzynasty

Słońce zachodziło za szczytami gór, zabarwiając wysoko przesuwające się chmury delikatnymi odcieniami fioletu, różu i cynobru. Kiedy Kit przyniosła kawę na werandę, w powietrzu wisiał już chłód nocy. Paula usiadła na zawieszanej na łańcuchach ławeczce. W kombinezonie z ciemnobrązowego aksamitu, który wspaniale kontrastował z ognistą rudością włosów, prezentowała się wdzięcznie i elegancko.

Stłumiła ziewnięcie i wypila łyk kawy, wygodniej sadowiąc się na ławeczce.

- Czuję, że nie będę dzisiaj miała żadnych kłopotów z zaśnięciem.

- Aklimatyzujesz się - stwierdziła Kit i siadając na okalającej werandę balustradzie zaczęła przyglądać się opustoszałym pastwiskom w dolinie.

- To możliwe. Głowa nie boli mnie już tak mocno. - Wzdychając Paula otoczyła filizankę dłońmi i oparła głowę o jeden z łańcuchów, na których wisiała ławeczka. - Mamy za sobą męczący dzień.

- Zwłaszcza męczące popołudnie. - Kit zeskoczyła z balustrady i stanęła przy schodach. - Kiedy przeglądałam papiery ojca, pomyślałam, że nie mogłabym pracować w biurze. - Odczuwała pewną satysfakcję, że udało jej się zrealizować swoje plany na popołudnie, mimo iż nie znalazła wśród dokumentów niczego, co pomogłoby jej określić wartość rancza. Wizyta w kancelarii Bannona w najmniejszym stopniu nie wyczerpała rozpieszczonej ją dziś energii. Męczyło ją uczucie, że pewnie nie znajdzie już okazji, by ją rozładować.

Wiatr powiał od gór, szeleszcząc liśćmi w osikowym lasku. Paula wzdrygnęła się.

- Robi się zimno.

Kit wystawiła twarz na ożywcze podmuchy wiatru.

- Miły wietrzyk - powiedziała przypominając sobie, że chłód rzadko jej przeszkadzał.

- Musisz mieć gorętszą krew niż ja.

- Pewnie tak.

Podeszła do jednego z foteli i rozbijała go, pchnąwszy drewniane oparcie. Odwróciła się w stronę korralu, w którym stał kasztanowaty wałach spokojnie skubiąc siano. Nagła myśl przyszła jej do głowy.

- Zachód słońca jest bardzo piękny - rzekła Paula, podnosząc się z ławeczki. - Ale dopiję kawę w domu, tam gdzie jest ciepło. Idziesz?

- Nie - odparła, podjąwszy już decyzję. - Przejadę się konno. Wybierzesz się ze mną? Sundance udźwignie nas obie.

Paula zatrzymała się w połowie drogi do drzwi i spojrzała na Kit rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Masz zamiar jeździć na koniu? Przecież jest już prawie zupełnie ciemno.

- Uwielbiam jeździć nocą. To moja ulubiona pora.

- Ale nie moja. W ogóle nie przepadam za konną jazdą. Zostanę w domu i będę oglądać telewizję - oznajmiła Paula, by po chwili zastanowienia zapytać z niepokojem: - Nic ci się nie stanie?

- Bądź spokojna - uśmiechnęła się Kit. - Zostaw mi tylko światło na werandzie, bo mogę wrócić

późno.

- Jesteś szalona.

Pamiętając, że w górach po zachodzie słońca błyskawicznie robi się chłodno, Kit wzięła kurtkę i rękawiczki i poszła do stajni.

Na zachodzie niebo przybrało już ciemnorubinową barwę, a szczyty gór odcinały się czarnymi konturami na jego tle, gdy wyjeżdżała z korralu zostawiając otwartą furtkę. Wałach był wypoczęty i rwał się do jazdy. Przegalopowali przez podwórze, po czym Kit skierowała konia ku osikowemu laskowi i wąskiej ścieżce prowadzącej w góry. W gęstniejącym mroku pnie osik wyglądały jak cienkie białe tyczki. Zwiędłe liście szeleściły pod kopytami kasztana, który rozpoznając ścieżkę, wyraźnie się ożywił. Kit również знаła dobrze ten szlak i nie wstrzymywała konia.

Za gęstwiną osik ścieżka zaczynała się wspinać, wijąc się w poprzek zbocza. Ciemność otoczyła ją, gdy wjechała pomiędzy rzędy wysokich sosen. Miękki dywan utworzony przez spadające od stuleci igły sosnowe prawie zupełnie wygłuszył odgłos końskich stąpień.

Przez jakiś czas Kit słyszała tylko lekkie parsknięcia konia, brzęk uprzęży i skrzypienie siodła. Stopniowo przyzwyczała się jednak do ciemności i po chwili usłyszała westchnienie wiatru w drzewach, niespokojny szmer odległego strumienia, trzepot ptasich skrzydeł i szelest nocnych zwierząt przemykających w zaroślach.

Gdy minęli sosnowy las, ścieżka stała się kamienista i stroma. Całkowicie zdała się na niezawodne zwierzę, wiedząc, że wybierze właściwą drogę. Nie bała się jazdy w tych warunkach.

Na szczycie zbocza zatrzymała kasztana, aby odpoczął, a sama podziwiała roztaczające się stamtąd widoki. Sierpowaty księżyc dawał słabe światło, popalając niezliczonym gwiazdom rozblysnąć pełnym blaskiem na granatowym niebie. Bystry wzrok Kit wydobył z mroku poszarpane granie gór, szeroką wstęgę doliny i srebrzący się potok.

Uśmiechnęła się. Kochała tę krainę, na którą teraz spoglądała z góry. Żadne inne miejsce nie mogło się z nią równać. Tu się urodziła i tylko tutaj, wśród rozległych przestrzeni i wyniosłych, dostojnych szczytów, odpoczywała naprawdę, przestawała myśleć o codziennych problemach.

Wciągnęła w płuca mroźne powietrze, chłonąc zapach wiatru, rozkoszując się ciszą gór i blaskiem gwiazd. Kasztan zarżał cicho i odwrócił łeb w stronę ścieżki, która prowadziła ku migocącym światłom oddalonego o trzy kilometry rancza Stone Creek. Uśmiechając się Kit lekko dotknęła piętami boków konia i zwierzę ochoczo ruszyło w znajomym kierunku.

Po doglądnięciu bydła, wykonaniu wszystkich wieczornych prac i zjedzeniu kolacji Bannon usiadł na werandzie. Mógł się teraz odprężyć po ciężkim dniu. Leniwie huśtał się w bujanym fotelu. Dookoła panowała miła wieczorna cisza.

Ludzie pracujący na ranchu dawno poszli już do swych domów. Stary Tom siedział w salonie przed telewizorem, narzekając na kiepski odbiór. Ciemność otaczała Bannona. Nagle poczuł się bardzo samotnie. Lekki wietrzyk, który niósł już chłód zbliżającej się zimy, owiał mu twarz. W ciszy rozległo się wołanie lelka.

Bannon pomyślał, że najbardziej lubi dwie pory dnia - wczesny szary świt, kiedy wszystko dookoła zaczyna budzić się do życia, a świat jawi się w mocnych, ostrych konturach, i wieczorową porę z jej pobudzającą do refleksji tajemniczością.

Odnalazł na niebie Wielki Wóz i Gwiazdę Polarną - jasny nieruchomy punkt, który przypomniawszy mu o trwałości i niezmienności natury. Tylko człowiek zmieniał się ciągle.

Jego myśli biegły zawsze ku młodym latom i ku Dianie - kobiecie, która została jego żoną. Pamiętał, jak wesołe i radosne były te lata. Lecz radość minęła i pozostał sam. Dziś nie bardzo nawet potrafił się śmiać.

Ciągle widział jej oczy pociemniałe od gniewu i pogardy, gdy patrzyła na niego po raz ostatni, winiąc go za to, że uczynił ją nieszczęśliwą. Umarła nienawidząc go, ponieważ pozbawił ją przyjemności życia, które były dla niej wszystkim, nienawidząc za małżeństwo, które okazało się pomyłką.

Tak. Jej oczy zapamiętał najlepiej. Temu obrazowi zawsze towarzyszyło niemożliwe do spełnienia życzenie, żeby móc cofnąć czas i przywrócić jej tę nieokiełznaną radość życia, która z niej emanowała, gdy spotkali się po raz pierwszy. Nic, niestety, nie mogło przywrócić jej miłości do niego. Ta miłość, jak oboje się o tym przekonali, nigdy nie istniała.

Ugniótł palcami cygaro i zapalił. Wydmuchując smuzkę dymu, usłyszał odległy tętent kopyt u

podnóża gór. Uniósł głowę, nasłuchując odgłosu, który był jakby echem jeszcze dawniejszych wspomnień.

Przeczekał, aż odgłos kopyt zbliży się. Spomiędzy zabudowań rancza, odcinających się czarną plamą od gęstniejącego mroku, wyłoniła się sylwetka jeźdźca na koniu. Gdy Bannon zobaczył białą strzałkę na łbie kasztana i białe skarpety, wiedział już, że w siodle siedzi Kit. Trzymała się na koniu pewnie, płynnie poddając się rytmowi końskich kroków.

Dojechawszy do werandy, powstrzymała wałacha i zgrabnie zeskoczyła na ziemię. Bannon uniósł się z fotela.

- Cześć, Bannon.

Stała przed nim, zdejmując rękawiczki i obserwując, jak uśmiech rozjaśnia jego twarz.

- Cześć, Kit.

Oddychała głęboko. Policzki miała zaróżowione od szybkiej jazdy. Poczł zapach jej włosów, znajomy zapach przypominający chwile, których bezpieczniej było nie rozpamiętywać. Lecz wspomnienia wróciły wraz z jej widokiem, a promieniująca od niej energia i radość życia przywróciły mu dobry nastrój.

- Przyjechałaś znowu posiedzieć na mojej werandzie? - zażartował.

Zesztywniała na chwilę, lecz zaraz uśmiechnęła się i stanowczym głosem odparła:

- Lepiej nie wracajmy do przeszłości, Bannon.

Wiedział, że ma rację. Przynął jej drugi fotel.

- Widzę, że Sundance pamięta drogę.

- Oboje pamiętamy. - Z wdziękiem usiadła na fotelu. - Byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam go w korralu. Myślałam, że go sprzedałeś.

Położyła ramię na oparciu fotela. Jasna plama jej twarzy i włosów majaczyła w ciemności. Lecz nie musiał na nią patrzeć. Doskonale pamiętał miękki zarys jej ust, na poły poważny, a na poły rozbawiony wyraz oczu.

- Nie chcieli za niego wiele dać. Uważali, że jest za stary, więc go zatrzymałem. - Cygaro zgasło. Zapalił je ponownie. - Laura czasem na nim jeździ.

- Gdzie ona jest?

Odwróciła głowę, patrząc na oświetlone okna. Czowała, że budzą się w niej bolesne wspomnienia.

- Spędza noc u Sondry w mieście. Chodziły dziś po sklepach i kupowały zimowe ubrania. Bardzo wyrosła od zeszłej zimy.

Kit spojrzała na niewyraźnie zarysowane w ciemności ręce, starając się wyglądać na opanowaną i spokojną.

- To dobrze, że pozwalasz jej spędzać czas z kobietą. Dziewczynki potrzebują takiego kontaktu.

- Właśnie zaczynam to zauważać.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym Kit spojrzała na twarz Bannona ledwie widoczną w słabym świetle okien. W ciemności żarzył się czerwony punkcik cygara.

- Rozmyślałeś tu sobie, zanim przyjechałam?

Poruszył się gwałtownie.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. - Spojrzała na cygaro. Bannon palił jedynie wtedy, gdy nad czymś długo myślał. - Wiem dobrze - dodała szeptem. - Aż za dobrze.

Nawet, jeśli usłyszał, nie skomentował tych słów, nie interesował się też, skąd bierze się pewność Kit. Zapytał:

- Zadomowiłaś się już?

- Mniej więcej. - Chciała porozmawiać z nim o ranczu, więc skorzystała z tego, że o nie spytał. - Silverwood zrobiło ogromne wrażenie na Johnie Travisie. Powiedział, że mogłabym sprzedać je za dziesięć milionów.

- Nie byłbym wcale zdziwiony.

Zbiła ją z tropu łatwość, z jaką zgodził się z opinią Johna.

- Przecież rano mi powiedziałeś, że ranczo jest warte pół miliona.

- Dla Urzędu Skarbowego - zastrzegł się Bannon.

- Ale dlaczego taksator wycenił je tak nisko, skoro jest warte dziesięć milionów? - zdziwiła się.

- Specjalna klauzula w przepisach dotyczących podatku spadkowego stanowi, że dopóki utrzymujesz Silverwood jako ranczo, płacisz podatek od sumy podanej przez taksatora, który dokonał wyceny w

tych szczególnych okolicznościach, a nie od przypuszczalnej wartości ziemi ocenianej na podstawie jej położenia. To ma umożliwić przekazywanie rodzinnych farm i rancz następnym pokoleniom. Inaczej mówiąc, gdybyś miała zapłacić podatek spadkowy od dziesięciu milionów dolarów, musiałabyś sprzedać ranczo, żeby mieć na to pieniądze. - Przerwał. - Rozmawialiśmy już na ten temat kilka miesięcy temu.

- Rozmawialiśmy?

- Tak, z tydzień czy dwa po pogrzebie.

To wyjaśniało, dlaczego nie pamiętała tej rozmowy. Była wtedy kłębkim nerwów. Spędzała od dziesięciu do dwunastu godzin na planie *Wichrów przeznaczenia*, potem biegła do szpitala do matki. Musiała radzić sobie z bólem po śmierci ojca i nagłym postępem choroby matki spowodowanym - jak twierdzili lekarze - szokiem, który przeżyła na wiadomość o śmierci byłego męża.

Przypominała sobie, że po śmierci ojca dwa czy trzy razy rozmawiała z Bannonom na różne tematy dotyczące testamentu, rancza, rozporządzenia majątkiem. Ale w tym samym czasie wiele razy rozmawiała też z lekarzami matki, a poza tym spotykała się z Hatcherem Brooksem, adwokatem z Los Angeles, który pomógł jej uzyskać prawo reprezentowania matki, i chodziła po szpitalach prowadzących oddziały dla przewlekle chorych, szukając odpowiedniego miejsca, w którym mogłaby ją umieścić.

Biorąc pod uwagę te warunki, trudno było się dziwić, że nie zapamiętała wyjaśnień dotyczących podatku spadkowego.

- Więc co się stanie, jeśli sprzedam ranczo?

- Jeśli sprzedasz je w ciągu roku czy dwóch lat, musiałbym sprawdzić, zapłacisz bardzo wysoki podatek spadkowy. Ale dlaczego pytasz? Powiedziałaś mi przecież, że chcesz zachować ranczo.

Zabrzmiało to jak wyzwanie.

- Wiem, że tak powiedziałam. Ale nie miałam wtedy pojęcia, jaka jest wartość rancza. Dziesięć milionów to mnóstwo pieniędzy, Bannon.

- Nikt nie da takich pieniędzy, dopóki nie przekona się, że będzie miał z tego co najmniej dwukrotny zysk - powiedział chłodnym tonem. - A takiego zysku nikt nie osiągnie z prowadzenia rancza.

- To prawda. - Wiedziała o tym.

Bannon nigdy nie ukrywał tego, że sprzeciwia się dalszemu rozwojowi budownictwa i przemysłu w dolinie Roaring Fork i paśmie Gór Elk. Tym niechętniej przystałby na zabudowanie terenów bezpośrednio przylegających do rancza Stone Creek. Rozumiała to i do pewnego stopnia się z tym zgadzała. To czyniło jej decyzję jeszcze trudniejszą.

Skrzypnęły drzwi i na werandzie pojawił się Stary Tom.

- Bannon - zabrzmiał jego głos w ciemności. - Słyszałem jakieś głosy. Mówisz sam do siebie?

Kit zerwała się z fotela.

- Nie. Rozmawia ze mną - powiedziała radośnie.

- Kit. - Przyglądał się jej ze zdumieniem, a po chwili zauważył kasztana uwiązanego przy wejściu na werandę. - Dziewczyna taka jak ty nie powinna włóczyć się sama nocą po górach.

Roześmiała się, całując go w pokryty jednodniowym zarostem policzek.

- Mówiłeś mi to samo, kiedy miałam szesnaście lat.

- Szesnaście czy sześćdziesiąt te słowa będą zawsze aktualne - mruknął gderliwie, starając się nie okazać przyjemności, jaką sprawił mu pocałunek.

Lecz uwaga Starego Toma zasmuciła ją. Kiedy będzie miała sześćdziesiąt lat, nie będzie już jeździła nocą na koniu po okolicy. Nie będzie to możliwe, skoro sprzeda ranczo. A przecież myślała kiedyś, że chciałaby spędzić starość w tych właśnie górach.

- Dlaczego tu siedzicie? Nie czujecie, że jest zimno? Wejdźcie do środka. Mam gorącą kawę, a Sadie upiekła ciasto czekoladowe. Jest może trochę za suche, ale damy na wierzch bitej śmietany.

Kit przyglądała się drewnianemu budynkowi, który był w dzieciństwie jej drugim domem. Nie chciała jednak pograżać się we wspomnieniach, nie byłoby to rozsądne.

- Nie powinnam przyjmować zaproszenia - powiedziała, lekko potrząsając głową. - Zostawiłam w domu Paulę. Jeśli długo nie będę wracać, gotowa pomyśleć, że coś mi się stało.

- Ma prawo się denerwować. Odwieź ją do domu, Bannon - rozkazał synowi jak przed laty.

Kit zaprotestowała.

- Nie trzeba. Ja...

- Poddaj się, Kit - rzekł ledwie widoczny w ciemności Bannon. - Nie przekonasz nas. Poczekaj tylko

chwilę, aż złapię gniadosza.

- No dobrze. - Patrzyła, jak zbiega po stopniach i szerokim krokiem kieruje się w stronę korralu.

- Możesz iść mu pomóc - zaproponował Stary Tom. - Zawsze to robiłaś.

- Pamiętam. - Lecz bardzo powoli podeszła do niego, prowadząc kasztana. Gdy doszła do stajni, Bannon mocował już siodło na czarnogrzywym gniadoszu.

- Gotowa? - zapytał.

- Gotowa - przytaknęła Kit.

Dosiedli koni i krótkim galopem przemierzali podwórze, wyjeżdżając na drogę prowadzącą z rancza na letnie pastwiska. Jadąc obok siebie w milczeniu przecięli ciemnożółte łąki oświetlone bladym światłem księżyca.

Na końcu łąki odnaleźli wspinającą się na zbocze wąską ścieżkę. Brzęk podków o skały i grzechot strącanych kamieni zakłóciły nocną ciszę. Po kilku minutach wjechali w cichy sosnowy las tłumiący każdy szmer.

Za sosnami ścieżka skręcała, ostro wznosząc się w skalisty teren. Oba konie zmęczone już były wspinaczką. Kasztan poślizgnął się, lecz po chwili udało mu się znaleźć solidne oparcie. Bannon odwrócił się w siodle.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Odpocznemy, gdy ścieżka się rozszerzy.

- Dobrze.

Przebyli kolejne sto metrów i wyjechali na płaski teren. Bannon zatrzymał gniadosza i zeskoczył na ziemię, przytrzymując lejce, gdy Kit zsiadała z konia.

- Zapomniałam, jak stroma jest ta ścieżka w drodze powrotnej.

Powiesiła strzemiona na łuku siodła rozluźniając popręg. Patrzyła, jak Bannon uważnie obmacuje przednie nogi kasztana.

- To trudna wspinaczka dla konia w każdym wieku. - Wyprostował się i poklepał zwierzę po karku. - Ale wszystko jest w porządku, prawda, Dance?

Bannon odszedł od koni. Kit podążyła za nim.

- Cieszę się, że już niedaleko.

Zatrzymali się na szczycie wzniesienia. Po drugiej stronie widać było Silverwood.

- Tak, już niedaleko - potwierdził, spoglądając w kierunku zbocza, które przed chwilą przemierzali.

Jego sylwetka odcinała się ciemnym konturem od granatowego tła nieba; rondo kapelusza zasłaniało większą część twarzy. Pomyślała, że oboje są nierozzerwalnie związani z tą krainą.

Odwrócił się, szukając jej wzrokiem. Blask księżyca oświetlał jego ogorzałą twarz pociętą biegnącymi promieniami od oczu drobnymi zmarszczkami, których przyczyną było słońce nie przyćmione miejskim smogiem. Uśmiechnął się.

- Tak to powinno między nami wyglądać, Kit. Jazda konna. Trochę przyjemności. Żeby było co potem wspominać, kiedy odjedziesz.

- Tak - zgodziła się słabym głosem, a po chwili, już z większym przekonaniem, dodała: - Masz rację. Spojrzał na konia.

- My też możemy odpocząć. - Podeszedł do sękatego drzewa i usiadł opierając się o nie plecami. Klepnął miejsce obok siebie. - Usiądź.

Kit kopnęła leżący na drodze odprysk skały i usiadła obok Bannona na podwiniętych nogach. Dłonią w rękawicze przesunęła po ziemi, nabierając garść piasku i powoli przesiewając go przez palce.

- Żadnych wyjaśnień. Żadnych usprawiedliwień. Zawsze taki byłeś - powiedziała.

- A co jeszcze mógłbym tłumaczyć?

- Chyba rzeczywiście niewiele. Ale myślę, że czasem ludziom trudno jest cię zrozumieć.

- Nie miałaś nigdy kłopotów z rozszyfrowaniem mnie - zauważył Bannon.

- Bo mam do tego specjalne uzdolnienia. Znam cię na wylot - stwierdziła, śmiejąc się cicho. Czują, że między nimi wytwarza się specyficzna atmosfera zawsze towarzysząca ich spotkaniom.

Położyła się na ziemi podkładając ręce pod głowę i wpatrzyła się w wygwieżdżone niebo.

- Nic się nie zmieniło, Bannon. Ani góry, ani światło księżyca. Ani nasze pragnienia.

- Masz jakieś? - spytał z zaciekawieniem.

Spojrzała na niego. Był tak blisko, że widziała błysk jego roześmianych oczu.

- Bannon - skarciła go żartobliwie. - Nigdy nie pytaj kobiety o wiek i nigdy nie pytaj, czego chce.

Uśmiechnął się szeroko, patrząc w niebo.

- A ja wiem, czego chcę. Marzy mi się kawałek szarlotki z waniliowym lukrem na wierzchu.

Usiadła, rozbawiona.

- Pamiętasz, jak kiedyś wieczorem pojechaliśmy do Basalt i złapał nas deszcz? Zatrzymaliśmy się w barze; jedliśmy pizzę i graliśmy w pokera, dopóki właściciel nie zamknął lokalu i nas nie wyrzucił. Boże, jak wtedy było ciemno w górach.

- Co się stało z tą niebieską sukienką?

- Pamiętasz ją? - spytała cicho, obejmując ramionami jego kolana i opierając o nie podbródek. - Leży gdzieś zapakowana z ubraniami, z których wyrosłam, schowana, żeby zapomnieć... ale nigdy nie zapomniałam o niej całkiem. - Chciałbyś, żeby wróciły te czasy, Bannon?

Podniósł kamyk i zaczął obracać go w rękach.

- Nie. Chyba jednak nie - odpowiedział.

Kit zastanawiała się przez chwilę, po czym westchnęła głęboko.

- Ja też bym nie chciała. Robilibyśmy te same błędy. Nic by się nie zmieniło.

Na widok jego twarzy powstrzymała smutny uśmiech. W tej twarzy nie dostrzegła smutku czy żalu, a oczy błyszczały mu tak jak dawniej, gdy na nią patrzył.

Nagle dotarło do niej, że wspominają te same momenty. Wróciło poczucie bliskości, pamięć o dawnym szalonym uczuciu. Zdziwiła się, jak wielkie wrażenie wciąż robi na niej sama jego obecność.

Ożyła przeszłość i Bannon ujrzał Kit taką jak przed laty - jako impertynencką i zuchwałą dziewczynkę, która odpychała go, lecz jej oczy mówiły co innego. Zobaczył piegi rozsiane wokół nosa, łagodną linię brwi, gładką skórę opaloną na złocisty kolor... i własne odbicie w jej oczach.

Poderwała się gwałtownie i odsunęła od niego o krok, po czym odwróciła się unosząc lekko brodę. Nagły przypływ dawnej namiętności zmienił rysy jej twarzy; splotła ręce na plecach, tak jak robiła to zawsze, kiedy się czegoś bała. Dobrze to pamiętała.

- Myślę, że czas już jechać, Bannon - powiedziała drżącym głosem.

- Dobrze. - Wstał również i zabrał się za mocowanie koniom popręgów.

Trzymał lejce, gdy Kit wsiadała na kasztana. Znalazłszy się na grzbiecie gniadosza, skierował go ścieżką biegnącą wzdłuż zbrocza. Kit jechała za nim. Wydostali się wkrótce z gęstwiny osik.

Pałająca się na werandzie lampa oświetlała schody.

- Ktoś zostawił dla ciebie światło - zauważył Bannon.

- To Paula - uśmiechnęła się Kit. - Prosiłam ją o to.

Minęli dom kierując się prosto do korralu. Nie sprzeciwiła się, gdy Bannon zaczął rozkulbaczać wałacha. Nie miała ochoty łamać starych przyzwyczajzeń. Westchnęła. Odpięła koniowi uzdę, a w tym czasie Bannon uwolnił go od siodła.

Podawała Bannonowi uzdę i zaczęła, aż odniesie wszystko do stajni. Pogładziła pysk gniadosza i spojrzała na rozgwieżdżone niebo. Obserwowała spadającą gwiazdkę, usłyszała kroki wracającego Bannona.

- Piękna noc - powiedział. - Słyszysz kojota? - Wsluchali się w dobiegające z oddali wycie. Przystanął obok niej.

- Czuje już zimę. Ja zresztą też. - Obdarzył ją krótkim uśmiechem i chwytając wodze gniadosza skierował się w stronę zabudowań. Kit szła obok. - Oczywiście dla niego zima znaczy co innego niż dla mnie.

- Dla ranczera w górach zima oznacza przerzucanie zleżalego siana, rąbanie lodu, przemarznięte stopy i zdrętwiałe nogi - wyliczała Kit. - Cztery pory roku ranczera to: pora przed sianokosami, sianokosy, po sianokosach i zima.

- Dokładnie tak. - Doszli do domu i Bannon zatrzymał się. Przez chwilę bawił się wodzami, błędząc wzrokiem po jej twarzy. - Będę jechał. - Umieścił stopę w strzemieniu.

Kit patrzyła, jak wsiada na konia, świadoma niezręcznego napięcia, jakie pojawiło się między nimi.

- Powiedz Staremu Tomowi, że i tym razem bezpiecznie dotarłam do domu.

- Dobrze. - Dotknął palcem runda kapelusza w pożegnalnym geście i spiął gniadosza ostrogą.

Kit stała jeszcze przez dłuższą chwilę, odprowadzając go wzrokiem, aż wjechał między drzewa, a potem odwróciła się i poszła do domu.

Paula leżała na kanapie oparta na miękkich poduszkach i czytała książkę. Zdziwiła się widząc Kit.

- Wróciłaś? Myślałam, że wyjechałaś jeszcze raz.

- To był Bannon. - Kit zgasila światło na werandzie i zaczęła ściągać rękawiczki. Paula rzuciła jej jedno ze swoich wszystkowiedzących filuternych spojrzeń.

- Aha - powiedziała, starając się zawrzeć w tym słowie jak najwięcej znaczeń.

- Co „aha”? - spytała lekko Kit, chowając rękawiczki do kieszeni kurtki i przechodząc do salonu. - Co to twoje „aha” ma znaczyć?

- To proste. - Paula zamknęła książkę i usiadła, opuszczając nogi na ziemię. - Widziałam, jak patrzyliście na siebie w tańcu. Nigdy nie uwierzę, że Bannon był tylko twoim sąsiadem i przyjacielem.

- Nie tylko - przyznała szczerze Kit. - Zawsze sądziłam, że pobierzemy się, gdy on skończy studia prawnicze, a ja aktorskie. Nie byliśmy, co prawda, zaręczeni - dodała po chwili. - Ale wydawało się oczywiste, że się pobierzemy. Przynajmniej ja tak myślałam.

- A potem się rozeszliście - próbowała zgadnąć Paula.

- Niezupełnie. - Kit, w kurtce rozpiętej do połowy, usiadła na podnóżku przy fotelu ojca i zaczęła bawić się frędzlami na rękawie. Od lat nie rozmawiała z nikim o Bannonie. Nagle poczuła potrzebę mówienia o nim, o ich związku. - Gdybyśmy zerwali ze sobą, może łatwiej byłoby mi znieść to, że ożenił się z inną.

- Mówisz, że ożenił się, a ty o tym nie wiedziałaś? - zdziwiła się Paula. - Poznał ją na studiach?

Kit potrząsnęła głową.

- Nie. Spotkał Dianę w Aspen, na festynie zimowym. Nie było mnie wtedy tutaj. Pojechałam do Kalifornii, spędzić ferie z matką. Trochę pokłóciliśmy się o to. Bannon chciał, żebym przyjechała do domu choć na parę dni w czasie ferii, ale od pięciu lat nie spędzałam świąt Bożego Narodzenia z matką, a nie miało sensu wyjeżdżać stamtąd tylko na kilka dni. Zresztą to nie była poważna kłótnia. Bannon nie gniewał się na mnie. Ani ja na niego. Takie nieporozumienie. - Westchnęła głęboko. - Potem dostałam od niego kilka krótkich, niewiele mówiących listów. Wiedziałam jednak, że ma dużo zajęć na uczelni, a oprócz tego pracuje. W końcu, pierwszego marca, napisał do mnie ojciec, powiadając o małżeństwie Bannona.

- Musiał się żenić? Była w ciąży?

- Nie. Córka urodziła się po dziesięciu miesiącach od ślubu. A przecież jego dziecko mogłoby być moim dzieckiem. To też sprawiło mi wielki ból. - Uśmiechnęła się smutno, z żalem. - Gdybym wtedy spotkała kogokolwiek, kogo choć trochę mogłabym polubić, wyszłabym za niego natychmiast, żeby zranić Bannona, tak jak on zranił mnie. Tak okropnie się wtedy czułam. - Spojrzała wymownie na Paulę. - Bannon wie, jaki ból mi zadał. Widzę to w jego oczach.

- Przypuszczam, że wie - powiedziała cicho Paula.

Kit podniosła się w nagłym przypływie dziwnego niepokoju, zmieszania i melancholii. Stała przed kominkiem, wsuwając dłonie do kieszeni kurtki i mocno ściskając palcami rękawiczki.

- To zabawne - stwierdziła, przypatrując się poczerńiałemu palenisku. - Zawsze chciałam wyjść za Bannona, mieć z nim dzieci, występować w miejscowym teatrze, a potem, gdy dzieci już pójdą do szkoły, prowadzić zajęcia z przyszłymi aktorami. - Nigdy nie myślałam o karierze aktorskiej czy o Hollywood. No i popatrz.

Paula skinęła głową.

- Życie przybiera czasem nieoczekiwany obrót.

- Masz rację - rzekła Kit starając się zwalczyć smutny nastrój. - Tak czy owak, z Bannonem to już przeszłość. Udało mi się dojść do siebie.

- Kit, czyżbyś nie wiedziała, co to jest pierwsza miłość? - lekko zbeształa ją Paula. - Można z niej wyrosnąć, ale nigdy się jej nie zapomina.

Kit nie odezwała się. Paula miała rację.

Jadący na gniadoszu Bannon minął sosnowy las należący do rancza Silverwood. Doskonale wiedział, w którym momencie zaczynają się tereny rancza Stone Creek, chociaż granicy nie wyznaczał żaden płot. Znał każdą piędź tej ziemi. Tu się urodził i wychował. Nawet gdy stąd wyjeżdżał, zachowywał w sercu obraz rodzinnych stron.

Zjechał na drugą stronę zbocza. Kiedy ścieżka rozszerzyła się przed występami skalnymi, zatrzymał na chwilę konia i przyjrzał się miejscu, w którym niedawno rozmawiał z Kit, drzewu, pod którym ożyły dawne uczucia, dawna namiętność.

Spiął konia ostrogami i skierował go na skalistą ścieżkę, wspominając czasy, kiedy oboje z Kit - byli młodzi, beztroscy i całkowicie zajęci sobą. Jednakże wystarczyły dwa miesiące, by poślubił Dianę i

odmienił swoje życie.

Teraz, po dziesięciu latach, wspominając te wydarzenia nie potrafił powiedzieć, co działo się wtedy w jego umyśle i sercu. Nie wiedział, dlaczego podjął tak nagłą decyzję. Może wpływ na nią miała kłótnia z Kit, a może bajeczna świetlista parada i pokaz ogni sztucznych w czasie festynu zimowego, a może wyraz oczu i smak ust Diany.

Czasem trudno jest wytłumaczyć powody własnego postępowania. Tamtej nocy zostawił za sobą młodość, zostawił Kit. Odrzucił uczucia, którymi ją darzył. Nigdy o tym z nią potem nie rozmawiał, a ona nigdy nie pozwoliła sobie na okazanie mu, jak bardzo musiało ją to zboleć.

Te wspomnienia nieuchronnie wywoływały poczucie ogromnego żalu z powodu życiowej porażki. Diana powiedziała mu wyraźnie, że ich małżeństwo było jednym wielkim błędem. Nawet jeśli teraz przyznawał jej rację, wciąż żałował, że nie starał się poznać i zrozumieć jej lepiej. Być może wtedy nie byłaby tak nieszczęśliwa. W chwili samotności i głębokiej tęsknoty czuł na sobie jej pogardliwe spojrzenie, które mówiło, że on ponosi winę za wszystko.

Rozdział czternasty

John Travis popijał Pinot Noir, które polecił mu kelner w klubie „Caribou” i patrzył na siedzącą naprzeciw niego Kit ubraną w obcisłą sukienkę podkreślającą krągłe piersi. Ciemnozielony kolor jedwabiu efektownie kontrastował z jasnymi włosami i niebieską barwą oczu. John opuścił kieliszek i obserwował, jak Kit sięga po porcję pieczonego kurczaka z czosnkiem, jedząc go wolno i z widoczną przyjemnością.

- Przepyszny - powiedziała.

- Ile razy patrzę, jak jesz, zaczynam zazdrościć, że to nie ja leżę na talerzu. - Postawił kieliszek na stole, sięgając po widelec i nóż.

- O co ci chodzi? - spytała patrząc na niego rozbawionym wzrokiem.

- Po prostu rozkoszujesz się tym, co jesz. Czy będziesz też rozkoszować się mną?

Uniosła kieliszek.

- To zależy od tego, czy będziesz mi smakował.

- Czemu nie spróbujesz? - prowokował.

- Mogę to zrobić. - W jej uśmiechu kryła się obietnica.

Patrząc na nią poczuł nagłą ochotę znalezienia się z nią sam na sam, lecz w najbliższym czasie nie miał na to szans.

- Trzymam cię za słowo - westchnął wymownie.

- Spodziewałam się, że to powiesz. - Musiała przyznać, że lubiła przekomarzać się w ten sposób z Johnem. Ich niewinne wymiany zdań działały na nią bardzo podniecająco.

- Naprawdę? - spytał, krojąc soczysty stek.

- Naprawdę. - Wypiła wino i rozejrzała się po wykładanej mahoniową boazerią sali. - Podoba mi się tutaj.

- Cieszę się - powiedział i krytycznie przyjrzał się sali jadalnej ekskluzywnego klubu, w którym gromadziła się elita najbogatszych i najślawniejszych. Gdy John stał się członkiem klubu, zorientował się, że stali bywalcy „Spago” czy „Le Cirque” bez trudu rozpoznają większość ludzi na sali. - Klub „Caribou” jest w Aspen odpowiednikiem londyńskiego „Annabel” czy paryskiego „Castel”. Można tu spokojnie zjeść kolację z dala od ciekawskich tłumów.

- Masz chyba na myśli fotografów i fanów, którzy bez przerwy podsuwają serwetki i puste czeki bankowe, zebrząc o podpis - poprawiła go, przypominając sobie ich wizyty w restauracjach w Los Angeles.

- Tak, idź.

- Masz rację. Tutaj nie czuję się jak eksponat na wystawie. - Nie znosiła takich sytuacji, ale nie chciała teraz o tym rozmawiać. - A swoją drogą bardzo pięknie urządzono to wnętrze. Pamiętam, jak był tu sklep z artykułami żelaznymi.

- Naprawdę? - spytał znudzonym głosem.

- Nie wydajesz się być tym specjalnie zainteresowany - zaśmiała się Kit.

- Mam reagować entuzjastycznie?

- Nie musisz. Powiedz mi lepiej, co robiłeś w ciągu ostatnich dwóch dni. Jak idzie Chipowi wprowadzanie zmian w scenariuszu?

John skrzywił twarz w grymasie.

- Zachowuje się koszmarnie. Spytaj mnie lepiej, jakie miejsca wybraliśmy do zdjęć plenerowych.

- Dobrze. Jakie miejsca wybraliście do zdjęć plenerowych? - powtórzyła posłusznie, krojąc pachnącego czosnkiem kurczaka.

- Oczywiście deptak w centrum, kolejkę gondolową na Silver Queen, gmach opery. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Abe zajmuje się teraz ostatecznym ustalaniem terminów i zdobywaniem pozwoleń na kręcenie. Natomiast jeśli chodzi o dom twojego filmowego męża, to Chipowi nie podobał się żaden z tych, które wybrali Abe i Nolan. Obeszliśmy chyba wszystkie domy w West End, zanim wreszcie znalazł taki, który mu odpowiadał. To wielkie stare gmaszysko z wieżyczkami, palladiańskimi oknami i taką ilością tandetnych ozdób, że zadowoliło to nawet Chipa. Właściciel pokazał nam wnętrza. W każdym pomieszczeniu, do którego wchodziliśmy, Chip krzyczał: „O to mi chodziło!” Był tak podniecony, że właściciel pewnie myślał, że dał sobie w żyłę.

- No nie, na pewno nie. To niepodobne do Chipa - z przekonaniem broniła go Kit.

- Tak czy owak, właściciel pozwoli nam kręcić u siebie film - za pewną opłatą. Oczywiście bardzo wysoką. Chce też dostać sporą kaucję, która pokryłaby koszty ewentualnych szkód.

- Pewnie słyszał o tym, co wyprawiają ekipy filmowe i reżyserzy tacy jak Chip, którzy skłonni są rozwalać ściany, byleby mieć ujęcie, o jakie im chodzi.

- To możliwe - stwierdził John i wypił kolejny łyk wina. - Pamiętasz scenę w górskiej chacie pomiędzy Eden i McCordem?

- Tam, gdzie okazuje się, że McCord został wynajęty przez rodzinę zmarłego męża, żeby udowodnić, iż to Eden go zabiła? Pamiętam. Znaleźliście odpowiednią chatę?

- Tak. Wypatrzyliśmy ją dziś po południu z helikoptera. Dookoła same góry. Żadnych przewodów wysokiego napięcia. Żadnych budynków, które psułyby ujęcie. W pobliżu jest droga, którą zwożono drzewo z lasu. Abe sądzi, że będziemy mogli nią wnieść kufry i sprzęt. Jutro sprawdzi, czy jest to możliwe.

- Gdzie to jest? - Nałożyła na talerz porcję cebulki w karmelu.

- Niedaleko Maroon Bells. To schronisko dla narciarzy przy jednej z tras biegowych.

- Chyba wiem, o której chacie mówisz. Stoi na rozległej łące w pobliżu kępy drzew, a niedaleko płynie strumień z małym wodospadem. To ta?

- Możliwe.

- Jeśli to ta, to masz rację - będzie świetna. Niedługo zobaczysz, jak wspaniale wygląda, gdy jest pokryta śniegiem. - Chciała sięgnąć po kolejny kawałek kurczaka, lecz nagle zatrzymała rękę z widelcem. - Poczekaj. A co ze sceną we wnętrzu? Pomieszczenie jest przecież za małe. Kiedy ustawi się tam kamery, światła, mikrofony, będziemy musieli chyba stanąć w kącie. Wiem, że Chip ma bzika na punkcie kręcenia filmu w autentycznej scenerii, ale może w tym przypadku powinien znaleźć jakieś inne miejsce?

- Mówi, że uda mu się nakręcić scenę przez okno, a światła zawiesi się u góry.

Gdy John zaczął dokładnie wyjaśniać, jak Chip ma zamiar nakręcić scenę mając do dyspozycji tak niewielką przestrzeń. Kit przypomniała się znajoma atmosfera na planie filmowym. Wyobraziła sobie, jak wśród bałaganu i zgiełku powstaje ta scena, widziała kilometry kabli płączące się na śniegu, kamerę przy oknie, operatora, który cofa się o krok, by Chip mógł sprawdzić, co ona obejmuje, wózków zajmujących się sprzętem do poruszania kamery, mistrzów oświetlenia i ich pomocników ostatni raz sprawdzających sprzęt, błysk czterokilowatowych lamp u powały, mikrofon przywiązany do wysięgnika znajdującego się tuż poza kadrem, charakterystyki czekające w pogotowiu z pudrem i błyszczkiem, fryzjerkę ze szczotką i lakierem. Słyszała asystenta reżysera proszącego o ciszę na planie, klaps, i Chipa mówiącego: „Akcja”.

Wspomniała charakterystyczne zamieszanie towarzyszące powstawaniu filmu, żargon filmowców, pełne napięcia momenty kręcenia ujęć, wybuchy temperamentu, intrygi i miłości poza planem, zapach gorzkiej czarnej kawy i smak wyschniętego ciasta, długie przerwy między ujęciami, podniecenie i znudzenie, prozaiczne sprawy organizacyjne i techniczne obok przeblysków twórczego geniuszu i prawdziwego talentu. Lubiła tę atmosferę.

Nie pracowała na planie już od wielu tygodni. Słuchając Johna, zdała sobie sprawę, jak bardzo jej tego brakuje.

Po posiłku przeszli do Wielkiej Sali klubowej o kasetonowym suficie i obitych oliwkowym adamaszkim ścianach, na których zawieszono obrazy Bierstadta, Remingtona i Nesbita. John objął ramieniem Kit i poprowadził ją wśród miękkich i mocno wypchanych kanap i foteli przykrytych

narzutami w indiańskie wzory.

Odpowiadał na pozdrowienia znajomych skinieniem głowy lub uniesieniem ręki, nie zatrzymując się, dopóki nie doszli do stojącej w zacisznym kącie sali kanapy.

- Pijesz kawę czy koniak, a może i kawę, i koniak? - spytał.

Zauważyła kelnera w czarnym fraku czekającego na przyjęcie zamówienia. - Tylko koniak.

- Dla mnie to samo - poprosił John, po czym usiadł i wyciągnął papierosa.

Kit pochyliła się w jego stronę. Obserwowała, jak zapala papierosa, podziwiała szlachetne rysy jego twarzy, która tak wspaniale prezentowała się na ekranie. Miękkie światło rzucane przez lampę o podstawie z jeleniego rogu nadawało jego włosom ciemnozieloną barwę.

- Tak się cieszę, że zgodziłam się tu przyjść z tobą - powiedziała.

Szybko wydmuchnęła smużkę dymu.

- I to ma być komplement? Rozumiem, że brałaś też pod uwagę to, że możesz tego żałować.

- Johnie, jeśli tak to zabrzmiało, to wierz mi, że zupełnie niechcący. Nie miałam wątpliwości, że ten wieczór będzie miły, nie zdawałam sobie jednak sprawy, jak bardzo zależy mi na pracy na planie. W ciągu ostatnich dni, kiedy siedziałam na ranczu, przeglądałam rzeczy ojca i cały czas myśląc o przeszłości, sama już nie wiedziałam, kim jestem i czego naprawdę pragnę. - Wzięła kieliszek koniaku z tacy przyniesionej przez kelnera. - A ty teraz mi to uświadomiłeś.

Unosząc kieliszek John powiedział:

- Teraz jesteś aktorką, która staje się gwiazdą.

- Raczej: z której robi się gwiazdę - poprawiła go Kit, uśmiechając się lekko. - Aż trudno mi w to wszystko uwierzyć, szczególnie kiedy przypomnę sobie, że idąc do szkoły aktorskiej chciałam po prostu robić to, co lubię.

- Po co się oszukujesz?! - zdziwił się John. - Jesteś taka sama jak my wszyscy. Któż z nas nie pragnie sławy?

Wcale jej nie pragnęła. Chciała mu to wyjaśnić, ale zorientowała się, że jej nie uwierzy. Powiedziała więc tylko:

- Może jednak nie jestem taka sama.

Trudno jej było przypomnieć sobie aktora, który by nie marzył o roli przynoszącej sławę. Tymczasem ona chciała po prostu podejmować kolejne wyzwania, które pozwoliłyby jej poznać całe bogactwo ludzkich uczuć i emocji. Prawdę mówiąc, cieszyła się z tego, że nie odczuwa tak ogromnej potrzeby sukcesu jak inni. Pytanie Johna wprawiło ją w rozterkę. Czyżby brakowało jej ambicji zawodowych? A może coś z nią było nie tak?

To prawda, że bardzo zależało jej na roli Eden. Ale tylko dlatego, że Eden miała tak złożoną osobowość, była inna niż odtwarzane przez nią do tej pory postacie. Nie pragnęła tej roli dla sławy i popularności.

Nie wiedziała jednak, jak wytłumaczyć to wszystko Johnowi.

- Za pierwszy film nowej gwiazdy Hollywood - wznosił toast John.

- Za *Białe kłamstwa* - odpowiedziała Kit, a ich kieliszki zetknęły się z cichym brzękiem.

Zaledwie zdążyła wypić łyk koniaku, usłyszała radosny okrzyk:

- Kit! Nie zauważyłam cię wcześniej!

Dostrzegła zmierzającą w ich kierunku Angie. John podniósł się z kanapy, lecz Angie gestem ręki dała mu znak, żeby nie wstawał, przysiadając na brzegu stolika.

- Nie będę nawet pytać, co tu robicie sami we dwójkę.

Obdarzyła ich domyślnym spojrzeniem. Kit uśmiechnęła się nieco wymuszenie.

- Angie, co za niespodzianka. - Tym razem jednak nieszczególnie przyjemna, dodała w myśli.

- Przyszliśmy tu napić się i porozmawiać. - Angie wskazała ręką grupę osób przy stoliku. - Poprosiłabym, żebyście dołączyli do nas, ale...

- Może innym razem - wtrącił John.

Mrugnęła do Kit porozumiewawczo.

- Wiedziałałam, że tak powie. Jesteś dzieckiem szczęścia, Kit. - Poklepała ją po kolanie.

Kit czuła, jak zaciskają się jej szczęki, ale zmusiła się do uśmiechu i uprzejmego skinienia głową.

- No, to nie będę wam już przeszkadzać. Wiem, że chcecie być sami, żeby porozmawiać... i nie tylko - powiedziała ze znaczącym uśmiechem. - Przyszłam, aby ci przypomnieć, że mamy się umówić na lunch. Zadzwońisz do mnie?

- Oczywiście - odparła Kit. Lecz wątpiła, czy to zrobi. Nie miała ochoty na dłuższą rozmowę z

Angie, w czasie której będzie musiała opowiadać o swoim „gorącym romansie” z Johnem Travisem i słuchać potoku wymowy i poniżających aluzji przyjaciółki z lat szkolnych.

Nie mogła zapomnieć rozmowy podsłuchanej w toalecie. Angie sugerowała wtedy swojej rozmówczyni, że Kit dostała rolę dzięki temu, iż sypia z Johnem. Bardzo zabolęły ją te słowa, a najbardziej przekonanie Angie, że Kit mogła się zmienić pod wpływem Hollywood.

Odprowadzała Angie wzrokiem, czując jakby dawna przyjaciółka odeszła naprawdę. Nie istniała już ta Angie, którą zachowała w pamięci, a nowa Angie była Kit zupełnie obca.

- Założę się, że będzie chciała spotkać się z tobą „U Gordona” - ironicznie zaśmiał się John.

- Dlaczego tam?

- Bo tam chodzą na lunch wszystkie eleganckie kobiety - odparł, popijając koniak. Zgasił papierosa.

- Zatańczmy - zaproponował. Podał jej rękę i pociągnął za sobą. - Na parkiecie jest ciemniej. Trudniej będzie nas obserwować.

- A więc ty też masz wrażenie, że wszyscy na nas patrzą - westchnęła.

- Jak najbardziej - powiedział cichym, niskim głosem, obdarzając ją jednym ze swych uwodzicielskich uśmiechów. - No to co, damy ciekawskim pożywkę dla plotek?

- Och, Johnie, wiem, że coś knujesz, kiedy tak na mnie patrzysz. - Kit cofnęła się o krok, przyglądając mu się uważnie.

Otoczył ją ramieniem w pasie, mocno przycisnął do siebie, i robiąc szybki obrót, pociągnął na parkiet. Zaniósł ją śmiechem, gdy przechylił ją mocno do tyłu, tak że musiała chwycić się kurczowo jego ramienia.

Przytrzymał ją w tej pozycji. Próbowwała protestować.

- Przestań, John!

- Pocałuj mnie, lisico - zamruczał z teatralnym grymasem.

- Jeśli to ma być w stylu Errola Flynna... - Nie udało jej się dokończyć zdania, gdyż jego usta mocno przywarły do jej warg w pełnym ostentacyjnej namiętności pocałunku.

Nie przestając całować postawił ją na ziemię, a odrywając usta musnął ją nimi bardzo delikatnie i czule.

- Jak sądzisz, co pomyślał? - zapytał, kołysząc się w rytm muzyki Cole'a Portera.

- Że jesteś szalony.

- Nie ma się czemu dziwić - rzekł. - Oszalałem na twoim punkcie.

Przetańczyli kilka kawałków nie przestając się obejmować, nawet przy szybkich tańcach.

Słyszając wolną, romantyczną muzykę, John zwolnił. Kołysali się teraz w miejscu.

- Pewnie zabrano już nasz koniak.

- Chyba tak. - Zamknęła oczy, gdy zaczął badać wargami gładkość jej policzka.

- Możemy podejść do baru i zamówić drugi.

- Możemy. - Gładziła go po włosach.

- Będą na nas źli, że zarekwirowaliśmy parkiet dla siebie.

- To mnie nie obchodzi.

- Mnie też nie. - Odgarnął włosy z jej twarzy. Spostrzegła poważny wyraz jego oczu. - Sądzę, że powinniśmy porozmawiać. Coraz trudniej jest mi poprzestać na trzymaniu cię w ramionach.

- Więc o czym chcesz rozmawiać?

- Powiedz, co robiłaś w ciągu ostatnich dwóch dni - zaproponował.

- Przeglądałam rzeczy ojca. Myślałam... Wspominałam. Podejmowałam decyzje - ważne i mniej ważne.

- Powiedz, jakie ważne decyzje podjęłaś - zażartował.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Mam zamiar sprzedać rancho. - Mówiąc to, zdała sobie sprawę, jak bardzo boli ją myśl o rozstaniu z ranczem. Silverwood było tym jedynym miejscem na świecie, do którego w każdej chwili mogła wrócić. Tam stał jej rodzinny dom. Lecz musiała myśleć o matce, a sentyment wydawał się luksusem, na który nie było jej stać. Przechyliła lekko głowę, weselszym już głosem pytając: - Możesz mi polecić jakąś dobrą agencję pośrednictwa handlu nieruchomościami?

- Wiem tylko o jednej, która ma odpowiednie powiązania. Hudson Properties. Jej właścicielką jest Sondra Hudson. Może ją znasz.

Sondra, szwagierka Bannona.

- Tak, znam. - Położyła Johnowi ręce na ramionach, posmutniawszy nagle. - Chodźmy się czegoś

napić.

Uściskał ją mocniej i uśmiechnął się.

- Może to rzeczywiście dobry pomysł.

Złożył szybki pocałunek na jej wargach i otoczył ramieniem szyję. Zeszli z parkietu. Przy barze zgromadziło się sporo ludzi. Stali w grupkach i rozmawiali. Niektórzy z nich ubrani byli w swetry i dzinsy, inni mieli na sobie elegantsze stroje. Gdy Kit i John zbliżyli się do baru, zza czyichś pleców wyłoniła się wysoka, szczupła kobieta o platynowoblonde włosach.

- O wilku mowa - szepnął John, a głośniej powiedział: - Witaj, Sondro.

Kobieta odwróciła się, rozpoznając Johna i posyłając mu wystudiowany, uprzejmy uśmiech, który Kit widziała u niej już wiele razy.

- Cześć, John. Przyszedłeś tu, żeby nie oblegali cię fani?

- Po prostu zjedliśmy tu z Kit kolację.

Kit wydawało się, że uśmiech Sondry natychmiast stał się chłodniejszy. Lecz może tylko szukała pretekstu, żeby usprawiedliwić swoją niechęć do tej kobiety.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Cześć, Sondro.

- Chyba znacie Warrena Oakesa z mojej agencji. A to Jess i April Barnes z Oklahomy. - Dystyngowanym gestem wskazała towarzyszące jej osoby.

Po wymianie powitalnych formułek i uścisków John zwrócił się do Sondry:

- Nie uwierzysz, ale właśnie rozmawialiśmy o tobie.

- Mam nadzieję, że wyrażaliście pochlebne opinie na mój temat - zaśmiała się, lecz Kit nie zauważyła wesołości w jej czujnych oczach.

- Sama zadecydujesz, czy pochlebne - odparł John. - Kit postanowiła sprzedać ranczo i poprosiła mnie o wskazanie godnego zaufania pośrednika.

- Sprzedajesz ranczo ojca? - zdziwiła się Sondra. - Bannon nigdy mi o tym nie wspominał.

- On nie wie o tym - powiedziała Kit.

Dowie się - pomyślała Sondra. - Dowie się szybko. I z pewnością nie spodoba mu się ten pomysł.

Powiedziała: - Oczywiście, wiem gdzie leży twoje ranczo, ale rada bym dowiedzieć się czegoś więcej.

- To wspaniałe miejsce - wtrącił John. - Leży w dolinie, a dookoła - góry, las, strumienie.

- Brzmi zachęcająco. Czy mogłabym przyjechać jutro, rozejrzeć się i poznać szczegóły?

Kit miała ochotę odmówić, lecz wiedziała, że była to tylko emocjonalna reakcja, nie oparta na rozumowych przesłankach. Sondra nie ponosiła przecież winy za to, że jej siostra wyszła za Bannona. Nie należało się również zastanawiać nad obecnym związkiem Sondry i Bannona. Już najwyższy czas przestać myśleć o tych prawach i nie pozwolić, by miały wpływ na podejmowanie decyzji. Liczyły się tylko kwalifikacje Sondry, a schodziła ona za osobę kompetentną, energiczną w działaniu i odnoszącą sukcesy.

Jednakże Kit jeszcze się wahała.

- Jutro rano przyjedzie dziennikarz z „People”. Nie wiem, jak długo potrwa wywiad.

- Popołudniowa pora będzie dla mnie najlepsza. Czy mogę przyjechać koło trzeciej?

Kit poczuła się schwytna w pułapkę i z gorzkim uśmiechem odpowiedziała:

- Tak, to będzie dobra godzina.

Ustaliwszy termin spotkania, Sondra zwróciła się w stronę Johna.

- Pod koniec miesiąca urządzam przyjęcie z okazji Halloween. Bal kostiumowy. Byłoby mi miło, gdybyście przyszli, o ile będziecie wtedy w Aspen.

- Zrobimy wszystko, żeby przyjść - obiecał. Spojrzał na Kit. - Jeśli nie byłaś na przyjęciu u Sondry, to w ogóle nie masz pojęcia, jak wygląda prawdziwe przyjęcie.

- Słyszałam o tych słynnych imprezach.

- Prześlę zaproszenie.

- Dziękujemy. - John zauważył, że zwolniły się miejsca przy barze. - Wybacz nam, ale mamy ochotę na drinka.

- Proszę, idźcie. Do zobaczenia jutro - rzekła zwracając się do Kit.

Kit skinęła głową i wraz z Johnem skierowała się w stronę baru.

Rozdział piętnasty

Dzień był zimny i ponury. Niebo zasnuło się ołowianymi chmurami, a ostry, porywisty wiatr gwałtownie kołysał drzewami, wzniecając deszcz opadających liści. Ten przygnębiający dzień ostrzegał, że kończy się już jesień, a nadchodzi zima, pogłębiając smutny nastrój Kit.

Zmieniła bieg i skierowała dżipa w dół, ku płytkiemu, spokojnie płynącemu potokowi, po czym zwolniła hamulec i pozwoliła samochodowi łagodnie zjechać ze zbocza. Miała co prawda ochotę szybko wjechać do wody, rozpryskując ją, lecz zrezygnowała z tego, wątpiąc, czy mogłoby to poprawić jej humor.

Gdy dżip zaczął wspinać się po przeciwnym zboczu, ponownie zmieniła biegi i spojrzała na swą pasażerkę. Lecz Sondra siedziała wpatrzona w boczną szybę, co pozwoliło Kit dostrzec jedynie tył jej głowy osłonięty chustką od Gucciego z motywami jeździeckimi, która miała chronić staranne uczesanie przed wiatrem.

Zza zakrętu wyłoniły się zabudowania rancza. Rekonesans, na którym zależało Sondrze, dobiegł końca. Przez większą część drogi Sondra zachowywała milczenie. Zapytała jedynie o granice rancza i gdzie znajduje się źródło strumienia.

Kit była zadowolona z panującej w dżipie ciszy. Odczuwała wielkie zmęczenie po długiej rozmowie z dziennikarzem z „People”. Jak już dawno zdążyła się zorientować, udzielanie wywiadów było ciężką pracą, a nie przyjemnością. Należało cały czas się kontrolować, zupełnie jak na planie. Wywiadom zawsze towarzyszyło napięcie, stres, zabieganie o to, by wypaść interesująco, jednocześnie zręcznie ominąć zbyt osobiste pytania i w żadnym wypadku nie pozwolić sobie na szczerłość.

W przeciwieństwie jednak do gry na planie zakończeniu wywiadu nie towarzyszyło uczucie satysfakcji, a jedynie ulga.

Przejażdżka po ranczu nie poprawiła jej nastroju. Zaciśnęła mocno dłonie na kierownicy, spoglądając na wznoszącą się za domem górę. Trudno byłoby określić, co teraz czuła. Winę? Żal? Poczucie utraty? A może wszystko razem?

Rozmowy na temat sprzedaży rancza były tylko przymiarkami, ale teraz nadszedł czas na podjęcie decyzji. Wizyta Sondry niewątpliwie ją przyspieszyła. Tłumaczyła sobie, że jest to najbardziej rozsądne rozwiązanie w obecnej sytuacji, wiedziała jednak, że wraz z domem rozstanie się jakby z częścią swojego życia.

Dżipem zatrzęśło na wyboistym pastwisku, gdy przejeżdżały przez otwartą bramę. Stąd prowadziła już równa droga do domu. Kit zatrzymała samochód obok mercedesa Sondry.

- To tyle, jeśli chodzi o tereny. - Wyłączyła silnik. - Możemy teraz wejść do domu...

- To nie będzie konieczne - rzekła Sondra, wychodząc z samochodu.

Kit nagle zeszywniała. Doskonale rozumiała, co oznaczają te słowa. Sondra przypuszczała, że ranczo kupi ktoś, kto zagospodaruje ten teren, burząc dom. Z wysiłkiem powstrzymała chęć protestu, wmawiając sobie, że chodzi przecież tylko o budynek - trochę drewna, kamieni i farby.

Wysiadając z dżipa poczuła mocne uderzenie wiatru. Wydał jej się jeszcze zimniejszy, bardziej przejmujący niż przed wyruszeniem na objazd terenu. Lecz może była to tylko sprawa jej złego nastroju.

Sondra stała przy przednim zderzaku dżipa. Z podniesionym kołnierzem czarnego kaszmirowego zakietu, dłonie w rękawiczkach trzymając w dużych kwadratowych kieszeniach, studiowała teren i możliwości jego zagospodarowania. Przyjrzała się laskowi osik, nie zwracając uwagi na ich drżące złote liście, po czym spojrzała na granie i przesunęła wzrokiem wzdłuż ich postrzępionych linii aż do miejsca, w którym stykały się one z najwyższą w tym paśmie górą. Popatrzyła na grzbiety z drugiej strony doliny i ponownie zainteresowała się terenem rancza.

Pionowa kreska przecięła jej gładkie czoło, gdy głęboko się nad czymś zamyśliła. Po chwili jednak już ze spokojem zaczęła spoglądać na otaczające dolinę góry, oczami wyobraźni widząc na nich trasy narciarskie, wyciągi krzeselkowe, a u ich podnóża - miejscowości z ekskluzywnymi pensjonatami, eleganckimi barami szybkiej obsługi i dzielnicą mieszkaniową z domami w szwajcarskim stylu; podobną do Aspen. Prawdziwe drugie Aspen.

- Może weszłybyśmy do domu? Zrobiłabym ci kawy - zaproponowała Kit, gdy minęło kilka minut, a Sondra nie ruszyła się z miejsca.

Odwrociła się gwałtownie, jak gdyby dopiero teraz przypomniała sobie o obecności Kit. Jedno spojrzenie wystarczyło Kit, by stwierdzić, że goszczący na jej twarzy wyraz triumfu oznacza, iż Sondra już wie, jak zabrać się do działania, jak wykorzystać teren. Kit знаła dobrze to poczucie

zwycięstwa. U niej pojawiło się wtedy, gdy długo pracowała nad jakąś sceną, szukała sposobu utożsamienia się z kreowaną przez siebie postacią, jak najpełniejszego wyrażenia jej myśli i uczuć, nagle intuicja podsuwała jej właściwy sposób interpretacji.

Nie potrafiła jednak opanować się w takich momentach, nie umiała powściągnąć uczuć tak jak Sondra. Kiedy coś jej się udawało, śmiała się, tańczyła.

Poczuła szacunek dla Sondry, odkrywając w niej zdecydowaną, inteligentną kobietę, która umiała dbać o interesy.

- Myślałaś już, za ile chcesz sprzedać ranczo? - zapytała Sondra, nie reagując na prośbę Kit, aby weszły do domu.

- Za jak najwyższą sumę. - Skoro już była zmuszona sprzedać ranczo, chciała uzyskać jak najwięcej.

- Więc proponuję wyznaczyć cenę dwunastu milionów. To pozwoli nam na ewentualne pertraktacje.

- Dobrze.

- Przypuszczam, że interesuje cię zapłata gotówką.

- Tak.

- W takim razie, o ile się zgodzisz, sporządzę pisemną umowę.

- Zgadza się. - Czuła się jak Judasz, tyle że zamiast trzydziestu srebrników otrzyma dwanaście milionów dolarów. Inflacja.

- Zajrzyj jutro do mojej agencji, przygotuję dokument do podpisu. - Sondra podała Kit wizytówkę. - Będzie mi też potrzebny opis posiadłości sporządzony przez prawnika. Przynieś go, jeśli znajdziesz. Jeśli nie, poproszę o niego Bannona.

- Przyniosę. Wiem, gdzie jest. - Kit obracała w palcach wizytówkę z napisem Hudson Properties, po czym włożyła ją do kieszeni żakietu.

- A więc do zobaczenia. - Sondra podeszła do samochodu i usiadła za kierownicą.

Kit odprowadziła wzrokiem odjeżdżającego mercedesa. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, zarzucając je na twarz. Czuła, że przygniata ją ołowiana szarość nieba. Odwróciła się i weszła do domu.

Dwaj jeźdźcy, z pomocą psów, zagonili stado w róg pastwiska. Czarne krowy stały teraz na pożółkłej jesiennej trawie, a nad nimi rozciągało się smutne szare niebo. Przez ostatnie sześć godzin odłączono ze stada słabe, ułomne i niepełnowartościowe sztuki, a także młode okazy przeznaczone na sprzedaż. Do zmierzchu pozostała jeszcze godzina, a selekcja bydła była już na ukończeniu.

Bannon powoli wjechał w stado na swoim gniadoszu. Mocno wcisnął na głowę kapelusz z szerokim rondem, chroniąc się przed zimnymi podmuchami wiatru. Fachowym, krytycznym wzrokiem przyglądał się rozstępującemu się przed wałachem bydłu. Widząc zdrowe cielę urodzone tej wiosny, idealnego kandydata na sprzedaż dla celów hodowlanych, łagodnie skierował konia w jego stronę. Zdezorientowane cielę bez oporu dało się wyprowadzić na zewnątrz stada;

W chwili gdy zauważyło, że zostało oddzielone od reszty, gwałtownie zawróciło. Bannon usadowił się mocniej w siodle, a szybki i zwinny gniadosz, doskonale wyczuwając intencje jeźdźca, błyskawicznie pognął z powrotem.

Ubiegli ich Hec Rawlins i Dusty Travers, którzy z obu stron zajęli drogę cielakowi i wepchnęli go za ogrodzenie, gdzie tłoczyło się już wiele zwierząt, przeznaczonych na sprzedaż. Bannon pojechał jeszcze raz przyjrzeć się bydłu w stadzie.

Jego obecność przy selekcji była dziś konieczna. Tylko od niego zależała decyzja, które zwierzęta mogą być sprzedane. Wykonywał tę pracę z przyjemnością, przynosiła mu satysfakcję, mimo iż wymagała dużego osiłku i długich godzin w siodle w zimny i wietrzny dzień.

Dokonawszy przeglądu bydła Bannon skinieniem głowy dał znak pozostałym jeźdźcom.

- To wystarczy.

Jeden z nich gwizdnął na psy, po czym wyjechał ze stada. Bannon pokłusował na gniadoszu do zagród. Zauważył ojca, który skulony, w kapeluszu mocno nasuniętym na czoło i z rękami w kieszeniach siedział na górnej poręczy ogrodzenia. Bannon podjechał do niego, zatrzymując się tuż przy płocie. Stary Tom wyglądał na zziębniętego i zmęczonego. Bannon wiedział jednak, iż bezcelowe byłoby sugerowanie ojcu, żeby wszedł do ciepłego domu. Był zbyt uparty, by przyznać, że nie ma już dawnej wytrzymałości i nie powinien spędzać wielu godzin na powietrzu przy silnym wietrze.

- Hec - przywołał Bannon poganiacza. Teksańczyk podjechał do ogrodzenia. - Mamy około

dwunastu młodych krów, które są trochę za chude. Odłącz je, a potem odłącz stare sztuki. Podkarmimy je przez parę tygodni. Całą resztę zagoń do zagród.

Wysoki i chudy jeździec skinął głową na znak, że zrozumiał polecenie, i zawrócił konia w kierunku krów wybranych na sprzedaż.

- Jutro rano przyjadą po nie ciężarówka - zwrócił się Bannon do ojca. - Resztę sprzedamy za parę tygodni. Jeśli ceny się utrzymają, możemy całkiem nieźle zarobić.

Stary Tom tylko coś mruknął w odpowiedzi. Bannon nie spodziewał się zresztą niczego więcej. Odkąd ojciec przekazał mu opiekę nad ranczem, nigdy nie komentował jego decyzji, powstrzymując się od wygłaszania zarówno pochlebnych, jak i niepochlebnych opinii. Radził coś tylko wtedy, gdy Bannon go o to prosił.

- Jest jakaś kawa w domu? - spytał Bannon, obserwując trzech jeźdźców przystępujących do końcowej selekcji bydła.

- Jeśli nie ma, to znaczy, że Laura wszystko wypila po przyjściu ze szkoły.

- Chłopcy już zaraz skończą robotę. - Bannon rozkulbaczał gniadosza, czując, jak bardzo obolałe są jego mięśnie po całym dniu spędzonym w siodle. Był to jednak przyjemny ból. - Może zrobiłbyś nam kawę, a ja w tym czasie odprowadzę konia?

- Dobry pomysł. - Stary Tom zeskoczył na ziemię.

Bannon poprowadził gniadosza do stajni. W połowie drogi przez podwórze usłyszał kobiece głosy. Odwróciwszy się, zauważył zmierzającą w jego kierunku Sondrę. Obok niej szła w podskokach Laura, z gołą głową i płaszczem rozpiętym tak, że widać było jej szkolny strój: wełnianą spódnicę w kratę, białą bluzkę i czerwoną kamizelkę. Zwolnił, obserwując przez chwilę tę dwójkę. Laura z ożywieniem opowiadała o czymś Sondrze, najprawdopodobniej zdawała jej relacje z tego, co zdarzyło się w szkole. Sondra przysłuchiwała się jej uważnie.

Widząc je Bannon raz jeszcze doszedł do wniosku, że Laura i Sondra doskonale się rozumieją. Nie potrafił zwalczyć uczucia rozgoryczenia, które ogarnęło go w tym momencie. Laura miała pragnienie, którego nie mógł zaspokoić, a robiła to w pewnym stopniu Sondra; dziecięce pragnienie posiadania, kochania matki. Lecz miłość Laury należała do Diany, a nie do Sondry.

Dochodząc do stajni poczuł, że ogarnia go zmęczenie i dręczące coraz częściej przygnębienie. W słabo oświetlonej stajni zawiesił strzemiona na łęku siodła i rozluźnił popręg.

- Cześć, tato. - Usłyszał radosny głos Laury. - Przyszła ciocia Sondra.

Bannon odwrócił się i spojrzał na nie przez ramię.

- Cześć.

- Słyszmy popatrzeć, jak sortujecie bydło. Już skończyliście? - Pozostawiając Sondrę Laura podeszła do gniadosza.

- Tak. - Przeciągnął pasek popręgu przez kółko, a Laura delikatnie poklepała gniadosza po pysku. - A co z twoją pracą domową?

Zmarszczyła lekko nos.

- Prawie skończona - odpowiedziała, po czym zwróciła się do Sondry: - To jest Myszak. Nazywamy go tak, ponieważ nie jest duży, ale bardzo szybki i zwinny. Dobrze też sobie radzi z krowami. Tata mówi, że nie ma lepszego konia w całym stanie niż on.

- Pewnie się nie myli - powiedziała Sondra.

Gdy Bannon zdjął siodło i derkę z konia, Laura zapytała:

- Zaprowadzisz go do stajni czy do korralu?

- Do korralu - odparł, otwierając drzwi do pomieszczenia, w którym trzymał uprzęż.

- Mogę to zrobić?

- Czy mogłabym to zrobić? - poprawiła ją Sondra.

- Czy mogłabym to zrobić, tatusiu? - zapytała głośno.

- Przynieś uzdę i powieś ją tutaj.

- Dobrze.

Jedną ręką Bannon zarzucił ciężkie siodło na kołek. Ze ścieżki biegnącej obok stajni dobiegło stukanie kopyt i dźwięczny głos Laury. Uwagę Bannona przyciągnął jakiś ruch koło drzwi. Obejrzał się i zobaczył stojącą w nich Sondrę. Miała na sobie czarny żakiet, ciemnoszare spodnie i pantofle na płaskich obcasach. Jaśniejszą plamę stanowiła jedynie twarz otoczona jedwabną chustką skrywającą srebrzystoblond włosy.

Spojrzał obojętnie na tę twarz o prostych, klasycznych rysach, po czym wracając do obowiązków

położył wilgotną derkę na siodle.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

- Byłam w sąsiedztwie i pomyślałam, że wstąpię. rozmawiałam dziś rano z Agnes i powiedziała, że nie będzie cię dzisiaj w biurze.

- Miałem mnóstwo pracy na ranchu.

- Tak pomyślałam - rzekła, odsuwając się od drzwi.

- Czy ktoś chce kupić rancho Johnsonów? - zapytał, wiedząc doskonale, że Sondry nie mogło w sąsiedztwo sprowadzić nic innego jak interes.

- Nic na ten temat nie słyszałam - odparła i zrobiła pauzę. Po chwili powiedziała: - Kit Masters prosiła mnie, żebym zobaczyła jej rancho.

- Kit? - Bannon przystanął i wyraz bezgranicznego zdumienia odmalował się w jego oczach.

Sondra dostrzegła zmianę w jego twarzy i opuściła głowę, nie chcąc, by Bannon dostrzegł u niej najmniejszy cień zadowolenia.

- Tak, zdecydowała się sprzedać rancho i chce, żeby zajęła się tym moja agencja.

- To nieprawda - powiedział ostrym tonem, lecz w jego głosie dawała się wyczuć niepewność.

- Też mnie to zdziwiło. O mało nie odmówiłam, kiedy mnie o to poprosiła. Wiedziałam, że się zmartwisz. Ale jest tak zdecydowana, że jeśli ja się tym nie zajmę, pójdzie do innej agencji.

- Nie wierzę ci - wydyszał gwałtownie. - Powiedziałyby mi o tym. Kit nie sprzedaje Silverwood.

- Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj ją.

- Oczywiście, że zapytam. - Bannon zostawił zaskoczoną Sondrę, szybko wyszedł ze stajni i przebiegł przez podwórze.

Nadbiegła Laura.

- Dokąd tata jedzie? - zmieszana popatrzyła na Sondrę.

- Zapewne do Kit Masters. - Uśmiech zadowolenia zagościł na jej wargach, gdy obserwowała, jak Bannon pośpiesznie wsiada do furgonetki.

- Chyba oszalał.

Sondra nie zaprzeczyła, patrząc na ruszającą gwałtownie furgonetkę.

- Po prostu dowiedział się, że Kit ma zamiar sprzedać rancho ojca.

- Tata tańczył z nią na przyjęciu. Buffy pokazała mi ich zdjęcie w gazecie. Tata mówi, że ona jest jego przyjaciółką.

- Była. - Sondra wątpiła, czy w obecnej sytuacji przyjaźń się utrzyma. Nic nie mogło jej sprawić większej radości.

- W gazecie napisali, że jest aktorką.

- Tak.

- Dziadek mówi, że ludzie z Hollywood są zakochani w sobie.

- Sami się nimi za bardzo interesujemy. Myślę, że bardzo łatwo popularność uderza im do głowy i potem im się zdaje, że są lepsi od innych.

- No właśnie.

- Odprowadzisz mnie do samochodu? Muszę wracać do miasta.

- Oczywiście. - Laura ochoczo chwyciła Sondrę za rękę.

Lśniącą nowością elektryczna maszynka do parzenia kawy stanęła na blacie obok zlewozmywaka. Kit usiadła na drugim końcu blatu zwieszając długie nogi. Machinalnie podniosła marchewkę z tacy, na której leżały przygotowywane przez Paulę surowe warzywa, i odgryzła kawałek.

- Spróbuj tej sałatki warzywnej. Jest wspaniała. - Paula przerwała na chwilę, by zanurzyć kawałek brokuła w sosie koperkowym. - Mimo że robiłam ją sama. - Podniosła do ust ociekającą sosem jarzynę.

- Nie, dziękuję. - Kit przekładała w palcach kawałek marchewki.

- Kit Masters odmawia takich pyszności? Coś mi się wydaje, że nie jesteś w najlepszym humorze.

- Nie, to nie to - zaprotestowała lekko poirytowana, zeskakując z blatu i wrzucając marchewkę do kosza na śmieci.

- To pogoda. W taką pogodę wszyscy są skwaszeni - powiedziała Paula, patrząc, jak Kit podchodzi do okna z rękami w kieszeniach brązowych dzinsów.

- Nie chodzi o pogodę. - Przyglądała się, jak nad górami zapada wczesny zmierzch. - Jestem po prostu zła, że muszę sprzedać rancho.

Niepokoilo ją też, że zaczęła myśleć o konieczności pozbycia się rancza tak, jakby była to wina matki. Wiedziała, że obwinianie jej jest nieuczciwe. Matka nie wybrała sobie przecież choroby. Kit tym bardziej wstydzila się tej niczym nieuzasadnionej pretensji. Może gdyby były sobie z matką bliższe... Westchnęła starając się odegnąć przykre myśli.

- Osobiście jestem za tym, żeby rozpalic duzy ogien w kominku i spedzić przed nim cały wieczór, popijając grog i narzekając na ciężkie życie.

- To dobry pomysl - zgodzila się Kit nie odwracając się od okna.

- Odpochniemy sobie. Kit, czy ktoś przyjechał? Wydawało mi się, że słyszałam samochód.

- Nie wiem. Nie widzę stąd. - Jej też zdawało się, że słyszała lekkie trzaśnięcie drzwi. - Zastanawiam się, kto to może być. Sprawdzę.

- Założę się, że to Chip. Pokłócił się z Johnem o zmiany w scenariuszu i przyjechał wyplakać się na moim ramieniu. Chciałabym, żeby przestał odgrywać rozkapryzoną primadonnę - powiedziała cicho, a po chwili zawołała za wychodzącą Kit: - Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Zaledwie Kit weszła do salonu, drzwi wejściowe otworzyły się z impetem.

- Bannon! - Zatrzymała się zaskoczona.

Trzasnął drzwiami, aż zabręczały szklane tafle. Kit od razu zauważyła zacięty wyraz jego twarzy i to, że nie zdjął kapelusza, co czynił zawsze, gdy tylko wchodził do domu.

- Co tu robisz? Co się stało? - zapytała z niepokojem.

- Chcę się dowiedzieć, czy to prawda - odpowiedział, starając się mówić opanowanym głosem.

- Co ma być prawdą?

- To, że sprzedajesz ranczo.

- Rozmawiałeś z Sondrą - odgadła.

- A więc to prawda. - Wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej surowy.

- Tak. Miałam zamiar ci powiedzieć...

- Kiedy? Przed czy po przyjeździe buldożerów? - rzucił szyderczo.

- Oczywiście że przed? - Kurczowo wbiła palce w dłonie, starając się za wszelką cenę zachować spokój. Nie znosiła jego cichego gniewu. Wolałaby, żeby przeklinał lub krzyczał na nią. Zniosłaby to lepiej, ponieważ wtedy sama mogłaby się rozładować. Ale Bannon wszystko dusił w sobie.

- Kit, dlaczego? - domagał się wyjaśnień. - Powiedziałaś mi, że nie chcesz sprzedawać rancza.

- Bo nie chcę! Ale jestem zmuszona. Potrzebuję pieniędzy.

- Pamiętam, jak zaświeciły ci się oczy, kiedy rozmawialiśmy u mnie na werandzie i usłyszałaś, że ranczo może być warte dziesięć milionów. Od tej pory zaczęłaś myśleć tylko o tych pieniądzach.

Zabolała ją wyraz jego oczu. Dostrzegła w nich potępienie i niesmak.

- Nie chcę tych pieniędzy dla siebie. Potrzebuję ich dla matki. - Weszła do salonu, zbyt zdenerwowana, zbyt wzburzona, by móc stanąć w jednym miejscu, tak jak zrobił to Bannon. - Nie masz pojęcia, ile kosztuje pobyt matki w szpitalu - powiedziała w końcu. - Ona nie ma żadnego ubezpieczenia zdrowotnego, a roczna renta, którą zapisała jej ciotka, czyli trzydzieści tysięcy dolarów, nie wystarcza na pokrycie nawet wstępnych kosztów.

- Są jeszcze różne ulgi, inne formy pomocy.

- Ale nie dotyczą matki, ponieważ jej dochód jest za wysoki. Sprawdziłam to. Chodziłam do różnych instytucji. Wypełniłam tysiące formularzy, pisałam setki podań. Wzięłam nawet prawnika z Los Angeles, żeby się przekonał, czy jest jakiś sposób unieważnienia testamentu ciotki, wstrzymania renty, tak żeby można było zapewnić dofinansowanie. Ale nic się nie dało zrobić.

- Są jeszcze inne sposoby. Gdybyś pracowała...

- A co ja robię? - Chwyciła jedną z poduszek z kanapy i z rozmachem rzuciła z powrotem, choć miała ochotę cisnąć nią w Bannona. - Co robisz tutaj? Myślisz, że przyjechałam do Aspen dla zabawy? Jestem tu, żeby pracować - kręć film.

- Więc po co tak się śpieszysz ze sprzedażą rancza? Z tego, co czytałem, wynika, że ten film zrobi z ciebie gwiazdę.

- Ale przecież jeszcze nią nie jestem - spierała się Kit. - I być może nigdy nie będę. A nawet jeśli mi się to uda, to jak długo będę na szczycie? Czy wystarczy to na opiekę nad matką? Pewnie słyszałeś o Tomie Cruise czy Harrisonie Fordzie, którzy dostają dziesięć, piętnaście milionów za film. A ile zarobiła na ostatnim filmie Meryl Streep? Czy Glen Close albo jakakolwiek kobieca gwiazda? Dobrze, jeśli jedną dziesiątą tego, co może dostać mężczyzna. Z tego spora suma należy się agentom. Potem Jeszcze trzeba opłacić menażera, specjalistę od reklamy i sekretarzy. Nie zapominaj o

podatkach. I co zostaje? W tym zawodzie prawie nikt nie może czuć się bezpiecznie. Kiedy ci idzie, wszyscy kręcą się koło ciebie, ale w gorszych momentach nikt nie zwróci na ciebie uwagi. - Mocno chwyciła się oparcia kanapy. - W tym wszystkim jest za dużo znaków zapytania. Czy mi się uda? Czy zarobię wystarczającą ilość pieniędzy? Czy będę na szczycie przez co najmniej pięć lat? To hazard.

- Mimo wszystko nie powinnaś sprzedawać rancza, Kit - upierał się Bannon. - Boże, twój ojciec przewraca się teraz w grobie.

- Nie, to nieprawda. Gdyby żył, zrobiłby to samo, co ja, żeby zaopiekować się matką. - Świadomość tego, że ojciec zrozumiałby jej decyzję, była jej jedynym pocieszeniem. - Do licha, Bannon, ty nic nie rozumiesz. Rachunki matki doszły do stu tysięcy dolarów. Lekarze mówią, że może żyć jeszcze nawet trzydzieści lat, ale stan jej zdrowia już nigdy się nie polepszy i nigdy nie wyjdzie ze szpitala. Więc i rachunki nigdy się nie skończą, a będą coraz wyższe, bo rosą koszty leczenia. Muszę sprzedać ranczo. Tylko wtedy będę spokojna, że wystarczy mi pieniędzy na zapewnienie stałej opieki nad matką.

Bannon uniósł nagle głowę.

- Czemu wcześniej nie powiedziałas mi tego wszystkiego, Kit?

- Ponieważ to ciebie nie dotyczy. To mój problem i to ja jestem odpowiedzialna za matkę.

- Ale gdybym o tym wiedział, być może udałoby mi się namówić władze stanowe czy którąś z instytucji ochrony środowiska, żeby kupili ranczo na rezerwat. Może nie za dziesięć milionów, ale za milion lub...

- To by mi nie wystarczyło - przerwała. - Przepraszam, że nie powiadomiłam cię wcześniej o mojej decyzji, ale na pewno sprzedaję ranczo i nie będę się zastanawiać, czy ci się to podoba czy nie.

Chłód ponownie zagościł na jego twarzy.

- Jasno powiedziane. Zrozumiałem. - Odwrócił się i wyszedł.

Kit stała nieruchomo za kanapą, słuchając odgłosu oddalających się kroków, trzaśnięcia drzwiczek furgonetki, warkotu silnika. Skrzyżowała ręce na piersiach. Żal jej było i siebie, i Bannona.

Rozdział szesnasty

Promienie słoneczne przebiły się przez chmury, oświetlając wyłożony ciemnoczerwoną cegłą deptak w Aspen. Z okna swojego prywatnego gabinetu na pierwszym piętrze Sondra obserwowała wychodzącą z agencji Kit Masters, która na chwilę zatrzymała się, żeby schować kopertę z umową do torebki, lekkim ruchem głowy odrzuciła burzę miodowych włosów i ruszyła dalej przez plac. Na moment zniknęła za fontanną.

Sondra z lubością przejechała palcami po oryginale umowy i popatrzyła na podpis na dole. Czytelny podpis Kit Masters. Lekki uśmiezek zaigrał na jej wargach, lecz zniknął natychmiast, kiedy usłyszała brzęk szkła. Błyskawicznie odwróciła się od okna. Przy chińskiej lakierowanej szafce stał Warren z butelką courvoisiera.

Niezadowolona uniosła starannie rozjaśnione brwi.

- Smakują ci moje trunki?

- Mamy co oblewać - roześmiał się i nalał koniak do dwóch kieliszków. - Rano dostaliśmy niezłą ofertę na kompleks handlowy od paru grubych portfeli z Denver. Teraz ta śliweczka sama wpadła nam do fartuszka. Jest okazja, żeby się napić.

- Na to będzie czas później. - Podeszła do biurka. - Mamy dużo pracy.

Warren postanowił nie spierać się z Sondrą. Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Wypił zawartość przeznaczonego dla niej kieliszka, wziął do ręki drugi i podszedł do biurka.

- Póki pamiętam. - Usiadł na czarnym krześle, podciągając na kolanach nienagannie wyprasowane spodnie i założył nogę na nogę. - Doktor Adams przyjeżdża na weekend do Aspen. Chcę zabrać ją na kolację w sobotę wieczorem. Oczywiście na koszt firmy.

- Dobrze - powiedziała sucho, odkładając umowę i sięgając po notes.

- Szkoda, że nie jestem członkiem klubu „Caribou”. To byłoby świetne miejsce na taką kolację - poruszył kieliszkiem obserwując światło załamujące się na szklanej ścianie.

- Sprzedaj ten kompleks handlowy doktor Adams, a ja w ramach premii do prowizji wykupię ci roczną kartę klubu.

Warren podniósł kieliszek.

- Wypiję za ten doskonały pomysł.

- Wypij i bierzmy się do pracy - rzuciła mu szybkie chłodne spojrzenie.
- Co to za robota?
- Zadzwoń do Ernesta Grubera i każ mu natychmiast jechać na ranczo Mastersów. Chcę, żeby sfotografował tę posiadłość z każdej strony, póki jeszcze są kolorowe liście - zaczęła zapisywać listę zadań, którą wcześniej ułożyła w pamięci - powiedz mu też, że zdjęcia mają wyglądać jak te w „National Geographic”. I potrzebuję je na wczoraj.
- To cię będzie kosztować - ostrzegł. - On tego nie zrobi za darmo.
- Wiem. - Przeszła do kolejnej pozycji. - Potrzebuję też wideo. Równie doskonałej jakości. Skontaktuj się z Bluelake Productions i Silver Sky Video. Umów się z tymi, którzy są w stanie zrobić to szybciej. Dzisiaj na piątą potrzebuję widok rancza z powietrza, mapę topograficzną i plany.
- Na piątą? - Warren aż podskoczył.
- Najpóźniej na wpół do szóstej. Na szóstą jestem umówiona z Austinem Jamesem.
- Austin James. Ten urbanista?
- Ten - odpowiedziała nie podnosząc oczu znad notatek.
- Po co się z nim umówiłaś? O co chodzi?
- O drugie Aspen.
- Drugie Aspen! - Warren zapomniał o drinku.
- Tak. Silverwood doskonale się do tego nadaje. - Przerwała podnosząc głowę. - Silverwood - potworzyła i podniosła słuchawkę wzywając sekretarkę.
- Słucham, panno Hudson.
- Weź atlas. Sprawdź, czy jest tam wymienione Silverwood w stanie Kolorado - poprosiła i szybko odłożyła słuchawkę. - Warren, jak nazywał się ten grafik, z którym pracowaliśmy przy osiedlu Cottonwood? Chyba Sam...
- Sid Parrish.
- O, właśnie - stwierdziła i zapisała nazwisko. - Zadzwoń do niego. Niech zrobi parę projektów zagospodarowania Silverwood. Podniosła wzrok na Warrena.
- Nie sądzisz, że pora wziąć się do roboty?
Spojrzał na nią, dopił koniak i wstał.
- Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.
- Taka mała praca domowa, Warren. - Uśmiechała się niewyraźnie.
Była zdecydowana. Tym razem doskonale przygotowuje się; nim złoży ofertę Lassiterowi.

Nie mając nic do roboty Kit spacerowała po Hunter Street, czekając, aż Paula wyjdzie od fryzjera. Nie chciała myśleć o kopiach umowy, które miała w torebce. Podjęła decyzję i rozpoczęła działania, by ją zrealizować. Nie było już się nad czym zastanawiać.

Słońce wyszło zza chmur. Niebo zaczynało się przejaśniać. Miała trochę czasu dla siebie.

Przeszła Main Street, skręciła w lewo obok Sądu Okręgowego, który mieścił się w imponującym gmachu z czerwonego piaskowca i cegły wzniesionym w ubiegłym stuleciu. Kiedy zbliżała się do wejścia, z budynku wyszedł Bannon ubrany w granatowe ubranie w westernowym stylu, krawat, kowbojskie buty i kapelusz. W rękę trzymał teczkę. Kit wydawało się, że wygląda na obrażonego. Zawahała się czy przystanąć. Pamiętała, podobnie jak on, ich wczorajszą kłótnię. Zatrzymała się jednak, wymuszając spotkanie.

- Cieszę się, że cię widzę. - Otworzyła torebkę i wyjęła kopię umowy z agencją handlu nieruchomościami Hudson Properties. - Sądzę, że skoro zarządzasz posiadłością, powinieneś mieć dokument potwierdzający wystawienie jej na sprzedaż. Właśnie podpisałam umowę z Sondrą. Miałam ją wysłać, ale równie dobrze mogę ci ją wręczyć.

- W porządku. - Wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Nie dając mu odejść, ciągnęła dalej:

- Wczoraj byłam wściekła i przybita. Bannon, chcę, żebyś wiedział, że mnie nie jest wszystko jedno, co sądzisz o sprzedaży rancza. Muszę to zrobić bez względu na twoje uczucia. Zrozum, proszę, że to nie była łatwa decyzja. Wiem, co czujesz.

- Naprawdę? - odburknął. - Wątpię.

Czując, że za moment wpadnie w pasję, starała się zachować spokój.

- Wiem, że jesteś przeciwnikiem kolejnych inwestycji w dolinie...

Przerwał jej.

- Mylisz się. Nie jestem przeciwnikiem inwestycji. Nie podoba mi się tylko ich charakter. To wszystko robi się tylko z myślą o bogatych. Mogę się założyć, że na twoim terenie powstaną jakieś ekskluzywne pensjonaty. Ale to cię już nie obchodzi, prawda? Ciebie przecież już tu nie będzie... chyba że za pieniądze ze sprzedaży kupisz sobie jakiś inny dom w Aspen. Będiesz tu wtedy mogła przyjeżdżać raz czy dwa razy do roku, tak jak twoi przyjaciele z Hollywood.

Nie podnosił głosu, ale jego słowa pełne były jadu. Kit starała się opanować.

- Bannon, przestań - zaprotestowała. - Nie chcę się z tobą kłócić.

Popatrzył na nią i pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie próbuję się kłócić ani nie próbuję wpływać na twoją decyzję - westchnął. - Nie jestem nawet zły. Jest mi smutno.

Kit popatrzyła ze współczuciem na jego zmęczoną twarz.

- Wierzę ci.

Zanim się odwrócił, w jego brązowych oczach dostrzegła cień sympatii. Minął ich postawny mężczyzna wchodzący na schody sądu. Bannon wziął Kit pod rękę.

- Przejdźmy się - zaproponował. Skierowali się w stronę skrzyżowania. - Pamiętasz, kiedy byliśmy w szkole, w latach siedemdziesiątych, ludzie uciekali z Aspen w związku z narciarskim szaleństwem, które opanowało Amerykę po olimpiadzie zimowej w Squaw Valley. Zmieniono wtedy przepisy, starając Aspen przed wykupieniem terenów na perłodki narciarskie. Udało się spowolnić ten proces.

Przystanęli, czekając na zmianę świateł na przejściu.

- Miało to i swoje złe strony. Ograniczając inwestycje, zredukowano podaż, nie zmniejszając popytu. Ceny skoczyły w górę. Im coś trudniej dostać, tym bardziej ludziom na tym zależy.

Rozbłysło zielone światło i Bannon z Kit weszli na jezdnię.

- To się nie zmieniło, Kit. A jeśli już, to na gorsze. W ciągu ostatnich trzech lat ziemia zdrożała dwukrotnie.

- Lepiej już, że tak się stało. Przynajmniej Aspen zachowało ten charakter, który przyciągał tu ludzi na początku.

- Naprawdę tak myślisz? - Weszli w Mill Street. Przed nimi wznosiła się Aspen Mountain. - Zwróć uwagę, że Aspen szybko staje się bogatym miastem bez stałych mieszkańców. Domy warte miliony stoją puste. Właściciele przyjeżdżają tu dwa, trzy razy w roku.

Spojrzał na nią wyzywająco, lecz życzliwie.

- Ilu znajomych widziałas, odkąd tu przyjechałaś?

- Niewiele - przyznała. - Ale też mało wychodziłam.

- I tak byś wielu nie spotkała. A co roku jest ich mniej.

- Ludzie ciągle przenoszą się do nowych miejsc. Tak jest w całym kraju.

- Ale powody nie są takie same. - Bannon nie dał się przekonać. - Dyrektorka Muzeum Sztuki w Aspen zrezygnowała z pracy, ponieważ nie mogła znaleźć dwupokojowego mieszkania poniżej dwóch tysięcy dolarów miesięcznie.

Kit nie znalazła kontrargumentu. Przez chwilę szli w milczeniu.

- Nie winie cię, że starasz się zorganizować opiekę dla matki. Ja też mam zmartwienia. Trudno jest wychowywać córkę w mieście, gdzie tyle uwagi poświęca się sprawom materialnym, gdzie w sklepach sprzedają futra po sto tysięcy dolarów. - Wskazał ręką długie futro z soboli na wystawie sklepu kuśnierskiego. - Albo buty po cztery tysiące dolarów, swetry za sześćset i więcej. Dziewczynki w jej wieku mają własne telewizory, odtwarzacze kompaktowe i baseny z podgrzewaną wodą. Zabawa, bogactwo, rozrzutność. To nie stwarza atmosfery, w której chciałoby się wychowywać dziecko.

- Na pewno nie. - Kit przyznała mu rację i posmutniała na myśl, że sama nie ma dzieci i podobnych zmartwień. Zastanowiła się, jak wszystko mogłoby się ułożyć, gdyby Bannon nie ożenił się z Dianą. Ale nie ma sensu zajmować się przeszłością, której nie da się zmienić - powtórzyła w duchu argument, którym opancerzała się, ilekroć wspomnienia stawały się zbyt bolesne.

- Większości pracujących w Aspen nie stać tu na mieszkanie. Nie robią tutaj nawet zakupów, bo jest za drogo. Zaczyna brakować ludzi. Większość restauracji świeci pustkami nawet w porze obiadowej. Co będzie, jeśli nawet ochotnicza straż pożarna wyprowadzi się gdzieś indziej? - spytał retorycznie i westchnął. - Robię, co w mojej mocy, ale to wszystko za mało.

- Masz na myśli pokój, który wynajmujesz nauczycielowi i faceta, którego bronisz za darmo? - Kit spojrzała na Bannona z szacunkiem.

Uśmiechnął się gorzko.

- Czasami czuję się, jakbym zatykał palcem dziurę w grobli. Zatrzymuję na chwilę wodę, ale problem pozostaje. Nie ma prostych rozwiązań. W tym mieście Jest za dużo pieniędzy, a one zmieniają sposób myślenia. Inaczej patrzysz na sprawy, kiedy jesteś biedny, inaczej, kiedy w kieszeni masz milion dolarów. Pieniądze dyktują ci, co masz robić.

- Nie, to nieprawda.

- Prawda. Odsądza się od czci i wiary faceta, który za parę dolarów z kilku desek kleci stoisko z lemoniadą, a następnie sprzedaje szklaneczkę po trzy dolary. Ale gdyby ten sam człowiek wybudował blok mieszkalny za pięć milionów dolarów i wynajmował mieszkania po trzy tysiące miesięcznie, to nikt nie powiedziałby mu złego słowa. Wybaczone by mu tylko dlatego, że chodzi o większe pieniądze.

- Nie masz racji. - Nawet w jej uszach zabrzmiało to naiwnie.

- Właśnie, że mam. - Bannon popatrzył na drugą stronę ulicy. - Pamiętasz Maxa Davisa?

- Tego tyrana? No, nie żartuj - Kit przypomniała sobie zwalistą postać rumianego reżysera swojej pierwszej sztuki w miejscowym teatrze. - Maxa nie można zapomnieć. On tu jest?

- Ciągłe tutaj, ciągle w tym samym teatrze. Jest w trakcie prób do nowego musicalu, który będzie wystawiany w Operze Wheelera. - Wskazał narożny budynek z czerwonego piaskowca.

Dwupiętrowy gmach opery został wybudowany ponad sto lat temu, w czasach, gdy w Aspen królowało srebro. Był najwyższym i jednym z najbardziej charakterystycznych budynków w mieście.

- Wejdziemy?

- Z przyjemnością. - Złapała go pod rękę i pociągnęła za sobą, przyśpieszając kroku.

W budynku było ciemno. Paliło się tylko oświetlenie robocze na pustej scenie starej, eleganckiej opery. Kit przeszła cicho przez ciemne środkowe przejście między krzesłami, wpatrzona w ćwiczącą na scenie tancerki w trykotach.

- Pięć, sześć, siedem, osiem! - wyliczał choreograf wyklaskując rytm.

Słysząc było hłaśliwe dźwięki fortepianu. Muzyka wypełniała pusty gmach. Dwanaście stóp uderzało w drewnianą podłogę, sześć ciał ruszało się w zgodnym rytmie. Na sygnał szły w górę ręce, odwracały się głowy, podnosiły nogi. Kit usiadła na drugim krześle w piątym rzędzie, zostawiając skrajne krzesło dla Bannona.

- Obrót przed wymachem! - przypomniał choreograf i klasnął w dłonie. - Świetnie! I jeszcze jeden! Więcej życia w tym obrocie. To jest musical, a nie klasyka.

Kit pochylała się do przodu. Echo przenosiło odgłos stóp uderzających o deski. Tancerki przyśpieszyły tempo. Prowokująco kołysały ramionami, rękami zdawały się trzymać nie istniejące spódniczki. Zwichrzona włosy wysuwały się spod opasek na głowach. Wesoła melodia grana na pianinie dopełniała nastroju. Pachniało teatrem.

Przebrzmiały ostatnie akordy. Tancerki zamaryły w finałowej pozie. Ugięte kolana, rozłożone ręce, brody dotykające ramion, piersi falujące zmęczonym oddechem. Kit miała ochotę zaklaskać, ale powstrzymała ją głos choreografa.

- Jeszcze raz od początku.

Na paru twarzach pojawił się grymas, ale nie padł ani jeden głos sprzeciwu. Taniec wymagał sprawności, a sprawność, podobnie jak oddech, należało ćwiczyć. Wróciły do pozycji wyjściowych.

Kit odchyliła się w fotelu i szepnęła do Bannona:

Kiedy tak na nie patrzę, wyobrażam je sobie w krótkich czerwonych spódniczkach z satyny z wyzywającą czarną wstążką. Mają pióra we włosach i podwiązki na czarnych pończochach. A wszystko w knajpianej dekoracji.

Zauważyła, że rozbawienie na jego twarzy ustępowało miejsca wyrazowi tęsknoty, a może jeszcze czegoś. Zorientowała się, że trzyma rękę na oparciu jej fotela. Po chwili poczuła jego palce na ramieniu. Nie pierwszy raz siedzieli tak w ciemności. Powróciły bolesne wspomnienia.

Podniósł rękę, jakby chciał ją dotknąć. Zauważyła błysk obrączki, którą włożyła mu na palec Diana i czym prędzej skierowała spojrzenie na scenę. Serce waliło jej jak młotem. Bannon cofnął rękę.

Starła się skupić wzrok na wystroju sali. Czerwona aksamitna kurtyna ciepło kontrastowała ze złotymi gzymsami. Mosiężne poręcze zdobionych ornamentami róż pobłyskiwały delikatnie, odbijając światło ze sceny; podobnie wieloramienny mosiężno-srebrny kandelabr nad głową. Zgrabny łuk balkonu pozostawał w głębokim cieniu.

Żeby rozładować atmosferę. Kit powiedziała:

- Mama często przyprowadzała mnie tutaj. Zawsze myślałam, że jest to najpiękniejsze miejsce na świecie. To było przed tym remontem za cztery i pół miliona dolarów - dodała. - Zanim gasły światła i podnosiła się kurtyna, zastanawiałam się, jakie wrażenie opera robiła na ludziach sto lat temu. Przymykałam oczy i wyobrażałam sobie, że przenoszę się w czasie, że wokół mnie szeleszczą suknie z jedwabiu i tafty, trzepoczą perfumowane chusteczki, a ja ściskam program w okładkach obciążonych białym jedwabiem - szeptała. - Potem kurtyna szła w górę i marzyłam, że któregoś dnia ja stanę na tej scenie.

- To jeszcze możliwe.

- Być może - powiedziała z zadumą w głosie. - Kiedy pomyślisz o tych wszystkich latach, przez które opera była nieczynna, zamknięta po pożarach sceny, to aż dziw bierze, że nie została zburzona.

- Nie zliczę już, ile razy ojciec opowiadał o moim dziadku, który gasił te dwa pożary - roześmiał się Bannon.

- Mówił o tym bez przerwy - potwierdziła z uśmiechem Kit zadowolona, że wrócił nastrój przyjaźni, minęło napięcie wywołane wspomnieniami.

- Bez przerwy - zgodził się i wskazał na postać zajmującą jeden z foteli pierwszego rzędu. - To chyba Max?

- Chyba tak. - Barczyste ramiona, kształt głowy i imponująca grzywa włosów wyglądały znajomo, ale Kit nie była jeszcze pewna. Dopiero charakterystyczny gest podparcia brody palcem przekonał ją ostatecznie.

- Tak, to Max - potwierdziła, widząc, jak broda opada, a palec łąduje na czubku nosa.

Muzyka umilkła. Na scenie zapanowała cisza.

- W porządku - powiedział choreograf i zarządził pięć minut przerwy.

Tancerki rozeszły się po scenie, wyciągając ręczniki. Wycierały spocone twarze, szyje i ramiona. Wyczerpane opadły na podłogę, zginając i prostując nogi, masując obolałe kostki. Choreograf, szczupły, żywy mężczyzna, odwrócił się do reżysera wciśniętego w fotel w pierwszym rzędzie.

- Jak było?

Zanim Max Davis zdążył wstać z miejsca. Kit odpowiedziała za niego.

- Mnie się podobało.

Max obrócił się w fotelu i rozejrzył po ciemnej sali.

- Kto tu jest?

- Jedna z niewielu osób, które miały odwagę ci się przeciwstawić - odpowiedziała Kit unosząc się z fotela.

Na jej widok Max omal się nie roześmiał, ale szybko się opanował i przedrzeźniając ją, powiedział groźnie:

- Masz na myśli taką jedną smarkulę na tyle głupią, że nie bała się naigrawać z dyrektora? Kit Masters?

- Powiedzmy, że byłam niedoświadczona - zaproponowała kompromis.

- Byłaś niedoświadczona i miałaś talent, z którym nie wiedziałaś, co robić. - Chwytał ją w objęcia, po czym odsunął, żeby się jej lepiej przyjrzeć. - Myliłaś się jednak co do żmudnych wielokrotnych prób. One dają efekty.

- Nie. Te dziewczyny i tak zatańczą inaczej, kiedy będą w kostiumach, staną wśród rekwizytów, a orkiestra zacznie grać - odpowiedziała.

Oczy mu się zwęziły.

- Jeszcze nie nauczyłaś się, że z dyrektorem się nie dyskutuje?

- Nie z takim dyrektorem jak ty. - Pocałowała go w policzek i poczuła znajomy zapach płynu po goleniu.

- Czuję, że wnuki dalej kupują ci English Leather na Dzień Dziadka.

- Tak. Na urodziny i na Gwiazdkę też - potwierdził z uśmiechem. - Mam już chyba zapas do końca życia.

Zauważył stojącego za nią Bannona. Skinął głową w jego stronę.

- Widzę, że jak zwykle jesteś w doborowym towarzystwie. - Puścił do niej oko.

- Naprawdę tak uważasz? - przekomarzała się.

- Ja to wiem - powiedział z przekonaniem i wyciągnął ogromną dłoń do Bannona. - Miło cię znów widzieć.

- Ja też się cieszę, Max. - Podszedł, żeby uścisnąć mu dłoń, a następnie oparł się o mosiężną barierkę

oddzielającą widownię od kanału dla orkiestry.

- Nie miałem okazji ci podziękować, Bannon, za akcję organizowania tanich mieszkań - powiedział Max.

- Nie tylko ja w niej brałem udział.

- Nie, ale ty byłeś najskuteczniejszy - powiedział Max i popatrzył na Kit. - Złożę się, że ci się nie pochwalił.

- Nie - przyznała. - Wspominał tylko o problemie mieszkaniowym.

- To mało powiedziane - stwierdził Max. - Zeszłej zimy teatr musiał odwołać zimowe przedstawienia z powodu braku mieszkań dla aktorów.

- Nic nie wiedziałam - zdziwiła się Kit. - Ojciec nigdy mi o tym nie mówił.

- Teraz już wiesz, jak poważne są trudności mieszkaniowe - powiedział Max. - Dla wielu ludzi odwołanie sezonu było szokiem, ale przynajmniej zwróciło to uwagę na problem. Teraz miasto przejęło parę domów i tanio wynajmuje mieszkania nauczycielom i pracownikom miejskim. Niestety, na liście oczekujących wciąż jest ponad dwieście nazwisk. - Przerwał na moment i z błyskiem w oku powiedział: - Pamiętasz Gartha Turnera?

- Jasne. - Uśmiechnęła się na wspomnienie aktora, z którym pracowała wiele lat temu. - Co u niego? Wiem tylko, że wyjechał do Nowego Jorku.

- Wrócił. Jest za kulisami.

- Żartujesz. - W głosie Kit słychać było niedowierzanie i radość.

Max złożył dłoń w trąbkę i krzyknął do choreografa:

- Chris, zawołaj Gartha i powiedz, że jest ktoś do niego.

Mężczyzna skinął głową i zniknął ze sceny. Bannon wyprostował się przy barierce.

- Wygląda na to, że będziecie świętować spotkanie. Pójdę już, bo muszę zadzwonić w parę miejsc - powiedział spoglądając na zegarek.

- Miło było cię widzieć. - Max wyciągnął rękę.

- Mnie też - odpowiedział Bannon i zaczął się żegnać z Kit.

- Cześć - zdążyła odpowiedzieć, gdy na scenie pojawił się Garth Turner w otoczeniu innych, głównie młodych, aktorów.

- Musieli usłyszeć o tobie od Chrisa - zauważył Max na ich widok. - Nic tak nie działa na aktora jak kontakt z gwiazdą.

- Co ty mówisz - zganiła go Kit. - Jeszcze nie nakręcono ani jednego ujęcia tego filmu.

- Ale masz wszelkie warunki, żeby zostać gwiazdą - przerwał, mierzając ją wzrokiem. - Jesteś jeszcze trochę za miękka, zbyt ufna, ale stwardniejesz.

Nie podobał jej się ten ton, próbowała zażartować.

- Znasz mnie. Mam przysłowiowe złote serce.

- Podobnie jak jajko na twardo - odgryzł się Max.

Z kłopotliwej sytuacji wyratował ją Garth. Chwycił za rękę i odwrócił w swoją stronę.

- Kit Masters! Jaka boska! - w oczach błyszczała mu chłopięca radość.

Uśmiechnęła się i westchnęła.

- Boże, to już tyle czasu, Garth.

- Kopa lat. - Ścisnął ją za rękę. - Co cię tu sprowadza? Dobroczynność?

- To miejsce chyba tego nie wymaga. - Spojrzała wymownie na luksusowe, bogato zdobione wnętrza opery.

- Fakt - mruknął odwracając się do stojących za nim aktorów. - Chcę, żebyś poznała część naszego słynnego zespołu.

Zawstydzenie, ciekawość, przerażenie, pewność siebie, nadzieja, ostrożność. Wszystkie te uczucia malowały się na twarzach czterech aktorów i dwóch aktorek przedstawionych jej przez Gartha. Nie starała się nawet zapamiętać imion, gdyż Garth mieszał je z imionami postaci, które kreowali na scenie. Uśmiechała się więc tylko i wymieniała uściski dłoni.

- Garth mówił, że graliście razem w letnim teatrze - powiedział ostatni z witających, około pięćdziesięcioletni aktor. - Uznaliśmy, że jak zwykle się chwali.

- Nie, naprawdę graliśmy - zapewniła go. - Świetnie się wtedy bawiliśmy.

- Tak, praca z nią to jedna wielka beczka śmiechu - powiedział Garth głosem, który sugerował coś wręcz przeciwnego. - Czy może już zapomniałaś ten numer, który mi wykreślałaś?

- Czy masz na myśli ten niewinny żarcik, kiedy pozamieniałam ci wszystkie ściągawki z tekstem,

- Cześć. - Uśmiechnęła się, lecz jej uśmiech był nieco wymuszony.
Gdy Garth odszedł, usłyszała szept młodej aktorki.
- Dlaczego nie zaprosiłeś jej na wieczór?
- Gdzie ty żyjesz, Annie? - wymamrotał półgębkiem Garth. - Kit gra już w superlidze. Dziś pójdzie do „Gordona”, „Pinons” albo „Syzygy”.
- Tak, Annie - włączył się do rozmowy ktoś inny. - Ona jest już za wielka, żeby odwiedzać takich wyrobników jak my.
- Jak mi się powiedzie, to nigdy taka nie będę oświadczyła dziewczyna.
Kit chciała jej powiedzieć, że być może nie będzie miała wyboru. Przez chwilę bawiła ją myśl, żeby wprosić się na przyjęcie do Gartha. Wiedziała jednak, że nie czułaby się tak jak dawniej. Ludzie nie dopuszczają nawet myśli, że się nie zmieniła.
Rezygnując z pomysłu pożegnała się z Maxem i wyszła na spotkanie z Paulą.

Rozdział siedemnasty

Słońce odbijało się od chromowanego zderzaka stojącego przed domem białego range rovera. Blask oślepił Kit, kiedy jej dżip wjeżdżał z impetem na podwórze rancza. Instynktownie zasłoniła oczy.
- Masz gościa - zauważyła siedząca obok niej Paula.
- To John. - Uśmiechnęła się patrząc, jak lekko zbiega po schodach ganku, aby je przywitać. Był to jej pierwszy uśmiech, odkąd wyjechały z miasta.
Otworzył drzwi, zanim zdążyła wyłączyć silnik.
- W samą porę, John - zawołała Paula. - Pomożesz mi zanieść te wszystkie paczki.
- Nie wiem, jak jej się to udało, ale w niecałe trzy godziny Paula zdążyła być u fryzjera oraz ogołocić połowę sklepów w Aspen. - Kit zarzuciła torebkę na ramię i wysiadła z dżipa. - Tylko ona to potrafi.
- To kwestia wprawy, kochana. Długoletnia praktyka. - Paula wysiadła i sięgnęła po jedną z kilkunastu toreb z zakupami.
- Pomógłbym ci, Paulo - powiedział John, trzymając ręce na krągłych biodrach Kit i wpatrując się w nią poządlawie - ale, jak widzisz, mam zajęte ręce.
- Czyżby? - Kit oparła dłonie na jego wrzosowym swetrze i odchyliła głowę.
- Fakt. Najcudowniejsza rzeczywistość. - Ustami dotknął jej warg, po czym przyciągnął ją do siebie.
Była w niej delikatność, a zarazem siła połączona z typowo kobiecą miękkością. Jej usta kusily, były gorące i cudownie pachnące. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła go bliżej, rozchylając wargi w oczekiwaniu na pocałunek.
On też jej pragnął. Czuł jednak, że pragnie nie tylko miłości cielesnej. Chciał chłonać energię, którą emanowała Kit, jej werwę i słoneczną radość życia. Dowiedzieć się, czemu je zawdzięczała.
Kit przytuliła się mocniej, szukając bliższego kontaktu z jego rozgrzanym mocnym ciałem. Było jej dobrze i czuła, że jest kochana.
Kiedy spróbował się odsunąć, powstrzymała go.
- Potrzebowałam tego, Johnie - wyszeptala muskając wargami jego kark.
- Ja też - odwrócił się i otarł policzkiem o jej włosy, wdychając subtelny zapach perfum. - Musimy z Nolanem wracać do Los Angeles i załatwić tam parę spraw. Pakuj walizkę i jedź ze mną.
Odsunęła się.
- Na jak długo wyjeżdżasz?
- Cztery, pięć dni. Najdłużej tydzień.
- Brzmi zachęcająco. - Odgarnęła mu kosmyk jasnych włosów z czoła. - Ale mam zaplanowane wywiady i ...
Usłyszeli głos Pauli.
- Nie chciałabym przerywać tej uroczej scenki, ale Jest telefon do Kit.
- Kto dzwoni? - spytał John nie wypuszczając Kit z objęć.
- Maury.
- Powiedz, że Kit oddzwoni później.
- Powiedz, że już idę - skarciła Johna wzrokiem i zaczęła wyzwalać się z jego uścisku.
- Zapomnij o Maurym - powiedział John, gdy Paula zniknęła w domu. - Jedź ze mną do Los Angeles. Chcę przedstawić cię Sidowi Grahamowi z...
- Nie. - Zamknęła mu usta krótkim pocałunkiem. - Zostawmy już ten temat. Puść mnie. Muszę się

dowiedzieć, czego chce Maury. - Uwolnił ją niechętnie. Kit zrobiła krok w kierunku domu i zatrzymała się widząc, że John nie idzie za nią. - Nie wchodzisz?

- Nolan czeka na lotnisku. - Odwrócił się nagle i poszedł do range rovera. - Zadzwoń do ciebie.

Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie słychać było zdenerwowanie. Ale, cholera, naprawdę był wściekły. Nie mógł znieść jej ślepego przywiązania do tego typka Rose'a. Szlachetna, ale głupia. Czemu go nie słucha? Próbuje jej przecież pomóc. Czy nie widzi tego?

Wrzucił wsteczny bieg, wcisnął gaz i wyjechał z podwórza.

Obserwując opadający obłok kurzu, Kit przeczesła ręką włosy i poczuła się nagle zmęczona i rozdrażniona. Nie mogła pojąć, gdzie podziały się przyjemne doznania sprzed paru chwil. Westchnęła i weszła na werandę. W tym momencie było jej zupełnie obojętne, czego chciał Maury.

- Czemu nie zadzwoniłaś? Mogłabyś się odezwać od czasu do czasu, żebym wiedział, co się dzieje. Jak wyszedł wywiad dla „People”?

- Świetnie. - Kit usiadła na oparciu kanapy.

- O co pytali? Czy powiedzieli, kiedy to się ukáže?

- Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać - przyznała.

- Sam się dowiem. Pamiętaj, że dziennikarz z gazety z Denver przychodzi w sobotę, a ten facet z Aspen...

- Maury, wszystko mam zapisane. Omawialiśmy to przed twoim wyjazdem. Zapomniałeś?

- Nie, nie zapominałem, ale upewniam się, czy pamiętasz. Reklama zaczyna przynosić efekty. Codziennie dostaję do przejrzania jakieś scenariusze. Mam naszykowany cały plik do wysłania dla ciebie. Zapamiętaj moje słowa, Kit. Zanim zaczniesz zdjęcia do tego filmu, będę już miał dla ciebie umowę na następny. Robisz się popularna, i to w odpowiednich kręgach.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się, odruchowo owijając kabel telefoniczny wokół palca.

- Nie brzmi to entuzjastycznie - zarzucił jej Maury.

- Cieszę się, naprawdę. - Wypuściła kabel z ręki. - Sam wiesz najlepiej, jak uwielbiam grać.

Przynajmniej to ostatnie było prawdą. Ale reszta - prasa, uprzedzenia, naciski i cała ta szarpanina, polityka - tego wszystkiego nie znosiła.

- Jesteś naturalna w tym, co robisz. Powtarzałem to wszystkim w kółko, aż wreszcie uwierzyli. Ale ja wiedziałem, że nam się uda. Wierzyłem w ciebie przez cały czas. - Trajkotał jeszcze parę minut, wreszcie zakończył: - Mam nadzieję, że zadzwonisz do mnie i powiesz, jak poszły wywiady, a po przeczytaniu scenariuszy opowiesz, co o nich sądzisz.

- Zadzwoń.

- Muszę kończyć. Facet z Paramount czeka na drugiej linii. A nie mówiłem, że zrobię z ciebie gwiazdę? - stwierdził z zadowoleniem i odłożył słuchawkę.

Przez następne dni Kit starała się czymś zająć. Chciała uciec przed natłokiem myśli, które nie dawały jej spokoju.

Siedząc po turecku na podłodze przed dębową szafką na broń, wyciągała czasopisma poupychane na półkach wśród pudełek z amunicją, wyciorów, zatłuszczonych szmat i noży myśliwskich. Były tam też inne przedmioty, nie związane z polowaniami, jak choćby stare opakowania po gumie do żucia. Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, jak ojciec mógł cokolwiek znaleźć w tym bałaganie. Ale inni mogliby pomyśleć to samo patrząc na jej szafę.

Rzuciła egzemplarz „Outdoor Life” sprzed trzech lat na rosnącą koło niej stertę czasopism. Spomiędzy kartek wypadły brudne skarpetki.

- Założę się, że nawet nie zauważył ich braku - wyszeptala i przełożyła je na stertę zatłuszczonych szmat, starając się nie oddychać zbyt głęboko.

- Co mówisz? - Paula leżała na kanapie. Włosy miała zawinięte w turban z ręcznika, maseczka twardniała jej na twarzy, jedno kolano wystawało spod turkusowego szlafrocza. Piłowała paznokcie kołysząc nogą w rytm bluesa sączącego się z magnetofonu.

Kit nie podjęła tematu.

- Chyba powinnam zapakować te gazety i zanieść na makulaturę, jeśli gdzieś blisko jest punkt skupu. Wygląda na to, że ojciec zgromadził tu wszystkie czasopisma z ostatnich trzech lat.

- Jest w nich coś ciekawego?

- Nie, chyba że interesujesz się „Field and Stream” albo „Hunter’s Digest”. - Uśmiechnęła się na samą myśl, że Paula Grant mogłaby czytać czasopisma dla myśliwych.

- Raczej nie - wymamrotała Paula.
- Czy Chip powiedział, gdzie cię dziś zabiera na kolację? - Wyciągnęła czasopismo upchnięte w rogu i cała sterta runęła. Zmarszczyła nos na widok coraz większego bałaganu i dokończyła ponuro: - Pewnie do „Gordon’s” albo „Pinons”. - Zaraz potem zezłościła ją, że zapamiętała restauracje, o których wspominał Garth.

Ktoś zapukał do drzwi. Paula jęknęła z przerażenia.

Boże, ktoś idzie! - Zeskoczyła z kanapy i jak szalona wypadła na schody. Jedną ręką podtrzymywała turban z ręcznika, drugą ścisnęła poły szlafroka.

Kit wstała i przekroczywszy leżące na podłodze sterty czekała z otwarciem drzwi, aż Paula zniknie na górze.

Na werandzie stał nie znany jej mężczyzna. Mógł mieć około trzydziestki. Ubrany był w ciemnozielone spodnie, adidasy i kurtkę z flanelową podpinką. Uśmiechnął się, ale oczami cały czas taksował Kit.

- Pani Kit Masters? - spytał.

Popatrzyła na stojący za nim wynajęty samochód, a potem przeniosła wzrok z powrotem na niego.

- Tak to ja. - Uśmiechnęła się uprzejmie.

Z kieszeni wystawał mu kołonośnik, a pod kurtką zauważyła ukryty magnetofon.

- Nazywam się Clancy Phillips.

- Reporter? - Nauczyła się już wyczuwać ich na odległość.

- Jestem niezależnym reporterem - dodał.

Wiedziała, że jej się przygląda. Na pewno zapamięta takie szczegóły, jak włosy w nieładzie i słaby makijaż.

- Przysyła pana Maury? - zdziwiła się, przypominając sobie, że nie ma takiego spotkania w notatniku.

- Maury jest pani agentem?

- Tak...

- Jeśli przeszkadzam, przyjdę kiedy indziej.

- Nie, nie. W porządku. - Potrząsnęła głową, chcąc mieć to już za sobą. - Chodzi tylko o to, że albo Maury nie wspominał o panu, albo ja zapomniałam, że to miało być dzisiaj.

Otworzyła drzwi szerzej.

- Proszę do środka. I przepraszam za bałagan.

- Nie ma sprawy.

Po paru minutach Kit siedziała skulona w ulubionym fotelu ojca. Clancy Phillips usiadł naprzeciwko niej na kanapie, magnetofon umieścił na stole. Wywiad zaczął typowo, od ogólnych pytań na temat przebiegu jej kariery, by wreszcie przejść do tematu ostatniego filmu Johna Travisa.

- Czy nie obrazi się pani, jeśli spytam o romans z Johnem Travisem? - spytał z nutką sarkazmu.

- A więc jest jakiś romans? - zapytała udając rozbawienie.

- Z tego, co słyszałem, to bardzo gorący.

- A pan zawsze wierzy w to, co ludzie mówią?

- Często pokazujecie się razem. Tego nie będzie się chyba pani wypierać?

- Nie, skądże. - Dała za wygraną.

- Niech pani powie, jak wyglądają spotkania z męskim symbolem seksu?

- John uważa się za aktora.

- On tak, ale połowa kobiet w tym kraju widzi w nim przede wszystkim atrakcyjnego mężczyznę. Czyż to nie jego Robin Leach nazwał „najseksowniejszym Amerykaninem”?

- Chyba tak. - Pytania zaczęły ją irytować, ale nauczyła się już panować nad sobą. W rozmowie z dziennikarzami należało pamiętać, żeby nie wypaść z roli.

- Czy nie przeszkadza pani, kiedy inne kobiety z nim flirtują i starają się zwrócić jego uwagę?

- Dłaczego miałyby przeszkadzać?

- Wiele kobiet byłoby zazdrosnych.

- Możliwe. Ale ja nie jestem „wiele kobiet”.

- Więc to nie zazdrość jest przyczyną kłótni?

- Kłótni? - powtórzyła Kit bezbarwnym głosem. - Jakiej kłótni?

- Chce pani powiedzieć, że nie macie żadnych problemów? Że się nie kłócicie?

- Właśnie tak. - Wypadła z roli. - Skąd panu przyszło do głowy, że się kłócimy?

Wzruszył ramionami.

- Przyleciała pani tu z Travisem, zatrzymała się pani w jego domu, a potem... nagle przeniosła się tutaj. Teraz on jest w Los Angeles bez pani.

Na chwilę zaniemówiła, zaskoczona, że doszedł do takiego wniosku na podstawie nic nie znaczących faktów.

- John ma jakieś sprawy w Los Angeles, a ja mam tu zaplanowane wywiady.
- Mogła ich pani udzielić w Los Angeles.
- Nie wszystkich, część jest dla miejscowej prasy. - Czuła, że lada moment straci panowanie nad sobą. - Proszę o następne pytanie.
- Czy wie pani o spotkaniu Trávisa z Kathleen Turner w czasie obecnej podróży?
- A muszę wiedzieć? - rzuciła lodowatym tonem.
- Ona chce odebrać pani rolę w tym filmie.
- Panie Phillips, nie chciał mnie pan chyba zaskoczyć? - odparowała. - Wszyscy marzą o roli Eden. ; Nie ma aktorki, która nie chciałaby za wszelką cenę dostać tej roli.
- A co pani zrobiła, żeby ją dostać? - Sugestia była oczywista.
- Panie Phillips, plotki o drodze do sławy przez łóżko są stare jak świat - powiedziała z niesmakiem.
- O prostytucji też się mówi, że jest najstarszym zawodem świata.
- Tak, i oba tematy nikogo już dziś nie szokują. - Nagle zaniepokoiła się. - Mówił pan, że dla kogo ma być ten wywiad?
- Nie mówiłem dla kogo.
- Nie mówił pan też, zdaje się, że wywiad zorganizował Maury?
- Nie.
- Jakie pismo płaci za ten wywiad, panie Phillips? Czy może mam zgadywać tytuł tego brukowca?
- Zainteresowanie tematem wyraził „National Informer” - stwierdził z godnością.
- Jeśli tylko dostarczy pan sensacyjnych kłamstw?
- No, przesadza pani. - Uśmiechnął się trochę zbyt gładko.
- Jednak nie zaprzecza pan. Wywiad skończony, panie Phillips. - Wyłączyła magnetofon i wstała z fotela. - Proszę wyjść.
- Trudno się z panią współpracuje.
- To pańska interpretacja. - Wzięła magnetofon i skierowała się do drzwi, otwierając je wymownym gestem.
- „National Informer” ma olbrzymi zasięg. Dociera do tysięcy ludzi, którzy nigdy o pani nie słyszeli.
- Powoli zaczął pakować notes i długopis. - Powinna pani wziąć to pod uwagę.
- Myślę o tym za każdym razem, kiedy widzę jakiś brukowiec pełen poprzekręcanych informacji, cytatów wyrwanych z kontekstu, insynuacji zastępujących fakty. Smutne jest tylko to, że tak wielu ludzi wierzy w to, co czyta. - Otworzyła drzwi szerzej. - Do widzenia, panie Phillips.
- Wszyscy mówili, że tak przyjemnie się z panią pracuje, panno Masters. - Ruszył w stronę drzwi. - Jeden niewielki sukces i zaczyna pani mieć humorki.

Zignorowała tę uszczypliwą uwagę.

- Pański magnetofon.

Wziął magnetofon, rzucił jej ostatnie spojrzenie i wyszedł. Kit zamknęła drzwi, starając się zrobić to jak najciszej. Usłyszała odjeżdżający samochód. Czuła, że szczęki ma zaciśnięte aż do bólu. Wróciła do pokoju. Ten facet wytrącił ją z równowagi. Czemu na to pozwoliła? Może po prostu chciała spróbować, co ją czeka.

Popatrzyła na bałagan w szafce na broń i stosy śmieci na podłodze. Chciała zająć się czymś innym, ale nie mogła się skoncentrować. Myśli biegały jej po głowie, nie dając spokoju. Skuliła się w fotelu ojca, podciągając kolana pod brodę.

Dwie godziny później zastała ją w tej pozycji Paula. Szła na kolację z Chipem, wystrojona w butelkowitzelony wieczorowy kostium z aksamitu.

- Wywiad nie był zbyt długi. - Przechodząc przez pokój Paula wsuwała klips w kształcie łezki.
- Nie, nie był. - Kit nie chciała wdawać się w szczegóły.

Wzrok Pauli zatrzymał się na bałaganie wokół szafki.

- Wolno idzie ci to sprzątanie.
- Rozmyślałam.

Paula spojrzała na nią z uśmiechem i opadła z wdziękiem na kanapę.

- Uważaj. Ci, co myślą za dużo, źle kończą. - Zaszleściła jedwabiem pończoch zakładając nogę na nogę.

- Może już źle skończyłam - odpowiedziała Kit zgaszonym głosem.

- Uważaj, Kit, bo jeszcze w to uwierzysz - stwierdziła Paula.

Kiedy jednak ta uwaga nie wywołała uśmiechu na twarzy Kit, spoważniała i spytała:

- Co ci dolega?

Wzruszyła ramionami.

- Różne rzeczy.

- To dość szerokie pojęcie.

W przyplywie energii Kit wstała z fotela i podeszła do kominka.

- Po prostu chodzi o to, że wszystko układało się inaczej, kiedy byłam jedną z wielu aktorek grających w operach mydlanych. Byłam zwykłą Kit Masters. Mogłam robić to, na co miałam ochotę, mówić, co chciałam, grać jak mi się podobało. Nikt nie oceniał i nie krytykował każdego mojego gestu i słowa. Byłam normalnym człowiekiem. Teraz ludzie traktują mnie, jakbym była inna.

- Nie wiedziałas, że tak będzie? - cicho spytała Paula.

- Nie. - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Byłam tak zajęta walcząc o role, że nigdy o tym nie myślałam. W ciągu jednego dnia stałam się Kit Masters, wschodząca gwiazdą, i wszystko się zmieniło. Od razu wszyscy są gotowi uwierzyć w najgorsze plotki o mnie.

- Czy chodzi o Johna Travisa? - spytała otwarcie Paula.

Kit odeszła od kominka i westchnęła smutno:

- Masz na myśli całe to gadanie, że dostałam rolę tylko dlatego, że z nim sypiam? Oczywiście, że byłam przygotowana na to hollywoodzkie obrzucanie błotem. Wiedziałam, że ludzie są mali i podli. Myślę, że to do pewnego stopnia rozumiałam i może dlatego nigdy się tym nie przejmowałam. Wiedziałam, że błoto da się zmyć; nie zostają po nim blizny.

- No to o co ci chodzi?

- O to, że zmienił się stosunek ludzi do mnie. Nie tylko nieznajomych. Także ludzi, których znałam prawie całe życie. Wydaje im się, że się zmieniałam, że się wywyższam, że już nie bawi mnie to co dawniej, że stałam się amoralna - przerwała, nie w pełni zadowolona ze swoich słów. - Nie chodzi o to, że oni w to wierzą, tylko o to, że oni chcą wierzyć w te wszystkie brednie na mój temat.

- I to cię dziwi?

- Ze strony niektórych - tak - niespodziewanie ostro odpowiedziała Kit.

- Nie powinno. - Paula uśmiechnęła się. - Dlaczego uważasz, że twoi przyjaciele są inni niż twoi znajomi z filmu? Egoizm, zazdrość, zawiść - tego nie wymyślono w Hollywood.

- Pewnie masz rację - zgodziła się bez przekonania Kit.

- Ludzie chętnie pomagają temu, kto pnie się w górę, ale kiedy mu się uda, szybko ściągną go w dół. Twój sukces przypomina innym o ich własnych porażkach. Nie mogą pogodzić się z myślą, że być może jesteś od nich lepsza. Żeby poprawić sobie samopoczucie, wolą wierzyć, że musiałaś zrobić coś niezgodnego z prawem albo niemoralnego, żeby zając tak wysoko. Nie mają nic konkretnie przeciwko tobie. - Zrobiła pauzę. - Nie mówię, że to jest w porządku. Ale takie jest życie.

- Mnie się to nie podoba. - Podeszła do okna i popatrzyła na purpurowe wieczorne niebo.

- Nikomu się nie podoba. Ale nie możesz się tym przejmować. Nie zwracaj uwagi na to, co mówią - odpowiedziała Paula lekko zniecierpliwionym tonem. - Jeśli chcesz odnieść sukces, jeśli chcesz być gwiazdą, musisz w siebie wierzyć. Musisz być samolubna, czasem nawet okrutna i wyrachowana. Inaczej przegrasz. Taka jest cena sławy..

- Ale ja taka nie jestem. To nie ja.

- Biedna Kit. - Paulę rozbawiła odpowiedź przyjaciółki. - Przykro widzieć, jak ktoś traci niewinność. I Uodpornisz się. s - Ale czy powinnam?

- Dajmy już spokój. - Na podwórzu rozbłysły światła samochodu. - To na pewno Chip.

Wstając Paula zarzuciła płaszcz na ramiona i podeszła do drzwi. Zanim je otworzyła, odwróciła się i z czułością popatrzyła na Kit.

- Nie siedź i nie myśl już o tym. Niczego to nie zmieni.

Rozdział osiemnasty

Ogień trzaskał w kamiennym kominku. Jego blask był ledwie widoczny w przepastnym pokoju drewnianego domu na ranczu. Bannon stał przy kominku z nogą opartą o występ paleniska patrząc,

jak płomień obejmują nową żagiew. Delikatne skrobanie po papierze oznaczało, że Laura jeszcze odrabia lekcje. Stary Tom poruszył się w fotelu, wyjmując fajkę z ust.

- Gregorowie wyprzedają się. - Wytrzymała popiół z fajki.

- Dom, firmę, wszystko - potwierdził Bannon. - Jego żona ma dość borykania się z tym wszystkim. Jest zmęczona ciągłym siedzeniem w sklepie, a nie mogą znaleźć nikogo do pomocy. Boi się, że to nigdy się nie zmieni.

- To odwieczna historia - wymamrotał ojciec. - Mocni wierzą, że są mocni. Słabi uważają się za słabych. Sami się w ten sposób dobijają.

- Masz rację.

- Przewiduję, że następne będzie Silverwood. - Stary Tom grzebał drewnianym zapalniczki w fajce. - Przyszłość na to patrzeć.

- To straszne - odezwała się nagle Laura.

- Można oszaleć, prawda? - Stary Tom spojrzął na wnuczkę siedzącą przy sosnowym biurku, które trzydzieści lat temu zbudował dla syna.

- Tak.

- A widziałas, żeby góry dostawały szału?

- Oczywiście, że nie. Góry się nie denerwują, dziadku - odpowiedziała dziwiąc się, jak można zadać tak głupie pytanie.

- No właśnie. Góry się nie denerwują, nie walczą, nie płaczą. Jeśli człowiek tak robi, to jego sprawa i oznaka głupoty. Ziemia wie, że nic, co człowiek zniszczy, nie zostanie zniszczony na wieki. Przy każdym drzewie wyciętym przez człowieka znajdziesz młode drzewko, które je zastąpi. Przejdź się ulicą, a między płytami chodnika zobaczysz przebijającą się trawę. Człowiek buduje domy, miasta, ulice i ziemia mu na to pozwala. A pod tym wszystkim jest urodzajna gleba. Kiedy człowieka już nie będzie, ziemia wytrzeże po nim wszelki ślad. Popatrz na szyby starych kopalni. Powoli znikają ślady działalności górników. Przyroda pokazuje swoją moc. Zapamiętaj to.

- Dziadku, nie słyszałeś chyba o skażeniu środowiska? - popatrzyła na niego z politowaniem. - Kwaśne deszcze zniszczyły całe puszcze. Nasze otoczenie jest zagrożone przez toksyczne odpady...

Przerwał jej.

- Ale przyroda zwycięży. Może nie za twojego życia, może nawet nie za życia twoich wnuków, ale zwycięży. Człowiek może zabić innego człowieka, ale nie może zniszczyć przyrody. Ziemia będzie istnieć, nawet gdy ostatni człowiek zniknie z jej powierzchni. Siła przyrody jest nieskończona, a ziemia nigdy nie przestanie rodzić. - Przerwał na chwilę, aby sprawdzić drożność fajki. - To całe gadanie o dziurze ozonowej, skażonej wodzie i powietrzu nie wynika z troski człowieka o przyrodę, ale o siebie samego. Człowiek nie chce chronić Ziemi; chce uratować swoją egzystencję. Gdzieś w głębi duszy wie, że natura sama potrafi zadbać o siebie.

Bannon patrzył na zamyśloną Laurę, zastanawiając się, ile z tego zrozumiała, lecz córka wzruszyła ramionami i zabrała się znowu do lekcji.

- Mimo wszystko uważam, że to świństwo, że sprzedaje się Silverwood. Ciocia Sondra mówi, że ktoś na pewno zbuduje tam ośrodek narciarski, z wyciągami, sklepami, restauracjami i wielkimi domami. - Oparła koniec pióra o policzek. - Buffy uważa, że to świetnie. Może ma rację. Będę miała blisko i będziemy mogły w tygodniu jeździć z nią na nartach. Chce, żebyś kupiła sobie taki różowy kombinezon jak jej, żebyśmy do siebie pasowały. Ona ma już buty i wszystko co potrzeba. Świetnie w tym wygląda.

Zaduma i lekka zazdrość w jej głosie sprawiły, że Bannon odwrócił się z powrotem do kominka. Rzeczy. Ciuchy. Buty. Narty. Weekendy poświęcone zabawom. Jak miał ją przekonać, że nie należy zazdrościć koleżankom? Że nie o posiadanie chodzi w życiu? Rzeczy materialne nie zastąpią satysfakcji z dobrze przetrzeźwionego dnia, wspólnej radości i atmosfery miłości. Potrzeb duchowych nie można zaspokoić pieniędzmi. A bez zaspokojenia tych potrzeb życie nie ma sensu.

- Myślę, że pora spać. - Fajka powędrowała na stojak i Stary Tom wstał z fotela. - Moje stare kości potrzebują więcej odpoczynku niż dawniej.

Laura spojrzała i uśmiechnęła się do niego.

- Dobranoc, dziadku.

- Dobranoc, maluszkę - powiedział czule.

Idąc na górę musiał przejść obok kominka. Zatrzymał się przy Bannonie. Położył mu dużą, żyłastą dłoń na ramieniu.

- Mnie nie oszukasz, chłopcze - powiedział cicho. - To nie fakt, że Gregorowie się wyprzedają, cię martwi. To świadomość, że jeśli Silverwood zostanie sprzedane, zerwane zostaną ostatnie więzi.

- Popatrzył na Bannona ze smutkiem i zrozumieniem, cofnął rękę i zaczął wchodzić na piętro.

Patrząc na migocący żółty płomień Bannon słuchał, jak ojciec wchodzi po schodach. Nie wspomnieli o Kit, lecz obaj o niej myśleli.

Na moment wróciło wspomnienie sceny na wzgórzu. Znowu miał Kit przed oczami. Zniewalające ciepło jej uśmiechu, ciemniejący błękit oczu, kiedy się złościła, i silny głos, kiedy była z czegoś dumna. Była piękna i miała klasę, a co więcej, łączyła w sobie całe bogactwo kobiecości. Czasem roześmiana, czasem lekkomyślna, a czasami pełna tajemniczej zadumy.

Na to wspomnienie Bannon poczuł nagle pożądanie, które nie mijalo i które być może nigdy nie miało być zaspokojone. Z pochyloną głową patrzył na ogień. Przed oczami miał wciąż żywą przeszłość, od której nie mógł się uwolnić.

Na górze zaskrzypiały sprężyny łóżka, potem usłyszał głuchy łomot butów o podłogę. Zaległa cisza, w której slychać było tylko syk ognia i skrobanie po papierze. Bannon przez cały czas nie zmienił pozycji ani nie przestał patrzeć w ogień. Usłyszał kroki na werandzie. Ktoś zdążył zapukać trzykrotnie, zanim ruszył się od kominka.

Otworzył drzwi. Powiało wieczornym mrozem. Na progu stała Kit. Miała włóczkową narciarską czapkę wciągniętą na uszy. Ręce trzymała przy ustach, jakby chciała rozgrzać się chuchaniem.

- Cześć. - Oddech zamienił się w parę. - Czy zziębnięty podróżnik może ogrzać się przy twoim kominku? - Usta miała tak zmarznięte, że z trudem mogła mówić. Dygotała z zimna.

- Ty głuptasku. - Bannon wciągnął ją do środka. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak jest zimno?

- Nie - wymamrotała, trzęsąc się cała. - Jak opuszczałam ranczo, wiał rześki wiatr. Zapomniałam, że w górach temperatura tak szybko spada.

- Dziś ma być poniżej zera. - Chciał nią potrząsnąć, ale trzęsła się i bez jego pomocy.

- Już jest. - Kichnęła. - Dance zgubił podkowę i musiałam z nim iść parę kilometrów. Rozsiodłałam go i wprowadziłam do zagrody obok twoich koni. Nie masz nic przeciwko temu?

- Świetnie. - Z zaskoczeniem zauważył, że Kit trzyma w ręku futerał na strzelbę. - A to po co?

- To dla ciebie. - Dzwoniła zębami. - Ulubiona strzelba ojca. Na pewno chciałby, żebyś ją dostał. - Podąła mu broń. - To dzięki niej zdobył nagrodę. Zawsze nazywał tego Remingtona swoją szczęśliwą strzelbą.

- Pamiętam. - Bannon przejechał ręką po lufie i napotkał ciepłe spojrzenie Kit. - Zaopiekuję się nią.

- Wiem. - Uśmiechnęła się, teraz już dużo naturalniej, rozcierając zgrabiałe dłonie.

- Wyskakuj z tej kurtki i chodź do ognia - powiedział. - Zobaczę, czy w kuchni jest jeszcze gorąca kawa.

- Brzmi zachęcająco.

Odprowadziła go wzrokiem. Weszła do pokoju, zdjęła czapkę i rozpuściła włosy. Ogień migotał radośnie. Podeszła, zdejmując zeszytniałe skórzane rękawiczki. Zatrzymała się w pół kroku, kiedy zobaczyła obserwującą ją dziewczynkę. Dziecko miało oczy, włosy i twarz Diany. Wiedziała, że to nie Diana tylko jej córka, ale podobieństwo było szokujące.

- Cześć, Lauro. - Lekki ruch ust trudno byłoby uznać za uśmiech.

- Cześć - odpowiedziała wolno i chłodno Laura.

Kit zastanowiła się, co jeszcze mogłaby powiedzieć, ale dziewczynka ułatwiła jej zadanie, odwracając się do niej plecami i zagłębiając w podręcznikach. Ta manifestacja przyniosła Kit tak wielką ulgę, że aż się zawstydziała. Szybko podeszła do kominka, zwiększając jeszcze dystans wobec dziecka. Patrzyła na płonące drwa chowając czapkę i rękawiczki do kieszeni kurtki, która w taki ziąb na niewiele się zdała.

Kiedy Bannon wrócił z kawą, Laura wstała z krzesła.

- Idę do swojego pokoju - poinformowała i zebrała książki i zeszyty.

- Skończyłaś lekcje? - Zdał sobie sprawę z napiętej atmosfery i ciszy panującej w pokoju.

- Jeszcze muszę przeczytać historię. Zrobię to na górze - stwierdziła.

- W porządku. - Laura zaczęła wchodzić po schodach. - Lauro, może powiesz dobranoc pannie Masters? - zwrócił córce uwagę.

Odwróciła się i spojrzała na Kit.

- Dobranoc, panno Masters.

- Dobranoc, Lauro.

Bannon nauczył się wyczuwać, co kryło się za różnymi rodzajami ciszy czy uprzejmości Laury. Zdawał sobie sprawę z niechęci córki do Kit. Może to jego wina? Może nie powinien wspominać o sprzedaży Silverwood? A może niechęć miała inną przyczynę? Może chodziło o obecność obcej kobiety w domu? To też było możliwe.

Zanim zbliżył się do kominka, upewnił się, że Laura i weszła do swojego pokoju.

- Przepraszam. - Rzucił okiem w kierunku schodów. - Normalnie Laura jest miłsza.

- W porządku. - Kit wzięła kubek w dwie ręce i podniosła do ust.

- Wlałem trochę „Jack Danielsa” - ostrzegł, zanim whisky zdążyła zapiec ją w gardle.

Odchrząknęła.

- Tego mi było trzeba.

- Tak też myślałem - odpowiedział z uśmiechem i podniósł kubek do góry, żeby spróbować tej leczniczej kawy.

Kiedy piła następny łyk, dostrzegł, że ręce ma tak mocno zaciśnięte na kubku, aż zbieleły jej kostki. Nerwy? To niepodobne do Kit.

- Gdzie jest Stary Tom?

- Poszedł wcześniej spać.

- Powiedziałeś mi o moim pomysśle?

- Tak.

- No to chyba wciągnął mnie na czarną listę.

- Jak mu powiedziałem, to może wpisał, ale teraz już pewnie wymazał.

Przyglądał się jej i czuł, że pomimo pozornie dobrego nastroju coś ją trapi. Domyślał się, że nie mogło chodzić tylko o reakcję ojca.

- Stary Tom zawsze był dość tolerancyjny.

- Przyroda go tego nauczyła. Ona uczy nas wszystkich pokory. Nie przechytrzymy jej.

- Jasne. - Ruszyła pogrzebaczem, wzniciając iskry. - Co z tobą? Wciąż jesteś na mnie zły?

- Kit, ja nigdy nie byłem zły na ciebie tylko na twoją decyzję - wyjaśnił, chociaż wiedział, że wcale tego nie oczekiwała.

- W porządku. - Odłożyła pogrzebacz i podeszła do fotela Starego Toma oświetlonego małą lampką.

Chciał jej powiedzieć, żeby wróciła do ognia, gdzie było ciepło. Wiedział jednak, że kiedy Kit jest w takim nastroju, nie może usiedzieć w jednym miejscu.

- Co cię gryzie, Kit?

- Czy to aż tak widać? - Skrzywiła usta kładąc rękę na mosiężnej podstawie lampy. Poprawiła abażur.

- U ciebie tak.

- A ty, Bannon, kiedy masz rzucić się w nieznanne, to co robisz?

- Skaczę.

- Tak po prostu?

- Jeśli i tak masz skoczyć, to po co się zatrzymywać i myśleć?

- A co robić, jeśli ma się wybór - ryzykować czy zostać? - Zaczęła nerwowo spacerować po pokoju.

- Przecież nie jesteś typem osoby, która wahałaby się przed skokiem, Kit.

Przystanęła.

- Jesteś tego pewien?

- Jesteś kobietą o silnej woli.

- Nie wiem, czy to komplement - podeszła do pianina i uderzyła w biały klawisz.

- To po prostu prawda. - Bannon wypił łyk kawy i patrzył na Kit znad kubka.

Zaległa cisza. Po chwili Bannon przerwał milczenie.

- Co to za nieznanne, w które zamierzasz się rzucić?

Na chwilę spotkały się ich spojrzenia.

- Sława i to co się z nią wiąże.

- Chcesz tego?

- Chyba tak. - Usiadła przy pianinie.

Bannon ponuro patrzył w swój kubek, mocno zaciskając szczęki.

- No to skacz - powiedział z westchnieniem.

- Jesteś brutalny - powiedziała już znacznie energiczniej.

- Może. Myślę, że podjęłaś tę decyzję wiele lat temu, decydując się na wyjazd do Hollywood.

Doskonale to pamiętał. Teraz Kit stała się jedną z tych wielu osób, które przyjeżdżają do Aspen, żeby się bawić. Jej decyzja o sprzedaży Silverwood jest tego najlepszym dowodem.

- Nawet jeśli masz rację, to teraz zastanawiam się nad tym po raz drugi - westchnęła i usiadła przy pianinie.

- Zastanawiasz się, czy masz tremę? Trema to twoja specjalność - przypomniał Bannon

- Tak, zawsze mam tremę - przyznała Kit uśmiechając się i jednym palcem zaczęła wystukiwać melodię *Świeć, świeć, gwiazdeczko*. - To pierwsza piosenka, której nauczyła mnie twoja mama. Bardzo lubiłam przychodzić tu trzy razy w tygodniu na lekcje gry na pianinie. Oczywiście nie chodziło o same lekcje. Ja po prostu lubiłam tu być.

Otworzyła śpiewnik, próbując coś zagrać. Bannon podszedł do pianina. Przyciągnął go znajomy widok postaci pochylonej nad klawiszami. Światło migotało w jej jasnych włosach. Grała, śmiejąc się z popełnianych błędów, a Bannon cieszył się razem z nią.

Wreszcie skończyła i usiadła skulona z rękami na kolanach.

- Nie grałam od lat.

- To słyhać. - Bannon oparł się o pianino.

- Bardzo dziękuję. - Kit wstała i ze sterty nut wygrzebała książkę dla początkujących.

- Tu będzie coś dla mnie.

Kiedy sfalszowała już w trzecim takcie, podniosła rękę.

- To by było na tyle. Poddaję się.

- To ci się często zdarzało. Uciekałaś z lekcji. - Uśmiechnął się słabo.

- Zrezygnowałam na stałe, kiedy zrozumiałam, jak wiele nudnych ćwiczeń trzeba grać, żeby dojść do perfekcji, a i tak nie ma gwarancji, że się ją osiągnie.

Zamknęła książkę z utworami dla początkujących.

- Czy Laura się uczy?

Potwierdził.

- Zaczęła w tym roku. Nauczyciel twierdzi, że jest zdolna.

- Ja nie byłam. Zawsze wolałam słuchać niż grać. - Spojrzała na niego. - A ty wciąż grasz?

- Jak mam czas.

- Teraz masz. - Wzięła swoją kawę i odsunęła się, robiąc mu miejsce przy pianinie. - Zagraj coś dla mnie.

Bannon wahał się przez chwilę, po czym postawił kubek na pianinie i usiadł koło niej. Mocnymi palcami przebiegł po klawiszach.

- Jakies życzenia?

- Coś delikatnego. Na pociechę.

Kiwnął głową, pomyślał chwilę i zaczął grać. Kit próbowała rozpoznać utwór. Beethoven. *Acfaggio* z jednej z jego sonat fortepianowych. Nie pamiętała z której.

Usłyszała drobną omyłkę, ale nie przeszkodziło jej to w odbiorze. Braki techniczne Bannon nadrabiał muzykalnością. Palcami prawej ręki przebiegał po klawiaturze wydobywając delikatne tony, jakby samotne i zagubione bez akompaniamentu lewej dłoni. Dźwięki wznosiły się i opadały, by znów się wznieść, budząc nadzieję, zachęcając do poszukiwań. Bardzo odpowiadało to jej nastrojowi.

Jak dobrze ją znał. Jak bardzo, bardzo dobrze. A przecież tak naprawdę nie znał jej wcale. Oderwała wzrok od palców zręcznie i pracowicie biegających po klawiaturze i zaczęła mu się przyglądać. Powróciły dawne uczucia.

Spojrzał na nią ciemnymi oczami, unosząc kąciuki ust w uśmiechu. Zacerwieniła się, a serce zaczęło jej bić bardzo mocno. Przestraszyła się, że mógł to zauważyć. Że nic się nie zmieniło.

Schowała twarz za kubkiem z kawą zakrapianą whisky.

- Nie przerywaj - wyszeptała wstając i odsuwając się od niego.

Wróciła do kominka i usiadła w fotelu, podwinęła nogi i, zrelaksowana, pozwoliła unosić się muzyce.

Za oknami panował zmrok, ale w pokoju było ciepło i przytulnie. Solidne drewniane ściany odbijały blask ognia. Indiańskie dywaniki pasowały do pokoju równie dobrze jak pianino, na którym Bannon grał teraz klasyczne utwory, głównie Beethovena.

Kit skończyła kawę i postawiła kubek na kolanach. Rozluźniła się. Napięcie opadło. Była rozgrzana whisky i ogniem. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy słuchając.

Bannon zrobił króciutką przerwę przechodząc od Beethovena do Bacharacha. Pokój wypełnił się

lekką radosną muzyką. Kit roześmiała się, kiedy rozpoznała melodię *Krople deszczu kapią mi na głowę*. Bardzo lubiła ten utwór.

- Sprawdzam, czy nie śpisz - powiedział z rozbawieniem.

- Nie śpię - zapewniła.

Zabrzmiały końcowe akordy. Kit otworzyła oczy słysząc kroki na sosnowej podłodze.

- Jeszcze kawy?

- Tylko nie tak dużo whisky. - Podała mu kubek.

- Nie możesz pić?

- Dziś nie. Zbyt dużo się wydarzyło.

- Znam to uczucie. - Wziął kubek i poszedł do kuchni.

Kit odwróciła się do kominka. Ogień migotał wesoło. Po chwili wrócił Bannon z kawą. Postawił kubek na stoliku. Popatrzyła na parujący napój i postanowiła poczekać, aż ostygnie.

Swój kubek Bannon postawił na kominku i dołożył drewno do ognia. Kit spoglądała na niego, gdy stał obserwując płomienie.

- Zmęczona?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, jest mi cudownie. W tym domu zawsze czuję się dobrze i bezpiecznie. - Powiodła wzrokiem po drewnianych belkach sufitu. - Jest taki mocny. Nic go nie ruszy. Ani zimowe wiatry, ani deszcz, ani światowe konflikty, nic. Wszystko przemija, a ten stary drewniany dom po prostu sobie stoi. - Uśmiechnęła się. - Pewnie myślisz, że się rozklejam.

- Nie. - Jeszcze raz dokładnie spojrzął na tłące się kawałki drewna. - Ten dom przetrwał wiele burz i kłopotów. Wielu ludzi spędziło całe życie tu, w Stone Creek. Jest przesiąknięty uczuciami.

- To się udziela i mnie. - Zadumała się. - Gdy tu siedzę, wydaje mi się, że wszystko, co dzieje się na zewnątrz, nie ma już znaczenia.

Bannon zauważył, że nie jest już tak napięta jak poprzednio. Powieki opadały jej ze zmęczenia. Siedziała, pełna gracji, wygodnie oparta w fotelu, odprężona.

- Pewnie właśnie dlatego tak lubiłam tu przychodzić - powiedziała po chwili namysłu. - Jeszcze jako mała dziewczynka zdałam sobie sprawę, że coś niedobrego dzieje się między moimi rodzicami. A może milczenie matki sprawiało, że nie czułam się dobrze w domu. Teraz już nie pamiętam. Ale ten dom stał się moim schronieniem. Pomógł mi przetrwać zagubienie i poczucie winy po rozwodzie rodziców. Dawał mi oparcie, stabilizację.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- „Stabilizacja”. To słowo brzmi dziwnie w twoich ustach.

Kit odepchnęła podnózek i wstała.

- Gdyby ktoś mnie wtedy nie przygarnął, pewnie bym się zmarnowała.

Włożyła ręce do kieszeni dżinsów i podeszła do kominka.

- A czy teraz masz takie miejsce, gdzie możesz znaleźć oparcie?

- Chyba nie mam go w ogóle - powiedziała z pozorną nonszalancją w głosie.

Zdała sobie sprawę, że zawsze takim miejscem było Stone Creek. Aż do czasu kiedy Bannon z nią zerwał.

- Może to właśnie jest mój problem - wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

Zerknęła na niego, umykając wzrokiem. Poczowała, że znów wpada w nurt spraw dawno już wyjaśnionych i minionych. Widziała, że i on boi się napotkać jej wzrok.

Idąc za jego spojrzeniem zauważyła, że patrzy na zdjęcie swojej zmarłej żony, które stało na kominku. Wiele lat temu doszła do wniosku, że Diana była piękna. Miała czar, który przyciągał mężczyzn. Kit starała się wzbudzić w sobie nienawiść do twarzy na fotografii, ale dostrzegła w niej jakąś bezbronność, która na to nie pozwalała.

- Dużo o niej myślisz? - Kit dotknęła tematu, którego dotąd nie poruszali. Instynktownie czuła, że Bannon nie miał na to ochoty.

- Myślę o wielu sprawach. - Zdjął ręce z kominka i wyprostował się.

- Na pewno myślisz o niej - naciskała. - W nocy. Kiedy jesteś zmęczony. Kiedy czujesz się samotny.

- Kit. - W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

Nie zważając na to, przyglądała mu się krytycznie. Był dużym mężczyzną, silnym, żywotnym. Mężczyzną w kwiecie wieku. Myślał jak mężczyzna, miał męskie pragnienia. Same wspomnienia, jakiegokolwiek by były, to za mało. Duch tej kobiety nie mógł mu wystarczyć.

- Powinieneś się ożenić.
Spojrzał na nią ze zdziwieniem i złością.
- Myślę, że to moja sprawa - powiedział chcąc przerwać rozmowę na ten temat.
- Czy udało ci się kiedykolwiek zamknąć mi usta? - Oboje wiedzieli, że nigdy. - Wiesz, że mam rację. Laura jest już w wieku, w którym szczególnie potrzebuje matki.
Kit zbyt dobrze pamiętała, kiedy sama zadawała matce pytania i dostawała do czytania różne broszurki. Ale suche fakty nie pomagały w zrozumieniu uczuć.
- Wiem - powiedział obcesowo.
- No to zrób coś - poradziła, wskazując na zdjęcie Diany. - Ten etap jest już zamknięty. Przystań się w nią wpatrywać, jakby miała tu kiedyś wrócić. Nie patrz w przeszłość. Taki facet jak ty nie powinien żyć tylko rozpamiętywaniem tego, co minęło.
Naprawdę tak myślała.
- Kit, przestań. - Zdenerwował się. Złapał ją za ręce, jakby chcąc powstrzymać przed daniem mu kolejnych rad.
To dotknięcie było błędem. Zrozumiał to od razu. Było jednak za późno. Poczł znaną, nieodpartą chęć, by ją pocałować.
Chwycił ją mocniej i zaczął obsypywać pocałunkami, nieprzytomny z pożądania, gniewu, chcąc ukoić ból i żal.
Ona też tego potrzebowała. Zrozumiała, że nic się nie zmieniło. Pragnęli siebie jak dawniej. Ta sama rozkosz, to samo bezgraniczne zdziwienie, ta sama potrzeba zaspokojenia. Czowała się szczęśliwa.
Pogładził ją delikatnie po policzku. Popatrzył w oczy, przyprawiając ją tym o dreszcze i odsunął się. Kit wydawało się, że cień przemknął mu po twarzy. Zrozumiała, że znów wspomina Dianę.
Na chwilę zamarła. Przeszył ją nagły, ostry ból. Czowała, że za chwilę się rozplacze. Jednak udało jej się powstrzymać łzy. Była zbyt dumna, by płakać.
- Kit - zaczął Bannon poważnym głosem.
Przerwała mu.
- Powiedzmy sobie, że nasza wyprawa w przeszłość poszła trochę dalej, niż oboje mieliśmy na to ochotę. Nie wracajmy już do tego - zaproponowała spokojnie, lecz stanowczo. - Pora na mnie. Dobranoc.
Sięgnęła po kurtkę i skierowała się do drzwi. W połowie drogi zakłęła, przystając.
- To tyle, jeśli chodzi o teatralne wyjście. - Odwróciła się i popatrzyła z uśmiechem na Bannona. - Możesz mnie podwieźć. Zapomniałam, że mój koń został w twojej stajni.
Na jego twarzy również pojawił się wyraz rozbawienia.
- Chwileczkę. Tylko powiem Laurze, gdzie idę.
- Dobrze. Poczekam na zewnątrz.
Bannon poszedł do córki, a Kit włożyła kurtkę i naciągnęła czapkę i rękawiczki. Wyszła na mróz, upajając się jego ostrą rzeźkością. Przeszła przez ganek, żeby zaczekać na schodach.
Księżyc zdążył już przewędrować połowę swej drogi po niebie. Mżył zimnym blaskiem, jak zawieszony w górze kawałek lodu. Ostra zima stała tuż za progiem.
Kit powiedziała pod nosem:
- Wiesz, Bannon, zdaje się, że prześladują nas te same duchy z przeszłości. Jedyna różnica polega na tym, że twój nie żyje.
Otworzyły się drzwi. Dla niej był to sygnał do zejścia na dół. Stone Creek dzielił od Silverwood niewielki kawałek drogi, ale wiedziała, że dziś ta podróż będzie się dłużyć w nieskończoność.

Rozdział dziewiętnasty

Na Red Mountain, w salonie położonego na zboczu góry domu Sondry Hudson światła gasły jedno po drugim. Służąca, rodowita Angielka, Emilia Boggs, zgasła ostatnią lampę i zatrzymała się przy oknie, by podziwiać wspaniale rozświetlone Aspen. Pełen złośliwej satysfakcji uśmiech na krótko wykrzywił jej zwiędłe wargi, kiedy pomyślała, jak bardzo zazdrosna będzie jej siostra z Kornwalii, gdy przyjedzie odwiedzić ją w styczniu.

W chwili gdy dotykała złoconego oparcia ozdobnego krzesła, Emilia Boggs zdecydowała, że ona i jej siostra Usiądą właśnie tutaj, będą popijać drobnymi łyżkami sherry i jeść od niechcenia smakowite kąski z dobrze zaopatrzonej kuchni jej chlebobawczyni, oglądając jednocześnie paradę z pochodniami i fajerwerki wybuchające nad górą z drugiej strony doliny.

Uśmiechając się pomyślała, że oprócz wysokiej pensji są jeszcze inne zalety mieszkania wraz z panią, szczególnie gdy ma się nienasycone pragnienie przebywania wśród bogatych, a ani umysł, ani uroda na to nie pozwalają. Istnieją jednak także obowiązki, o których przypomniała sobie z westchnieniem i obciągnawszy dżersejowy uniform, skierowała się do wyjścia.

Jej praktyczne obuwie o miękkich podeszwach nie wydawało prawie żadnego odgłosu, gdy szła po podłodze z czarnego marmuru. Po chwili znalazła się w korytarzu, podążając do głównego apartamentu.

Drzwi stały otworem. Każdy kąt utrzymanego w czarno-czerwono-złotej tonacji pokoju skąpany był w świetle. Emilia Boggs zatrzymała się w progu. Na widok swojej chlebodawczyni siedzącej pośrodku królewskich rozmiarów łoża ściągnęła usta. Na rozpostartej złocistej satynie leżały porozrzucane papiery i rysunki. Nigdy nie była w stanie zrozumieć, dlaczego jej pani niezmiennie przynosi pracę do sypialni, mając na końcu korytarza wspaniały gabinet o ścianach ze szkła i marmuru. W łóżku się śpi lub dzieli się je z mężczyzną, ale nie jest ono warsztatem pracy. Nic nie było w stanie zmienić tego stanowczego sądu Emilii Boggs. Jej chlebodawczyni w zasadzie mieszkała w sypialni. Reszta domu mogłaby równie dobrze zapaść się pod ziemię - nie korzystała z niej zupełnie, chyba że wydawała przyjęcia lub przychodziła jej młoda siostrzenica albo Bannon.

Bannon. W ciągu paru pierwszych miesięcy pracy u Sondry Hudson Emilia Boggs zorientowała się, że jej pani beznadziejnie pragnie poślubić męża swej zmarłej siostry. Przez siedem następnych lat pracy Emilii w tym domu sytuacja nie uległa zmianie. Owszem, Emilia doskonale widziała, że to, iż pannie Hudson wciąż nie udawało się zaprowadzić Bannona do ołtarza, powodowało, że pragnęła go z jeszcze większą determinacją.

Emilii przypomniawszy się młodszy brat, który wiele lat temu zaczął zażywać heroinę. Lekarze przepisali mu jakiś inny narkotyk, żeby go odzwyczaić. Bez skutku. Nic, oprócz heroiny, nie dawało mu satysfakcji. W końcu nałóg zabił Teddy'ego.

Wspomnienie śmierci brata skłoniło Emilię do ofiarowania cichej modlitwy za jego biedną duszę. Potem przesunęła się nieznacznie i czekała, aż jej pani wyjrzy zza notatek, nie wąpiąc ani przez moment, że Sondra Hudson wie, iż ona tu stoi. W żadnym wypadku nie miała ochoty na ostrą, zjadliwą reprimendę za rozpraszenie uwagi pani. Popeliła już kiedyś ten błąd i dostała nauczkę.

Zgodnie z najlepszą angielską tradycją Emilia Boggs stała w miejscu, sztywna i cicha, przypatrując się kobiecie o srebrzystoblond włosach siedzącej pośrodku łoża, dyskretnie eleganckiej w gładkim kimonie z czarnego ałtasu.

- Czego chcesz, Emilio? - Sondra uniosła głowę, lecz skierowała wzrok na czarno lakierowaną szafkę z mosiężnymi okuciami stanowiącą obudowę telewizora, który jak zauważyła Emilia, był włączony, chociaż nie dobiegał z niego żaden dźwięk.

- Czy życzy sobie pani, abym zabrała tacę? - zapytała z nienagannym angielskim akcentem, który pomagał jej zarobić tygodniowo pięćdziesiąt dolarów więcej, niż zwyczajowo otrzymywała służba w Aspen.

- Tak.

Sondra w dalszym ciągu bardzo uważnie obserwowała przesuwające się na ekranie oszłamiające górskie krajobrazy i jesienne pejzaże.

Emilia wkroczyła do pokoju i skierowała się w stronę komody, która służyła jako szafka nocna. Znajdował się na niej posiłek, który przygotowała dwie godziny temu. Zauważyła, że po włoskiej sałatce z krewetek z pomarańczami nie zostało nawet śladu, zniknął również ziołowy serek, ale porcja czekoladowego tortu z orzechami była zaledwie napoczęta. Spojrzała na wspaniały deser, przypominając sobie błogi smak tortu, którego spróbowała, gdy wycierała nóż i oblizywała krem z palców.

- Czy mam zostawić tort? Prawie go pani nie tknęła.

- Nie mam ochoty.

- Tak, proszę pani.

Emilia Boggs podniosła tacę, już myśląc o tym, że filiżanka herbaty pięknie będzie pasować do tortu. Oczywiście nie miała zamiaru go wyrzucić.

- Cee Cee Hunt będzie około dziesiątej jutro rano - poinformowała ją Sondra, nie odrywając oczu od ekranu. - Chce jeszcze raz zmierzyć coś w salonie. W suficie trzeba wywiercić otwór potrzebny do zamontowania dekoracji, którą wymyślił na przyjęcie z okazji Halloween. Być może kogoś ze sobą przyprowadzi. Nie wiem czy na pewno, ale wpuść ich.

- Jak pani sobie życzy.

Ruszyła cicho do drzwi z tacą w ręku, lecz zatrzymała się w progu.

- Czy będzie pani potrzebowała jeszcze czegoś dziś wieczór?

- Tylko kawę.

Emilia stłumiła westchnienie.

- Mieszanka kolumbijska?

- Poproszę.

Kiedy służąca wyszła, na ekranie telewizora pojawiły się szare zygzaki sygnalizujące koniec taśmy. Sondra zatrzymała pilotem taśmę i wcisnęła przycisk przewijania, a potem rzuciła okiem na notatki. Kilka niewielkich przeróbek i film będzie gotowy dla Lassitera. Spojrzała na leżące na łóżku plany i szkice rozwiązania przestrzennego, które nazwała „Silverwood”. Kosztorys tego przedsięwzięcia był już gotowy, co znaczyło, że będzie mogła zaprezentować wszystko Lassiterowi do końca tygodnia.

W żaden sposób nie mógł odrzucić takiej oferty, niejeden raz bowiem widział wyliczenia spodziewanych zysków. Na myśl o tym, jak jego oczy rozszerzą się, gdy zobaczy cyfry, Sondra, wygodnie oparta o wezłowie złożonego łoża, wydała z siebie krótki gardłowy chichot, schwyciła jedną z haftowanych poduszek i przycisnęła do siebie, rozkoszując się jej puchową miękkością.

Łagodny sygnał telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Wzdychając, podniosła słuchawkę z widełek nie zmieniając położeń pozycji.

- Halo? - Przysunęła słuchawkę do ucha.

- Sondra? To ja, Warren.

- Słuchaj, Warren... - Zaczęła wyjaśniać, że właśnie przeglądała taśmę wideo, ale przerwał jej.

- Czy twój „chłopak” powiedział ci, czym się zajmuje?

- Bannon? - Zmarszczyła brwi zmieszana. - O czym mówisz?

- Wisi na telefonie od zeszłego tygodnia, wydzwanając do wszystkich większych instytucji i fundacji ochrony środowiska w kraju, wciskając im pomysł kupienia rancza Mastersów.

- Co? - Sondra usiadła, wciąż ściskając poduszkę.

- Nie wspomniał ci o tym?

- Nie - odpowiedziała, myśląc, że zdecydowanie powinien był to zrobić. - Ale to nie ma znaczenia. Wszystkie te instytucje działają bardzo opieszale, a niewiele z nich ma tyle pieniędzy, by choćby zbliżyć się do ceny wyjściowej. Zdażę je sprzedać, zanim otrzyma jakąkolwiek ofertę od którejś z nich.

- Prawdopodobnie masz rację.

- Nawet na pewno.

Dlaczego Bannon nie wspomniał nic o tym? Dlaczego nie poprosił jej o pomoc? To bardziej ją zmartwiło niż jego działanie.

- Czy to jest wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, Warren?

- Tak.

- Więc do zobaczenia rano.

Przerwała połączenie i natychmiast po usłyszeniu sygnału zatelefonowała do Bannona na ranczo. Po czwartym dzwonku odebrała Laura.

- Stone Creek, słucham.

Sondra opanowała początkową irytację i powiedziała uprzejmie:

- Lauro, myślałam, że będziesz już w łóżku. Nie skończyłaś jeszcze odrabiać lekcji?

- Mam do przeczytania jeszcze parę stron książki do historii.

- No cóż, nie będę ci przeszkadzać. Mogłabyś poprosić tatę?

- Nie ma go jeszcze.

- Nie ma?

- Nie. Pojechał odwiedzić ją do domu. - Laura nadała temu słowu odcień sarkazmu.

Sondra intuicyjnie wiedziała, kogo ma na myśli.

- Kit Masters była u was dziś wieczorem? Czego chciała?

- Nie wiem - odburknęła Laura. - Poszłam do swojego pokoju. Ale słyszałam, jak prosiła go, żeby zagrał dla niej na pianinie „coś łagodnego i kojącego”.

- Zrobił to? - Skrzywiła usta w napięciu, a jej palce coraz mocniej wpijały się w poduszkę.

- Tak, zagrał kilka cikliwych kawałków z Beethovena. Przyprawiło mnie to o mdłości.

- Wyobrażam sobie - syknęła Sondra tłumiąc wściekłość.

- Czy mam zostawić karteczkę dla tatusia, żeby zatelefonował, kiedy wróci?

- Nie. Ja... porozmawiam z nim jutro.
- Będzie mu przykro, że go nie zastałaś.
- Dobranoc, Lauro - powiedziała Sondra, starając się panować nad głosem, i odłożyła słuchawkę.

Zostawiwszy herbatę w imbryczku, żeby naciągnęła, Emilia Boggs ustawiła na małej tacy filiżankę, spodeczek oraz porcelanowy dzbanek do kawy i ruszyła w stronę sypialni swej pani. Mijając pozłacane lustro w korytarzu, spostrzegła zdradziecki okrusz tortu w kąciku ust. Szybko zlizwała ten dowód nagannej degustacji.

Zanim doszła do głównego apartamentu, wyszła z niego majestatycznie krocząc Sondra. Spod fałd czarnego kimona widać było jej długie nogi.

- Sprzątnij ten bałagan - warknęła przechodząc.
- Jaki bałagan? - zapytała nieco zmieszana Emilia.

Kiedy nie udało jej się uzyskać odpowiedzi, weszła do sypialni i zamarła z otwartymi ustami. Pierze. Miękkie, puszyste pierze było wszędzie, lecz największa sterta puchu leżała na łóżku, obok rozprutej haftowanej powłoki na poduszkę.

- Naprawdę bałagan. - Przez chwilę Emilia Boggs obserwowała sypialnię, po czym zabrała się do sprzątniania, chociaż zupełnie nie wiedziała, od czego zacząć.

Światła reflektorów wymacywały w ciemności drogę. Bannon nie odrywał wzroku od przedniej szyby, nawet przez moment nie pozwalając sobie spojrzeć w kierunku Kit. Jednak wyczuwał jej obecność, każde jej poruszenie, ciepło jej oddechu.

Kiedy dotarli w końcu do rancza Silverwood, światła półciężarówki oświetliły białego range rovera zaparkowanego przed domem.

- Wygląda na to, że masz towarzystwo.
- Pewnie przyjechali Paula i Chip. A może John wrócił z Los Angeles?

Otworzyła drzwi, gdy tylko furgonetka zatrzymała się.

- Dziękuję za podwiezienie, Bannon.

Skinął głową w odpowiedzi, czując podmuch zimnego powietrza, który wdarł się do ogrzanej kabiny, gdy Kit wydostawała się z wozu. Odczekał minutę, niezgodnie ze swoim zwyczajem, patrząc, jak szybkim krokiem idzie do domu. Jakiś mężczyzna wyszedł z cienia werandy na jej spotkanie. Jego złote włosy lśniły w blasku księżyca. Bannon pośpiesznie odjechał, nie chcąc widzieć, w jaki sposób Kit przywita się z tym mężczyzną.

Wpadła mu prosto w ramiona.

- Cześć. - John złożył mocny pocałunek na jej wargach.

Czując gorący oddech Johna, Kit chłonęła zapach jego kosztownej wody kolońskiej. Nie chciała, świadomie czy nieświadomie, porównywać tych dwóch mężczyzn. Nie byłoby to uczciwe wobec Johna i wobec niej samej. Lecz wiedziała, że jest to nieuniknione.

- Tęskniłaś za mną? - Potarł nosem jej ucho.

Cofnęła się o krok, opierając się łokciami o niego, aby zachować pewien dystans.

- Myślałam, że uciekłeś - stwierdziła niewinnie, pokrywając fałszywą swobodą niezręczność chwili.

Jego oczy błyszczały humorem, co przyniosło jej wielką ulgę.

- Zapłacisz mi za to.

- Zapraszam do środka, bo tutaj przemienimy się w sople lodu - ostrzegła Kit, wyslizgując się z jego ramion i kierując w stronę domu.

John podążył za nią.

- Nie wydaje ci się, że mógłbym zupełnie wystarczająco cię ogrzać?
- Nie wtedy, gdy mam na sobie ubranie - powiedziała, wchodząc do wnętrza.
- Różne myśli chodzą mi teraz po głowie.

Zaśmiała się i zdjęła czapkę rozpuszczając włosy potrząśnięciem głowy.

- Wiedziałam, że tak będzie.

W progu kuchni zobaczyła Paulę. Jej ciemne futro z norek przewieszane było przez poręcz schodów.

- Cześć. Jak tam kolacja?

Poczuła ulgę. Tej nocy nie chciała być w domu sama z Johnem. Bała się, że dzisiaj przyciągnęłoby ją do Johna tylko pożądanie, a nie miłość. Czuła, że robi je to różnicę.

- Tucząca. - Paula ściągnęła klips i potarła ucho.

- Czy to możliwe, że słyszałam odjeżdżający samo chód? Z twojej karteczki wynikało, że pojechałaś Wierchem. Na końskim grzbiecie.

- Tak, ale Dance zgubił podkowę. Miał bardzo obolałe kopyta, więc gdy dotarliśmy do Stone Creek, zostawiłam go, a Bannon podwiózł mnie do domu.

Kit ściągnęła rękawiczki i kurtkę, starannie unikając domyślnego spojrzenia zielonych oczu Pauli. Czasami te oczy widziały zbyt dużo. Chciała rzucić kurtkę na pobliskie krzesło, ale wstrzymała się, widząc ułożone na nim pudła na ubrania.

- Co to jest? - Podeszła, żeby zbadać ich zawartość.

- Kostiumy na przyjęcie wydawane przez Sondrę z okazji Halloween - wyjaśnił John. - Kiedy byłem w Los Angeles, przeszedłem się po sklepach z różnymi ciuchami i przywiozłem kolekcję, z której możecie wybrać coś dla siebie.

- Ale zabawa! - Zadowolona, że pojawił się nowy temat. Kit uniosła wieko znajdującego się na górze pudła. - Co przywiozłeś?

- Wszystko. Od strojów z lat dwudziestych po cygańskie.

Obserwując Kit John pomyślał, że zachowała w sobie naturalną radość dziecka otwierającego paczkę z prezentami gwiazdkowymi.

- Cyganka - to ty, Paulo - powiedziała bez wahania Kit. - A czy jest tutaj kostium czarownicy? - Czasami chciałabym nią być.

- Przepraszam, nie ma - rzekł rozbawiony John. - Nie przyszło mi do głowy, że taki strój może do ciebie pasować.

- Pasować? - Kit spojrzała na niego zmrużonymi oczami. - Nie podoba mi się ta uwaga.

- A powinna, zważywszy, że zdajesz się mieć moc rzucania uroków.

- Nie jesteś czasem zbyt gładkim rozmówcą dziś wieczór? - złała go.

- To jest właśnie czar, który rzuciłaś. - John zapalił papierosa.

- Niech ci będzie...

Delikatna bibułka zaszeleściła głośno, kiedy Kit zdejmowała ją, żeby zobaczyć kostium. Podskoczyła z radości.

- Paulo, spójrz na to. To jest wspaniałe.

Podniosła staroświecką kamizelkę, długą błękitną spódnicę i jedwabną nakrapianą bluzkę zapinaną pod samą szyję, z długimi rękawami i poduszkami podnoszącymi ramiona. Chwilę później dostrzegła wysoko sznurowane niebieskie buty z czarnymi sznurowadłami.

- O! Są nawet buty do kompletu. - Spojrzała na Johna. - Jakie ładne!

Opuścił rękę, w której trzymał papierosa, uważnie przyglądając się Kit.

- Mogłabyś być dziewczyną z ilustracji Gibsona - bardzo kobiecą, ale mającą w sobie coś z feministki.

- Nie masz przypadkiem wrażenia, że on coś wypił, Paulo? - Kit spojrzała na Johna podejrzliwie, po czym odłożyła strój do pudła. - Zabaw go przez chwilę, a ja wstawię kawę, żeby go otrzeźwić.

Zdawało się, że pokój pogrzyżył się w mroku, gdy zniknęła w kuchni. John zaciągnął się papierosem i spojrzał na Paulę, która odprowadzała Kit wzrokiem.

- Kit jest w doskonałym humorze dziś wieczór - zauważył, przerywając milczenie.

- Spójrz na to z innej strony - zasugerowała oschle Paula, ściągając ostrym szarpnięciem drugi klips.

- Moim zdaniem jest zbyt promienna i zbyt radosna, jeżeli już o to pytasz. Być może wróciłeś w samą porę, John.

Uniósł głowę.

- Możesz mi to wyjaśnić?

Paula wyjęła płaską złotą papierośnicę ze swojej wieczorowej torebki i zapaliła papierosa.

- Kit zaczyna odczuwać nieprzyjemne skutki popularności - zazdrość i podłość zakompleksionych ludzi - Rozsiadła się na kanapie zakładając nogę na nogę. - A ona to źle znosi.

- A kto to lubi? Ale przecież po jakimś czasie można się z tym oswoić.

Zaczął się jednak obawiać, że Kit może zobojętnieć i stać się cyniczna, że może przestać ufać ludziom przestać troszczyć się o nich, bojąc się bliższych związków i zranienia. Nie chciał widzieć jej wciągniętej w hollywoodzkie rozgrywki, a ostatnia podróż do Los Angeles szczególnie wyraźnie przypomniła mu o wszystkich zagrożeniach wynikających z walki o sławę. Chciał powiedzieć Lassiterowi, że ma gdzieś jego pieniądze, lecz potrzebował ich, tak jak potrzebował popularności - i zgadzał się na daleko idące ustępstwa.

Chciał obronić Kit przed tym wszystkim. Zaczęło mu na niej zależeć, a wiedział, że w jej przypadku nie może poprzestać na połowicznych rozwiązaniach. Ofiarowywała się całkowicie i w zamian żądała tego samego.

Zaciągnął się głęboko dymem, lecz po chwili zdusił papierosa w popielnicze.

- Uodporni się - stwierdziła Paula. - Będzie musiała. Obydwoje to wiemy. Tylko teraz jeszcze się przed tym opiera. - Spojrzała na frontowe drzwi. - No i ten ranczer Bannon. Możesz mieć w nim rywala, John.

- W ranczerze? - Uniósł brwi w zdumieniu.

Paula uśmiechnęła się.

- Ostrożnie, John. Nie bądź taki zarozumiały. Właśnie w nim. Kit kiedyś myślała, że się pobiorą - dopóki nie ożenił się z inną. Mam teraz wrażenie, że gdyby ją poprosił, rzuciłaby wszystko i wyszła za niego. Uważałyby, że odrzucenie takiej szansy dla jakiejś historii łóżkowej byłoby grzechem. Tylko talent rozwija się z latami. Miłość umiera.

- Kit ma rację. Jesteś cyniczką.

Paula zaśmiała się gardłowo.

- Przyganiał kociół garnkowi.

- O co chodzi z tym kotłem i garnkiem? - Kit weszła do pokoju niosąc tacę z kawą i filiżankami. - Pewnie plotkowaliście o mnie, kiedy nie było mnie w pokoju. To nieładnie.

- Nic nie straciłaś.

Po wypiciu tylko jednej filiżanki kawy John przez parę minut palił papierosa, a potem wymówił się od towarzystwa zmęczeniem po długim locie do Aspen. Kit poszła go odprowadzić. Poczekala, aż usłyszy ruszającego range rovera, po czym zgasiła światło na werandzie.

- Jeszcze jedną filiżankę? - zapytała Paula.

- Mogę się napić - odpowiedziała, wchodząc do salonu.

Paula nalala kawę. Jej aromatyczny zapach rozszedł się dookoła, lecz Kit nie potrafiła się nim teraz rozkoszować. Nie mogąc znieść panującej ciszy, zapytała:

- Udał ci się wieczór z Chipem?

Paula skinęła głową.

- A ty? Miło spędziłaś czas z Bannonom?

Nie wiedząc czemu. Kit odczuła potrzebę wytłumaczenia się ze swojej wizyty u Bannona.

- Pojechałam dać mu ulubioną strzelbę ojca. Na pewno chciałby mu ją ofiarować.

- I to wszystko?

- Wszystko. - Zakłopotana Kit podeszła do fotela, nerwowo zaciskając dłoń na oparciu.

- Chyba nie czekasz wciąż na Bannona po tym wszystkim? - dopytywała się niecierpliwie Paula.

- Nie czekam. - Kit potrząsnęła przecząco głową. - Kobieta nie czeka na rzeczy, których nie może mieć. Jesteś kobietą, Paulo. Powinnaś wiedzieć, że jesteśmy na to zbyt praktyczne. - Posłała Pauli smutny uśmiech. - Kobiety są realistkami. To mężczyźni są idealistami i romantykami. Kiedy mężczyzna się zakochuje, a potem traci tę miłość, nigdy nie zapomina, nigdy nie pozbył się złudzeń. Może zaspokajać swoje potrzeby z kil innym, gdzie indziej szukać przyjemności, ale jego ser pozostaje przy tej, którą stracił. - Przeciągnęła ręką po narzutce na fotel. - Tak jak mój ojciec.

- I jak Bannon? - zgadywała Paula.

Kit powstrzymała się od komentarza.

- A my, kobiety - kontynuowała nieco pogodniejszym tonem - kiedy przegrywamy w miłości, cierpimy, płaczymy lub szalejemy z rozpacz. A potem musimy się jakoś pozbierać i dać sobie radę w życiu. - Przerwała - Czy udzieliłam ci odpowiedzi na twoje pytanie?

- Tak, chociaż zastanawiam się, na jakim jesteś etapie. Cierpisz czy szalejesz z rozpacz?

- Daję sobie radę w życiu - stwierdziła stanowczo Kit.

Paula uważnie przyjrzała się przyjaciółce. Nie do końca była przekonana, że tak jest w istocie.

Rozdział dwudziesty

Odrzutowiec należący do Lasco Industries wylądował w pobliżu budynku obsługi lotniska Sardy Field w Aspen. Wśród cichnącego huku silników załoga naziemna zablokowała koła maszyny. Po paru minutach z samolotu wyłonił się J. D. Lassiter ubrany w czarny wełniany płaszcz. Nie zwrócił większej uwagi na stojącą przy trapie Sondrę Hudson. Zatrzymał się, rozglądając dookoła jak polityk odwiedzający swoje okręgi w trakcie kampanii wyborczej i przyjmujący należne mu oznaki uwagi.

Rozmawiał chwilę z mężczyzną, który podszedł do niego. Popołudniowe słońce załśniło w jego lekko przyprószonej siwizną włosach. Nie przestając się uśmiechać, Sondra czekała, aż Lassiter zejdzie w dół po trapie.

- Witam panią.

- Dobry wieczór.

- Mamy cudowny dzień - zauważył, spoglądając w błękitne niebo. - Czy zamówiła pani pogodę specjalnie dla mnie?

- Myślałam, że ta pogoda to pana zasługa - odpowiedziała.

Na jego opalonej, czerstwej twarzy pojawił się uśmiech, który jednak nie złagodził przenikliwości spojrzenia.

- Miło mi to słyszeć - rzekł, po czym przedstawił jej szczupłego mężczyznę o jasnych włosach, Roba Hoeugha.

Sondra pomyślała, iż zapewne jest on architektem. Odczuwała pewne podniecenie. Sprzedaż wydawała się być przesądzona, a w takim wypadku pozostały do załatwienia jedynie formalności.

- Podczas lotu miałem sposobność ponownego przejrzenia taśmy wideo, którą mi pani wysłała, a także projektów zabudowania parceli. Posiadłość wydaje się być całkiem obiecująca.

- Gdy tylko znam wymagania klienta, robię wszystko, co w mojej mocy, aby wyszukać ofertę, która je spełni. Myślę, że zgodzi się pan, że ta parcela ma szansę stać się drugim Aspen czy Snowmass.

- Gdybym tak nie myślał, nie byłoby mnie tutaj.

- Zaczynamy w takim razie? Helikopter czeka. - Uniesioną ręką wskazała śmigłowiec stojący w pewnej odległości od samolotu.

Łopaty wirnika obracały się wolno, wydając charakterystyczny dźwięk. Silnik pracował na jałowym biegu.

- Widok z helikoptera da panu możliwość ujrzenia posiadłości z perspektywy. To pozwoli panu lepiej ocenić zarówno walory krajobrazu, jak i lokalizację.

- Chodźmy. - Lassiter skierował się prosto do meksa, którym mieli podjechać do helikoptera.

Gdy tylko znaleźli się we wnętrzu śmigłowca, pilot wystartował, kierując się nad dolinę koło Aspen.

Tego samego dnia wcześniej Sondra przelatywała już tędy z pilotem, zaznajamiając go z topografią terenu i wskazując miejsca, na które chciała zwrócić Lassiterowi szczególną uwagę. To przygotowanie pozwoliło jej zdecydowanie wypowiedzieć się na temat parceli. Nie musiała przy Lassiterze używać słów: „być może” czy „myślę, że”.

Lassiter przyjrzał się uważnie interesującym go terenom i Sondra dała pilotowi znak. Wylądowali na jednym z pastwisk. Czekał tam już Warren Oakes, aby ich zabrać na przejażdżkę dżipem po okolicy.

Godzinę później wszyscy stali przed ranczem, studiując mapę terenu rozpostartą na masce dżipa. Lassiter zdawał się nie zwracać uwagi na mapę, przyglądając się rosnącym w pobliżu bezlistnym już teraz osikom o białej korze. Dopiero po chwili skierował zaniepokojone spojrzenie ku Sondrze.

- Czyja to ziemia?

- Kit Masters.

- Naprawdę? - Uniósł brwi.

- Odziedziczyła ją po śmierci ojca parę miesięcy temu.

- Czy ona tu teraz jest? - Zerknął na dom.

- Nie. Wspominała coś o meczu tenisowym z Travisem i jakimś producentem z jego firmy. Myślę, że jest na kortach - poinformowała go Sondra, dodając: - Jestem zdania, że przedstawienie właściciela potencjalnemu kupcowi byłoby w tym momencie niezręczne.

- Oczywiście.

Przez moment Sondra pomyślała, że właśnie teraz Lassiter potwierdzi swoje zainteresowanie kupnem rancza, lecz Rob Hoeugh akurat w tym momencie odwołał go na bok.

- Mogę prosić na słówko?

- Przepraszam. - Lassiter pośpiesznie podszedł do swego towarzysza. Widać było, że czekał na jego opinię.

Sondra ze wzrastającym zainteresowaniem obserwowała, jak się naradzają. Mówił głównie Hoeugh; i Lassiter potakiwał. Cieszył się opinią człowieka podejmującego szybkie, ale nie pochopne decyzje. Gdy pozytywnie ocenił możliwości przedsięwzięcia, działał. Wyraz napięcia pojawił się na twarzy Sondry, gdy skierował się w jej stronę.

- Zgodnie z mapą posiadłość rozciąga się aż do tego górskiego grzbietu po lewej stronie -

powiedział.

- Tak. - Była zaskoczona, że potrzebuje tego wyjaśnienia.

- A co z ziemią po drugiej stronie grzbietu?

- Tam jest ranczo Stone Creek.

- Proszę przekonać tego ranczera, żeby sprzedał swoją część stoku. Bez tego nie jestem zainteresowany;

Była przerażona, wściekła. Z najwyższym trudem zdołała się opanować, wsuwając zaciśnięte pięści do kieszeni zakietu. - Mogę zapytać dlaczego?

- Rob mówi mi, że na tym stoku można zbudować wspaniałe nartostrady. Rob jest ekspertem od budowy tras narciarskich, stacji klimatycznych, zagospodarowywania górskich kurortów. Dlatego go tu przywiozłem. Jeżeli on mówi, że czegoś potrzebujemy, to znaczy, że potrzebujemy tego naprawdę.

- Z pewnością zgodziłabym się z panem Hoeghem - powiedziała ostrożnie Sondra. - Jednakże, jeśli dokładnie przyjrzy się pan planom rozwoju tych terenów, przekona się pan, że na tym stoku można zbudować wspaniałe, luksusowe rezydencje. Powstałaby w ten sposób elegancka dzielnica o powierzchni takiej jak Starwood.

- Możliwe - przyznał Rob Hoegh. - Ale po co ktoś miałby fundować sobie dom za wiele milionów w zimowym kurorcie, który nie oferuje światowej klasy tras zjazdowych? Bez nich trudno będzie kogokolwiek przyciągnąć.

- Wszystko dobrze się ułoży, o ile przekonamy właściciela sąsiedniego rancza, żeby sprzedał mi ten teren - wtrącił Lassiter. - Na pewno go nie potrzebuje.

- Trudno będzie go przekonać. - Sondra bez powodzenia starała się, aby nie słychać było smutku w jej głosie. - Mogę powiedzieć panu już teraz, że nie sprzedam.

- To już pani problem.

- Nie rozumie pan. Właścicielem jest Bannon.

- Bannon - powtórzył w zamyśleniu Lassiter. - O, to będzie twardy orzech do zgryzienia.

- Delikatnie mówiąc. - Czują, że perspektywa sprzedaży oddala się, a wraz z nią jej plany, jej marzenia. Była coraz bardziej wściekła.

- Chcę mieć tę posiadłość. Proszę porozmawiać z Bannonom, przekonać go, żeby sprzedał ten stok. Hojnie panią za to wynagrodzę. Podpiszę z panią pięcioletnią umowę na wyłączność sprzedaży mieszkań, rezydencji i parceli, a niezależnie od tego będzie pani miała udział w całym przedsięwzięciu. Powiedzmy - siedem procent.

Zadrżała na myśl, że stoi przed szansą spełnienia marzeń.

- To bardzo korzystna propozycja.

- Też tak sądzę.

Wyczuła wyzwanie w jego głosie i spojrzeniu.

- Przyjmuję pana ofertę. - Wyciągnęła rękę do Lassitera.

Uścisnął jej dłoń.

- Mam całkowite zaufanie do pani umiejętności perswazji, Sondro. Obydwoje wiemy, że są sposoby przekonywania ludzi, iż sprzedaż leży w ich interesie.

- To prawda. - Ale jak to zrobić? Jak przekonać Bannona? Musiał być sposób, lecz jaki?

Te same pytania dręczyły ją dwie godziny później, gdy podjeżdżała pod ranczo Stone Creek. Zatrzymała się przed solidnym dużym domem i myślała z niepokojem o Bannonie, jego głębokim przywiązaniu do ziemi, żelaznej woli, niezłomnej sile i ślepej lojalności. O zaletach, które zawsze w nim podziwiała, a które teraz stanowiły największą przeszkodę. Wysiadła z ciepłego samochodu na orzeźwiający chłód, a jej spojrzenie pobiegło w kierunku werandy. Z budynków gospodarczych dobiegało porykiwanie bydła i delikatne parskanie koni. Wchodząc na schody usłyszała, że ktoś ją woła.

Odwracając się, zobaczyła stojącą przed stajnią małą postać w ciężkiej chłopięcej kurtce i wielkich gumowych buciskach. Laura. Jeżeli Bannon miał jakikolwiek słaby punkt, to była nim jego córka. Sondra, machając do niej ręką, ruszyła na spotkanie.

Podrzuciwszy paszy bydłu w zagrodzie, Bannon wspiał się na ogrodzenie i zeskoczył zgrabnie na ziemię po drugiej stronie. Skierował się do stajni, żeby sprawdzić, czy Laura skończyła już dawać koniom owies. W połowie drogi dojrzał ją stojącą pośrodku obejścia i rozmawiającą z Sondrą. Podeszedł do nich.

- Konie nakarmione? - Ściągnął ciężkie robocze rękawice i pogłaskał Laurę po głowie, a potem

posłał uśmiech Sondrze.

- Tak - odpowiedziała Laura, uchylając się od pieszczoty. - Ciocia Sondra opowiadała mi o dekoracjach, muzyce i grach towarzyskich, jakie będą na przyjęciu z okazji Halloween. Jej kostium będzie świetny. Ciocia pytała mnie, jaki będzie twój. Jaki kostium zamierzasz włożyć, tatusiu?

- To niespodzianka. - Uśmiechnął się, a potem przeniósł rozbawione spojrzenie na Sondrę, dostrzegając jej uważny wzrok, zanim zdążyła odwrócić głowę w stronę Laury.

- Kiedy tylko odkryjesz, w co się ubierze, powiedz mi.

- Dobrze. - Laura uśmiechnęła się szeroko, gotowa do wejścia w rolę tropiciela, po czym westchnęła z żalem. - Znosi się na to, że będzie bardzo śmiesznie. Szkoda, że nie idę. Nie mogę się doczekać, kiedy w końcu dorosnę i będę mogła chodzić na przyjęcia.

- Dorosisz bardzo szybko. - Bannon popchnął ją lekko w stronę domu. - Idź się umyć i pomóż Sadie podać kolację na stół.

Zakołysała się, opierając dłonie o biodra.

- Jak to się dzieje, że wykonuję prace dla dorosłych, a nie mogę mieć takich samych przyjemności jak oni? To nieuczciwe.

- Zabawisz się na przyjęciu u Buffy.

- To nie to samo.

- Więc zostań z dziadkiem w domu.

Laura okręciła się dookoła, unosząc ramiona.

- Tak to jest z ojcami - burknęła i poszła do domu.

- Ech, te dzieci - powiedział do Sondry, ubawiony protestem Laury.

Lecz Sondra nie podchwyciła tematu. W zamyśleniu odprowadzała Laurę wzrokiem.

- Pamiętasz, jak Diana kochała przyjęcia i zabawy, jasne światła i gwar? Laura zaczyna być taka jak ona.

- Wszystkie dzieci przez to przechodzą - powiedział szybko, ruszając ku domowi. Dopiero po chwili zwolnił, by Sondra mogła dotrzymać mu kroku.

- Co cię sprowadza?

- Obawiam się, że tylko interesy.

- Obawiasz się? - Spojrzał na nią z zaciekawieniem, zastanawiając się, dlaczego użyła właśnie tych słów.

- Tak. - Rzuciła mu krótkie spojrzenie. - Ponieważ nie spodoba ci się to, co powiem.

- Co? O co chodzi?

- Mam klienta, który chce, żebyśmy ustaliła, czy zgodzisz się sprzedać tę część stoku, która przylega do Silverwood.

- Nie.

- Nie wiesz nawet, o co chodzi w jego ofercie, Bannon - skarciła go łagodnie.

- Nie szkodzi. Nie jest do sprzedania za żadną cenę - stwierdził kategorycznie.

- Mówiłam mu, że tak zareagujesz.

- To dobrze. Możemy uznać temat za zamknięty.

Przyjrzała się zdecydowanym rysom jego twarzy. - Chciałabym, żebyś pomyślał o tej ofercie, Bannon.

- Nie ma o czym myśleć.

- Ale jest przecież Laura - powiedziała.

Zatrzymał się. Zarys jego wysokiej postaci odcinał się na tle mroczniejszego nieba.

- Co Laura ma z tym wspólnego?

- Ona dorasta, Bannon. Już teraz martwi się o stroje i fryzurę. To jest dopiero początek. Już niedługo będzie chciała mieć własny samochód, żeby jeździć do szkoły. Będą chłopcy, suknie i college... - zawiesiła głos na chwilę. - A wszystko jest bardzo drogie, Bannon.

- Dam sobie radę.

- Być może. - Wyczuła, że Bannon zaczyna się denerwować. - A nie byłoby lepiej, żebyś nie musiał „dawać sobie rady”? Żebyś już miał pieniądze? Ile ten stok ma hektarów? Sto? Pięćdziesiąt? Co to jest sto hektarów, gdy się ma ich tysiąc sześćset? A jaką niby wartość przedstawia ziemia? Nie możesz na niej wypasać bydła, a nie hodujesz owiec. Jaką poniósłbyś stratę, sprzedając ten jeden skrawek?

- „Jeden skrawek”. W ten sposób zaczynali niektórzy ranczerzy sprzedając swoją ziemię po kawałku, aż w końcu nic im nie zostało. Nie, dziękuję.

Nie potrafiła opanować zniecierpliwienia.

- Mógłbyś wymienić swoją cenę, Bannon. Milion, dwa. Pomyśl, co mógłbyś zrobić z takimi pieniędzmi. Nie chodzi mi nawet o Laurę. Pomyśl, ile ulepszeń mógłbyś wprowadzić na swoim ranchu - zbudowałbyś nowe stajnie, mógłbyś hodować szlachetniejsze odmiany bydła, odnowić ten stary dom, w którym szaleją przeciągi, bo jest w nim mnóstwo dziur, albo jeszcze lepiej - zburzyć go i zbudować nowy.

- Z pływalnią i kortem tenisowym? - spytał ostro.

Sondra zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Dodała więc cicho: - Laura marzy o tym. Wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, ale to prawda. - Kontynuowała nie dając mu dojść do słowa. - Pomyśl o tej ofercie, Bannon. To wszystko, co mam do powiedzenia. Wiem, jak wiele ta ziemia znaczy dla ciebie. Podziwiam to. Lecz bądź realistą. Co się stanie z ranchem, kiedy ciebie już nie będzie? Myślisz, że Laura je zatrzyma? Czy myślisz, że będzie w stanie sobie na to pozwolić? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że je sprzeda - tak jak Kit Masters sprzedaje swoje rancho po ojcu?

Zauważyła, że jej słowa zburzyły jego spokój wewnętrzny. Na razie to jej wystarczyło.

- Dobranoc - powiedziała łagodnie, pocałowała go i wyszła.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Stojące wzdłuż drogi wjazdowej do domu na zboczu Red Mountain olbrzymie lampiony z dyni z otworami imitującymi oczy i usta szczyrzyły zęby w groteskowych uśmiechach. W pełgającym świetle świec umieszczonych w dyniach widać było czarne koty kryjące się w snopach kukurydzy i ustawione wokół strachy na wróble. Między ozdobnymi krzewami na trawniku zjawiały się i znikwały na przemian zwiewne postacie holograficznych duchów.

Obok pawilonu pływalni w rytm nocnego wiatru tańczyły bielejące w ciemności szkielety. Na wprost frontowego tarasu pięcioosobowa orkiestra grała ognisty utwór w stylu calypso. Podniecona akompaniamentem wysoka blondynka w przebraniu kobiety-kota coraz bardziej odchyłała się do tyłu, próbując przesunąć się pod drągiem trzymanym przez wampira i kowboja w skórzanych spodniach i olbrzymim kapeluszu.

Na pomoście koło basenu pstry tłum czarownic i czarowników, rycerzy krzyżowych, księżniczek, Kleopatry i przystrojonych w kozłę skóry Indian zebrał się wokół drewnianej beczki wypełnionej wodą, na powierzchni której unosiły się czerwone lśniące jabłka. Kit pochyliła się nad beczką. Jej długie blond włosy upięte były wysoko *à la* Madame de Pompadour. Nie zwracając uwagi na głośne rady dobiegające ze wszystkich stron, starała się zatopić zęby w soczystym jabłku, ale skończyło się na tym, że łyknęła tylko trochę wody.

- Ale zimna - stwierdziła ze śmiechem, wycierając lodowate kropelki na nosie.

- Przy pomocy rąk to nie *fair* - przypomniał John.

Wystrojony w czarny garnitur, marszczoną koszulę i brokatową kamizelkę wyglądał jak hazardzista na spacerowym statku w czasach prohibicji. Diamentowa spinka w jedwabnym krawacie i płaski kapelusz z szerokim rondem dopełniały całości.

- Pokaż im, jak to się robi. - Paula biła brawo, dodając Kit otuchy. Cygańskie bransolety brzęczały na jej rękach, a wielkie złote koła zdobiły uszy.

Oparty biodrem o słupek balustrady Bannon z daleka przyglądał się tej scenie, trzymając kciuk w szlufce wytartych dżinsów. Rozstępujący się tłum pozwolił mu dojrzeć podpartą pod boki Kit, wąską w talii jak osą. Ponawiała właśnie próbę wyłowienia jabłka ustami. Coś więcej niż podziw odmalowało się w jego oczach, gdy obserwował jak oddaje się tej dziecinnej zabawie, która nie odbierała jej niczego z uroku kobiecości. Z boku mignęła mu nagle plama szkarłatu. Przed szklanymi drzwiami prowadzącymi do salonu stanęła Sondra - w długiej ciemnoczerwonej sukni, z włosami upiętymi w kok, i z uwagą obserwowała scenkę z jabłkiem.

Ogólna wrzawa osiągnęła punkt kulminacyjny. Bannon dostrzegł, że Kit wyprostowała się, mocno trzymając w zębach czerwone jabłko. Triumfalnie podniosła je do góry, drugą ręką wycierając kapiącą z podbródka wodę.

- Kto następny? - rzuciła wyzwanie.

Jakiś bankier w stroju Robin Hooda wystąpił naprzód, witany jeszcze większym aplauzem i zdjąwszy spiczaste nakrycie głowy, pochylił się w zamaszystym ukłonie. Kit podeszła do Johna.

- Mmm... jakie smaczne - powiedziała chrupiąc jabłko i ocierając sok z kącików ust. - Skosztuj nalegała.

- Co to ma znaczyć? Ewa kusząca Adama jabłkiem z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego? - Cofnął się, udając lęk.

- Nie szukałam w nim wiedzy tylko orzeźw i soczystości - odpowiedziała z humorem. - Ręczę ci, że znalazłam. Jesteś pewny, że nie chcesz i spróbować?

Spojrzał na jej błyszczące i wilgotne wargi.

- Może jednak spróbuję mimo wszystko.

Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i pocałował wyczuwając smak jabłka na jej wargach i języku. Wywołało to gwizdy i okrzyki aprobaty wśród zebranych gości.

Jedynie Bannon nie przyłączył się do ogólnej wrzawy.

Sondra zobaczyła drgające mięśnie jego mocno zacisniętych szczęk, zanim odwrócił się na pięcie i poszedł domu pobrękując ostrogami. Jej spojrzenie powędrowało do Kit i Johna Trávisa. Spozrzęła, jak uwalnia się z jego ramion z rumieńcem na policzkach wywołanym chłodnym powietrzem, zmieszanym czy też może przyjemnością. Sondra nie miała zamiaru tego roztrząsać.

Zaniepokoiła ją natomiast reakcja Bannona. Poszła za nim do salonu, w którym rozpięto lekkie jak nitki babiego lata pajęczyny oświetlone imponującą ilością kandelabrow. W jednym z kątów odbywał się pseudo spirytystyczny seans, w którym wśród śmiechów i wrzawy wywoływano sprośnego ducha. Sądząc po reakcjach publiczności i on był jednym z zaproszonych. Sondra nie zwracała uwagi na to, co się wokół niej dzieje. Omijając gości podeszła do barku, przy którym usiadł Bannon.

Nie słyszał, że podchodzi, dopóki się nie odezwała.

- Widzę, że ta scenka zasmuciła cię. Nie umiesz tego ukryć, Bannon. - Nie odpowiadając, sięgnął po butelkę piwa. - Wszyscy wiedzą, że oni mają romans. Pewnie słyszałeś o tym, ale wolałeś nie wierzyć? - jątrzyła. Jej oczy zwęziły się, gdy pociągnął łyk piwa. - John Travis zawsze romansuje ze swoimi partnerkami z planu, Bannon. A jak myślisz, dzięki czemu one dostają role w jego filmach?

Zacisnął palce na butelce.

- Przestań - warknął.

- Boli cię ta prawda, co? - odparowała nie kryjąc zniecierpliwienia. - Czy myślisz, że tylko mężczyźni ubijają okazjnie interesy i idą na kompromis, żeby dostać się na szczyt? Kobiety wcale nie są inne. Ona spędziła osiem czy dziewięć lat w Hollywood, grając w mydlanych operach i nędznych horrorach. John Travis dał jej szansę zaistnienia na dużym ekranie, a ona skwapliwie ją wykorzystuje. - Przerwała na chwilę. - Zanadto żyjesz przeszłością, Bannon. Pozwól jej przeminąć - dokończyła zdławionym z gniewu głosem i odwróciwszy się na pięcie odeszła, ledwie hamując się, by nie wymienić imienia Diany. Minawszy gościa przebranego za Dżokera, skierowała się odruchowo do jadalni. Na chwilę drogę zastąpił jej arlekin prowadzący rozmowę z kowbojem i piratem.

Kiedy Sondra obchodziła stylowy stół, na którym umieszczono gigantyczny lampion z dyni, niechcący trąciła włącznik aparatury do specjalnych efektów. Dziki chichot wypełnił pokój, kiedy czarownica na miotle wyleciała z pudła zamontowanego pod łukiem sufitu.

Z przeraźliwym krzykiem Sondra skoczyła prosto w delikatną kurtynę pajęczyn. Konwulsyjnie wpiła się w nią palcami i wyszarpnęła z zawieszenia. Znieruchomiała na chwilę oddychając ciężko i czując pulsujące uderzenia w głowie.

Rozejrzała się szybko dookoła, lecz nikt i nie zauważył. Goście byli zajęci obserwowaniem latającej czarownicy, która zatoczywszy koło powróciła do swojej skrzynki pod mrocznym sufitem. Sondra zmięła resztki pajęczyny w kulkę i wsadziła do marmurowego kwietnika, po czym zerknęła w stronę barku. Bannon zniknął.

Nie mógł przecież wyjść - nie tak wcześnie. Wycofała się na sztywnych nogach. Zaczęła ją znów ogarniać wściekłość. Chwilę potem w odległym kącie westybulu zobaczyła w przelocie jego plecy. Z trudem się opanowała i poszła na zaplecze, żeby skontrolować pracę kelnerów.

Do rozległego salonu weszła Kit, rozgląda ciekawie. Dzięki wielkiej ilości migocących płomieni świec ogromne pomieszczenie wyglądało jak jaskinia pełna dziwacznych tańczących cieni. Nawet kanapy o wspaniałych obiciach i bogate meble nie mogły zatrzeć tego wrażenia.

- W Hollywood nie zrobiono by tego lepiej - powiedziała z uznaniem.

- Musiała zatrudnić zawodowego scenografa - Chip poprawił okulary i rozejrzał się dookoła. - Zastanawiam się kogo?

- Baw się, Chip. Nie analizuj tak wszystkiego - upomniała go Paula.

- On nic na to nie może poradzić - próbowała go bronić Kit. - To szaleństwo geniuszu.

- Zgadza się tylko na „szaleństwo” - powiedział John głosem przeznaczonym wyłącznie dla niej.

Uśmiech zastygł jej na wargach, gdy zorientowała się, że John mówi poważnie. Zacięty wyraz jego twarzy złagodniał co prawda, kiedy zauważył jej spojrzenie, ale zbyt późno, by potraktować jego uwagę jako żart.

Poczuła na plecach dotknięcie jego ręki, którym dał znać, że mają przejść dalej. Pomyślała, że nie warto roztrząsać ewentualnych konsekwencji niechęci Johna do Chipa. Doszła do wniosku, że to po prostu ścierają się dwie odmienne osobowości.

Kiedy minęli goście stojących koło drzwi na taras. Kit zatrzymała się.

- Co nas teraz czeka? - zapytała. - Tańce przy basenie?

- Spójrzcie na to. - Chip pochylił się nad otwartym sarkofagiem, w którym leżała mumia. - Jakaś fotokomórka. - Wskazał mały czarny przedmiot zamontowany na ścianie. Zamachał ręką przecinając strumień światła. W sarkofagu rozbłysły upiorne światła i w tym momencie oczy mumii otworzyły się. - Czy to nie wspaniałe?

- Niech będzie, że wspaniałe - mruknęła Paula. - Czuję się jak na projekcji co najmniej trzech horrorów naraz.

- Sondra zawsze wydaje niesamowicie pomysłów przyjęcia - zauważył John nurkując pod falującą między sufitem a ścianą sieć.

- Czy wiecie, że moje wakacje w Aspen rozpoczęły się przyjęciem i kończą się również przyjęciem? - powiedziała z rozmarzeniem Paula.

- Wyjeżdżasz? - John spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak, lecę pojutrze z powrotem do Los Angeles - oznajmiła, poprawiając złote obręcze na ręce. - Wyjeżdżam parę dni wcześniej, niż planowałam, lecz wzywa mnie mój agent. Załatwił mi spotkanie z producentami *Dni*. Zmieniają scenariusz i wprowadzają wiele nowych postaci. Chcą, żebym zagrała którąś z nich.

- Jeszcze jeden czarny charakter? - zgadywał John.

- A jaką inną rolę mogłabym dostać? - Wzruszyła ramionami.

- Paula ma talent do dobrego grania złych postaci - szeroko uśmiechnęła się Kit.

- W to mogę uwierzyć - zgodził się, po czym zagadnął Kit, przyglądając się jej natarczywie. - Więc będziesz sama na ranchu? To podsuwa mi pewne podniecające pomysły.

- Kłamca - powiedziała, jak zawsze w rozmowie z nim łatwo wpadając w żartobliwy ton. - Masz te pomysły od początku.

- Ano mam - przyznał, pieszczotliwym kładąc rękę na jej plecach.

- Gadacie o pomysłach, przyjemnościach, ale co dalej? - powiedziała głośno Paula. - Może chodźmy zobaczyć, jakie wspaniałości czekają nas na stole.

- Nie mam nic przeciwko temu - podchwycył odrywając wzrok od mumii.

Kit potrząsnęła głową.

- Ja rezygnuję. Jestem po kolacji.

- I po jabłku - przypomniał jej John.

- No właśnie. I na dodatek po jabłku.

- Napijesz się czegoś? - zapytał, kiedy Panią przeszli do jadalni.

- Proszę. Przyrządź coś bez alkoholu - poprosiła Kit.

- Nie chcesz szampa? - zdziwił się.

- To nie jest szampańska noc. - Jej nastrój szły się ni stąd, ni zowąd. - Na Halloween grzane wino albo gorącą czekoladę z odrobiną miętowego.

- Zapamiętam to - powiedział odchodząc, diamentowa spinka w jego krawacie zalśniła w płomieniu świecy.

Kit podeszła do sarkofagu i przeciągnęła wzdłuż brzegu pozłocanego wieka. Lekki, o podmuch wiatru przedostał się przez otwarte tarasu, wnosząc zapach świeżości do pomieszczenia wypełnionego wonią palących się świec. Wyszła na taras.

Zobaczyła Bannona. Oparty o balustradę ze zwieszoną głową, jakby przyglądał się czubkom swoich zniszczonych butów. Obok niego na poręczy stała butelka piwa. Kit zawahała się, lecz duma nie pozwoliła jej zawrócić. Ta sama duma nigdy nie pozwalała jej powiedzieć Bannonowi prawdy o tym, jak głęboko została zraniona, gdy poślubił Dianę.

Uniósł głowę. Chociaż rondo kapelusza ocieniało oczy, czuła na sobie jego wzrok.

- Przypuszczam, że nazywasz swój strój kostiumem - powiedziała żartobliwie, patrząc na spłowiałe dzinsy i kurtkę, długie buty ze startymi obcasami i przytępienymi ostrogami, podniszczoną flanelową

koszulę i wysmagany wiatrem kowbojski kapelusz - ubranie, które Bannon nosił na co dzień.

- Gwarantuję, że jest autentyczny. - Nie oderwał się od balustrady, nie wyprostował się. Jego słowa można byłoby uznać za przyjacielskie, gdyby nie chłodny ton jego głosu.

Kit zauważyła, z jakim surowym, zaciętym wyrazem twarzy, stojąc na frontowym tarasie, patrzył, jak John ją całuje. Trochę ją to rozdrażniło. Nie miał prawa być zazdrosny, zrezygnował z niej przecież, poślubiając inną. Jednakże odczuwała jakąś przewrotną satysfakcję, że wciąż jest w stanie wzbudzać jego zazdrość.

- Zdecydowanie autentyczny - zgodziła się i stanęła obok niego.

Wpatrzyła się w nocne niebo, czując ciepło promieniujące z salonu i chłodne podmuchy wiatru na policzkach. Orkiestra prezentowała najnowszą trawestację słynnego przeboju rockowego. Dobiegający z dala basenu szmer głosów i śmiechów na przemian wzmagał się i cichł. Gdy tak stała, patrząc na usiane gwiazdami niebo, migające w oddali światła Aspen i czarną poszarpaną linię masywu górskiego, poczuła ogarniający ją spokój.

- Piękna noc, prawda?

- Tak.

Lakoniczność tej odpowiedzi uzmysłowiła dalece musi być na nią rozżalony.

- Oto odpowiedź godna tradycji mocnych mrukliwych ludzi z Dzikiego Zachodu - próbowała zakpić. - Gary Cooper nie powiedziałby tego lepiej. Co zdaje, że nie jesteś w nastroju do zabawy?

- Chyba cię to nie dziwi. - Bannon spojrział pociągając z butelki ostatni łyk piwa.

- Czy Sondra wspomniała ci, że ma kogoś zainteresowanego kupnem Silverwood? - zapytała, zmieniając temat.

- Coś mówiła. - Odstawił pustą butelkę na

- Przywiozła paru ludzi w zeszłym tygodni pokazać im okolicę. Myśli, że wkrótce złożą ofertę. - Chciała poinformować go o tym rzeczowym lecz nie umiała ukryć żalu, że musi sprzedać ranczo. Utkwiła wzrok w nowoczesnym domu ze szkła i kamienia. - Nie cierpię, kiedy buduje się w górach domy takie jak ten - powiedziała ze złością.

Bannon odsunął się gwałtownie od poręczy, zarysowując ostrogą deski tarasu.

- Nie musisz się tym chyba przejmować? Za parę miesięcy wracasz z powrotem do świata, który ci odpowiada.

- Nie wiem, czy tak jest naprawdę. - Ostatnio nie była tego wcale pewna.

- Jest chyba trochę za późno, żeby zadawać to pytanie, nie sądzisz?

- Chyba tak. - Potarła ramię dłonią, zaczęło jej być zimno w cienkiej bluzce. - Robi się chłodno.

Kiedyś, słysząc te słowa, objąłby ją i starał się ogrzać. Teraz jednak powiedział:

- Lepiej wejdź do środka.

- Skorzystam z twojej rady. - Kiedy szła do drzwi usłyszała brzęk jego ostróg.

Skierował się w stronę śmiechów i głosów dobiegających z drugiej strony tarasu.

Wchodząc do wnętrza, poczuła ciepło, które spowodowało mimowolne dreszcze. Ponownie potarła ramiona. Zauważyła Paulę rozmawiającą z panią domu. Przez całe życie Kit lubiła obserwować ludzi, ich wyrazy twarzy, gesty, reakcje. Miała to we krwi. Gdy spojrzała na Sondrę, po raz kolejny uderzyło ją, że ta kobieta nawet na moment nie pozbywa się maski chłodnej uprzejmości, pod którą ukrywa swe myśli i tłumia spontaniczne reakcje. Podziwiając prostą szkarłatną suknię z chińskiego jedwabiu, pomyślała, że Sondra nieprzypadkowo nosi stroje i otacza się przedmiotami w stylu Dalekiego Wschodu. Ich powściągliwa elegancja niewątpliwie przydawała jej tajemniczości.

Kit podeszła do Pauli i Sondry.

- Zaczynają się chłodne noce - powiedziała.

- Będziemy musieli się do tego przyzwyczaić - stwierdziła Sondra. - Prognozy przewidują śnieg na początku tygodnia.

- John i Chip będą zadowoleni - rzekła Kit i zorientowała się, że żadnego z nich nie ma w pobliżu. - Gdzie oni są?

- Dopadł ich Lassiter. - Paula długo przebiegała wzrokiem po talerzach, zanim zdecydowała się na roladę z łososia.

- Nie wiedziałam, że on tu jest. - Kit przyjrzała się tłumowi gości w przyćmionym świetle salonu.

- Przyjechał późno. Około dwudziestu minut temu - wyjaśniła Sondra, a widząc zbliżającego się kelnera, powiedziała: - Przepraszam.

Paula odprowadziła ją wzrokiem.

- Na twoim miejscu strzegłabym się jej, Kit.
Kit spojrziała na przyjaciółkę, zaskoczona jej uwagą.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Widziałam, jak cię obserwowała, gdy stałaś na tarasie z Bannonem. Trzeba było widzieć jej jad spojrzenie - wyjaśniła Paula, cały czas przyglądaj pani domu, by po chwili równie uważnie spojrzeć. - Ona potrafi być mściwa, kiedy wejdzie się jej w drogę.
Kit potrząsnęła głową.
- Jak możesz tak mówić? Nawet jej nie znasz.
- Nie muszę jej znać. Gram rolę takich kobiet jak ona na tyle długo, że natychmiast rozpoznaję ten typ. - Machinalnie sięgnęła widelcem po krewetkę w miodowym. - Wierz mi, ta kobieta jest zdolna do wszystkiego.
Kit wzruszyła ramionami, myśląc o Bannonie i związku z Sondrą.
- Każdy ma swoje ciemne strony.
- Ale u niektórych są one ciemniejsze niż u innych. - Paula delikatnie nadgryzła krewetkę.
- Przypuszczam.
Zobaczyła Johna idącego wolno w jej kierunku. Ostrożnie niósł drinki, rozmawiając z kimś, kogo Kit nie mogła dostrzec. Z satysfakcją obserwowała jego rysujący się subtelnie pod rondem czarnego kapel hazardzisty.
Goście rozstąpili się i jej oczom ukazał się Lassiter, idący między Johnem a Chipem. Wygi statecznie w aptekarskim fartuchu, na którym wic emblemat jego rodzinnej firmy farmaceutycznej. powiadając na jakąś uwagę Lassitera, John błysnął znajomym uśmiechem, w którym można było dostrzec arogancję i wdzięk. Lassiter musiał powiedzieć coś ucieszyło zarówno Johna, jak i Chipa, sądząc po s rzeniu, jakie wymienili między sobą.
Być może źle zrozumiała to, co na temat Chipa powiedział kiedyś John. Jeżeli nawet były między nimi jakieś tarcia, to z pewnością teraz doszli do porozumienia z nią. Kit była z tego bardzo zadowolona. Nigdy pracowało się dobrze w skłóconej ekipie.

Lassiter położył rękę na ramieniu Johna.
- Miałem okazję zapoznać się z ostatnimi zmianami w scenariuszu. Sądzę, że teraz możemy być pewni sukcesu. Tak myślą wszyscy w wytwórni. Dobra robota - powiedział do Chipa.
- Cieszę się, że zatwierdził pan scenariusz - odparł Chip z wyraźnym sarkazmem.
John stwierdził z ulgą, że Lassiter albo tego nie usłyszał w zgiełku, albo wołał udać, że przyjmuje odpowiedź za dobrą monetę.
- No to skoro mamy już ostateczną wersję, kiedy zaczynacie?
- Pod koniec listopada, zaraz po Święcie Dziękczynienia - odpowiedział z uśmiechem John. - Zakładając, że niebiosa będą łaskawe i zapewnią śnieg w Aspen.
- Jest coś takiego jak maszyny do robienia śniegu - przypomniał Lassiter.
- Użyjemy ich, jeśli będziemy musieli, więc nie przewiduję przełożenia daty rozpoczęcia zdjęć - zapewnił go John. - Nie byłibyśmy zresztą jedynymi płaczącymi z powodu braku śniegu przed Świętem Dziękczynienia. To przecież opóźniłoby sezon narciarski.
- Prawda - Lassiter pokiwał głową i odwrócił się, zauważywszy kogoś w tłumie. - Chyba widzę naszą panią domu. Wybaczcie, ale pójdę zamienić z nią słówko.
- Proszę się nami nie krępować - trochę zbyt gorliwie zapewnił go Chip. - Nie zatrzymujemy.
Lassiter zmierzył go ostrym spojrzeniem.
- A jeszcze raz wracając do sprawy - to była dobra robota z tym scenariuszem, Freeman. Muszę przyznać, że jesteś bardzo dobrym autorem.
- Także bardzo dobrym reżyserem - powiedział Chip, hardo unosząc głowę.
- To się zobaczy - osadził go Lassiter odchodząc.
Nigdy nie zdarzyło mu się spotkać reżysera, który nie myślałby, że zjadł wszystkie rozumy, ale ten facet szczególnie go irytował. Nie spodobał mu się od samego początku. Travis ufał mu, ale co może wiedzieć aktor?
Zbliżając się do Sondry oddalił od siebie wszystkie zbędne myśli. Kiedy go zobaczyła, szepnęła coś towarzysząc jej osobom i odwróciła się, żeby go przywitać.
- Wydała pani cudowne przyjęcie, Sondro - rozejrział się dookoła. - Dziwię się, że nie przyszedł tu po naukę ktoś od Disneya.

- Po co? Przecież to ja ukradłam im te wszystkie pomysły.
Zaśmiał się kurtuazyjnie, po czym przeszedł do interesów, uznając że wszelkim obowiązkowym grzeczościom stało się już zadość.
- Czy rozmawiała pani ponownie z Bannonem?
- Jeszcze nie - odpowiedziała. - Bannon nie jest. człowiekiem, którego można naciskać. Porozmawiam z nim za parę dni, gdy już przemyśli sprawę.
- A jak znów odmówi? Co wtedy? - zapytał, nie dając jej szansy na odpowiedź. - Nie należę do cierpliwych. Nie lubię interesów, które się przeciągają.
Sondra zesztyniała.
- Nie ustalaliśmy terminu. Czy teraz pan mi jakiś wyznaczy?
Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.
- Sześćdziesiąt dni.
Spuściła głowę i zaczęła przyglądać się splecionym palcom. Miała ochotę krzyczeć. Zmusiła się jednak do opanowania.
- Musi pan przyznać, że to niezbyt dużo - powiedziała i podniosła wzrok na Lassitera, jakby licząc na przedłużenie terminu.
- Sześćdziesiąt dni. Jeżeli nie przekona go pani do tej pory, to znaczy, że nie przekona go pani wcale i będzie to tylko strata naszego cennego czasu. Zawsze są inne interesy.
Dla niego może tak, ale nie dla niej. Nie takie jak ten. Nie dała po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowana i spięta. Skinęła głową na znak zgody.
- No dobrze. Sześćdziesiąt dni.
- Proszę mnie informować o postępach.
- Oczywiście.

Gdy została sama, poczuła narastającą panikę. Sześćdziesiąt dni. To wcale nie był długi termin. W pierwszym odruchu chciała od razu poszukać Bannona, porozmawiać z nim, molestować. Nie, nie tutaj. Nie na przyjęciu. Musi poczekać. Błędem byłaby rezygnacja z pierwotnych planów pod wpływem zdenerwowania. Musiała dać Bannonowi jeszcze parę dni do namysłu.

Rozdział dwudziesty drugi

Bannon siedział przy biurku w salonie z piórem zawieszonym nad notatkami. Wzrok utkwił w leżących przed nim kartkach, na których zapisane zostało zeznanie pod przysięgą, lecz zupełnie nie potrafił się skupić. Westchnął, poirytowany, i nerwowo przeczesał ręką włosy, starając się nie słyszeć dźwięków melodii, którą Laura grała na pianinie, myśląc się tak jak niedawno Kit. Nie mógł się skoncentrować.

Nagłym ruchem odłożył pióro i zerwał się z krzesła. Stary Tom spojrzał na niego znad gazety.

- Jeśli idziesz do kuchni, przynieś mi moje tabletki na nadkwasotę. - Papier zaszeleścił, gdy rozprostowywał gazetę, mamrocząc pod nosem: - Nie wiem, po co jadłem to *chilli*, które przyrządziła Sadie. Po takich paskudztwach zawsze mam kłopoty z żołądkiem. - Gdy Bannon skierował się w stronę kuchni, Stary Tom zawołał: - Zobacz, czy pada śnieg. W gazecie pisali, że będą śnieżyce. Wydaje mi się, że dzisiejsze chmury mają w sobie ze dwadzieścia centymetrów śniegu.

Dwadzieścia centymetrów. To oznaczało, że rankiem trzeba będzie zanieść bydłu siano. Bannon wdychając wszedł do kuchni. Czuł niepokój i narastające napięcie.

Zadzwoił telefon. Poderwał go jego ostry dźwięk.

- Ja odbiorę! - Laura zeskoczyła z taboretu stojącego przy pianinie. Podniosła słuchawkę, ledwie zdążył zabrzmieć drugi dzwonek. - Ranczo Stone Creek. Mówi Laura. - Odwracając się popatrzyła na Bannona. Trzymając słuchawkę przy uchu, wygięła usta w grymasie. - Tak, jest. Proszę chwileczkę poczekać. Do ciebie, tato. - Położyła słuchawkę obok telefonu i niechętnie wróciła do pianina.

- Kto dzwoni? - spytał Bannon podchodząc do dębowego stołu, na którym znajdował się telefon.

- Jakiś Pete. Mówi tak, jakby był pijany. - Usiadła na taborecie przy pianinie.

- Nie graj, kiedy będę rozmawiał.

- Hurra!

Gdy podniósł słuchawkę, usłyszał znajomy głos krzyczący na drugim końcu linii:

- ...wciskać mi głupoty! Znam swoje prawa! - Te słowa, ich wojowniczy ton, przypomniały Bannonowi czasy sprzed dwóch lat, kiedy Pete Ranovitch często zaglądał do kieliszka. Bannon zaklął pod nosem, czując, co się święci.

- Pete - przerwał. - Mówi Bannon.

- Bannon? Bannon, musisz coś zrobić. Musisz mnie stąd wyciągnąć. Nie mają prawa...
- Piłeś.
- Tylko piwo. Jedno małe piwko! Nawet balonik by tego nie wykazał. Nie mogą mnie za to zatrzymać. Do diabła, nie mogą. Powiedziałem, że zapłacę za szkody, ale ten skurwiel chce mnie zaskarżyć...
- Jakie szkody? Co się stało?
- Cholera, złamałem rękę. Złamałem rękę i nie mogę pracować. A skoro nie mogę pracować... - Przerwał. Kiedy ponownie przemówił, w jego głosie nie było już słyhać złości, brzmiał w nim ton pełen rezygnacji. - Rozbiłem trochę szklanek, rozwaliłem krzesło, może coś tam jeszcze, nie wiem. To było „U Harry’ego”. Stałem przy barze, zastanawiając się, co do kurwy nędzy, mogę teraz robić. Stały tam brudne szklanki i po prostu zwałem je na podłogę. Podobało mi się, jak się rozbijały. Podniosłem krzesło i... Mam dość, Bannon. Mam dość tego miasta i wszystkiego, co się z nim wiąże. Nic mi się tu nie uda. Cały czas tylko się oszukiwałem. Nigdy nie będę miał własnej restauracji. W ogóle g będę miał. Bannon, możesz przyjechać i mnie wyciągnąć?
- Już jadę, Pete. - Odłożył słuchawkę.
- Stary Tom ponownie spojrzął znad gazety.
- Ranovitch znów się upił?
- Niezupełnie, ale narozrabiał „U Harry’ego” - Bannon zdjął kapelusz z kołka, a potem sięgnął kurtkę podbitą baranim futrem. - Jadę zobaczyć, co się tam dzieje. Może uda mi się przekonać właściciela, go nie podawał do sądu albo załatwię zwolnień kaucją. Nie będzie mnie przez jakiś czas.
- Drogi mogą być śliskie - ostrzegł go ojciec.
- Wiem. - Włożył kurtkę.
- Cześć, tato - zawołała Laura.
- Cześć. - Uśmiechnął się do niej i mrugnął porozumiewawczo, wskazując pianino. - Ćwicz. Zmarszczyła nos, robiąc miny, gdy wychodził.

W nieruchomym powietrzu śnieg padał dużymi miękkimi płatkami, tworząc przezroczystą białą kurtynę. Z tarasu domu Johna Trávisa w Starwood światła Aspen były widoczne tylko jako zamglone błyski w dali, tym bardziej niewyraźne, że przesłonięte kłębamii pary unoszącej się nad podgrzewaną wodą bulgocącą w owalnym baseniku ze sztucznymi falami.

John powoli, centymetr po centymetrze, wysuwał z ogromnej butli szampana korek, który w końcu ustąpił z charakterystycznym odgłosem. Kit zaklaskała w ręce.

- Pięknie to zrobiłeś. - Sięgnęła po dwa kieliszki stojące na półce i czekała, aż John napełni je musującym winem. Woda kapiała z jej wyciągniętych ramion na dwuczęściowy kostium kąpielowy, jeden z wielu, jakie John miał dla gości.

- Kwestia wprawy. - Napełnił kieliszki, po czym odwrócił się, odstawiając butlę do wiaderka z lodem obok baseniku. Pod jego wilgotną opaloną skórą doskonale rysowały się mięśnie ramion i klatki piersiowej.

- Ale ty masz ogromną wprawę - zażartowała Kit, podając mu kieliszek.

- Doświadczenie ma swoje dobre strony. - Trącił lekko jej kieliszek, a rozbawiony wzrok śmiało przewędrował od jej twarzy do widocznych nad powierzchnią wody piersi. - I daje radość... obu stronom.

Te słowa poruszyły jej wyobraźnię, przypomniała sobie jego ręce, wargi, całe ciało. Poczwała ogarniające ją od stóp do głów przyjemne ciepło, którego przyczyną z pewnością nie była temperatura wody.

- Interesujące. - Wypiła łyk szampana.

- Może być nawet podniecające - dodał John, a oczy rozbłysły mu figlarnie.

- O, tak - przyznała Kit, po wyrazie jego oczu poznając, że jej odpowiedź go ucieszyła.

Uniósł kieliszek. Pijąc kolejny łyk szampana, Kit poczuła chłodne dotknięcia płatków śniegu na skórze. Poddawała im twarz. Zmrożone wino chłodziło gardło, a gwiazdki śniegu topiły się na powiekach i policzkach. Rozkoszowała się sprzecznymi doznaniemii - ciepłem wody i rześkością powietrza, które wpływały na nią odprężające i pobudzające zarazem.

- Cieszę się, że to zaproponowałaś, Johnie - powiedziała z westchnieniem. - Gorąca kąpiel, śnieg, szampan - to bardzo wyrafinowane. Podoba mi się.

- Miałem nadzieję, że ci się spodoba. - Patrząc na jej łagodnie rozpromienioną twarz, John pomyślał,

że nigdy dotąd nie cieszyło go tak bardzo sprawianie komuś radości. Samo patrzenie na nią było wielką przyjemnością.

- Wiesz, co mi to przypomina? - powiedziała miękko, uświadamiając sobie nagle, że otacza ich cisza, przerywana tylko bulgotaniem spienionej wody. - Szklaną kulę z zimową sceną. Kiedy potrząsniesz kulą, w środku zaczyna tańczyć śnieg. Czuję się, jakbyśmy znaleźli się właśnie w takim zaczarowanym świecie.

Blask jej oczu nie pozwolił mu dłużej przyglądać się spokojnie. Szybko odstawił kieliszek i chwycił jej rękę unoszącą się na falującej powierzchni wody, drugą ręką stawiając jej kieliszek na półce. Przyciągnął ją do siebie.

- Zaczaruj mnie - wyszeptał.

Objął ją ramionami i zaczął delikatnie nagryzać jej dolną wargę. Usłyszała, że jego oddech staje się szybszy.

- Już jesteś zaczarowany. - Rozchylonymi wargami objęła jego usta.

- Pocałuj mnie mocniej.

Kit zaśmiała się, dobrze wiedząc, że igra z ogniem, ale nie chciała się teraz nad tym zastanawiać. Czuła, jak po całym jej ciele rozchodzą się gorące fale.

Zaczął ją gwałtownie całować. Usłyszała cichy jęk i po chwili zdała sobie sprawę, że jęknęła ona sama, gdy językiem zagłębił się we wnętrzu jej ust.

Całowała go z taką samą żarliwą namiętnością, chłonec jego smak, zapach, dotyk ręki przesuwającej się po jej plecach ku rozszerzeniu bioder i powracającej ku piersiom. Płasko rozłożoną dłońią zaczął lekko drażnić sutek. Nagle poczuła gorąco między udami. Oddychała z trudem. Pieścił jej pierś coraz mocniej, a przesuwający się materiał bikini dodatkowo ją drażnił.

Przysunęła się bliżej. Spletli się nogami, a jego ręka głaskała ją i przyciągała do uniesionych bioder. Zaczął żarłocznie całować jej szyję i ramiona, aż usta dotarły do wyłaniającej się ze stanika piersi i mocno wessały brodawkę. Prężąc się, wsunęła dłonie w ciemnoblonde włosy.

Jego wargi powróciły na szyję, pieszcząc ją lekkim; kąśnięciami, podczas gdy palce zaczęły pośpiesznie rozwiązywać węzeł przytrzymujący górę kostiumu. Poczuła, jak zsuwa się z niej wilgotny materiał. Jedno szarpnięcie - i unosił się już na niespokojnej wodzie.

- Miałaś kiedyś na piersiach śnieg? - szepnął jej do ucha.

- Nie - odpowiedziała.

Przyciągnął ją mocno do siebie i razem wynurzyli się, ociekając wodą. Chłodne nocne powietrze przyjemnie chłostało rozpaloną skórę. Po chwili znowu znaleźli się w wodzie, opierając się o ścianę baseniku. Rękami mocno obejmował jej biodra.

- Czujesz? - Spojrzał na nią pożądliwie spod ciężkich powiek. - Poczuj dotyk śniegu.

Wirujące białe płatki spadały na nich i na wszystko wokół. Małe kryształki lśniły w jego włosach. Śnieg obsypywał lodowymi pocałunkami jej ciało.

Przesunął rękę wzdłuż uda, potem powędrował na brzuch, by po chwili zsunąć się niżej. Pieszczoty sprawiły, że zeszywniała z rozkoszy. Chciała coś powiedzieć, lecz zamknął jej usta pocałunkiem.

To nie było odpowiednie miejsce. Będąc z nią chciał mieć poczucie komfortu, dużo miejsca i dużo czasu. Nie potrafił jednak zaprzestać pieszczot. Pragnął pieścić ją, dotykać i czuć. Chciał zagłębić się w niej. Dotknął lekko miejsca pomiędzy jej udami, czując żar przez cienki materiał bikini.

Westchnęła gwałtownie i przytrzymała jego rękę. Wyczuwając napięcie jej ciała, wiedział doskonale, że jest wilgotna i gorąca, gotowa na przyjęcie go natychmiast.

Powstrzymał chęć wsunięcia ręki głębiej, odnalezienia palcem najwrażliwszego miejsca i drażnienia go tak długo, aż zobaczy ją szaloną z pożądania, usłyszy jej miłosne westchnienia, a potem w nią wejdzcie, aby wreszcie znaleźć zaspokojenie.

- Nie, nie tak - powiedział ochryplym głosem, dotykając ustami jej policzka. - Chcę cię widzieć nagą w moim łóżku. Chcę patrzeć na ciebie, gdy się Kochamy i chcę, żebyś ty na mnie patrzyła. Chcę, żebyś mówi mi, czego pragniesz i jak mam to zrobić. Szybko, wolno, szalenie czy czule. Chcę, żebyś krzyczała, jeśli masz r to ochotę. Chcę cię, Kit.

Jego słowa pobudziły wyobraźnię, szaleństwo, słodycz i głód. Czuła, że drży. Kiedy zbliżył usta do j warg, natychmiast wyszła im naprzeciw. Też go pragnę!

Rozległo się dyskretne kasznięcie, po chwili drugi głośniejsze. Kiedy John przerwał pocałunek, położyła głowę na jego ramieniu i zaśmiała się cichym drżącym głosem.

Koło wysokiego żywopłotu rosnącego po obu stronach ścieżki znajdującej się między tarasem a

domem stał Nolan Walker zwrócony tyłem do baseniku. John popatrzył na niego zaskoczony.

- O co chodzi, Nolan?

- Dzwoni Lassiter. Chce rozmawiać z tobą.

John zaklął siarczyście, a jego dłonie tęsknie przesunęły się po nagich ramionach Kit.

- Kit... - zaczął, ale położyła mu palec na ustach

- W porządku - wyszeptała. Było jej miło, że boi się jej reakcji.

W jego oczach pojawił się nie znany jej dotąd wyraźny wyraz czułości, delikatności i ciepła. Po chwili odezwał się do Nolana:

- Powiedz Lassiterowi, że zaraz idę.

Panująca dookoła cisza sprawiła, że tym wyraźny słysząc było odgłos oddalających się kroków Nolana. Uświadomiło to Kit, że w ramionach Johna zapomniał o całym świecie. Odsunął ją lekko i zaczął wychodzić z baseniku.

Po chwili objął ją ponownie.

- To może trochę potrwać - ostrzegł. - Lepiej idź do domu. - Pomógł jej wyjść, po czym wyłowił z wody górę bikini. - Możesz go potrzebować. - Uśmiechnął się.

Kit wzięła do ręki mokrą część kostiumu, lecz nie miała zamiaru jej wkładać. Otuliła się miękkim pluszowym szlafrokiem, który przywiozła z domu. John założył krótki płaszcz kąpielowy z monogramami na kieszeniach.

Objęci w pasie, boso przemierzali ścieżkę wiodącą do domu. Przeszli przez doskonale wyposażoną salę gimnastyczną i saunę, a potem wspięli się po białych schodach na piętro. Kit odprowadziła Johna aż do gabinetu.

Pocałował ją w czoło.

- Mam powiedzieć Carli, żeby przyniosła kawę? Może kakao?

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Idź. - Lekko popchnęła go w stronę gabinetu.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, odwróciła się niezdecydowana. Dokładnie naprzeciw gabinetu mieściła się bawialnia. Drzwi były uchylone zapraszająco. Stała boso na dywaniku z alpaki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że Nolan, Chip i Abe przerobili połowę pokoju na biuro. Na stoliku do pokera leżały stosy notatek, planów i innych ważnych papierów. Pełno też ich było porozrzucanych dookoła na krzesłach.

Kit skierowała się w stronę stołu bilardowego i dwóch ciężkich foteli obitych kremowym pluszem, które stały na wprost marmurowego „kominka. Już miała uderzyć białą, kiedy zauważyła leżący na mahoniowej ramie stołu scenariusz. Na okładce miał żółtą naklejkę „Do wysłania”. Był tam też datowany cztery dni wcześniej napis „Wersja poprawiona, zaakceptowana przez Olympic”.

Poprawiona wersja *Białych kłamstw*. Jeszcze nie dostała swojego egzemplarza.

- Ciekawe, co Chip zmienił - z zacięciem przekartkowała pierwszych parę stron. Po chwili wzięła do ręki scenariusz, skuliła się na jednym z foteli przy kominku i zaczęła przerzucać kartki. Im dalej s posuwała, tym bardziej zaciskała wargi, a minę miała coraz bardziej ponurą.

Skończyła lekturę, wstała i podeszła do okna, obserwując równomiernie padający śnieg. Tak zastał ją John.

Podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i pochylił się żeby pocałować w szyję.

- Przepraszam.

Odwróciła się do niego, wskazując na trzymać w ręku scenariusz.

- Czy to mamy kręcić? - spytała, starając się panować nad głosem.

John spojrzął na notkę na okładce i przytaknął.

- Zatwierdzili to parę dni temu...

- Jak można było do tego dopuścić? - wybuchnęła. - Jak Chip mógł to zrobić? Zniszczyliście całe opowiadanie. Zniszczono wszystko, co stanowiło o jego wyjątkowości i...

- Przesadzasz.

- Ja przesadzam? Zrobiliście z Eden morderczynię. Kazaliście jej zabić męża. Całe opowiadanie jest teraz banalne. Jest przypadkowym zlepkiem kilkunastu innych filmów.

- Ta wersja będzie się podobać. - Odwrócił się grzebiąc w kieszeni szlafroka w poszukiwaniu papierosów. Musiał zapalić.

- Ale to nie jest ten scenariusz, który kupiliście - tłumaczyła podchodząc do stołu bilardowego. - To nie jest to opowiadanie, które porwało cię na tyle, żeby je kupić.

- Może nie, ale to jest historia, którą kupuje Olympic. - Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. - On za to płacą, oni zajmują się dystrybucją i organizuje zdjęcia. Uważali, że oryginalny scenariusz jest zbyt ryzykowny. Chcieli czegoś sprawdzonego, więc dostali.

- No właśnie. To wszystko, co masz do powiedzenia. - Machnęła ręką z wściekłością. - Szlag trafił opowiadanie, ale kogo to obchodzi? Mam rację?

Po dwudziestominutowej sesji z Lassiterem nie starczyło mu teraz cierpliwości.

- Kiedy ty wydorosłesz, Kit? - wypalił. - W naszym biznesie, jeśli musimy wybrać pomiędzy zarobkiem a zmianą, zawsze zmieniamy tekst.

Rzuciła scenariusz.

- Ja mam wydorosnąć? To znaczy poddać się? Po prostu zapomnij, że wierzyłam w tę historię i podziwiałam cię za nią.

- Do cholery, Kit, nie miałem wyboru.

- Nie miałeś wyboru? - wrzasnęła na cały pokój. - Mogłeś im powiedzieć, żeby się wypchali swoimi pieniędzmi, dystrybucją, zyskiem. Mogłeś ich posłać do diabła.

- Kit, nic nie rozumiesz. - Próbował się opanować. - Ten film jest mi potrzebny.

- Olympic nie jest jedynym studiem w tym mieście.

- Myślisz, że jakieś inne studio jest zainteresowane tym scenariuszem? - podniósł głos do krzyku. - Chip obszedł z nim pół miasta, zanim trafił do mnie. Czy to ci coś mówi?

- Tak, mówi, że nawet nie spróbowałeś.

- Cholera. Umowę na film zawarłem z Olympic. Nawet gdybym zabrał scenariusz - przerwał, nabierając powietrza i ścisząc głos - to i tak nie ja dyktuję warunki. John Travis może sobie być wielką gwiazdą w oczach publiczności, ale moja pozycja w Hollywood jest bardzo chwiejna. Potrzebny mi jest przebój. Wielki przebój. Zrobię go i odzyskam pozycję. Wtedy będę mógł powiedzieć Lassiterowi, żeby poszedł do diabła. Ale na razie muszę stosować się do jego wymagań. Podobnie jak ty i cała reszta.

Stała przed nim ze spuszczoneymi rękami. Dłonie zacisnęła w pięści.

- Niewiele obchodzi mnie wasza gra i jej reguły.

- To odejść od stolika - odpalił.

Uniosła brwi.

- Tak, to jest pomysł.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. W pokoju gościnnym przebrała się w sweter i spodnie, wzięła torebkę i płaszcz i skierowała się do drzwi frontowych. W tym samym momencie znalazł się tam John. Spojrzał na płaszcz przewieszony przez jej ramię.

- Nie wychodzisz, Kit.

Znowu się w niej zagotowało, ale powiedziała z udawanym spokojem:

- Chcesz się założyć?

Zagroził jej drogę do drzwi.

- Słuchaj - próbował uspokoić głos - wiem, że jesteś rozczarowana z powodu zmian w postaci Eden...

- Rozczarowana to mało powiedziane. Mam ochotę rzucać czym popadnie, a ty świetnie nadajesz się na cel. Zejdź mi z drogi.

Tym razem John już nie próbował jej zatrzymać.

Dżip przebijął się przez kilkunastocentymetrową warstwę śniegu przykrywającego ulicę. Kit instynktownie wykonywała wszystkie niezbędne ruchy, opuszczając Starwood. Wzrok miała wbity w drogę i równo padając śnieg widoczny w światłach reflektorów. Myśli wciąż krążyły wokół kłótni z Johnem.

- Teraz rozumiem, dlaczego Chip robił takie trudności ze zmianą scenariusza - mruzczała, kontynuując rozmowę, którą prowadziła sama ze sobą od moment wyjazdu od Johna.

Boże, jak Chip mógł tak okaleczyć swój własny scenariusz? Co go do tego skłoniło?

Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Chciała, żeby w pobliżu znalazł się Chip. Chciała nim potrząsnąć, żeby się opamiętał. W tym momencie zrozumiała.

Chip był przede wszystkim reżyserem, a dopiero potem pisarzem. Może postawiono mu ultimatum: albo zmieni scenariusz, albo może zapomnieć o reżyserowaniu tego filmu. Trudno się dziwić, że wybrał to pierwsze.

Westchnęła. Była zmęczona, sfrustrowana i czuła się przegrana.

- Kopał, wrzeszczał, tupał, ale poddał się, żeby tylko nie stracić szansy reżyserowania ważnego filmu. Biedny Chip - mruknęła ze współczuciem.

Wyjechała na szosę. Pługi śnieżne oczyściły już dokładnie drogę do Aspen, którą przykrywała teraz cienka warstwa świeżo spadłego śniegu. Kit jechała w milczeniu. Światła przed nią zmieniły się na czerwone. Zwolniła i zatrzymała dżipa. Zaczęła powoli rozglądać się dookoła.

Przez śnieżną zasłonę zobaczyła wysoki i dumny Hotel „Jerome”, wspaniale odrestaurowany i odnowiony. Podobnie jak sto lat temu znów niepodzielnie panował na rogu Mill i Main. Był jednak zupełnie niepodobny do „Jerome” z lat jej dzieciństwa. Przede wszystkim nie unosił już niebieskich brwi na widok dziwnych rzeczy dziejących się dookoła.

Pod wpływem nagiego impulsu Kit skręciła w Mill i dojechała aż do deptaka. Tam zatrzymała się i opierając ręce na kierownicy, zaczęła obserwować roztaczające się przed nią widoki.

Śnieg przykrył ciemnoczerwona nawierzchnię, a mróz ściał drzewa stojące wzdłuż ulicy. Lśniły białą gałęzi. Spadające płatki tworzyły zwiewną, migotliwą kurtynę. Cudowny zimowy pejzaż, który wydawał się zupełnie nierealny.

Popatrzyła na oświetlone witryny sklepów i spróbowała przypomnieć sobie, jak to wszystko wyglądało, kiedy ona tu dorastała wśród brudnych uliczek. Od tego czasu zmieniło się bardzo wiele. Powstało dużo nowych domów stylizowanych na stare, takich jak Hotel „Jerome” czy Opera Wheelera.

Na pierwszy rzut oka Aspen wciąż wydawało się idealnym miejscem do życia. Bannon jednak uzmysłowił jej, że to nieprawda. To miasto przyjmowało tylko tych, których stać było na to, żeby tu mieszkać.

Przypomniała sobie również wysiłki Bannona, żeby to zmienić, jego walkę z powszechnie panującymi poglądami i zwyczajami. Nie poddawał się. Kiedy w coś wierzył, nie szedł na żadne kompromisy. Walczył o te do końca.

Nie tak jak John.

Bannon przypominał kogoś, kto zatyka palcem groblę, próbując zatrzymać wodę do czasu nadejścia pomocy.

Ale to tylko w historiach rodem z Hollywood pomoc nadchodzi zawsze w najbardziej oczekiwanym momencie. W życiu nie można liczyć na cud.

John szybko sprowadził ją na ziemię.

Oślepiło ją jasne światło. Mrużąc oczy spojrzęła przez okno samochodu. Obok jej dżipa stał radiowóz. Policjant na siedzeniu dla pasażera pokazał, że ma opuścić szybę.

- Czy panią na kogoś czeka? - Świecił jej latarką w twarz.
- Nie. Nie czekam. - Zasłoniła oczy. - Tak sobie patrzę na deptak i na śnieg.
- Blokuję pani ulicę. Musi pani odjechać.
- Już odjeżdżam - powiedziała.

Zmieniła bieg i odjechała żegnana jego wzrokiem. Wróciła na szosę i pojechała do domu.

Rozdział dwudziesty trzeci

Warstewka śniegu zgromadziła się na szerokoskrzydłym kapeluszu Bannona. Szedł powoli, spokojnym krokiem wzdłuż oświetlonej ulicy. Rozpiął podbitą futrem kurtkę, rozkoszując się chłodem nocnego powietrza. Idący obok niego Pete Ranovitch zaciągnął się łapczywie papierosem. Tego wieczoru odpalał jednego od drugiego. Pochylił gołą głowę i podniósł kołnierz płaszcza, próbując się chronić przed padającym śniegiem. Jego lewa ręka spoczywała na temblaku. Była w gipsie od nadgarstka aż po łokieć.

- Trzeba cię podwieźć, Pete?

Dopiero po długich pertraktacjach, gdy Pete wręczył czek na trzysta dolarów, a Bannon złożył obietnicę, że sam zapłaci, gdyby czek okazał się bez pokrycia, właściciel baru zgodził się nie wnosić oskarżenia.

- Nie. Mój samochód jest zaparkowany kilka przecznic dalej - odpowiedział, po czym zaśmiał się sarkastycznie. - Pod warunkiem, że go nie ukradli albo nie odholowali. Znając moje szczęście, nie byłbym zaskoczony. - Ponownie zaciągnął się dymem. - Naprawdę tak uważam, Bannon. Mam już dość próbowania. Wyjeżdżam. Kiedy wrócę do tego mieszkania, wrzucę manele do samochodu i wyjadę jeszcze dzisiaj wieczorem. Nie ma sensu oszukiwać się, że kiedykolwiek będę miał własną

restaurację. Tak się nie stanie. Nie w tym życiu. To marzenie przestało już dla mnie istnieć. Jestem zmęczony, Bannon. Jestem po prostu cholernie zmęczony.

Coś mówiło mu, że powinien sprzeciwić się Pete'owi i namówić go, aby spróbował jeszcze raz. Zmilczał zdając sobie sprawę, że to Pete będzie ponosił konsekwencje.

- Dokąd pojedziesz?

- Mam przyjaciela, który pracuje w restauracji na Południu, w Telluride. Pewnie zatrzymam się u niego na kilka dni, a potem... znajdę sobie gdzieś pracę, kiedy już zdejmą mi ten gips.

Furgonetka Bannona stała zaparkowana przy krawężniku. Czerń jej karoserii była niewidoczna pod płaszczykiem śniegu. Przystanąwszy, Bannon wyciągnął dłoń do Pete'a.

- Powodzenia, Pete. Jak zdecydujesz się kiedy wrócić w te strony, postawię ci kawę.

- Z całego tego cholernego miasta tylko ciebie będzie mi brakować. Wiem, ile ci jestem winien. - Mocno ucisnął dłoń Bannona.

- Przyślij mi przepis na ten twój sos *barbecue*.

- Przyślę - obiecał i nie rozglądając się na boki przeszedł na drugą stronę ulicy.

Bannon obserwował go przez chwilę, po czym wsiaść do furgonetki i wyjął klucze z kieszeni kurtki. Zapalił silnik, poczekał, aż się rozgrzeje i odjechał. Wycieraczki odgarniały śnieg zwiewany z maski samochodu.

Gdy światła miasta zostały w tyle, pomyślał o Pete'm i niektórych innych swoich znajomych. Był świadkiem jak kolejne niepowodzenia i klęski rozwiewały marzenia. Przez jakiś czas powtarzali wytarte frazesy o wierze i nadziei, aż wreszcie któregoś dnia okazywało się, że są to puste słowa.

Może w Aspen trudniej było niż gdzie indziej zrealizować marzenia. Ale to nie Aspen było winne, że marzenie Pete'a nie spełniło się. Takie było życie.

Niecały kilometr przed nim dwa czerwone punkty na przemian zapalały się i gasły. Bannon zwolnił, zobaczywszy dzipa z włączonymi światłami awaryjnymi. Miał już wyminąć pojazd, gdy zobaczył stojącą na poboczu i wymachującą rękami Kit. Zatrzymał się obok. Na drodze nie było innego samochodu, co wykluczało wypadek.

- Co się stało? - zapytał, kiedy Kit otworzyła drzwi.

- Zabrakło mi benzyny. - Rzuciła torebkę na siedzenie, po czym wsiadła sama.

- Co ty...

- Lepiej nic nie mów, Bannon. - Gwałtownym ruchem wyciągnęła rękę, jakby broniąc się przed tym, co chciał powiedzieć. - Proszę cię, po prostu nie mów nic i zawieź mnie do domu.

Z tonu jej nabrzmiałego emocjami głosu wynikało, że zaraz może wybuchnąć płaczem, a nie był w nastroju, by sobie z tym poradzić, nie u niej i nie dzisiaj. Nie odezwał się. Kit odwróciła głowę i z twarzą opartą na dłoni wpatrzyła się w boczne okno.

W milczeniu przejechali kilka kilometrów dzielące ich od jej domu. Kiedy zaparkował, natychmiast wysiadła z samochodu.

- Dzięki - powiedziała, zamykając drzwi.

Patrzył, jak biegnie przez śnieg i wchodzi na werandę. Poczekał, aż zapaliła światło w domu, po czym odjechał.

Kit oparła się o drzwi frontowe i westchnęła głęboko. Potem, w przypływie niepokoju, wyprostowała się gwałtownie. Rzuciła torebkę na krzesło, a w ślad za nią cisnęła płaszcz.

Zadzwonił telefon. To na pewno John; telefonuje, żeby przeprosić lub chce dalej się z nią kłócić.

- Nie chcę z tobą rozmawiać. - Skrzyżowała ramiona, wbijając w nie palce przez rękawy obszernego swetra. Podniecenie, zakłopotanie, zdenerwowanie i pewność wróciły, jeszcze silniejsze niż przedtem.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. A jeżeli to nie Jo. Jeżeli dzwonią ze szpitala w związku z matką? A może to sąsiadka, Maggie Peters? Błyskawicznie znalazła przy aparacie i podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Kit! Gdzie się, do diabła, podziewasz? Od trzech godzin usiłuję się do ciebie dodzwonić. - Z drugiej strony słuchawki usłyszała głos Maury'ego. - Prosił cię, żebyś była w kontakcie. Ale ty mnie nie słuchasz.

- Poszłam na obiad do Johna. - Opadła na krzesło obejmując telefon rękami. - Cieszę się, że dzwoni Maury. Właśnie zobaczyłam zmiany, jakich dokona w scenariuszu. - Odrzuciła głowę do tyłu, by spojrzeć na sufit. - Zmiany. Boże, co ja mówię? Oni go i zmienili. Oni go zniszczyli.

- Jestem pewny, że nie jest tak źle...

- Maury. - Wstała. - Zniszczyli moją rolę.

- Wycieli?

- Nie. Skasowali wszystko, co w Eden było fascynujące. Teraz jest tylko zwykłą, bezwzględną wiedzmą. Stereotyp, rozumiesz? Próbowałam się kłócić z Johnem ale... wytwórnia Olympic Pictures nalegała na te zmiany, a on im się nie przeciwstawi.

- Jeżeli Olympic tego chce... - Maury zakończ zdanie zawieszając głos. - Nie martwiłbym się tym, K. Dzięki tobie ta rola stanie się warta zapamiętania. Wszyscy padną z wrażenia. Zobaczysz. Właściwie to już się stało. Ja...

- Nie zależy mi na tym, czy ktokolwiek mnie zauważy - mówiła, spacerując nerwowo w tę i z powrotem.

- Mówisz dziwne rzeczy...

- Dlaczego? - dopytywała się Kit. - Dlaczego to takie dziwne że nie zależy mi, czy zagram w tym filmie. Nie podoba mi się to, co się ze mną teraz dzieje. Nie chcę myśleć o tym, co się ze mną stanie, jeśli przyjmę ten scenariusz.

- Kit - przerwał jej. - Jesteś zdenerwowana. Teraz nie myślisz. Nie jesteś realistką.

- Boże, zupełnie jakbym słyszała Johna. - Przejechała ręką po włosach i odrzuciła głowę do tyłu. - A jeżeli chcesz wiedzieć, dużo o tym myślałam.

- W takim razie nie myślałaś logicznie. - Maury zaczął mówić wolno i bardzo wyraźnie, w oczywisty sposób starając się ukryć zniecierpliwienie czy zdenerwowanie. - Nie możesz rzucić tego filmu tylko dlatego, że nie podobają ci się jakieś zmiany w scenariuszu.

- Dlaczego nie mogę? Jeżeli tego chcę, to dlaczego nie mogę? - kłóciła się, walcząc ze łzami napływającymi do oczu.

- Bo po pierwsze, podpisałaś kontrakt...

- Więc go zerwę. Mogą zarządzić scenariusz, ale nie mogą zmusić mnie do gry. To sprzeczne z prawem.

- Czy masz jeszcze pieniądze, które wypłacili ci przy podpisywaniu umowy? Będą żądali, żebyś je zwróciła, Kit.

O tym zapomniała.

- Nie, nie mam ich. Wiesz, że pokryłam z nich część rachunków za pobyt matki w szpitalu. Ale znajdę sposób, żeby je oddać. Nie wiem jak, ale... - Przycisnęła palce do czoła, czując, że zaczyna ją boleć głowa.

- Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz. Nie wierzę, że możesz zrezygnować na trzy tygodnie przed rozpoczęciem zdjęć. Masz główną rolę, Kit. Czy nie zdajesz sobie sprawy, ile osób jest od ciebie uzależnionych? Od tego, żebyś zrobiła swoje, i to dobrze? Mogą znaleźć inną aktorkę na twoje miejsce, ale o ile to opóźni rozpoczęcie zdjęć? A co z kostiumami? Z zespołem - operatorami, kierownikiem planu, asystentem reżysera? Prawdopodobnie zrezygnowali z innych zajęć, żeby pracować nad tym filmem. Nie wiesz, jakie stworzysz problemy? Czy to jest w porządku, Kit? - Zaatakował ją: - Mój Boże, mówisz, jakbyś nigdy dotąd nie g w żadnej chacie. Od kiedy to stałaś się nagle za do żeby realizować kiepski scenariusz?

- To nie o to chodzi, Maury - przerwała.

- To o co, do cholery, ci chodzi?

- Mam po prostu zamęt w głowie. - Usiadła z ciężkim westchnieniem. Czowała się schwytna w pułapkę.

- Lepiej będzie, jak ci się rozjaśni. Pniesz się góry, Kit. Masz przed sobą wielką karierę. Na lii boską, nie zaprzepaść tego - powiedział dobitnie, czym dla pewności dodał: - Słyszysz?

- Słyszę, Maury - odparła gniewnie.

- Dobrze. Teraz weźmiesz ten scenariusz i starasz się wydobyć z niego jak najwięcej. Za te płacą. To dopiero początek, Kit. Będą inne, lepsze role. Pamiętaj o tym.

- Dobrze. - Pożegnała się z nim i odłożyła słuchawkę. Przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, trzymając telefon na kolanach.

Maury potraktował ją jak zepsute dziecko a rozkapryszoną gwiazdę. Ale to nie było tak. Do lic to nie tak.

Ulegając nagłemu przyływowi bezsilnej wściekłości gwałtownie odstawiła telefon, lekceważąc pełen protestu dźwięk, jaki się z niego wydobył. Pomaszzerowała do kuc i zaczęła strzelać drzwiczkami szafek, aż znalazła butelkę z aspiryną. Z podobnym hałasem szukała szklanki. Puściła silny strumień zimnej wody. Popiwszy aspirynę, zacisnęła aż do bólu dłoń na krawędzi zlewozmywaka.

- Uspokój się - powiedziała z wściekłością do siebie, ale nie było to możliwe. Musiała odreagować gniew, zużyć cały nadmiar energii.

Kakao. Zrobi sobie kakao. W staroświecki sposób, jak robiła to pani Hatch.

Z ponurą satysfakcją zaczęła tłuc garnkami i patelniami, zanim z hałasem postawiła na palniku rondelkę, po czym dalej miotła się, poszukując w szafkach wszystkich składników wymienionych na puszcze kakao firmy Hershey. Podeszła do lodówki i otworzyła drzwiczki na oścież, wzięła mleko z półki, z trzaskiem zamknęła lodówkę i odwróciła się.

W drzwiach saloniku stał Bannon. Topniejący śnieg ściekał mu z ronda kapelusza, który trzymał przed sobą.

- Kiedy dojechałem do końca alei, znalazłem na siedzeniu twoje rachunki. Musiały wypaść ci z torebki - powiedział, rzucając je na blat szafki. - Pukałem, ale chyba za bardzo hałasowałaś, żeby mnie słyszeć.

- Jestem wściekła, rozgoryczona, nie wiem, co robić. - Nagle gniew zaczął mijać. Westchnęła głęboko, przeczesła ręką włosy i posłała mu blady uśmiech. - Robię kakao. Zdejmij płaszcz i napij się ze mną. - Widząc, że się waha, dodała: - Nic lepiej nie rozgrzewa w śnieżną noc.

Patrząc na nią Bannon przypomniał sobie kilka lepszych sposobów, lecz powiedział:

- Może i masz rację. Byłoby miło wypić filiżankę kakao. - Przeszedł przez kuchnię, powiesił kapelusz i płaszcz na wieszaku w przedpokoju, po czym usiadł na jednym z drewnianych krzeseł z rzeźbionym oparciem.

Zapadło swojskie milczenie. Kit odmierzała składniki do rondelka, a do drugiego wlewała mleko łagodniejszymi niż poprzednio ruchami. Obserwował, jak się krząta, mieszając i kosztując tego, co robi, z beztróską pewnością osoby przyzwyczajonej do prac kuchennych. Spodobała mu się ta prosta, domowa scena, uświadamiając mu, jak mogłoby wyglądać jego życie.

- Po co wychodziłeś w tę zimową noc, Bannon? Interesy czy przyjemność? - zapytała, mieszając kakao, żeby się nie przypaliło.

- Chyba można to nazwać interesami. Przyjaciel wpadł w tarapaty, zdemolował parę sprzętów w barze. - Oparł łokcie na stole i bawił się cukierniczką. - Udało mi się namówić właściciela, żeby pozwolił mi zapłacić za szkody i nie wnosił oskarżenia.

- Rozumiem, że twój przyjaciel był pijany.

- Nie, tym razem nie. Po prostu był zrozpaczony i wściekły. Wyżywał się tak jak ty przed chwilą.

- Narobiłam trochę hałasu, prawda? - Uśmiechnęła się ze smutkiem, wyciągając z szafki dwie filiżanki.

- Trochę.

Napełniła filiżanki i postawiła je na stole.

- Nigdy nie opuszczasz przyjaciół, prawda, Bannon? Bez względu na to, czy mają rację?

- Jestem prawnikiem.

- To nie ma znaczenia, po prostu nie potrafisz inaczej. - Przyniosła jedną z filiżanek w jego stronę, siadając na krześle po drugiej stronie stołu. - Taki już jesteś.

- Może i tak.

Obrączka błyszczała na jego palcu, gdy podniósł filiżankę i lekko dmuchał na parującą powierzchnię kakao. Widok tej obrączki nagle przestał Kit przeszkadzać. Tym razem potraktowała ją jako symbol jego stałości, lojalności w stosunku do ludzi. Po ponad ośmiu latach w Hollywood wiedziała, że to cenne i rzadkie cechy. Lecz ta myśl przypominała jej o Johnie i Maurym i wszystkich sprawach, które ją martwiły.

Wypiła łyk kakao.

- Niestety, nie jest takie smaczne jak to robione przez panią Hatch. Może dodawała jakiegoś innego zapachu, a nie wanilii. Następnym razem spróbuję chyba dodać olejku migdałowego.

Bannon skosztował kakao.

- Osobiście uważam, że to całe tłuczenie rondelkami i walenie drzwiczkami już nadało mu specjalnego smaku. - Posłał jej znajomy, na poły ciepły, na poły ironiczny uśmiech. - Następnym razem, jak ci zabraknie benzyny, przypomnij mi, żebym się nie zatrzymywał.

- Brak benzyny był tylko ukoronowaniem tego wieczoru. - Zamieszała kakao w filiżance. - Strasznie się dzisiaj pokłóciłam z Johnem o zmiany w scenariuszu.

- Aha.

Ponownie pochłonięta swoimi myślami nie zwróciła uwagi na chłód tego pomruku. Uniosła głowę,

gdy Bannon wstał z krzesła, podszedł do okna i wyjrzał, jakby chciał sprawdzić, czy dalej pada śnieg.

W zamyśleniu patrzyła na jego plecy.

- Teraz nie jestem nawet pewna, dlaczego tak się zdenerwowałam. Byłam rozczarowana, wyprowadzona z równowagi. Zabolało mnie to, że dokonali takich zmian w mojej roli. Ale aktorzy nigdy nie mają na to wpływu. Można tylko protestować - bez efektu. Trzeba przyjmować, co ci dają. Masz możliwość kontroli artystycznej dopiero wtedy, kiedy jesteś już tak sławny, że nie ośmielają się powiedzieć ci „nie”. - Przerwała zastanawiając się nad tym przez chwilę. - Może gdzieś w głębi serca to była moja reakcja właśnie na to, jaką osobą trzeba się stać, by osiągnąć tę wielkość, na ile trzeba się godzić po drodze, do jakiego traktowania trzeba się przyzwyczaić i jak nauczyć się traktować innych.

- Nie najlepiej to świadczy o Travisie - rzekł oschle Bannon.

- Chyba nie - przyznała. - Ale kiedy ludzie czekają tylko, by cię wykorzystać, skrytykować, osądzić i potępić - słusznie czy niesłusznie - sam musisz się stać twardy i cyniczny. A nawet bezwzględny. Nigdy nie chciałam tego widzieć, nigdy nie chciałam uwierzyć, że taka jest prawda. - Gapiała się bezmyślnie w swoje kakao. - Pamiętasz, jak mi kiedyś powiedziałeś, że pieniądze zmieniają mentalność i uniemożliwiają otwarcie się na inne myślenie? Tak samo jest ze sławą. Sława to władza i pieniądze. - W przyptywie niepokoju Kit wstała i podeszła do okna, przy którym stał Bannon. Wzdychając wpatrywała się w wirujące za ciemną szybą białe płatki śniegu.

- Nie podoba mi się to, co się ze mną teraz dzieje, Bannon. Nie podoba mi się osoba, jaką zostanę, jeżeli tego nie rzucę. I muszę to zmienić, jeżeli mam wytrwać. Inaczej się wykończę. Moja psychika ulegnie rozdarciu.

- A co z ustępstwami, na które już poszłaś? - Głos Bannona brzmiał twardo. - Jeżeli zostawisz to teraz, będzie znaczyło, że poczyniłaś je nadaremnie.

Atmosfera niedomówień, z jaką się spotykała w ciągu tych ostatnich kilku tygodni, sprawiła, że bez trudu rozszyfrowała aluzję.

- Czy nie chodzi ci przypadkiem o Johna Trávisa i te brudne plotki, że spałam z nim, aby dostać tę rolę? - Jego podniesiona głowa i usztywniona szczeka starczyły jej za odpowiedź. - A więc ty też, Bannon. Tylko nie to! - krzyknęła. W jej głosie słychać było gniew i urazę. - Niech cię szlag! - Zobaczyła jego podniesione w zdumieniu brwi i odwróciła się szybko. Na sztywnych nogach podeszła do szafki i gwałtownie odstawiła filiżankę. Kakao rozprysnęło się na boki. - Czy nie widzisz, że właśnie o tym mówię? O tym, że ludzie mnie osądzają, snują domysły. Ludzie, którzy powinni mnie znać lepiej!

- Kit, ja... byłem nietaktowny...

- Masz cholerną rację, że byłeś nietaktowny - oświadczyła. Jej podbródek drżał, gdy odwróciła się, by stanąć przodem do niego. Zdziwiła ją niepewność i żal, jakie zobaczyła w jego oczach. - Jeżeli chcesz wiedzieć, to poszłam z nim do łóżka, ale to nie dlatego dostałam tę rolę. Dostałam ją, bo jestem dobra. Dopiero potem John i ja... - przerwała i przycisnęła rękę do czoła. - Boże, dlaczego ja ci to opowiadam? To nie twój interes. Opuściła rękę, żeby na niego popatrzeć. Walczyła ze łzami i natłokiem emocji. - Och, chciałabym, żeby udało nam się wreszcie pokonać te resztki romantycznych złudzeń, jakie jeszcze między nami pozostały.

Jej wzrok zamglily gorące, piekące łzy. Nie widziała, jak wstawał. Nagle znalazł się przed nią i mocno objął ramionami.

- Też tego pragnąłem, Kit. Ale takich rzeczy się nie zabija - powiedział cicho, po czym zdecydowanym, prawie gniewnym ruchem przyciągnął ją do siebie, przyciskając swoje wargi do jej ust mocno i pożądliwie. Stwierdziła, że bez oporu odwzajemnia pocałunek, pragnąc jeszcze większej bliskości.

John całował ją z większą finezją, przy nim czuła się bardziej podniecona. Jednak prosta szorstkość pocałunku Bannona wywoływała uczucia wykraczające poza sam seks. Oszołomiło ją to i sprawiło, że znowu chciało się jej płakać.

Bannon cofnął się trochę i ujął jej twarz w swe zgrubiałe dłonie. Oddychał nierówno, błędząc po niej pełnym niepokoju spojrzeniem. Wyraz jego oczu sprawiał jej ból.

Ponownie ją pocałował i przyciągnął do siebie, delikatnie muskając ustami jej włosy.

- Jak to możliwe, że smakujesz lepiej niż to pamiętam? - mruknął chrapliwie. - Jak mogę pożądać cię bardziej niż dawniej?

Zamknęła oczy słysząc te słowa, drząc, nie mogąc złapać tchu. Zesztywniałe ręce oparła na jego biodrze.

- Nie rób tego, Bannon - szepnęła przez zaciśnięte zęby. - Nie zniosę tego jeszcze raz. Być tak blisko, jak byliśmy, i stracić to. Bardzo cię teraz pragnę, ale nie mogłabym jeszcze raz przejść przez to samo.

- Nie potrafię usprawiedliwić tego, co się stało, Kit. Nie umiem tego wyjaśnić, nawet samemu sobie - przyznał. - Wiem, jakim człowiekiem byłem przy tobie; wiem, kim jestem teraz. Ale zupełnie nie znam tego człowieka, którym byłem przez te trzy miesiące. Kiedy patrzyłem na nią - może czułem pożądanie z powodu czegoś zakazanego? Może to dlatego, że była tajemnicza, a ty otwarta i szczerą? A może dlatego, że ona była na miejscu, a ty wyjechałaś? Może wszystko razem. Nie wiem, Kit. - Udręka brzmiąca w jego głosie była echem tej, którą sama przeżywała. - Nie można zmienić przeszłości. Zawsze będzie z nami.

Nagle poczuła dziwny i cudowny spokój. Pomimo, a może właśnie z powodu jego niepewności, pojęła wszystko, chociaż nie wiedziała, jak to się stało.

- Bannon - szepnęła, obejmując go.

To prawda, że przeszłość zostanie z nimi na zawsze, i że część tej przeszłości zawsze będzie należeć do Diany. Była matką jego córki i Laura zawsze będzie mu o niej przypominać. Kit wierzyła, że kiedyś wreszcie uda jej się z tym pogodzić.

Zesztywniał.

- Chcę cię, Kit. Ale zasługujesz na więcej, niż mogę ci ofiarować.

- Daj mi po prostu wszystko, co możesz. To wystarczy.

Westchnął głęboko i przyciągnął ją do siebie. Ich usta połączyły się w zachłannym pocałunku. Mocno oplótł ją ramionami, ocierając się o biodra.

Kit przestała się zastanawiać, czy to, co robi, jest słuszne czy nie; nie myślała o tym, że ponownie może zostać zraniona. Był czas na myślenie i czas na uczucie, czas na rozsądek i czas na miłość. Przekonała o tym sobie samą i teraz pragnęła udowodnić to Bannonowi.

Błądził dłońmi po jej włosach.

- Pragnę cię, ale nie tutaj... nie tak jak para nastolatków kochająca się byle gdzie. Chcę cię w łóżku, z twoimi złotymi włosami rozsypanymi na poduszce.

- Tak - szepnęła. Wziął ją na ręce. Zarzuciła mu ramiona na szyję i głaskała po włosach, równocześnie namiętnie gryząc jego ucho.

Wniósł ją po schodach do sypialni i kopnięciem zamknął drzwi. Stawiając Kit na podłodze, pozwolił, by zsuwała mu się wzdłuż uda. Jej luźny sweter podwinął się. Szorstkie dłonie prześlizgnęły się po jej gołej skórze.

Poszukał jej ust. Miały smak kakao i pełne były żaru i pożądania. Kiedy zdjął sweter, zaczęła rozpinać jego koszulę. Wyzwolnił się z niej z pośpiechem. Śpieszyła się tak samo jak on. Mieli do nadrobienia dziesięć długich lat.

Po chwili leżeli razem na łóżku. Jej włosy rozsypały się po poduszce, tak jak o tym marzył. Wziął je w ręce, odsłaniając smukłą, jasną szyję. Zadrzał pod dotykiem jej palców przesuwających się po jego piersiach i brzuchu. Nie mógł już czekać dłużej.

Wszedł w nią z tłumionym jękiem. Zaczęła poruszać się pod nim, zachęcając do gwałtowniejszych ruchów. Nagle chwycił jej biodra.

- Przestań - poprosił. - Kochanie, jeśli teraz drgniesz, to się skończy, zanim jeszcze się zaczęło. Tak strasznie cię chcę. Pragnę cię od tak dawna.

Powoli podniosła powieki. Widziała, że opanowuje się z wielkim wysiłkiem. Opanowuje dla niej.

Pogłaskała go po policzku.

- Mamy przed sobą całą noc, Bannon. Oczywiście, jeśli spędzisz ją ze mną.

- Całą - obiecał szeptem, uwalniając jej biodra. Teraz poruszali się w gorącym, zapamiętałym rytmie. W zamroczeniu zobaczyła nad sobą jego napiętą twarz z kropelkami potu, którą nagle odmienił spazm radości.

Opadł na nią całym ciężarem, lecz za chwilę przewrócił się na plecy, ciągnąc ją za sobą. Jej długie włosy opadły na niego. Gdy zgarniała je na bok palcami, chwycił jej rękę i podniósł do ust. Zamglonym wzrokiem spojrzał na stwardniałe koniuszki jej ciężkich piersi.

Całował po kolei jej palce, ramiona, szyję. Czuła, że pogrąża się w marzeniu, zbyt pięknym, aby mogło być prawdziwe - czuła się kochana. Zanurzyła palce w jego włosach, dygocąc z rozkoszy, gdy pieścił jej piersi ustami i językiem.

Zsunął ją z siebie i przewrócił na bok, pragnąc całować całe jej ciało - od pępka po wygięcie biodra,

wzdłuż długiego uda do wierzchołka kolana, wzdłuż łydki do kostki, aż po stopy i palce.

Leżała teraz w ciemnościach, przepełniona uczuciem, niepewna, w jaki sposób znalazła się na brzuchu, gdy tymczasem on głośko i okrywał pocałunkami jej pośladki, plecy i szyję.

Nigdy dotąd nie czuła się tak kochana, godna największej miłości i troski. Tak uwielbiana. Uwielbiana. To było właściwe słowo.

Obrócił ją w ramionach, szukając ust. Odwzajemniła długi pocałunek. Nie wierzyła, że może czuć się tak bezwolna, słaba, a jednocześnie tak podniecona. Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

- Chcę cię dotykać, Bannon.

- Zrób to.

Przez chwilę przypatrywała się jego smukłemu, silnemu ciału i twardym mięśniom, które wyraźnie rysowały się pod opaloną skórą.

- Podobasz mi się. - Pieściła i całowała jego brzuch i ramiona, mając wrażenie, że są wystarczająco silne, by ochronić ją w razie potrzeby.

Przycisnęła do twarzy jego dłoń, wdychając jej zapach, badając językiem słony smak jego skóry.

- Smakujesz mi.

Palcami ujął ją za podbródek.

- Chodź tutaj.

Całował ją namiętnie. Odwrócił ją tak, że znalazła się na nim. Ich ciała połączyły się jeszcze raz.

- Ujeżdżaj mnie, Kit - wydyszał. - Ujeżdżaj ostro.

Spełniła jego prośbę, opierając ręce o jego ramiona. Trzymał ją za biodra, niecierpliwymi gestami nalegając, by kontynuowała. Czuła, że jest w tym szaleństwo. Nie przypuszczała, że odczuwając tyle wrażeń można potrzebować ich jeszcze więcej.

Kiedy już była u kresu sił, przewrócił ją na plecy. Ujrzała nad sobą jego twarz. Zdawało jej się, że wyszeptał jej imię, ale nie była w stanie myśleć. Oplotła go nogami odkrywając, że rozkosz jest czymś cudownym, lecz rozkosz połączona z miłością jest wszystkim.

Rozdział dwudziesty czwarty

Łagodny, szaroperłowy świt rozpałał się za oknem sypialni. Kit poczuła lekkie dotknięcie światła na powiekach, poruszyła się przez sen i natychmiast zdała sobie sprawę, że nie może się ruszyć w ciasnych objęciach napierającego na nią gorącego ciała.

Bannon. Uśmiechnęła się na myśl, że leżą wpasowani w siebie jak dwie łyżki w komplecie; trzymał ją blisko, opasując ramieniem na wysokości żeber, miękkie włoski na przedramieniu łaskotały ją od dom w nagą skórę piersi. Coraz bardziej rozbudzona, poczuła ciepły, wilgotny oddech tuż przy uchu, dotyk lekko szorstkiego nocnego zarostu i męski zapach, który zawsze kojarzył się jej z gęstym lasem i wysokimi górami, świeży i znajomy, choć trudny do określenia. Wtuliła się w Bannona jeszcze bardziej, a on odpowiedział mocniejszym uściskiem ramienia.

- Może już lepiej nie śpij - wymruczał leniwym, rozspanym głosem.

- Właściwie to nie śpię - szepnęła.

Zaraz potem odczuła gwałtowną potrzebę ujrzenia jego twarzy, surowych rysów, brwi i podbródka, tajemniczego blasku głęboko osadzonych, ciemnych oczu i wydatnych kości policzkowych. Zwolnił uścisk, pozwalając jej odwrócić się przodem; ich głowy spoczywały na jednej poduszce.

Wydawało mu się, że nigdy nie wyglądała piękniej niż w tej chwili; z włosami zmierzwionymi od snu, resztką senności w błyszczących oczach, z pełnymi, lekko rozchyłonymi wargami. Pomyślał, jak wiele nocy zmarnował nie mając jej obok siebie w chwili przebudzenia.

Chciał jej to powiedzieć, ale brakowało mu zręczności, jaką zapewne mieli mężczyźni, których poznała w Hollywood, mężczyźni tacy jak Travis. On, Bannon, przepełniony był uczuciami, ale brakowało mu słów, aby je wyrazić. Słowa nie były tym samym co uczucia.

- Dzień dobry. - Wyciągnęła rękę i przejechała palcem po świeżym zarostu na jego brodzie, stwierdzając, że ta szorstkość jest całkiem przyjemna w dotyku.

- Dzień dobry. - Chwycił jej palce i przycisnął do ust, potem przesunął splecione dłonie niżej, kładąc je na swojej klatce piersiowej, tak że poczuła mocne bicie jego serca. - Szczęśliwa? - spytał i niemal w tym samym momencie poczuł skurek strachu. Co by zrobił, gdyby się kiedyś miało okazać, że nie jest szczęśliwa? Nie mógł znieść myśli, że mogłaby patrzeć na niego z niemym przekleństwem i zalem, jak Diana.

- Mmmm... unoszę się gdzieś pomiędzy szczęściem a niebiańską rozkoszą - wymruczała. - Mniej więcej w okolicach ekstazy.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Czy wiesz, że jesteś bardzo niebezpieczną kobietą, kiedy śpisz? Ciskasz rękami i nogami po całym łóżku.

- Mam skłonność traktować sen jak walkę - przyznała Kit.

- Tak samo podchodzisz do życia.

- Chyba tak. - Odsunęła się trochę. - Wygląda na to, że jakoś przetrwałeś ten atak. Nie widzę żadnych zniszczeń.

- Bo znalazłem sposób obrony.

- Na czym polegał?

- Na trzymaniu cię. - Znowu podniósł do ust jej rękę i zaczął całować koniuszki palców, jeden po drugim. - Z początku chodziło jedynie o obronę własną, ale w momencie gdy wziąłem cię w ramiona, wtuliłaś się we mnie jak spragniony ciepła kociak. Wydałaś nawet dźwięk zbliżony do kociego pomruku. Choć, rzecz jasna, mogło to być chrapanie.

- Ja nie chrapię. - Otworzyła szeroko oczy, zastanawiając się, czy to możliwe, by rzeczywiście chrapała.

- W takim razie to musiało być mruczenie. - Wesół błysk w jego oczach powiedział jej, że Bannon tylko się z nią przekomarza.

Rozluźniła się ponownie i uśmiechnęła.

- Prawdę mówiąc, w tej chwili czuję się jak kotka.

Mam ochotę się przeciągnąć i zacząć się do ciebie łąścić...

- To czemu tego nie robisz?

Wstrzymała oddech, serce ścisnęła jej radość i ból. W następnej sekundzie ich usta i języki stopiły się w jedno; napała na niego wygiętymi w łuk biodrami i brzuchem, przytrzymując blisko w ramionach.

Poranna miłość. Zanim nastąpiło spełnienie, Kit odkryła, jak cudowna jest leniwa powolność porannej miłości. Wypełniła ją po brzegi, dając poczucie błogiej lekkości. Zadowolona spoczywała w ramionach Bannona czując delikatny, jakby mimowolny dotyk jego ust na czole.

- Czy uwierzysz, że muszę być dziś w sądzie? - westchnął. - I to prawdopodobnie przez cały dzień.

Odchyliła głowę, by na niego spojrzeć i pogładziła go po twarzy.

- To zapewne oznacza, że powinniśmy wstać.

- Chyba tak.

- Mogłabym zaparzyć kawę.

- Moglibyśmy wziąć prysznic. - Dotknął ustami jej warg, wycofując się, gdy próbowała zmienić cmoknięcie w prawdziwy pocałunek. - Umyję ci plecy.

- Podoba mi się ten pomysł.

- Tak właśnie pomyślałem, że ci się spodoba.

- Ale ja mam jeszcze lepszy.

- O! - Przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

- Nastawię kawę teraz, żeby była gotowa, kiedy skończymy brać prysznic.

- Praktyczność. Podoba mi się to u kobiety.

- Miewam takie przebliski, choć niezbyt często - ostrzegła, uwolniła się z jego objęć i wyskoczyła z łóżka.

Chwyciła za róg prześcieradła ściągając je z łóżka i owinęła się nim jak sarongiem - nie tyle, by ukryć nagość przed oczyma Bannona, co raczej po to, by ochronić się przed panującym w pokoju porannym chłodem.

Wróciwszy na górę po kilku minutach, Kit usłyszała dobiegający z łazienki szum wody. Prowadzona tym odgłosem znalazła Bannona, jak regulował temperaturę wody kręcąc kurkami. Przystanąła na chwilę w drzwiach, przyglądając się z upodobaniem wyraźnie zarysowanym mięśniom jego pleców, szczupłej talii i wąskim biodrom. Jakby wyczuwając jej obecność, Bannon obejrzał się przez ramię.

- Już myślałam, że zacząłeś beze mnie - odezwała się Kit zsuwając z siebie prześcieradło i odrzucając je do kąta.

- Mowy nie ma.

Odsunął się nieco od drzwi kabiny, pozwalając, by pierwsza zanurzyła się w parujący strumień. Wszedł za nią i zasunął drzwi. Oboje znaleźli się pod strugami wody. Bannon przechylił jej głowę tak, że ciepłe krople spadały wprost na jej twarz, objął ją mocno i przyciągnął odwróconą plecami do

siebie.

Przepęniała ją tak wiele ciepłych uczuć, że nie potrafiła nawet nazwać każdego z nich z osobna. Na razie wystarczyło jej to, że jest blisko niego, przytulana i kochana.

Bannon odwrócił ją przodem do siebie i nakrył jej usta wilgotnym pocałunkiem; woda spływała im po twarzach. Odwzajemniła pocałunek dziwiąc się, że tak szybko znowu narosło w niej pożądanie. Próbując nad nim zapanować, odsunęła się nieco i zaczęła muskać wargami jego klatkę piersiową.

- Myślałam, że zamierzasz umyć mi plecy.

- Owszem, zamierzam - potwierdził. - W taki sposób.

Dopiero teraz poczuła, że trzyma mydło w dłoni, którą przesuwiał w dół po jej kręgosłupie. Przymknęła oczy, wsłuchując się w szum wody uderzającej o ścianki kabiny i wdychając unoszące się wokół nich kłęby pary. Przesuwiał namydlonymi rękami po całym jej ciele, rozprowadzając pianę; nie poprzestał na umyciu jej pleców, lecz zajął się również przodem, aż wreszcie oboje cali pokryci byli mydłem o czystym, cytrynowym zapachu.

Kit oparła się o niego z ramionami zwieszonymi wzdłuż ciała, a potem położyła mu ręce na barkach. Woda spływała po niej, masując delikatnie mięśnie i skórę, splukując mydlaną pianę. Zbliżył usta do jej ucha, błędząc językiem po wszystkich zagłębieniach, podczas gdy jego ręce dalej wędrowały po jej ciele, równocześnie kojąc i pobudzając swym dotykiem.

Bannon przesunął się, wciągając ich oboje w sam środek szerokiego strumienia, pozwalając, by woda padała im wprost na głowy. Kiedy stali tak, rozgrzani, z wygładzoną mydłem i wilgocią skórą, spleceni ze sobą, wszedł w nią niemal niepostrzeżenie. Zaciśnęła mocno dłonie na jego ramionach, kiedy posiadał ją tam pośród wody i pary, i ostrego, świeżego zapachu mydła.

Kit owinięta szczelnie szlafrokiem, z filiżanką kawy w dłoni odprowadziła Bannona do drzwi. Nałożywszy na głowę kapelusz, Bannon odwrócił się i dotknął jej ramienia.

- Nie martw się o dzipa. Powiem Hecowi, żeby zatankował i odwiózł ci go tutaj.

- Dzięki. - Przejechała wolną ręką po jego kurtce, czując się jak żona, która wyprawia męża do pracy, i w duchu musiała stwierdzić, że jest to całkiem przyjemne uczucie.

Pochylił głowę, pocałował Kit delikatnie, ledwie dotykając jej ust, po czym wyprostował się i sięgnął do klamki.

- Porozmawiamy wieczorem.

- Wieczorem - powtórzyła z uśmiechem.

Stała w progu, machając ręką na pożegnanie, gdy odjeżdżał.

Przez szczelinę w warstwie chmur księżyc rzucał blade światło na podwórze rancza Stone Creek, srebrząc pokrytą śniegiem okolicę. Wiatr ze świstem czynił swą powinność, podnosząc z ziemi krystaliczny puch, formując nowe zaspę i zawiewając śniegiem odmieciony chodnik przed domem.

Panującą wokół ciszę zakłócało jedynie skrzywienie śniegu pod butami Bannona, który szedł w stronę kamiennych schodów. Przywitało go ciepłe światło bijące z okien domu; dym unoszący się z komina napełniał ostre nocne powietrze zapachem płonącego drewna. Bannon wszedł na ganek, otrzepał śnieg z butów i spojrzał w stronę zimowego pastwiska, skąd dobiegło wycie kojotów. Nie ingerując w nocne rozmowy drapieżników wszedł do domu.

- Cześć, tato. - Laura siedziała skulona w fotelu przed telewizorem, bezwiednie bawiąc się pasmem długich, ciemnych włosów. Ojciec drzemał na sąsiednim fotelu, ale obudził się z głośnym chrapnięciem, słysząc słowa Laury.

- Cześć. Mam nadzieję, że odrobiłaś wszystkie lekcje. - Powiesił kapelusz i zdjął wełniane palto.

- Wszystko odrobione. - Gdy na ekranie pokazały się reklamy, Laura podniosła się z fotela i podeszła do niego. - Wygrałeś sprawę?

- W pewnym sensie. - Pociągnął za rozluźniony już wcześniej węzeł krawata w prążki, rozwiązując go do reszty, tak że końce zwisały mu po obu stronach szyi.

- Drugiej stronie nie podobały się zeznania niektórych naszych świadków. Zaproponowali ugodę. Po krótkich negocjacjach nasza strona zdecydowała się ją przyjąć.

- To dlatego wróciłeś tak późno? - Stary Tom podniósł się ciężko z fotela i poszedł poprawić ogień na kominku.

Bannon skinął głową potakująco.

- Musieliśmy to wszystko spisać i sporo czasu zajęło nam takie sformułowanie dokumentu, żeby

obydwie strony były zadowolone. Ale to oznacza, że jutro nie muszę być w sądzie.

Ze znużeniem przejechał ręką po włosach. Miał za sobą długi, pracowity dzień. Uśmiechnął się pod nosem i poprawił w myślach. Jeśli był zmęczony, to raczej z powodu poprzedzającej ten dzień cudownej nocy. Pomyślał o Kit; przypomniał sobie jej postać, gdy stała w drzwiach machając mu na pożegnanie, kiedy wyjeżdżał do pracy, z filiżanką w dłoni, owinięta szlafrokiem, z włosami jeszcze wilgotnymi po wspólnym prysznicu. Miał ochotę wstąpić do niej jadąc do domu, ale rano nie zdążył wrócić na ranczo dość wcześnie, by zobaczyć się z Laurą, zanim wyszła do szkoły. A za godzinę dziewczynka miała pójść spać.

- Jadłeś kolację? W lodówce jest trochę zimnej pieczeni i pieczone ziemniaki. Mogę ci podgrzać - zaproponowała Laura, przybierając ton pani domu.

- Dziękuję, ale posłaliśmy po kanapki.

- Dzwoniła ciocia Sondra.

- Powiedziała, o co chodzi?

- Nie, powiedziała, że porozmawia z tobą jutro.

- W porządku. - Podeszedł do telefonu, żeby zadzwonić do Kit.

- Jeśli zamierzasz dzwonić do cioci Sondry, to się nie fatyguj - rzekła Laura, widząc, że podnosi słuchawkę. - Nie ma jej w domu. Umówiła się z jakimiś ludźmi na kolację. To dlatego mówiła, że porozmawia z tobą jutro.

- Dzwonię do Kit. Obiecałem poprosić Heca, żeby zatankował dzipa i jej go odstawił. Chcę się upewnić, czy to zrobił. - Sam nie wiedział, dlaczego czuje potrzebę usprawiedliwienia się przed Laurą z telefonu do Kit.

- Kiedy się z nią widziałeś?

- Wczoraj wieczorem. - Wykręcił numer Kit. - Skończyła jej się benzyna w drodze do domu, więc ją podwiozłem.

Laura zmarszczyła brwi.

- Skoro drogi były dość dobre, żebyś mógł ją odwieźć do Silverwood, to dlaczego nie mogłeś wczoraj wieczorem wrócić do domu?

- Ja też chciałem usłyszeć odpowiedź na to ostatnie pytanie - zachichotał stary Tom.

- Halo, Kit - odezwał się Bannon, kiedy Kit podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale. Dostrzegłszy błysk wesołości i zrozumienia w oczach ojca, odwrócił się, by ukryć własny uśmiech. - Mówi Bannon.

- Cześć. Miałam cudowny dzień. A ty?

- Taki sobie - odparł, przypominając sobie, jak trudno mu się było skoncentrować w czasie rozprawy.

- Wieczór też mógłby być cudowny. Mam tu buzujący ogień, wielką torbę słodkich pianek i wszystkie składniki potrzebne do przyrządzenia pewnego niebezpiecznego drinka. Nie mógłbyś się do mnie przyłączyć?

- Nie jestem pewien. - Świadomy obecności Laury w pobliżu, ciągnął: - Czy Hec dostarczył ci dzipa?

- Aha, nie możesz swobodnie rozmawiać? - Jej słowom towarzyszył zmysłowy pomruk.

Bannon opanował się z wysiłkiem.

- Zgadza się.

- Czy mówiłam ci już, że siedzę sobie tutaj w szlafroku narzuconym na zupełnie gołe ciało i że natarłam się perfumami w bardzo szczególnych miejscach? Poza tym mam ten wspaniały aromatyczny olejek i kasetę z instrukcją, jak wykonywać masaże. Oczywiście potrzebuję mężczyzny, na którym mogłabym poćwiczyć, najchętniej takiego, który wyciągnąłby się na dywanie przed kominkiem, tak bym mogła nacierać olejkiem jego ramiona, piersi, biodra i brzuch, a potem ześlizgnąć się...

- Kit - przerwał sztywno, czując żywą reakcję własnego ciała i wzmagający się żar w okolicach lędźwi.

Usłyszał jej niski, gardłowy śmiech.

- Czyżbym wprawiała cię w zakłopotanie?

- Owszem - przyznał.

- A twierdziłeś, że to ja mam bujną wyobraźnię - zadrwiła i roześmiała się ponownie. - No dobrze, już się poprawię. Tak, mam tu dzipa z pełnym bakiem. Jeśli nie możesz dziś przyjechać, to pocieszę

się pieczonymi piankami, ognistym drinkiem i świadomością, że załazłam ci troszkę za skórę.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Niech to będzie moja zemsta. Teraz powiedz mi, Jak ci dzisiaj poszło w sądzie?

Bannon powtórzył swoją wcześniejszą relację i dodał:

- Ponieważ nie muszę być jutro w sądzie, będę miał wolniejszy dzień.

- Na tyle wolny, żeby się urwać?

- Możliwe.

- Mam zamiar wyegzekwować od ciebie tę „możliwość” - ostrzegła.

- W porządku. Słuchaj, chyba muszę już kończyć.

- Dobrze. - Po chwili dodała: - Pa. Tęsknię za tobą.

- Ja też.

Odłożył słuchawkę; jego wzrok nieoczekiwanie przyciągnęła ślubna obrączka. Dotknął jej, zastanawiając się, dlaczego odczuwa niechęć do zdjęcia jej z palca. Noszenie tej obrączki nie było w porządku wobec Kit. Ale... ten wyraz oczu Diany.

Wzdychając Bannon odwrócił się twarzą do pokoju, do ognia trzaskającego wesoło na kominku, do rozpartego w fotelu ojca, Laury zwiniętej w kłębek przed telewizorem, do światła padającego z pociemniałych od starości drewnianych ścian i schodów prowadzących do sypialni na piętrze.

Z łatwością mógł sobie wyobrazić Kit w tym otoczeniu. Byłaby duszą tego domu, czułaby się tu bezpieczna. Z drugiej strony lubiła śmiech, ruch wokół siebie i dobrą zabawę. Była w tym podobna do Diany. A okres spędzony w Hollywood mógł jedynie rozwinąć te upodobania. Przez jakiś czas może jej się tu podobać. Ale to rancho, ten dom i to życie nigdy nie wystarczą jej do szczęścia. Zdawał sobie z tego sprawę. Podobnie jak z tego, że pozwoli Kit odejść, zanim zacznie na niego patrzeć tak samo, jak patrzyła Diana.

To będzie bolało, będzie bardzo bolało, ale umarłby widząc kiedyś taki sam żal w oczach Kit.

Rozdział dwudziesty piąty

Poranne słońce świeciło na bezchmurnym, błękitnym niebie, nadając śnieżnemu krajobrazowi odcień oślepiającej bieli. W ostrym, nieruchomym powietrzu chrzęst uprzęży i brzęk łańcuchów niosły się czystym echem po zimowym pastwisku. Para gniadych pociągowych koni, wydychając obłoczki pary, przedzierała się przez śnieg ciągnąc za sobą płaski wóz, który zostawiał na swej drodze pokruszone bele wyschniętego siana. Skupiały się wokół nich gromadki głodnego bydła.

Hec Rawlins kopnięciem strącił z wozu ostatnią belę.

- Wystarczy - zawołał do Bannona nieco stłumionym od zimna i wysiłku głosem.

Bannon cmoknął na konie i smagnął lejcami po ich kudłatych zadach. Gniadosze ruszyły łagodnym klusem w stronę stajni, gdzie czekała na nie poranna racja siana.

Konie pociągowe były w Stone Creek od czasu, gdy ścięto pierwsze drzewo na budowę rancza. Stanowiły część posiadłości tak samo jak dom i bydło. Wyhodowano je kiedyś specjalnie po to, by ciągnęły wozy z towarami i ładunkami rudy w kopalniach Aspen. Z biegiem lat stado zostało ograniczone do dwóch klaczy i ich potomstwa różniącego się wiekiem i stopniem ułożenia. Służyły teraz do obwożenia turystów.

Nawet gdyby nie było chętnych na przejażdżki, Bannon trzymałby kilka koni pociągowych choćby dlatego, że je lubił i miał do nich sentyment. Traktorem można było z pewnością szybciej dowieźć bydłu siano, ale stukot silnika i odór spalin nie dawały tej radości co brzęk uprzęży i zapach rozgrzanych zwierząt w rześki zimowy poranek.

- Prrr... - Podjechał pod stajnię, zeskoczył na ziemię i wziął się do odłączania zaprzęgu.

Piętnaście minut później wałachy żuły owies w swoich boksach, uprząż wisiała w przedsiionku, a Bannon zmierzał w stronę domu.

Wspinając się na kamienne schody zauważył parę nart i kijków opartych o ścianę przy drzwiach. Po wejściu do domu usłyszał znajomy śmiech Kit i podążając jego śladem dotarł aż do kuchni.

Zastał ją tam, opartą o kuchenny blat, w rozpiętej kurtce niebiesko-czarnego narciarskiego kombinezonu, z policzkami wciąż zaróżowionymi od mrozu. Trzymała w obu dłoniach kubek z kawą. Wystarczył sam jej widok, by fala ciepła wyparła poranny chłód z jego ciała.

- Dzień dobry. - Błyszczące oczy patrzyły na niego - ponad brzegiem kubka. - Kawa jest jeszcze gorąca, jeśli masz ochotę się napić.

- Zgadza się, Bannon. Nalej sobie - odezwał się Stary Tom najwyraźniej zachwycony wizytą.

- Chyba tak zrobię. - Ściągnął ciężkie robocze rękawice, podszedł do blatu, na którym stał ekspres z kawą i napełnił kubek. - Widziałem narty na werandzie i zastanawiałem się, kto przyjechał.

- Mamy dziś piękny dzień, pierwszy śnieg w tym roku, taki gruby i puszysty; pomyślałam, że wybiorę się nad jezioro. - Kit podmuchała na kawę i pociągnęła łyk, wciąż patrząc na Bannona. - Stary Tom mówi, że od dawna nie byłeś na wagarach. Chciałbyś się wybrać ze mną?

Zawahał się, mimo iż pokusa była silna.

- Wczoraj, w czasie mojego pobytu w sądzie, było kilka telefonów. Powinienem oddzwonić i...

- Patrzcie państwo - mruknął Stary Tom. - Chce, żeby go prosić na kolanach. Gdyby nie zakończył tej sprawy wczoraj wieczorem, byłby dzisiaj w sądzie i nie mógłby wykonać tych telefonów, którymi tak się niby przejmuję.

- Może używa ich po prostu jako wymówki, bo się boi, że jest w zbyt słabej formie i nie dotrze do jeziora na nartach - zaśmiała się Kit.

Podejmując wyzwanie Bannon pochylił się nad blatem i rzekł dobitnie:

- Poradzę sobie.

- Udowodnij to. - Pociągnęła kolejny łyk kawy.

- Umowa stoi.

Dwadzieścia minut później Stary Tom stał w oknie salonu i patrzył, jak wyruszają, radośni i uśmiechnięci, wymieniając między sobą porozumiewawcze spojrzenia, jak mąż i żona.

- Myślałem, że moje stare zmęczone oczy już nigdy nie ujrzą tego widoku. - Odwrócił się od okna potrząsając głową z niedowierzaniem.

Wyłoniwszy się spośród drzew Kit siłą rozpędu wjechała na pagórek i zatrzymała się na szczycie. Przyjemnie oszołomiona zjazdem wbiła kijki w śnieg i zrobiła sobie przerwę dla złapania oddechu. Bannon wyhamował tuż obok niej. Spojrzała na niego, ale nie odezwała się, onieśmielona panującą wokół ciszą.

Opuściła gogle. Jej uwagę bez reszty pochłonął widoczny w oddali łańcuch górski, potężny i dostojny w majestacie białej szaty. Poniżej jak niebieski klejnot lśniło jezioro w pokrytej śniegiem małej, nieckowatej dolinie. W tym wszystkim - oni dwoje, sami, w środku Pustej, oszałamiającej scenerii.

Raz jeszcze poczuła się tak, jakby czas nie istniał. Słońce świeciło nad tą ziemią od początku stworzenia. Jej własne życie znaczyło niewiele więcej niż jedno uderzenie odwiecznego tętna wszechświata. Czymże jest życie, jeśli nie chwilą uchwyconego szczęścia? Chwała nie trwa wiecznie. Sława też przemija. Tylko jedno pozostaje niezmiennie, wieczne jak słońce - miłość między mężczyzną a kobietą.

- Niewiarygodne, prawda? - odezwał się Bannon.

Stał wsparty na kijkach, oddychając głęboko mroźnym powietrzem.

- Zapiera dech w piersiach - potwierdziła cicho, czując, jak wzruszenie ścisła jej gardło.

- Gotowa?

- Ja tak, a ty? - Chwyliła go za łokieć, zanim zdążył ruszyć. - Spójrz, czy ten dym nie unosi się ze starej chaty nad jeziorem? - Wskazała kijkiem niewyraźną siwą smugę.

- Chyba tak. - Bannon zmarszczył brwi.

- Pozwoliłeś się tam komuś zatrzymać?

- Nie. Lepiej jedźmy sprawdzić, co się tam dzieje. - Odepchnął się kijkami, a Kit ruszyła tuż za nim.

Kiedy zbliżyli się do chaty, Bannon pokazał jej ślady nart na śniegu.

- Może jacyś narciarze, którzy wybrali się na dłuższą wycieczkę, zatrzymali się tu na odpoczynek.

- Możliwe. - Przypuszczenie było logiczne.

Gdy podeszli całkiem blisko, Bannon zawałał kilka razy, ale nikt nie odpowiedział.

- Zaczekaj tu - poprosił odpinając narty. - Zajrzę do środka.

- Idę z tobą. - Oparła swój sprzęt o ścianę chaty obok nart Bannona i pozwoliła, by wszedł pierwszy.

Stary, żelazny piec ogrzewał jedną z niewielkich izb chaty. Na drewnianym stole, którego pociemniały ze starości blat przykryty był czerwoną wełnianą chustą, stał termos i dwa czyste kubki. Miękka moherowa narzuta w odcieniach czerwieni, różu i fioletu leżała na szerokiej prycy pod ścianą.

- To dziwne - mruknął Bannon. - Nie ma tu żadnego sprzętu ani innych rzeczy... - Odwrócił się do Kit mrużąc oczy. - Ty oczywiście nie masz pojęcia, skąd to się wzięło?

- To pewnie sprawka krasnoludków - wyraziła przypuszczenie i podeszła do stołu. - Ciekawe, co jest w środku? - Podniosła termos i odkręciła pokrywkę. - Pachnie jak herbatka z rumem. Jak myślisz, czy krasnoludki się obrażą, jeśli troszkę wypijemy? Tylko na rozgrzewkę?

- Mam jakieś dziwne przeczucie, że krasnoludki nie będą miały nic przeciwko temu. - Zbliżył się do niej z leniwym, wszystkowiedzącym uśmiechem. - Zakładając, że to ty jesteś tym krasnoludkiem.

- Jak do tego doszedłeś? - spytała z udawaną surowością.

- Termos. Są na nim inicjały twojego ojca. - Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Jesteś bardzo domyślnym człowiekiem, Bannon - oświadczyła.

- Nie. - Dotknął szorstką dłonią jej policzka; miał w oczach ciepło... i tłumione pożądanie. - Jestem tylko człowiekiem, który bardzo cię kocha.

Wstrzymała oddech słysząc te słowa. A zaraz potem Jego usta dotknęły jej twarzy w delikatnym pocałunku. Poczula, że zapada się coraz bardziej w miękkość, która otacza ją ciepłem i niemal bolesną rozkoszą. Miała wrażenie, że unosi się na fali, która nie opadła nawet kiedy, gdy cofnął głowę. Westchnęła cicho i czubkami palców obwiodła kontur jego warg. Zakołysała się, przytulając mocno w jego ramiona.

Wolno przesuwając ustami po jej czole, błędząc wzdłuż nasady włosów, podążając za łukiem brwi, muskając przymknięte powieki, ogrzewając ciepłem oddechu policzki. Porażona cudowną, niespodziewaną delikatnością jego dotyku, Kit nie była w stanie poruszyć się, nie mogła złapać tchu. Kiedy wreszcie ich usta się zetknęły, zdołała wyszeptać jego imię.

Znowu poczuła na ustach dotyk jego warg. Przymknęła oczy, szukając ich po omacku, gdy na moment przerwał pocałunek, a odnajdując przytrzymała je i zawładnęła nimi bez reszty. Zwolnił nieco uścisk, przygarniając ją jeszcze mocniej. Przywarła do niego, wtulając się szczelnie w zagłębienia jego ciała, łącząc miękkie kobiece ciepło z twardym męskim pożądaniem.

Podniosła rękę, zdjęła mu z głowy kapelusz i upuściła na podłogę, zanurzając palce w jego włosach. Była blisko niego, tak blisko, że wyczuwała metalową sprzączkę u paska, guziki kurtki, każdy pagórek mięśni. Fala rozkoszy ogarnęła jej ciało.

Wsunął rękę pod górną część jej kombinezonu i zatrzymał na piersi w milczącej, pełnej żaru piśczocie. Sweter i cienki stanik nie osłabiały wrażeń... Odczuwała wyraźnie niecierpliwość w jego ruchach, gdy zdierał z niej kurtkę, a potem zdejmował przez głowę sweter.

Z takim samym pośpiechem ściągnął jej stanik nie dbając o rozpięcie haftek, ale w chwili gdy poczuł jej nagie piersi, niecierpliwość ustąpiła. Rozchyliła mu kurtkę, szarpnęła połami koszuli rozpinając ją i wsunęła ręce pod materiał, by przejechać paznokciami po jego muskularnej klatce piersiowej.

Odrywając usta od jej warg gwałtownie wciągnął powietrze i mocniej objął dłońmi piersi, jakby spełniając jej nie wypowiedziane życzenie, podczas gdy ona muskała wargami jego ramiona. Czula mocny, przyśpieszony rytm jego serca.

Zsunął prawą rękę w dół aż do paska jej narciarskich spodni. Zapięcie ustąpiło. Dłoń ześlizgnęła się po jej biodrze na brzuch. Gdy w końcu zanurzyła się w jasnych skręconych włosach, Kit poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Podtrzymał ją i powoli ułożył na pryczy.

Sam nie położył się jednak. Wyprostował się, zrzucił z siebie kurtkę i zaczął ściągać z jej nóg narciarskie buty, radząc sobie najpierw z prawym, potem z lewym. Następnie chwycił za brzeg jej spodni i pociągnął. Obcisły materiał nie chciał się zsunąć, tak że szarpnięcie uniosło jej biodra nad pryczę. Kit zaśmiała się, kiedy wytrząsnął ją ze spodni na miękką narzutę.

- To było grubiańskie i nieromantyczne - oświadczyła z udawaną obrazą, zsuwając figi, podczas gdy Bannon ściągał buty.

- Ale skuteczne - odparował z przewrotnym błyskiem w oku, pozbywając się resztek ubrania. Położył się obok niej na pryczy; w jego oczach znów pojawił się wyraz powagi i oddania, gdy położył dłoń na jej nagim ciele.

- A poza tym... przy tobie nie potrzebuję striptizu, żeby się podniecić. Wystarczy, że jesteś przy mnie. Zawsze tak będzie.

- Ze mną jest tak samo - szepnęła.

Odnalazł jej usta i zatopił się w nich. Objęła go, pragnąc go i potrzebując, kochając z zapamiętaniem, które rozpalało ją i wprawiało w drzenie. Uniosła biodra, przyjmując go w siebie. Kiedy fala rozkoszy opadła, wciąż leżeli ciasno ze sobą spleceni.

Po pewnym czasie ucałował jej włosy.

- Wydaje mi się, że wygasło w piecu.

- Chyba tak. - Wtulila się w niego mocniej, nie zważając na chłód.
Roześmiał się.

- No, dalej. Trzeba się ubrać i ruszać w drogę Powrotną.

Wiedząc, że Bannon ma rację, Kit westchnęła i podniosła się z ociąganiem. Oderwana od ciepła bijącego z jego ciała odczuła na skórze zimno panujące w pomieszczeniu. Nie potrzebowała powtórnej zachęty, by narzucić na siebie ubranie.

Sondra wjechała granatowym range roverem na podwórze rancza. Chociaż pojazd spełniał wymogi obowiązującego w Aspen stylu, nie lubiła go prowadzić. Zdecydowanie wolała wytworny komfort swojego mercedesa. Jednakże pogoda i górskie drogi zimą miały swoje wymogi.

Zatrzymując się przed wejściem do masywnego drewnianego domu zerknęła na zegar umieszczony na tablicy rozdzielczej. Zaplanowała wszystko w czasie z wielką starannością. Laura nie wróci ze szkoły wcześniej niż za godzinę. Pewnym problemem może się okazać Stary Tom, ale on zwykle gdzieś zniknął, kiedy tylko się pojawiała.

Wysiadła z samochodu i zatrzymała się na chwilę, by obrzucić spojrzeniem podwórze. W całym obejściu panował niczym nie zmacony spokój. Dostrzegła furgonetkę Bannona, co potwierdziło otrzymaną od Agnes informację, że Bannon spędza dzień na ranczu.

Kryształki soli zachrzęściły pod jej butami, kiedy weszła na kamienne schody werandy. Przyjrzała się grubym belkom pociemniałym od starości i deszczów. Łatwo jej było zrozumieć, dlaczego Diana przekleła ten dom. W końcu ileż wiejskiej prostoty można znieść na co dzień?

Weszła do środka, nie zwracając sobie głowy pukaniem.

- Halo? Jest tu kto? - zawołała cichym, łagodnym głosem.

Odgłos stawianych na podłodze stóp przyciągnął jej uwagę. Spojrzała w róg salonu, gdzie Stary Tom podnosił się ze skórzanego fotela, równie starego jak on sam.

- Sondra. - Przetarł dłonią twarz jak człowiek budzący się ze snu i sztywnym, niepewnym krokiem przeszedł przez pokój. - Nie słyszałem, jak pukałaś.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam, Tom. Przyjechałam zobaczyć się z Bannonom.

- Nie ma go tutaj.

- Jest jego samochód. Poszedł doglądać bydła? - Zrobiła krok w stronę drzwi. - Mam do niego ważną sprawę.

- Nie. Poszli na narty z Kit.

Zamilkła, jedynie lekkie drganie nozdrzy zdradzało wściekłość, jaka ogarnęła ją na sam dźwięk tego imienia. Odwróciła się powoli.

- Kit Masters? - spytała lodowatym tonem.

- No. Moim zdaniem, najwyższy czas, żeby ci dwoje do siebie wrócili. - Zatkanął kciuki za pasek spodni. Gdyby miał na sobie szelki, pstryknąłby nimi dla podkreślenia uciechy, jaką sprawiło mu powiedzenie jej tego.

Kit i Bannon. Znowu razem. Nie! Kłamał. Nie wierzyła mu. Stary Tom jej nienawidził. Byłby zdolny powiedzieć wszystko, byle tylko ją zranić. Dlaczego nie miałyby odplacić mu pięknym za nadobne?

- Mówiłaś, że musisz się widzieć z Bannonom w jakiejś ważnej sprawie?

- Tak. Rozmawialiśmy o sprzedaży rancza - odparła bez zastanowienia i niemal się uśmiechnęła, widząc, jak jego twarz pokrywa się ciemnymi plamami.

- To kłamstwo!

- Niby dlaczego? Dlatego, że nic ci o tym nie powiedział? - zadrwiła.

- Bannon nigdy nie sprzedałby Stone Creek - oświadczył z naciskiem.

- Póki ty żyjesz, zapewne nie - powiedziała Sondra z nagłym przekonaniem. - Tylko ty go przed tym powstrzymujesz. Ty i całe to gadanie o twojej ukochanej ziemi. Tak długo zatruwałeś mu nim życie, że wreszcie ma dość.

- To kłamstwo - upierał się Stary Tom. - Bannon kocha tę ziemię tak samo jak ja.

- Sam w to nie wierzysz, prawda? - Smagała go słowami jak batem, nie starając się nawet ukryć pogardy. - Stary głupcze. On nienawidzi tego miejsca. Nienawidzi tego starego, pełnego przeciągów domu. Nigdy go nie lubił. - Widok jego twarzy, która stawała się coraz bardziej purpurowa, tylko rozniecał jej furię. - Nie może się doczekać, kiedy wreszcie umrzesz i nie będziesz mu zawadzał w sprzedaży domu i przeniesieniu się do miasta. On chce być prawnikiem, a nie uganiać się za stadem

jakichś durnych krów. Właśnie tego zawsze pragnął.

- Ty mała, dwulicowa intrygantko... - Przerwał, głos mu drżał, trząsał się na całym ciele. - Wynoś się! Wynoś się z mojego domu!

- O tak, chciałbyś tego. Stary Tomie? Wolałbyś nawet, abym w ogóle się wyniosła z życia Bannona, prawda? Zawsze mnie nienawidziłeś. Cały czas próbowałeś nastawić Bannona przeciwko mnie. Ale ci się nie udało. Nigdy ci się nie uda. Bo to ciebie on nienawidzi. Ciebie i tego rancza, tego głupiego kawałka ziemi!

- Wynoś się! Powtarzam ci, wynoś się z mojego domu! - Czerwieniejąc na twarzy jeszcze bardziej, zrobił ostrzegawczy krok w jej stronę i wskazał drzwi, wyciągając potężne ramię i potrząsając nim jak gałęzią. - Wynoś się z mojego domu, zanim cię wyrzucę! Ja... - Zachłysnął się nagle powietrzem, otwierając szeroko usta i oczy, zachwiał się i przycisnął rękę do piersi.

Dostrzegła, jak ból zamglił mu źrenice, ale nacierała dalej.

- Twoje serce nie może znieść prawdy? Poddajesz się. Stary Tomie? Zamierzasz w końcu umrzeć? Czekaliśmy na to. Czekaliśmy, by móc wreszcie sprzedać tę ziemię.

Stąpając niezdarnie odsunął się od niej, jego oddech przeszedł w przeraźliwy świst. Zorientowała się, że usiłuje dotrzeć do telefonu. Zdażyła pierwsza dopaść do stolika i usunęła aparat z zasięgu jego ręki. Kolana ugięły się pod nim i runął bezwładnie na podłogę.

Sondra usiadła na krześle i obserwowała go do momentu, aż przestał się poruszać. Minutę. Pięć minut. Nie potrafiła określić jak długo.

W końcu podeszła do niego, przykucnęła i dotknęła szyi szukając tętna. Nic. Uśmiechnęła się do siebie.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Podniosła się i odwróciła w ich stronę zdjęta nagłą paniką. Ale to nie był Bannon tylko jeden z pracowników rancza. Przez moment stał bez ruchu wpatrując się w Sondrę i leżące obok niej na ziemi ciało Starego Toma.

- Znalazłam go leżącego na podłodze - odezwała się nerwowo. - Wydaje mi się, że miał atak serca. Nie mogę wyczuć pulsu.

- Hank! - zawołał mężczyzna do kogoś na zewnątrz i szybko podszedł do starego człowieka.

- Proszę wezwać karetkę - polecił Sondrze.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer pogotowia. W chwili gdy rozległ się dzwonek, do pokoju wpadł drugi pracownik.

- Weź strzelbę i daj znać Bannonowi - zakomenderował pierwszy. - Chodzi o Starego Toma.

- Cholera - zaklął Hank odwracając się na pięcie i wypadając z powrotem na zewnątrz.

Sondra patrzyła, jak mężczyzna rozchyła koszulę na piersi Starego Toma i rozpoczyna sztuczne oddychanie. Po drugiej stronie linii podniesiono słuchawkę.

- Tak, mówi Sondra Hudson. Jestem na ranczu Stone Creek. W domu Bannonów. Chodzi o Toma Bannona. Chyba miał atak serca. Znaleźliśmy go leżącego na podłodze. Proszę natychmiast przysłać karetkę.

Nie żył. Była pewna, że nie żyje.

Rozległ się strzał, jeden, drugi, trzeci. Dolina odpowiedziała głośnym echem.

Odgłos strzałów, a potem sygnał pogotowia... tysiące myśli przelatowały przez głowę Bannona, gdy mając Kit tuż za plecami mknął do domu, w szalonym pędzie omijając drzewa. Ale kiedy dostrzegł karetkę zaparkowaną przed domem, nie przed stodołą czy zagrodami, myślał już tylko o jednym. Ojciec.

Kiedy wydostał się spośród drzew na płaskie dno doliny, Hank Gibbs nadjechał furgonetką, której silnik ryczał na wysokich obrotach. Bannon wrzucił sprzęt na platformę samochodu i wspiął się do kabiny, popychając Kit przed sobą.

- To Stary Tom, Bannon. - Hank ruszył nie czekając, aż zamknie drzwi.

- Co się stało? W jakim jest stanie? - Nienawidził tego pytania, cierpiał zadając je, nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

Wiedział, że ten dzień musiał kiedyś nadejść. Ojciec był stary, nie mógł żyć wiecznie. Wydawało mu się, że jest na to przygotowany. Ale nie był. Nie można przygotować się na śmierć, ani swoją własną, ani bliskich.

- Niedobrze. Twoja szwagierka znalazła go na podłodze w salonie. Ktoś mówił, że nie ma tętna. Jak zobaczyłem, że jedziesz i wyjechałem do ciebie, to ci faceci z karetki robili mi sztuczne oddychanie,

ale... sam nie wiem.

Bannon zacisnął szczęki w niemym proteście.

Furgonetka wjechała na podwórze. Bannon wyskoczył, zanim zdążyła się całkiem zatrzymać. Sondra rzuciła mu się naprzeciw.

- Bannon, dzięki Bogu, że jesteś...

Wyminął ją, jakby nie widząc i nie słysząc, z oczami wbitymi w drzwi wejściowe. Hec Rawlins zastąpił mu drogę.

- Wynoszą go, Bannon.

Drzwi się otworzyły. Dostrzegł pielęgniarki w kurtkach narzuconych na białe fartuchy, nosze i leżące na nich ciało.

- Czy... czy on żyje? - Pytanie z trudem przeszło mu przez gardło.

Potakujące skinienie głowy było pełne wahania.

- Chcą go zabrać do szpitala, gdzie lekarze będą mogli się nim zająć. - Hec zawiesił głos, następnie dodał: - Staruszek jest twardy, Bannon. Twardy jak skała. Jeśli ktoś potrafi z tego wyjść, to właśnie on.

Zniesiono nosze po schodach. Kiedy pielęgniarki popychali je szybko w stronę karetki, Bannon zbliżył się i szedł obok, wodząc wzrokiem po twarzy ojca, patrząc na zamknięte oczy, niezwykle bladą spaloną wiatrem skórą, zwiotczałe mięśnie, maskę tlenową zakrywającą usta i nos.

- Tatusiu. - Z trudem wydusił z siebie ledwo słyszalny szept.

Gdy doszli do karetki, Bannon odsunął się, by nie torować drogi noszom. Czyjaś ręka zacisnęła się na jego ramieniu.

- Jedź ze mną, Bannon - zaproponowała Sondra. - Będziemy w szpitalu, zanim oni tam dotrą.

Potrząsnął głową przecząco.

- Jadę z ojcem.

- W takim razie spotkamy się na miejscu.

- Nie. - Odwrócił się; przez wypełniające go uczucia przedarła się trzeźwa myśl. - Laura. Odbierz Laurę ze szkoły. Zabierz ją do domu. Zadzwoń, jak tylko będę coś wiedział.

- Ale będziesz potrzebował, by ktoś z tobą był - zaprotestowała.

- Laura będzie cię potrzebować jeszcze bardziej.

- Przywiozę ją do szpi...

- Nie, nie chcę, żeby przez to przechodziła. Zabierz ją do domu. Rozumiesz? - zakończył ostro.

Odrzuciła głowę do tyłu, rysy jej stężały.

- Dobrze. Zabiorę ją do domu.

Nosze umieszczono w karetce. Bannon wdrapał się za nimi do środka.

- Przykro mi - odezwał się pielęgniarz do kogoś stojącego z tyłu. - Tu jest miejsce tylko dla jednej osoby.

Myśląc, że to Sondra, Bannon obejrzał się i dostrzegł Kit.

- Podjadę furgonetką - zdążyła powiedzieć, zanim zamknęły się drzwi karetki.

Rozdział dwudziesty szósty

Sondra, podniecona i niespokojna, przeszła od telefonu do przeszklonej ściany, przez którą mogła obserwować podjazd przed domem. Ciemność. Nic tylko ciemność. Żadnych świateł wskazujących na to, że pojazd zbliża się stromą, krętą drogą do jej domu. Widać było jedynie lunę świateł Aspen, a w górze połyskliwą czerń nieba rozświetlonego gwiazdami.

Gdzie się podziewał Bannon? Dlaczego nie przyjeżdżał?

Skrzyżowała ramiona, aż palce wpijały się w ciało, obróciła się na pięcie i znów podeszła do telefonu. Wpatrywała się w aparat, jakby siłą spojrzenia chciała zmusić go, by zadzwonił. Cisza. Odwróciła się gwałtownie i znieruchomiała.

Trzy godziny. Upłynęły już trzy godziny od chwili, gdy Bannon zadzwonił. Co jej powiedział? Że nic się nie zmieniło, nie ma poprawy i... nie, ojciec nie odzyskał świadomości.

A jeśli jednak odzyskał? Jeśli coś powiedział? Jeśli powtórzył Bannonowi to, co ona mówiła? Gdyby tam była, mogłaby przekonać Bannona, by nie słuchał szalonych wynurzeń; przekonać go, że starzec pomylił ją z Dianą.

Ale zamiast niej była tam Kit. Ona zmusi Bannona, by uwierzył we wszystko, co powie ten stary głupiec. Musi ją powstrzymać. Ten stary drań musi umrzeć, zanim wszystko zepsuje.

- Emilio, Emilio! - Sondra przeszła przez ciemniejszy pokój w stronę kuchni i znajdującej się za nią słuźbówki.

Znalazła się w kuchni w momencie, gdy Angielka wychodziła ze swojego pokoju, w pośpiechu zawiązując pasek podomki.

- Słucham, proszę pani. O co chodzi?

- Jadę do szpitala. Laura śpi u siebie. Zajmij się nią, gdyby się obudziła.

- Dobrze, proszę pani.

Kiedy odwróciła się, aby wyjść, zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę aparatu wiszącego na ścianie w kuchni, nim zdążył zadzwonić po raz drugi.

- Halo? - odezwała się niepewnie, czując nerwowe napięcie w całym ciele.

- Mówi Bannon.

Zacisnęła palce na uchwycie słuchawki.

- Co z twoim ojcem?

- Zmarł dziesięć minut temu. - Beznamiętny ton jego głosu powstrzymał ją na moment.

- Czy on... czy udało ci się z nim w ogóle porozmawiać?

- Nie.

Przymknęła oczy z ulgą.

- Przykro mi, Bannon.

- Jak się czuje Laura?

- Śpi już. Chcesz, żebym ją...

- Nie budź jej. Niech śpi. Powiem jej rano.

- Tak chyba będzie najlepiej.

- W takim razie do zobaczenia rano.

- Nie przyjedziesz? Mogłabym zaparzyć kawę i...

- Nie... nie dzisiaj. Dziękuję, że zajęłaś się Laurą, Sondro. Lepiej się czuję wiedząc, że jest z tobą.

- Gdybyś czegoś potrzebował lub coś mogłabym dla ciebie zrobić, zadzwoń.

- Dzięki.

Sondra odwiesiła słuchawkę z ledwo widocznym błyskiem zadowolenia w oczach. Zza pleców usłyszała pytanie Emilii Boggs.

- Starszy pan Bannon, czy on...

- Umarł - odparła krótko. Umarł, schodząc nam w końcu z drogi, dodała w myślach.

Natychmiast po wejściu poraziła Bannona panująca w całym domu cisza. Zatrzymał się i przez dłuższą chwilę stał bez ruchu. Wreszcie podniósł wolno rękę, zsunął z głowy kapelusz i trzymał go w opuszczonej bezwładnie dłoni.

- Daj, powieszę - rzekła cicho Kit, wyjmując kapelusz z nie stawiających oporu palców.

Zrzucił z siebie narciarską kurtkę, jakby to mogło zmniejszyć przytłaczający go ciężar. Kit powiesiła ją na wieszaku. Bannon powoli zbliżył się do stolika, przy którym znaleziono ojca. Spojrzał na podłogę, następnie podniósł wzrok na drewnianą antresolę i wychodzące na nią drzwi sypialni.

Oddychanie sprawiało mu ból. Złapał się na tym, że czeka na jakiś dźwięk... dźwięk wskazujący na to, że w tym domu jest życie, a nie jedynie jego puste echo. Cisza dosadniej niż słowa lekarza mówiła mu, że ojciec Już nigdy nie zejdzie po tych schodach, już nigdy nie odchyli głowy, by z przejęciem mówić o ziemi i górach. Przejechał dłonią po włosach, jakby chcąc wyrzucić z siebie tę świadomość, która rozsadzała mu mózg i dławiała w gardle.

Kit minęła go bez słowa i podeszła do kominka. Przyklękła przed paleniskiem, wyjęła z pudełka podpałkę, ułożyła w kopczyk i rozpałiła ogień. Wkrótce trzask płomieni ogarniających wyschnięte szczapy przerwał przytłaczającą ciszę. Bannon zbliżył się do ognia przyciągnięty blaskiem i ciepłem.

Kit patrzyła na jego ściągniętą bólem, zamkniętą twarz, w której tylko bijąca z oczu rozpacz zdradzała potworne napięcie wewnętrzne. Chciała ulżyć jego rozpacz, przejąć jej część na swoje barki. Wiedziała jednak, że nie jest gotów na przyjęcie pociechy. Wciąż jeszcze próbował nie dopuścić do siebie prawdy, usiłował poradzić sobie z bezsilnym gniewem, oswoić się z nagłą pustką, jaka pojawiła się w jego życiu. Kit pamiętała uczucie, jakie ją ogarnęło, gdy dowiedziała się o śmierci własnego ojca. Czekala więc cierpliwie.

Bannon wolno opadł na krzesło przed kominkiem i zapatrzył się w ogień. Cichy dźwięk, skrzypnięcie charakterystyczne dla starego domu, przerwało jego zadumę. Podniósłszy głowę

nasłuchiwał przez dłuższą chwilę, po czym przymknął oczy, wydając głębokie westchnienie.

- Wciąż mi się zdaje, że on zaraz wejdzie zrzedzając swoim zwyczajem - wyznał napotykać jej wzrok i zauważając wreszcie jej obecność.

- Wiem. - Przykucnęła obok krzesła i dotknęła jego dłoni.

- On nie żyje. - Przejechał ręką po twarzy. - Cały czas to sobie powtarzam, ale kiedy patrzę na jego krzesło, mam wrażenie, że tylko wyszedł z pokoju, że zaraz wróci.

- Rozumiem cię.

Wyciągnął rękę, by pogłodzić Kit po policzku.

- Kit, nie mogę uwierzyć, że jego już nie ma.

- To nieprawda, Bannon. - Pochyliła się i położyła dłoń na jego sercu. - Jest tu, gdzie pozostanie na zawsze... w twoim sercu. Nie czujesz, jak uściskiem swych mocnych rąk potwierdza moje słowa? - W następnej sekundzie Bannon objął ją i przyciągnął do siebie, przyciskając mocno do piersi. Ukrył twarz w jej włosach, wdychając głęboko ich czysty, słodki zapach. Choć zewsząd otaczał go cień śmierci, miał przed sobą życie. Uchwycił się go kurczowo.

- Pocałuj mnie - poprosił głosem, w którym słychać było zarówno rozpacz, jak i gwałtowne pragnienie. - Spraw, bym poczuł, że żyję, Kit.

Przykrył jej usta pocałunkiem, w którym ból i nienasycenie mieszały się z rozpaczliwym pragnieniem życia. Czuł jej oddanie, gdy odwzajemniła pocałunek. To jednak nie wystarczyło. Musiał poczuć dotyk jej ciała, ciepło nagiej skóry, gwałtowne pulsowanie krwi w żyłach; ból musiał połączyć z rozkoszą. Nic innego nie mogło mu pomóc.

Długo jeszcze Kit trzymała go w ramionach. Oczy i policzki miała mokre od łez. Oczy Bannona pozostały suche. Był synem Starego Toma Bannona; nigdy nie płakał.

Promienie porannego słońca odbijały się w ciemnych okularach Johna Trvisa. Wbiegł po schodach prowadzących do domu Kit i podszedł do drzwi. Zastukał dwukrotnie i czekał, bezskutecznie nasłuchując odgłosu kroków wewnątrz. Spróbował jeszcze raz, tym razem waląc mocno, aż zadrżały szyby w drzwiach. Ze środka nadal nie dobiegał żaden dźwięk.

Zniecierpliwiony rozejrzył się po podwórzu rancza czując rosnący niepokój. Do licha, jej dzip był tutaj. Gdzież ona się do diabła podziewała?

Nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, że dom jest tak oddalony od szosy, że leży na odludziu. Kit była tak ufna, że otworzyłaby drzwi każdemu przybłądnie. Pewnie nawet wcale ich nie zamykała.

Zaniepokojony tą myślą nacisnął klamkę. Drzwi otwarły się nie stawiając oporu. Wszedł do środka, niemal oczekując, że mieszkanie będzie splądrowane. Nie było.

- Kit! - zawołał, kierując się w stronę schodów.

Pięć minut później był z powrotem w salonie. Sprawdził wszystkie pomieszczenia w domu. Nie znalazł ani Kit, ani żadnych śladów walki. W szafie wisiły jej ubrania, a przybory do makijażu leżały na półce w łazience.

Podniósł słuchawkę, chcąc sprawdzić, czy działa telefon. Słyszając sygnał wykręcił numer swej firmy. Odezwał się Nolan.

- Nolan, mówi John. Jestem u Kit. Oddzwon do mnie. Chcę się upewnić, czy w tę stronę telefon też działa.

- Już się robi.

Odłożył słuchawkę i czekał. Podniósł ją znowu, gdy rozległ się dzwonek.

- Działa.

- Nie ma tam Kit?

- Jest tu jej samochód, ubrania, kosmetyki. Wszystko wydaje się w porządku. Może ona jest gdzieś na zewnątrz. - Myśl o tym, że Kit leży gdzieś ranna, zachował dla siebie. - Wyjdę się trochę rozejrzeć.

- Może powinniśmy wezwać policję.

- Jeszcze nie.

Odkładając słuchawkę usłyszał wjeżdżający na podwórze samochód. Podszedł do drzwi i zobaczył czarną furgonetkę z wielkimi kołami należącą do właściciela sąsiedniego rancza. Stanął w progu i odetchnął z ulgą dostrzegłszy Kit na siedzeniu po stronie pasażera. Ulga przeszła w zaniepokojenie, kiedy Kit nachyliła się i pocałowała kierowcę. Nie było to krótkie, przyjacielskie cmoknięcie, lecz długi, przeciągły pocałunek następujący rankiem po upojonej nocy. Miał za sobą dość scen miłosnych - zarówno przed kamerą, jak i poza nią - żeby tego nie poznać.

Wycofał się zamykając za sobą drzwi i wrócił do pokoju, tłumiąc w sobie zaskoczenie, gniew i poczucie zranionej męskiej ambicji. Usłyszawszy odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu, zapalił papierosa wydychając wąski strumień dymu.

Kit weszła, dostrzegła go i po chwili wahania uśmiechnęła się z pewną rezerwą.

- Założę się, że mnie szukałeś. - Miała na sobie kombinezon narciarski i była bez makijażu.

- Wydzwaniałem do ciebie od wczoraj rano. Możesz mi wierzyć albo nie, ale około północy zacząłem się trochę martwić, nie mając żadnej odpowiedzi. Zapewne nie zechcesz mi powiedzieć, gdzie się podziewałaś - rzekł, z trudem panując nad własnym głosem.

- Byłam z Bannonom. - Zdjęła narciarską kurtkę i rzuciła na krzesło. - Jego ojciec zmarł wczoraj wieczorem. Na zawał.

- A ty spędziłaś z nim noc... odgrywając rolę pocieszycielki. Czy mam rację? - Nuta ironii miała złagodzić brutalność tych słów.

Z ociąganiem podniosła na niego wzrok, ale kiedy już to zrobiła, jej spojrzenie było spokojne i bezpośrednie.

- Może na to zasługuję, Johnie, ale mimo wszystko to, co powiedziałeś, było okrutne.

Opuścił wzrok i zaciągnął się głęboko papierosem.

- Zawsze wydobywałaś ze mnie to co najlepsze i to co najgorsze. Czy to nie zabawne? - W jego uśmiechu nie było wesołości. - Paula mówiła mi, że mam rywala, ale jej nie uwierzyłem. Jak jakiś kowboj mógłby współzawodniczyć z Johnem Travisem. Chyba wyłażą ze mnie stare kompleksy.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Spojrzał na słupek popiołu zebrany na koniuszku papierosa.

- Co będzie dalej, Kit? Jakie masz plany w związku z tym Bannonom?

- Nie wiem - wyznała. - Jeszcze o niczym nie rozmawialiśmy. To nie jest odpowiedni czas, pojutrze jest pogrzeb jego ojca. - Wiedziała, że przez najbliższe dwa dni nie będzie mogła się spotkać z Bannonom, ani sam na sam, ani z nim i z Laurą. Musiał się zająć przygotowaniami do pogrzebu; a poza tym ci wszyscy znajomi, którzy będą dzwonić i wstępować do domu... - Wiem, czego oczekuję od tego związku, ale... - Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nic jeszcze nie zostało przesądzone.

- To zupełnie jasne. - John zdusił papierosa w popielniczce. - Skoro już tu jestem, mogę ci powiedzieć, że chciałem się z tobą widzieć między innymi po to, by cię przeprosić za tamtą noc. Nie za to, co powiedziałem. To wszystko była prawda. Ale za to, że powiedziałem to w taki sposób... w złości. Żyłem ostatnio w strasznym napięciu. Odegrałem się na tobie za własne kłopoty.

- Ty potrzebujesz tego filmu. Ja nie. Ja mogę sobie pozwolić na bycie idealistką. Ty nie. - Teraz to rozumiała. - Tu nie chodzi o nic więcej.

- Ty też nie możesz sobie pozwolić na idealizm. Tylko że jeszcze tego nie odkryłaś.

- Możliwe. Tak czy owak, nie ma o czym mówić.

John przyglądał jej się przez chwilę, wreszcie potrząsnął głową, zdziwiony i rozbawiony.

- Wiesz, dlaczego jesteś taka niezwykła. Kit? Ty naprawdę w to wierzysz.

- Nie mów Bannonowi. Nie sądzę, aby chciał to usłyszeć od ciebie. - Uśmiech powrócił na jej twarz.

- Facet jest zazdrosny, co? W takim razie muszę zastrzec, by go nie wpuszczali na plan, kiedy będziemy kręcić sceny miłosne. Uprzedzam lojalnie, że mam zamiar solidnie się do nich przyłożyć, więc może mu się nie spodobać ilość ujęć, jakie trzeba będzie powtarzać.

Kit roześmiała się i wskazała mu drzwi.

- Idź już. Muszę wziąć prysznic, wykonać parę telefonów i zabrać się do roboty.

Ruszył do wyjścia, zatrzymał się i posłał jej jeden ze swoich zniewalających uśmiechów wciąż robiących na niej wrażenie.

- Nikt nigdy nie miał lepszej sceny rozstania niż Bogart - powiedział, a Kit domyśliła się natychmiast, że chodzi mu o film *Casablanca*. - Ale on mógł być wielkoduszny. Miał Bacall. - Zasalutował jej podnosząc do czoła dwa palce i mruknął: - Życzę pomyślności, Kit.

Wyszedł zostawiając Kit w ugrunтовanym od nowa przeświadczeniu, iż bardzo łatwo byłoby się zakochać w Johnie Travisie. Oczywiście gdyby nie było Bannona.

Przestała się śmiechać myśląc o tym, że Bannon jest teraz w domu Sondry i cierpi mówiąc córce o śmierci dziadka. To nie Hollywood; nikt nie podsunie mu tekstu ze scenariusza. Jest zdany na siebie i nigdy nie będzie wiedział, czy wypowiada właściwe słowa.

W dniu pogrzebu ciężkie, szare chmury zawisły nad górami jak żałobny całun. Baldachim rozpięty nad grobem łopotał głośno w ostrym, zimnym wietrze wiejącym od szczytów. Bannon siedział z podniesionym kołnierzem palta i czarnym kapeluszem głęboko nasuniętym na oczy.

Czując, że Laura przylgnęła do niego mocniej, spojrzał na nią i dostrzegł jedynie zmęczenie na poblądłej twarzyczce. Była zmęczona i przemarznięta, chciała tylko jak najszybciej wrócić do domu. Otoczył ją ramieniem i przycisnął do siebie, uświadamiając sobie, że jest za mała, by był jej potrzebny ten długi obrzęd pożegnania, ta próba upewnienia żywych, że nawet w obliczu śmierci życie ma swój sens.

Bannon patrzył na trumnę z mosiężnymi uchwytyami pokrytą kobiercem czerwonych róż; delikatne płatki zdążyły już zmarszczyć się od podmuchów zimnego wiatru. Ojciec zadowoliliby się prostą sosnową trumną i modlitwą. W taki pochmurny dzień jak dziś wciągałby w nozdrza zapach wiatru, spoglądając z zadartą głową w stronę błękitnych cieni na horyzoncie i wsłuchując się w głęboką ciszę gór. Cieszyłby się również z tego, że będzie znowu leżeć obok swojej żony.

Wzrok Bannona powędrował od trumny ojca do innych nagrobków znajdujących się w pobliżu - matki, Diany. W następnym rzędzie pochowany był Clint Masters; ludzie których znał dobrze, i inni, znani mu tylko przelotnie. Wszyscy oni zostawili jakieś puste miejsca w jego życiu. Teraz przyszła kolej na ojca. Wraz z nim odeszło tak wiele z przeszłości.

Kit wzięła go pod rękę. Zacisnął palce wokół jej dłoni i próbował bez większego powodzenia skoncentrować się na słowach pastora nieświadomy tego, że Sondra zimnym wzrokiem obserwuje każdy jego ruch, rejestruje każde wymienione z Kit spojrzenie, zwraca uwagę na najdrobniejszy gest.

Jak on może traktować ją w ten sposób? Zdawała sobie sprawę, że dla wszystkich jest już oczywiste, iż to Kit, a nie ona zajmuje to szczególne miejsce u jego boku. Wiedziała, że ludzie komentują to złośliwie.

Sondra rzuciła szybkie spojrzenie na Kit. Miała Johna Travisa, ale to jej nie wystarczyło. Musiała jeszcze brać się za Bannona. Ta suka była taka sama jak Diana, chytra i samolubna, pragnąca zagarnąć dla siebie wszystko.

Chmury wisiały nad górami jeszcze przez dwa dni po pogrzebie. Wreszcie przed wieczorem drugiego dnia leniwie padający śnieg rozjaśnił bielą smutną szarość i poprawił nastrój. Nucąc kolędę. Kit wbiegła lekko po schodach starego wiktoriańskiego domu, który służył Bannonowi jako biuro adwokackie. Wszedłszy do przerobionej na sekretariat części salonu zauważyła, że drzwi gabinetu są zamknięte.

- Dobry wieczór, Agnes - przywitała kobietę siedzącą za biurkiem. - Czy Bannon jest zajęty? Miałam nadzieję, że uda mi się porwać go na spóźniony obiad.

- Może odłożymy to na kiedy indziej, co ty na to? - Z prawej dobiegł ją głos Bannona.

Odwróciła się w jego stronę i zobaczyła, że narzuca na siebie przeciwdeszczową kurtkę. Nawet nie próbowała ukryć rozczarowania.

- Wychodzisz dokądś?

- Jadę na ranczo. Sadie ma dziś wizytę u dentysty - wyjaśnił. - Laura uparła się, że jest za duża na nianię. Pewnie jest, ale... nie czuję się pewnie, zostawiając ją samą w domu.

- I chyba nigdy nie będziesz się czuł. - Mówiąc to Kit pomyślała w duchu, że Laura to problem, z którym jeszcze się nie zmierzyła, z którym dotychczas nie miała ochoty się zmierzyć.

- Co cię przygnało do miasta? - Pożegnał gestem dłoni sekretarkę, chwycił Kit pod ramię i skierował z powrotem do wyjścia.

- Wysiadło ogrzewanie w dziupie. Mechanik na stacji obsługi powiedział, że to termostat. Niestety, będzie mógł się nim zająć dopiero za jakieś dwie godziny.

- Miałaś zamiar wykorzystać mnie dla zabicia czasu.

- Myślałam, że to dobry pomysł. - Urwała, opanowała nerwowe drżenie i wyrzuciła z siebie: - Masz coś przeciw temu, bym pojechała z tobą do domu? W końcu dziupla mogę odebrać jutro.

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? - Spojrzał na nią pytająco. - Wiesz, że możesz przyjeżdżać do Stone Creek, kiedy tylko masz na to ochotę. Albo... przynajmniej powinnaś o tym wiedzieć.

- Pomyślałam, że uprzejmie będzie zapytać, skoro mam zamiar prosić o podwiezienie mnie tam - oświadczyła z szelmowskim błyskiem w oku.

- Uprzejmie, powiadasz? - Zaśmiał się i objął ją ramieniem, prowadząc do samochodu.

Kiedy jechali do Stone Creek, padał śnieg; miękkie płatki leniwie wirowały w powietrzu. Kit wpatrywała się w drogę świadoma uciekających kilometrów, z których każdy przybliżał ją do rancza.

- Boję się - powiedziała cicho.

Pogrążony w myślach Bannon nie dosłyszał jej słów.

- Co mówiłaś, Kit?

- Nic - odparła, potrząsając lekko głową.

Gdy dojechali do rancza, Bannon otworzył przed nią drzwi. Kit zawahała się przez moment, a następnie, zdobywszy się na odwagę, pierwsza przestąpiła próg. Laura siedziała skulona na fotelu w salonie; czytała książkę, bezwiednie zwijając na palcu kosmyk ciemnych włosów. Podniosła wzrok, wypuszczając włosy z ręki na widok ojca i Kit.

- Cześć, Lauro - odezwała się cichym, łagodnym głosem Kit.

- Cześć.

- Czy Sadie już wyszła? - Bannon zajął do kuchni.

- Jakies dziesięć minut temu - odparła Laura, po czym spojrzała chłodno na Kit. - W kuchni jest kawa, gdybyście chcieli się napić.

Ton głosu, spojrzenie, dobór słów. Bannon przypomniał sobie dokładnie zimną uprzejmość Laury, jaką ta okazywała Kit, gdy poprzednio jeden jedyny raz znalazły się w swoim towarzystwie. Tym razem była nastawiona do niej równie chłodno. Bannon miał ochotę potrząsnąć Laurą i zabronić jej traktowania Kit w taki sposób. Laura była za młoda na wiele rzeczy, ale zbyt dojrzała, by mówić jej, co ma czuć i myśleć. Nie pozostawało mu nic innego, jak bezradnie stać z boku.

- Nie, dziękuję. Chyba nie mam ochoty na kawę. - Kit podeszła do kanapy i usiadła. Spojrzała na swoje ręce, a potem wprost na Laurę. - Masz śliczną bluzkę. Miałam kiedyś sukienkę w podobnym niebieskim odcieniu. Pamiętam, że bardzo ją lubiłam. Często wkładałam ją na prywatki.

- Byłaś w moim wieku? - Laura przyjrzała jej się z zainteresowaniem.

- Nie, byłam starsza. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Kiedy byłam w twoim wieku, zamykałam się czasem w swoim pokoju i udawałam, że jestem na przyjęciu.

- Serio? - Laura wyprostowała się trochę. - Ja też tak czasami robię. Jak długo musiałaś czekać, zanim rodzice pozwolili ci chodzić na prywatki? - Spojrzała ukradkiem na Bannona rumieniąc się lekko, jakby zapomniała, że on tam jest.

- Wydawało mi się, że całe wieki - rzekła ze śmiechem Kit. - A naprawdę to nie trwało aż tak długo.

Laura odrzuciła książkę na stół, podwinęła pod siebie nogi i nachyliła się w stronę Kit; wyraz nagłego zainteresowania zastąpił chłodną rezerwę.

- A twoja pierwsza prywatka... jaka była?

Wszystko znajdowało się na najlepszej drodze. Bannon sam się zdziwił, jak ogromną poczuł ulgę. Nim Kit zdążyła odpowiedzieć, oznajmił:

- Wy sobie tu pogadajcie, a ja pójde sprawdzic, co jest z tą chorą krową.

- Dobrze, tatusiu. - Laura ledwie na niego spojrzała, natychmiast zwracając się znowu do Kit.

- Jaka była ta prywatka?

Wychodząc z domu, Bannon słyszał, jak Kit mówi:

- Zaprosił mnie na nią twój ojciec. Miałam na sobie tę niebieską sukienkę, o której ci mówiłam i...

Dotarł do obory wciąż się uśmiechając. Krowa, tak jak się spodziewał, miała się świetnie. Osiodłał konia i wyjechał sprawdzić stado.

Galopując przez biel ścielącą się na ziemi i wirującą w powietrzu, zaczął myśleć o Dianie. Znowu miał przed oczyma jej ciemną, przygnębioną twarz, śmiech, który zmienił się w złość i niechęć. Nienawidziła jego i nienawidziła siebie za pomyłkę, jaką okazało się ich małżeństwo; umarła nie mając dla niego jednego dobrego słowa.

Zmyślał o wszystkich tych niedzielach, które spędził nad jej grobem, modląc się o to, by ujrzeć ją kiedyś w duszy uśmiechającą się do niego, rozumiejącą, że starał się dać jej szczęście. Przecież starał się naprawdę.

Zaraz potem przyszła myśl, że wraz ze śmiercią ojca znaczna część jego życia odeszła w przeszłość. Diana również należała do przeszłości.

Bannon zatrzymał konia i stał przez chwilę pośród otaczającej go zewsząd bieli; myślał o Dianie takiej, jaką chciał pamiętać... nie w chwili jej śmierci, lecz w dniu, w którym spotkał ją po raz pierwszy... uśmiechniętej, z oczami błyszczącymi radością i obietnicą.

Kiedy ruszył dalej, by sprawdzić stado, ten obraz tkwił mu w pamięci, wypierając wreszcie myśl o

jej śmierci.

Gdy dwie godziny później wrócił do domu, salon był pusty. Na stole leżała książka Laury, ale po niej samej i po Kit nie było śladu. Marszcząc brwi Bannon powiesił kurtkę i kapelusz na wieszaku i lekko zaniepokojony zawołał:

- Halo? Gdzie jesteście?

- Tutaj - odpowiedziała z kuchni Kit.

Była sama, przed nią na blacie leżała otwarta książka kucharska. Przywitała go trochę nieobecny uśmiechem, szybkim pocałunkiem i kubkiem świeżo zaparzonej kawy.

- Pomyślałam, że to może ci pomóc w odtajaniu.

- Dziękuję. - Pociągnął łyk kawy; wiedząc, że Kit umie świetnie ukrywać uczucia, nie od razu dał się przekonać jej radosnej minie.

- Gdzie jest Laura?

- Na górce, szuka taśmy Pauli Abdul - odparła Kit z błyszczącymi oczami. - Chce, abym jej posłuchała, kiedy będziemy robić domowe karmelki. Stwierdziłyśmy właśnie, że dzisiaj po południu świetnie się do tego nadaje.

- To brzmi naprawdę nieźle. - Bannon jeszcze raz odetchnął z ulgą.

Kit podniosła książkę kucharską i na moment przycisnęła ją mocno do siebie.

- Myślę, że Laura mnie lubi, Bannon.

- Nigdy nie wątpił w to, że cię polubi.

Kit miała jednak wątpliwości... dotyczyły one nie tyle Laury, co jej samej. Dzisiaj odkryła, iż może polubić Laurę, mimo że dziewczynka tak bardzo przypominała Dianę. Przez długi czas nie dawało jej to spokoju, martwiła się, że zawsze będzie czuć do Laury niechęć, że ich stosunki nigdy nie ułożą się poprawnie. Jednak okazało się, że wcale nie musi tak być. Poczula wielką ulgę. Nie powiedziała o swych obawach Bannonowi; wołała, aby o nich nie wiedział.

Zauważyła, że Bannon przygląda jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Coś nie tak?

- Nie, wszystko w porządku - skłamał, wpatrując się w kubek z kawą. A jednak nie wszystko było w porządku. Patrząc na Kit, pamiętając, jak ją skrzywdził, natychmiast zaczął myśleć o Sondrze.

Rozdział dwudziesty siódmy

Mimo że rozmowa została zakończona, Sondra nie zdejmowała ręki ze słuchawki. Siedziała nieruchomo na krawędzi łóżka. Jedwabna opaska na oczy luźno zwisała jej w dłoni; ciężkie zasłony nie wpuszczały do pokoju słonecznego światła.

Z szeroko otwartymi oczami, bez śladu niedawnej senności, powtórzyła w myśli rozmowę, którą właśnie odbyła z Bannonem. Miał zamiar przyjechać, chciał się z nią widzieć, ale nie powiedział kiedy. Co to oznaczało? Jego głos brzmiał ciepło i szczerze.

Myśląc o tym, Sondra z uśmiechem pogłaskała słuchawkę. Bannon chce się z nią spotkać. Wszystko będzie dobrze. Niepotrzebnie się denerwowała z powodu Kit Masters. Żal spowodowany śmiercią ojca odebrał mu jasność widzenia, ale tylko chwilowo. Wracał do niej, tu gdzie było jego miejsce. Pełen satysfakcji uśmiech wypłynął na jej usta.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi sypialni. Słyszając je, Sondra podniosła się gwałtownie z łóżka, uświadomiwszy sobie, jak wiele ma do zrobienia przed przybyciem Bannona. Ledwie spojrzała na Emilię Boggs, kiedy ta weszła do pokoju.

- Poranna kawa i sok, proszę pani.

- Nie mam w tej chwili na to czasu. - Sondra machnęła ręką w stronę wniesionej przez służącą tacy. - postaw to gdzieś, a potem zmień pościel na łóżku. Załóż tę z egipskiej bawełny. - Przeszła do wyłożonej czarnym marmurem łazienki. - Jak skończysz, jedź na zakupy.

- Ale... zakupy zrobiłam wczoraj, proszę pani - przypomniła jej Emilia.

- W takim razie weź sobie wolne na resztę dnia. Wszystko mi jedno, co będziesz robić. Po prostu wyjdź z domu.

Zamknęła za sobą drzwi łazienki, pozostawiając zdziwioną służącą na środku pokoju. Emilia natychmiast domyśliła się, o co chodzi. Telefon, wytworna pościel... z pewnością miał przyjść Bannon.

Parę minut po dziewiątej dzwonek przy drzwiach oznajmił przybycie Bannona. Sondra zatrzymała

się w salonie, przycisnęła rękę do brzucha, chcąc stłumić nagłe drżenie w okolicy żołądka, następnie wygładziła czarne atlasowe kimono. Rozpuściła włosy, wiedząc, że tak najbardziej spodoba się Bannonowi i nałożyła na twarz tylko odrobinę makijażu.

W nastroju radosnego oczekiwania podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Dzień dobry - odezwała się lekko schrypniętym głosem.

- Dzień dobry. - Jego spojrzenie prześlizgnęło się po niej, nie zatrzymując się na dłużej, jakby sobie tego życzyła. Bannon wszedł do środka, zsunął z głowy kapelusz i przejechał dłonią po ciemnych włosach. - Przepraszam, że się spóźniłem. Musiałem podrzucić Laurę do Buffy, a zapomniałem, jakie korki są w czasie zimowych weekendów.

- Okropne, prawda? - zgodziła się z nim w tej ostatniej kwestii i zamknęła drzwi. - Pozwól, że to wezmę. - Sięgnęła po kapelusz, przysuwając się bliżej. Przechylając głowę w oczekiwaniu na pocałunek.

Zamiast tego wręczył jej kapelusz i zaczął zdejmować palto. Sondra cofnęła się; nagle zrodziła się w niej niepewność i powróciło dawne podejrzenie. Kiedy podawał jej płaszcz, zauważyła na jego palcu jaśniejsze miejsce po obrączce.

- Nie masz obrączki - stwierdziła; serce i dusza rozradowały się na ten widok.

- Pomyślałem sobie, że już czas, abym ją ściągnął - wyjaśnił.

- Już dawno był na to czas, Bannon. Powinieneś być to zrobić parę lat temu.

- Być może. Choć sądzę, że dopiero śmierć ojca pozwoliła mi zrozumieć, iż czas rozstać się z przeszłością.

Miała ochotę rzucić mu się w ramiona, ale powstrzymała ją jego poważna mina. Na razie wystarczyło jej to, że Diana nie miała już na niego wpływu, wystarczyło, że był z nią tutaj. Czas na świętowanie, podobnie jak na miłość, przyjdzie później, gdy już oswoi się z tą decyzją. Sondra pośpiesznie odwiesiła płaszcz i kapelusz i wzięła go pod rękę prowadząc do salonu.

- To dla ciebie trudny okres, wiem - powiedziała uspokajająco. - Pozwól, że zaproponuję ci coś do picia. Może filiżankę kawy.

- Może być kawa.

- Usiądź i rozgość się, a ja przyniosę kawę - wdzięcznym gestem wskazała mu zarzuconą poduszkami kanapę, dodając: - Emilia pojechała zrobić zakupy, więc dziś rano muszę sobie radzić sama.

Bannon nie usiadł jednak. Wróciwszy z tacą, Sondra zastała go stojącego przed przeszkloną ścianą, wpatzonego w widoczne w oddali góry. Postawiła tacę na niskim stoliku, przycupnęła na krawędzi kanapy i zajęła się rozlewaniem kawy do dwóch filiżanek.

- Rozumiem, że Laura spędza dzień z Buffy - zagadnęła, kiedy Bannon odwrócił się od okna, aby do niej dołączyć.

- Tak. Jadą na narty do Buttermilk. - Wziął z tacy filiżankę i omijając wolne obok niej miejsce na kanapie, podszedł do złoczonego krzesła. - Było mi to na rękę, zważywszy, że muszę dziś spędzić sporo czasu w biurze.

- Zwykle nie pracujesz w soboty - zdziwiła się Sondra, po czym przypomniała sobie: - Ach, racja. Agnes wspominała mi, że sędzia nie zgodził się na odroczenie w sprawie Malverna. Jest na wokandzie w przyszłym tygodniu, prawda?

Skinął głową potakująco.

- W poniedziałek zaczyna się wybór ławy przysięgłych. Rozprawa będzie się ciągnąć prawie cały tydzień.

- Podobno odbędzie się w Denver? Co z Laurą? Wiesz, że chciałabym, aby zamieszkała ze mną pod twoją nieobecność.

- Dziękuję, ale będę w stanie wracać na większość nocy. - Był spięty, wyraz jego twarzy nie łagodniał, jak zazwyczaj w momentach, gdy była mowa o Laurze. Coś go gnębiło.

Sondra o nic nie pytała, wierząc, że Bannon sam jej powie. Tak jak się spodziewała, niepewność nie trwała długo.

- Od dawna jesteśmy przyjaciółmi - zaczął.

- Więcej niż przyjaciółmi - sprostowała, posyłając mu ciepły, znaczący uśmiech.

- Istotnie. - Spojrzał na nią. - Chyba dlatego jest mi tak trudno. Ale nie chcę, byś dowiedziała się od kogoś innego. Już raz dopuściłem do takiej sytuacji i nie zamierzam powtarzać tego błędu.

- To brzmi poważnie. - Zesztywniała; nie podobał jej się jego ton.

- Bo to poważna sprawa. Mam zamiar poprosić Kit, żeby za mnie wyszła. Kocham ją...

Sondra spojrziała na niego takim wzrokiem, że dalsze słowa zamarzyły mu na ustach. Usłyszała wszystko, co potrzebowała usłyszeć. Po tych wszystkich latach... po tym, co dla niego zrobiła... chciał się ożenić z inną.

Co ją skłoniło do tego, by myśleć, że Bannon tego nie zrobi? Był taki sam jak wszyscy mężczyźni. Wykorzystał ją, wystrychnął na dudka. Czy naprawdę uważał, że pozwoli, by uszło mu to na sucho?

- Sondro? Dobrze się czujesz? - Jak przez mgłę dotarł do niej jego pełen troski głos.

- Akurat cię to obchodzi - rzuciła przez zęby. Stała, choć nie mogła sobie przypomnieć momentu wstawania z kanapy.

Bannon znalazł się obok niej.

- Do diabła, oczywiście, że mnie obchodzi - zapewnił, wyciągając do niej rękę.

Odsunęła się.

- Odegrałeś swój epizod, więc idź już. - Spojrzała na niego zimno, nienawistnie.

Bannon cofnął się ze zmarszczonym czołem. Po chwili wahania odwrócił się na pięcie i wyszedł. Patrząc, jak odchodzi, Sondra przysięgła sobie w duchu, że dopilnuje, by zapłacił za to, co jej zrobił... on i ta hollywoodzka dziwka.

Weszła do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Po trzech godzinach i jednej rozmowie telefonicznej Sondra wyszła z domu opatulona w długie futro, w odpowiednio dobranym futrzanym toczku na głowie i okularach chroniących oczy przed blaskiem słońca i śniegu.

Tłumy spacerowiczów wędrowały brukowanym deptakiem w centrum Aspen; trwała parada wysokich obcasów, futrzanych kozaków, skór, klasycznych norek i zwariowanych sztucznych futer połączona z prezentacją najmodniejszych kombinezonów narciarskich noszonych zarówno przez narciarzy, jak i przez tych, którzy nigdy nie zakładali nart. W popołudniowym powietrzu rozbrzmiewały ich głosy i śmiechy. Sondra nie zwracała na to uwagi, czekając w umówionym miejscu, obok placu zabaw.

Stała nieruchomo, z wyrazem lodowatego spokoju na twarzy. Kiedy dostrzegła Warrena Oakesa przedzierającego się w jej stronę przez tłum, kąćki jej ust uniosły się w ledwie zauważalnym uśmiechu, współgrającym z zimnym błyskiem w oczach.

- Jaki piękny dzień - rzekł Oakes stając przed nią.

- Owszem. - Wyczytała pytanie w jego wzroku i odgadła, że zastanawia się, dlaczego chciała się z nim spotkać właśnie tutaj, a nie w biurze.

Wiedziała też, że Oakes musi pamiętać ich wcześniejsze spotkania w miejscach publicznych, takich jak to... i powody tych spotkań. Tym razem powód był podobny, o czym wkrótce miał się przekonać.

- Więc, o co chodzi? - spytał, równając z nią krok, kiedy ruszyła niespiesznie w stronę swej agencji.

- Znalazłam się w niezręcznej sytuacji wobec pewnego klienta, na którym bardzo mi zależy - zaczęła ostrożnie. - Miałam nadzieję, że ten problem należy już do przeszłości.

Upłynęło sporo czasu, zanim Warren wolno przytaknął, czytając między wierszami, tak jak się spodziewała.

- Rozumiem. Co należy zrobić, by rozwiązać ten problem?

- Ten klient lubi specjalny rodzaj proszku, taki który nie zostawia śladów. - Sondra użyła ich własnego określenia, oznaczającego mieszaninę kokainy i heroiny. - Interesuje go tylko najlepszy, najwyższej jakości. Czy możesz to załatwić?

- Żadnych śladów. - Zmarszczył czoło. - To może potrwać dzień lub dwa.

- W porządku.

- Kto jest tym klientem? - Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

Sondra uśmiechnęła się.

- Nie uwierzylbyś, gdybym ci powiedziała.

- I tak się dowiem, prędzej czy później.

- Nie tym razem. On się uparł, że tylko ja mogę mu to dostarczyć, nikt inny.

- I zgodziłaś się? - Warren nie krył zaskoczenia.

- Mówiłam ci, że bardzo mi zależy na tym kliencie.

- Jesteś pewna, że to bezpieczne?

- Najbezpieczniejsze w świecie. Gdybym nie była pewna, nie brałabym nawet pod uwagę

dostarczenia mu tego osobiście - oświadczyła spokojnie.

Kiedy stanęli przed wejściem do Hudson Properties, Warren odsunął się nieco na bok, przytrzymując przed nią otwarte drzwi. Sondra minęła go i ruszyła wprost do swego biura na pierwszym piętrze. Gdy weszła, sekretarka rozmawiała właśnie przez telefon.

- Przykro mi, ale panny Hudson jeszcze nie ma - powiedziała do słuchawki kobieta, następnie podniosła wzrok i zobaczyła Sondrę. - Przepraszam, ale właśnie weszła. Czy może pan chwilę poczekać? - Odłożyła słuchawkę, informując Sondrę: - Pan Lassiter do pani, na pierwszej linii.

- Powiedz, że porozmawiam z nim za chwilę - odparła Sondra obojętnie i nie zatrzymując się, weszła do swego pokoju.

Warren wszedł za nią. Znalazłszy się w środku, Sondra rozpięła torebkę i wyjęła z niej zapieczetowaną kopertę. Wręczyła ją Warrenowi.

- To powinno wystarczyć na załatwienie tamtego interesu.

Obmacał szybko kopertę, sprawdzając, jak gruba jest jej zawartość, po czym wsunął ją do kieszeni.

- Powinno - zgodził się.

- Daj mi znać, jak tylko będziesz to miał - poleciła. - Wychodząc zamknij za sobą drzwi.

Zdjęła z siebie futro i kapelusz i odłożyła na lakierowane krzesło. Usłyszawszy odgłos zamykanych drzwi, podniosła słuchawkę przełączając aparat na pierwszą linię.

- Mówi Sondra. Cieszę się, że pan dzwoni. Mam dla pana dobre wieści.

- Naprawdę? - W jego głosie radość mieszała się z niedowierzaniem.

- Tak. Widziałam się dziś rano z Bannonom. Doszedł do wniosku, że mógłby w końcu być zainteresowany sprzedażą tej ziemi w górach. Ale chce szczegółowej oferty: jaki obszar, dokładne wymiary, cena, jaką jest pan skłonny zapłacić i termin. Chce to mieć na piśmie. Powiedziałam mu, że to nie stanowi problemu.

- Absolutnie żadnego - zapewnił Lassiter. - Natychmiast sformułuję ofertę. Będzie na pani biurku nie później niż we wtorek.

- Bannon będzie w Denver przez większą część przyszłego tygodnia z powodu rozprawy sądowej, ale dopilnuję, żeby mu ją natychmiast przekazano - obiecała bez cienia wahania,

- Tak będzie najlepiej. Proszę zrobić wszystko, żeby przyjął propozycję.

- Niech się pan nie martwi. Będzie miał pan tę posiadłość. Mogę to zagwarantować.

Jeszcze długo po odłożeniu słuchawki na jej wargach igrał nieznaczny uśmiezek. Lassiter zostanie w końcu właścicielem tej ziemi, choć niezupełnie w taki sposób, jak to sobie wyobraża.

Po godzinach pracy w budynku sądu zamierało życie. Bannon siedział na krawędzi biurka portiera ze słuchawką przy uchu, wsłuchując się w echo kroków na korytarzu. Bezwiednie pocierał zeszytywniały kark, patrząc przez okno na nocną panoramę światła Denver.

Rozległ się sygnał połączenia międzymiastowego, a zaraz potem pierwszy sygnał po tamtej stronie. Po drugim podniesiono słuchawkę.

- Ranczo Silverwood.

Bannon uśmiechnął się, rozpoznawszy głos córki.

- Witaj, Lauro.

- Cześć, tato - odezwała się wesoło. - Jak tam rozprawa?

- Strasznie się wlecze - poskarżył się. - Co dzisiaj robiłaś?

- Wszystkiego po trochu - oświadczyła. - Po szkole wzięliśmy z Kit stary tobogan i poszliśmy na nim pojeźdzać. Było świetnie, tato. Wywaliłyśmy się tyle razy, że całe byłyśmy w śniegu. Musiałyśmy się omiatać szczotką przed wejściem do domu. A potem robiłyśmy pizzę na kolację. Właściwie to zrobiłyśmy dwie, bo ta pierwsza się nam spaliła. Sfajczyła się na węgiel. Ale była niezła. Chociaż ta druga była lepsza. Wiem, o co zaraz zapytasz, zostały mi jeszcze tylko dwa zadania z matematyki i będę gotowa z lekcjami.

- To dobrze.

- Kit mówi, że doskonale - odparła Laura. - Jesteś teraz w hotelu?

- Nie, jestem jeszcze w sądzie, więc nie mogę długo rozmawiać. Gdzie jest Kit?

- Stoi tu obok mnie. Dać ci ją?

- Proszę.

Usłyszał stłumiony głos Laury:

- To tata. Jest jeszcze w sądzie.

Po drugiej stronie Kit przejęła słuchawkę i odezwała się ciepłym, ożywionym głosem.

- Cześć. Co ty tam robisz tak późno?
- Różne czynności przygotowawcze zajęły nam całe przedpołudnie. Potem procedura składania przysięgi trwała nadspodziewanie długo. Sędzia uparł się, że chce mieć wybraną ławę przysięgłych, zanim skończymy na dzisiaj.
- To chyba słuszne, choć na pewno męczące. Chyba decydując się na nocleg w Denver miałeś przecucie, że coś takiego może się zdarzyć.
- Chyba tak. - Przecucie... wolałby, aby Kit nie użyła tego słowa. Zbyt mocno pasowało do niepokoju, jakiego nie mógł się wyzbyć od chwili spotkania z Sondrą. To wrażenie kazało mu zapytać: - Miałeś dziś jakieś wiadomości od Sondry?
- Nie. A czemu pytasz? Uważasz, że powinnam mieć? - spytała Kit zaciekawionym, lecz swobodnym tonem.
- Właściwie nie. - Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, o co mu chodzi. Pamiętał jedynie wyraz oczu Sondry; spojrzenie zdradzające, iż jest na granicy szaleństwa. Spodziewał się łez, złości, ale nie tego. Bannon otrząsnął się z tego wspomnienia. - Nie wiem nawet, dlaczego zadałem to pytanie. - Po chwili dodał: - Może po prostu za tobą tęsknię.
- Ja też za tobą tęsknię. Nie wiem dlaczego, bo przecież Denver nie leży daleko i jutro wieczorem będziesz w domu. A jednak wydaje mi się, jakby to było na zawsze. To głupie, prawda?
- Wcale nie. - Wszedł woźny i oznajmił, że sędzia czeka na Bannona w swoim gabinecie. - Muszę już iść, Kit. Sędzia poskreślał nazwiska z listy proponowanych przysięgłych. Po tym, jak druga strona zrobi to samo, przyjdzie moja kolej. - Rzucił okiem na zegarek. Wpół do siódmej. - Jak dobrze pójdzie, wyjdziemy stąd za godzinę i o ósmej będę w hotelu. Zadzwoń, jak tylko tam dotrę.

Jego prognozy okazały się przesadnie optymistyczne. Było po dziewiątej, gdy Bannon przekroczył wreszcie próg Brown Palace, najslawniejszego spośród dawnych Wielkich hoteli w Denver, wciąż zachowującego pozory królewskiej elegancji, pomimo iż nadgryzł go nieco zęb czasu.

Zmęczony i niespokojny wręczył boyowi teczkę, pękate od sądowych dokumentów, i podszedł do lady w recepcji dowiedzieć się, czy są dla niego jakieś wiadomości. Były trzy, wszystkie od Agnes; żadna nie była na tyle pilna, by nie mogła poczekać, aż zadzwoni do Kit i powie Laurze dobranoc. Wsunął zapisane kartki do kieszeni i ruszył w stronę windy, rozluźniając po drodze węzeł krawata.

- Bannon, co za niespodzianka. Nie wiedziałem, że zatrzymał się pan w tym hotelu.
- Patrząc na człowieka, który go zaczepił, Bannona uśmiechnął się z przymusem.
- Dobry wieczór, Lassiter. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. - Jak się panu wiedzie?
- Nieźle. Całkiem nieźle - odrzekł Lassiter, posyłając Bannonowi pełne samozadowolenia spojrzenie.
- Tak na marginesie, za dzień lub dwa będzie miał pan wiadomość od Sondry.
- Od Sondry? - Bannon zmarszczył brwi, sam dźwięk tego imienia postawił go na baczność. - W jakiej sprawie?
- W drodze do Denver zatrzymaliśmy się w Aspen i zostawiliśmy tę pisemną ofertę, której się pan domagał.
- Pisemną ofertę? Dotyczącą czego? - Zmarszczki na jego czole stały się jeszcze głębsze. - Obawiam się, że nie rozumiem, o czym pan mówi, Lassiter.

Lassiter sprawiał wrażenie rozbawionego reakcją Bannona.

- O tej ziemi w górach, ma się rozumieć. Wnoszę z tego, że Sondra nie powiedziała panu, że to ja jestem zainteresowany kupnem.
- Nie. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia.
- Spodziewam się, że uzna pan moją ofertę za bardzo korzystną. Mówiąc szczerze, uważam, że będzie pan zadowolony z tego, że zmienił zdanie i zdecydował się na sprzedaż.

Bannon potrząsnął głową.

- Nie wiem, skąd wziął pan swoje informacje, ale ta ziemia nie jest na sprzedaż... nie sprzedam jej ani panu, ani nikomu innemu.

Tym razem Lassiter zmarszczył czoło, niemile zaskoczony.

- Według tego, co mówiła Sondra, spotkał się pan z nią w sobotę i zgodził sprzedać ziemię. Nie wiem, co pan chce osiągnąć przez...
- Widziałem się z Sondrą w sobotę, ale wcale nie rozmawialiśmy na ten temat.
- Więc pan twierdzi, że ona kłamie. Dlaczego?
- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł Bannon.

Kit przeszła na palcach wzdłuż ciemnego holu do pokoju gościnnego, w którym mieszkała ostatnio Paula. Drzwi stały otworem. Ostrożnie wsunęła głowę do środka i w ciemności odnalazła wzrokiem małą postać skuloną pod kołdrą; kosmyk długich, ciemnych włosów okalał zarys bladej twarzyczki na poduszce. Laura smacznie spała. Kit przyglądała jej się przez chwilę z uśmiechem, świadoma wypełniającego ją ciepłego, niemal macierzyńskiego uczucia. Cieszyła się, że zaproponowała Bannonowi, by Laura zamieszkała u niej podczas jego pobytu w Denver. Potrzebowały czasu spędzonego bez obecności Bannona, by się ze sobą oswoić. Mimo pewnych trudnych momentów wszystko przebiegało lepiej, niż mogła się spodziewać.

Wycofała się, przemykając za sobą drzwi i wróciła na dół, omijając skrzypiące stopnie schodów. W salonie ogień buzował wesoło w kominku. Na wyłożonej kafelkami podłodze przed paleniskiem leżały rozrzucone w nieładzie albumy ze zdjęciami; niektóre z nich były otwarte, inne zamknięte. Na wpół opróżniona ogromna miska prażonej kukurydzy stała na niskim stoliku pośród brudnych talerzy, szklanek po lemoniadzie i zmiętych serwetek. Kanapę pokrywały kasety, które zostawiła tam Laura, przeglądając je w poszukiwaniu swoich ulubionych.

Kit zabrała się za porządkowanie, czując, jak uśmiech sam wypływa jej na usta. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że będą się tak dobrze bawić. Miała cichą nadzieję, że Bannon zadzwoni w tym momencie, odraczając na chwilę obowiązek zmywania. Zastanowiła się, dlaczego jeszcze nie zadzwonił. Powiedział, że zatelefonuje od razu, jak tylko znajdzie się w hotelu, a przecież było już po dziesiątej. Biedaczysko, pomyślała ze współczuciem, mając nadzieję, że zdążył chociaż zjeść kanapkę.

Zaczęła doprowadzać salon do porządku, zaczynając od zebrania rozrzuconych na kanapie kaset i ułożenia ich w specjalnej półce z przegródkami. Następnie zabrała się za stolik; ułożyła brudne talerze i szklanki na misce z polaną topionym masłem kukurydzą, dorzucając do kompletu zużyte serwetki.

Podniosła miskę i trzymając ją oburącz ruszyła w kierunku kuchni. Zatrzymała się nagle, przejęta dreszczem strachu na widok szczupłej, ciemnej sylwetki w kuchennych drzwiach. Stała tam jakaś kobieta ubrana w czarny kombinezon narciarski, podkreślający każdą wypukłość ciała. Obcisła wełniana czapka zakrywała jej włosy, pozostawiając odsłoniętą jedynie twarz.

- Sondra - mruknęła Kit, niemal uśmiechając się z ulgą; zaraz potem w odzianej w czarną rękawiczkę ręce Sondry dostrzegła pistolet z wkręconym na koniec lufy tłumikiem i serce znowu podeszło jej do gardła.

- Zadziwiasz mnie, Kit - odezwała się Sondra niskim, pozbawionym emocji głosem, którego dziwne, nienaturalne brzmienie sprawiło, że plecy Kit pokryły się zimnym potem. - Myślałam, że po tych wszystkich latach spędzonych w Los Angeles, nauczysz się zamykać drzwi.

Gdy Sondra węzowym ruchem wślizgnęła się do pokoju, Kit przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi no tym, jak przyniosła ostatnie narzędzie szczap do kominka. Zbyt późno.

- Po co tu przyszedłeś? Czego chcesz? - Zadała te pytania, mimo że bała się usłyszeć odpowiedź.

- Nie domyślasz się? - Sondra odpowiedziała tym samym beznamytnym tonem. - Miałeś Johna Travisa. Ale on ci nie wystarczył, prawda? Musiałeś sięgnąć również po Bannona. Szkoda, Kit. Gdybyś nie była taka zachłanna, nie musiałabyś umierać.

Kit wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma słysząc te słowa, ale nie mogąc w nie uwierzyć. To nie mogła być prawda. To się nie mogło dzieć w rzeczywistości. To tylko scena z jakiegoś dreszczowca. Pragnęła wmówić sobie, że gdzieś z boku stoi włączona kamera. Tylko że nie było żadnych kamer, nie było światła i reżysera, który miał krzyknąć: „Stop!” w kulminacyjnej chwili.

Zupełnie bez sensu przypominała sobie te oszczędnie kręcone horrory, w których grała, i to, że zawsze się śmiała mówiąc, iż dostała te role dlatego, że zdała egzamin z wrzasków. W tej chwili nie była w stanie wydobyć ze ściśniętego gardła żadnego dźwięku. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Gdyby nawet krzyczała, kto mógł ją usłyszeć?

Laura.

Poczuła kolejny skurcz paniki. Na górze spała Laura. Jeśli się obudzi, jeśli usłyszy głosy, zejdzie na dół. A jeśli to zrobi, Sondra ją zabije, ją także; będzie musiała ją zabić, nie może pozostawić przy życiu świadka.

Dobry Boże, nie pozwól jej się obudzić, modliła się w duchu Kit, bojąc się teraz o Laurę tak samo jak o siebie.

- Nie martw się. Kit - wymruczała Sondra. Posuwała się w głąb pokoju ostrożnie stawiając stopy i odczekując chwilę przed zrobieniem każdego następnego kroku, jak skradający się do zdobycy kot;

odwrócona przodem do Kit kołysała się lekko na boki, nie spuszczać z niej ani na moment zimnych oczu. - Obiecuję, że to nie potrwa długo. Może nawet ci się spodoba.

Kit odwróciła się nieznacznie, by cały czas znajdować się naprzeciw Sondry. Zaszło jej w ustach, a dłonie miała wilgotne od potu. Ta kobieta była szalona, nieporęczna. Trzeba próbować zyskać na czasie, pomyślała. Zachęcać ją do mówienia i czekać na okazję. To się sprawdzało w filmach.

- Chyba nie myślisz, że uda ci się mnie zabić i ująć bezkarnie? - zaryzykowała schrypniętym głosem.

- Och, ależ uda mi się... tak samo jak udało mi się pozbyć Dianę.

- Ty... zabiłaś własną siostrę? - Kit z trudem wydobyła z siebie te słowa; szok wywołany oświadczeniem Sondry sprawił, iż nie zauważyła, że znalazły się po przeciwnych stronach kanapy.

Sondra uśmiechnęła się, wzbudzając tym u Kit nowy dreszcz przerażenia.

- To było takie proste. Wystarczyło wstrzyknąć pęcherzyk powietrza do kroplówki. Zajęło mi to parę sekund. Nikt nie podejrzewał, że miałam cokolwiek wspólnego z jej śmiercią. Nikt nie widział, jak wślizgnęłam się do jej pokoju... nawet Bannon. Cały czas stał przy oknie. Po trzydziestu sześciu godzinach bez snu ten biedak ledwie się trzymał na nogach. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Nie można było niczego udowodnić. Wiadomo, że po porodzie może wystąpić zator.

Bannon. Kit pragnęła, by zadzwonił w tej chwili. Dzwonek telefonu zbiłby z tropu Sondrę, a teraz, kiedy dzieliła je kanapa, może zdołałaby dopaść słuchawki i ostrzec Bannona. Inaczej nie uda się skorzysta z telefonu. Nie będzie miała dość czasu, by się dostać do aparatu, wykręcić numer policji, poczekać, aż ktoś odbierze i opowiedzieć, co się dzieje. Będzie martwa, zanim uzyska połączenie.

- Jak mogłaś to zrobić? Była twoją siostrą - zaprotestowała słabo.

- Zatrula życie Bannona. Uratowałam go przed nią. - Twarz Sondry straciła maskę chłodu i obojętności; zacisnęła usta w wyrazie wielkiej nienawiści.

- Kochałam go, rozumiesz? Ale on nigdy mnie nie kochał. Wykorzystał mnie tylko. Zapłaci za to. Już niedługo. Bardzo niedługo.

- Co masz na myśli? - Kit odwróciła się jeszcze trochę, podczas gdy Sondra posuwała się wzdłuż kanapy, próbując zająć ją od tyłu.

- Mam na myśli to... że Bannon wkrótce do ciebie dołączy - odparła, przybierając znowu łagodny, pozbawiony wszelkich emocji ton.

Kit ujrzała szafkę z bronią za plecami Sondry. Te wszystkie strzelby zawieszono w równym rzędzie. Wszystkie nie nabite.

- Planujesz zabić również Bannona, tak? - Jej strach był już widoczny gołym okiem. Mogłaby przysiąc, że jej serce przeniosło się do gardła.

- Kit, ty drżysz - zauważyła Sondra szyderczo. - Lepiej odłóż tę miskę, zanim ją upuścisz.

Drżenie było zbyt łagodnym określeniem na to, co działo się z Kit. Nogi trzęsły się jej jak galareta. Sondra machnęła pistoletem, nakazując Kit, by postawiła miskę na stoliku. Chciała rzucić naczyniem w Sondrę, ale ta stała za daleko; poza tym miska była zbyt ciężka i nieporęczna. Z ociąganiem postawiła ją na stoliku, czując się tak, jakby utraciła ostatnią deskę ratunku.

Zachęcaj ją do mówienia, podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos. Była to jedyna forma obrony, jaka jej jeszcze pozostała.

- Nie winię cię za to, że chcesz się odegrać na Bannonie - zaczęła. - Mnie też wykorzystał. Długo czekałam, żeby mu za to odpłacić. Zgadzasz się z tobą... mężczyźni tacy jak on nie zasługują na to, by żyć.

Deklaracja Kit nie zrobiła na Sondrze żadnego wrażenia.

- Czy to nie ironia, że w dzisiejszych czasach jest tyle zbrodni w miastach takich jak Denver? - powiedziała, jakby nie słysząc jej słów. - Uliczne bandy, strzały z przejeżdżających samochodów, napady. Bannon będzie po prostu kolejną ofiarą naszych brutalnych czasów; zastrzelony na jakimś parkingu lub ciemnej ulicy. Wychowałam się w Denver. Znam je wszystkie.

Kit nagle uświadomiła sobie, jak starannie Sondra wszystko zaplanowała. Przeraziło ją to, ponieważ mogło się okazać skuteczne.

- Taka tragedia - ciągnęła Sondra. Jej cichy, śpiewny głos przyprawiał Kit o mdłości. - Bannon zginął, pozostawiając sierotę swoją małą córeczkę. Jako jej jedyna żyjąca krewna zabiorę oczywiście Laurę do siebie.

- Nie - jęknęła Kit.

- Ależ tak. - Sondra się uśmiechnęła. - Bannon wyznaczył mnie na opiekunkę Laury w swoim testamencie. Był przewidujący, prawda? Ma się rozumieć, sprzedam część rancza... może nawet

kiedys sprzedam całość. Każdy uzna, że to rozsądne posunięcie. Jaki pożytek z rancza, na którym hoduje się bydło, może mieć dziewięcioletnia dziewczynka?

Robiąc ostatni krok, Sondra wyszła zza kanapy. Stała teraz naprzeciw Kit.

- Odwróć się - rozkazała.

- Po co? - Kit spojrzała na pistolet obciążony przykręconym do lufy tłumikiem. Zmierzyła w myślach dzielącą ją od Sondry odległość, zastanawiając się, czy powinna spróbować odebrać jej broń. Szansę powodzenia były mniej niż znikome. - Zamierzasz strzelić mi w plecy?

- To by wprowadziło za dużo zamieszania - wyjaśniła łagodnie Sondra. - Odwróć się teraz, tak jak powiedziałam.

Kit powoli odwróciła się plecami do Sondry. Napięcie i strach przekroczyły granicę wytrzymałości jej nerwów.

- Co robisz? - spytała.

- Dowiesz się... we właściwym czasie.

Czy jej się tylko zdawało, czy też Sondra przysunęła się bliżej? Kit znieruchomiała, próbując złapać jakiś dźwięk, coś, co mogłoby jej zdradzić zamiary Sondry. Doleciał ją zapach perfum, ciężki i słodki. Obróciła głowę o parę milimetrów, usiłując dostrzec, co dzieje się za nią. Kątem oka ujrzała, jak szczupłe czarne ramię bierze zamach.

Zbyt późno Kit próbowała się schylić, by uniknąć ciosu. Usłyszała odgłos uderzenia, a ułamek sekundy później ból niemal rozsadził jej głowę. Ciemność zawirowała jej przed oczami i zgęstniała. Poczula, że zapada się w nią, tracąc świadomość i wszelkie czucie.

Gdzieś z oddali, jak przez mgłę, czuła, że dotyka jej para rąk; podnosi ją, ciągnie, wydobywa z otaczającej ciemności. Nie chciała z niej wychodzić. Nie chciała jej opuszczać. Ale te ręce nie pozwoliły jej tam zostać. Uparły się, żeby ją ratować.

Ratować. Próbowaly jej pomóc. Ktoś przybył na pomoc. Wszystko będzie dobrze. Ze wszystkich sił chciała się ocknąć, walcząc z ciemnością i bólem.

Wtedy usłyszała śpiewny głos... głos Sondry... i zorientowała się, że się myli. Nie była bezpieczna. Usiłowała otworzyć oczy, ale powieki były zbyt ciężkie. Przez szparę między rzęsami Kit dostrzegła ciemną sylwetkę Pochylającej się nad nią Sondry. Uświadomiła sobie, że drży... leży na kanapie, z poduszką wsuniętą pod głowę. Dlaczego? Po co Sondra to zrobiła? To nie miało sensu. Starła się skoncentrować na dochodzącym do niej. Kłósie.

- ...ci makijaż. - Sondra mówiła w taki sposób, jakby wiedziała, że Kit ją słyszy. - To jest specjalny rodzaj makijażu. Spodoba ci się jego działanie.

Sondra robiła coś z rękami. Kit usłyszała klapnięcie, następnie zobaczyła, jak Sondra na swoje skórzane rękawiczki wciąga jeszcze parę gumowych. Pistolet. Nie miała pistoletu. Oto była okazja, na którą czekała.

- Według mojej własnej, specjalnej recepty - wyjaśniła spokojnie Sondra. - Mojej własnej, śmiertelnej recepty: kokaina z heroiną i DMSO. To skrót na dwumetylosulfotlenek, cudowny środek do rozpuszczania kokainy i heroiny, który pozwala, by zostały wchłonięte przez skórę wprost do krwiobiegu. Idealny sposób dla kogoś z twojej branży, kto nie chce brzydkich śladów po igle, które mogłaby zauważyć kamera. - Sięgnęła po coś, co leżało na stoliku. - Już zaraz będziesz na haju, Kit. Tak wielkim, że polecisz prosto do nieba. Jeszcze jedna aktorka, która umarła z przedawkowania. Jakie to bezsensowne. I jakie tragiczne.

Kiedy Sondra pochyliła się nad nią z gąbką w dłoni, Kit zdobyła się na desperacki wysiłek. Wykonując skręt całym ciałem, zepchnęła Sondrę z krawędzi kanapy, ciskając nią o stół.

Otrząsając się z zamroczenia i nowej fali bólu. Kit z trudem stanęła na nogach. Musi uciekać. Musi wydostać się z domu, zanim Sondra znajdzie pistolet. Ruszyła do drzwi, ale coś przytrzymało ją za kostkę. Próbując się wyrwać, przewróciła stół. Pistolet wylądował na podłodze... tuż przy ręce Sondry.

Kit widziała, jak go podnosi. W akcie ostatecznej rozpaczyci chwyciła z kanapy poduszkę i rzuciła nią w Sondrę. Sondra odbiła poduszkę podniesionym ramieniem, skierowując ją wprost na palenisko kominka. W tym momencie Kit rzuciła się do frontowych drzwi. Otwierając je, usłyszała trzask kuli wbijającej się w drewno. Znalazła się na zewnątrz i zbiegła po schodach na pokryte śniegiem podwórko.

Dżip. Jeśli uda jej się dostać do dżipa, będzie mogła uciec i sprowadzić pomoc. Ale dżip był w szopie koło stodoły.

Kit przykucnęła za rogiem domu, patrząc na odkrytą przestrzeń podwórza. Ból rozsadał jej czaszkę. W zasięgu wzroku nie było żadnego schronienia, żadnej osłony.

Drzwi wejściowe otwarły się głośnie. Kit schyliła się najniżej, jak mogła, przyciskając się równocześnie do ściany werandy. Nad jej głową rozległ się odgłos kroków, następnie zamilkł. Kit wstrzymała oddech; serce waliło jej tak mocno, iż była pewna, że Sondra je słyszy. Przymknęła oczy, czując powracający strach i otworzyła je niemal natychmiast, kierując wzrok na drzewa za domem. Powiodła oczyma po ich pniach ciągnących się rzędem aż za szopę.

- Ty głupia dziwko - mamrotała wściekle Sondra. - Chyba nie myślisz, że uda ci się przede mną uciec?

Kroki spokojnym, powolnym rytmem zmierzały do miejsca, gdzie ukryła się Kit. Drzewa nagle wydały jej się bardzo oddalone. Nie miała jednak innego wyjścia. Zaczepnęła tchu i przeczołgała się do rogu domu. Tam pochyliła się do przodu i ruszyła pędem w stronę osikowego lasu. W każdej chwili spodziewała się usłyszeć krzyk, świadczący, że została wykryta, stłumiony odgłos strzału, poczuć kulę rozrywającą jej ciało.

Otoczyły ją drzewa. Udało się. Pochlipując z ulgą, złapała się cienkiego białego pnia i oparła się na nim bezsilnie. Gwałtowny przypływ adrenaliny powstrzymał wszystkie inne wrażenia, nawet pulsujący w głowie ból.

Z przerażeniem obejrzała się w stronę domu. Sondra była tam; dostrzegła szczupłą czarną sylwetkę na tle białego śniegu. Przyglądała się śladom pozostawionym przez Kit, prowadzącym w stronę drzew.

- Wiem, gdzie jesteś, Kit - wyszeptała złowieszczo. Tylko sobie wszystko utrudniasz. Równie dobrze możesz wyjść.

Kit przytuliła się do pnia, nie mogąc zapanować nad szlochem wydzierającym jej się z gardła. Powrócił strach, zimny jak nocne powietrze chłodzące poprzez cienkie ubranie i przeszywające płuca przy każdym oddechu. Nie może tu pozostać. Musi się poruszać. Odepchnęła się od pnia, gdy Sondra zrobiła pierwszy krok w stronę zagajnika.

Przeskakując od drzewa do drzewa przedzierała się w stronę szopy, bez przerwy oglądając się przez ramię. Sondra zniknęła jednak w cieniu. Potknęła się o zwalony pień ukryty pod śniegiem i upadła na kolana, amortyzując upadek wyciągniętymi rękami. Pozbierała się, nie zważając na kłujący ból w dłoni i szybko posuwała się dalej.

Wreszcie dotarła do tylnej ściany szopy; pociemniałe od wpływów pogody deski wznosiły się tuż przed nią. Stała i rozejrzała się wokół. Nic. Gdzie była Sondra? Nie było słychać nic poza jej własnym urywanym oddechem i łomotem serca.

Nisko przykucnięta wyskoczyła spośród drzew i przebiegła kilka metrów po odkrytej przestrzeni dzielącej ją od sterty drewna, a potem przeczołgała się do bocznych drzwi szopy. Wślizgnęła się do środka i zatrzymała dla złapania oddechu. Przed nią stał dziup. Stanowił najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek miała przed oczami.

Przekradła się na stronę kierowcy i wsunęła do środka. Schyliła się szukając na podłodze kluczyków, które zostawiła pod siedzeniem. Była tak zmarznięta i przerażona, że drżała na całym ciele, a palce miała zupełnie zeszywniałe. Z niezdatnym pośpiechem usiłowała włożyć klucz do stacyjki. Czuła, jak zbiera jej się na płacz, a strach paraliżuje bólem klatkę piersiową.

Drzwi dziupa otwarły się nagle. Krzyknęła, kiedy jakaś ręka chwyciła ją za włosy i mocno pociągnęła. Kit próbowała walczyć, ale zastygła w bezruchu, kiedy poczuła na szyi ucisk tłumika.

- Wiedziałam, że będziesz próbowała dostać się do japa - odezwała się Sondra tuż przy jej uchu. - Wystarczyło poczekać. - Szarpiąc za włosy, zmusiła Kit do opuszczenia samochodu. - Jeśli jesteś rozsądna, nie będziesz więcej próbować żadnych sztuczek. Ale ty nie jesteś rozsądna, prawda?

- Już nie będę próbować. Przysięgłam, że nie będę - kłamała Kit.

Sondra nie zwalniając uścisku na włosach Kit, wbiła lufę pistoletu w jej kręgosłup.

- No to wracajmy do domu. Wciąż nie masz na sobie tego specjalnego makijażu. - Pchnęła ją w stronę bocznych drzwi. Pociągnęła za włosy, kiedy Kit się potknęła. - Ruszaj.

- Ale... ale skrzyłam kostkę - powiedziała Kit udając, że utyka, kiedy Sondra znów ją popchnęła.

- Niedługo będzie cię boleć - syknęła. - Otwieraj drzwi.

Gdy wyszły, Kit nadal udawała, że kuleje. Szopę od domu dzieliła spora odległość. Gdyby zdołała udać, że się poślizgnęła i straciła równowagę, może... może miałyby szansę dorwać się do pistoletu.

W powietrzu unosił się zapach palącego się drewna. Kit spojrzała w stronę domu, próbując wybrać

najlepsze miejsce do odegrania swojej sztuczki. W oknach salonu tańczyło dziwne żółte światło. Wpatrywała się w nie przez dłuższą chwilę, nim uświadomiła sobie, że przygląda się płomieniom.

- Mój Boże, dom się pali - szepnęła, przypominając sobie poduszkę, która spadła na palenisko... albumy i papierowe serwetki rozrzucone przed kominkiem. I Laurę. Boże, czy ona nadal śpi tam na górze? - Puść mnie!

Sondra szarpnęła za włosy, wyginając jej głowę do tyłu.

- Ogień oznacza jedynie, że będę musiała zmienić nieco swoje plany.

- Nic nie rozumiesz. Tam jest Laura.

Sondra przyjęła jej słowa ze śmiechem.

- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę.

- To prawda. Śpi na górze. Zamieszkała ze mną na czas pobytu Bannona w Denver. Musisz mnie puścić - błagała Kit. - Chyba nie chcesz, żeby ona zginęła. To niemożliwe.

Sondra puściła jej włosy.

- Nie - warknęła. - Ona nie może umrzeć. To by wszystko zepsuło. Wszystko. - Wybuchnęła, odwracając się do Kit. - Ty dziwko, czemu mi nie powiedziałaś, że ona tam jest?

Mocny cios powalił Kit na ziemię. Nim się pozbierała, Sondra pędziła już po schodach na ganek. Kit pobiegła za nią, z trudem chwytając powietrze.

Sondra wpadła do domu, wykrzykując imię Laury. Płomienie strzeliły w górę podsyczone nagłym strumieniem tlenu, który dostał się do środka wraz z wejściem Sondry. Kiedy Kit dotarła do ganku, ogień zagroził jej drogę. Wiedziała, że schody wkrótce zostaną odcięte, o ile już się to nie stało.

Pobiegła na koniec werandy i wspięła się po metalowej rynnie na dach. Wczepiając się palcami w śliskie od śniegu dachówki centymetr po centymetrze zbliżała się do okna gościnnej sypialni. Przykucnęła i zajrzała przez szybę do środka. W pokoju nie było jeszcze wiele dymu, ale nie mogła dojrzeć Laury. Czyżby wyszła? Czy Sondra ją znalazła?

- Laura! - Zastukała mocno w szybę.

Coś poruszyło się wewnątrz. To była Laura. Kit niemal krzyknęła z ulgą, widząc ubraną w nocną koszulę dziewczynkę. Laura podeszła do okna. Kaszłała, a po policzkach spływały jej łzy. Kit naparła na okno, próbując je otworzyć. Było zablokowane.

Z dołu dobiegł odgłos wybuchu, potem dwa następne. Ogień zdetonował amunicję, znajdującą się w gablocie z bronią. Musiała wydostać Laurę! Jak oszalała Kit walczyła z opornym oknem, ale nogi wciąż ześlizgiwały jej się po mokrych dachówkach.

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciła się, odruchowo nadstawiając paznokcie. Ale to był Bannon, nie Sondra.

- Nie mogę otworzyć okna! - zaszlochała.

- Odsuń się - polecił, nakazując gestem Laurze, by zrobiła to samo. Chwytnąjąc się mocno okiennej ramy, kopnięciem rozbił szybę, potem usunął ostre krawędzie szkła i chwycił dziecko w pól.

Kit przesunęła się na krawędź dachu i po rynnie zjechała na dół. Gdy tylko znalazła się na ziemi, Bannon opuścił Laurę w jej wyciągnięte ramiona, potem zszedł sam i odebrał od niej dziecko. Odciągnął ją od płonącego domu, mocno obejmując ramieniem.

Podbiegł do nich człowiek w mundurze kierowcy.

- Straż pożarna i karetka są już w drodze.

Kit wpatrywała się bezmyślnie w limuzynę stojącą na podwórzu z zapalonymi światłami i włączonym silnikiem. Na tylnych drzwiach, po stronie pasażera, widniał napis „J. D. Lassiter”. Nie miała pojęcia, jakim cudem Bannon znalazł się tutaj z Lassiterem. W tym momencie jednak była zbyt zmęczona, zmarznięta i czuła zbyt wielką ulgę, żeby się nad tym zastanawiać.

Zatrzymała się, przypomniawszy sobie o Sondrze.

- Sondra... myślę, że ona ciągle jest w środku. - Kiedy się obejrzała, płomienie buchały ze wszystkich okien na parterze. Westchnęła ciężko i spojrzała na Bannona. Chaotycznie próbowała mu opowiedzieć o tym, co zaszło. Po paru słowach urwała i oparła się o niego. Przymknęła oczy, czując dotyk jego ust na włosach. Później. Będzie dość czasu, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Całe życie.